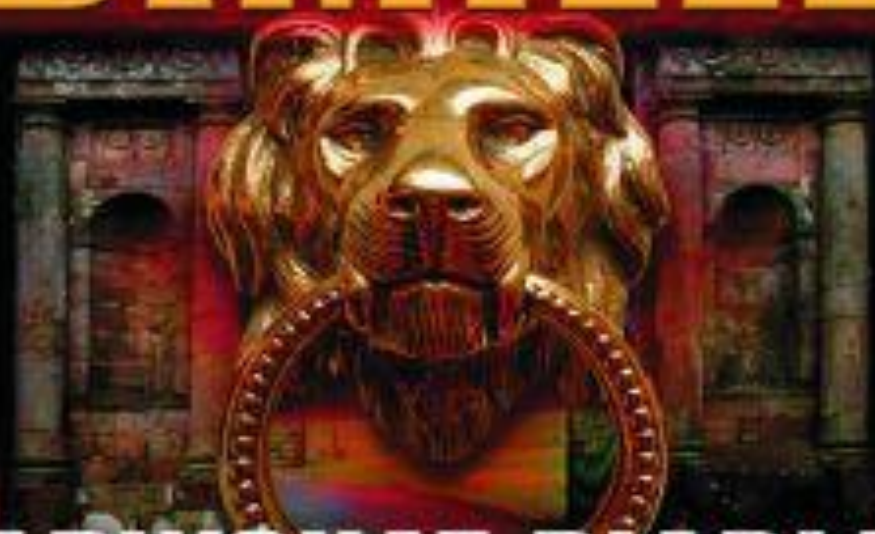


KAŻDA JEGO KSIĄŻKA TO ŚWIATOWY BESTSELLER!

# NELSON DEMILLE



## ADWOKAT DIABŁA

# NELSON DEMILLE



# ADWOKAT DIABŁA

przełożył JERZY MALINOWSKI



Przedsiębiorstwo  
Wydawnicze  
Rzeczpospolita SA

## PROLOG

*Jakże cudowny jest ten ogród; gdzie ziemskie kwiaty  
Idą w szranki z gwiazdami nieba.  
Cóż równać się może z ową alabastrową fontanną  
Pełną krystalicznej wody?  
Nic prócz księżycy w swojej pełni, połyskującego  
Na bezchmurnym niebie!*

Inskrypcja na ścianie pałacu Alhambra w Granadzie  
*The Alhambra*, Washington Irving

Jest ciepły letni wieczór i w bladym świetle księżycy w pełni ja, John Whitman Sutter, przyglądam się mojej żonie, Susan Stanhope Sutter, jak mknie na swoim koniu Zanzibarze przez rozległe tereny swojej rodowej posiadłości Stanhope Hall.

Wschodzący księżyc jest niesamowicie jasny i rzuca na okolicę niezemską poświatę, zamieniając wszystkie kolory w jednakową niebieskobiałą srebrzystość.

Susan mija rząd wysokich sosen i wjeżdża na sąsiednią posiadłość zwaną Alhambra. Ciekaw jestem, dlaczego przekroczyła dzielącą posiadłości granicę, i mam nadzieję, że otrzymała na to pozwolenie od nowego właściciela Alhambry, szefa mafii, Franka Bellarosy.

Majestatyczne, wysokie drzewa rzucały długie cienie na rozległą płaszczyznę trawnika, a w oddali widziałem ogromną willę. Dom był pogrążony w ciemnościach prócz jednych przeszkolonych drzwi balkonowych na piętrze. Wiedziałem, że to jest balkon biblioteki, w której w swoim skórzanym fotelu siedział Frank Bellarosa.

Susan podjeżdża pod dom, zeskakuje i uwiązuje Zanzibara do drzewa. Podchodzi do brzegu wyłożonej marmurem sadzawki znajdującej się pośrodku klasycystycznego ogrodu ze sztucznymi rzymskimi ruinami.

Na jednym krańcu sadzawki stoi posąg Neptuna z wysoko wzniesionym trójzębem, a u jego stóp z otwartych szeroko pysków kamiennych ryb woda spływa wprost do wielkiej alabastrowej muszli.

Na drugim krańcu, tym znajdującym się bliżej mnie, jest posąg Marii Panny, nowy w tym miejscu, umieszczony na polecenie żony Bellarosy, jako przeciwwaga dla

wpólnagiego pogańskiego bożka.

Łagodna bryza porusza cyprysami, swoje trele rozpoczynają nocne ptaki. Jest piękny wieczór i Susan chyba jest urzeczona blaskiem księżyca i zachwycającym ogrodem. Mnie też ten magiczny wieczór oczarował.

Zwracam ponownie swoją uwagę na Susan, która zaczyna się rozbierać, wieszając kolejne części garderoby na posągu Marii Panny. Zaskakuje mnie to i niepokoi zarazem.

Susan podchodzi do brzegu sadzawki, jej rude włosy falują na wietrze, i patrzy w dół na swoje nagie odbicie w wodzie.

Mam ochotę także zrzucić ubranie i dołączyć do niej, ale dostrzegam, że światło w bibliotece zgasło, a drzwi balkonowe są teraz otwarte. I choć nikogo tam nie widzę, czuję się zakłopotany i pozostaję w cieniu.

Następnie dostrzegam na tle białych ścian Alhambry jakąś męską sylwetkę, która długimi, zdecydowanymi krokami zbliża się do sadzawki. Kiedy podchodzi bliżej, poznaję, że to Bellarosa. Ma na sobie czarny szlafrok. Zatrzymuje się przy posągu Neptuna, jego twarz wygląda w świetle księżyca nienaturalnie. Chcę zawołać Susan, ale nie mogę.

Susan zdaje się go nie zauważać, nie odrywa oczu od swojego odbicia, tymczasem Bellarosa intensywnie się w nią wpatruje. Do pasji doprowadza mnie to, że patrzy na nagie ciało mojej żony.

Cała scena jest nieruchoma, Susan i Frank stoją bez ruchu jak posągi. Ja, choć powinienem chronić Susan, też zamarłem, niezdolny do żadnej interwencji.

Teraz widzę, że ona zdaje sobie sprawę z obecności Bellarosy, ale nie reaguje. Nie rozumiem tego; nie powinna stać naga w jego obecności.

Jestem zły na nią, na niego; czuję narastającą wściekłość, której nie mogę jednak ubrać w słowa czy dźwięki.

Susan odwraca się tyłem do sadzawki i do Bellarosy i myślę, że zamierza odejść. Nagle kieruje głowę w moją stronę, jakby dosłyszała jakiś dźwięk. Robię krok w jej kierunku, ale ona unosi ręce nad głowę, wskakuje do sadzawki i długimi silnymi wyrzutami ramion płynie naga w kierunku Franka Bellarosy. Spoglądam na niego i widzę, że on także stoi zupełnie nagi z założonymi na piersiach rękami. Jest postawny, dobrze zbudowany i w świetle księżyca wygląda równie groźnie i imponująco jak stojący obok niego kamienny posąg.

Chciałem krzyknąć do Susan, ostrzec ją, żeby zawróciła, ale coś kazało mi



milczeć i obserwować, co się wydarzy.

Susan dopływa do drugiego brzegu i wdrapuje się na alabastrową, wypełnioną wodą muszlę. Stoi tak i patrzy na Bellarosę, który nie poruszył się, tylko zwrócił w jej stronę twarz.

Wpatrują się w siebie, nienaturalnie znieruchomiali, następnie Bellarosa wchodzi do płytkiej wody w muszli i staje naprzeciw Susan.

Rozmawiają ze sobą, ale ja słyszę tylko szum płynącej wody. Jestem wściekły i wciąż nie mogę uwierzyć, że Susan chce tam być i nie wskoczy z powrotem do wody. Im dłużej tak stoi przed nim naga, tym wyraźniej zdaję sobie sprawę, że przyszła tu specjalnie, by się z nim spotkać.

Kiedy już traciłem nadzieję, że Susan jednak odpłynie, ona klęka, zwraca twarz w stronę jego krocza i bierze jego penisa do ust. Zaciska dłonie na pośladkach Bellarosy i przyciąga go do siebie.

Zamykam oczy; kiedy otwieram je ponownie, Susan leży na plecach z szeroko rozrzuconymi nogami, zwisającymi swobodnie znad brzegu muszli, a Bellarosa stoi niżej, w sadzawce z twarzą zanurzoną pomiędzy jej udami. Nagle unosi jej nogi, opiera je na swoich ramionach, wynurza się z wody i wchodzi z nią z taką siłą, że z ust Susan wyrywa się głęboki jęk. Kolejne pchnięcia sprawiają, że Susan zaczyna głośno krzyczeć.

- Panie Sutter! Panie Sutter! Sir, lądujemy. Proszę zapiąć pasy.

- Co?

- Lądujemy - dobiegł mnie kobiecy głos. - Musi pan zapiąć pasy i ustawić oparcie fotela w pionie.

- Och... - Poprawiam fotel i zapinam pasy.

Spostrzegam też, że mój Mały John również stoi na baczność. Mój Boże. To krępujące. Co go tak poruszyło? Wreszcie sobie przypominam sen...

Nigdy nie zapytałem Susan, jak, kiedy i gdzie zaczął się jej romans z Frankiem Bellarosa - nie jest to taka wiadomość, którą chciałoby się znać w szczegółach - ale też brakowało mi tej informacji. Psychoanalityk, gdybym do takiego chodził, powiedziałby, że jest to podświadoma próba wypełnienia luki. W zasadzie nie ma to znaczenia dziesięć lat po rozwodzie. Oskarżyłem ją o cudzołóstwo, a ona się przyznała. Państwo nie wymagało przy tym żadnych pikantnych szczegółów ani wyraźnych dowodów, więc ja też się ich nie domagałem.

Samolot British Airways z Londynu do Nowego Jorku przeleciał właśnie nad cieśniną Long Island i zaczął schodzić do lądowania na lotnisku J.R Kennedy'ego. Był słoneczny poniedziałek dwudziestego siódmego maja, krótko po szesnastej. Przypomniałem sobie że dzisiaj w Ameryce jest obchodzony dzień pamięci poległych na polu chwały. Poniżej, na północnym brzegu Long Island, widziałem miejsce zwane Złotym Wybrzeżem, gdzie jeszcze dziesięć lat temu mieszkałem. Pewnie gdybym się lepiej przyjrzał, dostrzegłbym dwie sąsiadujące ze sobą ogromne posiadłości - Stanhope Hall oraz to, co kiedyś było Alhambra...

Mieszkam teraz w Londynie, ale przyleciałem do Ameryki, żeby zobaczyć się ze starszą panią, która umierała albo może właśnie umarła podczas mojego siedmiogodzinnego lotu. Jeśli tak, to pojawię się na pogrzebie, gdzie ujrzę Susan Stanhope Sutter.

Śmierć i widok trumny powinny skłonić nas do głębokich przemyśleń na temat krótkotrwałości ludzkiego życia i ponownego przeanalizowania naszych licznych rozczarowań, urazów i zrad. Niestety najczęściej takie rzeczy zabieramy ze sobą do grobu albo wkładamy do grobu osoby, której nie potrafiliśmy za życia wybaczyć.

Susan.

A jednak od czasu do czasu znajdujemy w naszych sercach wolę przebaczenia. Kosztuje to niewiele, tylko utratę odrobiny dumy. I może dlatego jest to takie trudne.

Siedziałem w kabinie klasy biznes. Głowy wszystkich współpasażerów zwrócone były w kierunku okien, za którymi widać było Manhattan. To jest naprawdę niesamowity widok z wysokości trzech czy czterech tysięcy stóp, a dodatkowo od dziewięciu miesięcy główną atrakcją dla tych, którzy znali miasto, był brak dwóch drapaczy chmur. Kiedy ostatnim razem leciałem do Nowego Jorku, kilka tygodni po jedenastym wrześniu, nad gruzowiskiem wciąż unosił się dym. Tym razem nie miałem ochoty na to patrzeć, ale siedzący obok mnie mężczyzna odezwał się:

- Tam stały wieże. Na lewo. - Wskazał palcem. - Właśnie tam.
- Wiem - odpowiedziałem i wziąłem do ręki gazetę.

Większość ludzi, których tu znam, mówiła mi, że po jedenastym wrześniu musieli ponownie przemyśleć pewne sprawy i spojrzeć na swoje życie z innej perspektywy. To dobry plan na przyszłość, ale nie mógł już zmienić przeszłości.

Samolot zaczął obniżać pułap, aż wreszcie wylądowaliśmy.

- Dobrze jest być w domu - odezwał się mężczyzna obok i zaraz zapytał: - A to jest dla pana dom?

- Nie.

Za chwilę będę jechał wynajętym samochodem do miejsca, które kiedyś nazywałem swoim domem, ale teraz czas częściowo wytarł je z mojej pamięci wraz z mnóstwem dobrych wspomnień, pozostawiając same rozczarowania, urazy i zdrady.

Samolot wytracił prędkość i podkołował do terminalu.

Teraz, kiedy tu jestem i pozostanę pewnie aż do pogrzebu, powinienem może spróbować jakoś pogodzić przeszłość z terażniejszością, po to choćby, by w drodze powrotnej mieć lepsze sny.

# CZEŚĆ I

*Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzi pod prąd, który nieustannie znosi  
nas w przeszłość.*

F. Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*

Przeł. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz

## ROZDZIAŁ 1

Od mojego powrotu z Londynu minął tydzień; siedziałem przy stole w jadalni w niewielkiej stróżówce w Stanhope Hall - dawnej posiadłości mojej byłej żony - i przeglądałem stare dokumenty, rodzinne zdjęcia i listy, które przez ostatnie dziesięć lat przechowywałem właśnie tutaj.

Po rozwodzie z Susan spełniłem wreszcie wielkie marzenie i wybrałem się swoją żaglówką, czterdziestosześciorozowym morganem Paumanok II w trwający trzy lata rejs dookoła świata. Tak się składa, że Paumanok to indiańskie słowo na określenie Long Island i mój znamienity przodek, pochodzący właśnie stąd, Walt Whitman, stosował czasem to słowo w swojej poezji. Założę się, że gdyby wujek Walt miał czterdziestosześciorozowy jacht, nazwałby go Paumanok, a nie na przykład I Hear America Singing, bo to za długie, ani Leaves of Grass, bo nie ma nic wspólnego z morzem.

Tak czy inaczej moim ostatnim portem był Bournemouth w Anglii, skąd moi dalecy przodkowie, Sutterowie, przyплыли trzysta lat temu do Ameryki.

Zbliżała się zima, ja czułem w kościach trudy trzyletniego rejsu, pieniądze na moim koncie bankowym stopniały, a zamiłowanie do podróży zostało zaspokojone, sprzedałem więc łódź za połowę wartości i zacząłem w Londynie rozglądać się za pracą. W końcu podpisałem umowę z brytyjską firmą prawniczą, która poszukiwała specjalisty w dziedzinie amerykańskich podatków, a przecież zanim zostałem kapitanem Paumanoka U, właśnie tym zajmowałem się w swojej kancelarii w Nowym Jorku.

Rozłożyłem na stole kilka zdjęć Susan i przyjrzałem im się uważnie w świetle żyrandola. Susan była, i zapewne nadal jest, piękną kobietą z długimi rudymi włosami, przyciągającymi uwagę zielonymi oczami, pełnymi wargami i perfekcyjną



figurą.

Podniosłem do oczu zdjęcie Susan zrobione na mojej pierwszej łodzi, Paumanoku, trzydziestosześcioletnim morganie, który był moją miłością, a którego musiałem zatopić w zatoce Oyster Bay, żeby nie wpadła w łapy rządu jako zapłata zaległych podatków. Moim zdaniem zdjęcie musiało być zrobione latem 1990 roku gdzieś w cieśninie Long Island. Był wtedy piękny, słoneczny dzień, a Susan stała na rufie, zupełnie naga, jedną ręką zasłaniając swój krzew gorejący, a drugą piersi. Na twarzy malowało się udawane zaskoczenie i zakłopotanie.

Okazją do zrobienia zdjęcia była jedna z wyreżyserowanych przez Susan fantazji erotycznych, i jak sądzę ja, wtedy wspiąłem się z kajaka na pokład, tam znalazłem ją samotną i nagą i uczyniłem z niej swoją seksualną niewolnicę.

Ta kobieta miała nie tylko wspaniałe ciało, cechowała ją również nieokiełznana wyobraźnia połączona z wyjątkowym libido. Jeśli chodzi o te seksualne przedstawienia, miały one, rzecz jasna, służyć podtrzymaniu małżeńskiego żaru. Działo to przez dobre dwadzieścia lat, bo zdradzaliśmy się w nich tylko ze sobą. Tak było do czasu, kiedy po sąsiedzku zamieszkał nowy aktor - Frank Bellarosa.

Sięgnąłem po znaną w kredensie butelkę koniaku i zakropiłem sobie nim kawę.

Powodem mojego powrotu do Ameryki byli dawni mieszkańcy tej stróżówki, George i Ethel Allard, starzy służący rodziny Stanhope'ów. George, dobry człowiek, zmarł dziesięć lat temu, a jego niezbyt miła żona Ethel przebywa teraz w hospicjum i pewnie za chwilę dołączy do męża, chyba że George rozmówił się z głównym klucznikiem, świętym Piotrem. „Czy nie przyrzeczno mi wiecznego spokoju i spoczynku? Czy ona nie może trafić gdzie indziej? Zawsze lubiła gorące kąpiele”. Tak czy inaczej jako adwokat zajmowałem się jej sprawami i dlatego powinienem uczestniczyć w tym pogrzebie.

Drugim powodem mojego powrotu było to, że stróżówka stanowiła mój jedyny legalny adres w Stanach Zjednoczonych, a za chwilę miała dostać się w ręce Amira Nasima, irańskiego dżentelmena, który był obecnie właścicielem głównej rezydencji Stanhope Hall i większej części posiadłości wraz ze stróżówką. Jak dotąd Ethel Allard miała tak zwane dożywocie, co oznaczało, że do dnia śmierci może nieodpłatnie korzystać z budynku. Otrzymała takie prawa od dziadka Susan, Augustusa Stanhope'a (ponieważ swojego czasu się z nim pieprzyła). Ethel była tak uprzejma, że pozwoliła mi trzymać tutaj moje rzeczy i pomieszkiwać, ilekroć znalazłem się w Nowym Jorku.

Ethel mnie nie znosi, ale to zupełnie inna historia. W każdym razie jej dni dobiegały kresu. Przyleciałem zatem z Londynu nie tylko po to, by pożegnać Ethel, ale także żeby znaleźć nowe miejsce na swoje graty i jakiś adres, co dla prawego obywatela i kredytobiorcy było rzeczą niezbędną.

W Nowym Jorku pojawiłem się po raz pierwszy od ubiegłego września, kiedy to przyleciałem z Londynu zaraz po wznowieniu połączeń lotniczych. Zatrzymałem się wówczas w Yale Club, którego nadal byłem członkiem i gdzie zwykle zatrzymywałem się podczas swoich nielicznych podróży służbowych do Ameryki. Pamiętam, że szokiem dla mnie było to, jak ciche, puste i trzeźwe stało się nagle to wielkie miasto.

Do nikogo nie dzwoniłem i z nikim się nie spotkałem. Miałem zobaczyć się ze swoją córką Carolyn, ale zaraz po jedenastym września uciekła ze swojego mieszkania w Brooklynie i przeniosła się do matki do Hilton Head w Karolinie Południowej. Mój syn Edward mieszka w Los Angeles. Przez trzy dni włóczyłem się po opustoszałych ulicach i dwukrotnie trafiłem do miejsca nazywanego Ground Zero.

Z bolejącym sercem i wycieńczony wsiałem na pokład samolotu i wróciłem do Londynu, czując, że postępuję słusznie, tak jak wszyscy ludzie, którzy wracają do domu na wieść o czyjejś śmierci.

W ciągu następnych kilku miesięcy zdałem sobie sprawę, że znałem jedenaście osób spośród tych, które zginęły w wieżach WTC. Większość to byli dawni sąsiedzi albo partnerzy w interesach, ale był także jeden bliski przyjaciel, który osierocił trójkę małych dzieci i żonę.

I teraz, dziewięć miesięcy po jedenastym września, znów tu jestem. Wszystko zdawało się wracać do normalności, choć to były tylko pozory.

Popijałem kawę z koniakiem i patrzyłem na stosy papierów wokół mnie. Było tego całe mnóstwo i miałem nadzieję, że Ethel jeszcze trochę pociągnie, a pan Nasim nie będzie chciał odzyskać swojej stróżówki w tej samej chwili, kiedy Ethel wyda ostatnie tchnienie. Musiałem z nim o tym porozmawiać; proponowanie Ethel, żeby się wstrzymała, póki nie uporządkuję swoich papierów, mogłoby wydać jej się nieco nietaktowne i samolubne.

Ponieważ wieczór był chłodny, a ja nie miałem niszczarki do papieru, rozpałem ogień w kominku. Tak więc podsyciałem ogień listami i fotografiami, które, w razie gdybym nagle wykitował, nie powinny trafić w ręce moich dzieci.

W tej kategorii znalazły się zdjęcia, na których nagość ich matki mówiła dużo więcej o jej stanie umysłu niż ciała. Susan była, i jestem pewny, że jest nadal, lekko

szurnięta. Ale mówiąc szczerze, wcale mi to nie przeszkadzało i nie to stanowiło powodu naszych problemów małżeńskich. Naszym problemem był bez wątpienia jej romans z mieszkającym po sąsiedzku szefem mafii. Żeby skomplikować sprawy jeszcze bardziej, po tym wszystkim Susan go zabiła. Trzema strzałami. Jeden w krocze. Auuu...

Zebrałem zdjęcia i obróciłem się na krzesło w stronę kominka. Wiem, wszyscy mają z tym kłopot, ale mówię wam jako prawnik i jako człowiek, że nie ma sensu przechowywać czegoś, czego nie powinna nigdy ujrzeć nasza rodzina lub nasi wrogowie.

Patrzyłem na tańczące w okopconym kominku płomienie i wciąż ścisnąłem w rękę fotografie. Tak więc zastrzeliła swojego kochanka, Franka Biskupa Bellarose, *capo di tutti capi*, szefa szefów, i uszło jej to na sucho - całkiem legalnie. Departament Sprawiedliwości znalazł jakieś okoliczności łagodzące.

Faktem jest, że Departament Sprawiedliwości został postawiony pod ścianą. Wcześniej pozwolili pani Sutter odwiedzać bez przeszkód dona Bellarose, który znajdował się w areszcie domowym w swojej willi i wyśpiewywał właśnie wszystko, co wiedział.

Jak się domyślacie, do tej pory jestem trochę wkurzony, ale już znacznie mniej niż kiedyś.

Tymczasem musiałem się zdecydować, czy moja podróż miała się ograniczyć do czuwania przy zwłokach, czy może powinienem zostać w Stanach dłużej. Nie zarzuciłem programu kształcenia ustawicznego prawników, nadal byłem członkiem palestry stanu Nowy Jork, więc nie spaliłem za sobą wszystkich mostów i teoretycznie mógłbym tu znaleźć pracę. W poprzednim życiu byłem wspólnikiem w dawnej kancelarii mojego ojca: Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds pod numerem 23 Wall Street, w historycznym budynku, który na przełomie stuleci próbowali wysadzić w powietrze anarchiści, co w porównaniu z jedenastym września wydawało się takie staroświeckie.

Przez ostatnie siedem lat spędzonych w Londynie pracowałem w brytyjskiej firmie jako ekspert od amerykańskich podatków i tłumaczyłem, że oszukiwanie IRS, czyli urzędu podatkowego, to taka amerykańska tradycja. To był mój odwet. IRS spieprzył mi życie, a moja żona pieprzyła się z szefem mafii. Te dwie z pozoru niepowiązane sprawy okazały się jednak mocno ze sobą powiązane.

Wydaje mi się, że wkroczyłem wówczas na złą drogę trochę na przekór

swojemu słodkiemu życiu osoby z wyższych warstw społecznych. Z drugiej strony przeciwności losu budują charakter i jeśli mam być szczerzy, to nie była tylko wina Susan, ani wina Franka Bellarosy, ani IRS, ani moich nadętych współników. To była po części też moja wina, bo przecież coś mnie z Frankiem Bellarosą łączyło. Niewielkie zlecenie. Takie jak reprezentowanie go w sprawie o morderstwo. To nie była sprawa, jaką się na co dzień zajmowałem jako prawnik z Wall Street, i na pewno nie mogła jej zaakceptować kancelaria Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds. Zająłem się nią jako adwokat mający także własną kancelarię w Locust Valley na Long Island, ale oczywiście nie udało się tego zachować w tajemnicy, bo temat został nagłośniony w mediach.

Kiedy teraz o tym myślę, nie mogę pozbyć się wrażenia, że biorąc sobie za klienta szefa mafii, popełniłem zawodowe i społeczne samobójstwo. To było wówczas dla mnie wyzwanie, a ja się nudziłem. Zresztą Susan akceptowała to i nawet zachęcała mnie do ściślejszych związków z Bellarosą. Wydaje mi się, że Susan także się nudziła, a poza tym, jak się później okazało, miała wobec niego swoje plany.

A jeśli już mowa o Susan, dzięki mojemu synowi Edwardowi dowiedziałem się, że, cytując: „Mama odkupiła nasz dom”. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że duży dom gościnny w Stanhope Hall znów był jej własnością. Ten dom, składający się między innymi z sześciu sypialni, był naszym małżeńskim gniazdkiem przez blisko dwadzieścia lat, a znajduje się o ćwierć mili od głównej bramy wjazdowej do posiadłości. Innymi słowy, Susan i ja byliśmy teraz sąsiadami.

Ojciec Susan, William, swoją drogą monumentalny kutas, wydzielił z posiadłości liczącej ogółem dwieście akrów dom gościnny wraz z dziesięcioma akrami ziemi i dał go w prezencie ślubnym córce. A skoro ja byłem panem młodym, zastanawiałem się, dlaczego na akcie własności nie ma też mojego nazwiska. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musicie zrozumieć, czym są stare fortuny. Musicie także zrozumieć takich kutasów jak William. Nie mówiąc już o tej słodkiej idiotce, jego żonie, a matce Susan, Charlotte. Te dwa osobniki niestety wciąż jeszcze żyją, mają się dobrze, mieszkają i grają w golfa w Hilton Head w Karolinie Południowej, dokąd też przeniosła się Susan po odebraniu dziesięć lat temu życia swojemu kochankowi.

Przed wyjazdem do Karoliny Południowej Susan sprzedała dom gościnny parze yuppie, która przeprowadziła się tu skądś zza rzeki Hudson. Kiedy twoja żona sprzedaje dom i przeprowadza się do innego stanu, możesz być pewny, że w twoim małżeństwie źle się dzieje. Chociaż prawdę mówiąc, to ja zakończyłem nasze

małżeństwo. Susan chciała, żebyśmy zostali razem, argumentując, że skoro jej kochanek nie żyje, to przecież nie wpadniemy na niego przypadkiem na jakimś przyjęciu. Właściwie powiedziała, że właśnie po to go zabiła. Żebyśmy mogli zostać razem.

Niedokładnie o to chodziło, ale brzmiało nieźle. Patrząc z perspektywy czasu, wydaje mi się, że mogliśmy zostać ze sobą, ale wtedy byłem zbyt wściekły za przyprawienie mi rogów, a moje męskie ego doznało potężnego wstrząsu. Problem w tym, że nie tylko przyjaciele, rodzina i dzieci wiedzieli, że Susan pieprzyła się z szefem mafii, ale dzięki tabloidom dowiedział się o tym cały cholerny kraj. „Martwy don zabawiał się z bogatą żoną adwokata” - jakoś tak brzmiał tytuł.

Lepiej byłoby, twierdziła Susan, gdybym to ja zamiast niej zabił Bellarosę. Ale to wcale nie było takie proste. Nawet gdybym się jakoś wywinął od odpowiedzialności, gdyby potraktowano to jako zabójstwo w afekcie, to musiałbym to jeszcze wytłumaczyć rodzinie i przyjaciółom mafiosa.

Tak więc sprzedała dom, a ja stałem się bezdomny, jeśli nie liczyć Yale Club na Manhattanie, gdzie zawsze jestem serdecznie witany. Susan w rzadkiej dla niej chwili przytomności umysłu zasugerowała, że Ethel Allard, która dopiero co owdowiała, przydałoby się towarzystwo w jej stróżówce. To właściwie nie był zły pomysł. Ethel oprócz mojego towarzystwa zyskiwała także parę dolców za przygarnięcie mnie i złotą rączkę, która zastąpiłaby jej niedawno zmarłego męża. Tak więc wprowadziłem się do wolnej sypialni w stróżówce, a swoje rzeczy złożyłem w piwnicy, gdzie przeleżały spokojnie dziesięć lat.

Wiosną następnego roku zawarłem ugodę finansową z moimi rodzicami i za uzyskane pieniądze kupiłem czterdziestosześcioletniego morgana, któremu nadałem imię Paumanok II. Moje członkostwo w Seawanhaka Corinthian Yacht Club zdążyło wygasnąć za obopólną zgodą, więc przenieśliśmy się do powszechnie dostępnej mariny i rozpocząłem moją trzyletnią odyseję.

Odyseusz starał się dotrzeć do domu, ja zaś próbowałem z niego uciec. Odyseusz chciał zobaczyć swoją żonę, być może ja też, ale nic z tego nie wyszło. Powiedziałem Susan, że zawitam do Hilton Head, i prawie mi się udało, ale kiedy zobaczyłem ląd, skierowałem łódź z powrotem na morze, tylko raz obejrzawszy się przez ramię za siebie. Eleganckie rozstanie. Bez żalu.

Zamiast do ognia, rzuciłem nagie zdjęcia Susan z powrotem na stół. Może będzie chciała je odzyskać. Dolałem koniaku do fusów od kawy i wziąłem łyk.

Spojrzałem na duży, ręcznie barwiony, oprawiony w ozdobne ramy portret Ethel i George'a Allardów, wiszący nad kominkiem.

To było ich zdjęcie ślubne zrobione w czasie drugiej wojny światowej. George ma na sobie biały mundur marynarki wojennej, a Ethel białą suknię ślubną z epoki. Ethel była w tamtych czasach ładną dziewczyną; teraz rozumiem, dlaczego dziadek Susan, Augustus, ówczesny pan na Stanhope Hall, zniżył się i zaczął kręcić z jedną ze swoich służących. To było niewybaczalne, zwłaszcza że George walczył w tym czasie na wojnie, broniąc na Pacyfiku Ameryki przed żółtym zagrożeniem. Ale jak sam odkryłem to jako młody chłopak podczas wojny w Wietnamie i jak odkrywam to teraz, wojny burzą konstrukcję społeczną i wzrasta wtedy chęć flirtowania.

Wpatrywałem się w anielską twarz Ethel na zdjęciu. Naprawdę była piękna. I samotna. George znajdował się daleko. A Augustus był bogaty i wpływowy. Zgodnie z opinią całej rodziny nie był jednak takim przebiegłym kutasem jak jego syn, a mój były teść, William. Wydaje mi się, że Augustus był po prostu jurny (to powszechne w rodzinie Stanhope'ów), a patrząc na zdjęcie jego żony, babki Susan, nietrudno było się domyślić, dlaczego zbłądził. Susan odziedziczyła urodę po swojej matce, Charlotte, która mimo podeszłego wieku wciąż jest równie atrakcyjna jak głupia.

Jeśli już jesteśmy przy temacie urody i rozumu, moim dzieciom nie brakuje jednego i drugiego i nie wykazują dość powszechnej u Stanhope'ów tendencji do odchylenia od normy psychicznej. Chętnie powiedziałbym, że dzieci wzięły co najlepsze z mojej rodziny, ale akurat moi rodzice nie są dobrym przykładem zdrowia psychicznego. Wydaje mi się, że zostałem adoptowany. Mam taką nadzieję; codziennie się o to modlę.

Mój ojciec, Joseph, zmarł, kiedy byłem na morzu i dlatego nie przyszedłem na pogrzeb. Matka mi tego nie wybaczyła, ale to u niej nic nowego.

A skoro już mowa o dzieciach, rodzicach i genetyce, Ethel i George mieli jedno dziecko, córkę Elizabeth, miłą, mieszkającą w pobliżu kobiety. Elizabeth zawdzięcza swą urodę matce, ale jest też wystarczająco podobna do George'a, tak że nie muszę się martwić o kolejnych dziedziców Stanhope'ów.

Liczę na to, że moje dzieci odziedziczą część fortuny Stanhope'ów. W końcu należy im się coś za to, że muszą znosić dziadka i babkę. Podobnie zresztą jest ze mną, tyle że sąd mógłby uznać moje roszczenia wobec posiadłości jako zadośćuczynienie za znoszenie obecności w moim życiu tego kutasa Williama - za nieco niepoważne.

W każdym razie mamy do czynienia z prawdziwą historią - moja rodzina



pojawiła się na Long Island trzysta lat temu - i historia ta jest splątana jak bluszcz porastający ściany stróżówki i domu gościnnego - interesująca, gdy patrzeć na nią z oddali, ale mroczna w formie i w dodatku wgryzająca się w cegły i zaprawę.

F. Scott Fitzgerald, gdy siedział niedaleko miejsca, gdzie ja teraz jestem, miał rację, pisząc zakończenie Wielkiego Gatsby'ego: „Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzi pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość”. Amen.

Sięgając po butelkę koniaku, zauważyłem związany gumką plik kartek z życzeniami. Wyjąłem jedną na chybił trafił. Była to standardowa kartka z okazji rocznicy ślubu. Pod wydrukowanymi słowami o miłości, szczęściu i oddaniu Susan odręcznie dopisała: „John, nie masz pojęcia, jak często budzę się rano i po prostu patrzę na ciebie leżącego obok mnie. Będę to robiła do końca życia”.

Zebrałem wszystkie kartki i wrzuciłem do ognia.

Wstałem, przeszedłem do kuchni, nalałem sobie jeszcze kawy, potem wyszedłem tylnymi drzwiami na patio. Widziałem światła w domu gościnnym, tam gdzie kiedyś mieszkałem z żoną i dziećmi. Stałem tak dłuższą chwilę, potem wróciłem i ponownie usiadłem przy stole w jadalni. Wiedziałem, że nie będzie mi lekko, ale nie zdawałem sobie sprawy, że będzie aż tak ciężko.

## ROZDZIAŁ 2

Popijając kawę i koniak, wpatrywałem się dłuższą chwilę w ogień, a moje myśli wędrowały od przeszłości do dnia dzisiejszego.

Pomyślałem, że znalazłem się tutaj częściowo dlatego, że Ethel Allard romansowała z Augustusem Stanhope'em, a częściowo dlatego, że moja żona romansowała z szefem mafii. Jak mawiał pan Bellarosa, kiedy jeszcze żył; „Wyobraź to sobie”.

A teraz, według słów Edwarda - potwierdzonych przez moją córkę Carolyn - Susan, alias mama, pojawiła się przed obliczem pary młodych yuppie i dożyła im nieoczekiwaną ofertę odkupienia domu, przekonując ich, że gdzie indziej będą o wiele szczęśliwsi, a ona, Susan Stanhope Sutter, musi za wszelką cenę wrócić do swoich korzeni.

Jak znam moją żonę, ci ludzie poczuli się tak, jakby ktoś eksmitował ich za to, że wynajęli nieodpowiedniego fachowca do położenia tapet. A może wiedzieli, że pani Sutter zabiła wcześniej szefa mafii, i uznali, że jest to propozycja nie do odrzucenia. Tak czy inaczej, transakcji dokonano i moja była żona powróciła do swojego domu, oddalonego o pięć minut spaceru od mojego tymczasowego miejsca pobytu. Wyglądało to tak, jakby ktoś cofnął zegar o dziesięć lat i uznał, że właśnie taki moment należy zatrzymać w czasie - moment, gdy mieszkaliśmy niedaleko od siebie i żeby się skontaktować, wystarczył telefon, zapukanie do drzwi albo notatka. Ale nie, ten czas już minął i oboje teraz pisaliśmy nowe rozdziały naszego życia.

Na przykład Susan wyszła ponownie za mąż. Szczęśliwcem był, według Edwarda, jakiś stary facet. Z wiekiem cierpliwość staje się coraz większa, a na pewno ten gość jej potrzebował, gdy miał za żonę Susan Sutter.

Edward powiedział także, że facet jest „przyjacielem dziadka i prawdziwym nudziarzem”. Nudny staruszek nazywał się Dan Hannon, mieszkał w Hilton Head i, według Edwarda, całymi dniami grał w golfa i miał trochę kasy, ale nie za wiele, a według Carolyn „mama go lubi, ale nie kocha”. Carolyn dodała jeszcze, że Susan zachowała nazwisko Sutter.

Moim dzieciom wydawało się zapewne, że powinienem to wszystko wiedzieć, na wypadek gdybym któregoś dnia postanowił wybrać się do Hilton Head, zdzielić Dana kijem golfowym w głowę i porwać Susan.

Cóż, zanim się na to zdecydowałem, Dan Hannon zagrał swoją ostatnią partię

golfa i padł martwy przy osiemnastym dołku, próbując w niego bez powodzenia trafić z odległości ośmiu stóp. Edward zrelacjonował mi, że jego partnerzy dokończyli za niego uderzenie, trafili w dołek i dopiero potem wezwali karetkę. Mam wrażenie, że Edward trochę zmyśla.

W każdym razie Susan prawie od roku jest wdową, a według słów Carlyne Susan i jej mężulek zawarli bardzo szczegółową intercyzę i Susan otrzymała tylko pół miliona, co chyba nie jest takim złym wynagrodzeniem za pięć lat małżeństwa, nieważne czy nudnego, czy nie. Ja dzięki intercyzie z Susan Stanhope oszedłem tylko z albumem zdjęć ślubnych. Stanhope'owie to twardzi negocjatorzy.

Zatem znów tu jesteśmy i możemy popatrzeć sobie na światła naszych domów i dym unoszący się z kominów. Ja poza tym widywałem przejeżdżający przez żelazną kutą bramę samochód Susan. Jeździła teraz SUV-em (takie samochody rozpleniły się jak szarańcza podczas mojej nieobecności) i był to chyba lexus. Tak czy owak miał tablice z Karoliny Południowej i stąd wiedziałem, że Susan nadal jest zameldowana w Hilton Head. Być może zamierzała część roku spędzać tu, a część tam. Miałem nadzieję, że więcej tam niż tutaj. Ale w zasadzie, co mnie to obchodzi? Jestem tu tylko przejazdem.

Mój samochód to wynajęty taurus. Trzymam go przed stróżówką, więc Susan wie, kiedy jestem w domu, a mimo to nie wpadła do mnie ze świeżo upieczonymi ciasteczkami.

Ja jej nie śledzę i w ciągu ostatniego tygodnia rzadko widywałem jej samochód mijający bramę. Drugim pojazdem, jaki zauważyłem, był mercedes należący do właściciela posesji, pana Nasima. Dochodzę do wniosku, że Susan nie ma żadnego faceta. Nie zdziwiłbym się, gdyby miała, ale wcale by mnie to nie obeszło.

Jeśli chodzi o moje miłostki, to przez trzy lata podróży dookoła świata byłem zupełnym abstynentem. Nie licząc, oczywiście, pobytów w porcie i tych chwil, kiedy miałem na jachcie damską załogę. Faktycznie byłem zwykłą świnią.

Przypuszczam, że istniało całe mnóstwo złożonych psychologicznych uwarunkowań mojego braku powściągliwości, a wszystkie wiązały się z cudzołóstwem Susan. Poza tym przesycone solą morskie powietrze zwiększało moje libido.

W Londynie znacznie się uspokoiłem, trochę z powodu pracy, która wymagała noszenia garnituru i obyczajnego zachowania, a trochę dlatego, że po sprzedaniu jachtu nie mogłem już wygłaszać gładkich kwestii typu: „Masz ochotę popłynąć ze mną jachtem do Monte Carlo?”

Mimo to przez ostatni rok miałem w Londynie przyjaciółkę. Ale o tym później. Dołożyłem do ognia i odświeżyłem kawę porcją koniaku.

Wracając do byłej pani Sutter, żadne z nas nie zadzwoniło ani nie wpadliśmy na siebie na terenie posiadłości czy we wsi, ale byłem pewien, że spotkamy się na pogrzebie Ethel. Szczerze mówiąc nie spodziewam się, że wpadnie wcześniej, żeby się przywitać. Ona pewnie też nie spodziewała się mojej wizyty.

W tej okolicy rządziła etykieta, dlatego ciekaw byłem, jak na całą tę sytuację zareagowałyby Pani Dobre Wychowanie. „Szanowna Redakcjo, moja żona pieprzyła się z szefem mafii, potem go zastrzeliła my się rozwiedliśmy, wyjechaliśmy do innych stanów i poznaliśmy ludzi, których nie zabiliśmy. Teraz znów jesteśmy sąsiadami, oboje żyjemy samotnie; czy powinienem upiec ciasteczka i zaprosić ją do siebie? A może to ona powinna wyjść z inicjatywą? Podpisano: Zakłopotany z Long Island”.

Pani Dobre Wychowanie mogłaby odpowiedzieć: „Drogi Zakłopotany to dżentelmen powinien odwiedzić damę, oczywiście uprzedzając ją wcześniej telefonicznie lub listownie i upewniając się, że tamtego już na pewno nie ma! Rozmowa powinna dotyczyć spraw lekkich, takich jak ulubione filmy (ale broń Boże nie Ojca Chrzestnego), sport czy hobby (ale nie strzelanie do rzutek). Nie należy także przedłużać wizyty, chyba że planujecie seks. Podpisano: Pani Dobre Wychowanie”.

Chyba oszalałem. Moje dzieci trują mi głowę, żebym do niej zadzwonił. „Spotkałeś się w końcu z mamą?”. Założę się, że jej zadają identyczne pytanie.

Od czasu kiedy dziesięć lat temu opuściliśmy Long Island, widziałem Susan kilka razy - podczas uroczystości ukończenia college'u przez nasze dzieci czy na pogrzebie ciotki Cornellii, która bardzo lubiła Susan. Zawsze w takich momentach byliśmy wobec siebie uprzejmi i serdeczni. Szczerze mówiąc, ona była bardziej przyjaźnie nastawiona do mnie niż ja do niej i miałem wrażenie, że doszła do siebie po rozstaniu ze mną. Ja z kolei... cóż... sam nie wiem. I wcale nie zamierzam tego dociekać.

A skoro już mowa o pogrzebach, poszedłem na pogrzeb Franka Bellarosy, ponieważ... No cóż, właściwie to lubiłem tego faceta. Pomijając fakt, że był kryminalistą, manipulatorem, socjopatycznym kłamcą i kochankiem mojej żony, wcale nie był taki zły. Szczerze mówiąc, był uroczy i charyzmatyczny. Zresztą zapytajcie Susan.

Pozostając jeszcze przy pogrzebach, jedynym, który mógłby mnie podeksytować, byłby pogrzeb Williama Stanhope'a. Ale ostatnio Edward powiedział:

„Dziadek trzyma się całkiem nieźle”. Niestety.

Wziąłem ponownie do ręki stertę zdjęć i zacząłem je przeglądać. Susan naprawdę była piękna i seksowna. A przy tym mądra i zabawna. I, jak sam mówiłem, rozkosznie stuknięta.

Kiedy wpatrywałem się właśnie w jej wyjątkowo seksowne zdjęcie, na którym siedziała nago na grzbiecie Zanzibara, zadzwonił dzwonek u drzwi.

Jak w większości stróżówek, przycisk dzwonka był zamontowany na zewnętrznej ścianie domku, więc ten, kto go nacisnął, musiał przedostać się przez żelazną bramę odgradzającą posiadłość od ulicy. Brama na noc była zamykana; żeby ją otworzyć, trzeba było znać kod albo mieć pilota. Zresztą powinienem coś usłyszeć albo zobaczyć światła, tymczasem niczego wcześniej nie zauważyłem. Tak więc osoba, która dzwoniła do drzwi, musiała przyjść pieszo i to od strony posiadłości. Jedynymi mieszkańcami Stanhope Hall był Amir Nasim, jego żona, służąca, Susan i ja.

Czyli u moich drzwi mógł stać teraz pan Nasim, który przyszedł z towarzyską wizytą albo po to, by poinformować mnie, że dwie minuty temu zmarła Ethel, a ja mam dziesięć minut na opuszczenie stróżówki. A może to była Susan?

Włożyłem fotografie z powrotem do koperty i ruszyłem w stronę niewielkiego przedpokoju. Dzwonek zadzwonił ponownie.

Zerknąłem w wiszące na ścianie lustro, obciągnąłem koszulkę polo i przeczesałem palcami włosy. Nie patrząc przez judasza i nie zapalając lampy na zewnątrz, otworzyłem na oścież drzwi.

W progu stał duch Franka Bellarosy.

### ROZDZIAŁ 3

- Pamięta mnie pan? - zapytał.

To nie był, oczywiście, duch Franka Bellarosy, tylko jego syn, Tony, którego widziałem ostatnio na pogrzebie jego ojca dziesięć lat temu.

Drażnią mnie ludzie, którzy pytają „czy mnie pan pamięta”, zamiast się zwyczajnie przedstawić. Podejrzewałem, że i tak nie była to najbardziej irytująca cecha Tony’ego Bellarosy, a na pewno nie jedyna.

- Owszem, pamiętam - odpowiedziałem i dodałem, żeby nie pomyślał, że tylko zgaduję: - Tony Bellarosa.

Uśmiechnął się i znów dostrzegłem w nim Franka.

- Anthony. Teraz już Anthony. Ma pan chwilę?

Do głowy przyszło mi kilka odpowiedzi, w żadnej z nich nie padało słowo „tak”.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytałem.

Przez chwilę wydawał się zbity z tropu i w końcu zapytał:

- Czy mogę wejść? Och... - Zreflektował się nagle, błędnie tłumacząc sobie mój brak entuzjazmu i dodał: - Może ma pan gościa?

Skinięcie głową i mrugnięcie okiem odesłałoby go do diabła, ale ja nie odpowiedziałem.

- Panie Sutter?

Z reguły nie pozwala się wampirom przekraczać progu własnego domu i takie same reguły powinny obowiązywać, gdy ma się do czynienia z synem zmarłego bossa mafii. Tymczasem z powodów zbyt skomplikowanych i głupich, by się tu nad nimi rozwodzić, powiedziałem:

- Proszę wejść.

Usunąłem się na bok i Anthony Bellarosa wkroczył do stróżówki i mojego życia. Zamknąłem drzwi i zaprowadziłem Anthony’ego do niewielkiego salonu.

Wskazałem mu fotel na biegunach - fotel Ethel - stojący obok pełnego popiołu kominka, a sam usiadłem na wytartym krześle George’a. Nie zaproponowałem żadnego drinka.

Anthony obrzucił szybkim spojrzeniem pokój, zwracając bez wątpienia uwagę na sfatygowane meble, odpadające tapety i wytarty dywan.

Na pewno też sprawdzał, jak zabezpieczony jest dom. Jego ojciec też to robił, bardziej z nawyku niż z powodu paranoi. Frank Bellarosa, kiedy chciał się upewnić, że



nic mu nie grozi, sprawdzał wszystkich obecnych, także kobiety.

U Susan Sutter Frank nie dostrzegł jednak pewnych niepokojących sygnałów. Jeśli miałbym się dłużej zastanawiać nad ostatnimi minutami życia Franka Bellarosa, to pewnie doszedłbym do wniosku, że w krytycznym momencie krew z jego mózgu odpłynęła w dół do tego mniejszego mózgu. To się zdarza. Tyle że w takich sytuacjach istnieje groźba, że reszta krwi może zachlapać cały pokój, jak to się przydarzyło biednemu Frankowi.

- Ładny domek - zauważył Anthony.

- Dziękuję. - W rzeczywistości te wszystkie stróżówki na starych posesjach z zewnątrz wyglądały uroczo, ale w środku można było nabawić się klaustrofobii. Sam nie wiem, jak zdołałem dzielić to mieszkanie z Ethel, nawet tak krótko. Przypominam sobie, że często wychodziłem wtedy z domu.

- Pan tu jakiś czas mieszkał, prawda? - zapytał Anthony.

- Zgadza się.

- A teraz wrócił pan z Londynu, tak?

Ciekaw byłem, skąd to wie.

- Ale ten domek też należy do tego Araba, który kupił całą posiadłość, tak?

- Tak. - I poinformowałem go jeszcze: - On jest Irańczykiem.

- Zgadza się. Pieprzonym Arabem.

- Irańczycy nie są Arabami.

- A kim są?

- Persami.

Poczuł się dezorientowany i zmienił temat

- A pan co? Kupuje ten dom? Wynajmuje?

- Jestem gościem pani Allard.

- Aha! Jak się miewa staruszka?

- Umiera.

- No tak. Czyli bez zmian.

Najwyraźniej prowadził przesłuchanie. Tylko w jakim celu?

- A co będzie, jak umrze?

- Pójdzie do nieba - poinformowałem go.

Uśmiechnął się.

- Tak? A pan dokąd pójdzie?

- Dokąd zechcę. Chyba powinienem jednak sprawdzić, jakie plany ma wobec

stróżówki pan Nasim. Może zechcę ją wynająć. Ale ceny wynajmu i kupna nieruchomości były na Złotym Wybrzeżu astronomiczne, a wzrosły jeszcze bardziej po jedenastym września, kiedy to tysiące ludzi zaczęło opuszczać miasto, cóż... po prostu ze strachu.

- Panie Sutter? Miałem na myśli to, jak długo pan zamierza tu zostać.

- Dopóki ona nie umrze. - Przyjrzałem mu się w bladym świetle stojącej lampy.

Można było chyba uznać, że Anthony Bellarosa podoba się kobietom. Podobnie jak ojciec był nieco przyciężkawy - kobiety nazwałyby to zmysłowością - miał wydatne usta i czarne błyszczące oczy. Cerę miał po ojcu oliwkową - jego matka, Anna, była blada - a starannie zaczesane włosy, podobnie jak u Franka, były ciemne i falujące. Nie miałem wątpliwości, że Anthony, idąc w ślady ojca, miał powodzenie u kobiet.

Ubrany był bardziej zwyczajnie, niż zwykł to robić jego ojciec. Frank nosił zawsze sportową marynarkę, wyjściowe spodnie i szyte na miarę koszule. Wszystko to było, oczywiście, w złym guście, ale przynajmniej don Bellarosa miał swój styl. Kiedy jechał do miasta, wkładał szyte na miarę jedwabne garnitury, a tabloidy nazywały go Dandys Don. Dopiero później zyskał przydomek Martwy Don.

- Więc kiedy ona umrze, pan wyjedzie?

- Pewnie tak.

Anthony miał na sobie obcisłe džinsy, okropną hawajską koszulę i czarne buty do biegania. Nałożył także czarną wiatrówkę, może dlatego, że wieczór był chłodny, a może po to, by ukryć pod nią broń. Jak widać, podczas mojej nieobecności w Ameryce zasady dotyczące stroju diabli wzięli.

- Ale nie wie pan, dokąd wyjedzie. Więc może pan zostanie? - ciągnął.

- Może.

Akcent Anthony'ego, podobnie jak jego ojca, nie był zupełnie typowy dla klasy niższej, ale słyhać było w jego głosie ulice Brooklynu. Anthony spędził jakieś sześć lat w akademii wojskowej La Salle, katolickiej szkole na Long Island, której uczniami byli zarówno sławni ludzie, jak i ci zupełnie niesławni, jak don Bellarosa. Trudno było nie zauważyć akcentu wyniesionego z St. Paul, a i sześć lat spędzonych wcześniej w szkole przygotowawczej wygładziło nieco chropawe spółgłoski.

- Więc pan i ta starsza pani jesteście coś jakby przyjaciółmi?

Denerwowały mnie trochę te osobiste pytania, ale jako adwokat zdawałem sobie sprawę, że pytania nieraz mówią dużo więcej niż odpowiedzi.

- Tak, jesteśmy starymi przyjaciółmi - odpowiedziałem.

W rzeczywistości Ethel nienawdziła mnie, ale teraz, w dawno przebrzmiałym świecie ziemiaństwa i służby, powiązań starych rodów, podziałów klasowych i *noblesse oblige* przestawało mieć większe znaczenie, kto był panem, a kto sługą, kto kogo lubił, a kogo nienawdził. Wszystkich nas łączy wspólna historia i silna nostalgia za czasami, które podobnie jak Ethel umierały, choć jeszcze nie umarły. Zastanawiałem się, czy potrafię to wszystko wyjaśnić Anthony'emu Bellarosie, ale nie wiedziałem, od czego zacząć.

- Więc opiekuje się pan tym miejscem pod jej nieobecność?

- Zgadza się.

Anthony wskazał ruchem głowy otwarte drzwi do jadalni, gdzie na stole piętrzył się stos papierów.

- Ma pan tu mnóstwo roboty. - Uśmiechnął się i zapytał: - Czy to testament staruszki?

Faktycznie znalazłem jej testament, więc odpowiedziałem:

-Tak.

- Okazała się milionerką?

Nie odpowiedziałem.

- Zostawiła coś panu?

- Tak, mnóstwo roboty.

Roześmiał się.

Jak już wspominałem, reprezentuję Ethel w sprawie jej nieruchomości, a jej dobra doczesne powinny przypaść w spadku wcześniej wspomnianej córce Elizabeth. Testament Ethel nie przewidywał dla mnie niczego i nie miałem wątpliwości, że taka właśnie była jej wola.

- Panie Sutter? Co pan robi w Londynie?

Bujał się w fotelu, a ja pochyliłem się i zapytałem:

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?

- Cóż... po prostu rozmawiamy.

- No dobrze, w takim razie teraz ja zadam kilka prostych pytań. Skąd pan wie, że pani Allard umiera?

- Ktoś mi o tym wspomniał.

- A skąd wiedział pan, że mieszkam w Londynie?

- Słyszysz się to i owo.

- A może tak bardziej szczegółowo, panie Bellarosa?

- Anthony. Proszę mi mówić Anthony.

Bardzo wyraźnie to podkreślił.

Przyjrzałem się jego twarzy. Anthony miał siedemnaście, może osiemnaście lat i był uczniem La Salle, kiedy moja żona zamordowała jego ojca. Teraz więc był przed trzydziestką, ale w przeciwieństwie do większości amerykańskich chłopców, którzy potrzebują długiego czasu na dojrzewanie, widać było po jego twarzy, że jest już mężczyzną, a przynajmniej niewiele mu brakuje.

Przypomniałem sobie także, że zawsze był Tonym, ale to zdrobnienie brzmiało zbyt niepoważnie i dlatego przemianował się na Anthony'ego.

W tej chwili przede wszystkim interesowało mnie, czy przejął interesy po ojcu.

Najbardziej fundamentalną zasadą amerykańskiego prawa karnego jest to, że człowiek jest uważany za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy. W tym wypadku doskonale pamiętałem, co Frank Bellarosa mówił o swoich synach. „Mój najstarszy chłopak, Frankie, nie ma głowy do rodzinnych interesów, więc wysłałem go do college'u, a potem kupiłem mu coś własnego w Jersey, żeby się urządził. Tommy to ten, który studiuje w Cornell. Chce prowadzić duży hotel w Atlantic City albo Vegas. Urządę go razem z Frankiem w Atlantic City. Z Tonym, tym, który uczy się w La Salle, jest inna sprawa. On chce wejść do interesu.

Spojrzałem na Anthony'ego, wcześniej znanego jako Tony, i przypomniałem sobie, z jaką dumą Frank mówił o swoim najmłodszym: „Ten mały szczył chce mnie kiedyś zastąpić. I wiesz co? Jeśli będzie tego pragnął dostatecznie mocno, osiągnie to”.

Podejrzewałem, że Tony osiągnął to, co zamierzał, i był teraz donem Anthonym Bellarosa. Nie miałem jednak pewności.

- Czy mogę do pana mówić John? - zapytał.

- To znów jesteś Tonym. - Żarty z przypuszczalnego bossa mafii to pewnie kiepski pomysł, ale traktowałem w ten sam sposób jego ojca, który doceniał moją pogardę dla wazeliniarstwa. W każdym razie musiałem ustalić porządek dziobania, czyli kto tu jest ważniejszy.

Anthony wysilił się na uśmiech i odpowiedział:

- Zapamiętam, że mam się do pana zwracać „panie Sutter”.

Nie odpowiedziałem na to, w zamian zadałem pytanie:

- Co mogę dla ciebie zrobić, Anthony?

- No cóż, przepraszam, że tak wpadłem, ale akurat tędy przejeżdżałem,

zobaczyłem światła, a jak już mówiłem, słyszałem, że pan wrócił, brama była zamknięta, więc wszedłem przez... jak to się mówi? Furtkę?

- Tylną furtkę.

- O właśnie. Była otwarta. Powinien pan ją zamykać.

- Nie jestem dozorcą.

- Pewnie, pewnie. No więc pomyślałem, że wpadnę.

Miałem wrażenie, że jego decyzja była bardziej przemyślana.

- Mam nadzieję, że nie zablokowałaś wjazdu?

- Nie. Mój kierowca zatrzymał samochód trochę dalej. A propos, pamięta pan Tony'ego? Kierowcę mojego ojca?

- Pamiętam, że miał na imię Anthony.

Uśmiechnął się.

- Tak. Zrobiliśmy małą zamianę. Żeby uniknąć niezręczności.

- Jasne.

Założyłem się, że kierowca zabitego bossa niewiele miał do powiedzenia, kiedy zaproponowano mu zmianę imienia. Myśląc tak o rodzinnym interesie, ocalałych pracownikach i regułach dziedziczenia, przypomniałem sobie, że był jeszcze jeden członek rodziny, który chciał przejąć interes Franka Bellarosy, więc pilnie obserwując reakcje Anthony'ego, zapytałem:

- A jak się miewa wujek Sal?

Anthony Bellarosa spojrział na mnie i nie odpowiedział.

Podchwyciłem jego spojrzenie.

Ostatni raz widziałem Salvatore'a D'Alessio, pseudonim Sally Da-Da, na pogrzebie Franka. Nim moja żona położyła Franka Bellarosą trupem, ktoś inny próbował tego samego, a głównym podejrzanym był wujek Sal. Zdarzyło się to w restauracji w Little Italy, gdzie niestety siedziałem i ja, i to tak blisko Dandy Dona Bellarosy i jego ochroniarza Vinniego, że obryzgała mnie krew Vinniego. Tamten wieczór nie należał do najbardziej udanych.

Wujka Sala oczywiście nie było na miejscu zamachu, ale pewnie to jego podpis widniał na wyroku śmierci na Franka. Osobiście nie lubię, gdy w rodzinie dochodzi do sprzeczek, i choć znam problem z autopsji, to z tego, co wiem, nikt z Sutterów ani Stanhope'ów nie wydawał wyroku na żadnego członka rodziny. Choć... może to nie jest taki zły pomysł. Dałbym zatrudnienie Anthony'emu Bellarosie. Oczywiście, żartuję. Naprawdę.

- Miewa się dobrze - odpowiedział w końcu Anthony.
- Przekaż mu pozdrowienia, kiedy się z nim zobaczysz.
- Dobrze.

Są w życiu takie chwile, których się nie zapomina, a te wiosenne i letnie miesiące, które poprzedzały śmierć Franka w październiku i moje odejście od Susan, pełne były widoków i dźwięków, które na trwałe wryły się w moją pamięć. Oprócz roztrzaskanej przez pocisk ze strzelby głowy Vinniego nie zapomnę widoku młodego Anthony'ego Bellarosy na pogrzebie Franka. Chłopak trzymał się nadzwyczaj dzielnie - znacznie lepiej niż jego matka, Anna, która cały czas zawodziła i co chwila mdlała. W jego oczach widziałem coś więcej niż tylko żal. Widziałem, że patrzył na wujka Sal z takim natężeniem, że ten dorosły mężczyzna nie mógł spojrzeć mu prosto w oczy. Było dla mnie jasne, podobnie jak dla wszystkich zgromadzonych, że chłopak wie, kto próbował zabić jego ojca. Jasne też było, że któregoś dnia zechce wyrównać rachunki. Dlatego bardzo się zdziwiłem, słysząc, że wujek Sal wciąż jeszcze żyje i miewa się dobrze, i że nie zabił wcześniej Anthony'ego.

Jednakże, jak się nauczyłem podczas mojej krótkiej znajomości z donem Bellarosą i jego rozliczną rodziną, ci dżentelmeni wykazywali się wyjątkową cierpliwością i rozważą, kiedy chodziło o decyzję, kogo i kiedy należy rozwalić.

A jeśli już o to chodzi, interesowało mnie, jakimi uczuciami Anthony pała do Susan Sutter, której udało się to, co spieprzył wujek Sal. Teraz, kiedy Susan wróciła i znajdowała się jakieś czterysta jardów stąd, ciekaw byłem... Ale może jednak lepiej nie poruszać tego tematu, więc uderzyłem w nutę rodzinną i zapytałem:

- A jak się czuje twoja matka?
- Dobrze. Wróciła do Brooklynu. Powiem jej, że pana spotkałem.
- Pozdrów ją ode mnie.
- Dobrze. Ona pana lubiła.
- Z wzajemnością. - Na naszej swobodnej konwersacji ciążył oczywiście fakt, że moja była żona pozbawiła Annę Bellarosę męża, a Anthoay'ego i jego dwóch braci - ojca.
- A twoi bracia? Frankie i Tommy?
- Wszystko u nich w porządku. A jak pańskie dzieci? - zapytał.
- Świetnie - odparłem.
- To dobrze. Pamiętam je. Fajne dzieciaki.
- Dziękuję.



Grace Lane, droga, która biegnie wzdłuż posiadłości Stanhope Hall i Alhambra, jest drogą prywatną i kończy się ślepo na brzegu cieśniny Long Island, więc Anthony Bellarosa nie przejeżdżał nią ot, tak sobie. Miałem wrażenie, że wciąż tu gdzieś mieszka, co nie byłoby dobrą wiadomością. Żeby pozbyć się wątpliwości, zapytałem wprost:

- Gdzie mieszkasz?

- W dawnej posiadłości ojca - odpowiedział. - Zbudowano tam kilka domów i jeden z nich kupiłem. Osiedle nazywa się Alhambra Estates i jest podzielone na pięcioakrowe działki.

Przypomniałem sobie, że w ramach ugody z rządem za niezapłacone podatki Frank musiał zrzec się Alhambry. Kiedy po raz ostatni tam byłem, tuż po śmierci Franka, buldożery rozwalaly właśnie potężną willę, a teren dzielono na działki budowlane, częściowo po to, by rząd mógł więcej na tym zarobić, a częściowo ze zwykłej złośliwości.

Faktycznie, kilka razy ostatnio przejeżdżałem obok Alhambry i rzuciłem okiem przez kutą żelazną bramę na nowe domy, które przypominały małe Alhambry z czerwonymi spadzistymi dachami i tynkowanymi ścianami. Wyglądało to tak, jakby ruiny starej rezydencji odżyły w zwielokrotnionych miniaturkach. Ciekawe tylko, czy przetrwała sadzawka i posąg Neptuna.

A teraz dowiedziałem się, że jedna z tych willi należała do Anthony'ego Bellarosa. Nie wiedziałem tylko, czy traktować to w kategoriach ironicznych, czy symbolicznych.

Anthony rozpamiętywał przez chwilę swoje utracone dziedzictwo i w końcu poinformował mnie:

- Pieprzeni federalni ukradli posiadłość.

Zdumiewa mnie, jak ludzie (między innymi moja żona) potrafią zakłamywać historię, zwłaszcza tę, której byłem naocznym świadkiem.

Anthony mógł nie znać okoliczności, jakie otaczały jego utracone prawa przysługujące z urodzenia, ale jeśli miał choć trochę oleju w głowie i wolę zmierzenia się z faktami, powinien się domyślić, dlaczego tak się stało.

Najwyraźniej brakowało mu i oleju, i woli, bo ciągnął:

- Pieprzeni federalni ukradli posiadłość i wyrzucili moją rodzinę na bruk.

- Twój ojciec dał Alhambrę rządowi - poinformowałem go zgodnie z moją najlepszą wiedzą.

- Tak, bo przystawili mu pistolet do głowy.

Powiniennem jakoś zakończyć tę jego niezapowiedzianą wizytę, ale on najwyraźniej miał jeszcze do omówienia kilka spraw, a ja... cóż... ja martwiłem się o Susan. W końcu była matką moich dzieci. Przyjrzałem się uważnie Anthony'emu. Nie wyglądał na mordercę, ale jego ojciec też nie. Ani, na przykład, Susan. Mogę się założyć, że Frank był zaskoczony, gdy Susan wyciągnęła broń i wpakowała mu trzy kulki.

Anthony rozwijał swój temat:

- Użyli pieprzonej ustawy RICO i zgarnęli wszystko, co wpadło im w ręce po jego... śmierci. - Potem Anthony użył historycznego porównania. - Tak samo postępowali cesarze, kiedy umierał jakiś szlachetnie urodzony Rzymianin. Oskarżali go o coś i konfiskowali jego majątek.

Właściwie nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby porównywać Franka Bellarosę do szlachetnie urodzonego Rzymianina, ale potrafiłem sobie wyobrazić Departament Sprawiedliwości i IRS w roli zachłannego, potężnego imperatora.

W końcu straciłem cierpliwość i powiedziałem:

- Ustawa o zwalczaniu przestępczości zorganizowanej jest bardzo surowa i nie zawsze właściwie stosowana, ale...

- Jest do dupy! A co z właściwą procedurą prawną?

- Jest pan prawnikiem, panie Bellarosa?

- Nie, ale...

- A ja jestem. Ale zapomnijmy teraz o prawie. Tak się składa, że wiem z pierwszej ręki, że twój ojciec zgodził się przekazać część swojego majątku Departamentowi Sprawiedliwości w zamian za... - Zorientowałem się, że Anthony Bellarosa wie, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, i wcale nie chce usłyszeć, że jego ojciec złamał jedyne znaczące prawo - omertę - znowę milczenia.

Skoro więc mieliśmy zastosować się do zasady, że o umarłym mówi się albo dobrze, albo wcale, powiedziałem Anthony'emu:

- Twój ojciec był winien zaległe podatki... Ja byłem jego doradcą podatkowym ... Postanowił oddać część swojego majątku Departamentowi Skarbu, w tym, niestety, także Alhambrę. - Frank musiał zrzec się także tej posiadłości, Stanhope Hall, którą nieco wcześniej kupił, jak sądzę, za namową Susan, od mojego zidiociałego byłego teścia, Williama. Nie miałem pojęcia, czy Anthony o tym wiedział, nie chcąc go jeszcze bardziej przygnębiać, dodałem tylko: - To nie był taki zły układ.

- To był rabunek.

W rzeczywistości to była kapitulacja i walka o przetrwanie. Przypomniałem sobie, co powiedział mi przebywający w areszcie domowym Frank Bellarosa, by usprawiedliwić swoją współpracę z federalnymi. „Stara reguła milczenia jest martwa. Nie ma już prawdziwych mężczyzn, nie ma bohaterów i facetów, którzy chodzą z podniesionymi głowami. Nie ma ich po żadnej stronie barykady. Wszyscy, policjanci i złodzieje, jesteśmy papierowymi, należącymi do klasy średniej facetami i kiedy nas przycisną, idziemy na układy, żeby ratować własny tyłek, pieniądze i życie. Gotowi jesteśmy zdradzić każdego i cieszymy się, że dają nam szansę, żebyśmy mogli to zrobić”.

Frank Bellarosa podsumował swoje nieproszone wyznanie słowami: „Siedziałem kiedyś w kryminale, mecenasie, i to nie jest miejsce dla takich ludzi jak my. Ono jest dla nowego typu przestępców, dla ludzi o ciemniejszym kolorze skóry, dla twardzieli”.

Anthony spojrział na mnie z wahaniem i odezwał się:

- Mówiło się... wie pan, mój ojciec miał wrogów... i niektórzy mówili, że on... sprzedawał informacje rządowi. - Spojrział na mnie ponownie, a kiedy nie odpowiadałem, zakończył: - Teraz widzę, że to były tylko problemy podatkowe. Już kiedyś wcześniej go na tym przyskrzynili.

- Zgadza się.

Uśmiechnął się.

- Zupełnie jak Ala Capone. Nie mogli go dopaść za przemyt, to zamknęli go za podatki.

- Tak było.

- Podsumowując, mecenasie, to pan go namówił, żeby zwrócił pieniądze.

- Tak. To lepsze niż zarzuty kryminalne.

W rzeczywistości to Frank Bellarosa mnie pomógł uniknąć oskarżenia. Jak później odkryłem, Frank sprokurował oskarżenie przeciwko mnie, a potem pomógł mi się z tego wywinąć. W ten sposób stałem się jego dłużnikiem i musiałem się odwdziaczyć, biorąc go w obronę przed zarzutem o morderstwo. Nic dziwnego. Frank wzorował się na Niccolo Machiavellim, potrafił cytować całe fragmenty *Księcia* i kto wie, czy nie napisał dalszego ciągu.

- W takim razie, kiedy federalni zabierali mu majątek, nie miało to nic wspólnego z oskarżeniem o morderstwo? - zapytał Anthony.

- Nie. - I była to częściowo prawda.

Jak na ironię największy przestępca Ameryki, Frank Biskup Bellarosa, nigdy nie został skazany za morderstwo. Niewątpliwie niejedno miał na sumieniu przez te dwadzieścia czy trzydzieści lat przestępczej działalności, ale oskarżenie o zamordowanie kolumbijskiego handlarza narkotyków było spreparowane przez prokuratora okręgowego, Alphonse'a Ferragamo, który miał z Bellarosa osobiste porachunki.

- Był pan jednym z adwokatów ojca w tej sprawie o morderstwo, prawda?

- Zgadza się.

Właściwie byłem jego jedynym adwokatem. Tak zwani adwokaci mafii stali na uboczu, podczas gdy John Whitman Sutter z Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds stanął nieoczekiwanie przed obliczem sądu federalnego, próbując wyciągnąć bossa mafii za kaucją. Frank naprawdę nie lubił więzienia.

- Wie pan, że FBI znalazło facetów, którzy kropnęli tego Kolumbijczyka?

- Tak, wiem o tym.

Dowiedziałem się kilka lat temu od córki, która jest asystentką prokuratora okręgowego w Brooklynie, i cieszyła się, że broniłem niewinnego człowieka. Słowa „niewinny” zwykle nie powinno się stosować do opisu Franka Bellarosa, ale w tym konkretnym wypadku miałem rację i byłem uratowany. Na swój sposób.

Anthony poinformował mnie, że „ta kanalia Ferragamo zawziął się na ojca”.

- Zgadza się.

Faktem było, że prokurator południowej części stanu Nowy Jork chciał ustrzelić najgrubszą zwierzynę na swoim łowisku - Franka Bellarosę, nie zważając na środki. Oskarżenie było fałszywe, ale w końcu Alphonse Ferragamo, niczym szakal czyhający na wielkiego bizona, i tak go dopadł.

Anthony kontynuował swoją przemowę.

- Żadne z oskarżeń tej kanalii się nie potwierdziło. Wszystko było ukartowane. To była sprawa osobista. Wendeta.

- Zgadza się.

Ale był to także biznes. Interesy Franka przeciwko interesom Alphonse'a. Don Bellarosa był cierniem w oku prokuratora okręgowego. To była typowa rozgrywka pomiędzy Włochami. Z drugiej strony Alphonse Ferragamo nie mógł pozwolić, żeby najpotężniejszy boss mafii chodził na wolności, mieszkał w rezydencji, jeździł luksusowymi samochodami i jadał w restauracjach, na które Ferragamo nie mógł

sobie pozwolić. Tak, to rzeczywiście była sprawa osobista.

W końcu Ferragamo, używając mniej lub bardziej legalnych sposobów, wbił zęby w jaja wielkiego bizona i Frankowi Bellarosie pozostało tylko błagać o litość.

W naszej naturze leży idealizowanie osób wyjętych spod prawa: Bihyego Kida, Jesse Jamesa, wspomnianego wcześniej Ala Capone i tak dalej. Kiedy świętoszkowaty wymiar sprawiedliwości wreszcie ich dopadnie, mamy co najmniej mieszane uczucia. Dandy Don Bellarosa, pseudo Biskup, był ulubieńcem mediów, dostarczał całemu społeczeństwu sporej dawki rozrywki i był po prostu sławny. Kiedy więc do opinii publicznej dotarła informacja, że przebywa w areszcie domowym w swojej rezydencji na Long Island i rozpoczął współpracę z Departamentem Sprawiedliwości, wielu ludzi nie mogło w to uwierzyć, a pozostali poczuli się w jakiś sposób oszukani. Na pewno oszukani i zdradzeni poczuli się jego najbliżsi współpracownicy. I zrobili się bardzo nerwowi.

Ale nim Frank Bellarosa zdążył się pojawić w sądzie jako świadek koronny, jego reputację uratowała Susan Sutter, która go ukatrupiła. Śmierć z ręki zameężnej kochanki, rudowłosej piękności z towarzystwa, dodała nowy, ciekawy element do jego pośmiertnej legendy.

Mąż kochanki bossa mafii (czyli ja) także miał dobrą prasę. Nie zrekompensowało to jednak tego, co przeżyłem.

O dziwo, Susan nie była przez tabloidy przedstawiana w korzystnym świetle. Kiedy stan Nowy Jork wycofał stawiany jej zarzut zabójstwa z premedytacją świadka koronnego, rozległy się powszechne głosy oburzenia.

Byłem wtedy na morzu i spora część tej kampanii medialnej mi umknęła. Susan w tym czasie wyprowadziła się do Hilton Head. Nowojorska prasa szybko przestaje interesować się ludźmi, którzy nie mieszkają w najbliższym otoczeniu miasta.

Żeby oddać sprawiedliwość, należy zauważyć, że osobami, które najbardziej ucierpiały na całym tym zamieszaniu, była rodzina Bellarosy. Stali się niewinnymi ofiarami. Anthony był teraz dorosłym mężczyzną, ale kiedy stracił ojca, chodził jeszcze do szkoły.

- Znałem twojego ojca wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że zrobił to, co musiał... żeby pozbyć się federalnych i zaopiekować się żoną i dziećmi.

Anthony nie odpowiedział, a ja wykorzystałem jego milczenie i zmieniłem temat. Na palcu miał obrączkę, więc go zapytałem:

-Jesteś żonaty?

- Tak. Mam dwoje dzieci.

- Świetnie. Mężczyzna powinien mieć żonę. Dzięki temu rzadziej wpada w kłopoty.

Nie wiadomo dlaczego uznał, że to zabawne.

- Czym się zajmujesz? - zapytałem go, nie owijając w bawełnę.

Odpowiedział bez wahania:

- Przejąłem firmę ojca. Bell Enterprises. Zajmujemy się transportem i magazynowaniem, wywozem śmieci, wynajmem limuzyn, ochroną... i tak dalej.

- A kto przejął pozostałe interesy ojca?

- Nie było żadnych innych interesów, panie Sutter.

- Oczywiście. - Spojrzałem na zegarek.

Anthony wcale nie zamierzał wychodzić.

- Ojciec powiedział mi kiedyś, że pan uosabia najlepsze połączenie rozumu i jaj.

Rzecz jasna jak na nie-Włocha.

Nie skomentowałem tego, bo sam nie wiedziałem, czy cieszyć się z tego, czy nie. Owszem był to komplement (zwłaszcza ta część o nie-Włochu), ale z czyich on padł ust!

Anthony, składając mi wizytę, miał na pewno inny cel, niż tylko wspomnienie o przeszłości czy przywitanie sąsiada. Czułem, że kroi się jakieś zajęcie. Kiedy ostatnio podjąłem się pracy dla Bellarosy, zrujnowałem sobie życie, więc teraz już niczego się nie obawiałem.

Zacząłem się podnosić z fotela, a Anthony szybko rzucił:

- Chciałbym zająć panu jeszcze pięć minut.

Usiadłem z powrotem.

- Przejdź, proszę, do rzeczy.

Anthony pogrążył się w zamyśleniu, a ja miałem okazję mu się lepiej przyjrzeć. Nie miał w sobie nic z przywódczej pozy swojego ojca, ale nie był też mięczakiem próbującym wejść na siłę w jego rolę. Anthony był jeszcze nie do końca ukształtowanym produktem swojego środowiska. Odnosiłem poza tym wrażenie, że stara mi się pokazać z lepszej strony, a to oznaczało, że czegoś ode mnie chce.

W końcu odezwał się.

- Rozpytywałem o mojego ojca wśród przyjaciół i rodziny. Wszyscy się dobrze wyrażali, ale pomyślałem sobie, że skoro on tak pana szanował, to... może pan powie

mi coś, o czym pozostali nie wiedzą. Rozumie mnie pan?

Zdaję sobie sprawę, że ludzie chcą usłyszeć dobre rzeczy o swoich zmarłych bliskich. Ten chłopak wyraźnie idealizował swojego ojca i przyszedł tu, żeby biały anglosaski protestant z dyplomem powiedział o nim coś miłego. Skąd w takim razie to poczucie, że jestem na rozmowie w sprawie pracy?

- Znałem go tylko... cóż... sześć miesięcy - odparłem.

- Tak, ale...

- Zastanowię się.

- Okay. Proszę się także zastanowić, jak mam się zrewanżować za to, co pan zrobił.

- A co zrobiłem?

- Uratował mu pan życie.

Nie odpowiedziałem.

- Tamtej nocy u Giulia. Kiedy do niego strzelano. Powstrzymał pan krwotok.

O czym ja wtedy myślałem? Chodzi mi o to, że już wtedy wiedziałem, że pieprzy moją żonę. Ale chodziło nie tylko o to. Lepiej nie wtrącać się w porachunki mafijne. Ktoś, a w tym wypadku Salvatore D'Alessio, zapłacił ciężkie pieniądze za głowę Franka Bellarosy, a ja wszystko popsulem. Frank, kiedy wyzdrowiał, zrobił nawet aluzję, że jego szwagier, pan D'Alessio, nie darzy mnie sympatią. Ciekaw byłem, czy zachował urazę do dzisiaj. A może wybaczył mi po tym, jak moja żona zastrzeliła Franka? Może powinienem poprosić Anthony'ego, żeby zapytał o to wujka. A może lepiej nie?

- Panie Sutter? Uratował mu pan życie.

- Zrobiłem tylko to, co zrobiłby każdy, kto zna się choć trochę na udzielaniu pierwszej pomocy. Niczego nie jesteś mi winien.

- Będę się lepiej czuł, jeśli się odwzajemnię.

Doskonale pamiętam, jak odwzajemniał mi się Frank i wcale mi to nie wychodziło na dobre. Byłem pewien, że wdzięczność Anthony'ego też do niczego dobrego nie prowadzi, dlatego odpowiedziałem:

- Okazało się, że uratowałem życie twojego ojca tylko po to, by mogła go później zabić moja żona.

Anthony był wyraźnie zaskoczony; nie spodziewał się chyba, że poruszę temat przyczyn śmierci jego ojca. Frank Bellarosa nie zmarł naturalną śmiercią, chyba że w jego świecie za taką się uważa zastrzelenie przez wkurzoną kochankę.

Żeby to lepiej wyjaśnić, dodałem:

- Twój ojciec pieprzył moją żonę. Sądzę, że o tym wiedziałeś.

Milczał chwilę.

- Tak... to znaczy... tak było napisane w papierach.

- A wiesz, że ona tu wróciła?

- Tak, wiem.

- I co?

Spojrzał mi prosto w oczy i odpowiedział:

- Sądzę, że powinna trzymać się stąd z daleka.

- Ja też tak uważam. A jednak tu jest - Nasze spojrzenia się spotkały. - Mam nadzieję, że nie będzie żadnych problemów, Anthony.

- Gdyby miały być jakieś problemy, nie miałyby znaczenia, czy mieszka tutaj, czy na księżycu. *Capisce?*

Teraz byłem już pewny, że rozmawiam z młodym bossem.

- Właśnie taką przysługę możesz mi wyświadczyć.

Zastanowił się chwilę i w końcu powiedział:

- Nie wiem, co między nimi zaszło, ale to była ich osobista sprawa. A sprawami osobistymi pomiędzy mężczyzną i kobietą... nie zajmujemy się. Nie ma problemu.

Przypomniałem sobie, że kiedy Frank Bellarosa mówił, że nie ma problemu, to właśnie był problem. Na razie porzuciłem ten temat, postanawiając wrócić do niego w przyszłości. Co prawda Susan nie wyświadczała mi ostatnio żadnych uprzejmości, ale jak już wcześniej powiedziałem, była matką moich dzieci. Zamierzałem zwrócić na to uwagę Anthony'emu, ale w porę zdałem sobie sprawę, że przecież ona pozbawiła go ojca. Naprawdę dość już miałem snucia wspomnień, więc wstałem i powiedziałem:

- Dzięki, że wpadłeś.

Anthony podniósł się i ruszył w stronę przedpokoju. Położyłem rękę na klamce, ale on nie podszedł do drzwi.

- Widział się pan już z żoną? - zapytał.

- Z byłą żoną. Nie, jeszcze nie.

- Jak pan ją spotka, proszę jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Nie odezwałem się, choć pomyślałem, że Susan Stanhope Sutter w ogóle się nie zastanawiała, wracając tu, gdzie zastrzeliła szefa mafii. A teraz już się pewnie dowiedziała, że Anthony mieszka na terenie dawnej Alhambry. Może nawet zamierzała zadzwonić do niego z kondolencjami i przeprosić, że nie przyszła na



pogrzeb swojego kochanka. To wcale nie był żart; Susan miała to, powszechne wśród przedstawicieli klasy wyższej, przeświadczenie, że nawet gdy strzela się do człowieka, nie można zapomnieć o uprzejmości wobec jego przyjaciół i rodziny.

- Może któregoś wieczoru wybierzemy się na kolację - zaproponował Anthony.

- Kto?

- My.

- Po co?

- Ot, tak. Żeby pogadać.

- O czym?

- O moim ojcu. On naprawdę pana szanował.

Nie byłem pewien, czy czułem to samo wobec Bellarosy. Nie, on nie był wcielonym złem. Był dobrym mężem i ojcem, jeśli nie liczyć jego zajęć pozamażeńskich i tego, że wciągnął do organizacji swojego syna. Byłby też z niego dobry przyjaciel, gdyby nie kłamał i nie manipulował, że o pieprzeniu mojej żony nie wspomnę. Miał także poczucie humoru i śmiał się z moich dowcipów, co było dowodem jego inteligencji. Ale czy go szanowałem? Nie. Po prostu go lubiłem.

- Ojciec panu ufał - dodał Anthony.

Anthony naprawdę chciał się dowiedzieć czegoś więcej o ojcu, ale chciał też dowiedzieć się więcej o mnie i zrozumieć, dlaczego Frank tak wysoko mnie cenił. Co będzie potem? Złoży mi zapewne propozycję, którą powinienem odrzucić. Czy byłem zbyt egotyczny, czy może nadmiernie przeczulony?

Anthony widział moje niezdecydowanie i powiedział:

- Proszę mi oddać tę przysługę.

Wiedziałem, że ci ludzie bardzo poważnie traktują słowo „przysługa”, niezależnie od tego, czy ją oddają, czy otrzymują. Z drugiej strony, każda przysługa wymaga potem zrewanżowania się, jak się o tym przekonałem dziesięć lat temu. Jednym słowem, jakiegokolwiek dalsze kontakty z Anthonym Bellarosą nie mogły dla mnie oznaczać niczego dobrego.

Jeśli jednak go zlekceważę, mogłoby to się źle skończyć dla Susan. Nie powinienem również zapominać o Salvatore D'Alessio. Frank mi kiedyś powiedział, że „włoski alzheimer jest wtedy, gdy zapominasz o wszystkim i wszystkich prócz tych, którzy cię wkurzyli”.

Tak czy inaczej, budziły się wciąż jeszcze we mnie jakieś wspomnienia, które wymagały wyjaśnienia, i pewnie dlatego popełniłem drugi tego wieczoru błąd,

mówiąc:

- W porządku, niech będzie kolacja.
- Świetnie. - Uśmiechnął się i zaproponował:
- Może u Giulia?

Wcale nie miałem ochoty pojawiać się w restauracji w Little Italy, gdzie Franka dosięgły trzy kule. I nie chodziło mi nawet o złe wspomnienia; obawiałem się, że właściciel i cała obsługa nie będą szczęśliwi, widząc mnie u boku Juniora.

- A może jakaś chińska restauracja?
- Okay. Może być jutro?

Był poniedziałek, a ja potrzebowałem czterdziestu ośmiu godzin, żeby się opamiętać, dlatego zaproponowałem:

- W środę. W Glen Cove jest taka knajpka, nazywa się Wong Lee. Powiedzmy o ósmej.

- Przyjadę po pana.
- Spotkamy się na miejscu.
- Okay. Będziemy tylko my dwaj. I proszę nie wspominać nikomu o miejscu i czasie spotkania - przypomniał mi.

Podniosłem wzrok, nasze spojrzenia się spotkały. Skinąłem głową.

- Dobrze.

Otworzyłem drzwi, ale Anthony powstrzymał mnie:

- Jedną chwilę. - Wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i powiedział: - Tak. Jestem gotowy. - Rozłączył się i zapytał: - Wyjdzie pan i przywita się z Tonym?

Nie miałem nic przeciwko haustowi świeżego powietrza, ale przygoda u Giulia nauczyła mnie, że nie należy trzymać się blisko kogoś, kto potrzebuje ochrony, więc odpowiedziałem:

- Może innym razem.

Najwyraźniej potrzebował jeszcze minuty, nim pojawi się jego kierowca, i korzystając z tego, zapytał:

- Jak to się stało, że jeszcze się pan z nią nie spotkał?
- Jestem zajęty.
- Tak? A ona jest zajęta? Ma jakiegoś faceta?
- Nie mam pojęcia.

Spojrzał na mnie i zaskoczył mnie głęboką filozoficzną refleksją:

- Wszystko to jest gównem, które warto.

Nie odezwałem się.

Zadzwoił jego telefon, zerknął tylko na wyświetlacz, ale nie odebrał.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas.

- Dziękuję, że wpadłeś - powiedziałem, otwierając drzwi.

- Wygląda pan, jakby zobaczył ducha - rzekł z uśmiechem.

- Masz takie same oczy jak twój ojciec.

- Naprawdę? - Wyciągnął dłoń, którą uścisnąłem. - Do zobaczenia w środę.

Wyszedł na chłodne wieczorne powietrze. Odprowadzałem go wzrokiem, kiedy przechodził przez furtkę i podszedł do terenówki, przy której stał Tony. Gdzie się podziały cadillaki? Samochód pracował na wolnych obrotach, ale miał wyłączone światła. Tony jedną ręką trzymał klamkę drzwi, a drugą dłoń miał wsuniętą pod marynarkę.

Wyglądało to nieco melodramatycznie, choć może trzeba było docenić tę ostrożność. Nigdy nic nie wiadomo. Może ktoś wydał na Anthony'ego Bellarose wyrok? I ja mam z takim facetem iść na kolację?

Nim odjechali, zamknąłem drzwi i wróciłem do jadalni, gdzie nałamałem sobie do filiżanki koniaku.

- Racja. Wszystko to było do dupy.

## ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia jechałem swoim taurusem drogą o uroczej nazwie Skunks Misery Road<sup>1</sup>. Takich nazw było w okolicy więcej. Można by pomyśleć, że mieszkańcy powinni chcieć je zmienić, ale są to nazwy historyczne, niektóre sięgają nawet siedemnastego wieku, poza tym ludzie, którzy mają na kontach miliony dolarów, nie przejmują się takimi drobiazgami jak to, że ich posiadłość jest położona przy Chicken Shit Lane<sup>2</sup>. To tylko dodaje uroku.

Złote Wybrzeże to zbiorowisko osad i wiosek z ery kolonialnej, położone na północnym brzegu Long Island w hrabstwie Nassau, około dwudziestu pięciu do trzydziestu mil na wschód od Manhattanu. Niektóre z wiosek mają swoje uroczne centra, a inne, jak choćby Latting-Iptown, gdzie mieści się Stanhope Hall, to tylko porzrzućane po okolicy wielkie posiadłości ziemskie i osiedla jednakowych domków typu McMansion powstałych na terenach dawnych posesji.

Swojego czasu, pomiędzy Połączonym Wiekami<sup>3</sup> a szalonymi latami dwudziestymi, które zakończyły się w Czarny Wtorek, dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku - Złote Wybrzeże było miejscem, gdzie koncentrowała się władza i bogactwo. Gdziekolwiek się spojrzało, wszędzie wokół byli miliarderzy. Wielki Kryzys, wojna, podatki i rozwijające się przedmieścia Nowego Jorku zadały śmiertelny cios temu Edenowi dawnego bogactwa, starych szacownych rodzin i tradycyjnych zwyczajów. Coś z tego jeszcze pozostało, cień dawnej świetności, choć patrząc na bogactwo, które przynieśli tu ze sobą ludzie z Wall Street, widzę, że powraca dawna forma, ale już nie treść.

Locust Valley to typowa wioska na Złotym Wybrzeżu. Tam właśnie jechałem. Moim skromnym celem był sandwicz, a dokładnie szynka szwarcwaldzka z serem munsterskim, musztardą i pumperniklem.

Myślałem o niej już od tygodnia i wreszcie nadszedł czas. Taką kanapkę mogłem dostać w niemieckich delikatesach Rolfa, które, miałem nadzieję, nie poddały się chwilowej modzie na zdrową żywność.

Był piękny, ciepły, słoneczny czerwcowy dzień. Na błękitnym niebie znajdowały

---

<sup>1</sup> Droga Nędznych Skunksów.

<sup>2</sup> Droga Kurzego Gówna.

<sup>3</sup> *Gilded Age* - określenie epoki w historii Stanów Zjednoczonych, trwającej od zakończenia wojny secesyjnej do rozpoczęcia konfliktu z Hiszpanią o Kubę w roku 1898.

się tylko nieliczne obłoki. Kwiaty rozkwitły, stare wielkie drzewa zazieleniły się, a liście poruszały się pod naporem lekkiej bryzy. Śpiewały ptaki, pszczoły zapylały kwiaty, a motyle siadały na noskach dzieci, które chichocząc, wołały: „Och, Mario, czy to nie wspaniale być bogatym?!”.

Kiedy się tu na powrót znalazłem, powróciły irytujące wspomnienia. Życie toczyło się dalej, a moja trzyletnia podróż dookoła świata była tak oczyszczająca, że nie powinienem rozpamiętywać przeszłości. Podczas siedmioletniego pobytu w Londynie nie czułem się jak banita, który ucieka przed przeszłością. Ale teraz, kiedy tu wróciłem, zrozumiałem, że moja przeszłość tu na mnie cały czas cierpliwie czekała.

Żeby zabrzmiało to bardziej optymistycznie, znajome widoki przywołały nieco dobrych wspomnień. Chodzi mi o to, że tu się urodziłem i wychowałem, tu się ożeniłem i zajmowałem wychowywaniem dzieci, tu była moja rodzina i przyjaciele. A potem wyjechałem. Może dlatego wciąż jestem wściekły. To nie musiało się tak skończyć. I nie skończyłoby się, gdyby Frank Bellarosa nie zaczął pieprzyć mojej żony.

Jechałem dalej aleją, która teraz nazywała się Horse Hollow Road, i minąłem swój dawny klub The Creek. Jego widok znów przywołał wspomnienia, jak razem z Susan zaprosiliśmy do klubu na kolację dona Bellarosę i jego krzykliwie ubraną żonę. Członkowie nie byli zadowoleni, i jak teraz patrzę na to z perspektywy czasu, wcale im się nie dziwię. Ale jakie to było zabawne.

Był wtorek, dochodziło południe. Dzień wcześniej Anthony Bellarosa złożył mi rozpoznawczą wizytę. Aż trudno mi uwierzyć, że umówiłem się z tym facetem na kolację. Jeden z moich znajomych powiedział: „Jeśli zamierzasz zjeść kolację z diabłem, zabierz ze sobą długą łyżkę”. A w tym wypadku długie pałeczki. Najlepiej byłoby odwołać kolację.

To była moja pierwsza wyprawa od chwili powrotu. Pojawiły się znajome widoki. Okolicę zasiedlili w 1667 roku Anglicy, a wśród nich moi przodkowie. Dotychczasowi mieszkańcy oparli się zmianom i dlatego wioska wyglądała jak dawniej.

Skreśliłem w Birch Hill Road, starą główną ulicę, i minąłem Stadon Plaza, gdzie zwykle wsiadałem do pociągu, który przez pięćdziesiąt minut wiozł mnie na Manhattan. W The Plaza mieścił się pub McGladea, gdzie czasem znajdowała mnie żona po tym, jak wysiadłem z pociągu. Patrząc w przeszłość, zastanawiałem się teraz, ile razy uprawiała seks z Frankiem Bellarosą, nim przyjechała po mnie na stację.

Zbliżając się do mojej dawnej kancelarii, w której urzędowałem jeden lub dwa

dni w tygodniu, zwolniłem. Oddział kancelarii Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds w Locust Valley mieścił się w wiktoriańskiej rezydencji na obrzeżach miasta. Budynek stał nadal, nadal też mieściła się w nim kancelaria adwokacka, ale zdobny szyld głosił: JOSEPH P. BITET&JUSTIN W. GREEN, ADWOKACI.

Nie znałem tych ludzi i choć nie powinienem, byłem mocno zszokowany, nie widząc swojego nazwiska.

Gdyby to był serial *Strefa mroku*, powinienem wejść do środka, zobaczyć, że zmienił się wystrój, zapytać recepcjonistkę „Gdzie jest Kathy?”, kobieta spojrzała na mnie zaskoczona i spytała: „Kto?”.

- Moja recepcjonistka.

- Czy mogę panu w czymś pomóc, sir?

- Nazywam się John Sutter. To jest moja kancelaria. Dlaczego na tabliczce nie ma mojego nazwiska?

- Jedną chwileczkę, sir - odpowiedziała kobieta, zniknęła na zapleczu i zadzwoniła na policję, która przyjechała i zabrała mnie, protestującego, że to przecież jest moja kancelaria i powinni zająć się poszukiwaniem mojej recepcjonistki albo wezwać moją żonę, która im wszystko wytłumaczy. A potem głos Roda Serlinga obwieściłby: John Whitman Sutter myślał, że właśnie wrócił do swojej kancelarii po lunchu - ale przecież nie było go o wiele dłużej... Znajdował się w Strefie Mroku.

Zawróciłem w kierunku centrum. Każdy obcy, który znalazłby się w tym miejscu, mógłby pomyśleć, że nie jest na Birch Hill Road, tylko na Main Street USA w Disneylandzie. Z jedną różnicą - tu stało mnóstwo luksusowych importowanych samochodów, a sklepy to w dalszym ciągu były głównie butik, antykwariaty i galerie sztuki. Wśród restauracji trudno byłoby szukać McDonalda.

Unikałem wcześniej wyprawy do Locust Valley; wciąż jeszcze mnóstwo ludzi mnie tu pewnie pamiętało, a kiedy już się tu znalazłem, wyobraziłem sobie, jak mogłoby wyglądać przypadkowe spotkanie z jakimś znajomym czy sąsiadem.

- Cześć, John. Gdzieś się podziewał, chłopie?

- Opląnąłem wokół świat, a potem mieszkałem w Londynie. Wyjechałem stąd prawie dziesięć lat temu.

- To już tyle czasu minęło? Jak się miewa Susan?

- Rozwiedliśmy się po tym, jak zastrzeliła bossa mafii.

- Zgadza się. Co za szkoda. Mam na myśli rozwód. Może zjemy lunch w klubie?

- Mam dożywotni zakaz wstępu do The Creek i Seawanhaka.

- Nie gadaj! Dobrze wyglądasz, John. Odezwij się, jak będziesz miał czas.

- Jakoś się zdzwonimy. Ciao.

Skręciłem w końcu w Forest Avenue i znalazłem wolne miejsce przed niemieckimi delikatesami Rolfa. Często tu kiedyś wpadałem, kiedy miałem dość paszy treściwej podawanej przez Susan.

Ucieszyłem się, że delikatesy wciąż istnieją, ale kiedy wszedłem do środka, odkryłem meksykańską inwazję, a w menu nie występował język angielski.

Niezrażony zamówiłem opryskliwym tonem prawdziwego nowojorczyka szynkę szwarcwaldzką, munster, musztardę i pumpernikiel.

- Mister?

- Nie! Munster! Ser munsterski.

- Musztra?

- Nie! Dobry Boże, człowieku, zamawiam kanapkę. Której części mojego zamówienia nie rozumiesz?

- Szawalska. Tak?

Teraz naprawdę poczułem, że jestem bohaterem Strefy Mroku.

- Gdzie jest Rolf? - wyszeptalem. - Co zrobiliście z Rolfem?

- Poszedł sobie, amigo - zażartował.

Nie miałem ochoty na niemieckiego sandwicza made in Mexico, więc powiedziałem:

- Daj mi kawę z leche. Milko. Okay?

- Okay.

Zabrałem kawę i wyszedłem.

Kilka domów dalej znajdował się nowy sklep spożywczy. Popijając kawę, podszedłem do szyby wystawowej. Nagle drzwi otwały się i ze środka wyszła Susan Stanhope Sutter. Zamarłem w bezruchu i tylko czułem, jak serce tłucze mi się w piersi.

Stałem o dwadzieścia stóp od niej i zauważyłaby mnie niechybnie, gdyby nie rozmawiała przez telefon.

Zawahałem się. Po krótkim namyśle postanowiłem podejść i przywitać się.

Susan usiadła przy niewielkim stoliku przed sklepem i wciąż rozmawiając przez telefon, rozpakowała torbę z lunchem. Lady Stanhope rozłożyła przed sobą papierową serwetkę, plastikowe sztućce, postawiła butelkę importowanej wody i sałatkę.

Widziałem ją ostatnio cztery lata temu, na pogrzebie ciotki Cornelli. Jej rude włosy były nieco krótsze niż wtedy, a skóra opalona jak nigdy dotąd. Wydatne usta pomalowała lodowato różowym błyszczkiem, a zielone kocie oczy wciąż błyszczały w słońcu niczym szmaragdy. Wróciłem myślami do jej nagich zdjęć na łodzi.

Przegnałem z umysłu wizję nagiej Susan i zauważyłem, że ubrana jest w typowy dla Locust Valley strój - jasnobrązowe spodnie i zieloną koszulkę polo, a na dekolcie zawiesiła okulary przeciwsłoneczne. Na ręku miała sportowy zegarek i nie nosiła żadnej biżuterii, a nawet wdowiej obrączki. Obrazu dopełniała leżąca na stole torebka od Coacha. Strój prosty i nie zanadto szykowny, odpowiedni na wiejskie popołudnie. Przede wszystkim dawał on do zrozumienia, że jest ziemianką, a nie mieszcuchem.

Wziąłem głęboki wdech i zrobiłem krok w jej stronę, ale zanim się rozpędziłem, drzwi sklepu otworzyły się ponownie i ze środka wyszła jakaś kobieta. Obrzuciła mnie spojrzeniem, potem podeszła do Susan i usiadła naprzeciw niej. Susan odłożyła telefon i zaczęła rozmawiać ze swoją towarzyszką. Nie znałem tej damy, ale wiedziałem, co to za typ. Była trochę starsza od Susan, elegancko ubrana, na imię miała pewnie Buffy albo Suki, albo Taffy i głęboko wierzyła, że nigdy nie można być zbyt bogatym ani zbyt szczupłym.

Nie słyszałem, o czym rozmawiały, ale mogłem się założyć, że Taffy (czy jak tam miała na imię) mówiła z miejscowym akcentem zwanym Szczękościsk Locust Valley. No, dobrze. Powiem wam, o co chodzi. Jest to przypadłość typowo kobieca, choć bywa, że przytrafia się także mężczyznom. Występuje zwykle w sytuacjach, gdy osoba mówiąca ma zaciśnięte zęby, a słowa powstają tylko dzięki ruchowi warg. Taki sposób artykulacji sprawia, że dźwięki są bardziej nosowe, zaskakująco dobrze słyszalne i wyraźne, nawet jeśli osoba mówiąca ma skrzywioną przegrodę nosową.

Lunch Taffy składał się z butelki wody i jogurtu, do którego wrzuciła pięć winogron wyjętych wcześniej z wartej tysiąc dolarów torby. Wyglądało na to, że panie się dobrze znają i dobrze czują w swoim towarzystwie. Nie mogłem określić, czy rozmowa dotyczy spraw błahych, czyli mężczyzn, czy poważnych, czyli zakupów.

Poczułem nieodpartą potrzebę podejścia do nich i zwrócenia się do Taffy jakimiś prostackimi słowami, na przykład: „Cześć, nazywam się John Sutter, jestem byłym mężem Susan. Rozwiodłem się z nią, bo pieprzyła się z makaroniarskim mafiosem, a na dodatek później go zastrzeliła”.

Ale Taffy pewnie to wszystko wiedziała, bo przecież trudno było ukryć albo zapomnieć taką aferę. To miejsce żyło skandalami i plotkami, więc gdyby chcieć



zastosować ostracyzm wobec wszystkich, którzy zachowali się kiedyś w sposób skandaliczny, kluby ziałyby pustkami i nie byłoby kogo zaprosić na przyjęcie.

Oczywiście istniały granice złego zachowania, i najlepszym przykładem był dzień, kiedy Sutterowie zaprosili Bellarosów na kolację do The Creek. Z drugiej strony, kiedy okazało się, że pani Sutter ma romans z panem Bellarosą, wcale nie wykreślono jej z listy towarzyskiej. Co więcej, jej obecność na balach dobroczynnych, koktajlach i uroczystych lunchach w damskim gronie była bardzo pożądana. Oczywiście wszyscy słyszeli o zastrzeleniu kochanka, ale tandetna zbrodnia w afekcie szybko zmieniała się w sprawę honorową. Najistotniejsze było to, że Susan Sutter po kądzieli nazywała się Stanhope, a to nazwisko od zawsze było odnotowywane w Błękitnej Księdze. Wystarczy podstawić w to miejsce jakiegokolwiek inne miejscowe nazwisko - Vanderbilt, Roosevelt, Pratt, Whitney, Grace, Post, Hutton, Morgan czy inne - a zrozumiecie te wszystkie niepisane prawa.

Obserwowałem, jak Susan i Taffy rozmawiają w czasie lunchu, potem spojrzałem po raz ostami na Susan, odwróciłem się i powędrowałem do samochodu.

## ROZDZIAŁ 5

Kolejny dzień, środa, był pochmurny, więc nie miałem nic przeciwko temu, żeby spędzić go w jadalni stróżówki. Trochę zajmowałem się leżącymi przede mną papierami, a trochę błądziłem myślami w przeszłości, którą one reprezentowały.

Do tej pory nie spaliłem nagich zdjęć Susan i coraz poważniej zastanawiałem się, czy ich jej nie oddać. Nie należały wyłącznie do mnie, może chciała je odzyskać. Co powiedziałyby na to Pani Dobre Wychowanie? „Drogi Zakłopotany z Long Island, nagie fotografie byłego współmałżonka powinny zostać zwrócone w sposób dyskretny, listem poleconym z wyraźną adnotacją [nagie zdjęcia - nie zginać]. Powyższy dopisek nie jest jednak niezbędny ani potrzebny, bo nadawca zwykle zaznacza w krótkim liściku, że nie prześle zdjęć przez Internet. Adresat powinien w ciągu dziesięciu dni przesłać podziękowania. Podpisano - Pani Dobre Wychowanie”.

Jeśli chodzi o komunikowanie się byłych małżonków, to Edward i Carolyn podali mi nowy numer domowy matki, informując mnie jednocześnie, że numer komórkowy nie uległ zmianie. Znałem też jej adres mailowy, tyle że nie miałem komputera. Susan oczywiście znała numer do domku Ethel, który nie zmienił się od czasu, kiedy prezydentem był Franklin D. Roosevelt. A więc... ktoś w końcu powinien zadzwonić.

Wróciłem do papierów. Odnalazłem nasz akt ślubu, a także orzeczenie o rozwodzie. Oba dokumenty spiąłem razem. To, co było pomiędzy, to zupełnie inna historia.

W razie orzeczenia o rozwodzie mogłem go potrzebować, gdybym zamierzał ponownie się ożenić. Rzeczywiście, jedna pani z Londynu, Samantha, powiedziała mi: „Dlaczego nie weźmiemy ślubu?”, na co ja odpowiedziałem: „Świetny pomysł. Ale kto nas zechce?”.

Od wyjazdu z Londynu rozmawiałem z Samanthą kilka razy; chciała przylecieć do Nowego Jorku.

Przysunąłem do siebie kopertę z ręcznym dopiskiem Susan: „Zdjęcia do albumu”. Nie znalazły się w żadnym albumie i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek się znajdą. Wyjąłem je z koperty. Przedstawiły głównie Sutterów, Stanhope'ów i Allardów podczas przeróżnych świątecznych okazji - Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Święta Dziękczynienia, urodzin i tym podobnych.

Była tam cała obsada - William i Charlotte Stanhope i ich syn utracjusz Peter,

brat Susan, a także sama Susan, która zawsze wyglądała na dwadzieścia pięć lat.

Byłem także ja z Edwardem i Caroline, z moimi rodzicami, Josephem i Harriet, a na jednej fotografii ze swoją siostrą Emily i jej byłym mężem, Keithem. Znajdowało się tam także ładne zdjęcie mojej ciotki Cornellii i jej męża Arthura.

Trudno uwierzyć, że swego czasu wszyscy byli żywi i szczęśliwi. No, może nie szczęśliwi, ale przynajmniej zdolni do uśmiechnięcia się do obiektywu, zwłaszcza jeśli wypili wcześniej kilka drinków.

Patrzyłem na te zdjęcia i nie mogłem uwierzyć, że tak wielu z nich zmarło, rozwiodło się lub, co gorsza, zamieszkało na Florydzie.

Zwróciłem uwagę na fotografii Elizabeth Allard. Przypomniałem sobie, że zrobiono je na przyjęciu zorganizowanym z okazji ukończenia przez nią college'u na terenie posiadłości Stanhope'ów. Był to kolejny przykład *noblesse oblige*, co po francusku znaczy „pewnie, że możesz korzystać z naszej posiadłości, wcale nam to nie przeszkadza”. Zauważyłem, że Elizabeth jest o wiele ładniejsza, niż ją zapamiętałem. Właściwie powinienem do niej zadzwonić, gdyż była ona wykonawczynią testamentu swojej matki.

Odłożyłem na bok zdjęcia, prócz jednego, przedstawiającego George'a i Ethel. Długoletni służący stają się czymś więcej niż tylko pracownikami, a Allardowie byli ostatnimi z licznej kiedyś u Stanhope'ów służby. Zdjęcie przypomniało mi, że powinienem odwiedzić Ethel. Musiałem to zrobić, bo byłem jej adwokatem, a także dlatego, że mimo dzielących nas różnic spędziliśmy razem kawałek życia. Ona była częścią mojej historii, a ja jej. Wszyscy byliśmy aktorami tego samego dramatu - Allardowie, Sutterowie, Stanhope'owie; graliśmy na scenie na wpół opuszczonej posiadłości w świecie, który bezpowrotnie odchodził.

Uznałem, że dziś jest dzień równie dobry jak każdy inny, żeby się pożegnać. Bo pewnie nie zostało już zbyt dużo czasu.

Przypomniałem sobie jednak, że czeka mnie dziś jeszcze jedno spotkanie z moim przeznaczeniem - Anthonym Bellarosą. Przeszło mi przez myśl, żeby odwołać kolację, ale nie wiedziałem, jak się z nim skontaktować, a wolałem go nie wystawiać do wiatru.

Jeśli chodzi o dzwonienie, to moją jedyną formą komunikacji był telefon Ethel, różowy aparat jeszcze z lat siedemdziesiątych. Korzystałem z niego rzadko, czasami tylko dzwoniłem do Samantha, Edwarda i Carolyn, mojej siostry Emily, którą bardzo kochałem, i do mojej matki, która... była moją matką. Co do rozmów przychodzących,

z rzadka dzwonił jakiś stary znajomy Ethel. Przekazywałem wtedy smutną wiadomość o pobycie Ethel w hospicjum. W takim wieku taka wiadomość nie jest ani szokująca, ani nawet szczególnie przygnębiająca. Pewna starsza pani zadzwoniła z tego samego hospicjum i była zachwycona, słysząc, że jej przyjaciółka znajduje się piętro wyżej i jest na dobrej drodze do lepszego ze światów.

W aparacie Ethel nie było identyfikacji rozmówcy, toteż za każdym razem, gdy rozlegał się jego dzwonek, zastanawiałem się, czy to hospicjum, pan Nasim, Susan czy może Samantha z informacją, że właśnie wylądowała w Ameryce. Ethel miała automatyczną sekretarkę, która najwyraźniej nie działała, więc nigdy nie wiedziałem, czy ktoś dzwonił podczas mojej nieobecności.

Kretyński zegar z kukułką w kuchni wybił czwartą. Uznałem to za sygnał, żeby rozprostować kości, i wyszedłem tylnymi, kuchennymi drzwiami na zewnątrz. Niebo było wciąż pochmurne; czułem w powietrzu nadchodzący deszcz. Stałem na tarasie i patrzyłem na tę część starej posiadłości.

Amir Nasim zatrudniał ogrodników, którzy troszczyli się o trawę i drzewa także wokół stróżówki. Pod murem okalającym posiadłość przycięli gałęzie trzech dzikich jabłoni, ale w tym roku Ethel nie zrobi już dżemu. Ani w przyszłym, ani nigdy.

Tuż za tarasem znajdował się mały ogródek warzywny. Ethel, zanim zachorowała, zdążyła wiosną posadzić tam trochę roślin. Teraz ogródek zarosły chwasty.

Pośrodku zaniedbanego ogródka stała stara, zniszczona drewniana tabliczka. Sześćdziesiąt lat temu, kiedy była nowa, widniał na niej napis: VICTORY GARDEN.

Muszę pamiętać, żeby dać tę tabliczkę córce Ethel, Elizabeth.

Słyszę dzwonek telefonu w kuchni. Nienawidzę, kiedy ktoś dzwoni; rzadko się zdarza, żeby dzwonił ktoś, kto zaoferuje mi seks, pieniądze albo wakacje za darmo. A jeśli już, to pod pewnymi warunkami.

Telefon dzwonił i dzwonił, jakby ten ktoś wiedział, że jestem w domu. Czyżby Susan?

W końcu zamilkł.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na ogród, odwróciłem się i wszedłem do środka, szykując się do spotkania z wybierającą się w ostatnią drogę staruszką, a także z młodym człowiekiem, który, jeśli nie zachowa środków ostrożności, wkrótce ruszy śladem swojego ojca wprost do grobu.

## ROZDZIAŁ 6

O siedemnastej wyjechałem przez imponującą bramę swojej posiadłości i ruszyłem swoim lamborghini drogą Grace Lane na południe. A teraz trochę realizmu - ani to nie moja posiadłość, ani nie lamborghini.

Grace Lane - nazwana tak nie na cześć kobiety ani stanu duchowego, w jakim zdawali się żyć tutejsi mieszkańcy, ale dla upamiętnienia rodziny Grace'ow, właścicieli transatlantyku - była i pewnie pozostanie prywatną drogą, co oznaczało, że okoliczni mieszkańcy musieli o nią dbać. Kiedy tu byłem ostatnio, sąsiedzi próbowali przerzucić wydatki na lokalne samorządy, które nie paliły się do dofinansowywania bogatych sukinsynów z Grace Lane, choć niektórzy wcale nie byli już tacy bogaci, mimo że pozostali sukinsynami. Jakoś musiano ten problem rozwiązać podczas mojej nieobecności, bo drogę dobrze utwardzono.

Jechałem na południe w stronę Locust Valley, gdzie zamierzałem kupić coś dla Ethel. Nie powinno się, oczywiście, składać wizyty z pustymi rękami, ale nigdy nie wiedziałem, co można przynieść prócz wina, a to nie byłoby odpowiednim prezentem. Przynoszenie z kolei kwiatów mogłoby być nieco przedwcześnie.

Ethel lubiła czytać, mogłem więc wpaść do księgarni, ale nie kupię jej przecież czegoś tak opasłego jak *Wojna i pokój*. Lubiała też owoce, ale nie powinienem jej kupować niedojrzałych, zielonych bananów. Może nie byłem zbyt subtelny, ale kiedy ma się do czynienia z kostuchą, odrobina poczucia humoru (choćby czarnego) nie zaszkodzi ani żyjącym, ani umierającym. Czyż nie? To może frajdę sprawi jej certyfikat klubu osób dbających o odpowiednią wagę.

„Szanowna Pani Dobre Wychowanie, muszę złożyć wizytę w hospicjum staruszce, której czas pozostały na ziemskim padole można już liczyć sekundnikiem. Czy powinienem jej w ogóle dawać jakiś prezent? Podpisano: COLI. PS Nie lubię jej”.

„Drogi COLI. Dobre maniery obowiązują nawet u wrót śmierci. Odpowiednim prezentem byłaby bombonierka; nawet jeżeli nie będzie mogła sama zjeść czekoladek, zrobią to odwiedzający ją bliscy. Jeżeli umrze, nim do niej trafisz, zostaw czekoladki i wizytówkę w recepcji. Będą wyrazem twojej troski. Podpisano: Pani Dobre Wychowanie. PS Staraj się być miły, jeśli jest przytomna”.

Skreśliłem w Skunks Misery Road i po kilku minutach znalazłem się w Locust Valley. Nienawidzę zakupów, w tym kupowania kartek i banalnych prezentów, dlatego z ponurą miną przemierzałem Forest Avenue i Birch Hill Road, szukając

sklepu, w którym dostałbym czekoladki. Po drodze minąłem co najmniej tuzin SUW-ów, z których jeden mógł należeć do Susan. Zdałem sobie sprawę, że ona była dobra w takich zakupach, więc mógłbym ją poprosić o radę. Ostatniej rady w sprawie prezentów udzieliła mi, kiedy Carolyn kończyła prawo na Harvardzie. Powiedziała wtedy, że T-shirt, który kupiłem córce w Londynie, z napisem z Szekspira „Pierwszą rzeczą, jaką uczynić należy, to zabić wszystkich prawników”, nie jest najlepszym prezentem dla absolwentki wydziału prawa. Pewnie miała rację.

W każdym razie postanowiłem zrezygnować z czekoladek i wszedłem do kwiaciarni.

Sympatyczna młoda dama za ladą zapytała, w czym może pomóc, a ja rzuciłem bez wahania:

- Potrzebuję czegoś dla leciwej staruszki, która przebywa w hospicjum i nie zostało jej zbyt wiele czasu. - Zerknąłem na zegarek, żeby podkreślić znaczenie moich słów.

- Rozumiem... w takim razie...

- Niespecjalnie za nią przepadam.

- Tak... więc...

- Chciałem przez to powiedzieć, że najodpowiedniejszy byłby kaktus, ale odwiedzają ją też inne osoby, więc to musi być coś ładnego. Kwiatek nie musi być bardzo trwały.

- Rozumiem... w takim razie może...

- Ale nie może też przypominać wieńca, prawda?

- Oczywiście. Nie chce pan... A dlaczego to miałyby być kwiaty cięte, a nie coś w doniczkę?

- Na przykład cykuta?

- Nie. Myślałam o takiej araukarii - wyjaśniła. - Rośliny wiecznie zielone to symbol wiecznego życia.

- Naprawdę?

- Tak. Na przykład choinka bożonarodzeniowa.

- Choinki usychają.

- Dlatego że zostały ścięte - wyjaśniła. - Często wysyłamy wiecznie zielone rośliny do hospicjów.

- Czyżby?

- Tak ładnie pachną. A rodziny mogą je potem zabrać na pamiątkę.

- Po jakim potem?

- Po tym jak ta osoba... - Zmieniła temat i zapytała: - W którym hospicjum znajduje się ta pani?

- W Fair Heaven.

- Dostarczymy araukarię w pańskim imieniu.

- Właśnie się tam wybieram, a roślina jest zbyt duża, więc... - Rozejrzałem się po pomieszczeniu i w rogu znalazłem półkę z pluszakami. Były wśród nich misie. Wybrałem najokazalszego, położyłem go na ładzie i powiedziałem. - Biorę go.

- Jest słodki. - Owinęła mu szyję wstążką, do której doczepiła gałązkę lawendy.

Zapłaciłem gotówką, a młoda sprzedawczyni powiedziała:

- Spodoba jej się to. Powodzenia.

Wróciłem do samochodu i ruszyłem na zachód w stronę hospicjum w Glen Cove. Zerknąłem na posadowionego na fotelu pasażera pluszaka i poczułem, jak ogarniają mnie emocje. Bolało mnie, że Ethel Allard umierała i że zmarło już tylu ludzi, których znałem, w jednej chwili przypomniałem sobie ich wszystkich, zobaczyłem oczami wyobraźni ich uśmiechnięte twarze, zupełnie jakbym przeglądał album ze zdjęciami.

Gdzie się podziały tamte chwile? I dlaczego nie doceniałem ich, kiedy świat wokół mnie był bezpieczny i przyjazny?

Cóż, nie da się wrócić do tamtych czasów, a nawet gdyby to było możliwe, nie wiem, czy chciałbym i potrafiłbym cokolwiek zmienić.

Frank Bellarosa pewnego zimowego dnia dziesięć lat temu jechał z Brooklynu do restauracji w Glen Cove, gdzie miał się spotkać ze swoimi partnerami w interesach.

Zjechali z autostrady prowadzącej na Long Island, zgubili się i jakimś cudem trafili na Grace Lane.

Zauważyli opuszczoną posiadłość Alhambra i, jak później opowiadał mi Frank, topole włoskie porastające pobocze drogi. Willa z czerwonym skośnym dachem przypominała mu o jego włoskich korzeniach. Zrobił rozeznanie i w końcu kupił posiadłość. Następnie się do niej wprowadził. Potem natknąłem się na niego w sklepie ogrodniczym. A wreszcie Susan i ja przyjęliśmy zaproszenie na kawę. Potem działo się mnóstwo różnych rzeczy, a w końcu moja żona zamordowała naszego sąsiada, a swojego kochanka.

Teraz, dziesięć lat później, aktorzy tego dramatu - żywi i umarli - zgromadzili się ponownie, by odegrać ostatni, finałowy akt.

## ROZDZIAŁ 7

Pojechałem na zachód Duck Pond Road, minąłem po drodze Friends Academy, szkołę przygotowawczą założoną przez miejscowych kwakrów. Chodziła do niej Susan, dowożona, jak sama mi powiedziała, wielkim lincolnem przez George'a Allarda, który, jako ostatni ze służących Stanhope'ów musiał na różne okoliczności wkładać inne czapki, w tym czapkę szofera.

Jak już wcześniej wspomniałem, Złote Wybrzeże w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych przechodziło transformację, kiedy to stare, przedwojenne, szanowane rodziny o wciąż kurczących się majątkach zaczęły odczuwać wrzenie społeczne, które mogło zmieść z powierzchni ziemi pozostałości ich dawnego świata.

Większość tych zmian miała się ku lepszemu. Na przykład George był dotąd służącym, a teraz nagle został pracownikiem. Nie prowadził przez to lepiej samochodu, ale zyskał wolne weekendy.

Jeśli chodzi o Czerwoną Ethel, bo tak ją po kryjomu nazywałem, nigdy nie uważała się za służącą (szczególnie od czasu, kiedy zaczęła sypiać z Augustusem Stanhope'em), a żyła na tyle długo, że zdążyła zobaczyć, jak wiele jej idealistycznych marzeń staje się rzeczywistością.

Tablica drogowa poinformowała mnie, że wjechałem właśnie do miasta Glen Cove, liczącego obecnie około dwudziestu tysięcy mieszkańców, a może nawet więcej, jeśli policzy się wszystkich nowo przybyłych emigrantów, którzy mieli w głębokim poważaniu obywatelskie obowiązki.

Glen Cove jest położone w pobliżu Hempstead Harbor na wybrzeżu cieśniny Long Island i podobnie jak wiele innych miejscowości na Long Island zostało założone w siedemnastym wieku przez angielskich osadników, w tym także moich przodków, którzy gdy tu przybyli, nie zatroszczyli się o to, żeby poprosić Indian z plemienia Matinecock o formularz otrzymania obywatelstwa albo pozwolenie na pracę.

Mimo to biali i czerwonoskórzy żyli we względnym pokoju i harmonii przez całe stulecie, głównie dlatego, że Indianie masowo umierali na choroby przywleczone przez Europejczyków. Brytyjczycy okupowali Long Island przez większą część czasu rewolucji amerykańskiej. Wielu członków lokalnej społeczności pozostało wiernych Koronie, w tym, muszę wyznać, Sutterowie, którzy do tej pory zachowali konserwatywne poglądy, jeśli nie liczyć mojego ojca, liberalnego demokraty, wiecznie



spierającego się z resztą republikańskiej rodziny. Moja szalona matka, Harriet, jest również postępową i od zawsze tworzyła z Ethel koalicję przeciwko większości nieokrzesanych męskich szowinistycznych świni, które zdominowały społeczność Złotego Wybrzeża.

Ale nawet to uległo zmianie, bo kiedy wyjeżdżałem stąd dziesięć lat temu, można już było śmiało przyznać się do znajomości z jakimś demokratą bez obawy, że cena mojej posiadłości zacznie nagle spadać.

Jeśli chodzi o wojnę i politykę, jednym uchem słuchałem talk-show w konserwatywnie nastawionym radiu, ale zrobiłem głośniejsze, kiedy jeden ze słuchaczy zadzwonił i powiedział: „Spuśćmy na nich atomówkę, zanim oni to zrobią z nami”.

Gospodarz programu, próbując zachować odrobinę racjonalizmu, zapytał: „W porządku, ale na kogo mamy tę atomówkę spuścić?”.

Słuchacz odpowiedział: „Na nich wszystkich. Zbombardujmy najpierw Bagdad, żebyśmy nie musieli tam posyłać naszych chłopców na śmierć”.

- Okay, ale może najpierw rozprawimy się z obozami szkoleniowymi Al-Kaidy. To będzie ostrzeżeniem dla wszystkich pozostałych.

- Nie ma sprawy. Obozy też możemy rozwalić.

Prowadzący zrobił przerwę na reklamy, które poprzedziły patriotyczne marsze Johna Philipa Sousy, dawnego mieszkańca Long Island, który najwyraźniej przeżywał swój *comeback*.

Po jedenastym września można było zaobserwować zdumiewającą transformację w dziedzinie polityki i socjologii. Jeżeli nie obserwowało się tych zmian na bieżąco, wydawały się one wstrząsające. Dosłownie nad każdym domem, nie wyłączając sklepów i rezydencji w Glen Cove, które nie było przecież bastionem konserwatyizmu, powiewała amerykańska flaga. Flaga była również obecna na niemal każdej antenie samochodowej, a jeśli nie, to zastępowała ją kalkomania na szybie albo naklejka na zderzaku informująca, że „9/11 - Nigdy nie zapomnimy” albo „Bin Laden może uciekać, ale nie zdoła się skryć”. Poza tym prawie wszyscy mieszkańcy Locust Valley mieli wpięte w klapy miniaturki amerykańskiej flagi. Kiedy tak o tym myślę, mam wyraźne wrażenie, że ludzie spoglądali na mój zderzak, żeby upewnić się, czy jestem lojalnym obywatelem.

Ale chciałbym na chwilę wrócić do ubiegłego wieku, kiedy to Glen Cove stało się domem sporej części włoskich imigrantów, zatrudnionych przy budowie i remontach rezydencji i posiadłości. Ciężka, fizyczna praca kilku pokoleń zaowocowała

powstaniem włosko-amerykańskich firm budowlanych, firm zajmujących się zakładaniem ogrodów i tym podobnymi przedsięwzięciami.

To był wielki amerykański sukces, ale ubocznym efektem istnienia w Glen Cove dużej grupy Włochów była obecność niewielkiej, lecz wpływowej grupy dżentelmenów, którzy z zakładaniem ogrodów niewiele mieli wspólnego. To właśnie dlatego pewnego dnia dziesięć lat temu Frank Bellarosa ruszył z Brooklynu do Glen Cove. Miał się tam spotkać we włoskiej restauracji ze swoimi kolegami. Jak na ironię, w dzisiejszych czasach, gdyby posługiwał się nawigacją satelitarną, on i jego kierowca - czy to był Anthony, znany obecnie jako Tony? - nie zabłądziliby i trafiliby bezbłędnie do Glen Cove, a mnie ominąłby pech. Możecie to sobie wyobrazić?

Jechałem teraz na północ Dosoris Lane, siedemnastowieczną aleją, która wiodła wprost do brzegu cieśniny i przy której w ubiegłych stuleciach mieszkali niektórzy członkowie rodu Sutterów.

Nie miałem nigdy wcześniej okazji odwiedzić hospicjum Fair Haven, ale miła pani, z którą rozmawiałem przez telefon, wytłumaczyła mi, jak trafić, i zapewniła, że pani Allard może przyjmować gości. Ostrzegła mnie jednak, że do czasu mojego przyjazdu sytuacja może ulec zmianie.

Dosoris Lane biegła wzdłuż czegoś, co kiedyś było ośmioma posiadłościami, z których wszystkie należały do rodziny Prattów. Zbudował je Charles Pratt dla siebie i siódemki swoich dzieci. Dlaczego ósmy potomek nie otrzymał swojej posiadłości, pozostaje dla mnie zagadką, ale pewnie Charles Pratt miał swoje powody, podobnie jak William Ptasimózdźek z Hilton Head miał swoje powody, zapisując dom gościnny i dziesięć akrów ziemi Susan jako jedynej właścicielce. Susan, jako obdarowana, mogła oczywiście zmienić zapis, ale to wkurzyłoby Williama, a przecież nikt nie chce rozżłościć tatusia.

Skoro już jesteśmy przy nieruchomościach, zawsze ciekawiło mnie, co William Stanhope myśli o dożywotnim użytkowaniu stróżówki przez Ethel Allard. Nigdy nie wiedziałem, czy William jest świadomy tego, że jego ojciec, Augustus, posuwał swoją pokojówkę, czy kim tam ona wtedy była. Ale przecież musiał wiedzieć, skoro wiedziała o tym Susan, która opowiedziała mi całą historię. Mimo to William nigdy nie zdradził mi osobiście tej rodzinnej tajemnicy. Pewnie czuł się zakłopotany - nie seksualną nierozwagą swojego ojca - ale faktem, że młoda służąca załatwiła sobie u Stanhope'ów dożywotnie mieszkanie.

Minąłem jedną z dawnych posiadłości Prattów, Killenworth, która była obecnie

weekendową rezydencją rosyjskiej misji przy ONZ. Kiedy jeszcze rządziły złe komuchy, pełno tu było wokół ochroniarzy z KGB ze wściekłymi psami u nogi. Teraz miejsce wydawało się spokojne i zupełnie niestrzeżone.

Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, najwyższą próbą odwagi dla chłopców, ale także dla dziewcząt, było „przekroczenie granicy”, wejście na teren radzieckiej posiadłości i zabawa w chowanego ze strażnikami i ich psami. Nawiasem mówiąc, cały sekret krył się w grubym plastrze wołowy, którą psy wprost uwielbiały.

Pewnie było w nas więcej szaleństwa niż odwagi; wszyscy znaleźliśmy opowieści o dzieciakach, które zniknęły za żelazną kurtyną. Pewnie żadna z tych historii nie była prawdziwa, a większość dzieci z sąsiedztwa, które nagle wyparowały, odnalazła się później w internatach albo w miejscach, dokąd przeprowadzili się ich rodzice.

Radzieccy ochroniarze uważali nas pewnie za wyjątkowo odważnych, wpływowych i ciekawskich. Jestem pewien, że takie raporty płynęły do Moskwy i przyczyniły się do upadku sowieckiego imperium i zakończenia zimnej wojny. Podobnie jednak jak większość prawdziwych bohaterów zimnej wojny, ja i moi skretyniali koledzy pozostaliśmy anonimowi i niedocenieni. Może któregoś dnia świat się dowie, czego tu dokonaliśmy, ale policja w Glen Cove traktowała nas w swoich raportach jak drobnych, nieletnich chuliganów. I niech tak zostanie. My wiemy swoje.

Dalej ciągnęły się posiadłości J.P. Morgana i F.W. Woolwortha, obie opuszczone, częściowo tylko wykupione przez deweloperów. Zgodnie z instrukcją powinienem skręcić w lewo, w prywatną, wiodącą pośród drzew drogę. W oddali zobaczyłem dużą, zbudowaną z białego kamienia rezydencję ze spadzistym dachem. Znak zawiódł mnie na parking dla gości.

Zatrzymałem się na prawie zupełnie pustym placu, wziąłem do ręki pluszowego misia i wysiadłem z samochodu.

Niebo wypogodziło się, a strzępiaste obłoki odpłynęły na północ, nad wody cieśniny. Nad horyzontem pojawiły się mewy. Po trzech latach spędzonych na morzu potrafiłem odczytać znaki dawane przez przyrodę i pogodę. Wody cieśniny musiały być już blisko. Niemalże czułem sól w powietrzu. Zatęskniłem znów za bezmiarem wód.

Ruszyłem w stronę budynku. Całkiem niezłe miejsce na ostatnie dni żywota, nim otworzą się przed tobą bramy rajy, Ethel, prowadząc cię do wielkiej posiadłości w Niebie, pomyślałem. Czynsz na wieczność za darmo i nie będziesz musiała sypiać z szefem.

## ROZDZIAŁ 8

Wszedłem do białego budynku, który kiedyś musiał być prywatną rezydencją. To dobrze, że można te stare domy zaadaptować do innych celów, takich jak szkoły, muzea czy w tym wypadku dom opieki i hospicjum. To lepsze niż buldożer czy podział terenu na działki dla cudownych dzieci z Wall Street, których iloraz inteligencji jest niższy niż oprocentowanie kredytu hipotecznego.

Przywitała mnie miła kobieta w recepcji i odpowiadając na moje dociekliwe pytania, powiedziała, że Ethel Allard „ma się dobrze, wzięwszy pod uwagę jej stan”, co pewnie miało być dobrą wiadomością. W przeciwnym razie usłyszałbym odpowiedź „niedobrze, żadnych wizyt” albo „odeszła”.

Kobieta zaprowadziła mnie do niewielkiej windy w korytarzu.

- Pierwsze piętro, pokój numer sześć.

W windzie byłem sam. Pokonanie jednego piętra zajęło sporo czasu, podczas otwierania się drzwi miałem okazję wysłuchać fragmentu *Wiosny* Vivaldiego, granego na dudach. Wyobraziłem sobie, że za drzwiami ujrzę niebiański widok - białe obłoki, błękitne niebo i majaczące w oddali bramy raj. Chyba potrzebowałem drinka.

Po otwarciu się drzwi zobaczyłem wytapetowany motywami kwiatowymi korytarz i Białą Damę. Przywitała mnie po nazwisku i sama przedstawiła się jako pani Knight. Zaraz potem zaproponowała:

- Proszę mi mówić Diane.

- Cześć, Diane.

- Proszę za mną.

Ruszyłem za nią długim korytarzem. Pani Knight wyglądała na jedną z tych przedstawicielek służby zdrowia, które są jednocześnie surowe i łagodne. Wynikało to pewnie z faktu, że w tej umieralni miała do czynienia z wszelkimi możliwymi ludzkimi reakcjami.

- Pani Allard dostaje środki przeciwbólowe - tłumaczyła mi po drodze - więc może nie być tak ożywiona, jak ją pan pamiętał.

- Rozumiem.

- Ale jest przytomna i w pełni świadoma.

- To dobrze.

- Ból jest do zniesienia.

- Świetnie. - Pomyślałem, że to ja powinienem zadawać pytania, na które

padałyby takie odpowiedzi.

- A jak jej nastrój?
- Zupełnie dobry.
- Często ma gości?
- Zdarzają się. Była tu pańska matka i żona.
- Była żona - poprawiłem ją. - Ale teraz ich nie ma?
- Nie. - Spojrzała na mój prezent. - Na pewno jej się spodoba ten miś.

Pani Knight zatrzymała się przy drzwiach i powiedziała:

- Wejść i powiem jej, że pan przyjechał. To bardzo miło, że pan przyleciał aż z Londynu, żeby ją odwiedzić.

- Tak, no cóż... to przemiła kobieta.
- To prawda.

Zastanawiałem się, czy nie leży tu jakaś inna Ethel Allard. Pani Knight już miała otworzyć drzwi, kiedy zapytałem:

- Jak długo...? To znaczy...
- Och, myślę, że nie więcej niż pół godziny.
- Pół godziny?
- Tak. Potem będzie zmęczona.
- Nie... miałem na myśli...
- Co dziesięć minut będę zaglądała.

- Świetnie. Ale miałem na myśli... Zostanę tutaj tylko przez kilka tygodni i zastanawiam się, czy będę miał okazję jeszcze ją odwiedzić... - Pani Knight albo nie nadała za moim tokiem rozumowania, albo nie chciała podjąć tematu, więc zapytałem wprost: - Ile jej zostało życia?

- No, wie pan, nigdy nie spekulujemy na ten temat, ale koniec jest bliski.
- Jak bliski? Dwa tygodnie?
- Może dłużej. Ethel jest bardzo dzielna.
- Trzy?
- Panie Sutter, ja nie mogę...
- Jasne, rozumiem. Miałem kiedyś ciotkę, która...
- Nie ma pan pojęcia, co zdarzało mi się tutaj widzieć. Śmierć jest wielką tajemnicą. Bardzo dużo zależy od nastawienia i modlitwy.

- Oczywiście. Wierzę. Będę się za nią modlił. - Potrzebny mi jej dom!

Pani Knight spojrzała na mnie i rzuciła naprawdę mądrą uwagę:

- To naturalne, że chcemy, by najbliżsi byli z nami jak najdłużej. Ale to jest egoistyczne. Ethel pogodziła się ze swoim stanem i jest gotowa odejść.

To zabrzmiało jak jeden tydzień, a ja mogłem potrzebować schronienia w stróżówce na dwa. Pocieszała mnie uwaga pani Knight, że Ethel była bardzo dzielna, co stało w sprzeczności z tym, że jest gotowa odejść. Zamiast prosić o uściślenie, postanowiłem zacząć z innej beczki.

- Oprócz tego, że jestem jej przyjacielem, jestem też jej prawnikiem. Będę miał do podpisania kilka dokumentów, więc może porozmawiam z lekarzem o... czasie, jaki jej pozostał.

Skinęła głową.

- Opiekuje się nią doktor Jake Watral.

- Dziękuję. - Być może klucz do mojego dalszego pobytu w stróżówce znajduje się nie w rękach Boga ani doktora Watrala, ale Amira Nasima, do którego powinienem zadzwonić zaraz po przyjeździe. Myśl o nim skłoniła mnie do zadania jeszcze jednego pytania:

- Czy panią Allard odwiedzał pan Amir Nasim? A może dzwonił?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nic mi nie mówi to nazwisko. - Pani Knight chciała już najwyraźniej odejść, więc dodała: - Powiadomię ją, że pan przyszedł.

- Dziękuję.

Zniknęła w pokoju numer sześć na dostatecznie długą chwilę, żebym zdążył poczuć wyrzuty sumienia z powodu motywów, które kazały mi namawiać Ethel do dalszej walki o życie. Ethel nie cierpiała, była przytomna, odwiedzali ją goście, miała do podpisania kilka dokumentów, więc dlaczego miałyby stąd odchodzić? Tak samo zapewne myślała jej córka, Elizabeth.

Na korytarzu pojawiła się ponownie pani Knight.

- Oczekuje pana.

Podszedłem do drzwi, odwróciłem się do Diane Knight i głośno powiedziałem:

- Pani jest aniołem.

Na jej wargach zabłąkał się słodki, zakłopotany uśmiech. Odwróciła się i odeszła.

Wszedłem do pokoju Ethel i zamknąłem za sobą drzwi. Boże, jak ja nienawidzę widoku łoża śmierci.

## ROZDZIAŁ 9

Jedyne okno pokoju, przez które dostawały się promienie słońca padające na białą pościel Ethel, wychodziło na zachód.

Pomieszczenie było małe, kiedyś pewnie był to pokój gościnny albo służby. Znajdowały się w nim dwa nocne stoliki, na jednym stał monitor, a na drugim leżała Biblia. Były też dwa fotele ze sztucznej skóry i taca na kółkach obok łóżka. Na stojaku wisiały trzy butelki z kroplówkami podłączone rurkami do ramienia Ethel.

Na błękitnej ścianie naprzeciwko wisiał telewizor. Na podłodze pod oknem stało w wazonach kilka bukietów kwiatów i niewielka araukaria w doniczce.

Ogólnie rzecz biorąc, przedpokój do zaświatów wyglądał całkiem przyzwoicie.

Ethel siedziała w łóżku wpatrzona w ścianę naprzeciwko i zdawała się nie zauważyć mojego wejścia. Podszedłem bliżej i odezwałem się:

- Witaj, Ethel.

Odwróciła głowę i bez uśmiechu odpowiedziała:

- Witam, panie Sutter.

Przypomniałem sobie, że Ethel rezerwuje sobie prawo do uśmiechu na chwilę, kiedy może cię o czymś pouczyć.

- Proszę, mów mi John.

- Dziękuję, że pan przyszedł. Opiekuje się pan moim domem?

- Tak. Jak się czujesz?

- Dzisiaj dobrze.

- To dobrze... dobrze wyglądasz. - W rzeczywistości w pełnym słonecznym świetle wyglądała na wychudzoną, a jej skóra miała ziemisty odcień. Mimo to w oczach tliło się życie, a na poszarzałych policzkach dostrzegłem nałożoną warstwę różu.

Nie widziałem jej od lat, ale kontaktowaliśmy się listownie i co kilka miesięcy przesyłała mi pocztę, która z rzadka trafiała pod jej adres. Oczywiście wysyłaliśmy też do siebie kartki świąteczne.

- Zajął się pan moim ogródkiem? - zapytała.

- Oczywiście - skłamałem.

- Nigdy nie wpuszczałam do niego ani pana, ani Georgia - przypomniała. - Żaden z was nie wiedział, co tam należy zrobić.

- To prawda. Ale trochę się podszkoliłem w Anglii.

- Nonsens.
  - Może masz rację...
  - Przyjechał pan ponad tydzień temu.
  - Przyszedłbym wcześniej - wyjaśniłem - ale myślałem, że wracasz do domu.
  - Nie wracam do domu.
  - Proszę, nie...
  - Dlaczego pan nie usiądzie? Denerwuje mnie pan, gdy tak wciąż stoi.
- Usiadłem na fotelu obok łóżka i wręczyłem jej pluszową zabawkę.
- Przyniosłem to dla ciebie.

Wzięła misia do ręki, spojrzała na niego, zrobiła dziwną minę i odłożyła go na bok. Chyba jej się nie spodobał. Szybko poszukałem innego tematu.

- Jak cię tu traktują?
- Całkiem dobrze.
- Mogę w czymś pomóc?
- Nie.
- Jeśli tylko ci przyjdzie coś do głowy...
- Dlaczego właściwie wrócił pan z Londynu, panie Sutter?
- John.
- Panie Sutter. Dlaczego pan wrócił?

No wiesz, Ethel, muszę zabrać swoje rzeczy, nim umrzesz i ten Irańczyk zmieni zamki w drzwiach.

- Panie Sutter?
- Przyleciałem, żeby cię zobaczyć. - Zabrzmiało to trochę nieszczerze, więc dodałem szybko: - Mam też coś do załatwienia w Nowym Jorku i uznałem, że to dobra okazja, żeby zabrać trochę swoich rzeczy ze stróżówki.

- Niech się pan lepiej pospieszy. Ten Irańczyk nie pozwoli panu tam zostać. Spotkał się pan z nim?

- Nie.
- Powinien pan z nim porozmawiać. Warunki mojej dożywotniej dzierżawy zawierają zapis o odpowiednim czasie na usunięcie moich rzeczy. Ale kto wie, co on rozumie pod pojęciem „odpowiedni czas”.

- Pozwól, że zajmę się tym w swoim czasie.
- Augustus powinien być precyzyjny.

Całe szczęście, że nie był zbyt precyzyjny, Ethel. Tak się składa, że czytałem ten



dokument. Jest tam wymieniony oczywiście George i Ethel; wspomina się o ich długoletniej lojalnej i wiernej służbie. George na pewno był lojalny i wierny, a Ethel... cóż... na pewno była dobra w łóżku. Od dawna się zastanawiałem, czy George znał przyczyny hojności Augustusa.

- Za wcześnie, żeby... - zacząłem, ale mi przerwała:

- Widział się pan ze swoją żoną?

- Z była żoną. Nie, nie widziałem jej. A ty?

- Wpadła tu wczoraj.

- Więc sama wiesz, że się z nią nie widziałem.

- To piękna kobieta.

Przewróciłem oczami.

- Wygląda tak uroczo.

Zaczęło mnie już to denerwować, więc odparłem:

- Wielu mężczyzn tak uważa.

Zignorowała moje słowa.

- Myślę, że chciałaby się z panem spotkać.

Nie dociekałem, skąd u Ethel takie przypuszczenie. Zmieniłem temat

- Otworzyłem słoik twojego dżemu jabłkowego. Był wyśmienity. Chcesz, żebym ci przyniósł słoik?

- Nie, dziękuję. Ale proszę dopilnować, żeby Elizabeth je wzięła.

- Przydadzą ci się, kiedy wrócisz do domu.

- I proszę dać jej wszystkie przetwory z warzyw.

Skinąłem głową, ale Ethel patrzyła wprost przed siebie w sposób, w jaki umierający ludzie wyglądają wieczności.

- Co się stanie z moimi uprawami? - odezwała się.

Milczałem dłuższą chwilę i zmieniłem temat.

- A jak się miewa Elizabeth?

Ethel powróciła na ziemię i odparła:

- W porządku.

- To dobrze. - Słyszałem, że się rozwiodła, ale panie z pokolenia Ethel nie wspominają o takich sprawach. - Muszę do niej zadzwonić. - O mało nie powiedziałem, że Elizabeth musi przejrzeć rzeczy osobiste Ethel i zająć się dokumentami, ale to mogłoby utwierdzić staruszkę w przekonaniu, że jedną nogą stoi już w grobie, a drugą nadepnęła właśnie na skórkę od banana, więc ugryzłem się w

język. - Musimy wspólnie zorganizować dla ciebie opiekę w domu.

Mamienie jej nadzieją, że wróci do domu, wyraźnie ją denerwowało. Mnie zresztą też.

- Ja umieram, panie Sutter. Nie powiedzieli panu?

- Ja...

- Dlatego leżę w hospicjum, a nie w szpitalu.

- Rozumiem.

- Proszę tylko o to, żeby pan zajął się po mojej śmierci wszystkimi sprawami.

- Po to tu jestem.

- Dziękuję. Nie będę pana długo zatrzymywała w Ameryce.

Chciałem odpowiedzieć „nie ma pośpiechu”, ale zamiast tego rzekłem:

- Zostanę tak długo, jak to będzie konieczne. I dziękuję za gościnę - dodałem.

- Dawniej płacił pan za pobyt, mam nadzieję, że teraz też pan to robi - przypomniała mi.

- Oczywiście - odparłem i dodałem w myślach: Czek wysłałem pocztą, Ethel.

Żeby ją uspokoić, dodałem:

- Powiedz mi, ile teraz wynosi czynsz, pieniądze prześlę na twoje konto.

- Tyle samo co dziesięć lat temu.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Kwotę musi pan znaleźć w starych rachunkach.

- Ja z kolei nie wezmę ani centa za usługi prawnicze.

- Dziękuję. Jak długo pan tu zostanie, panie Sutter?

Nawet gdybym znał odpowiedź, nie wyjawilibym tego nikomu, kto ma kontakt z Susan.

- Panie Sutter? Wraca pan do Londynu? Czy może zostaje pan tutaj?

- Sam jeszcze nie wiem.

- Czy to znaczy, że może pan zostanie?

- To znaczy, że jeszcze nie wiem.

Wyczuła w moim głosie nutę irytacji, więc zmieniła temat.

- Czy z moim testamentem wszystko w porządku?

- Raczej tak. Muszę przynieść ci kilka dokumentów do przejrzania, może będziesz musiała jeszcze złożyć kilka podpisów.

- Proszę nie czekać z tym cały tydzień.

- Przyjdę w sobotę albo w niedzielę.

- Niedziela to dzień święty.

- Jasne. W takim razie w sobotę albo w poniedziałek.

Nigdy nie potrafiłem do końca zrozumieć tych starych chrześcijańskich socjalistów. Żeby było jasne, nie widzę tu sprzeczności, socjalista może być osobą religijną - socjalistyczna sprawiedliwość, gdzie sędzią jest Jezus - ale Ethel była chyba jedną z ostatnich z tego rodzaju.

Zauważyłem na jej stoliku kilka czasopism; żadne z nich nie było lewicowym pismem, które zwykle czytała. Były to głównie miesięczniki poświęcone domowi i ogrodowi, ekskluzywne pisma z Long Island, w których, jak pamiętałem, odnotowywano każdy krok sławnych i bogatych, informowano o balach dobroczynnych i restaurowaniu dawnych rezydencji. Może Ethel zbierała nazwiska bogaczy, żeby po rewolucji założyć dla nich obóz reedukacyjny.

A może w obliczu śmierci zrozumiała, że jakiegokolwiek zmiany w Ameryce będą miały charakter wyłącznie kosmetyczny. Fundamenty pozostaną nienaruszone.

Pani Knight, tak jak obiecała, wetknęła głowę w szparę w drzwiach i spytała:

- No i jak się mamy?

Dlaczego ludzie pracujący w szpitalach są tak przywiązani do pierwszej osoby liczby mnogiej? Miałem ochotę odpowiedzieć: „Jeśli o mnie chodzi, czuję się dobrze. Ale pani pacjentka nadal umiera”. Nim zdążyłem otworzyć usta, odpowiedzi udzieliła za mnie Ethel:

- Wszystko w porządku. Dziękuję, Diane.

- Proszę dzwonić, jeśli będę potrzebna.

Potrzebowałem szklaneczki szkockiej z wodą. Muszę zadzwonić!

- Dałam Elizabeth pisemne instrukcje dotyczące mojego pogrzebu. - Ethel wróciła do interesów. - Proszę dopilnować, żeby wszystko odbyło się z moją wolą.

- Elizabeth na pewno wypełni pani polecenia.

- Proszę tego dopilnować.

- Oczywiście.

- Ona ma charakterek i lubi robić wszystko po swojemu.

Ciekawe, po kim to odziedziczyła?

- Wybrałam sukienkę do trumny. Niech Elizabeth ją odszuka.

- Naturalnie. - Jest rzeczą oczywistą, że kiedy się umiera, ma się mnóstwo spraw na głowie. Nie jestem pewien, czy potrafiłbym być tak spokojny i dobrze zorganizowany jak Ethel. Ja, na szczęście, umrę na atak serca albo wpadnę pod

autobus i niech się inni martwią.

- Proszę też nie zapomnieć, żeby Elizabeth porozmawiała z ojcem Hunningsem.

- Przypomnę jej.

Wielebny Hunnings był, i jak sądzę, w dalszym ciągu jest, pastorem kościoła episkopalnego pod wezwaniem Świętego Marka. Serdecznie go nie lubiłem, zresztą on, gdyby go było stać na szczerłość, powiedziałby o mnie to samo. Przejeżdżałem obok kościoła w Locust Valley i widziałem, że wciąż jego nazwisko widnieje u góry szyldu. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Tak właśnie należy się reklamować w bogatych parafiach i choć członków kościoła episkopalnego należałoby już wpisać na listę wymierających gatunków, to wciąż jest nas wystarczająco dużo, żeby ojciec Hunnings mógł zachować status, do którego przywykł.

- Rozmawiałaś z ojcem Hunningsem? - zapytałem Ethel.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Przychodzi tu prawie codziennie. To uroczy człowiek.

Hunnings nie powie pewnie tego samego o Ethel, kiedy dowie się ode mnie, że pani Allard zapisała kościołowi tylko pięćset dolarów.

Może to z mojej strony cynizm, ale nie mogę doczekać się tej rozmowy. Co więcej, zaproszę go na odczytanie testamentu. *Kościołowi episkopalnemu pod wezwaniem Świętego Marka przekazuję...* - tu odpowiednia przerwa dla zbudowania napięcia, uśmiech - *pięćset dolarów*. Nie wydaj ich od razu, Jim.

- Panie Sutter? Dlaczego pan się uśmiecha?

- Och, ja tylko... a jak się miewa pani Hunnings? Wspaniała kobieta, prawda.

- Wszystko u niej w porządku. Chodzi pan do kościoła?

- Niestety nie.

- Powinien pan. Pańska żona chodzi.

- Moja była żona.

- Omówiłam z ojcem Hunningsem szczegóły mojego pogrzebu.

- To dobrze

- Nie podobał mi się pogrzeb George'a.

Mnie też się nie podobał, ale George nie przywiązywał do tego wagi i nie pozostawił instrukcji Hunningsowi.

- Wybrałam czytanie i hymny.

Ciekawe, czy wybrała także dzień. Jeśli tak, chciałbym znać datę.

- Będę pochowana na cmentarzu Stanhope'ów.

Skinąłem głową. Stanhope'owie, jak już kiedyś powiedziałem, potrzebowali za życia ogromnych przestrzeni, ale po śmierci wystarczyło im kilka akrów prywatnego cmentarza rodzinnego. Na dodatek, na wzór faraonów, zawierali porozumienie ze służbą, która po śmierci spoczywała u ich boku. Oczywiście nie zabijali służących, oferowali tylko darmowe miejsce na swoim cmentarzu jako dodatkowe świadczenie. I rzeczywiście, w „ogrodzie kości Stanhope'ów”, jak nazywałem ten cmentarz, leżało wielu służących, w tym także George. Dla mnie chyba też przewidziano tam miejsce, choć nie wiem, czy przez rozwód go nie straciłem.

- Będę blisko George'a - powiedziała Ethel.

- Naturalnie. - Biedny George.

Przypomniałem sobie, jak dziesięć lat temu, po pogrzebie George'a, Ethel gdzieś się zawieruszyła. Poszedłem jej poszukać. Ethel Allard stała nad grobem swojego dawno zmarłego pracodawcy i kochanka, Augustusa Stanhope'a i płakała. Odwróciła się wtedy do mnie i powiedziała: „Tak bardzo go kochałam... ale to nie miało prawa się stać. Nie w tamtych czasach. Wciąż mi go brak...”.

Patrzyłem teraz na leżącą na łóżku Ethel, kobietę, z której powoli uchodziło życie, i próbowałem ją sobie wyobrazić taką, jak na starych fotografiach - młodą, piękną dziewczynę, która urodziła się w świecie gdzie tak wiele rzeczy było niemożliwych.

Teraz wszystko było możliwe - a przynajmniej tak nam się wydawało - ale wcale nas już to tak bardzo nie cieszyło.

- Znów go zobaczę - powiedziała Ethel, utkwivszy we mnie swoje spojrzenie.

Nie byłem pewien, czy zaimek „go” odnosi się do George'a, czy do Augustusa, poza tym nurtowało mnie pytanie, jak w niebie podchodzi się do sprawy trójkątów.

- Tak, zobaczysz - odparłem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wszystkich swoich przyjaciół i krewnych, którzy odeszli przede mną - rzekła bardziej do siebie niż do mnie.

Nie odpowiedziałem.

Kontynuując temat spotkań rodzinnych, Ethel poinformowała mnie:

- Pani Sutter chciałyby się z panem spotkać.

Udałem zaskoczenie.

- Moja matka i ja rzadko ze sobą rozmawiamy.

- Mówiłam o pańskiej żonie.

- Byłej żonie.

- Ona jest bardzo zawiedziona, że pan do niej nie zadzwonił.

Ta wiadomość była dla mnie całkowitym zaskoczeniem i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Właściwie poczułem się podle.

- Telefony działają w dwie strony - odparłem buńczucznie.

- Panie Sutter, jeśli wolno mi się wtrącić, powinien pan wybaczyć i zapomnieć.

Natychmiast przybrałem ton godny dziedzica przemawiającego do służącej.

- Pani Allard, wybaczyłem, zapomniałem i nie mam ochoty więcej na ten temat mówić.

Niestety Ethel miała ochotę, a znajdowała się w tej wyjątkowej sytuacji, że mogła bez żadnych konsekwencji powiedzieć, co tylko chciała.

- Rani pan i ją, i siebie.

Mój Boże. Zrzedliwa stara Ethel Allard w obliczu niebiańskiego światła postanowiła na koniec zrobić coś dobrego, żeby miała o czym opowiadać świętemu Piotrowi.

Poza tym Ethel wiedziała co nieco na temat cudzołóstwa i słabości ludzkiego ciała, więc łatwiej jej było zrozumieć Susan. Innymi słowy. Susan i Ethel coś łączyło, a mianowicie obie kiedyś przekroczyły pewną nieprzekraczalną granicę. Były to oczywiście dwa zupełnie różne przypadki z zupełnie innymi konsekwencjami, ale łączyło je to, że przy łóżku obu dam stała para męskich butów, które nie należały do ich mężów.

Byłem trochę podenerwowany, więc zapytałem tylko czysto hipotetycznie:

- A czy George by ci wybaczył, gdybyś...

- On mi wybaczył.

- Och... - Nigdy nie przypuszczałem, że George wie o romansie z Augustusem.

Cóż, w takim razie George był wielkoduszny. Ja nie. W nagrodę George otrzymał darmowy dom.

- Uważam ten temat za zakończony - przypomniałem jej i spojrzałem na zegarek. - Chyba już pójdę.

- Jak pan sobie życzy.

Wstałem, ale zamiast ruszyć w stronę drzwi, podszedłem do okna. Pomiędzy drzewami połyskiwała w słonecznym świetle tafla wody cieśniny.

- Co pan widzi?

Spojrzałem na Ethel.

- Niech pan powie, co pan widzi.

Wziąłem głęboki wdech.

- Widzę promienie słońca odbijające się od wody. Widzę drzewa z liśćmi błyszczącymi od deszczu. Widzę błękitne niebo i kilka obłoków na horyzoncie. Widzę port Hempstead i cumujące w nim łodzie, widzę brzeg cieśniny i szybujące nad wodą stada mew.

- Piękny widok, prawda?

- O, tak.

- Powinnaś to wcześniej dostrzec.

- Wszyscy powinniśmy.

Oboje milczeliśmy dobrą minutę, w końcu podszedłem do jej łóżka. Ścisnęła w rękę pluszowego misia, a w oczach miała łzy.

Wyjąłem z pudełka chusteczkę i otarłem jej policzki. Chwyciła mnie za rękę.

- Dziękuję, że przyszedłeś, John.

Dłoń miała zimną i suchą i to jeszcze wyraźniej niż jej wygląd uświadomiło mi, że koniec jest już bliski.

Uścisnęła moją rękę mocniej i powiedziała:

- Wiesz o tym, że nigdy cię nie lubiłam?

Uśmiechnąłem się.

- Wiem.

- Ale cię szanowałam.

Wyznania na łożu śmierci dopuszcza się jako dowód w sprawie, bo są najczęściej szczerze.

- Dziękuję.

- Jesteś dobrym człowiekiem. Niewielu jest dzisiaj takich.

Przyznałem jej rację.

- Pogubiłeś się, John. Odszukaj drogę do domu.

- Próbuję.

- Zadzwoń do niej. I zadzwoń do matki. I do dzieci. Wyciągnij rękę do tych, których kochasz albo kiedyś kochałeś.

- Zrobię to.

Ścisnęła ponownie moją rękę i powiedziała:

- Do widzenia.

Odwzajemniłem uścisk, uwolniłem dłoń i odszedłem od łóżka. Potem

wróciłem, pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Szybko wyszedłem z pokoju i ruszyłem w stronę windy.



## ROZDZIAŁ 10

Wyszedłem z hospicjum Fair Haven na zalany słońcem parking, wciągnąłem głęboko świeże powietrze zadowolony, że już jestem na zewnątrz, ale byłem szczęśliwy, że tu przyjechałem.

Chociaż nigdy z Ethel nie przepadaliśmy za sobą, była jednym z moich ostatnich łączników z przeszłością i z George'em, którego bardzo lubiłem. Szczerze mówiąc, czułem smutek.

Ze względnej równowagi ducha wyprowadziły mnie też wzmianki o Susan. Byłem absolutnie szczęśliwy, obnosząc się ze swoją urazą, i wcale nie chciałem słyszeć, że Susan jest...

Zdałem też sobie sprawę, że Susan może tu przyjechać z wizytą, a nie miałem ochoty na nią wpaść. Idąc w kierunku samochodu, rozglądałem się nerwowo na boki.

Moja matka także mogła wpaść na pomysł, żeby odwiedzić swoją koleżankę-socjalistkę. W Ameryce polityka przekracza wszystkie bariery - klas społecznych, rasy, pochodzenia i ilorazu inteligencji.

Na swoją obronę chciałem powiedzieć, że wcale nie byłem wyrodnym synem Harriet Sutter. To ona była złą matką; bardziej interesowało ją zbawianie świata niż wychowywanie dwójki dzieci. Mój ojciec był przyzwoitym, choć nieco chłodnym w obejściu człowiekiem, tymczasem jego żona nie miała czasu ani dla mnie, ani dla mojej siostry Emily, ani dla moich dzieci. Co ciekawe, Harriet była i pozostała nadal blisko związana z szaloną Susan. Nawet fakt, że Susan mnie zdradziła, nie wpłynął na zmianę jej opinii o synowej. Prawdę mówiąc, matka próbowała mnie przekonać, żebym zrozumiał to, że Susan, jak to określiła, „zblądziła” (ja to nazywałem pieprzeniem się z innym facetem), i zasugerowała pomoc psychologa, gdyż ten pozwoli mi lepiej zrozumieć moje błędy, które mogły mieć wpływ na niezaspokojenie Susan.

Wszystko to gówno prawda. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak Ethel Allard i Harriet Sutter plotkują przy herbatce, zastanawiając się, dlaczego głupi John zawiązał sobie na supeł zawartość swoich portek po tym niefortunnym potknięciu kochanej, biednej Susan. Ethel mogę wybaczyć. Mojej matce nigdy.

Była jeszcze jedna osoba, na którą nie miałem ochoty się natknąć. Wielebny James Hunnings był irytująco serdeczny wobec mnie i wszystkich, którzy go nie darzyli sympatią. Mówił zawsze w taki sposób, jakby stał na scenie; w jego głosie i

sercu nie było ani krzty szczerości. Ale jeśli go spotkam, wspomnę mu o tym, że Ethel uwzględniła kościół Świętego Marka w swoim testamencie. I jeszcze mrugnę do niego.

Na nikogo po drodze się nie natknąłem i już miałem wsiadać do samochodu, kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzwiami i kobiecy głos:

- John Sutter.

John Sutter to ja, więc odwróciłem się i ujrzałem Elizabeth Allard, która zbliżała się w moim kierunku z pudełkiem ciastek w ręku.

Podszedłem do niej.

- Jak się masz, Elizabeth?

Podaliśmy sobie ręce i, za obopólną aprobatą, serdecznie się uściskaliśmy.

- Świetnie wyglądasz, John.

- Ty też. - Elizabeth była rzeczywiście atrakcyjną kobietą, a kiedy była młodsza, wyglądała tak samo jak jej matka na ślubnej fotografii nad kominkiem.

Jak już wspominałem, była na tyle podobna do George'a, że nie musiałem się martwić, czy nie jest przypadkiem moją... kim? Nieślubną córką dziadka mojej byłej żony i dziedziczką fortuny Stanhope'ów.

Właściwie wiedziałem, że wiek Elizabeth wyklucza, by była owocem romansu z czasów drugiej wojny światowej. Ale jeśli ta znajomość trwała także po wojnie? Czy to nie jest przypadkiem nos Stanhope'ów?

- Wchodzisz czy wychodzisz? - zapytała.

- Sam nie wiem.

Uśmiechnęła się. Usta Stanhope'ów?

- Właśnie wyszedłem od twojej matki. Wygląda całkiem dobrze.

- To miło, że ją odwiedziłeś.

- Znam twoją matkę od bardzo dawna. - Uśmiechnąłem się, - Nawet razem mieszkaliśmy.

Elizabeth odwzajemniła uśmiech.

- Przykro mi z powodu twojego ojca, John. Powinnam była wysłać ci kartkę.

- Byłem na morzu - odparłem.

- Wiem... To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Było. - A moja matka uczyniła to jeszcze trudniejszym.

Ciekawe, czy dostrzegła ukrytą ironię w tym, że nazwała mnie sukinsynem.

- Zamierzałam napisać do ciebie, kiedy byłeś w Londynie. Mam adres od twojej matki.

- Naprawdę?

Ciekaw byłem, czy Elizabeth poprosiła ją o mój adres, czy matka sama go jej dała. Znajac Harriet, pewnie to ostatnie. Tak czy owak, Elizabeth nie przysłała tej kartki. Zresztą co miała napisać?

*Drogi Johnie, szkoda, że nie uczestniczyłeś to pogrzebie swojego ojca.  
Wszyscy o ciebie pytali*

Minęło osiem lat, a ja wciąż miałem poczucie winy.

- Dowiedziałem się o śmierci ojca po miesiącu.

Elizabeth pokiwała głową.

- Przed wyjazdem odwiedzę jego grób.

Znów pokiwała głową i zmieniła temat.

- Jak ci tam w Londynie?

- Dobrze.

- Długo tam zostaniesz?

- Nie wiem.

Nie wiedziałem także, jakie właściwie związki łączą mnie z Elizabeth. Czy byliśmy przyjaciółmi z racji tego, że od dziesięcioleci znałem jej ojca i matkę? Czy tylko zwykłymi znajomymi, bo widywałem ją bardzo rzadko, przy okazji jakichś rodzinnych uroczystości?

- Przykro mi, że się rozwiódłś - zmieniłem temat.

Elizabeth Allard, córka służących, dobrze wyszła za mąż. Nazywał się Tom Corbet i pochodził z tak zwanej dobrej rodziny. Podobnie jak ja ukończył Yale i pracował na Wall Street. I podobnie jak ja jeździł do pracy tym samym pociągiem. Przypomniałem sobie, że ze względu na interesy Elizabeth używała panieńskiego nazwiska, ale w towarzystwie była panią Corbet. Państwo Corbet dochowali się dwójki dzieci, chłopca i dziewczynki. Teraz pewnie kończyły już college. Tom Corbet był straszliwym nudziarzem, ale raz wszystkich zaskoczył - kilka lat temu odkrył, że jest gejem. Dlatego rozwód był chyba najlepszym rozwiązaniem.

Na wypadek gdybym tego nie wiedział, Elizabeth dodała:

- Tom ma przyjaciela.

- Tak... No cóż... - To musiało być dla niej naprawdę trudne, kiedy Tom posadził ją i powiedział, że w jego życiu jest inny mężczyzna.

Przecież to ona powinna wypowiedzieć taką kwestię.

- Przykro mi z powodu Susan i ciebie - zmieniła temat.

- Słyszałaś o tym?

Zmusiła się do uśmiechu i przypomniała mi:

- Było o tym głośno.

- To prawda. Ale minęło już tyle lat. - Elizabeth była właścicielką trzech czy czterech ekskluzywnych butików w pobliskich miejscowościach, więc zapytałem ją: - Jak interesy?

- Nieźle, jeśli weźmie się pod uwagę, że giełda się wali, a ludzie po jedenastym wrześniu i tych historiach z wąglikiem wolą kupować kombinezony kosmiczne i żarcie w konserwach. - Uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Może powinnam zacząć sprzedawać najmodniejsze modele masek gazowych?

Odwzajemniłem uśmiech. Zwykle nie zwracam uwagi na kobiece stroje, chyba że są wyjątkowo ekstrawaganckie, ale pamiętałem, że Elizabeth zawsze ubierała się w sposób klasyczny, a nie w dziwaczne stroje, które wisały na wieszakach w jej sklepach. Ale dzisiaj odwiesiła do szafy swój starannie odprasowany żakiet - a może zabrał go Tom - i miała na sobie różową bluzkę z falbankami, która podkreślała jej opaleniznę, i czarną jedwabną niesięgającą kolan spódnicę. Może doszła do wniosku, że jej dawny, zdecydowanie męski strój był powodem tego, że Tom... no cóż, nie będę się nad tym rozwodził, ale...

Przerwała mój tok myślenia i wróciła do tego, co mówiła o kombinezonach i maskach gazowych.

- Ludzie to mięczaki. Co się dzieje w tym kraju?

- Nie wiem. Dopiero co przyjechałem.

Powinienem jeszcze wspomnieć, że Elizabeth była lokalną i to zaangażowaną działaczką republikańską, bo trzeba wam wiedzieć, że działalność pozostałych republikanów w tej okolicy ograniczała się do gry w golfa i picia.

Tak czy inaczej, jej działalność polityczna, członkostwo w The Creek Country Club i Izbie Handlowej w Locust Valley były podyktowane raczej względami biznesowymi niż przekonaniem. W każdym razie jej działalność polityczna była źródłem nieustającej troski i niedowierzania ze strony Ethel. Wyobrażałem ją sobie, jak skarży się George'owi: „Jak moje dziecko może być republikanką? To twoja wina, George!”.

- A co mówi się w Londynie? - zapytała.

- Że oni będą następnym celem.

Pokiwała głową.

Elizabeth Allard Corbet miała falujące kasztanowe włosy do ramion, duże, wyraziste brązowe oczy, nos z dość szerokimi nozdrzami (jak u George'a) i zmysłowe wargi, na których zwykle gościł lekki uśmiezek. Jednym słowem, była zgrabną kobietą o miłym głosie i dobrych manierach - a wszystko dlatego, że wychowała się na terenie posiadłości.

Mężczyźni uważali oczywiście, że jest pociągająca, chociaż nie była w moim typie (jak widać, nie była też w typie Toma). Kobiety, jak mi się zdawało, także ją lubiły. A Susan na pewno, to pamiętam.

- Pewnie wiesz, że Susan tu wróciła?

- Owszem. Widziałam ją kilka razy. Raz nawet zjadliśmy razem lunch. A ty się z nią widziałeś? - zapytała.

- Nie.

- A zamierzasz?

- Nie. Ale pewnie i tak się z nią spotkam.

Gdyby mi na tym choć trochę zależało, mogliśmy pewnie ciągnąć ten temat jeszcze długo, bo Elizabeth, jak jej matka, chętnie by mi poopowiadała o Susan. Ale absolutnie sobie nie życzyłem, żeby jacyś ludzie byli przekąźnikami wiadomości pomiędzy zwaśnionymi stronami. Dlatego szybko zmieniłem temat.

- A jak twoje dzieciaki?

- Tom junior kończy college Browna, a Betsy już skończyła college Smitha i studiuje sztuki piękne na Uniwersytecie Pensylwanii.

- Musisz z nich być bardzo dumna.

- Jestem. - Uśmiechnęła się. - Gdyby nie ich poglądy polityczne. Wygląda na to, że miękki liberalizm występuje u nas w co drugim pokoleniu. Ale mama oczywiście jest wniebowzięta.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

- Susan opowiadała mi o Edwardzie i Carolyn.

- To dobrze.

Jeśli chodzi o geny, to Elizabeth po matce ma silną wolę i bywa, że jest nieco surowa w obejściu, ale przeważnie jest bezpośrednia, uprzejma i pracowita jak jej ojciec. A czy wspomniałem już, że uczyła się w ekskluzywnym college'u Bryn Mawr, za który płacił Augustus Stanhope? Tarzanie się na sianie z Ethel kosztowało Augustusa o wiele więcej, niż mógł się spodziewać. Nie wspominając o bezsennych nocach.

Czasy się zmieniły i dzisiaj społeczeństwo bardziej liberalnie podchodzi do

spraw seksu, zachowania seksualne są znacznie bardziej liberalne, ale nadal cudzołóstwo nie jest akceptowane i przychodzi za nie płacić wysoką cenę. Zapytajcie Susan Sutter. Albo Johna. Albo Franka Bellarose... nie, on już nic wam nie powie.

- Teraz, kiedy mama... jest u kresu drogi... coraz częściej myślę o ojcu. Brakuje mi go - wyznała Elizabeth.

- Mnie też.

Gdyby nie sztuczna i anachroniczna bariera klasowa, można by uważać George'a Allarda i mnie za przyjaciół. George, podobnie jak wielu służących starej daty, był bardziej cesarski od cesarza i naprawdę wierzył w to, że miejscowe ziemiaństwo stoi wyżej na drabinie społecznej. Kiedy jednak któryś ze szlachetnie urodzonych pozwalał sobie na zbyt wiele albo zaczynał się zachowywać niewłaściwie (co było zjawiskiem częstym), George z szacunkiem przypominał mu o jego obowiązkach dżentelmena i w sposób uprzejmy, ale stanowczy doradzał zmianę postępowania. Myślę, że moje zachowanie było dla niego prawdziwym wyzwaniem, a zaprzyjaźniliśmy się dopiero wtedy, gdy George się poddał.

- Jeśli masz czas, może wejdiesz ze mną na górę albo zaczekasz tu na mnie? - zaproponowała Elizabeth. - Będę tam tylko kwadrans. Potem moglibyśmy pójść na drinka. - Żeby jej opacznie nie zrozumiał, dodała: - Chciałabym z tobą porozmawiać o testamencie mamy i wszystkich tych sprawach, o których musimy porozmawiać.

- Ja też muszę z tobą pogadać. Jak wiesz, jesteś wykonawczynią testamentu. Oprócz kilku niewielkich zapisów dziedzicysz po niej wszystko. Ale niestety, mam na dzisiejsze popołudnie inne plany.

- Cóż...

Cały czas obawiałem się, że pojawi się tu Susan, moja matka albo ojciec Hunnings. Ale może tak byłoby lepiej? Już sobie wyobrażałem reakcję mojej byłej żony, byłej matki i byłego przewodnika duchowego, kiedy zobaczyliby, że rozmawiam z atrakcyjną rozwódką.

Gdybym chciał uruchomić plotkarską maszynę, powinienem wyjaśnić, że jestem umówiony na kolację z bossem mafii, ale przez freudowską pomyłkę powiedziałem:

- Jestem umówiony na kolację z potencjalnym klientem.

- Ooo! Czy to oznacza, że zostajesz?

- Jeszcze nie wiem. A może jutro wieczorem? Masz czas?

- Niestety, jem w tym czasie kolację z przyjaciółkami. - Uśmiechnęła się. - W

czwartki urządzamy sobie babskie przyjęcia. Ale jak chcesz, możesz wpaść na drinka.

- Eee... raczej nie. - Zastanawiałem się, czy nie zaprosić jej na kolację w piątek wieczorem, ale to by wyglądało raczej na weekendową randkę niż spotkanie biznesowe.

- Chciałbym, żebyś zrobiła szybki przegląd rzeczy osobistych mamy i ojca i przejrzała trochę dokumentów. Poza tym matka prosiła, żebyś odnalazła jej sukienkę, którą chce mieć na sobie... więc może wpadniesz w sobotę albo niedzielę do stróżówki?

- Pasuje mi w sobotę po południu. Może być o czwartej?

- Brama będzie otwarta.

Uśmiechnęła się.

- Znam kod do otwierania bramy - wyjaśniła mi. - Śpisz w moim dawnym pokoju.

- Wiem.

- Chciałabym go po raz ostatni zobaczyć. Nie masz nic przeciwko temu?

- Czy muszę posprzątać?

- Nie. Jeśli będzie czysto, to go nie poznam.

Uśmiechnąłem się. Ona też.

- Jeżeli masz jakąś furgonetkę, możemy wywieźć rzeczy osobiste.

- Mam to... - wskazała sporego SUV-a. - Wystarczy?

- Powinno. Albo obrócimy kilka razy. Powinnaś też zamówić firmę do przewiezienia mebli.

- John, czy uważasz, że powinnam kupić stróżówkę? - zapytała nieoczekiwanie.

- Czy ona jest na sprzedaż?

- Nie wiem. Zapytam pana Nasima. Dlaczego chcesz ją kupić?

Wzruszyła ramionami.

- Nostalgia. Może w niej zamieszkać? Niepotrzebny mi duży dom w Mili Neck. Dzieci się wyprowadziły. Po rozwodzie dostałam dom. Tom zabrał moje buty i torebki.

- Uśmiechnęła się. - Albo wynajmę stróżówkę tobie, jeśli zostaniesz.

Odwzajemniłem uśmiech. Spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. W takim razie, do soboty, o czwartej.

- Gdyby się coś miało zmienić, znasz numer.

- Nie masz komórki?

- Tu w Stanach, nie.

- Okay... - Wręczyła mi pudełko z ciastkami, pogrzebała w torebce i znalazła wizytówkę. - Mój numer domowy i komórkowy.

Wymieniłem pudełko ciastek na wizytówkę.

- Do soboty.

- Dziękuję ci, John, za wszystko, co robisz dla mamy.

- Drobiazg.

- I za to wszystko, co robiłeś dla taty. Nigdy nie miałam okazji ci podziękować.

- Był dobrym człowiekiem.

- Nie widział poza tobą świata. Twój ojciec też był dobrym człowiekiem i... i rozumiał, przez co przechodzisz.

Nie odezwałem się już. Uściskaliśmy się serdecznie. Elizabeth ruszyła w stronę budynku, nagle zatrzymała się i odwróciła.

- Mam dla ciebie list od twojej mamy. Przyniosę w sobotę.

- Okay.

Patrzyłem, jak maszeruje w stronę budynku hospicjum, potem odwróciłem się i wsiadłem do samochodu.

Jadąc w stronę głównej drogi, odtwarzałem sobie w pamięci naszą rozmowę, jak ktoś, kto próbuje znaleźć jakieś ukryte treści pomiędzy wierszami. Staralem się zrozumieć mowę jej ciała i zachowanie, choć Elizabeth nie była łatwym obiektem do takiej analizy; a może, jak mi już mówiły niektóre kobiety, po prostu straciłem całą swoją subtelność. Kiedy teraz kobieta mi mówi: „Chodźmy na drinka, porozmawiamy o interesach”, traktuję to jako rozmowę o interesach. Aż dziw, że udało mi się kiedykolwiek zaciągnąć jakąś kobietę do łóżka.

Tymczasem czekała mnie nowa przygoda - kolacja z donem Anthonyem Bellarosą. Ethel, Elizabeth, Anthony. I wreszcie Susan.

Życie mknie przez czasoprzestrzeń, aż tu nagle wpada się w czarną dziurę, która cofa człowieka do przeszłości. Człowiek wszystko wokół rozpoznaje, bo już tu kiedyś był, ale nie wiadomo, czy po raz drugi losy potoczą się tak samo. „Doświadczenie” to inne określenie na bagaż, a pamięć jest naszym bagażowym.

Teraz miałem poważniejszy problem - zupa egg drop czy pierożki? Pałeczki czy widelec?

Skręciłem na parking przed chińską restauracją Wong Lee.



## ROZDZIAŁ 11

Na drzwiach wejściowych restauracji Wong Lee, obok nalepki z logo akceptowanych kart kredytowych, widniała wielka kalkomania amerykańskiej flagi. Zauważyłem Tony'ego (dawniej Anthony'ego), siedzącego za kierownicą dużego czarnego SUV-a, którego widziałem kilka dni temu na Grace Lane. Samochód miał przyciemniane szyby, ale szyba kierowcy była uchylona; na tylnym siedzeniu nie było Anthony'ego Bellarosy (znanego dawniej jako Tony). Tony spostrzegł mnie i zawołał:

- Cześć, panie Sutteh! Cześć! To ja, Tony. Jak się pan ma?

Trudno mi było - i chyba wszystkim w promieniu pół mili - zignorować jego nawoływania, więc podszedłem do samochodu i zwróciłem się do niego swoim najlepszym akcentem z St. Paul:

- Miewam się dobrze. Dziękuję za troskę.

- Świetnie pan wygląda. - Wyciągnął przez okno rękę, uścisnęliśmy sobie dłonie, potem otworzył drzwi i wysiadł. Ponownie chciał się przywitać, więc podałem mu dłoń.

- Szef jest w środku, czeka na pana.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że przyjechałem kwadrans za wcześnie. Ciekaw byłem, ile Anthony nauczył się od Franka, siedząc na jego kolanach, a ile odziedziczył w genach.

- I co tam słychać? - zagadnął Tony.

- Stara bieda.

- Tak? Wygląda pan świetnie.

Chciałem móc powiedzieć to samo o Tonym, ale przez ostatnie dziesięć lat bardzo się postarzał. Pewnie przez stresującą pracę.

- Ty też dobrze wyglądasz, Anthony - skłamałem.

- Tony.

- Jasne.

Wyjął z kieszeni czarnej dresowej bluzy paczkę papierosów i próbował mnie poczęstować. Odmówiłem.

- Szef mówi, że nie ma palenia w samochodzie - powiedział, zapalając papierosa.

- Słuszna zasada. - Samochód miał, jak zauważyłem, emblematy cadillaca na kołpakach i nazwę „Escalade” na przednich drzwiach. Na bocznej szybie znajdowała

się kalkomania amerykańskiej flagi.

Gdybym miał okazję rzucić okiem na tylny zderzak, na pewno znalazłbym tam naklejkę „Podmiejska mafia”.

Tony zaciągnął się i wrócił do tematu:

- Nigdzie już, kurwa, można palić.

Minęła dobra chwila, nim zauważyłem, że użył pojedynczego przeczenia i słowa na k... Uśmiechnąłem się.

A tak przy okazji, Tony miał na sobie buty do biegania i wcześniej wspomniany czarny dres. Frank Bellarosa z miejsca by go wywalił. Albo strzelił w jego kierunku.

Co ciekawe, w klapę dresowej bluzy Tony wetknął znaczek z amerykańską flagą. W pierwszej chwili byłem zaskoczony, ale szybko przestałem. Członkowie mafii zawsze uważali się za lojalnych, pełnych patriotyzmu Amerykanów.

- A jak się miewa pani Sutta? - ciągnął przesłuchanie Tony.

- Nie mam pojęcia.

Powinienem tutaj wspomnieć, że Susan była ulubienicą zbirów dawnego bossa, ona z kolei traktowała ich i ich dziwkowate panienki jak coś wyjątkowo egzotycznego. Nie podzielałem jej fascynacji tymi typkami i pewnie dlatego uważała mnie za snoba. Mogę się założyć, że Tony zmienił zdanie na temat pani Sutter po tym, jak załatwiła jego szefa.

- Nie widział się pan z nią?

Nie podobały mi się jego pytania na temat Susan.

- Nie. Ale cieszę się, że widzę ciebie...

- To były czasy, co?

- Pewnie.

- Pan, ja, szef, niech spoczywa w pokoju, ta kanalia Lenny, niech go piekło pochłonie, i Vinnie, niech spoczywa w pokoju.

W tabeli wyników mieliśmy zatem trzech martwych i dwóch żywych.

Szef, niech spoczywa w pokoju, został zabity przez wiadomo kogo, Vinniemu, niech spoczywa w pokoju, odstrzelono głowę, a ta kanalia Lenny, niech go piekło pochłonie, był kierowcą szefa i zdradził go, przez co doszło do strzelaniny w restauracji Giulia w Little Italy. Lenny przywiózł ze sobą dwóch zabijaków, a potem został znaleziony przez policję w bagażniku samochodu stojącego na parkingu lotniska Newark, z garotą na szyi. To przypomniało mi raz jeszcze, że ci ludzie byli gotowi na wszystko i nie można było im ufać.

- To były czasy - odezwałem się.

- No... A pamięta pan, jak rano federalni przyszedli po szefa? Ten kurdupłowaty makaroniarz, Mancuso. Pamięta pan?

Dżentelmen, o którym mowa, to agent specjalny FBI Felix Mancuso. Dyskutowaliśmy wcześniej o mojej pracy dla Franka Bellarosy. Mancuso przyszedł do Alhambry, żeby aresztować Franka pod zarzutem zamordowania kolumbijskiego handlarza narkotyków. Frank wiedział, że to nastąpi, dlatego byłem tam z nim jako jego adwokat. Lenny i Vinnie też tam byli w charakterze świadków, a Tony, jak pamiętam, siedział w stróżówce Alhambry. Felix Mancuso przyszedł sam, bez całej armii agentów. Chciał pokazać Frankowi, że ma co najmniej takie same jaja jak Beliarosa. Ale zanim założył Frankowi kajdanki, wziął mnie na stronę i próbował ratować moją duszę, radząc, żebym trzymał się z dala od Bellarosy, nim będzie za późno. Rada była dobra, ale już było za późno.

I oto teraz znów byłem bliski popełnienia głupstwa, choć zdawałem sobie sprawę, że mogę po prostu nie wchodzić do tej restauracji.

- Ja tu popilnuję, proszę iść - powiedział Tony. - Trzeci stolik po prawej.

Odwrociłem się i wszedłem do środka.

## ROZDZIAŁ 12

Trzeci stolik po prawej.

Nie zmieniło się tu w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ani nawet w ciągu ostatnich trzydziestu. Wnętrze było typowe dla chińskiej restauracji z lat siedemdziesiątych.

Anthony, jak było w zwyczaju ludzi jego profesji, siedział twarzą do drzwi. Miał dzięki temu dobre pole obserwacyjne i dogodną pozycję strzelecką, tyle że nikt nie chronił jego pleców. A może gdzieś w restauracji siedział jeszcze jakiś zbir?

Rozmawiał przez telefon, który trzymał w lewej ręce, podczas gdy prawą mógł sięgnąć po smażone pierożki albo po broń.

Może nieco przesadzam, opisując podjęte przez Anthony'ego środki bezpieczeństwa. W końcu to, na miłość boską, tylko podmiejska chińska restauracja. Widzieliście kiedyś w gazetach nagłówek: SZEFE MAFII ZASTRZELONY W CHIŃSKIEJ RESTAURACJI?

Z drugiej strony, kiedy przypomnieć sobie ostrożne zachowanie Anthony'ego przed stróżówką, może wiedział, że jego nazwisko znajduje się na liście facetów do odstrzelenia. I ja z kimś takim miałem jeść kolację? Przecież wyprawa do restauracji Giulia powinna być dla mnie nauką.

Anthony spostrzegł mnie, gdy tylko otworzyłem drzwi, uśmiechnął się i nie przestając rozmawiać, pomachał mi. Miał na sobie kolejną wersję tej samej ohydnej koszuli co poprzedniego wieczoru, ale teraz narzucił na nią jaskrawoniebieską sportową marynarkę. Hostessa zauważyła, że się znamy, i zaprowadziła mnie do stolika.

Dlaczego musiała posadzić mnie właśnie tutaj?

Anthony wciąż rozmawiał przez telefon, ale wyciągnął do mnie na powitanie dłoń.

- Okay... okay... przykro mi... tak... okay... - mówił do słuchawki.

Żona albo matka.

- Tak... jest tutaj, mam. Chce z tobą porozmawiać... tak... mam... - Zasłonił słuchawkę dłonią i odezwał się do mnie: - Wie pan, dlaczego włoskie matki są takimi świetnymi kuratorami sądowymi? Bo nikomu nie pozwolą dokończyć zdania. - Wręczył mi słuchawkę ze słowami: - Moja matka chce z panem porozmawiać.

Nie znoszę, kiedy ludzie oddają mi słuchawkę, mówiąc, że mam porozmawiać z kimś, z kim nie chcę rozmawiać, ale lubiłem Annę Bellarosę, więc wziąłem od

Anthony'ego telefon.

- W Glen Cove jest tyle włoskich restauracji, a ty go zabrałeś do żółtka? Ty chyba nie myślisz, Tony. Twój ojciec wiedziałby, co robić, a ty... - usłyszałem głos w słuchawce.

- Cześć, Anno, to...

- Kto mówi?

- John Sutter. Jak się miewasz?

- John! O mój Boże. Nie mogę uwierzyć, że to ty. O mój Boże. Jak się masz, John?

- Ja...

- Tony mówi, że świetnie wyglądasz.

- Anthony.

- Kto?

- Twój syn...

- Tony. Tony mówi, że spotkał cię wczoraj, że znów tu mieszkasz.

- Ja...

- Dlaczego nie poszliście do Stanco? Dlaczego jecie u żółtków?

- Pomysł z chińską restauracją był mój. Więc wróciłaś do Brooklynu?

- Tak, na stare śmieci. Do Williamsburgha. Od kiedy Frank... O mój Boże, John. Możesz uwierzyć, że on nie żyje?

- Właściwie tak.

- To już dziesięć lat, John, dziesięć lat, odkąd Frank... - Westchnęła głęboko, zaszlochała krótko i kontynuowała: - Bez Franka już nic nie jest takie samo.

To dobra wiadomość.

Wygłosiła krótki pean na cześć zmarłego męża, który musiała mieć przygotowany już wcześniej. Podkreślała jego zalety jako ojca.

- Chłopcom bardzo go brakuje. Za kilka dni jest Dzień Ojca, John. Zawsze w Dzień Ojca chłopcy zabierają mnie na cmentarz. Płaczą nad jego grobem.

- To musi być dla nich bardzo smutne.

Poinformowała mnie szczegółowo, jak bardzo jest to smutne. Nie powiedziała niczego specjalnego o zaletach Franka jako męża, ale też i nie wyrażała się o nim negatywnie.

Po raz ostatni widziałem ją na pogrzebie Franka. Nie wyglądała najlepiej, kiedy czarny tusz do rzęs spływał jej po policzkach. Mimo to była atrakcyjną kobietą - jej

pełne kształty, obfity biust, ładna cera, duże oczy i ponętne usta czyniły z niej boginię płodności. Ciekaw byłem, co się stało z jej urodą po dziesięciu latach wdowieństwa.

Anna paplała bez przerwy, a ja spojrzałem na Anthony'ego, który zupełnie się wyłączył i bezmyślnie mieszał swojego drinka, który wyglądał i pachniał jak szkocka z lodem. Zwróciłem na siebie jego uwagę i wskazałem na szklaneczkę. Kiwnął głową i przywołał kelnerkę.

Anna Bellarosa opowiadała o swoim życiu bez jej świętego męża, unikając przy tym jakiegokolwiek wzmianki na temat tego, że to moja ówczesna żona wpakowała we Franka trzy pociski kalibru .38.

Stało się to na antresoli palmiarni w Alhambrze. Frank miał na sobie szlafrok i kiedy wypadł przez barierkę i runął na wyłożoną czerwoną terakotą podłogę, poły szlafroka rozchyliły się, ukazując nagie ciało. Dotarło teraz do mnie, że ten widok w jakiś sposób został przeniesiony do mojego snu.

- On cię kochał, John. Naprawdę - mówiła Anna.

Dlaczego w takim razie pieprzył moją żonę?

- Zawsze powtarzał, jaki jesteś mądry. Jak mu pomogłeś, kiedy próbowali go zrobić w morderstwo.

Jak na ironię, Frank Bellarosa byłby bezpieczniejszy w więzieniu.

- Robiłem tylko to, za co mi płacił. - Wciąż był mi winien pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie. Robiłeś to dlatego, że go kochałeś.

- Masz rację. - Spisałem pięćdziesiąt tysięcy na straty i potraktowałem to jako nauczkę.

Przecież federalni skonfiskowali wszystkie jego dobra i zabrali mu książeczkę czekową.

Anna rozwodziła się dalej. Pojawiła się kelnerka, bardzo młoda Chinka; postukałem w szklaneczkę Anthony'ego i wskazałem na siebie, a ona przesunęła szklanekę w moją stronę.

Anthony'emu to się nie spodobało, zabrał swoją szklanekę i mruknął po włosku *Stonata*, co, jak pamiętałem, oznaczało coś w rodzaju debilki.

- Dlaczego ona to zrobiła? - zapytała ni z tego, ni z owego Anna.

- Hmm...

- John? Dlaczego?

- Cóż...

Cóż, dlatego że kochankowie się pokłócili. Jak sądziłem, Anna nie chciałaby

tego usłyszeć. Musiała o tym wiedzieć, pisano o tym w gazetach, wspomniano w telewizji, więc pytanie było głupie.

- Nie musiała tego robić, John.

- Wiem.

Ale Frank naobiecował jej różnych rzeczy, potem się z obietnic wycofał i wzgardzona Susan go zastrzeliła.

Kiedy go widziałem, krew wokół trzech ran postrzałowych już zakrzepła. Naokoło głowy widniała duża plama krwi powstała od uderzenia czaszką o podłogę. Miał otwarte oczy, więc zamknąłem mu je, co bardzo wkurzyło ekipę dochodzeniową.

- John? Czy ona ci powiedziała dlaczego?

- Nie. - Właściwie powiedziała, tyle że kłamała.

- Dlaczego ona wróciła? - zapytała Anna.

- Nie wiem.

- Widziałeś się z nią?

- Nie.

- Powinna smażyć się w piekle za to, co zrobiła.

Trochę mnie zdenerwowała sugestia Anny, że jej święty mężulek, Frank Biskup Bellarosa, był niewinną ofiarą zamordowaną z zimną krwią przez złą kobietę. Daj spokój, Anno. Twój mąż był szefem mafii, sam pewnie był też mordercą, a na pewno cudzołoznikiem, i pewnie pieprzył się z innymi kobietami częściej, niż miał na obiad podawane spaghetti. Żeby mnie dobrze zrozumiała, powinienem powiedzieć Annie: „Ma, na co zasłużył”. I co więcej, Anno, jeżeli już ktoś smaży się w piekle, to twój mąż. Ale zamiast tego powiedziałem:

- Słuchaj, Anno... Tony chce z tobą porozmawiać...

- Nie powinniście tam jeść. Skąd wiecie, co oni dodają do jedzenia?

- Masz rację. Okay...

- Jak będziesz w Brooklynie, wpadnij na kawę albo przyjdź do Tony'ego na obiad w najbliższą niedzielę. Coś ugotuję.

- Dziękuję. Uważaj na siebie. Ciao. - Oddałem słuchawkę Anthony'emu, który dla mamusi zawsze pozostanie Tonym.

- Tak, mamó. Oczywiście... okay... okay... - Anthony pocił się przy telefonie. - Dobrze. Powiem jej, żeby zadzwoniła. Jest zajęta dziećmi, i ty też możesz do niej zadzwonić...

Biedny Tony. Harriet Sutter zaczęła się lepiej prezentować. W końcu rozłączył

się, rzucił telefon na stół, dopił swoją whisky i powiedział:

- Jaka jest różnica pomiędzy włoską matką a rottweilerem?

-Jaka?

- Rottweiler w końcu puszcza.

Uśmiechnąłem się.

Anthony zapalił papierosa i przez chwilę milczał.

- Co mówiła?

- O twoim ojcu.

Pokiwał głową i porzuciliśmy ten temat, a właściwie pewnie odłożyliśmy go na później.

Kelnerka przyniosła dwie szkockie i postawiła je przed nami na stoliku.

- Zamówią coś panowie? - zapytała.

- Nie dostaliśmy pieprzonego menu - poinformował ją Anthony i dodał: - *Cretino*.

Może rzeczywiście powinniśmy byli pójść do Stanco.

Anthony uniósł swoją szklaneczkę, a ja swoją. Stuknęliśmy się. On powiedział *salute*, a ja „zdrowie”.

- Mama i Megan - to moja żona - nie są w najlepszych stosunkach.

- To kłopotliwe.

- Tak, kłopotliwe. Megan jest Irlandką, a Irlandczycy mają inne... jak to się nazywa...?

- Tradycje? Zwyczaje?

- No właśnie. Ale przecież nie ożeniłem się z żadną *melanzane*.

- Jasne. - *Melanzane* znaczy bakłażan, a trudno ożenić się z bakłażanem, ale we włoskim slangu oznaczało to także czarnucha.

Skoro już poruszyliśmy temat małżeńskiego szczęścia na przedmieściach, z czystej ciekawości zapytałem:

- Jak ci się mieszka na osiedlu Alhambra?

Wzruszył ramionami.

- Jest okay... ale chcę się przeprowadzić do miasta. W Nowym Jorku mieszka milion fajnych lasek.

- To nie powinno interesować żonatego mężczyzny.

Uznał, że to zabawne.

- Już prawie udało mi się ją przekonać, ale po jedenastym września - zapomnij.



- To dobre miejsce do wychowywania dzieci.

- Tak. Mam dwoje. Chłopca, Franka, ma pięć lat i dziewczynkę, Kelly Ann - Ann po mojej matce. Kelly to panieńskie nazwisko Megan. Moja matka powiedziała...

- Nieudolnie spróbował naśladować jej głos: - Tony, co to za nazwisko Kelly? Jedyne Kelly, jakiego znałam w Williamsburgu, był pijakiem. - Roześmiał się, później zdał sobie sprawę, że złamał świętą zasadę, że nie wolno źle mówić o rodzinie, i zakończył:

- Proszę o tym zapomnieć.

Wrócił do tematu mieszkania na prowincji.

- Czy wie pan, że droga, która biegnie obok posesji, jest prywatna? Grace Lane jest prywatną drogą.

- Wiem.

- Była strasznie zniszczona, a te skąpe bydlaki nie chciały jej utwardzić. W końcu zatrudniłem do tego jedną ze swoich firm.

To było ciekawe i mówiło co nieco o Anthony. Jego ojciec nie dbał o to, co o nim mówią, najważniejsze dla niego było, żeby go szanowali i bali się go. Tymczasem Anthony szukał akceptacji. Ale przecież trudno wymagać, żeby ograniczeni prowincjusze zaakceptowali jako sąsiada szefa mafii. Sam miałem z tym problem.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Myśli pan, że usłyszałem jakieś podziękowania? Ani jeden kutas mi nie podziękował.

- Cóż, ja ci dziękuję. Droga wygląda świetnie.

- Pieprzę ich, powinienem ją rozwalić.

- Wstrzymaj się. Może szykują ci przyjęcie - niespodziankę.

- Żebym ja im nie sprawił niespodzianki.

Nie spuszczaaj łomotu swoim sąsiadom, Anthony. Twoje dzieci i tak mają już dość kłopotów przez to, że jesteś szefem mafii. Zawahałem się i zapytałem go:

- Czy deweloper zostawił sadzawkę i posąg Neptuna?

- Co? A tak, pamiętam go z dzieciństwa. Tam były takie niby-rzymskie ruiny i ogród. Ładne miejsce. Pamięta pan?

- Oczywiście. Jest tam jeszcze to wszystko?

- Nie. Wszystko rozwalili. Teraz stoją tam tylko domy. Dlaczego pan pyta?

- Ot tak, z ciekawości.

- Lubilem to miejsce. Kiedyś w tej sadzawce kąpałem się na golasa - poinformował mnie. - Z koleżanką z college'u, która miała mi udzielać korepetycji.

- Z jakiego przedmiotu?

Roześmiał się, a potem zatopił we wspomnieniach. Ja dzięki temu miałem czas, żeby się zastanowić, jak stąd zwać. Rozejrzałem się po sali w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. Albo kogoś, kto przypominałby agenta FBI.

Restauracja była prawie opustoszała, jeśli nie liczyć kilku rodzin z dziećmi i ludzi oczekujących na posiłek na wynos. Nagle spostrzegłem jakiegoś faceta siedzącego przy stoliku po drugiej stronie sali. Obserwował tyły restauracji.

Anthony zauważył, że tamten mężczyzna zwrócił moją uwagę.

- On jest ze mną.

- To dobrze. - Tak więc mieliśmy zazębiające się w razie czego pola ostrzału.

Od razu poczułem się lepiej. Pan Bellarosa był dobrze strzeżony. Spojrzałem na niego uważnie i przyszło mi do głowy, że pod tą luźną hawajską koszulą może mieć kamizelkę z kevlaru. Taką samą jak ta, która uratowała życie jego ojcu u Giulia. Może powinienem zapytać, czy nie ma zapasowej dla mnie.

Gdybym miał się zastanawiać, co lub kto wprawia Antyhony'ego w nerwowy nastrój, obstawiałbym Sally'ego Da-Da. Ale dlaczego teraz, po dziesięciu latach, pozostawało dla mnie zagadką. Więc może jednak ktoś inny? Jedyńm sposobem, żeby się upewnić, byłoby pojawienie się dwóch facetów ze strzelbami, którzy odstrzeliliby Anthony'emu głowę. Może jednak powinienem zamówić coś na wynos?

Kelnerka przyniosła menu.

- Lubi pan chińszczyznę? - zapytał mnie Anthony.

- Od czasu do czasu.

- Kiedyś spotykałem się z jedną Chinką. Godzinę po tym, jak ją zjadłem, poczułem się znów głodny. - Roześmiał się. - Rozumie pan?

- Rozumiem. - Zacząłem uważnie studiować menu, pociągając ze szklaneczki szkocką.

- No więc spotykałem się z tą Chinką - ciągnął swoją opowieść - i jednego wieczoru, kiedy się namiętnie obściskiwaliśmy, powiedziałem jej, że chcę sześćdziesiąt dziewięć, a ona odpowiedziała: „Teraz chcesz wołowinę z brokułami?”. - Znowu się roześmiał. - Rozumie pan?

- Rozumiem.

- Miał pan kiedyś Chinkę?

- Żadna nie przychodzi mi do głowy.

- Słyszałem, jak ojciec kiedyś mówił, że z pana jest zabawny gość.

Faktycznie, Frank cenił sobie mój sarkazm, ironię i poczucie humoru, nawet jeśli to on był obiektem żartów. Nie byłem pewien, czy jego syn jest wystarczająco gruboskórny albo tak błyskotliwy, żeby docenić mój dowcip.

- W towarzystwie twojego ojca dobrze mi się dowcipkowało.

Wróciła kelnerka. Zamówiłem zupełę wonton i wołowinę z brokułami, co wywołało salwę śmiechu Anthony'ego. On zamówił sześćdziesiąt dziewięć, czego nie było w menu, więc zdecydował się na to co ja. Zamówił tylko następną kolejkę szkockiej i poprosił o wyczyszczenie popielniczki. Ja zażyczyłem sobie pałeczki.

- Wie pan, dlaczego żony lubią chińskie żarcie?

- Nie. Dlaczego?

- Bo wonton czytane wspak to *not now*<sup>4</sup>.

Miałem nadzieję, że na tym się jego repertuar wyczerpał.

Zauważyłem, że Anthony, podobnie jak Tony, miał w klapie marynarki amerykańską flagę. Jak sobie zacząłem przypominać, Frank i jego kumple przejawiali coś w rodzaju prymitywnego, szowinistycznego patriotyzmu, opartego w głównej mierze na ksenofobii, rasizmie i powtarzaniem ciągle hasła wszystkich imigrantów - Ameryka to wspaniały kraj.

Rzeczywiście, mimo pewnych problemów jest wspaniałym krajem. Widzę to lepiej teraz, po trzyletniej tułaczce po morzach i siedmiu latach spędzonych w Londynie. Anglia to dobre miejsce dla Amerykanina banity, ale nie jest prawdziwym domem. Prawdziwy dom, ku swojemu zdumieniu, odkryłem tutaj.

Jakby czytając w moich myślach, Anthony zapytał:

- Jak długo pan zostaje?

To było, jak mi się zdawało, podstawowe pytanie; od odpowiedzi na nie zależeć miał dalszy przebieg naszej rozmowy. Musiałem zatem dobrze się zastanowić.

- Nadal wszystko stoi pod znakiem zapytania? - zapytał.

- Skłaniam się ku pozostaniu.

- To dobrze. Nie ma sensu wracać. Tu się więcej dzieje.

I to był wystarczający powód, żeby wrócić do Londynu. Anthony nagle sięgnął do kieszeni. Już myślałem, że wyciągnie broń, ale to była tylko miniaturka flagi. Położył ją na stole przede mną.

---

<sup>4</sup> Ang. *Nie teraz*.

- Jeśli pan zostaje, może będzie chciał pan ją nosić.

Podziękowałem, ale nie podniosłem znaczka.

- Proszę wpiąć go w klapę - pouczył mnie Anthony, poklepując się po własnym znaczku.

Ponieważ nie zareagowałem, pochylił się nad stolikiem i sam mi go wpiął.

- No, dobrze. Teraz znowu jest pan Amerykaninem.

- Moja rodzina mieszka w Ameryce od ponad trzystu lat - poinformowałem go.

- Nie?! Dlaczego czekali tak długo? Kolumb odkrył Amerykę wcześniej.

Postanowił pozostać przy temacie historii. Na studiach specjalizowałem się z historii. Byłem w college'u przez rok. Na Uniwersytecie Nowego Jorku. Mało mi się mózg nie zlasował. To dało się zauważyć.

- Dużo czytałem o Rzymianach. Interesuje mnie to gównno. A pana?

- Przez osiem lat uczyłem się łaciny, więc czytałem Cyncerona, Senekę i Owidiusza w oryginale.

- Nie?!

- Ale na ostatnim roku college'u dostałem w głowę baseballlem i teraz potrafię czytać tylko po włosku.

Uznał, że to, co powiedziałem, było zabawne. Po chwili spowaźniał.

- Uważam, że ten kraj jest podobny do Rzymu, kiedy imperium znalazło się w poważnych kłopotach. Rozumie pan?

Nie odpowiedziałem.

- Kończy się czas republiki. Jesteśmy wielkim imperium i dlatego każdy ma ochotę do nas strzelać. Zgadza się? Jak te kutasy jedenastego września. Poza tym, tak jak Rzymianie, nie potrafimy pilnować swoich granic i dlatego mamy dziesięć milionów nielegalnych imigrantów, którzy nie znają nawet języka i w dupie mają nasz kraj. Chcą tylko wyrwać swoją dołę. A dupki w Waszyngtonie siedzą i debatują jak rzymski senat. Tymczasem kraj trafia szlag przez różnych zboków, którzy żądają swoich praw, a u granic stoją barbarzyńcy.

- W jakiej książce to znalazłeś?

Zignorował moje pytanie i kontynuował rozważania.

- Pieprzeni biurokraci zadzierają nosa, mężczyźni zachowują się jak kobiety, a kobiety jak mężczyźni, a wszyscy chcą tylko chleba i igrzysk. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Rozumiem, Anthony. Przynajmniej prawie udało się wyplenić zorganizowaną

przestępczość.

Zgasił niedopałek papierosa.

- Tak pan sądzi? - zapytał.

Anthony był świetnym przykładem na to, że elementarny brak wiedzy może okazać się niebezpieczny. Wróciłem do celu, dla którego spotkaliśmy się przy kolacji.

- Co w takim razie chciałbyś wiedzieć o swoim ojcu?

Zapalił kolejnego papierosa, usiadł wygodniej i zaczął:

- Chciałem tylko, żeby pan mi powiedział... jak się poznaliście. Dlaczego zdecydował się pan z nim współpracować. To znaczy... dlaczego facet taki jak pan... zajął się sprawą kryminalną?

- Masz na myśli przestępczość zorganizowaną?

Nie zamierzał dać się wciągnąć w taką dyskusję. Sami rozumiecie, przecież nie ma żadnej mafii. Żadnej Cosa Nostry. O czym ja w ogóle gadam?

- Bronił go pan w sprawie o morderstwo, które, jak dobrze pan wie, mecenasie, okazało się jedną wielką bujdą - przypomniał mi. - No więc, jak się poznaliście z ojcem i dlaczego doszliście do porozumienia? - zapytał ponownie.

- To były relacje osobiste - odparłem. - Wpadliśmy na siebie, a on potrzebował pomocy.

- Tak? Ale dlaczego pan się zgodził?

Anthony badał grunt, chciał poznać moje motywy - dlaczego, powiedzmy, związałem się z mafią i co może sprawić, żebym zrobił to ponownie. W jego świecie odpowiedź brzmiała „pieniądze i władza”, ale może zdawał sobie sprawę, że mój świat jest znacznie bardziej skomplikowany.

- Powiedziałem ci już tamtego wieczoru - oddał mi przysługę, a ja mu się zrewanżowałem.

Ale cała prawda była taka, że Frank Bellarosa, działając w zмовie z moją żoną, rozgrywał kartę macho, czyli Frank ma broń i odpowiednio duże jaja, a miły facecik John - pióro i intelekt. Rozgrywali to bardzo delikatnie, muszę przyznać, ale takie wyzwanie dla mojej męskości zadziałało. Poza tym czułem się znudzony i Susan dobrze o tym wiedziała. Nie zdawała sobie za to sprawy, że Frank Bellarosa trafił do mrocznej części mojej natury. Zło kusi, o czym Susan przekonała się zbyt późno.

- Twój ojciec był człowiekiem bardzo charyzmatycznym i przekonującym - powiedziałem Anthony'emu.

Prócz tego pieprzył moją żonę, więc łatwiej mu było trafić do mnie przez nią, o

czym wtedy nie wiedziałem.

Zresztą Susan też chyba nie wiedziała. Prawdopodobnie zdawało się jej, że Frank jest zainteresowany tylko jej osobą. W rzeczywistości Frankowi podobało się, że udało mu się zaciągnąć do łóżka żonę swojego adwokata, nie wspominając już o tym, jaka to frajda posuwać zadzierającą nosa dziwkę z wyższych sfer. Z drugiej strony, być może wbrew sobie, Frank coś czuł do Susan Sutter.

- Mój ojciec miał zdolność wynajdywania odpowiednich ludzi - powiedział w zamyśleniu Anthony. - Tak jakby wiedział, czego oni chcą, i pokazywał im, jak osiągnąć cel.

Przypomniałem sobie, że uczyli mnie o takim facecie w szkółce niedzielnej. Nazywał się Lucyfer.

Anthony zadał mi jeszcze kilka pytań dotyczących moich wspomnień o ojcu.

W odpowiedzi przytoczyłem kilka anegdot, które powinny Franka przedstawić w korzystnym świetle.

Potem opisałem moją i Susan pierwszą wizytę w Alhambrze, podkreślając, jak ciepło i gościnnie powitała nas Anna. Nie wspominałem, że byłem wściekły na Susan za przyjęcie zaproszenia od Franka ani że moje wrażenia na temat Bellarosów wcale nie były najlepsze. A właściwie byłem wtedy przerażony. I nieco zaintrygowany, podobnie jak Susan.

W każdym razie mówiłem Anthony'emu tylko o rzeczach przyjemnych, unikając opisu stopniowego uwodzenia mnie i mojej żony (a może to ona go uwiodła?). Zajęło mi to około piętnastu minut, podczas których pojawiła się na stole moja zupa wonton. Ja popijałem szkocką, a Anthony palił papierosa za papierosem, strząsając popiół na podłogę i prawie się nie i odzywając.

- I to by było tyle - zakończyłem. - Przykro mi z powodu tego, co się stało, i chcę, żebyś wiedział, że łączę się z tobą w żalu, z tobą, twoją matką, braćmi i całą rodziną.

Anthony skinął głową, a ja obwieściłem:

- Nie jestem specjalnie głodny, a mam w domu dużo roboty, więc dziękuję za drinka. - Sięgnąłem po portfel. - Pozwól, że zapłacę połowę rachunku.

Wydawał się zaskoczony faktem, że zamierzam opuścić jego towarzystwo.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał.

- Powiedziałem właśnie.

- Napijmy się jeszcze po jednym. Dwie szkockie! - zawołał do kelnerki, a mnie

zapytał: - Zapali pan?

- Nie, dziękuję.

Kiedy to już zostało ustalone, wrócił do poprzedniego tematu.

- Dlaczego pozwoliliście federalnym zabrać Alhambrę? Zrobiliście to, żeby dali ojcu spokój, tak?

- Tak jest. Raz się wygrywa, raz przegrywa. Nawet Jezus mówił, żeby oddać cesarzowi, co cesarskie.

- Tak, ale Jezus był dobrym człowiekiem i nie miał doradcy podatkowego. Ani adwokata od spraw kryminalnych. - Anthony uśmiechnął się. - I dlatego go załatwili.

- Prawie udało mi się obalić oskarżenie o morderstwo - przypomniałem mu.

- Zgoda, ale jeśli ojciec nie popełnił przestępstwa, to dlaczego zabrali mu posiadłość?

- Już ci mówiłem, za uchylanie się od podatków.

- To bzdura.

- Nie. To przestępstwo.

Prawdą było, i Anthony wiedział o tym równie dobrze jak ja, że Departament Sprawiedliwości i IRS miały dość prawdziwych i sfabrykowanych dowodów, żeby zamienić życie Franka Bellarosy w piekło. Nie mówiąc o tym, że jego szwagier, mąż siostry Anny, Sally Da-Da, też próbował go załatwić i potęgą Franka zaczęła słabnąć. Dlatego wybrał najprostsze rozwiązanie i zgodził się na współpracę z władzami. Umowa była taka: ty, Frank, opowiesz nam o wszystkich popełnionych przez ciebie przestępstwach i podasz nazwiska swoich koleśków. Zrzekniesz się swojej funkcji, oddasz wszystko, co masz, a my pozwolimy ci wyemigrować. Będziesz wolnym człowiekiem. Umowa wcale nie była taka zła, a na pewno lepsza od więzienia. Na dodatek wycieczka do Włoch doskonale komponowała się z planami wspólnego wyjazdu, które mieli Frank i Susan.

Ale Anthony nie chciał o tym wiedzieć. Na pewno wołał, żebym mu naopowiadał bzdur.

- Nic nie można było zrobić, żeby zatrzymać Alhambrę?

- Nie.

- Słyszałem, że ojciec był też właścicielem pańskiej posiadłości. Kupił ją.

- Kupił Stanhope Hall od mojego teścia. - Kusilo mnie, żeby powiedzieć: Pewnie potrzebował więcej miejsca do grzebania trupów. - Chciał mieć kontrolę nad całą okolicą. - Susan musiała rzeczywiście rozmawiać ze swoim kochankiem o kupnie

posiadłości.

Mój teść, William Dusigrosz, chciał się pozbyć tego kosztownego białego słonia i za dobrą cenę gotów był go sprzedać choćby diabłu. Co też uczynił.

Susan była przygnębiona faktem, że dom rodzinny trafi w ręce kogoś obcego albo jakiegoś dewelopera, i dlatego don Bellarosa wydał jej się rycerzem na koniu, który ocali dla niej posiadłość. Nie mam pojęcia, jaki zawarła układ ze swoim kochankiem, ale podejrzewałem, że myślała o zamieszkaniu w posiadłości razem z Frankiem. Niestety, Frank sprzedał się federalnym, został objęty programem ochrony świadków i pojawił się plan awaryjny w postaci wyjazdu do Włoch.

Naprawdę powinienem stanowczo powiedzieć, że muszę już iść, ale Anthony wydawał się owładnięty obsesją na punkcie federalnych, którzy zabrali ojcu posiadłość i wszystkie pieniądze.

- Jak pan sądzi, mam szansę odzyskać posiadłość?

- Masz mniej więcej takie same szanse na odzyskanie majątku skonfiskowanego na podstawie ustawy RICO, jak ja na otrzymanie tytułu Człowieka Roku organizacji Synowie Włoch w Ameryce.

- A co z tymi kilkoma milionami kaucji złożonej przez pana za ojca? Ojciec zginął przed procesem, a nie dopuścił się morderstwa. Nie można tych pieniędzy odzyskać?

Wiedziałem, do czego zmierza, i nie zamierzałem podążać jego tropem.

- Z tego, co wiem, te pieniądze zostały zwrócone twojemu ojcu, a następnie zabrane przez IRS na poczet zaległych podatków.

- Tak, ale...

- Nie ma żadnego ale, Anthony. Zrobiłem wtedy wszystko, co mogłem. Twój ojciec był zadowolony z mojej pracy.

Podsumowując, jego obsesja na temat utraconej fortuny to tylko zasłona dymna. Chodziło mu głównie o mnie i stąd jego zawołowana krytyka mojego postępowania sprzed dziesięciu lat. Teraz zamierzał dać mi okazję wyprostowania tego wszystkiego i udowodnienia, że sprawiedliwości stało się zadość. Kolejny przystanek dla mnie to wpadnięcie w zastawione przez niego sieci. Dziękuję, ale nie, Anthony. Zapłata całkiem niezła, ale cena zbyt wysoka.

- Jeżeli pan się tego podejmie, płacę dwieście od razu, a potem jedną trzecią tego, co pan wyrwie federalnym - powiedział i zaraz dodał, na wypadek, gdybym okazał się kiepski z matematyki: - To będzie oznaczało trzy, cztery, może pięć



milionów dla pana.

Okazało się, że nie jest taki tępy, jak go początkowo osądzałem, poza tym dał mi sygnał, że wie, jak bardzo potrzebuję gotówki, co zwykle czyni każdego podatnym na kuszenie przez diabła.

- Na razie to oznacza zero - odpowiedziałem.

- Wcale nie. Otrzymuje pan dwieście tysięcy i one już są pańskie.

- Nie. Są twoje.

Wydawał się nieco rozdrażniony i spróbował z innej strony.

- Mecenasiu, wydaje mi się, że jest pan coś winien mnie i mojej rodzinie.

- Niczego nie jestem wam winien, Anthony. - Tak naprawdę juniorze, twój tatuś jest mi winien pięćdziesiąt kawałków. - Poza tym nie pracowałem dla twojego ojca, kiedy zerwał układ z rządem. Jego jedynym adwokatem w tym czasie był Jack Weinstein, więc jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś, porozmawiaj lepiej z nim.

- Jack jest na emeryturze.

- Ja też.

Jeśli chodzi o mnie, spotkanie dobiegło końca. Powspominaliśmy sobie, odrzuciłem nieudolną próbę werbunku, więc jeśli junior nie miał ochoty dowiedzieć się, że jego tatuś był kapusiem i wysłuchać, co myślę o tym, że napuścił na mnie urząd podatkowy, a potem wykorzystał moją żonę, to nie było już o czym rozmawiać. Chyba że chciał porozmawiać o tamtym wieczorze, kiedy jego ojciec został zamordowany.

- Nie zapomnij o tym, co uzgodniliśmy w sprawie mojej byłej żony - przypomniałem mu.

Pokiwał głową.

- Obchodzi to pana?

- Obchodzi moje dzieci.

Znowu pokiwał głową.

- Proszę się nie martwić.

- To dobrze. - Miałem już ogłosić swoje wyjście, kiedy usłyszałem z jego ust:

- Nie rozumiem, jak jej się udało z tego wywinąć.

- Miała dobrych prawników.

- Naprawdę? Chyba nie pana.

- Pierdol się, Anthony.

Podobnie jak jego ojciec, który rzadko, jeżeli nie nigdy, słyszał obelgę pod swoim adresem, nie wiedział, jak zareagować. Wahał się przez chwilę, czy wybuchnąć

gniewem, czy obrócić to w żart. Wybrał tę drugą ewentualność i zmusił się do śmiechu.

- Powinien pan nauczyć się kłać po włosku. Wtedy powiedziałby pan *vaffanculo*. To znaczy pieprz się w dupę. Po angielsku mówimy pierdol się. Znaczący samo.

- Ciekawe...

- Myśli pan, że to w porządku, że wywinęła się z morderstwa z premedytacją? Sprawiedliwość inaczej traktuje ludzi takich jak ona. Zgadza się? Co to znaczy? Sezon polowania na Włochów?

- Uważam ten temat za zamknięty. Jeśli chcesz, porozmawiaj o tym z Departamentem Sprawiedliwości.

- Tak, pewnie.

- I nawet nie myśl o tym, co ci chodzi teraz po głowie.

Spojrzał na mnie, ale nie odezwał się słowem.

Zacząłem podnosić się z krzesła, ale pojawiła się kelnerka z dwoma nakrytymi talerzami. Słodka, choć zupełnie niedoświadczona dziewczyna zapytała:

- Spróbujecie, panowie?

Anthony, który był aktualnie w podłym nastroju powiedział:

- Co za kretynka! - A potem zwrócił się do niej: - Czemu się nad nami pastwisz?! Wydaje ci się, że trafiłaś na głupków?!

Kelnerka wydawała się nie rozumieć, co do niej mówi.

- Nie lubią panowie zupy?

- Zabieraj stąd tę zupę i przynieś kilka piw - warknął. - Ruchy, ruchy!

Dziewczyna zabrała zupę i odeszła. Frank Bellarosa, choć kilka razy dał to po sobie okazać, potrafił opanować swoje bandyckie zapędy. Tymczasem jego syn najwyraźniej nie nauczył się jeszcze, że poprawny socjopata powinien wiedzieć, kiedy należy być grzecznym i szarmanckim. Podczas wizyty w stróżówce zachowywał się przyzwoicie, to prawda, zacząłem już nawet podejrzewać, że taka z niego miernota, ale dopiero kiedy zobaczy się, jak ktoś, kto ma władzę, traktuje słabszych od siebie, można domyślić się, jak będzie traktował wszystkich pozostałych.

- Zapomniała o pałeczkach - zauważył Anthony. - Przecież prosił pan o pałeczki, prawda? - Uniósł rękę i już zamierzał zawołać głośno, ale powstrzymałem go.

- Daj spokój.

- Nie ma mowy...

- Powiedziałem, daj spokój. - Pochyliłem się nad stolikiem. - Kiedy wróci, masz ją przeprosić za swoje złe zachowanie.

- Co?

- Słyszałeś, co powiedziałem, Anthony. Dam ci krótką lekcję dobrego wychowania. Jeżeli mam ochotę użyć pałeczek, to ja o nie proszę, nie ty. A jeśli mam ochotę na piwo, to ja je zamawiam. Zrozumiałeś?

Zrozumiał, choć nie był zadowolony z wykładu. O dziwo, nic nie powiedział.

Podniosłem się z krzesła.

- Dokąd pan idzie? - zapytał.

- Do domu.

Wstał, podszedł do mnie i powiedział:

- Mecenasiu, niech pan nie ucieka. Jeszcze nie skończyliśmy.

Odwrociłem się w jego stronę, stanęliśmy twarzą w twarz.

- Nie mamy już o czym rozmawiać.

- Pan dobrze wie, że to nieprawda. Musimy obaj rozwiązać kilka problemów.

- Być może. Ale nie wspólnie, Anthony.

Wzbudziliśmy zainteresowanie obecnych, więc Anthony zaproponował:

- Odprowadzę pana.

- Nie. Wracaj do stolika, przeproś kelnerkę, a potem rób, co tylko chcesz.

Przyszła mu nagle do głowy jakaś światła myśl.

- Widzę, że ma pan jaja, mecenasiu, ale gdzie rozum?

Zauważyłem kątem oka, że bandzior Anthony'ego podniósł się i zrobił kilka kroków w naszym kierunku. W restauracji zapanowała nagle cisza.

- Odziedziczyłeś po ojcu kolor oczu, ale nic więcej.

Odwrociłem się i ruszyłem w kierunku drzwi, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Wyszedłem na chłodne, wieczorne powietrze. Tony zrobił sobie właśnie przerwę na papierosa i stał oparty o cadillaca.

- Co, już koniec?

Zignorowałem go, wsiałem do samochodu i uruchomiłem silnik. Wycofując z parkingu, zobaczyłem jeszcze, jak tamten zbior wychodzi z restauracji i rozmawia z Tonym. Obaj patrzyli, jak bez pośpiechu wyjeżdżam na ulicę.

Nie chciałem prowokować awantury, ale Anthony zaczął mnie drażnić.

Zachowywał się zbyt protekcyjnie. Cóż, może jestem przewrażliwiony. A może po prostu widziałem po drugiej stronie stolika Franka Bellarosę. Może to tylko wspomnienie i obraz Franka uprawiającego seks z Susan - ten cholerny sen. Może zobaczyłem, jak Frank z uśmiechem na ustach rozpieprza moje życie.

Cokolwiek to było, zaowocowało tym, że wyrzuciłem ze swojego życia juniora.

Spojrzałem w lusterko wsteczne, ale nie jechał za mną cadillac. Wyjechałem z Glen Cove i ciemną wiejską drogą pomknąłem w stronę Lattingtown.

Przypomniałem też Anthony'emu, żeby się trzymał z daleka od Susan. Oczywiście nie musiałbym się o to martwić, gdybym zaczął dla niego pracować, choć byłem pewien, że Susan wcale to nie obchodzi. Najwyraźniej martwienie się było moją specjalnością.

Musiałem także pamiętać, że choć Anthony nie odziedziczył po ojcu fortuny, to na pewno dostał w spadku jego wrogów. Tych spośród członków rodziny, jak wujek Sal, i tych z zewnątrz, makaroniarzy, którzy pewnego wieczoru zebrali się w hotelu Plaza, i w końcu Alphonse'a Ferragamo, którego nadrzędnym celem było zamknięcie młodego Bellarosy na wiele lat w więzieniu. Jak widać, piastowanie przez Anthony'ego stanowiska dona mogło być krótkotrwałe, a przebywanie w jego bezpośredniej bliskości niebezpieczne.

Nie wiadomo, dlaczego Anthony uznał, że mogę mu pomóc rozwiązać ten problem, tak jak pomogłem jego ojcu. Czy nie powinno mi to pochlebiać?

Historia lubi się powtarzać, jeśli ktoś z uporem maniaka będzie powtarzał te same błędy.

Z drugiej strony, cenimy jednak to, co jest nam bliskie i znane, bo nawet jeśli jest złe, to jest bliskie i znane.

Po piętnastu minutach znalazłem się na Grace Lane - prezent sprawionym sąsiadom przez Anthony'ego Bellarosę - światła samochodu odbijały się w błyszczącym asfalcie. W głowie zabrzmiał mi werset z Ewangelii Mateusza: „Szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby<sup>5</sup>„.

---

<sup>5</sup> *Biblia Tysiąclecia, Ewangelia św. Mateusza (7,13).*

## ROZDZIAŁ 13

Następny dzień, czwartek, przyniósł ze sobą burzę, która była idealnym pretekstem do porządkowania i niszczenia zbędnych dokumentów. Do popołudnia uporałem się z większością roboty, nie dość, że uciążliwej, to na dodatek smutnej.

O osiemnastej postanowiłem nagrodzić się butelką banfi brunello di montalcino i panini bolognese (zwykła kromka chleba), potem usiadłem w fotelu George'a i zająłem się lekturą „New York Timesa”. John Gotti, była głowa rodziny mafijnej Gambino, umierał właśnie w federalnym szpitalu więziennym w Springfield w stanie Missouri, gdzie odsiadywał karę dożywotniego więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia warunkowego.

Zacząłem się zastanawiać, czy to miało coś wspólnego z Anthonyem Bellarosą, a potem - dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam.

A jeszcze później, nie zagłębiając się, czy to może Anthonyemu przynieść korzyść, czy kłopoty, zastanowiłem się, tak zupełnie prywatnie, dlaczego ci młodzieńcy zajmowali się biznesem, który, jeśli zna się historię ich rodzin, zwykle kończył się wczesną śmiercią lub więzieniem. Cóż, może to było według nich lepsze niż emeryckie życie na Florydzie. Zresztą to nie był mój problem.

Pomyślałem przez krótką chwilę o złożonej przez Anthony'ego ofercie dwustu tysięcy dolarów za drobną przysługę prawniczą i ewentualnej prowizji od tego, co udałoby mi się odzyskać z zajętego przez służby federalne majątku Franka. Jeśli wierzyć Anthony'emu, dwieście tysięcy tak czy owak pozostałoby w mojej kieszeni, ale wiedziałem, że to tylko przynęta, która miała mnie, rybę, zwabić do ukrytego, ostrego haczyka wartego miliony.

Nie było w tym nic nielegalnego czy nawet nieetycznego. Zarówno ryby, jak i prawnicy muszą coś jeść. Problemem był tylko ten haczyk. Musiałem uważać. A najlepiej zapomnieć o całej sprawie.

W piątek także padało i około południa skończyłem porządkowanie papierów. Wszystkie były spakowane i gotowe do wywózki, kiedy Ethel też zostanie spakowana i wywieziona. Kolejnym zadaniem było spakowanie własnych rzeczy osobistych - starych mundurów wojskowych, przywiezionych z podróży trofeów, książek i tym podobnych. Jak ja przeżyłem dziesięć lat bez tych rzeczy?

Znalazłem przy okazji kilka dokumentów należących do Susan, nieco fotografii jej rodziny, a ponieważ nie chciałem, żeby cokolwiek przypominało mi Stanhope'ów -

szczególnie Williama, Charlotte i ich beużytecznego syna, Petera - wsadziłem je do koperty z pozostałymi dokumentami. Później zastanowię się nad sposobem doręczenia przesyłki.

Po południu pogoda się poprawiła, więc postanowiłem pobiegać nad cieśniną Long Island. Na wodzie zobaczyłem łódź z gaflowym takielunkiem. Stałem na skalnym występie w Fox Point i patrzyłem, jak z trudem walczy z grzywami fal mimo pełnych żagli. Na rufie dostrzegłem kapitana i choć nie mogłem z takiej odległości widzieć jego twarzy, byłem pewien, że się uśmiecha.

Wątpiłem, czy kiedykolwiek wrócę na morze, choć pociągało mnie jak każdego żeglarza. Wiedziałem też, jak każdy żeglarz, że jego uścisk w pewnej chwili okazać się śmiertelny.

Okolo szesnastej byłem z powrotem w stróżówce. Przypadkiem dostrzegłem mijającego bramę szarego mercedesa; za kierownicą siedział mężczyzna, którego wygląd pasował do opisu Amira Nasima.

Kiedy mieszkałem w Londynie, miałem często do czynienia w mężczyznami i kobietami wyznającymi wiarę muzułmańską. Przypuszczałem, że pan Nasim, Irańczyk, był muzułmaninem, i o zachodzie słońca, wraz z wezwaniem na modlitwę, rozpocznie się jego dzień wolny.

Pan Nasim, najprawdopodobniej z całą rodziną, uda się do meczetu albo po prostu rozwiną dywaniki modlitewne w dawnej kaplicy w Stanhope Hall, zdejmą buty, zwrócą twarze w kierunku Mekki - czyli w tym wypadku na wschód w stronę Hamptons - i zaczną się modlić.

Nie chciałem przeszkadzać w praktykach religijnych, ale musiałem w najbliższym czasie porozmawiać z panem Nasimem, więc równie dobrze mogłem to zrobić teraz. Podejrzywałem, że mam jeszcze kilka godzin, nim zostaną rozwinięte dywaniki modlitewne, przebrałem się w jasnobrązowe spodnie, niebieski blezer i mokasyny. Włożyłem też czyste skarpetki, na wypadek gdyby dla mnie też rozwinął dywanik.

Znalazłem pudełko z moimi wizytówkami, gdzie było napisane tylko: „John Whitman Sutter, Stanhope Hall”. Włożyłem kilka do kieszeni.

Dostałem te beużyteczne i anachroniczne wizytówki od Susan i przez dwanaście lat, kiedy je miałem, rozdałem może sześć sztuk. Ostatnią wysłałem za pośrednictwem budowlańca, właściwie dla zabawy, do dona Franka Bellarosy z instrukcją, że ma zadzwonić do pana Suttera w sprawie planowanej przez panią

Sutter przebudowy stajni.

Bellarosa zaoferował wcześniej swoją pomoc, a właściwie nalegał, żeby z niej skorzystać.

Właściwie powinienem przejść dzielące mnie od rezydencji pół mili, ale nie chciałem spacerkiem mijać domku gościnnego Susan - naszej dawnej rezydencji małżeńskiej. Dlatego wsiadłem do taurusa i ruszyłem w stronę domu pana Nasima.

Minąłem skręt do domu Susan. Zauważyłem, że na podjeździe stoi samochód mojej eks, a w oknach pokoju, który należał kiedyś do mnie, pali się światło.

W pewnej odległości od domku gościnnego widziałem stajnię Susan - zgrabny budynek z cegły, który kiedyś stał bliżej głównej rezydencji, a który Susan przeniosła, cegła po cegle, na swoją część posiadłości, spodziewając się, że Stanhope Hall zostanie sprzedane. To było ogromne i kosztowne zadanie, ale jak już mówiłem, los się wówczas do nas uśmiechnął i pan Bellarosa zlecił wykonanie roboty swojemu człowiekowi, Dominikowi, za grosze. Ja odmawiałem, Susan się zgodziła. Nauka stąd płynie taka, że jeśli coś wygląda zbyt pięknie, żeby było prawdziwe, to rzeczywiście tak jest. Teraz już to wiem. Wtedy nie wiedziałem, że Frank Bellarosa interesuje się nie tylko mną, ale też Susan.

Przed sobą miałem Stanhope Hall, dom zbudowany na wzniesieniu pośród opadających tarasowo ogrodów.

Żeby lepiej uzmysłwić sobie, jak wyglądało to miejsce, wyobraźcie sobie Biały Dom albo dowolny inny neoklasycystyczny pałac, a potem wyobraźcie sobie świat bez podatków dochodowych (a więc i bez doradców podatkowych, takich jak ja), pomyślcie o taniej sile roboczej - imigrantach pracujących po sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Po Wieku Pozłacanym nadeszły burzliwe lata dwudzieste, kiedy wszystkim tu żyło się jeszcze lepiej. Nowe, coraz większe rezydencje wyrastały jak grzyby po deszczu wzdłuż Piątej Alei, w Bar Harbor, Newport, Hamptons i tutaj, na Złotym Wybrzeżu. A potem nadszedł Czarny Wtorek i jednego dnia wszystko się zawałiło.

Muszę jeszcze wspomnieć, że sześćdziesiąt akrów, znajdujące się w tylnej części posiadłości, zostało zajęte, podobnie jak Alhambra, przez władze federalne i podzielone na pięcioakrową działkę, na których zbudowano dwanaście koszmarnych miniaterek prawdziwej rezydencji. Na szczęście odgradzał je rów i wysoka palisada, więc nikt przebywający na terenie starej posiadłości nie musiał oglądać mieszkańców getta dla nowobogackich. Może to zabrzmiało nieco snobistycznie, ale to już nie mój

problem.

Na terenie posiadłości wciąż znajdowała się klasycystyczna świątynia miłości w kształcie rotundy, w której stał posąg rzymskiej bogini miłości, Wenus, i nagiego uosobienia pełnego wzrodu, Priapa. Susan i ja odegraliśmy w tej świątyni kilka klasycznych przedstawień. W jednym z nich, jak sobie przypominam, ona była dziewicą, która przyszła prosić boginię Wenus o dobrego męża, a ja centurionem cierpiącym na kłopoty ze wzrodem i proszącym Priapa o sztywność. Podobnie jak wszystkie inne nasze fantazje, także ta zakończyła się szczęśliwie. Czego nie można powiedzieć o naszym małżeństwie.

Zbliżając się do rezydencji, zastanawiałem się, co Amir Nasim myśli o tej pogańskiej świątyni. Czy kazał osłonić nagie posągi, czy po prostu je zniszczyć? Oto przykład zderzenia kultur.

Zaparkowałem taurusa pod wielkim wspartym na kolumnach portykiem. Siedząc jeszcze w samochodzie, pomyślałem, że w wymierającym świecie ustalonych zasad i norm - zwanych teraz „porządkiem dziobania” - John Whitman Sutter nie przyszedłby ze stróżówki z wizytą do rezydencji Amira Nasima. Dlatego miałem tego wszystkiego dość.

Zastanawiałem się, czy powinienem wysiąść z samochodu. Humor poprawiało mi to, że wizyta była niezapowiedziana, więc w ten sposób zaznaczałem swój status czy to, co z niego pozostało.

A jeśli już mowa o godności, kiedy prosi się o przysługę barbarzyńcę, który zamieszkał w willi, przypomniał mi się ulubiony przez Susan cytat ze świętego Hieronima: „Cesarstwo rzymskie upada, lecz my trzymamy głowy wysoko...”.

Wysiadłem z samochodu, wspiąłem się po granitowych schodach pomiędzy kolumnami i zadzwoniłem do drzwi.



## ROZDZIAŁ 14

Drzwi otworzyła jakaś młoda kobieta w czarnej sukience - prawdopodobnie Iranka. Przedstawiłem się:

- Pan John Sutter z wizytą do pana Amira Nasima.

W tym momencie służąca powinna zapytać: „Czy pan Nasim pana oczekuje, sir?”.

Wtedy ja odpowiedziałbym: „Nie, ale jeśli to nie sprawi kłopotu, chciałbym zobaczyć się z nim w sprawie osobistej”. Wręczyłbym jej wizytówkę, ona zaprowadziłaby mnie do foyer, zniknęła, i po kilku minutach wróciła z werdyktem.

Jednak w tym wypadku młoda kobieta, która nie dość, że słabo znała angielski, to na dodatek była słabo wykształcona, odpowiedziała po prostu:

- Pan czeka. - I zamknęła mi drzwi przed nosem.

Zadzwoiłem ponownie, służąca otworzyła, a ja wręczyłem jej swoją wizytówkę.

- Proszę mu to dać. Rozumiesz?

Zaniknęła drzwi, a ja zostałem na ganku. To było moje trzecie spotkanie z osobą kiepsko mówiącą po angielsku w ciągu ostatnich kilku dni i byłem trochę rozczłuszczony. Zacząłem rozumieć Anthony'ego, który stracił nad sobą panowanie przy zetknięciu z chińską kelnerką i zaczął snuć opowieści o upadku imperium rzymskiego. W końcu Goci, Hunowie i Wandalowie, kiedy już podbili Rzym, nauczyli się łaciny. *Veni, vidi, vici* - to nie takie trudne.

Czekałem około pięciu minut, drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, szczupły dżentelmen o ciemnej cerze, ubrany w szary garnitur. W ręku trzymał moją wizytówkę.

- Ach, pan Sutter. To miło z pańskiej strony, że zechciał mnie pan odwiedzić.

Wyciągnął rękę, uścisnęliśmy sobie dłonie i zaprosił mnie do środka.

- Właśnie miałem pić herbatę. Zechce się pan przyłączyć?

Nie potrzebowałem jego herbaty, tylko odrobiny jego czasu, więc najwyraźniej był to czas na herbatę.

- Oczywiście, dziękuję.

- Doskonale.

Poszedłem za nim do wielkiego, wyłożonego granitem westybulu, który pełnił funkcję przedsiionka dla pojawiających się gości. Tutaj służąca powinna odebrać

gościom kapelusze, płaszcze, laski i co tam jeszcze i zaprowadzić ich jednym z dwóch skrzydeł szerokich schodów do górnego foyer. To jest oczywiście bardziej formalny sposób przyjmowania gości niż ten, z którym mamy do czynienia dzisiaj: „Cześć, John, jak się masz, stary byku? Rzuć gdzieś ten płaszcz. Masz ochotę na piwo?”.

W każdym razie pan Nasim zaprowadził mnie na górę prawym skrzydłem schodów, oświetlonych, jak dawniej, przez żeliwne postacie czarnuchów trzymających w rękach elektryczne pochodnie. Ciekaw byłem, czy te posągi, które przedstawiały bez wątpienia jego pobratymców w służalczych pozach, nie obrażają w jakiś sposób pana Nasima.

Z powodu Anthony’ego po głowie wciąż krążyła mi historia Rzymu i przypomniałem sobie, jak czytałem o wodzu Hunów, Attyli, który po zdobyciu rzymskiego miasta Mediolanum wszedł do pałacu i zobaczył tam fresk przedstawiający siedzącego na tronie cesarza, a u jego stóp leżących plackiem pokonanych Scytów. Niestety Attyla wziął płaszczyących się Scytów za Hunów i tak się zirytował, że kazał rzymskiemu gubernatorowi chodzić na czworakach.

Obawiałem się, że tutaj możemy mieć do czynienia z podobnym nieporozumieniem, i zastanawiałem się już, czy nie powinienem powiedzieć czegoś w rodzaju: „Stanhope’owie byli pozbawionymi wrażliwości rasistami i bigotami, a te posągi zawsze wydawały mi się obraźliwe”.

Z drugiej strony może to był głupi pomysł, przecież nie wiedziałem, co Amir Nasim myśli. Gdyby chciał się pozbyć posągów, miał na to dość czasu.

Rozmawialiśmy o pogodzie, krocząc po schodach, potem mijając górne foyer, gdzie dawnymi czasy gospodarz z żoną powinni witać swoich, pozbawionych już płaszczy, kapeluszy i tchu gości.

Z górnego foyer podążyłem za panem Nasimem w prawo długą, szeroką galerią, która, jak pamiętałem, prowadziła do biblioteki.

- Kiedy ostatnio pan tutaj był? - zapytał pan Nasim.

Najwyraźniej coś wiedział o moim życiu osobistym.

- Dziesięć lat temu - odparłem.

- A tak, to już dziewięć lat, jak kupiłem ten dom.

Przypomniałem sobie, że rząd po zabraniu nieruchomości Frankowi Bellarosie sprzedał Stanhope Hall jakiejś japońskiej firmie. Rezydencja miała służyć jako miejsce odpoczynku wyczerpanym japońskim prezesom, ale w końcu do transakcji nie doszło i już od Edwarda dowiedziałem się, że rok później posiadłość nabył jakiś

Irańczyk. Powinienem powiedzieć panu Nasimowi, że Anthony Bellarosa chce odzyskać dom i ziemię.

- Wyniósł pan stąd dobre wspomnienia? - zapytał.

Wcale nie. Ale odpowiedziałem:

- Tak.

Susan i ja wzięliśmy ślub w Stanhope Hall. W tym czasie mieszkał tu jeszcze William i Charlotte. Willie Sknera wyprawił nam - a właściwie córce - wesele, na które zaprosił jakichś trzystu swoich bliższych i dalszych znajomych, członków rodziny i wspólników w interesach, i tylko kilka osób, które ja znałem. Ponieważ to William za wszystko płacił, jedzenie i alkohol szybko się skończyły, a punktualnie o dwudziestej drugiej orkiestra spakowała instrumenty. Pół godziny później goście, którzy jeszcze pozostali, dopijali resztki wina z kieliszków i wyjadali skórki od sera.

To nie był pierwszy ani ostatni raz, kiedy się przekonałem, że mój nowy teść jest mistrzem w okazywaniu szerokiego gestu w tandetnym stylu. I w końcu oddałem mu z powrotem jedyną cenną rzecz, jaką mi kiedykolwiek ofiarował - jego córkę.

- Wciąż jeszcze urządzamy dom - poinformował mnie pan Nasim.

- To wymaga czasu.

- Tak. Moja żona... kobiety nie spieszą się z podejmowaniem decyzji.

- Doprawdy?

Dziewięć lat to nie tak długo, Amir. Jesteś żonaty. Naucz się cierpliwości.

Rzeczywiście, szeroka galeria i sąsiadujące z nią pokoje zostały prawie całkowicie pozbawione mebli, a na ścianach nie było żadnych obrazów ani dekoracji. Tylko na podłodze leżało kilka dywanów, niewątpliwie perskich. Jak na ironię, za czasów Williama i Charlotte było podobnie.

Kiedy ostatni raz odwiedziłem ten dom, był nieumeblowany, jeśli nie liczyć kilku porzucanych tu i tam drobiazgów. Kilku pomieszczeń używaliśmy z Susan do przechowywania sprzętu sportowego, jakichś dziwacznych prezentów i dziecięcych mebli Susan. Przypominam sobie, że były tam także kufry wypełnione ubraniami dawno już spoczywających w grobie Stanhope'ów obojga płci. Były tam rzeczy z różnych dziesięcioleci dwudziestego wieku i czasem przebieraliśmy się z Susan w kostiumy z epoki. Najbardziej lubiliśmy szalone lata dwudzieste.

- Przypuszczam, że pan zna historię tego domu - odezwał się pan Nasim.

Jego angielszczyzna była całkiem poprawna. Uczył się jej od kogoś, kto mówił z brytyjskim akcentem.

- Tak, oczywiście.
- Świetnie. Musi mi pan ją opowiedzieć.
- Skoro pan sobie życzy.

Dotarliśmy do biblioteki; pan Nasim stanął z boku i przepuścił mnie w drzwiach.

Panele na ścianach i półki pozostały takie, jakie zapamiętałem, bogato zdobione, wykonane z drewna orzesznika. Niestety pozostałe meble były w złym, francuskim stylu, biało-złote, podobne do tych z magazynów z rzeczami przecenionymi.

Pan Nasim wskazał dwa stojące obok kominka krzesła wyściełane jasnoniebieską satyną i stojący pomiędzy nimi biały stolik do kawy na giętych nóżkach. Usiadłem na jednym z niewygodnych krzeseł, pan Nasim zajął miejsce naprzeciwko mnie. Zauważyłem, że półki na książki były prawie puste, a stały tam albumy o sztuce, jakie zwykle dekoratorzy wewnątrz kupują na metry.

Moją uwagę zwróciło też to, że pan Nasim nie zainwestował w klimatyzację, a wentylator pod sufitem mieszał tylko wypełniające bibliotekę gorące, wilgotne powietrze.

Na stoliku leżała srebrna taca pełna lepkich ciasteczek.

- Lubię angielską herbatę, ale słodczy wolę perskie.

Zwróciłem uwagę, że użył słowa „perskie” zamiast „irańskie”. To drugie od czasu rewolucji islamskiej i kryzysu z zakładnikami w siedemdziesiątym dziewiątym zdecydowanie się źle kojarzy.

Pan Nasim sięgnął po telefon komórkowy, wybrał numer, powiedział kilka słów w farsy, potem rozłączył się i odezwał się do mnie z uśmiechem:

- To nowoczesna wersja dzwonka na służbę. Wkrótce będzie herbata - dodał, na wypadek gdybym myślał, że wezwał Gwardię Rewolucyjną która ma mnie wziąć na zakładnika.

- Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie Sutter? - zapytał, rozsiadając się wygodnie na krześle.

Nie zamierzałem przeproszać za to niezapowiedziane najście i przystąpiłem prosto do rzeczy:

- Po pierwsze, chciałbym osobiście i oficjalnie poinformować pana, że zatrzymałem się w stróżówce.

- Dziękuję. Chyba powinienem był złożyć panu wizytę.

Moje skromne doświadczenia w stosunkach z Arabami, Pakistańczykami i Irańczykami w Londynie podpowiadały mi, że dzielą się na dwie kategorie: takich, którzy próbują naśladować Brytyjczyków, i takich, którzy wychodzą z siebie, żeby tego nie robić. Na razie pan Nasim wyglądał na człowieka tej pierwszej kategorii i swoim zachowaniem zdawał się mówić: „Zobaczcie, jaki jestem zachodni”.

- To ja zamieszkałem na terenie pańskiej posiadłości, zatem to ja powinienem panu złożyć wizytę - pouczyłem go. - A teraz drugi cel mojej wizyty. Odwiedziłem kilka dni temu panią Allard w hospicjum i obawiam się, że nie pozostało jej zbyt wiele czasu.

Wydawał się szczerze zaskoczony.

-Doprawdy? Nic nie wiedziałem. Myślę, że... cóż przykro mi to słyszeć.

- Z chwilą jej śmierci, jak pan wie, wygasa także jej wieczysta dzierżawa.

- Tak, wiem o tym.

Nie wydawał się szczególnie poruszony faktem, że niedługo odzyska swoją własność, ale przecież zdawał sobie sprawę, że taki dzień w końcu nastąpi. Na pewno miał już jakieś plany i mogłem się założyć, że w tych planach mnie nie uwzględnił. Mimo to ciągnąłem:

- W związku z tym chciałbym pana zapytać, czy mogę wydzierżawić albo kupić stróżówkę.

- Proszę? Pan chce tam zamieszkać?

- To jeden z wariantów.

Pokiwał głową, zamyślił się na chwilę i rzekł:

- Rozumiem...

- Jeżeli miałbym ją wydzierżawić, to na miesiąc lub dwa.

- Rozumiem. Chce pan mieć miejsce, gdzie mógłby się pan zatrzymać podczas nieobecności w Londynie.

- Skąd pan wie, że mieszkam w Londynie?

- Powiedziała mi o tym pani Sutter.

- Rozumiem, że mówi pan o mojej byłej żonie.

- Zgadza się.

- Co jeszcze panu powiedziała? Nie chcę powtarzać i opowiadać o tym, co pan już wie.

Wzruszył ramionami.

- Kiedy kupiła dom - dawny dom gościnny - złożyła mi grzecznościową wizytę.

To była niedziela, razem z moją żoną wypiliśmy herbatę. Pani Sutter opowiadała ogólnie o swojej sytuacji.

- Rozumiem. I wtedy właśnie poinformowała pana, że jej były mąż wrócił z Londynu.

- Tak jest. A właściwie nie mnie, tylko Soheile, moją żonę. To one rozmawiały.

Chciałem go ostrzec, że pani Sutter to cudzołożnica i nieodpowiednie towarzystwo dla Soheili. Ale po co prowokować kłopoty? Wróciłem do tematu.

- Tak więc, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym na miesiąc lub dwa wynająć stróżówkę albo ewentualnie ją kupić.

- Nie jest na sprzedaż, ale...

Zanim zdążył skończyć, pojawiła się z tacą w ręce kobieta, która otworzyła mi drzwi. Postawiła tacę na stole i skłoniła się nisko.

Pan Nasim odprawił ją gestem; wycofała się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Może wcale nie była tak kiepsko wyszkolona; potrzebowała tylko lekcji z etykiety przy drzwiach wejściowych. A może, co bardziej prawdopodobne, tak bardzo bała się Amira Nasima. Powinienem się chyba nauczyć od niego, jak postępować z inną płcią.

W każdym razie pan Nasim pełnił honory gospodarza i otworzył drewniane pudełko zawierające różne odmiany herbaty.

- Czy ma pan jakąś ulubioną? - zapytał.

Miałem, nazywała się szkocka whisky, ale powiedziałem:

- Niech będzie earl grey.

- Doskonale. - Nasypał łyżeczką herbatę do dwóch porcelanowych dzbanuszków i zalał ją gorącą wodą, zabawiając gościa niezobowiązującą rozmową.

- Ja zaparzam herbatę przez cztery minuty... - Nakrył oba dzbanki i przewrócił klepsydrę - ale pan może zrobić to po swojemu.

Spojrzałem na zegarek, co mógł odebrać jako próbę mierzenia czasu zaparzania herbaty albo jako wyraz zniecierpliwienia. W każdym razie wyglądało na to, że ludzie tego samego wyznania co pan Nasim piją herbatę zamiast popołudniowego drinka.

Czekaliśmy cierpliwie, aż piasek w klepsydrze przesypane się do dolnego zbiornika.

- Mieszkałem w Londynie przez dziesięć lat. Piękne miasto - zagaił pan Nasim.

- To prawda.

- Pan, z tego, co wiem, mieszkał tam siedem lat.

- Zgadza się.
- A wcześniej opłynął pan świat dookoła.
- I to się zgadza.
- Lubi pan przygody. Może nawet niebezpieczeństwo.
- Tylko żeglowałem. Nie atakowałem okrętów wojennych.

Uśmiechnął się.

- Ale tam jest niebezpiecznie, panie Sutter. Oprócz pogody są jeszcze piraci i miny. Płynął pan przez Zatokę Perską?

- Tak.
- To bardzo niebezpieczne. Był pan w Iranie?
- Tak. W Buszehr.
- Jak został pan tam przyjęty?
- Całkiem dobrze.

- To świetnie. Mam swoją teorię, że ludzie mieszkający w miastach portowych są szczęśliwsi i bardziej przyjaźni wobec obcych niż ci, którzy zamieszkują wewnątrz lądu. Co pan o tym sądzi?

- To prawda, z wyjątkiem Nowego Jorku. - Uśmiechnął się ponownie i zmienił temat

- Więc wraca pan do Londynu za miesiąc lub dwa?
- Prawdopodobnie tak.
- Gdzie pan tam mieszka?

Podałem nazwę ulicy w Knightsbridge, nie wymieniając numeru domu, mieszkania ani telefonu.

- Bardzo ładna okolica. - Pokiwał głową. - Ja mieszkałem w Mayfair.
- To też ładna okolica.
- Jest tam zbyt wielu Arabów.

Pomiąłem to milczeniem i wpatrywałem się w przesypany się w klepsydrze piasek. Wiedziałem, że przedstawiciele innych kultur przed przystąpieniem do właściwego interesu prowadzą długie, mało znaczące pogaduszki. Nie wynika to tylko z grzeczności. W ten sposób mają czas na poznanie swojego rozmówcy. W tym wypadku jednak interes był nieskomplikowany i załatwienie go nie powinno zająć więcej czasu niż ugotowanie jajka na miękko. Może po prostu pan Nasim chciał być uprzejmy wobec pozbawionego ziemi byłego arystokraty.

- Jest pan adwokatem.

- Tak.

- I tym zajmował się pan w Londynie.

- Dokładnie amerykańskim prawem podatkowym dla Brytyjczyków i cudzoziemców.

- O, to ciekawe. Na pewno jest duże zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi. Mam w Londynie firmę, więc być może spotkamy się pewnego dnia i... - Czas minął. Sięgnął po swój dzbanuszek i przez sitko nalał herbatę do filiżanki z delikatnej porcelany. - Proszę jeszcze zaparzać, jeśli woli pan mocniejszą.

Ja też nalałem sobie herbaty, a pan Nasim wsypał do swojej filiżanki kilka łyżeczek cukru.

- Cukier? Śmietanka? Cytryna? - zapytał.

- Dziękuję, piję czystą.

- Rozumiem. Tak właśnie powinno się pić herbatę. Ale ja uwielbiam cukier. - Wziął łyk. - Bardzo dobra. Używam filtra do wody.

- Ja też. A jeśli chodzi o stróżówkę...

- Proszę poczęstować się ciastkiem. Polecam to. - Wskazał na brejowatą masę. - Nazywa się rangeenak. - Następnie podał nazwy następnych pięciu ciastek.

Jakoś nigdy wcześniej nie zdołałem się nauczyć farsi, więc odpowiedziałem:

- Poproszę o numer jeden.

- Bardzo proszę. - Srebrnymi szczypcami nałożył mi na talerzyk kawałek przypominający daktyla. - Jeśli będzie dla pana za słodkie, to polecam to z pasty sezamowej.

- A wracając do celu mojej wizyty, jeżeli nie stanowiłoby to dla pana kłopotu, chciałbym pozostać w stróżówce przez miesiąc lub dwa.

Pan Nasim nałożył sobie na talerzyk ciastko i odparł bezceremonialnie:

- Oczywiście.

Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

- To... bardzo uprzejmie z pana strony. Przygotuję umowę na miesięczną dzierżawę od chwili śmierci pani Allard z opcją na drugi miesiąc. Więc jeśli osiągniemy porozumienie co do wysokości czynszu...

- Nie będzie żadnego czynszu, panie Sutter.

Moje zdumienie rosło.

- Nalegam...

- Żadnego czynszu. Chce pan skomplikować moje relacje z amerykańskim



urzędem podatkowym? - zażartował.

Właśnie w ten sposób zarabiałem na chleb, ale odpowiedziałem:

- Cóż, to bardzo miłe, ale...

- Nie ma o czym mówić. Proszę tylko, żeby pan opuścił stróżówkę przed pierwszym września. Oczywiście, jeżeli pani Allard będzie jeszcze żyła, nadal jest pan jej gościem. Ale w przeciwnym razie - pierwszy września.

- To nie będzie stanowiło problemu.

- To dobrze.

- Ale dlaczego nie mielibyśmy podpisać umowy? Dla nas obu byłoby lepiej, gdybyśmy mieli to na piśmie.

- To dżentelmeńska umowa, panie Sutter.

- Jak pan sobie życzy. - Teraz, oczywiście, powinienem podać mu rękę.

A może powinniśmy raczej naciąć przeguby dłoni, zbratać się krwią, a potem zatańczyć dookoła stołu? Po kilku sekundach wyciągnąłem do niego dłoń. Pan Nasim dolał sobie herbaty.

- Przyszło mi coś do głowy.

Nadstawiłem uszu.

- Chciałbym pana prosić o przysługę.

Wróciło wspomnienie tamtego popołudnia, kiedy Frank Bellarosa zaprosił Susan i mnie do Alhambry na kawę i ciastka. Poszedłem wtedy z donem Bellarosa do biblioteki na kieliszek grappy i cygaro, a on poprosił mnie o przysługę, która zrujnowała mi życie. Pan Nasim nie pozwalał sobie na alkohol czy tytoń, ale i tak czułem, że on i zmarły szef mafii mają ze sobą dużo wspólnego.

- Czy mogę prosić o przysługę? - spytał.

- Proszę mówić.

Wepchnął sobie do ust całkiem spory kawałek ciasta, zamoczył palce w miseczce z wodą i wytarł je serwetką. Przeżuł ciastko, przełknął i w końcu odezwał się:

- Z panią Allard w stróżówce i panią Sutter w domku gościnnym brakuje mi trochę prywatności. Rozumie mnie pan?

- Ma pan tu blisko dwieście akrów ogrodzonej ziemi, panie Nasim. Ile prywatności pan potrzebuje?

- Bardzo sobie cenię prywatność. W stróżówce mogłaby zamieszkać moja służba, a domek gościnny wykorzystałbym na własne potrzeby.

Nie odezwałem się.

- Miałem już złożyć ofertę właścicielom domku gościnnego, kiedy nieoczekiwanie dowiedziałem się, że posiadłość nabyła pani Sutter. Dlatego złożyłem ofertę pani Sutter, ale odmówiła. Muszę przyznać, że bardzo uprzejmie, niemniej powiedziała „nie”.

- Proszę jej złożyć lepszą ofertę.

- Zrobiłbym to, ale pamiętam jej słowa, że posiadłość nie jest na sprzedaż za żadną cenę. Oczywiście jest pewna cena, ale... - Spojrzał na mnie. - Powiedziała, że to jest jej dom, ma związanych z nim wiele wspomnień, jest to miejsce, gdzie wychowywały się jej dzieci i... miejsce, gdzie spędziła najpiękniejsze chwile w życiu. Poza tym jest to część posiadłości Stanhope Hall, w której sama dorastała. Dlatego zamierza tu pozostać, jak powiedziała, aż do śmierci.

Nie odpowiedziałem, ale pomyślałem, że w sąsiedztwie są już co najmniej dwie osoby, które życzą Susan rychłej śmierci.

- To brzmi jak definitywna odmowa - odezwałem się w końcu.

Pan Nasim wzruszył lekko ramionami.

- Ludzie, kiedy się starzeją... Nie to, żeby pani Sutter była stara. Wygląda całkiem młodo. Ale z biegiem lat ludzie stają się bardziej nostalgiczni, czują potrzebę odwiedzania miejsc ze swojej młodości i przywiązują się do przedmiotów i miejsc. Rozumie pan. Stąd bierze się ich upór i nieracjonalne czasem decyzje.

- Do czego pan zmierza, panie Nasim?

- Chciałbym, żeby spróbował pan ją przekonać.

- Nie potrafiłem jej przekonywać, nawet gdy byliśmy małżeństwem.

Uśmiechnął się grzecznie.

- Nie rozmawiamy ze sobą. I nie mam zamiaru z nią rozmawiać na ten temat.

Wydawał się zaskoczony.

- Cóż, myślałem, że to dobry pomysł, ale teraz widzę, że nie.

- Nie zaszkodziło spytać.

Pan Nasim przeszedł do ważniejszego tematu.

- Nie zjadł pan rangeenak.

Z uprzejmości włożyłem do ust kawałek tego czegoś podobnego do daktyla i umoczyłem palce w wodzie z płatkami róży.

- Nie będę się upierał przy darmowym mieszkaniu w stróżówce, ale bardzo mi to lokum na razie potrzebne.

Nasim machnął ręką.

- Dotrzymuję słowa. Nie ma tu żadnych podtekstów.

To samo mówił w swoim czasie Frank.

Dobitem już targu, a że nie miałem ochoty zdejmować butów i przystępować do modlitwy, więc zamierzałem wyjść, ale pan Nasim mówił dalej.

- Zaoferowałem pani Sutter cztery miliony dolarów. To dużo więcej, niż wart jest domek gościnny i ponad dwa razy więcej niż ona sama za niego zapłaciła kilka miesięcy wcześniej. Byłbym gotów zapłacić dziesięć procent prowizji osobie, która pomogłaby w dokonaniu transakcji.

Wstałem i odrzekłem:

- Ja nie jestem tą osobą. Dziękuję...

Nasim również się podniósł.

- Kto wie. Gdyby pan z nią rozmawiał, proszę pamiętać o moich słowach.

Byłem już trochę zdenerwowany, więc odpowiedziałem opryskliwie:

- Panie Nasim, co na miłość boską każe panu przypuszczać, że mam jakikolwiek wpływ na swoją byłą małżonkę?

Zawahał się przez chwilę.

- Dobrze się o panu wyrażała, więc pomyślałem... Odprowadzę pana do drzwi.

- Sam trafię. Znam dobrze ten dom.

- Oczywiście. Musi mi pan opowiedzieć jego historię.

- Może innym razem. Albo... - zasugerowałem - pani Sutter zna ją lepiej. - Wyciągnąłem do niego rękę. - Dziękuję za herbatę i zgodę na korzystanie ze stróżówki. Jeżeliby pan zmienił zdanie, zrozumiem to.

Uścisnął mi dłoń, drugą rękę położył na moim ramieniu i obracając mnie w stronę drzwi, powiedział:

- Nalegam, by pana odprowadzić.

Może myślał, że zroluję i zabiorę ze sobą perski dywan.

- Jak pan sobie życzy.

Kiedy szliśmy galerią, wręczył mi wizytówkę ze słowami:

- Oto moja wizytówka z prywatnym numerem telefonu. Proszę dzwonić, gdyby potrzebował pan mojej pomocy.

Pomyślałem, że mógłbym poprosić go jutro o pomoc w ładowaniu rzeczy do samochodu Elizabeth, ale pewnie nie taką pomoc pan Nasim miał na myśli.

Wyjął z kieszeni moją wizytówkę, spojrział na nią i przeczytał:

- Stanhope Hall. Rozumiem, że to stara wizytówka. - Zażartował. - A może

wydrukował ją pan, wierząc, że zgodzę się na pańską prośbę?

- Tak, to stare wizytówki. Ale nie zamierzam ich wyrzucać. Prędzej zaproponuję odkupienie od pana całej posiadłości.

Roześmiał się.

- Proszę o dobrą ofertę. Wszystko ma swoją cenę.

Rzeczywiście, to prawda.

- Ma pan telefon komórkowy? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Nagle zrobiłem się wścibski. - Czym się pan zajmuje, panie Nasim?

- Importem i eksportem.

- Rozumiem.

- Proszę bez oporów korzystać z całego terenu. Pani Sutter biega i spaceruje po posiadłości.

Oto świetny powód, żeby nie korzystać z całego terenu.

- Odnowiłem labirynt z żywopłotu w ogrodzie - rzekł z uśmiechem. - Można się tam zgubić.

- Po to właśnie jest.

- Pańskie dzieci się tam bawiły?

- Owszem. - Sam napomknął o terenie posiadłości, więc zapytałem otwarcie: - Czy usunął pan posągi ze świątyni miłości?

- Niestety tak, panie Sutter.

Nie dodał nic więcej, a ja nie chciałem być zbyt prowokacyjny i pytać, co się z nimi stało.

- Osobiście nie uważałem ich za obraźliwe - wyjaśnił sam - są tylko przykładem zachodniej sztuki klasycznej z czasów pogańskich. Ale miewam gości wyznających tę samą wiarę co ja i dla nich te posągi mogłyby mieć obraźliwy charakter.

Mogłem mu zaproponować okrycie posągów szlafrokami albo zamknięcie świątyni na klucz, ale się powstrzymałem. On jednak nie zmieniał tematu.

- Pani Sutter to zrozumiała - oświadczył.

Najwyraźniej w ciągu ostatnich dziesięciu lat stała się bardziej wrażliwa na punkcie innych kultur.

- To pańska posiadłość - skwitowałem.

- W każdym razie, tak jak powiedziałem, proszę śmiało korzystać z terenów posiadłości, nie wyłączając kortu tenisowego. Proszę tylko o możliwie skromny ubiór.

Na terenie własnej posiadłości może pan oczywiście ubierać się, w co ma pan ochotę.

- Dziękuję.

Wróciły mi wspomnienia na temat Franka Bellarosy i pani Sutter, kiedy Bellarosa złożył nam swoją pierwszą, niezapowiedzianą wizytę w Stanhope Hall. Graliśmy wtedy z Susan, Jimem i Sally Rooseveltami debla na naszym korcie. Nasz nowy sąsiad przyniósł nam prezent w postaci sadzonek warzyw i nie dość, że przeszkodził w grze, co było wystarczająco denerwujące, to jeszcze na dodatek gapił się na gołe nogi Susan.

Gdyby wtedy właścicielem posiadłości był pan Nasim, Susan grałaby w tenisa w długim czadorze i z zasłoniętą twarzą a Frank Bellarosa zostawiłby sadzonki i odszedł, nawet nie marząc o zaciągnięciu jej do łóżka. Może więc uwaga Amira Nasima o skromnym ubiorze nie była pozbawiona sensu.

Ja w każdym razie nie miałem ochoty natknąć się na Susan na terenie Stanhope Hall - nawet jeśli ona i pan Nasim tego chcieli - ale żeby być uprzejmym, odparłem:

- Dziękuję za propozycję. - Kiedy doszliśmy do schodów, powiedziałem: - Dalej trafię już sam.

- Potrzebuję trochę ruchu.

Zeszliśmy szerokimi, zakręconymi schodami razem, a pan Nasim nawiązał do oświetlenia.

- Widziałem takich murzynków na obrazach, a posągi - w muzeach i pałacach w Europie. Ale właściwie nie wiem, co mają wyobrażać.

- Nie mam pojęcia.

- Był czas, kiedy w Europie ci ludzie byli niewolnikami lub służącymi.

- Rzeczywiście, nie wyglądają na właścicieli rezydencji.

- Wcale. - Zatrzymał się nagle w połowie schodów, więc ja też przystanąłem.

- Dobrze pana rozumiem, panie Sutter - odezwał się.

- Co pan rozumie, panie Nasim?

- Pańskie odczucia.

Nie odezwałem się słowem.

- Pańskie odczucia wobec mnie mieszkającego w tym domu, wobec mojej kultury, pieniędzy i mojego kraju. I wobec pańskiej pozycji w zetknięciu z tym wszystkim.

Przez myśl przeszło mi kilka różnych odpowiedzi, wybrałem tę najwłaściwszą.

- W takim razie obaj się doskonale rozumiemy.
- Musi pan wiedzieć, że nie winię pana za to, co pan czuje.
- Nie dbam o to.

- Oczywiście. To także rozumiem. Ale muszę panu powiedzieć, że znalazłem się tutaj, a wcześniej w Anglii dlatego, że jestem banitą, panie Sutter. Nie wyjechałem z mojego kraju dobrowolnie. Jestem uchodźcą politycznym i gdybym próbował wrócić, zostałbym natychmiast aresztowany i stracony. Mój kraj jest teraz w rękach mułłów i radykałów. Byłem gorliwym zwolennikiem szacha, więc noszę teraz piętno. Nie mam swojej ojczyzny, panie Sutter, i w przeciwieństwie do pana nie mogę wrócić do domu. W przeciwieństwie do pańskiej żony, która wróciła do swojego domu, ja nie mogę tak po prostu polecieć do Iranu i odkupić swojego starego domu. Prawdopodobnie nigdy już nie zobaczę ojczyzny. Tak więc, panie Sutter, coś nas łączy - obaj chcemy wrócić do miejsca, skąd pochodzimy, ale nie mamy na to szans. Ani pan, ani ja.

Miałem wrażenie, że ta przemowa była przygotowana już wcześniej i powtarzana przy nadarzających się okazjach, ale z drugiej strony nie miałem podstaw, by negować jej prawdziwość. Może czułem teraz odrobinę mniej niechęci do pana Amira Nasima, choć w żaden sposób nie zmieniało to ani jego, ani mojej sytuacji.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas.

Zacząłem schodzić dalej sam, choć czułem za plecami jego obecność. Szedłem po kamiennej podłodze, a echo moich kroków rozbrzmiewało w olbrzymim foyer. Drzwi wyjściowe były zamknięte. Otworzyłem je.

- Panie Sutter! - zawołał.

Odwróciłem się i spojrzałem na stojącego w połowie schodów Nasima.

- Muszę jeszcze panu powiedzieć o pewnych kwestiach bezpieczeństwa.

Milczałem.

- To dlatego potrzebna mi stróżówka i dom gościnny. Chciałbym tam ulokować swoich ludzi. Rozumie pan?

Rozumiałem tyle, że to bardzo sprytna wymówka - podstęp, mający nakłonić mnie do powiedzenia Susan, że Stanhope Hall jest zagrożone atakiem jakiejś bojówki muzułmańskich fundamentalistów. Wiedziałem jednak, że Susan nic to nie obejdzie, póki terroryści nie podepczą jej rabatek.

Pan Nasim, nie doczekawszy się z mojej strony żadnej odpowiedzi, kontynuował:

- Jeżeli spostrzeże pan coś podejrzanego albo niezwykłego, proszę do mnie

zadzwoić.

- Na pewno zadzwonię. Miłego dnia. Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Zszedłem po granitowych schodach pod portykiem, wsiałem do samochodu i odjechałem.

Jadąc powoli w stronę stróżówki wzdłuż wysadzonej drzewami alei, rozmyślałem o tym, co Amir Nasim powiedział o kwestii bezpieczeństwa. Chodziło o to, czy rzeczywiście jakikolwiek uchodźca polityczny został w tej okolicy napadnięty. O ile wiem, żaden. Zapewne działały tu jakieś lokalne rozporządzenia władz zakazujące mordów politycznych.

Z drugiej strony po jedenastym września ubiegłego roku świat się zmienił. Dziesiątki tutejszych mieszkańców zginęło w Twin Towers, byli więc ludzie, tacy jak pan Amir Nasim, którzy czuli zagrożenie ze strony swoich rodaków lub gniewnych ksenofobicznych tłumów - a czasami także ze strony władz. Bywało też, że wpadali w paranoję, jak to chyba przydarzyło się Amirowi Nasimowi.

No i jeszcze pan Anthony Bellarosa. Dziwne, pomyślałem, ale państwo Bellarosa i Nasim, ludzie z różnych krańców wszechświata, mieli podobny problem, a mianowicie wrogów, którzy chcieli ich zabić. Może to nie był zbieg okoliczności, a tylko ryzyko zawodowe, kiedy trzeba wieść niebezpieczne życie i wkurzać złych ludzi.

Weźcie za przykład Johna Suttera, który ledwo pojawił się w mieście, już dostał dwie propozycje zarobienia szybkich pieniędzy. To był dla mnie naprawdę dobry tydzień, pod warunkiem że nie dostanę się pod krzyżowy ogień.

Przejeżdżając obok domku gościnnego, pomyślałem o zatrzymaniu się i zadzwonieniu do drzwi. „Cześć, Susan, wpadłem, żeby ci powiedzieć, że jeśli zobaczysz grupę uzbrojonych mężczyzn w kominiarkach biegnących przez twój trawnik, to nie musisz się przejmować. Oni są tu po to, żeby zabić pana Nasima”. I powinienem jeszcze dodać: Jeśli w okolicy pojawi się pan Anthony Bellarosa, nie zapominaj, że zabiłaś jego ojca. A propos, mam kilka twoich nagich fotografii i trochę zdjęć twojej zaburzonej rodziny”.

Zwolniłem, mijając jej dom, i nawet zobaczyłem ją w oknie. Siedziała w miejscu, gdzie kiedyś stało moje biurko, i wyglądało na to, że jednocześnie rozmawia przez telefon, pisze coś na komputerze, popija jogurt i maluje sobie paznokcie.

Zastanawiałem się, czy nie skorzystać z okazji i nie zatrzymać się. Musiałem z nią przecież porozmawiać o tym, co powiedział mi Nasim o Anthonym i o kilku innych ważnych sprawach. Uznałem, że mogę to równie dobrze zrobić przez telefon, i

pojechałem dalej.

To był naprawdę ponury dzień, nie tylko ze względu na pogodę, ale spostrzegłem, że chmury rozrywają się i jutro może pojawić się słońce. Na dodatek uregulowałem swoją sytuację mieszkaniową - jeśli nie przejmować się islamskimi bojówkami wspinającymi się po murach - i skończyłem papierową robotę, pogodziłem się z Ethel, umówiłem się na niby-randkę z Elizabeth i odrzuciłem propozycję Anthony'ego Bellarosy, tak jak powinienem to zrobić z propozycją jego ojca dziesięć lat temu.

Wszystko się dobrze układało i być może czekała mnie świetlana przyszłość.

Mimo to dręczyło mnie jakieś złe przeczucie, męczyła mnie myśl o siłach, które z jednej strony rozumiałem, a które z drugiej jakby nie istniały, tak lekceważy się czarne chmury na horyzoncie, kiedy nad nami jest czyste, rozświetlone słońcem niebo.

Wszedłem do stróżówki, wziąłem butelkę piwa, potem usiadłem na ławce w ogrodzie Ethel.

Pomyślałem o zmianach, które zaszły w ciągu jej życia - o jej wiosnie, lecie, jesieni i wreszcie zimnej, ciemnej zimie.

Wiedziałem, że mogła odczuwać żal, choćby z powodu niespełnionej miłości, i od razu przyszła mi na myśl Susan.

Kiedyś mój stary już wówczas ojciec powiedział: „Jest zbyt późno, żeby zmieniać przeszłość, ale nigdy nie jest za późno, by zmienić przyszłość”.

Na pewno nie miałem ochoty na koniec dnia wylewać żadnych starych żalów. Potrzebowałem nowych.



## ROZDZIAŁ 15

Sobotni poranek był słoneczny i chłodny. Świetna pogoda na bieganie.

Włożyłem dres i zacząłem biec wzdłuż Grace Lane, kierując się na południe, w stronę Bailey Arboretum, czterdziestu akrów porośniętej lasem dawnej rezydencji, która w tej chwili była parkiem, i jak pamiętałem, doskonałym miejscem do biegania.

Biegając, starałem się myśleć pozytywnie. Pierwszym tematem, jaki mi się nasunął, było dzisiejsze spotkanie z Elizabeth. Musiałem jeszcze posprzątać stróżówkę i pojechać do wioski po jakieś wino. Potem zastanowiłem się nad programem tego spotkania: najpierw formalności prawne, potem inwentaryzacja wszystkiego, co znajdowało się w domu.

Następnie, być może, kieliszek wina. A może kilka kieliszków. A może powinienem przestać o tym myśleć.

„Zmieniłem zakres i zacząłem rozważać plany długoterminowe. Zastanawiałem się właśnie nad wyborem jednej ze złych możliwości, kiedy wyprzedził mnie cadillac escalade. Samochód zwolnił, zawrócił i ruszył w moim kierunku. Kiedy znalazł się bliżej, poznałem siedzącego za kierownicą Tony'ego.

Kiedy cadillac zrównał się ze mną, zwolniłem, wreszcie zatrzymaliśmy się. Uchyliło się tylne boczne okno. Tam właśnie siedziała jedna z moich złych możliwości - Anthony Bellarosa.

- Mogę pana podzucić?

Podszedłem do otwartego okna i zobaczyłem, że Anthony siedzi z tyłu sam. Był ubrany w czarne spodnie i w gustowną beżową marynarkę sportową. Nie spostrzegłem nigdzie futerału na skrzypce, więc uznałem, że miał akurat do załatwienia jakąś legalną sprawę.

- Mogę pana podzucić? - powoli pytanie.

- Nie. Biegam.

Tony wysiadł zza kierownicy i otworzył drzwi; Anthony przesunął się na siedzeniu.

- Pan siada - zachęcił mnie Tony.

Widziałem takie sceny na filmach i zawsze się zastanawiałem, dlaczego ten kretyn wsiada do samochodu, zamiast urządzić awanturę, uciec albo wołać na pomoc policję.

Rozejrzałem się uważnie na boki, ale Grace Lane była jak zwykle wyludniona.

Anthony poklepał miejsce obok siebie i ponowił zaproszenie.

- Proszę wsiąść. Chciałbym z panem porozmawiać.

Wydawało mi się, że jasno mu dałem do zrozumienia, że nie mamy o czym rozmawiać, ale z drugiej strony nie chciałem, żeby pomyślał, że jestem wystraszony, lecz nie byłem, albo nieuprzejmy, co mógłby zrozumieć człowiek z mojej warstwy społecznej, a nie taki bubek jak Anthony. Poza tym pozostawała Susan, dla której może zrobiłem już zbyt wiele, ale nie chciałem popełnić błędu. Dlatego wślizgnąłem się na tylne siedzenie. Tony zamknął drzwi, usiadł za kierownicą, zawrócił o ruszył przed siebie.

- Nie mamy do siebie żalu o poprzedni wieczór, prawda? - powiedział Anthony.

- A co się stało poprzedniego wieczoru?

- Proszę posłuchać. Rozumiem, kim pan jest. Okay? Ale to, co zdarzyło się w przeszłości, minęło.

- Od kiedy?

- Chciałem przez to powiedzieć, że to mnie nie obchodzi. Więc...

- To, że twój ojciec pieprzył moją żonę, może cię nie obchodzić. Ale to, że moja żona zamordowała twojego ojca, obchodzi zarówno ciebie, jak i ją.

- Być może. Ale teraz rozmawiamy o panu i o mnie.

- Nie ma ciebie i mnie.

- Ale może być.

- Nie może.

- Zastanawiał się pan nad moją propozycją?

- Jaka propozycją?

- Niech będzie sto pięćdziesiąt.

- Było dwieście.

- A widzi pani Myślał pan o tym.

- Masz mnie - przyznałem. - Jak widzisz, nie jestem taki bystry.

- Jest pan bardzo bystry.

- Dobra, niech będzie stówa, to pogadamy.

Roześmiał się.

Co to było, zabawa czy co?

Anthony kiwnął głową do Tony'ego i powiedział:

- Zostawmy to na później. I co pan myśli o utwardzeniu drogi:

- Brakuje mi dziur, które w niej były.

- Naprawdę? Zepsuję ją na nowo.

Zjechaliśmy z Grace Lane i mijaliśmy właśnie Bailey Arboretum.

- Możesz mnie tu wysadzić.

- Najpierw chciałbym coś panu pokazać. W Oyster Bay. To może pana zainteresować. Zamierzałem o tym powiedzieć wczoraj, ale pan uciekł. W drodze powrotnej zostawię pana tutaj.

Koniec dyskusji. Powinienem być porządnie wkurzony tym, co zaczęło przypominać regularne porwanie, ale to było przecież takie przyjacielskie porwanie, i jeśli miałem być szczery, to sam tego chciałem.

Anthony zaczął mi przypominać swojego ojca, czyli moje wcześniejsze powiązania z mafią. Frank nie przyjmował do wiadomości odmowy, szczególnie w sytuacji, kiedy uważał, że robi ci wielką przysługę, choć ty nie potrafisz tego dostrzec. Oczywiście, Frank nigdy nie zapominał o wyrządzeniu w tym samym czasie przysługi sobie. A w ostateczności przypominał ci, że kiedyś wyświadczył ci przysługę, i domagał się odwzajemnienia. Dobrze znałem te metody, dosłownie i w przenośni, więc Anthony wcale nie kusił tu dziewicy.

Skręciliśmy na wschód w stronę Oyster Bay. Tony, jako dobry szofer i ochroniarz, poświęcał dużo uwagi lusterku wstecznemu. Przypomniałem sobie scenę z bramką na autostradzie z filmu Ojciec chrzestny i pomyślałem: Lepiej uważaj na samochody przed tobą, głupku.

Anthony najwyraźniej chciał uniknąć rozmowy na temat interesów, nie chciał też, żebym pomyślał, że zabrał mnie w podróż w jedną stronę.

- Rozmawiałem dziś ze swoją matką. Bardzo chciałyby się z panem zobaczyć.

- Jak tylko będę w Brooklynie.

- Przyjedzie na obiad w niedzielę. Jest pan zaproszony.

- Dziękuję, ale...

- Przyjeżdża wcześniej, po mszy. Wysyłam po nią samochód.

- To miłe.

- Potem przez cały dzień gotuje. Przywozi produkty z Brooklynu i przejmuje dowodzenie w kuchni, a Megan zachowuje się wtedy jak obrażona Madonna. Co jest z tymi kobietami?

- Jak to rozgryziesz, zadzwoń do mnie.

- Dobrze. Jasne. Jak jest ktoś inny na obiedzie, zwykle nie ma takich problemów. Pewnego razu Megan chciała przygotować irlandzką potrawę, a tu

przychodzi do mnie moja matka i mówi: „Śmierdzi, jakby gotowała tam capa”. - Roześmiał się na miłe rodzinne wspomnienie. - Megan pije za dużo wina i prawie nic nie je, a dzieci nie są przyzwyczajone do prawdziwej włoskiej kuchni - one myślą, że prawdziwie włoskie jest spaghetti z puszki i pizza z mikrofal. Ależ ona wspaniale gotuje. Moja matka, znaczy się. Te zapachy przypominają mi dzieciństwo w Brooklynie. To tak, jakbym znów był w domu.

Nie miałem pojęcia, dlaczego mi to wszystko opowiada, może po to, żeby mi udowodnić, że jest zwyczajnym facetem ze zwyczajnymi problemami i że ma matkę.

- Jadł pan kiedyś u nas w domu? - zapytał Anthony a propos matki.

- Jeszcze nie.

- Ale Susan jadła.

- Twoja matka zawsze zamawiała jedzenie.

Tony nadstawił ucha i potwierdził:

- Zgadza się. Ja i Lenny albo Vinnie zawsze przywoziliśmy jedzenie z miasta.

Nie odezwałem się, ale może to była odpowiednia pora, żeby przypomnieć Tony'emu, że jego zmarły szef nie mógłby pieprzyć się z moją żoną bez niego i jego kumpli. Nie miałem do niego żalu, a pozostali dwaj nie żyli. Trzej, jeśli liczyć Franka. Czworo, jeśli Susan da się zabić. Pięcioro, jeśli sięgnę i skrucę Tony'emu kark.

Wyjrzałem przez okno. Mijaliśmy kolejne posiadłości, których większość skrywała się za murami lub rzędem gęstych drzew, ale od czasu do czasu widziałem znajome rezydencje albo przynajmniej wysadzone drzewami aleje za bramami z kutego żelaza.

Rodzimi ziemianie mieli stare sportowe samochody, którymi lubili jeździć w weekendy, minęliśmy też kilka osób na koniach. Gdyby odpowiednio mocno zmrużyć oczy i nie dostrzegać współczesnych realiów, można by pomyśleć, że jest się znowu w Połączonym Wieku albo w szalonych latach trzydziestych, albo nawet na angielskiej prowincji.

Moje rozważania przerwały współczesne realia w osobie Anthony'ego. Wskazał konia.

- Widział pan tę dupę?

Domyśliłem się, że nie chodzi mu koński zadek, ale zamiast prosić go o sprecyzowanie jego uwagi, zignorowałem ją. Ofiary porwania nie mają obowiązku nawiązywania rozmowy.

Powróciłem do swoich rozmyślań i zastanawiałem się, czy Susan, wracając

tutaj, odnalazła to, czego szukała. Jeśli wierzyć słowom Amira Nasima, tak. Ciekaw też byłem, co myślała o moim powrocie. Pewnie wyobrażała sobie, że w takich okolicznościach rodzi się szansa na ponowne zejście się. Ale niełatwo zacząć życie na nowo, kiedy się dziesięć lat wcześniej wyjechało. Ludzie się zmieniają, nowi kochankowie pojawiali się i znikali, albo i nie, a każda ze stron wiodła życie na swój, niepowtarzalny sposób.

- O czym pan myśli? - zapytał Anthony.

- O lasagne twojej matki.

Roześmiał się.

- Naprawdę? Dostanie pan.

Obiad u Bellarosów nie wydawał się najważniejszym wydarzeniem w moim życiu towarzyskim, dlatego odparłem:

-Jestem w niedzielę zajęty. Ale dziękuję.

- Niech pan wpadnie. Jemy o czwartej. Podam ochronie pańskie nazwisko, oni pana pokierują.

Nie odezwałem się.

Sunęliśmy wzdłuż wybrzeża, potem wjechaliśmy do uroczego miasteczka Oyster Bay i Tony skierował się do pełnego ludzi centrum.

Kiedy byłem młodszy, i dzieci też, soboty były szalone. Carolyn i Edward ciągle mieli jakieś zawody sportowe, lekcje tenisa albo golfa, przyjęcia urodzinowe albo cokolwiek innego, co Susan i pozostałe matki zdołały im przygotować. Trzeba było je wozić, zwykle z bandą koleżanek i kolegów, a wymagało to naprawdę wyjątkowej punktualności.

Nie było wtedy, oczywiście, telefonów komórkowych i pamiętam, że zdarzało się zgubić kilkoro dzieciaków czy opuścić jakąś imprezę. Raz udało mi się nawet zawieźć Edwarda i jego kolegów na niewłaściwy mecz piłkarski.

- Co tak pana rozbawiło?

Spojrzałem na Anthony'ego.

- To jest ekscytujące. Nigdy wcześniej nikt mnie nie porwał.

Anthony zachichotał.

- Nikt pana nie porwał. Wyświadcza mi pan przysługę. Potem odwiozę pana do domu.

- Nawet jeśli nie wyświadczę tej przysługi?

- A, wtedy zobaczymy. - Uznał, że to zabawne.

Tony też. Ja nie.

Tony znalazł miejsce parkingowe w samym centrum i został w samochodzie, a Anthony i ja wysiedliśmy.

Anthony ruszył główną ulicą, ja podążyłem za nim. Początkowo martwiłem się, żeby żaden ze znajomych nie zobaczył mnie w towarzystwie bossa mafii, ale potem doszedłem do wniosku, że to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Przeciwnie, to może być zabawne.

Anthony zatrzymał się przed skrzyżowaniem i wskazał dwupiętrowy budynek z cegły po przeciwnej stronie.

- To jest zabytkowy gmach - poinformował mnie.

- Naprawdę? - Oczywiście znałem ten budynek, choćby dlatego że mieszkałem w okolicy prawie całe swoje życie, ale Anthony, podobnie jak jego ojciec, nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś może cokolwiek wiedzieć, póki nie dowie się tego od niego.

- To było letnie biuro Teddy'ego Roosevelta - powiedział i sprawdzał, czy doceniłem jego niezwykłą wiedzę. - Tam, na pierwszym piętrze.

- Poważnie?

- Może pan sobie wyobrazić, że prezydent Stanów Zjednoczonych kieruje państwem z takiej rudery?

- Nie do wiary.

Właściwie to nie była żadna rudera, tylko całkiem ładna budowla z przełomu wieków z mansardowym dachem. Na parterze znajdowała się księgarnia połączona z kawiarnią, a na wyższych piętrach mieszkania, do których można było dotrzeć drzwiami znajdującymi się na prawo od księgarni.

- Niech pan spróbuje to sobie wyobrazić: prezydent przyjeżdża do miasteczka ze swojej rezydencji w Sagamore Hill... - Wskazał na wschód, gdzie w odległości trzech mil wciąż znajdował się letni Biały Dom Teddy'ego Roosevelta - ...i jest z nim może jeden ochroniarz z Secret Service i kierowca. Wysiada z samochodu, uchyla kapelusza na widok znajomych, znika za tymi drzwiami i idzie po schodach na górę.

Dla spotęgowania wrażenia zaproponowałem:

- Może najpierw zatrzymał się, żeby wypić kawę i zjeść bajgla?

- Tak... nie. Żadnych bajgli. Zresztą biuro było na górze i siedział tam jego sekretarz, i może jeszcze jeden człowiek, który przekazywał wiadomości telegraficznie i chodził na pocztę, żeby wysłać listy. A najbliższy telefon był w aptece za rogiem. - Spojrzał na mnie. - Uwierzy pan?

Wydawało mi się, że już wcześniej mówiłem, że bardzo trudno w to uwierzyć.

- Nie do wiary. - W rzeczywistości Roosevelt większość pracy wykonywał w Sagamore Hill, a do tego biura zaglądał rzadko, ale Anthony wydawał się tak rozentuzjasmowany, że pozwoliłem mu mówić dalej.

- Jest lato, nie ma klimatyzacji, a oni wszyscy mają na sobie garnitury, krawaty i wełnianą bieliznę, prawda?

- Prawda.

- Może mieli chociaż pojemnik na lód?

- Może.

- A były wtedy elektryczne wentylatory?

- Dobrze pytanie. - Które przypomniało mi o innym dobrym pytaniu. - Do czego zmierzasz?

- Są dwie rzeczy. Może nawet trzy.

- A mogę poznać choć jedną?

- Tak. Po pierwsze, ten budynek jest na sprzedaż. Trzy miliony. Co pan o tym myśli?

- Kupuj.

- A dlaczego?

- Bo chcesz go kupić.

- Zgadza się. To przecież kawał historii.

- Bezcenny. - Spojrzałem na zegarek. - Muszę już lecieć. Złapię taksówkę.

- Zawsze pan ucieka. Najpierw się pan pokazuje, a potem ucieka.

To było nie dość, że prawdziwe, to jeszcze na dodatek chytre. Najwyraźniej na obecność Bellarosów reagowałem konfliktem asocjacja/dysocjacja.

- Tym razem wcale się nie pokazałem. Zostałem porwany. Ale poświęcę ci dziesięć minut.

- Powiedzmy dwanaście. Tak sobie pomyślałem, że pozbędę się tej księgarni na parterze i umieszczę tam coś, co przynosi pieniądze - jakiś porządny butik albo knajpę. Lodziarnię Baskin-Robbins albo kawiarnię Starbucks.

- Musisz o tym porozmawiać z radą miejską.

- Tak, wiem o tym. To właśnie pan do nich pójdzie.

- Nie wchodzę w to.

- Daj spokój, John. To nic wielkiego. Ja kupię budynek, ty zajmiesz się zamknięciem księgarni i wtedy zobaczymy, co ojcowie miasta zrobią. - Wskazał

ruchem dłoni ulicę. - Spójrz na to miejsce. Pieniądze. Jeśli potraktuję ten budynek jako miejsce zabytkowe, historyczne, czynsz wzrośnie pięciokrotnie. Zgadza się?

- Cóż...

- To samo z lokalami na górze. Może kancelaria prawnicza. „Wynajmij biuro Teddy’ego Roosevelta”. Klienci będą zachwyceni. Zatrudnię dekoratora wnętrz, wszystko będzie wyglądało jak sto lat temu. Prócz toalet i klimatyzacji. Dobrze kombinuję?

- Anthony, nie było mnie tu przez dziesięć lat. Znajdź sobie kogoś i innego, kto pomoże ci nabić kabzę.

- Pieprzyć forszę. Ja kupuję historię.

- Masz rację. Powodzenia.

- A teraz druga sprawa. To nie ma nic wspólnego z interesami. Zadaję sobie pytanie, co się, kurwa, dzieje z tym krajem?

Cóż, po pierwsze, mafia wciąż żyje. Ale ludzie, którzy stanowią część problemu, nie postrzegają siebie jako problem. Problemem dla nich jest zawsze ktoś inny.

- Problemem jest sieć knajp i prawnicy - odparłem. - Jednych i drugich za dużo.

- Nie, to coś więcej. Myślisz, że dzisiaj prezydent mógłby chodzić po ulicy z jednym ochroniarzem?

- Ty chodzisz. A ochroniarz został w samochodzie.

- Nie jestem pieprzonym prezydentem, John.

Zauważyłem, że nie powiedział: „Nikt nie próbuje mnie zabić, John”, a każdy tak właśnie by zareagował.

- Juliusz Cezar poszedł do budynku senatu bez ochrony, bez gwardii pretorianów, bo tak się wtedy postępowało. I zasztylowali go. To był koniec republiki i początek rządów cesarzy, którzy uważali się za bogów. Rozumiesz?

- Wiem, co masz na myśli. Ale nie ma powrotu do starych, dobrych, bezpiecznych czasów.

- Tak, ale... jak tu stoję... sam nie wiem. To tak, jakbyśmy... coś stracili.

Nie dokończył myśli, która rodziła się w jego głowie, i szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że w ogóle potrafi myśleć. Przypomniałem sobie jednak, że jego ojciec również wysiłał się czasem na wyrażenie własnej opinii o świecie. Myślę, że po jedenastym września Anthony, podobnie jak wielu innych ludzi, zdał sobie sprawę, że istnieje coś więcej niż tylko kłopoty z żoną, skomplikowana historia rodzinna,



bluszczowata matka czy stresujące zajęcie. Może nawet zaczął się zastanawiać nad własną śmiertelnością.

Anthony zapalił papierosa i wpatrywał się w budynek po drugiej stronie ulicy.

- Kiedy byłem dzieciakiem w La Salle, jeden z braci powiedział nam: „Każdy z was może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych”. - Anthony zaciągnął się papierosem i dokończył: - Gówno prawda.

To zabawne, nam w szkole przygotowawczej mówili dokładnie to samo, tylko że absolwenci St. Paul rzeczywiście mieli na to szansę.

- Sami kształtujemy naszą przyszłość, Anthony - powiedziałem. - Mamy marzenia i ambicje i dokonujemy wyborów. Ja na przykład zamierzam teraz wrócić do domu.

Uznał, że to, co powiedziałem, było zabawne i nie przyjął do wiadomości, że naprawdę chcę wracać do domu.

- A oto trzecia sprawa. Pomyślałem sobie...

Zapaliło się zielone światło na skrzyżowaniu, ujął mnie pod ramię i przeszliśmy przez zatłoczoną ulicę. Dałbym wszystko, żeby w tej chwili spotkać wielbego Jamesa Hunningsa. - Ojciec, chciałbym przedstawić mojego przyjaciela i partnera w interesach, dona Anthony'ego Bellarose. Pamięta ojciec jego ojca, Franka? O, a to moja matka. Harriet, poznaj chłopca Franka Bellarosy, Tony'ego. Kiedy dorósł, został Anthonym. O mój Boże, to ty, Susan. Susan, chodź tu i poznaj syna człowieka, którego zastrzeliłaś. Czyż nie jest podobny do ojca?

No dobrze, dosyć tego. Dotarliśmy do chodnika po drugiej stronie ulicy, nie spotykając nikogo z moich znajomych. Nie przystanęliśmy też ani na chwilę, żeby don Bellarosa mógł dać swój autograf.

- Mój ojciec kiedyś powiedział - zaczął Anthony - że na tym świecie są tylko dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy pracują dla kogoś, i ci, którzy pracują dla siebie.

Nie odezwałem się, bo czułem już, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

- No więc - ciągnął - ja pracuję dla siebie A ty pracujesz dla innych.

Tę uwagę również przemilczałem.

- Pomyślałem więc, że zaoferuję ci pieniądze, za które otworzysz tu sobie kancelarię i wywieszisz ładną tabliczkę. Co o tym sądzisz?

- Miałbym daleko do pracy z Londynu.

Chrzanić Londyn. Jesteś stąd. Możesz siedzieć w dawnym gabinecie Teddy'ego Roosevelta i doradzać klientom tutaj. Zatrudnisz kilka sekretarek i ani się obejrzyś,

jak będziesz bogaty

- Ciekawe, kto miałby być moim pierwszym klientem.

- Mylisz się. Widzisz? Źle to przyjąłeś. Pomiędzy tobą a mną nie ma żadnych związków.

- Oprócz pieniędzy, które mi pożyczysz.

- Ja ci nie pożyczam pieniędzy. Ja ci je oddaję do dyspozycji. Inwestuję w ciebie. Jeżeli ci nie wyjdzie, trudno, stracę to, co zainwestowałem i wykopię cię z tego biura. Nic nie ryzykujesz.

- I nie połamiesz mi rąk i nóg?

- O czym ty mówisz?

- Czym sobie zasłużyłem na taką łaskę?

- Dobrze wiesz. Tym, co zrobiłeś dla mojego ojca. Tym, że uratowałeś mu życie. Tym, że byłeś jedynym facetem, który niczego od niego nie chciał.

Prawdę mówiąc, chciałem coś od niego - potrzebowałem trochę podniety w swoim życiu. No i dostałem ją. A jeśli chodzi o całą resztę, kiedy zdałem sobie sprawę, że ma romans z moją żoną, życzyłem mu wszystkiego najgorszego. I to też się spełniło. Ale nie miałem zamiaru opowiadać o tym Anthony'emu. Zamiast tego odparłem zniecierpliwionym tonem:

- Powiedz mi, do cholery, czego ty właściwie ode mnie chcesz. I przestań pieprzyć o inwestowaniu w moją przyszłość i braku zobowiązań.

Zaczęliśmy budzić zainteresowanie, więc Anthony rozejrzał się na boki i powiedział ściszym głosem:

- Chodźmy na górę, tam możemy porozmawiać. Mieszkanie jest puste. Pośrednik przyjdzie za pół godziny. Mam klucze.

- Powiedz mi tu i teraz.

Zignorował mnie, odwrócił się w stronę drzwi i otworzył je. Moim oczom ukazał się mały przedsionek i długie strome schody.

- Będę na górze - powiedział.

- Ja nie.

Wszedł do przedsionka i obejrzał się na mnie.

- Przecież chcesz posłuchać, co mam ci do powiedzenia.

Odwrócił się i ruszył schodami na górę.

Ja odwróciłem się i odszedłem.

Idąc główną ulicą, zastanawiałem się, czy złapać taksówkę, czy przebiec te pięć,

sześć mil do domu. I wtedy pojawiła się inna myśl, którą próbowałem początkowo od siebie odsunąć. Otóż doszedłem do wniosku, że Anthony Bellarosa, niezależnie od tego, co mi powie, nie pozwoli żyć w tej okolicy morderczyni swojego ojca. Albo nie pozwoli żyć jej w ogóle. Na pewno jego ludzie czekali tylko na rozkaz, żeby się zająć Susan. Jeżeli natomiast Anthony nie zrobiłby tego, to jego krewni - między innymi bracia - zaczęliby się poważnie zastanawiać, co z niego za boss.

Z drugiej strony Anthony chciał, żebym dla niego pracował, i z jego słów można było wnioskować, że jeśli się zgodzę, Susan będzie bezpieczna. Przynajmniej przez jakiś czas.

W takim razie musiałem przystać na jego propozycję, przynajmniej do czasu gdy rozmówię się z Susan. Bo chodzi o to, by trzymać się blisko przyjaciół, a jeszcze bliżej wrogów.

Zawróciłem i wszedłem do budynku.

## ROZDZIAŁ 16

Drzwi były wciąż jeszcze otwarte na oścież. Wspiąłem się po schodach na górę.

Stałem na podeście i otworzyłem jedyne drzwi, za którymi znajdował się salon opustoszałego mieszkania. Na podłodze leżał zniszczony dywan, beżowa farba na ścianach wyblakła, a gipsowy sufit sprawiał wrażenie, jakby miał się za chwilę zawalić. W sumie byłoby to przygnębiające miejsce, gdyby nie duże okna.

Kolejną zaletą było to, że nigdzie nie znalazłem szefa mafii. Nieoczekiwanie usłyszałem odgłos spuszczonej wody w toalecie, otwarły się drzwi i pojawił się w nich Anthony.

- Kanalizacja wygląda na sprawną. - Rozejrzył się wokół. - Trzeba wywalić całe to gówno. Ale przecież jestem właścicielem firmy budowlanej. Pamiętasz Dominica? Przebudowywał wam stajnię. - Zmienił temat. - W latach trzydziestych przerobili te biura na mieszkania. Pozbędę się lokatorów i za wynajem powierzchni na biura wezmę dwa razy wyższy czynsz. Zgadza się?

Milczałem.

- Wyobrażam tu sobie ładne gzymsy, grube dywany i mahoniowe drzwi. I wiesz, co widzę oczami wyobraźni na tych drzwiach? Widzę złote litery: John Whitman Sutter, adwokat. Ty też to widzisz?

- Być może.

Nie zareagował na tę oznakę kapitulacji, zdając sobie sprawę, że skoro już tu przyszedłem, to jestem gotów go wysłuchać.

- Obejrzyjmy pozostałe pokoje - zaproponował.

Poszedłem za nim do dużej narożnej sypialni z oknami wychodzącymi na ulicę. Pod odpadającą tapetą bielila się ściana, a dywan przypominał sztuczną trawę.

- Pośrednik powiedział mi, że tu był gabinet Roosevelta.

Pośrednik oczywiście nie miał racji albo kłamał, co bardziej prawdopodobne. Roosevelt miał swoje biuro w Sagamore Hill, a tu znajdowało się tylko biuro jego sekretarza. Pośrednik wcisnął Anthony'emu kit, chcąc zwiększyć wartość nieruchomości. Co ciekawe, Anthony dał się nabrać jak dziecko. Gdyby był tu Frank, trzepnąłby syna po głowie i powiedział: „A ja sprzedam ci most Brookliński”.

- Roosevelt wyglądał przez to okno i przypatrywał się przechodzącym ulicą laskom - kontynuował swoje wywody Anthony. - Jak myślisz, czy on miał swoją *comare*?

Przypomniałem sobie, że Frank używał tego słowa, i kiedy zapytałem Susan, która знаła trochę włoski z college'u, co to znaczy, odpowiedziała, że „matka chrzestna”. Ale to tłumaczenie nie pasowało mi do kontekstu. Dlatego zapytałem Jacka Weinsteina, żydowskiego adwokata Franka, a on odpowiedział z uśmiechem, że dosłownie znaczy to matka chrzestna, ale w slangu młodych żonkosiów oznacza przyjaciółkę lub kochankę. Zabawne.

Przezabawne. Oto kolejny przykład użycia tego słowa: Frank ma *comare* o imieniu Susan.

- Jak myślisz? Obciągały mu tu laskę pod biurkiem? - zainteresował się Anthony.

- Myślę, że książki historyczne milczą na ten temat.

- Trudno. Poproszę kogoś o poszukanie zdjęć tego miejsca z czasów, kiedy był tu Roosevelt. Musimy odtworzyć realia.

Czy tego chciałem, czy nie, miałem pracować w muzeum. Jeżeli Anthony sprawdzi w Towarzystwie Historycznym w Oyster Bay, to okaże się, że Roosevelt wcale tu nie pracował. A wtedy w lokalnej gazecie ukaże się nekrolog agenta nieruchomości.

- Tu na ścianie powiesimy głowę łosia. - Roześmiał się i zaprowadził mnie do kolejnego, mniejszego pokoju, który wyglądał tak samo jak sypialnia, tylko był jeszcze bardziej zdewastowany.

- Tu będzie siedziała twoja osobista sekretarka - dzielił się ze mną swoją wizją.

- Postawisz tu rozkładaną kanapę i mała *fica* będzie twoja. *Capisce?* - Roześmiał się.

Czy może być lepszy interes? Seks, pieniądze, władza i nawet historia.

W pokoju znajdowało się biurko i szafa na dokumenty.

- Kto tu mieszkał? - zapytałem Anthony'ego.

- Agent literacki. Został wyeksmitowany, ale pozostali lokatorzy mają umowę dzierżawy i muszę się ich jakoś pozbyć.

- Złóż im uczciwą propozycję.

Typu wyprowadzisz się albo umrzesz.

- Jasne. Dobrą propozycję. - Zaprowadził mnie do niewielkiej kuchni w głębi mieszkania.

- Wszystko stąd wyrzucimy i urządzimy salonik do picia kawy, rzecz jasna z barkiem. No, jak myślisz?

- Myślę, że ta renowacja przyciągnie uwagę lokalnych mediów. Na pewno tego

chcesz?

- To będzie bardzo dobra prasa dla ciebie. Ja pozostanę cichym współnikiem.

- Nie na długo.

- Wiem, jak to się robi, więc moje nazwisko nigdy nie wypłynie, nie musisz się o to martwić.

- Przecież rozmawiałeś już z agentem nieruchomości.

- Z agentem rozmawiał przez telefon Anthony Stephano. Pamiętaj, kiedy facet się tu pojawi, nazywam się Anthony Stephano. *Capisce?*

- Ludzie znają twoją twarz.

- Nie tak jak twarz mojego ojca. Ja trzymam się na uboczu. Największym problemem jest nazwisko, dlatego użyłem fałszywego. A nawet jeśli ktoś uważa, że nie nazywam się Stephano, to nie piśnie ani słowa.

- Gdybyś użył prawdziwego nazwiska, obniżyłbyś cenę do dwóch milionów.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę, John? A dlaczego?

- Och, sam nie wiem - powiedziałem i rzuciłem na chybił trafił: - Może facet zrobiłby się nieco nerwowy.

Znów się uśmiechnął. Najwyraźniej bawiła go władza, jaką miał, i perspektywa, że ludzie trzęsą portkami na sam dźwięk jego nazwiska.

Odkryłem też, albo tylko tak mi się wydawało, że przez ostatnie dziesięć lat zmienił się sposób prowadzenia mafijnych interesów. Może to był tylko indywidualny styl Anthony'ego, tak różny od tego, co zapamiętałem z czasów, kiedy byłem honorowym członkiem gangu.

Tylko ja się nie zmieniłem. Ci ludzie nie budzili we mnie grozy. Byłem przede wszystkim Johnem Whitmanem Sutterem i nawet najprymitywniejszy zbir wiedział, że jest pewna klasa ludzi, którym nie robi się krzywdy. Właśnie dlatego prokurator okręgowy Alphonse Ferragamo wciąż jeszcze cieszył się życiem. Mafia ma swoje zasady i nie lubi złej prasy, a właściwie w ogóle nie lubi rozgłosu.

Ale nawet jeśli nie groziła mi śmierć, to na pewno groziło mi, że zostanę skuszony, skorumpowany i zmanipulowany. To mnie właśnie czekało. Pozostało mi powtarzać sobie, że nie dzieje się tak z powodu mojego upadku moralnego czy jakiejś szczególnej potrzeby spieprzenia sobie życia. Robiłem to dla Susan.

W normalnych warunkach Susan znajdowałaby się na czele listy zatytułowanej: „Tej pani nie pomagamy”, gdyby nie fakt, że zadarła z mafijnym bossem.

Cóż więc miałem robić?

Anthony powrócił do poprzedniego tematu.

- Jestem uczciwym biznesmenem. Bell Enterprises. To, co być może kiedyś się zdarzało, to już przeszłość. Ale skoro ludzie wolą uważać, że...

- Anthony, proszę, nie obrażaj mojej inteligencji.

Nie wyglądał na zadowolonego, że mu przerwałem.

- Mówię tylko to, co chcesz usłyszeć.

- Nie chcę słuchać bzdur. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie będziesz na ten temat nic mówił.

Zapalił papierosa i chwilę milczał.

- Okay.

- Czego ode mnie oczekujesz? I dlaczego?

Usiadł na parapecie okiennym i zaciągnął się głęboko.

- No dobrze. Rozmawiałem z Jackiem Weinsteinem, dawnym adwokatem ojca. Pamiętasz go? On cię lubi. Powiedział mi, że powinienem z tobą porozmawiać, co właśnie czynię. On twierdzi, że jesteś najbystrzejszym, najuczciwszym i najzabawniejszym facetem, z jakim miał kiedykolwiek do czynienia. Takie komplementy spotkały cię ze strony sprytnego Żyda, który zawsze pomagał mojemu ojcu. Jack powiedział mi, że potrzebuję właśnie kogoś takiego jak ty. Żeby czasem pogadać. Żeby zasięgnąć rady. To samo robił Jack dla mojego ojca. Potrzebny mi ktoś, kto nie jest *paesano*. Rozumiesz?

- Czyli miałbym być twoim *consiglieri*

- Tak... to znaczy tylko doradcą. A ludzie myślą, że... to ma coś wspólnego ze... zorganizowaną przestępczością. Po włosku to znaczy doradca. Prawników nazywamy doradcami.

- Więc tym się zajmował Jack Weinstein?

- Tak. Jack poradził mi także, żebym zatrudnił kogoś takiego, kto chodziłby za Cezarem i szeptał mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś śmiertelnikiem”.

- Czy to zajęcie na cały etat?

Zmusił się do uśmiechu.

- W tamtych czasach tak. Taki ktoś przypominał Cezarowi, że jest człowiekiem, a nie bogiem.

- A ty uważasz, że trzeba ci o tym przypominać?

Znowu zmusił się do uśmiechu.

- Każdemu jest to potrzebne. Każdemu, kto odnosi sukcesy. Jack uważa, że ja tego potrzebuję. Zresztą każdy w Waszyngtonie powinien mieć takiego przypominacza, nie uważasz?

- Nie zaszkodziłoby.

Mądry człowiek, Jack Weinstein, zdawał sobie sprawę, że młodemu Anthony'emu brakuje doświadczenia, ale widział w nim potencjał. Jeśli udałoby się utrzymać go dostatecznie długo przy życiu, to z młodego wilka wyrósłby wielki, potężny i może nawet bystry wódz, gotów rozprawić się ze swoimi wrogami. Spozstrzegawczy Jack uznał, że John Sutter powinien przejąć od niego pałeczkę, a może nawet zastąpić Anthony'emu ojca. Ale czy rzeczywiście byłem gotów podjąć się ojcowskich obowiązków wobec ambitnego młodzieńca, z którego miał wyrosnąć ktoś tak niebezpieczny i kłamliwy jak Frank Bellarosa? A gdyby mi się udało, to kto mi zaręczy, że pewnego dnia Anthony nie zechce zaciągnąć do łóżka mojej żony, jeśli taką będę miał?

Cała ta sytuacja wydawała się farsą - choć wcale nie było mi do śmiechu. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie obecność Susan. I ja, i Anthony dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, o co toczy się gra.

- Więc Jack uważa, że tego ci właśnie potrzeba. Doradcy i kogoś, kto cię ostrzeże, gdy zbyt wysoko zadrzesz głowę. A jak ty sądzisz, do czego ci jestem potrzebny?

- Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać, kogoś niepowiązanego z moimi interesami. Kogoś, kto nie zyskałby niczego na mojej stracie. Potrzebuję twojego bystrego umysłu i dobrej rady.

Jego ojciec pozostawał dodatkowo pod wrażeniem mojego rodowodu i otaczającego mnie powszechnego szacunku. Rodowód pozostał, ale Anthony'ego nie obchodził. Dla niego liczyły się mózg i jaja.

- W czym miałbym ci doradzać? - zapytałem.

- We wszystkim, co wymagałoby twojej rady.

- Ale wtedy wiedziałbym o rzeczach, o których nie chcę wiedzieć.

- To się nie zdarzy - odparł. - A jeśli nawet, to pozostaniemy w stosunkach adwokat-klient

- Czyżby?

- To zależy od ciebie, mecenasie.

- A wynagrodzenie?



- Dwieście tysięcy rocznie. Za samą gotowość do pracy. Poza tym możesz sobie dorabiać, ile chcesz. Na przykład zająć się odzyskaniem majątku mojego ojca. Albo doradztwem podatkowym. Właściwie ja też potrzebuję doradcy podatkowego.

Osobiście byłem zdania, że potrzebuje raczej księdza albo klapsa na tyłek od matki niż doradcy. Może to właśnie powinno być moją pierwszą radą?

- I to wszystko? - zapytałem.

- Wystarczy. No i oczywiście masz tu kancelarię.

- A może być bez głowy łosia?

Uśmiechnął się, wstał i wrzucił niedopałek do zlewu.

- Oczywiście. No więc jak?

- Pozwól mi to przemyśleć.

- Niczego więcej nie oczekiwałem. Wiem, że podejmiesz właściwą decyzję.

- Możesz być tego pewny.

- I zadzwoń do Jacka Weinsteina. Chciałby z tobą porozmawiać. Jest na Florydzie. Może zechcesz go odwiedzić?

Nie odpowiedziałem na to pytanie.

- Czekam na ciebie dzisiaj ciężki dzień. Dzięki za przejazd.

- W porządku. Znajdź Tony'ego. Podrzuci cię do domu.

- Muszę trochę poćwiczyć.

Obaj wróciliśmy do salonu, a ja podszedłem do drzwi wyjściowych.

- Jeżeli mam tu mieć kancelarię, to księgarnia na dole musi zostać. Z niezmiennym czynszem.

Nie odezwał się.

- Przeprosiłeś kelnerkę? - zapytałem.

- Nie.

- A czy ty w ogóle potrafisz słuchać czyichś rad?

- Tak. Jeżeli mam zaufanie i szanuję osobę, która mi ich udziela.

- Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś takiego.

- Już znalazłem. To Jack Weinstein. I mój ojciec. Jeden umiera, a drugi już nie żyje. Obaj polecieli mi ciebie.

- Okay. I nie podniecaj się za bardzo w towarzystwie tego agenta nieruchomości. Ludzie wyczuwają kiedy ci na czymś szczególnie zależy. I sprawdź historię budynku, którą ci opowiedział. *Capisce?*

- *Capisco*. Wyszedłem.

## ROZDZIAŁ 17

Jeśli się nie pomyliłem w obliczeniach, gdybym namówił Susan do sprzedaży domku gościnnego Amirowi Nasimowi i odzyskał zajęty przez władze majątek Bellarosy, to zostałbym milionerem.

Żaden z tych celów nie wydawał się osiągalny, ale otrzymałem w zamian przyzwoitą ofertę pracy - jako mecenas dona Anthony'ego Bellarosy. Jak to się będzie prezentowało w moim *curriculum vitae*? Czy koledzy ze szkolnej ławy będą pod wrażeniem?

Znałem ludzi - podobnych do mnie - którzy przez większą część życia przestrzegali regułę, a potem niespodziewanie wydarzyło się coś, co kazało im zwątpić w system, Boga lub państwo. Tacy ludzie są bardzo podatni na pokusy i znajdują się na najlepszej drodze do upadku, nie piedestału.

No cóż. Umiałem usprawiedliwić każdy rodzaj zachowania, każdą błędną decyzję, ale do końca dnia powinienem zdecydować, kim naprawdę jest John Sutter.

Ale teraz najważniejszą sprawą było posprzątanie łazienki. Wkrótce powinna się tu pojawić Elizabeth Allard.

Kiedy byłem młodym człowiekiem, nie musiałem niczego sprzątać - nawet w wojsku, bo od razu zostałem oficerem. Ale za to czyściłem swoją łódź, toteż wiedziałem, do czego służą różne detergenty.

Wysprzątałem łazienkę na piętrze, a potem zrobiłem porządek w sypialni, na wypadek gdyby Elizabeth rzeczywiście chciała zobaczyć swój dawny pokój.

Byłem pewien, że trzeba będzie nosić jakieś paczki, więc ubrałem się w dzinsy, koszulkę polo i sportowe buty.

Zegar z kukułką wybił szesnastą, a potem szesnastą piętnaście. Byłem zajęty przeglądaniem ważnych dokumentów w jadalni, dzięki czemu nie myślałem bez przerwy o... Elizabeth.

Kilka minut później rozległ się dzwonek u drzwi. Jeżeli miałem pecha, to była Susan. Jeżeli nie - Elizabeth. Prawdziwy pech byłby wtedy, gdyby w progu stały obie naraz.

Podszedłem do drzwi, ale nie spojrzałem przez judasza, kogo los zawiódł w moje progi.

Otworzyłem. To była Elizabeth. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Przestańmy się bawić w kotka i myszkę, chodźmy do łóżka”.

A może jednak powiedziała: „Przepraszam za spóźnienie, były straszne korki”?

Uznałem, że raczej to drugie, i odparłem:

- W soboty zawsze jest duży ruch. - Potem uściskaliśmy się serdecznie i Elizabeth weszła do środka.

Ona także włożyła dzinsy i sportowe buty, a prócz tego niebieski T-shirt z napisem „Smith”, co zapewne nie oznaczało jej pseudonimu, tylko raczej nazwę uczelni, gdzie studiowała jej córka.

- Mam na sobie strój roboczy - wyjaśniła.

- Świetnie. Ja też.

- Ale przyniosłam coś na zmianę, jeżeli dasz się później zaprosić na kolację.

Przez myśl przebiegł mi cały kalejdoskop obrazów - ubrania na podłodze, łazienka, prysznic, sypialnia, łóżko...

- Jeżeli nie masz innych planów...

- Innych planów? Nie. Jestem wolny. Dopiero co przyjechałem. - przypomniałem jej.

Uśmiechnęła się, rozejrzała dokoła i zauważyła:

- Nic się tu nie zmieniło.

- Owszem. I bardzo mnie to cieszy.

Zrobiłem kawę.

- Świetnie.

Postawiła swoją dużą płócienną torebkę na podłodze i zaprowadziłem ją do kuchni.

- Jak sobie tu radzisz? - zapytała.

- Całkiem dobrze. To miło, że twoja matka pozwoliła mi tu zamieszkać.

- Ona cię lubi.

- Tego nie jestem pewny.

Elizabeth uśmiechnęła się ponownie.

- Nie zawsze okazuje prawdziwe uczucia.

- Moja matka jest podobna.

Nalałem kawy do dwóch kubków.

- Śmietanka? Cukier?

- Po prostu czarna. A jak się czuje twoja matka?

- Od chwili powrotu rozmawiałem z nią dwa razy, ale jeszcze się nie spotkaliśmy.

- Naprawdę? Nie wyobrażam sobie, żebym nie zobaczyła się ze swoimi dziećmi w tej samej chwili, kiedy wróciły z podróży.

- Nie widziałem się też z Carolyn, chociaż mieszka o pięćdziesiąt minut jazdy kolejką stąd - przyznałem po dłuższym namyśle.

- No cóż, wróciłeś dopiero... właśnie, kiedy?

- Dwa tygodnie temu. Może usiądziemy na tarasie?

Wyszliśmy kuchennymi drzwiami i usiedliśmy na żeliwnych krzesłach, które ocalały z powszechnej zbiórki złomu w latach tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa - tysiąc dziewięćset czterdzieści pięć. Stolik pochodził z tego samego okresu. Przypomniałem sobie teraz, że co roku na wiosnę George skrobał i malował na nowo meble ogrodowe.

- Mama i tata co rano pijali tu kawę - przypomniała Elizabeth.

- Jak ona się czuje? - zapytałem.

- Dzisiaj rano wyglądała bardzo dobrze. Lepiej niż zwykle.

Z mojego doświadczenia wynikało, że u osób śmiertelnie chorych to wcale nie musi być dobry znak.

- Miło mi to słyszeć. - I dodałem: - Miałem dzisiaj do niej wpaść, ale nieoczekiwanie wypadło mi spotkanie w Oyster Bay.

Elizabeth kiwnęła głową, a potem rozejrzała się wokół.

- Tak tu spokojnie. To było wspaniałe miejsce dla dziecka. Ustronne, otoczone murem... Cały świat był gdzieś tam, na zewnątrz.

- Oto cały urok tego miejsca.

- Lubieś mieszkać w domu gościnnym? - zapytała.

- Polubiłem, kiedy Stanhope'owie przeprowadzili się do Karoliny Południowej.

Uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała: „To dopiero były dupki”.

Przypuszczam, że po latach spędzonych tutaj jako dziecko pracowników posiadłości była nauczona, że nie należy mówić nic złego o pani i panu. Niezrażony tym ciągnąłem:

- Gdyby Williamowi nie trafiły się przypadkowo odpowiednie geny, czyściłby teraz toalety na Penn Station.

- No, już, daj spokój, John.

- Przepraszam. Czy to było niegrzeczne?

- Stać cię na więcej.

- Masz rację. A Charlotte obsługiwałaby klientów na Ósmej Alei.

Zmusiła się do uśmiechu i szybko zmieniła temat.

- Dzika jabłoń pięknie obrodziła w tym roku.

- Z tego, co wiem, Nasim przyciął ją, opryskał i podsypał nawozu.

- Pamiętam, jak całymi tygodniami musiałam zbierać jabłka, z których mama robiła dzemy.

Rzeczywiście, pamiętałem Elizabeth jako nastolatkę wspinającą się po drzewach tego lata, kiedy pobraliśmy się z Susan i przeprowadziliśmy do domku gościnnego. Przypomniałem sobie także, że Elizabeth chodziła do szkoły z internatem i dlatego tak rzadko ją widywałem. Jeśli chodzi o chesne za tę szkołę - i za college - Ethel dalej korzystała ze specjalnych przywilejów u Augustusa, choć ten już pewnie dawno zapomniał, że uprawiał z nią seks.

- Właśnie, przypomniało mi się - powiedziałem. - W piwnicy są całe skrzynki dżemów dla ciebie.

- Wiem. Tyle że one mi już wcale nie smakują. - Roześmiała się. - Po latach zbierania, mycia, gotowania, wekowania... ale cóż, zabiorę je.

- Wziąłem jeden słoik - przyznałem się.

- Weź jeszcze jeden. A najlepiej całą skrzynkę. Uśmiechnąłem się.

Siedzieliśmy tak przez minutę, badając grunt, w końcu Elizabeth odezwała się:

- Mama wymogła na mnie obietnicę, że zbiorę jej plony z ogródka. Ale... nim dojrzeją, może jej już nie być... Rozmawiałeś z... jak on się nazywa?

- Z Amirem Nasimem? Tak. Sprawia wrażenie przyzwoitego człowieka, nie robił problemów, kiedy zapytałem, czy mogę tu mieszkać całe lato, choć powiedział, że chce odzyskać stróżówkę przed pierwszym wrześniem, chyba że Ethel będzie... wciąż z nami.

Pokiwała głową i zapytała:

- Pytałeś go, czy nie chce sprzedać stróżówki?

- Tak. Ale chce ją wykorzystać do własnych celów.

- No, cóż. Trudno. Kiedy tu siedzę, ogarnia mnie nostalgia... Naprawdę lubię to miejsce. Jak myślisz, zmieni zdanie?

Nie widziałem powodu, żeby trzymać w tajemnicy obawy Nasima, więc powiedziałem:

- On ma jakieś plany związane z własnym bezpieczeństwem.

- To znaczy?

- Obawia się, że jego rodacy chcą mu zrobić krzywdę.

- Mój Boże! A skąd on pochodzi? Z Iranu?

- Tak. Chyba jest paranoikiem. Ale jeśli ma rację, to stróżówkę będzie można odkupić, kiedy go zamordują. - Uśmiechnąłem się na znak, że tylko żartuję.

Elizabeth rozmyślała nad tym, co powiedziałem.

- To niewiarygodne...

- Ja też tak uważam. W każdym razie zamierza tu umieścić swoich ochroniarzy.

- Zastanawiałem się, czy opowiedzieć jej, że Nasim ma także ochotę odkupić od Susan domek gościnny, ale w końcu postanowiłem w ogóle nie wymieniać jej imienia. Uderzyłem w lżejsze tony i zapytałem: - Czy nie ma tu żadnych lokalnych rozporządzeń zabraniających mordów politycznych?

Zmusiła się do uśmiechu, ale wiadomość musiała ją najwyraźniej poruszyć. Poza tym była rozczarowana tym, że nie uda się kupić stróżówki.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałem, wstając z krzesła. - Poszedłem do zarośniętego chwastami ogródka i wróciłem z drewnianą tabliczką osadzoną na spróchniałym kołku. - Pamiętasz to? - zapytałem.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Mogę to zabrać?

- Naturalnie. - Położyłem tablicę na stole i oboje utkwiliśmy wzrok w zniszczonej, ruszczącej się farbie.

Czarne litery były ledwie widoczne, ale pozostał ich ślad na białym tle i dawało się odczytać napis: „Victory Garden”.

- Jak myślisz, powinnam to postawić na grobie mamy? - zapytała Elizabeth.

- Dlaczego nie?

- Wkrótce całe to pokolenie wojenne wymrze.

- To prawda. - Szczególnie martwiłem się o Williama Stanhope'a. To znaczy, nie życzyłem mu, broń Boże, niczego złego, ale ten stary drań dobiegał osiemdziesiątki i żył o wiele dłużej, niż na to zasłużył.

William też brał udział w wojnie i z trudem, bo z trudem, ale można było go zaliczyć do Wielkiej Generacji Wojennej. Nie lubił opowiadać o swoich wojennych doświadczeniach, i wcale nie dlatego, że miał tak traumatyczne przeżycia. Wiedziałem od Ethel Allard, że William Stanhope nie wycierpiał zbyt wiele. Jak opowiadała mi swojego czasu Ethel, jej pracodawca i dobroczyńca Augustus Stanhope, podobnie jak to uczyniło wielu bogaczy na i Złotym Wybrzeżu, sprzedał rządowi za jednego dolara swój siedemdziesięciopięciostopowy jacht Sea Urchin - zresztą i tak nie można było

zdobyć do niego paliwa - który został wykorzystany przez Straż Przybrzeżną jako kuter patrolowy przeznaczony do poszukiwania okrętów podwodnych. Wkrótce potem nieudacznym syn Augustusa, William, wstąpił do Straży Przybrzeżnej. W wyniku zdumiewającego zbiegu okoliczności porucznik William Stanhope został przydzielony do służby na dawnym jachcie Stanhope'ów. Kolejny uśmiech fortuny sprawił, że Sea Urchin cumował w Seawanhaka Corinthian Yacht Club i William, nie chcąc narażać armii na niepotrzebne koszty związane z zakwaterowaniem, w patriotycznym odruchu zamieszkał w Stanhope Hall. William wypływał na patrole i w zależności od tego, kto to opowiadał - czy William Nieustraszony, czy Czerwona Ethel - wykrył bądź nie wykrył niemieckiego U-Bootu. Najprawdopodobniej nie znalazł żadnego, a większość czasu spędził na piwie w Martha's Vineyard i w Hamptons.

Tymczasem gdy George uczestniczył w najbardziej niebezpiecznych potyczkach wojennych na Pacyfiku, ojciec Williama, Augustus, korzystał z okazji i rznął Ethel, która wspierała borykającą się z wojennymi trudnościami gospodarke hodowaniem warzyw w Victory Garden.

No i proszę.

Zbliżamy się do końca pewnej epoki, ale tamte wydarzenia są wciąż żywe, i jak powiedział ktoś mądry, przeszłość jest wstępem do przyszłości i dramaty jednego pokolenia przechodzą na następne.

- O czym myślisz? - zapytała mnie Elizabeth.

- O... pokoleniach, które żyły tutaj w czasach wojny i pokoju.

Pokiwała głową.

- Komu przysłoby do głowy w czterdziestym piątym, że będziemy otoczeni osiedlami domków jednorodzinnych, a w Stanhope Hall zamieszkają Irańczycy?

Nie odezwałem się.

- Widziałeś, co stało się z Alhambra?

- Rzuciłem na nią okiem.

- To straszne. Pamiętasz tamtą posiadłość? Och, zapomniałam... przepraszam.

- Wcale się tym nie przejmuję.

- To dobrze. - Spojrzała na mnie, zawahała się i w końcu powiedziała: - Chyba jednak tak.

- Może dlatego, że tu wróciłem.

- Zostaniesz?

I znowu trudne pytanie. Podobnie jak w rozmowie z Anthonym Bellarosa,

odpowiedź będzie zależała częściowo od tego, czy Elizabeth i ja będziemy mieli do omówienia jakiś ważny interes.

- Zamierzam zostać kilka miesięcy, potem podejmę decyzję.

- A co twoim zdaniem może się wydarzyć w ciągu tych kilku miesięcy, co pomoże ci podjąć tę przemyślaną decyzję?

- Stroisz sobie ze mnie żarty?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Ale to takie typowe dla mężczyzn. Przemyślana decyzja. A co czujesz teraz?

- Ze muszę iść do łazienki.

Roześmiała się.

- W porządku. Nie chciałam być wścibska.

Podniosłem się.

- Jesteś gotowa do przejrzania papierów?

Również wstała i razem ruszyliśmy w stronę kuchennych drzwi.

- Ile czasu to zajmie? - zapytała.

- Niecałą godzinę. Potem jeszcze godzina na zapakowanie twojego samochodu rzeczami, które chciałabyś ze sobą zabrać.

Zerknęła na zegarek.

- O szóstej chcę już trzymać w ręce drinka.

- To część świadczonych przeze mnie usług.

Otworzyłem drzwi i weszliśmy do środka.

Uświadomiłem sobie, że oboje mamy tyle wspomnień związanych ze Stanhope Hall - dobrych i złych - że cokolwiek dzisiaj się wydarzy - dobrego czy złego - będzie miało podłoże emocjonalne i uczestniczyć w tym będą także inni ludzie, żywi i umarli, którzy wciąż w takiej lub innej formie byli tu obecni.



## ROZDZIAŁ 18

Usiedliśmy obok siebie przy stole w jadalni. Z profesjonalnym przygotowaniem wybierałem dokumenty, dawałem Elizabeth do przeczytania, czasami objaśniałem głupie sformułowania. Ślicznie pachniała bzem.

- Cieszę się, że to ty się tym zajmujesz, John.

- Cieszę się, że mogłem się tym zająć.

- Tylko dlatego wróciłeś?

- Przyjechałem, żeby zobaczyć się z twoją matką. Poza tym muszę zabrać stąd swoje rzeczy - dodałem.

- Możesz je przenieść do mnie - zaproponowała bez wahania. - Mam mnóstwo pokojów.

- Dziękuję. Niewykluczone, że skorzystam.

Teraz Elizabeth zawahała się.

- Zaproponowałabym ci mieszkanie, ale w mojej umowie rozwodowej jest klauzula, że będę miała wypłacane alimenty, jeśli z nikim nie zamieszkam.

- Pokaż mi tę umowę - zażartowałem.

Uśmiechnęła się i wyjaśniła:

- To znaczy... nie miałam na myśli, żebyśmy... razem zamieszkali. Po prostu odstąpiłabym ci pokój... tak jak moja mama. Ale Tom, gdyby się dowiedział, od razu by to wykorzystał.

- Możesz powiedzieć Tomowi, że jestem z jego drużyny.

Roześmiała się.

- Przecież masz opinię notorycznego heteroseksualisty.

Milczała przez chwilę, a potem zaczęła zastanawiać się na głos.

- Właściwie marne są te alimenty... i tylko przez kilka lat... Jeżeli naprawdę potrzebujesz jakiegoś kąta, to pokój gościnny jest do twojej dyspozycji.

- Dziękuję. Ale pod warunkiem że będę ci płacił czynsz równy twoim alimentom. Na razie mogę mieszkać tutaj, a potem muszę wrócić do Londynu i uporządkować swoje sprawy.

Pokiwała głową i wróciliśmy do papierkowej roboty.

Wpadł mi w ręce akt notarialny datowany dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, ustanawiający dożywotnią dzierżawę dla pani Ethel Hope Allard, domowej służącej, i jej męża, pana George'a Henry'ego

Allarda, służącego w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Mogłem stąd wnioskować, że pan Stanhope i pani Allard musieli nawiązać stosunki intymne przed tą datą. Mówiąc językiem prawniczym, ten akt przeniesienia własności poprzedzony był poświadczonym na piśmie odpowiednim namysłem - co oznaczało w tym wypadku wiele aktów płciowych. Oczywiście o sposobie, w jaki pan Stanhope się namyślał, w dokumencie nie było mowy. Czyż zatem ktoś mógłby w tamtych czasach negować szczodrość Augustusa? Nawet teraz byłoby to trudne.

Zastanawiałem się też, kiedy George Allard dowiedział się, że może mieszkać do końca swoich dni za darmo w stróżówce Stanhope'ów, i jak Ethel wyjaśniła to powracającemu właśnie z wojny mężowi. „George mam dobre i złe wieści”.

William w każdym razie wiedział o tym dokumencie, który tkwił niby cierń w jego oku, szczególnie wtedy gdy wystawił posiadłość na sprzedaż i musiał ujawnić to obciążenie kupcowi. Przypomniałem sobie, że Frank Bellarosa, kupując Stanhope Hall, nie przejął się zbytnio tym, że Ethel - George już wtedy nie żył - będzie mieszkała w stróżówce. Powiedział wtedy do mnie z filozoficznym namysłem: „Może będzie miała szczęście, ale ile może jeszcze pożyć?”. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: dziesięć lat dłużej niż ty, Frank.

Ten dokument nie był w tej chwili istotny, więc włożyłem go delikatnie do koperty, ale Elizabeth zapytała:

- Co to jest?

- Och, to tylko akt dożywotniej dzierżawy dla twoich rodziców. Na razie musi tu pozostać na wypadek jakiegoś sporu.

- Mogę go zobaczyć?

- Tak... oczywiście. - Położyłem przed nią jednostronicowy dokument. Przeczytała go i zwróciła mi.

- Następnie mamy tu... - zacząłem.

- Jak myślisz, dlaczego Augustus Stanhope ustanowił dożywotnią dzierżawę dla moich rodziców?

- Tu jest napisane, że za oddaną i wierną służbę.

- Przecież mieli wtedy po dwadzieścia lat.

- Zgadza się. Ale tu nie jest napisane, że za długą służbę.

- Czy ja czegoś tu nie rozumiem?

Nie musisz o tym wiedzieć, Elizabeth.

- Zapytaj matkę - zaproponowałem i zacząłem przeglądać pozostałe papiery. -

Tu mamy trzy ostatnie deklaracje podatkowe twojej matki...

- Mama powiedziała mi, że to podziękowanie za długą służbę.

Mając do wyboru powiedzenie banalnej prawdy albo grubego kłamstwa, postanowiłem zmienić temat.

- Musisz skontaktować się z agentem ubezpieczeniowym matki... - Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że wpatruje się w wiszący nad kominkiem portret ślubny rodziców.

- Twoja matka ma wykupioną polisę na życie. W razie śmierci odszkodowanie wyniesie dziesięć tysięcy dolarów. Tu jest aktualna polisa, powinnaś ją trzymać w bezpiecznym miejscu.

Elizabeth oderwała oczy od fotografii.

- Była bardzo piękna.

- To prawda. Nadal jest.

- Ojciec wyglądał tak przystojnie w białym mundurze.

- Byli piękną parą - przyznałem.

Nie odezwała się słowem, a kiedy na nią spojrzałem, ujrzałem w jej oczach łzy. Wielmożny Pan John Whitman Sutter, nauczony wieloletnim doświadczeniem, miał przygotowaną w zanadrzu chusteczkę, którą wręczył Elizabeth.

- Przepraszam - powiedziała, wycierając oczy.

- W porządku. Przyniosę ci wody. - Wstałem i przeszedłem do kuchni.

Jak już wspomniałem, kiedyś zajmowałem się tym zawodowo. Na Wall Street pracowałem głównie jako doradca podatkowy, ale w kancelarii w Locust Valley sporządzałem testamenty, zajmowałem się majątkiem powierniczym, pełnomocnictwami i tym podobnymi rzeczami. Połowa moich klientów to były bogate, stare wdowy i zrędlivi starcy, ludzie, którzy spędzali większość czasu na rozmyślaniach, kogo umieścić w swoim testamencie, a kogo wydziedziczyć.

Zdarzało się, że ostatnia wola bądź testament zdradzały jakiś rodzinny sekret - umieszczone w zakładzie specjalnej troski rodzeństwo, nieślubne dziecko, dwie kochanki na Manhattanie i tym podobne. Nauczyłem się to przyjmować z profesjonalnym stoicyzmem, choć czasami nawet ja byłem zaszokowany, zaskoczony, zasmucony, a często po prostu ubawiony.

Na tym tle cudzołóstwo Ethel Allard, szczególnie po upływie pięćdziesięciu lat, nie było niczym wielkim. Niemniej nawet dorosłe już dziecko przeżywa wstrząs, gdy dowiaduje się, że mamusia miała kochankę, podczas gdy tatuś służył w armii.

Tak czy inaczej, Elizabeth, rozwódka z dwójką dorosłych dzieci, bez ojca, z umierającą matką, czuła się samotna i była emocjonalnie rozbita, a przez to bezbronna.

W związku z tym... nalałem jej wody do szklanki. Tego wieczoru nie powinno się wydarzyć nic, czego moglibyśmy następnego ranka żałować.

Wróciłem do jadalni. Elizabeth już się pozbierała.

- Zrobmy sobie przerwę - zaproponowałem, wręczając jej szklankę wody. -  
Masz ochotę się przejść?

- Chcę to skończyć. Już będzie dobrze - obiecała.

- Okay.

Zrobiliśmy porządek z mniej istotnymi dokumentami i wtedy otworzyłem kopertę w której znajdowała się ostatnia wola i testament Ethel.

- Sporządziłem ten testament po śmierci twojego ojca i widzę, że przez te lata nie został zmieniony - mówiłem dalej oficjalnym tonem.

- Czy czytałaś go?

- Tak

- Czy chcesz z nią przejrzeć ten testament jeszcze raz?

- Nie chcę odczytywać matce na łóżu śmierci jej własnego testamentu.

- Rozumiem. - Zresztą nie chciałem, żeby Ethel zwiększyła swój pięciuset dolarowy zapis na rzecz Świętego Marka. - Będę trzymał tę kopię u siebie, póki nie nadejdzie czas.

Elizabeth zgodziła się kiwnięciem głowy.

- Mama nic nie zostawiła tobie - zauważyła.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Za to wszystko, co zrobiłeś dla niej i dla taty.

- To, co zrobiłem, zrobiłem z przyjaźni. A twoja matka odwdzięczyła się, pozwalając mi przechować tu rzeczy.

Chociaż, kiedy dziesięć lat temu tu mieszkowałem, kazała mi płacić czynsz.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth. - Ale czułabym się lepiej, gdyby... Jestem wykonawcą jej testamentu... i chciałabym, żebyś otrzymał honorarium.

Czyżby Elizabeth sądziła, że potrzebuję pieniędzy? Owszem, potrzebowałem, ale nie byłem bez środków do życia. W rzeczywistości w Londynie całkiem dobrze mi się wiodło, ale amerykańskim zwyczajem żyłem tam ponad stan. A teraz byłem na przedłużonym, bezpłatnym urlopie.

Na szczęście los mi sprzyjał. Otrzymałem ofertę od starej, dobrze usadowionej na rynku włosko-amerykańskiej firmy, która nazywała się La Cosa Nostra.

- Naprawdę czułabym się lepiej, gdybyś otrzymywał wynagrodzenie za swoją pracę - nalegała Elizabeth.

- W porządku. Pensję będę odbierał w dzemach jabłkowych - zgodziłem się.

Uśmiechnęła się.

- Ale kolację dzisiaj ja stawiam.

- Zgoda. - Położyłem przed nią stertę teczek z dokumentami. - Weź je i trzymaj w bezpiecznym miejscu. Jutro albo w poniedziałek odwiedzę Ethel.

- To już wszystko? - zapytała.

- To wszystko, jeśli chodzi o papiery. Pozostała nam inwentaryzacja rzeczy osobistych, w tym rzeczy twojego ojca. - Wręczyłem jej trzy kartki papieru ze spisem przedmiotów. - Chcesz to przejrzeć?

- Nie.

- W takim razie przejrzymy je później. A tymczasem pozycja czwarta to sześćdziesiąt dwa dolary w gotówce, które znalazłem w pudełku w kuchni, kiedy szukałem ciastek. - Położyłem przed nią kopertę. - Jeśli przeliczysz i podpiszesz się przy pozycji czwartej, pieniądze będą twoje.

Wrzuciła kopertę do torebki bez liczenia i podpisała się we wskazanym miejscu.

- Będzie za to butelka dobrego wina.

- Tylko nie przepij całego spadku.

- Dlaczego nie? Czy to wszystko?

- Zbliżamy się do końca.

Wręczyłem jej kolejną kopertę.

- To instrukcje twojej matki dotyczące pogrzebu.

- Mam kopię tej instrukcji ze wszystkimi wprowadzonymi dotychczas zmianami.

Czułem, że Elizabeth zaczynają niecierpliwie szczegółowe przygotowania matki do ostatniej drogi. Wrzuciła kopertę do torebki.

- Kocham ją bardzo, ale doprowadza mnie chwilami do szału - powiedziała.

- Jestem pewien, że nasze dzieci mówią o nas to samo - odparłem.

Uśmiechnęła się.

- Właśnie sobie przypomniałam o kopercie, którą mam zgodnie z jej życzeniem

wręczyć ci po jej śmierci.

Skinąłem głową, przypuszczając, że jest to rachunek za czynsz. Albo instrukcja, co mam włożyć na jej pogrzeb.

- To wszystko? - zapytała Elizabeth.

Wstałem.

- Tak, to już koniec. Musisz tylko znaleźć sukienkę, którą twoja matka chce mieć na sobie. Ja tymczasem zaniosę tę tablicę z ogrodu do twojego samochodu. Chciałbym też, żebyś zabrała ten portret ślubny i w ogóle wszystko, co chcesz.

Elizabeth podniosła się, stanęliśmy naprzeciw siebie i spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Pójdiesz ze mną na górę?

- Nie. Powinnaś sama pójść do jej pokoju. Możesz przy okazji rzucić okiem na swój dawny pokój.

- Samochód jest otwarty.

Wyszła z jadalni; słyszałem, jak idzie wąskimi schodami na piętro gdzie mieściły się dwie sypialnie.

Zwykle nie trzeba mnie długo namawiać do seksu, ale na wszystko jest pora i miejsce. Nawet na seks. Może źle odczytywałem intencje Elizabeth i wcale nie była w nastroju do miłości z przybyszem zza oceanu

„Szanowna Pani Dobre Wychowanie, jestem adwokatem zajmującym się sprawami umierającej właśnie starszej pani. Jej piękna córka jest wykonawcą testamentu, więc ściśle ze sobą współpracujemy. Moje pytanie brzmi następująco: Czy powinienem z nią uprawiać seks? Podpisano: Zakłopotany z Long Island”.

Chyba wiem, co odpisałaby Pani Dobre Wychowanie: „Drogi Zakłopotany, nie. PS A co z twoją byłą żoną? PSS Pakujesz się w kłopoty chłopie”.

Zdjąłem wiszący nad kominkiem portret ślubny i dopiero wtedy zauważyłem, jak bardzo wypłowiała była tapeta wokół niego. Pan Nasim będzie miał co robić. Wyniosłem portret na zewnątrz, gdzie obok mojego taurusa stało bmw. Taki samochód świadczył o powodzeniu w interesach albo o umiejętnościach adwokata zajmującego się jej sprawą rozwodową. Z tyłu wisiała torba na ubrania, to na pewno była sukienka Elizabeth na wieczór.

Otworzyłem bagażnik i położyłem portret twarzą do dołu. Na odwrocie zauważyłem jakiś napis. Podniosłem portret na wysokość oczu i przeczytałem słowa zapisane najprawdopodobniej ręką Ethel: „George Henry Allard i Ethel Hope Purvis,

pobrali się trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w kościele Świętego Marka w Locust Valley, Long Island”.

Poniżej, tą samą kobiecą ręką: „Wracaj szczęśliwie do domu, kochanie”.

A jeszcze niżej dopisek George’a: „Moja najdroższa żono, będę liczył dni do chwili, gdy znów będziemy razem”.

Wsunąłem portret do środka i zamknąłem pokrywę bagażnika. Pomyślałem sobie, że niedługo znów będą razem.

Przyszła mi też do głowy nieco cyniczna myśl, że wszystkie małżeństwa zaczynają się od nadziei i optymizmu, miłości i pragnienia, ale czas zbiera swoje żniwo. W tym wypadku już w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, czternaście miesięcy od chwili, kiedy napisano te słowa miłości i oddania, Ethel uległa pod presją samotności albo pożądania, a może skusiły ją pieniądze i władza albo - przypomniałem sobie tę scenę sprzed dziesięciu lat, kiedy na cmentarzu Ethel nagle zniknęła, i odnalazłem ją przy grobie Augustusa - po prostu zakochała się w Augustusie Stanhopie.

W każdym razie Ethel i George uporali się z tym jakoś i spędzili ze sobą następne pół wieku, zapewne szczęśliwi. Mieszkali w swoim domku, wychowywali córkę i pracowali w wielkiej posiadłości, której mury powstrzymały nadchodzący nowy świat, pozostawiając ich wiecznie młodą parą służących, co tu się spotkali, pokochali, wzięli ślub i żyli spokojnie.

Wracając ścieżką wiodącą pomiędzy stróżówką a murem, usłyszałem za plecami jadący zwirową alejką samochód. Obróciłem się i zobaczyłem mijającego otwartą bramę białego lexusa. Za kierownicą siedziała Susan Stanhope Sutter.

Lexus zwolnił; nawiązaliśmy kontakt wzrokowy. Susan oczywiście zauważyła bmw i pewnie wiedziała nawet, do kogo należy, a jeśli nie, i tak był to dla niej sygnał, że mam towarzystwo.

Jakie to dziwne, spoglądać w oczy dawnej miłości swojego życia, na którą nie ma się już ochoty patrzeć. Nie wiedziałem, jak postąpić. Pomachać? Przesłać całusa? Gwizdnąć? Pani Dobre Wychowanie, pomóż!

To Susan mi pomachała zdawkowo i dodała gazu, wyjeżdżając na Grace Lane.

Popsuł mi się humor. Dlaczego Susan Sutter wciąż potrafi tak na mnie oddziaływać?

Muszę sobie na to pytanie szczerze odpowiedzieć, nim popełnię jakieś głupstwo.

## ROZDZIAŁ 19

Wspólnie z Elizabeth zapakowaliśmy do bmw rzeczy osobiste jej rodziców, które chciała tego wieczoru zabrać. Były tam albumy ze zdjęciami, rodzinna Biblia i inne bezcenne i niezastąpione drobiazgi. Pozostałe rzeczy, w tym mundury Georgea i suknię ślubną Ethel, złożyliśmy na stertę w przedpokoju. Elizabeth miała je zabrać następnym razem.

Dla Elizabeth było to bardzo smutne, a i ja sam zacząłem rozmyślać o życiu i śmierci, i rzeczach, które po sobie zostawiamy.

Podczas jednego z kursów ze stróżówki do samochodu Elizabeth zabrała torbę na ubrania i kosmetyczkę i zaniósła je do pokoju matki.

Kiedy zegar z kukułką wybił szóstą, Elizabeth siedziała w bujanym fotelu matki, a ja naprzeciw niej na krześle George'a. Na stoliku do kawy leżał trzystronicowy spis inwentarza. Większość pozycji była już odhaczona. Prócz tego na stoliku stały dwa nie od kompletu kieliszki, które napełniłem z jednej z trzech kupionych wcześniej w Locust Valley butelek banfi brunello. Przyniosłem też trochę sera i krakersów oraz tackę warzyw. Ja pogryzałem brie. Elizabeth sięgnęła po marchewkę.

- Powinieneś jeść więcej warzyw.

- Warzywami można się zakrztusić.

Uśmiechnęła się, ugryzła marchewkę i popiła winem.

Oboje byliśmy zmęczeni, nieco przepoceni i zakurzeni po wędrówkach po piwnicy i strychu. Na pewno oboje potrzebowaliśmy kąpieli.

- Zarezerwowałam stolik w The Creek na siódmą trzydziści. Może być?

- Obawiam się, że jestem tam persona non grata - poinformowałam

- Naprawdę? Dlaczego? Ach... rozumiem... kiedy Susan...

- Zastrzeliła swojego kochanka gangstera - dokończyłem z uśmiechem. - Oni są bardzo zasadniczy.

Elizabeth zmusiła się do uśmiechu.

- Prawdę mówiąc, Susan znów jest członkiem klubu. Jadłyśmy tam razem lunch. Może więc to nie jest aż tak duży problem. Ale możemy pójść do restauracji.

Dopiłem wino i napełniłem ponownie kieliszek. Bądźmy szczerzy, wizyta w The Creek przypominała stąpanie po kruchym lodzie. To tam przyprowadziłem na kolację szefa mafii Franka Bellarose i jego krzykliwie ubraną żonę Annę. Ale w końcu



pozbawiono nas członkostwa dlatego, że Susan zastrzeliła wspomnianego wcześniej gangstera. A teraz Susan Stanhope Sutter - nazwisko Stanhope miało tu kluczowe znaczenie - miała czelność ubiegać się o przyjęcie w poczet członków, i na dodatek jej prośba została spełniona. Mogę się założyć, że gdybym to ja ubiegał się o przywrócenie praw członka, nie miałbym szans.

- Może być The Creek, jeśli nie obawiasz się listu z upomnieniem od zarządu klubu - powiedziałem.

Zastanawiała się chwilę, w końcu uśmiechnęła się szeroko.

- To może być nawet zabawne - odparła.

Napełniając jej kieliszek, pomyślałem, że mogę tam wpaść na starych znajomych, nie wykluczając Susan. Ale co tam. Może być zabawnie.

- Albo zostaniemy tutaj - zaproponowała Elizabeth.

Spojrzałem na nią w przyćmionym świetle lampy. Jak już mówiłem, nie potrafię bezbłędnie odczytywać wysyłanych przez kobiety sygnałów, ale ten wydawał się zupełnie jasny.

- Zastanówmy się nad tym - odpowiedziałem.

- Chyba nie będziemy się zajmować zastanawianiem.

Pokiwałem głową i zmieniłem temat.

- Mam coś dla ciebie. - Wstałem, poszedłem do jadalni i znalazłem zdjęcia Allardów zrobione przez Susan.

Przyklęknałem przy fotelu Elizabeth.

- Większość zrobiła Susan. Chciałbym, żebyś je wzięła, tylko zrobię sobie odbitki.

Wzięła do ręki plik fotografii i przejrzała je, czyniąc przy tym stosowne uwagi, takie jak: „Nie mam pojęcia, ile razy byliśmy razem... Tego nie pamiętam... Spójrz, to zdjęcie z zakończenia studiów... A tu ty, John, obejmujesz ramieniem mnie i tatę... O Boże, ale ze mnie była idiotka...”.

- Wcale nie. Muszę sobie zrobić odbitkę tego zdjęcia.

- Nie, nie.

- Wyglądasz wspaniale z drugimi, czarnymi włosami.

- Boże, o czym ja wtedy myślałam?

Przejrzeliśmy upozowane fotografie zrobione przy nie wiadomo jakiej okazji na tarasie na tyłach Stanhope Hall. Ethel, w średnim, wieku, lecz wciąż atrakcyjna, stoi, a obok w fotelu bujanym okryty kocem siedzi dziecienniały Augustus Stanhope. Na

kolanach trzyma sześć-, może siedmioletnią dziewczynkę.

- To nie ja - zaprotestowała Elizabeth.

- Podobna do ciebie.

Spojrzała jeszcze raz na fotografię.

- Matka długo się nim opiekowała, dopiero później zatrudnili pielęgniarkę. - Elizabeth odłożyła zdjęcie na stół. - Mama bardzo go lubiła.

- To był prawdziwy dżentelmen - odparłem. - W przeciwieństwie do jego syna.

Porzuciliśmy ten temat i przeglądaliśmy dalej zdjęcia.

- Trudno uwierzyć, ilu z tych ludzi już nie żyje - rzekła w pewnym momencie.

Przytaknąłem w milczeniu.

- Byłeś wtedy szczęśliwy.

- Byłem. Choć nie zawsze zdawałem sobie z tego sprawę. A ty?

- Wydaje mi się, że tak. - Zmieniła temat. - O, Edward i Carolyn. Są tacy uroczy.

Kontynuowaliśmy tę podróż w czasie, podczas której, jak sądzę, oboje zdaliśmy sobie sprawę, ile razy nasze losy splatały się, a jednocześnie jak mało o sobie wiemy. Ponieważ większość zdjęć robiła Susan, nie było jej na fotografiach, ale trafiliśmy na jedną, przedstawiającą Susan i Elizabeth razem podczas dorocznego przyjęcia bożonarodzeniowego w Stanhope Hall. Elizabeth przyjrzała się zdjęciu.

- Jest piękną kobietą.

Nie skomentowałem tego.

- Była bardzo miła podczas lunchu - ciągnęła Elizabeth.

Nie miałem zamiaru wypytywać o szczegóły dotyczące lunchu, więc wstałem i nalałem resztę wina z butelki do kieliszków. Elizabeth odłożyła fotografię.

- Zrobię dla ciebie odbitki - powiedziała.

- Dziękuję.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, sącząc wino.

- Słyszałam - odezwała się w końcu - że syn Bellarosa wprowadził się do jednego z domów na osiedlu Alhambra.

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. Znowu zamilkła, a potem zapytała:

- Myślisz, że... to może sprowadzić na Susan kłopoty?

- A co Susan o tym myśli?

Elizabeth spojrzała na mnie uważnie.

- Ona twierdzi, że nie. Wygląda na to, że w ogóle się tym nie przejmuje.

- To dobrze.

- Ale... no, nie wiem... ja bym się przejęła.

Nie odpowiedziałem; otworzyłem drugą butelkę toskańskiego czerwonego wina, Cabreo Il Borgo. Siedzieliśmy w milczeniu, popijaliśmy wino i byliśmy coraz bardziej wstawieni.

Wyglądało na to, że wyczerpały nam się tematy do rozmów. Innymi słowy, ktoś musiał wreszcie powiedzieć jasno: seks czy kolacja. Elizabeth już wcześniej dotknęła tematu, na co nie zareagowałem, więc teraz zrobiła drugie podejście i obwieściła:

- Za dużo wypiałam, żeby prowadzić. A ty? - zapytała.

- Ja też.

- W takim razie zostanmy tutaj.

Mogłem oczywiście wezwać dla niej taksówkę - tak zresztą powinien zachować się dżentelmen, a może raczej niespełna rozumu, godny współczucia mięczak. Dlatego odpowiedziałem:

- Zostanmy.

- To bardzo dobry pomysł. - Dopiła wino i wstała. - Muszę wziąć prysznic.

Ja również wstałem i odprowadziłem ją wzrokiem. Szła dość niepewnym krokiem.

Nie byłem pewien, czy powinienem za nią pójść. Droga Pani Dobre Wychowanie...

„Drogi Zakłopotany, w tej sytuacji po prostu ją zerznij”.

Jasne. Poszedłem w stronę holu i zawahałem się. Przypomniałem sobie swoje rozterki i postanowienie, że skoro jest tak bezbronna, to nie wolno mi tego wykorzystywać. A myśląc bardziej egoistycznie, nie chciałem komplikować sobie teraz życia. A Elizabeth Allard Corbet będzie bez wątpienia taką komplikacją.

Z drugiej strony... to przecież był jej pomysł.

Mój rozum mówił „nie”, moje serce mówiło „być może”, a mój fiut wskazywał wyraźnie w stronę schodów. Fiut zawsze wygrywa.

Ale najpierw otworzyłem trzecią butelkę wina, wziąłem dwa kieliszki i podszedłem do schodów. Usłyszałem zamykanie drzwi na piętrze.

Wszedłem na górę. Łazienka znajdowała się na wprost, pokój jej matki po lewej, a mój - dawny pokój Elizabeth - po prawej stronie. Wszystkie drzwi były zamknięte, więc zajrzałem do swojego pokoju - pusty. Postawiłem butelkę i kieliszki na stoliku nocnym. Usłyszałem szum wody w łazience.

Stałem tam, przed zamkniętymi drzwiami łazienki, ona brała prysznic i nie słyszałem wyraźnego zaproszenia do środka. Droga Pani Dobre Wychowanie...

„A może byś tak sprawdził, czy drzwi nie są zamknięte na klucz?”.

Jasne. Podszedłem do drzwi i delikatnie nacisnąłem klamkę. Były zamknięte.

Wróciłem do sypialni, zostawiając otwarte drzwi, napelniłem kieliszki winem i usiadłem w fotelu. Odgłos płynącej wody ustał. Wziąłem do ręki gazetę i popijając wino, zacząłem czytać.

Kilka minut później fascynującą lekturę przerwał mi odgłos otwieranych drzwi łazienki. Zajrzała do mojego pokoju owinięta w duży ręcznik kąpielowy, wycierając drugim ręcznikiem mokre włosy.

- Prysznic jest wolny.

- Świetnie - powiedziałem. - Lepiej się czujesz?

- Znakomicie. - Odwróciła się, poszła do pokoju matki i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszałem dźwięk suszarki do włosów.

Pierwszy raz w łóżku to jak pierwszy taniec. Kto prowadzi? Czy tańczę zbyt blisko, czy zbyt daleko? Czy potrzebny mi prysznic? Tak.

Poszedłem do łazienki, ale nie zamknąłem drzwi na klucz. Rozebrałem się i rzuciłem ubranie na jej rzeczy pozostawione w rogu pomieszczenia, wszedłem pod prysznic, wciąż nie do końca pewny, co z tego wyniknie.

Kiedy skończyłem, wytarłem się ręcznikiem, owinąłem go sobie wokół bioder i wyszedłem do holu. Drzwi jej sypialni były wciąż zamknięte, ale wewnątrz panowała cisza. Wszedłem do siebie. Okazało się że siedzi w fotelu ze skrzyżowanymi nogami, popija wino i czyta gazetę. Na sobie miała mój T-shirt i prócz lekkiego makijażu nic więcej.

- Dobrze ci w tej bluzce - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Teraz już wiedziałem, co z tego powinno wyniknąć. Wziąłem do ręki swój kieliszek i usiadłem na łóżku naprzeciw niej. Stuknęliśmy się kieliszkami i piliśmy w milczeniu. Rozejrzała się po pokoju. Stare meble, zniszczone tapety, wytarty dywan i wyblakłe od słońca zasłony.

- Spędziłam tu pierwsze dwadzieścia jeden lat swojego życia.

Nie odezwał się.

- Zawsze w wakacje przyjeżdżałam do domu - mówiła dalej lekko zmęczonym i niewyraźnym głosem. - Zawsze czułam się tu jak w domu... zawsze było tu... a teraz

pora się stąd wynosić.

Pokiwałem głową.

- Chciałabym tu dzisiaj spać.

- Oczywiście.

Wyprostowała nogi i położyła mi stopy na kolanach.

- Mam zmęczone nogi od tego biegania - powiedziała.

Odłożyłem kieliszek i zacząłem masować jej stopy. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i wymruczała:

- Och, jak dobrze.

Jej T-shirt - mój T-shirt - uniósł się.

Wcale mi nie przeszkadzało, że zamierzam umoczyć pióro w kałamarzu klientki. Zresztą Elizabeth była także moją znajomą, a nie tylko klientką i cóż... granica już została przekroczona. Gdybym w tej chwili się wycofał, byłoby to niegrzeczne.

Wyciągnęła przed siebie pusty kieliszek. Szybko go napełniłem.

Minęła dziewiętnasta, na zewnątrz wciąż jeszcze było jasno, przez otwarte okno wpadała lekka bryza i słychać było świergot ptaków. Od czasu do czasu po Grace Lane przejeżdżał samochód, ale żaden z nich nie wjechał na teren posiadłości.

Dopiła wino, postawiła stopy na podłodze i podniosła się z fotela.

Ja też wstałem; objęła ramionami moją szyję i zatopiła twarz w mojej nagiej piersi.

Objąłem ją; poczułem, że jest wiotka i ledwie stoi na nogach - w przeciwieństwie do Złego Johna, który wcale nie był wiotki i prężył się w pełnej erekcji. Wziąłem ją na rękę i położyłem na łóżku.

Spojrzała na sufit i z oczu popłynęły jej łzy.

Wyjąłem ze stojącego na nocnym stoliku pudełka kilka chusteczek i wcisnąłem jej do ręki, a Dobry John zaproponował:

- Może się trochę prześpisz?

Kiwnęła głową, a ja nakryłem ją kołdrą.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie musisz.

- Chciałam... ale... to za dużo. Jestem zbyt smutna.

- Rozumiem. - Zdałem sobie sprawę, że Elizabeth myślała także o Susan.

- Może później.

Nie odpowiedziałem.

- Lubię cię.

- To ja cię lubię.

Otworzyłem szafę, znalazłem spodnie, golf i bokserki. Zrzuciłem z siebie ręcznik i spostrzegłem, że mi się przygląda.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Na dół. - Ubrałem się. - Potrzebujesz czegoś?

Potrząsnęła głową.

- Do zobaczenia. - Ruszyłem w stronę drzwi.

- Pocałuj mnie na dobranoc - poprosiła.

Podszedłem do łóżka, pocałowałem ją w policzek, potem w usta, wytarłem jej oczy chusteczką i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi. Zszedłem po schodach na parter, wziąłem z lodówki butelkę piwa i usiadłem na tarasie z tyłu domu. Wieczór stawał się chłodny, a zachodzące słońce rzucało na trawnik długie cienie. Gdybym spojrział w dal, mógłbym dostrzec dom Susan. Zrozumiałem, że to bliskość Susan jest powodem całego tego zamieszania w głowie mojej i Elizabeth.

Moje niezdecydowanie nie dotyczyło tylko kobiet. To z powodu Susan zacząłem układać się z Anthonym Bellarosa i do tej chwili nie podjąłem decyzji, czy wracam do Londynu, czy zostaję.

Musiałem koniecznie rozmówić się z Susan, żeby ostatecznie wyjaśnić kwestię, jak dużo - albo jak mało - dla mnie znaczy.

Dopiłem piwo, położyłem nogi na stole i zapatrzyłem się w ciemniejące niebo. Na horyzoncie połyskiwała łuna sztucznych świateł nad nowo powstałymi osiedlami, ale wysoko na niebie było tak, jak dawniej. Piękny akwarelowy miszmasz błękitu i różu, a na wschodzie na purpurowym niebie zaczęły pokazywać się gwiazdy.

Obserwację nieba przerwał mi odgłos jadącego zwirową aleją samochodu. Obróciłem się w chwili, gdy biały lexus minął bramę, zatrzymał się na chwilę, a potem potoczył wolno w stronę domku gościnnego.

Przez dziesięć lat dzieliły nas oceany i kontynenty, a teraz, choć mieszkaliśmy o kilka kroków od siebie, wciąż stała między nami złość, duma i przeszłość, którą trudniej było pokonać niż kontynenty i oceany.

Zawsze towarzyszyło mi uczucie, że rozeszliśmy się w pośpiechu bez pełnego zrozumienia, dlatego odtąd mamy kroczyć własnymi drogami, i w rezultacie żadne z nas nie było zdolne zrobić jednego kroku. Powinniśmy powrócić do przeszłości,

niezależnie od tego, jak bardzo to będzie bolesne. Najwyższy czas.

## ROZDZIAŁ 20

Kiedy słońce pojawiło się nad murem posesji i wdarło się przez okno do kuchni, zaparzyłem sobie kawy i wyniosłem kubek na taras. Na stole naliczyłem cztery puste butelki po piwie.

Spałem w ubraniu na sofie, a na piętro wybrałem się tylko raz - do łazienki. Elizabeth nie zeszła na dół.

Wziąłem łyk gorącej kawy i patrzyłem, jak nad trawnikiem i ogrodem unosi się poranna mgła.

Jak mawialiśmy w college'u: „Pójść z kimś do łóżka to nic trudnego, ale nie pójść - to jest dopiero wyzwanie”.

Na usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że to była właściwa decyzja. Żadnych związków, żadnych zobowiązań.

Z drugiej strony, z seksem czy bez, powstała między Elizabeth a mną jakąś więź. Lubilem ją, była częścią mojej przeszłości, a być może także przyszłości. Przez dziesięć lat sypiałem z obcymi kobietami; może miło by było przespać się z kimś znajomym. A przynajmniej miałem gdzie ulokować swoje graty, czekał też na mnie pokój gościnny. Może nawet znalazłem przyjaciela.

Usłyszałem skrzypienie otwieranych drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem Elizabeth kroczącą bosą po mokrym od rosy tarasie, owiniętą w mój stary szlafrok i niosącą w ręku kubek z kawą.

Cmoknęła mnie w policzek i powiedziała:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Dobrze spałeś?

- Tak. A ty?

- Ja... To było dziwne spać w swoim dawnym pokoju. Miałam smutne sny... byłam w nich znów młodą dziewczyną... była tam mama i tata... budziłam się kilka razy z płaczem.

Spojrzałem na nią i wzięliśmy się za ręce. Wciąż miała smutną minę, lecz po chwili otrząsnęła się.

- Znasz ten wiersz? Cofnij się, cofnij o krok, o czasie w swym biegu pospiesznym, i spraw, bym dzisiejszej nocy raz jeszcze stała się dzieckiem.

- Słyszałem go kiedyś.



- O tym właśnie myślałam tej nocy.

Pokiwałam głową i uścisnąłem jej rękę.

- Myślałam, że przyjdiesz na górę - powiedziała.

- Wierz mi, zastanawiałem się nad tym.

Uśmiechnęła się.

- Nie byłam wczoraj w romantycznym nastroju.

- Nie. Chciałaś choć przez jedną noc znów być dzieckiem.

Popatrzyła na mnie i pokiwała głową.

- Ale... pragnęłam twojej obecności. Dlatego zeszłam na dół. Chrapałeś na sofie.

- To ja chrapię?

- Boże, początkowo myślałam, że uruchomiłeś odkurzacz.

- To po czerwonym winie - powiedziałem z uśmiechem.

- Nigdy więcej nie pij czerwonego wina. - Spojrzała na puste butelki po piwie. -

Miałeś wieczorem gości?

- Zalewałem robaka.

Usiedliśmy przy stole, wciąż trzymając się za ręce, i popijaliśmy kawę. Słońce stało już wysoko nad murem, a jego promienie przeświecały przez liście drzew i padały wprost na ogród i taras. Wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć świergotu ptaków i odgłosu przejeżdżającego od czasu do czasu samochodu.

- Uwielbiam tę porę dnia - powiedziała Elizabeth.

- Ja też.

Milczeliśmy przez chwilę, podziwiając początek pięknego, letniego dnia.

- Mogę ci zdradzić pewien sekret? - zapytała.

- Oczywiście.

- Może uznasz, że to głupie... jest mi bardzo niezręcznie to mówić... ale kiedy miałam jakieś szesnaście lat, strasznie się w tobie zadurzyłam.

- Naprawdę? - Uśmiechnąłem się.

Roześmiała się i mówiła dalej.

- Mimo że byłeś żonaty... Myślałam o tobie, kiedy byłam w college'u i kiedy przyjeżdżałam do domu i cię widziałam... Ale kiedy dorosłam, to się skończyło.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Oczywiście, że nie. Przecież z tobą nie flirtowałam, prawda?

- Faktycznie, nie - odparłem po krótkim namyśle.

- Byłam grzeczną dziewczynką.
  - Nadal jesteś.
  - Lepiej się w to nie zagłębiajmy.
- Uśmiechnąłem się.

- A potem, kiedy stało się to wszystko z Susan i Frankiem Bellarosą, nie mogłam uwierzyć w to, co mówiła mama, kiedy się tu wprowadziłeś. Kiedy Susan go zastrzeliła, chciałam zadzwonić do ciebie albo przyjechać. Nawet wpadałam kilka razy do mamy, ale ciebie akurat nie było... a potem mama powiedziała, że wyjeżdżasz. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

- To bardzo miłe. Dobrze by było wtedy z kimś porozmawiać.

- Wiem. Mama mówiła, że byłeś... bardzo zamknięty w sobie. Ale ja byłam mężatką i sama nie wiedziałam, czy mam być tylko przyjaciółką, czy kimś więcej...

- Rozumiem. To mi pochlebia.

- Naprawdę? Jesteś zbyt skromny, John. Myślę, że wyjechałeś stąd, bo zewsząd otaczały cię kobiety, a pozostawałeś samotny. Uciekłeś w poszukiwaniu własnego życia.

- To prawda.

Uśmiechnęła się.

- A oto pozostała część mojego sekretu: kiedy dowiedziałam się, że zamierzasz wybrać się w podróż dookoła świata, bardzo chciałam, żebyś zabrał mnie ze sobą.

Popatrzyłem na nią. Nasze spojrzenia się spotkały.

- Szkoda, że o tym nie wiedziałem - rzekłem nie całkiem szczerze.

- To miło, że tak mówisz.

- To nie tylko słowa.

- Wiem. Cóż, to była tylko taka głupia fantazja. Miałam męża i dwoje dzieci. Nawet gdybyś mnie o to poprosił, musiałabym odmówić. Ze względu na dzieci. Nie wspominając już o mamie. Myślę, że domyślała się i nie była z tego powodu szczęśliwa.

Zamyśliłem się nad tym, jak fakt, czy coś zostanie powiedziane, czy nie, wpływa na nasz los. Co innego czujemy, a co innego myślimy, bo tak nas wychowano. Mamy swoje marzenia i fantazje, ale rzadko je realizujemy. Więcej w nas strachu niż nadziei, i więcej poświęcenia - dla dzieci, małżonka, pracy, otoczenia - niż egoizmu. Oto głęboki sens cywilizowanego społeczeństwa. Chodzi mi o to, że gdyby wszyscy postępowali jak Susan Sutter, zabijalibyśmy swoich kochanków i mężów, albo po

prostu uciekalibyśmy w poszukiwaniu miłości, szczęścia i takiego życia, które nie wymagałoby od nas odpowiedzialności.

Choć byłem na Susan wściekły za jej postępowanie, na swój sposób zazdrościłem jej tej pasji, tej zdolności do złamania wszelkich reguł obowiązujących w klasie społecznej, do której należała. A może była po prostu szalona?

Na dodatek, łamiąc reguły, łamała również prawo. Popełniła morderstwo. Co prawda wywinęła się od odpowiedzialności, ale pan Anthony Bellarosa pamiętał o starych rachunkach do wyrównania.

- O czym myślisz? - zapytała Elizabeth.

- O nieprzestrzeganiu zasad. I korzystaniu z okazji. I kierowaniu się sercem zamiast rozumem.

- Tak postąpiła Susan - odparła z głęboką przenikliwością. - Tak samo postąpił Tom. Ja się na to nigdy nie odważyłam, ale ty tak - wybierałeś się w rejs dookoła świata.

- Cóż, byłem w tej komfortowej sytuacji, że nie miałem nic do stracenia. Moim największym błędem byłoby pozostanie tutaj i poddanie się terapii małżeńskiej.

Uśmiechnęła się i powiedziała z namysłem:

- Powinieneś się zastanowić, dlaczego twoje małżeństwo tak się skończyło. I musisz postępować tak, żeby to się nie powtórzyło. Jeżeli oczywiście zamierzasz ponownie się ożenić.

Na samą myśl o małżeństwie dostawałem rozstroju żołądka, więc szybko zmieniłem temat.

- Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję. Ale zrobię ci śniadanie.

- Nie trzeba.

- Nalegam. To w ramach zadośćuczynienia za wczorajszy wieczór.

Nie byłem pewien, czy chodziło o zadośćuczynienie za to, że nie postawiła mi kolacji, czy za to, że nie poszliśmy do łóżka.

- Lodówka jest prawie pusta.

- Widziałam. Ale możemy podzielić się tą jedną bułką. Poza tym jest dżem, woda mineralna i dwa piwa.

- Skąd tam się wzięła bułka?

- Widzę, że nie brałeś pod uwagę tego, że zostanę na noc - powiedziała, wstając.

- No, nie... - W rzeczywistości brałem to pod uwagę, ale nie poczyniłem

odpowiednich przygotowań. - Możemy pojechać do kawiarni.

- Nie. Posiedź tutaj. Zaraz wracam.

- Dzięki. - Siedziałem więc i rozmyślałem o naszej rozmowie po nieodbyłym stosunku, która jako żywo przypominała typową rozmowę po stosunku odbyłym.

Podsumowując, bardzo lubiłem Elizabeth i miałem wielką ochotę się z nią przespać, ale teraz byłem zadowolony, że do tego nie doszło i że możemy zostać po prostu przyjaciółmi.

A może powinienem spróbować jeszcze raz? Przecież mogę ją zaciągnąć do łóżka w jednej chwili. Dlaczego to jest takie trudne?

Pojawiła się ponownie z dzbankiem kawy i napełniła mi filiżankę.

- Śniadanie zostanie podane wkrótce, panie Sutter.

- Dziękuję, Elizabeth. Tylko bułeczka ma być dobrze podgrzana. I nie zapomnij o dżemie.

- Oczywiście, sir. - Pochyliła się, potargala mi włosy, pocałowała w usta i wróciła do kuchni.

Poczułem, że Mały John budzi się do życia i zaczyna prężyć. Chyba potrzebny mi był zimny prysznic.

Popijałem kawę i próbowałem myśleć o czymś niezwiązanym z seksem, wspaniałym ciałem Elizabeth, moim unoszącym się T-shirtem, jej mlecznobiałymi udami i piersiami wyłaniającymi się wczoraj spod ręcznika i dzisiaj spod szlafroka. Zamiast tego myślałem o... no, cóż... potrafiłem w tej chwili myśleć tylko o seksie.

Elizabeth wróciła z tacą, na której znajdowała się przekrojona na pół bułka, otwarty słoik dżemu, butelka wody Hildon, dzbanek z kawą oraz resztki sera, krakersów i warzyw z poprzedniego wieczoru.

Postawiła tacę na stole i obwieściła:

- Podano śniadanie.

- Dziękuję. Przyłączysz się.

- To nie przystoi, sir. Ale skoro pan nalega... - Usiadła i nalala wody do szklanek. - Piwo się chłodzi, sir.

- Dziękuję. - Byłoby to dość zabawne, gdyby nie ciążyło wspomnienie tego, że jeszcze nie tak dawno Allardowie rzeczywiście usługiwali Stanhope'om. Zdarzało mi się, choć rzadko i wiele lat temu, być świadkiem takich sytuacji, kiedy jadałem w rezydencji, a Ethel, George i kilku innych pozostałych służących gotowało i podawało do stołu klanowi Stanhope'ów i ich nadętym gościom. Przypomniałem sobie, że raz

nawet Elizabeth, która akurat przyjechała z internatu do domu, sprzątała ze stołu. Ciekawe, czy William Skąpiec zapłacił jej za to. Tak więc, choć Elizabeth była zabawna, parodiując tamtą sytuację, czułem się nieco niezręcznie.

Elizabeth posmarowała mi bułkę dżemem.

- Dżem robimy tu sami - oznajmiła.

Nie przyszła mi do głowy żadna dowcipna odpowiedź. Położyła mi na talerzu kawałek sera.

- Dojrzewał na stole przez dwanaście godzin.

Uśmiechnąłem się.

Tak więc zjedliśmy śniadanie, rozmawiając o butikach z odzieżą i zmianach, jakie zaszły na Złotym Wybrzeżu w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Właściwie nie było dramatycznych zmian. Nowobogacy wydają się tacy szczęśliwi z posiadania swoich pięciu akrów ziemi. - Uśmiechnęła się. - Niektóre kobiety nawet gustownie się ubierają.

Odwzajemniłem uśmiech.

- No dobrze, posłuchaj córki pracowników posesji. Sam wiesz... Wychowałam się pomiędzy przedstawicielami klasy wyższej i mam dobre wykształcenie. Dlatego czuję się częścią tego starego, ginącego świata.

- Jesteś nią.

- Tak, ale mimo wszystko pochodzę z innego świata, a teraz jestem sprzedawczynią.

- Raczej właścicielką sieci sklepów.

- Dziękuję, sir. Właściwie trzech sklepów. Poza tym dobrze wyszłam za mąż. Mam na myśli status społeczny. Następnym razem wyjdę za mąż z miłości.

- Nie popełnij jakiegoś głupstwa.

Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej moje dzieci noszą nazwisko Corbet i są dobrze wykształcone.

- Mieszkałem siedem lat w Anglii i widziałem wszystkie zalety i wady starego systemu klasowego. A w gruncie rzeczy najważniejszy jest charakter.

- Gówno prawda, panie Sutter.

- Masz rację - rzekłem z uśmiechem. - Ale to ładnie brzmi.

- I łatwo ci to mówić.

- Nie jestem bogaty z domu - odparłem.

- Ale jesteś potomkiem dwóch znakomitych rodów: Whitmanów i Sutterów.

Wszyscy tam kończyli college, nikt nie pracował jako dozorca, sprzedawca czy służący.

To była prawda, ale też nikt nie był tak obrzydliwie bogaty jak Stanhope'owie. Mój wielki wuj Walt był sławny, ale poezja nie przynosiła pieniędzy.

Jeśli chodzi o Sutterów, to przyłynęli do Ameryki tuż po *Mayflower*. Natomiast prapradziadek Susan, Cyrus, zbił rodzinną fortunę na kopalniach węgla i na przełomie wieków zbudował rezydencję w Stanhope Hall. Z drugiej strony Whitmanowie i Sutterowie uważali Stanhope'ów za pretensjonalnych, wyrachowanych i niezbyt błyskotliwych. I, jak lubiła podkreślać moja matka, Stanhope'owie byli zupełnie pozbawieni świadomości społecznej.

Balzac kiedyś powiedział: „Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia”. Ale u Stanhope'ów był to tylko głupi traf. Majątek zdobyli dzięki chciwości, skąpstwu i lukach w systemie podatkowym. A jeśli już o tym mowa, to wielokrotnie reprezentowałem Williego Skąpca jako prawnik, ale nigdy nie zajmowałem się jego podatkami. W przeciwnym razie gniłbym teraz pewnie w więzieniu.

Mimo to, w oczach Elizabeth, wszyscy byliśmy tacy sami - dobrze urodzeni, wybrańcy losu i fortuny.

- Tak się składa, że moi odlegli przodkowie byli rolnikami i rybakami, a jednego z nich, Elijaha Suttera, powieszono za kradzież konia - poinformowałem ją.

- Niemożliwe.

- Poza tym jestem spłukany - dodałem.

- W takim razie miło było cię poznać.

Uśmiechnąłem się.

- Możemy zmienić temat? - zaproponowałem.

- Świetny pomysł. Ale pozwól, że ci powiem, John, że na pewno byłbyś szczęśliwy, gdybyś tu został.

- Potrafię być szczęśliwy wszędzie, gdzie jest jakiś klub, boisko do gry w polo, przystań jachtowa i dwustuakrowe działki.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - zauważyła, uśmiechając się szeroko.

- Dobrze powiedziane. - Spróbowałem kawałek sera. - Dzisiaj smakuje lepiej.

- Opowiedz mi o swoim rejsie dookoła świata.

- Długo by opowiadać.

- Miałeś w każdym porcie kobietę?

- Nie. Tylko w Europie Zachodniej, Azji Południowo-Wschodniej, na Karaibach i w Polinezji Francuskiej.

- Bardzo zabawne. No dobrze, opowiesz mi kiedy indziej.

- A co z tobą?

- Ze mną? Cóż... chodzę od dwóch lat na randki. Nic poważnego, a teraz akurat z nikim się nie spotykam.

Randki, spotkanie się. Dokonałem odkrycia. Kobiety znają więcej eufemizmów na określenie pieprzenia się niż Eskimosi słów opisujących śnieg. Chodzę z kimś na randki, z kimś się spotykam, kogoś poznałam, jestem zaangażowana, poważnie kogoś traktuję, poważnie traktuję kogoś, z kim się spotykam, i tak dalej, i tak dalej. Tymczasem facet zapytałby drugiego faceta po prostu: „Pieprzysz kogoś?”.

Elizabeth przerwała moje rozważania.

- Czy taką rozmowę powinniśmy prowadzić przed seksem czy raczej po?

- Może być przed. Dzięki temu unikniemy nieporozumień. Spotykam się z kimś w Londynie.

Milczała dłuższą chwilę.

- Czy to coś poważnego?

Słowo „poważne” to dla mnie opis stanu pacjenta, na przykład z guzem mózgu, ale chyba wiedziałem, o co jej chodziło, więc odpowiedziałem całkiem szczerze:

- Ona uważa, że tak. Ja, że nie.

- Rozumiem.

Szczerze mówiąc, ta rozmowa nie przebiegała tak dobrze, jak powinna, i kiedy już zaczynałem mieć wątpliwości co do Elizabeth, ona wykazała się wielką przebiegłością.

- Jesteś niezadowolony. Ja poruszam temat klas społecznych, a ty od razu myślisz, że jestem czerwona jak moja matka, potem wtrącam się w twoje życie prywatne, choć nawet nie poszliśmy do łóżka i... co jeszcze?

- Śniadanie jest do dupy.

- To twoja wina, nie moja.

- Zgadza się. Posłuchaj...

- Potrafisz robić zakupy?

- Oczywiście, że potrafię. Zaopatrywałem swoją łódź we wszystkich portach świata.

- A w Londynie?

- Zamawiałem pizzę. Albo jadłem na mieście.

- Zrobię ci zakupy.

- Idę z tobą.

- Będzie mi miło. - Milczała przez chwilę, a potem dodała: - Susan chyba chciałaby, żebyś wrócił.

Nie odpowiedziałem. Elizabeth naciskała dalej.

- Chyba chciała, żebym ci o tym powiedziała. Więc mówię.

- Dziękuję.

- Chcesz znać moje zdanie?

- Nie. Mam swoje zdanie.

- Jak wolisz. - Wstała. - Idę teraz do domu, potem do kościoła, a jeszcze później pojedę odwiedzić matkę. Nabożeństwo jest o jedenastej, gdybyś chciał się ze mną spotkać. Możemy też spotkać się w Fair Haven. A jeśli nie jesteś zajęty po południu, postawię ci obiad.

- Chciałbym spędzić ten dzień z tobą, ale... nie chcę wpaść na Susan w kościele albo w Fair Haven.

- Rozumiem.

A jeśli chodzi o obiad, to sam byłem nieco zaskoczony swoją odpowiedzią:

- Na czwartą idę dziś na proszony obiad. - Pomyślałem, że winien jestem Elizabeth wyjaśnienie, więc dodałem: - Do rodziny tego samego faceta, z którym jadłem w ubiegłym tygodniu.

- Jasne.

- Możemy się spotkać koło siódmej?

- Zadzwoń.

- Tak zrobię. - Uśmiechnąłem się. - Mogę pomóc ci się ubrać?

- Nawet nie pomogłeś mi się rozebrać - odparła z uśmiechem. - Masz tu zostać i nie kusić mnie teraz. Sama sobie poradzę.

- Na pewno?

- Oczywiście. - Objęliśmy się i pocałowaliśmy, jakimś cudem rozsunęły się poły jej szlafroka i byliśmy już bliscy zrobienia tego na stole, kiedy Elizabeth cofnęła się i wzięła głęboki wdech.

- Później. Wieczorem - powiedziała.

- Dobrze... wieczorem.

Poprawiła szlafrok, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. W pewnej chwili obejrzała się.



- Powinieneś wyjaśnić sprawę z Susan. Im prędzej, tym lepiej.

- Wiem o tym.

Zniknęła w drzwiach, a ja stałem w miejscu. Chciałem za nią pójść, choć wiedziałem, że nie powinienem.

Nalałem sobie kawy do filiżanki i zacząłem spacerować po ogrodzie Ethel. Zarosły go chwasty. Dlaczego to zielsko pokonało warzywa, a nie odwrotnie?

Musiałem uporządkować myśli. Po pierwsze, lubiłem Elizabeth Allard. Po drugie, musiałem zapanować nad sytuacją, nim sytuacja zacznie panować nade mną. A to oznaczało spotkanie z Susan - nie jutro czy innego dnia, ale jeszcze dziś rano. Potem czekała mnie wizyta w domu Bellarosów, która też mogła przynieść jakieś rozwiązania.

A wieczorem mogę przespać się z Elizabeth - albo spać samemu, ale za to po raz pierwszy od dwóch tygodni bardzo mocno.

## CZEŚĆ II

*Droga, którą nie poszliśmy,  
ku drzwiom, których nigdy nie otworzyliśmy,  
Prowadzącym do ogrodu różanego.*  
T.S.Eliot, *Burnt Norton* z *Four Quarters*

### ROZDZIAŁ 21

Ze starego radia stojącego na lodówce płynął głos Patti Page, śpiewającej *Old Cape Cod*. Ta piosenka przypomniała mi o kilku rejsach, które całą rodziną tam odbyliśmy. Stacja nadawała składankę piosenek na temat różnych zakątków Ameryki. Następna była *Moonlight In Vermont*. Mogłem się założyć, że Ethel od dwudziestu lat nie zmieniała stacji.

Choć do bram Stanhope Hall zapukała już współczesność, to w stróżówce czas zdawał się stać w miejscu.

Nie minęła jeszcze dziewiąta rano, a ja już byłem po prysznicu. Przebrałem się w jasnobrązowe spodnie i ostatnią już czystą koszulę z przypinanym kołnierzykiem. Szyta na miarę na Savile Row niebieska marynarka wisiała na oparciu kuchennego krzesła. Ubrałem się tak, żeby odwiedzić Susan albo pójść od razu na obiad z mafią o czwartej.

Uznałem, że nim zadzwonię do Susan, powinienem wykonać swój coniedzielny telefon do Carolyn i Edwarda. Ale Carolyn w niedzielę lubiła dłużej pospać, a w Los Angeles była w tej chwili szósta rano, więc może lepiej zadzwonię do matki. Z drugiej strony, zawsze kiedy musiałem rozmawiać z Harriet, trzymałem w ręku mocnego drinka, a na takie trunki pora była zbyt wczesna.

Kwadrans po dziewiątej Ray Charles śpiewał *Georgię*, a ja wciąż stałem w kuchni z kubkiem kawy w ręku.

To dziwne, pomyślałem, potrafię powiedzieć szefowi mafii, żeby się pieprzył, a nie mam odwagi zadzwonić do Susan.

Przebrzmiały ostatnie smętne tony *Georgii* i z głośnika popłynął łagodny głos didżeja.

- To było piękne. Słuchacie WLG, stacji nadającej na ziemi wolności, w

ojczyźnie męstwa.

Słyszając takie inspirujące słowa, wyłączyłem radio, chwyciłem za słuchawkę i wybrałem numer telefonu domku gościnnego. Usłyszałem trzy dzwonki i już miałem nadzieję, że odezwie się automatyczna sekretarka.

Susan musiała mieć włączoną identyfikację numerów, bo odebrała telefon, mówiąc:

- Cześć, John.

Kiedy usłyszałem jej głos, serce podskoczyło mi do gardła i o mało się nie rozłączyłem. A może powinienem naśladować piskliwy głos Ethel i powiedzieć: „Witam, pani Sutter, chciałam tylko powiedzieć, że wróciłam z hospicjum” i odłożyć słuchawkę.

- John?

- Witaj, Susan.

Cisza.

- Jak się masz?

- W porządku. A ty?

- Dobrze. Co słychać?

- Wszystko w porządku.

- Tak... u mnie też.

- Nie przygotowałeś się zbyt dobrze do tej rozmowy - zauważyła.

Trochę mnie to rozzłościło.

- Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie, i nie zdążyłem zrobić notatek.

- A czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że raczyłeś zadzwonić?

Mój Boże. Nie oczekiwałem, że będzie skakać z radości, słysząc mój głos, ale ona była zupełnie lodowata. Musiałem sobie przypomnieć, jak Ethel i Elizabeth twierdziły, że Susan oczekuje telefonu ode mnie. A pan Nasim mówił, że dobrze się o mnie wyrażała. Nawet Edward i Carolyn dawali mi do zrozumienia, że ich mama chce, żebym do niej zadzwonił. Więc o co w tym wszystkim chodziło?

Odpowiedź była zawarta w jej pytaniu.

- Czy twój gość już sobie poszedł?

Aha! Nim zdążyłem odpowiedzieć, Susan ciągnęła swoje śledztwo.

- Wczoraj wieczorem to był samochód Elizabeth Allard, prawda?

- Tak, ale...

Nie pieprzyłem się z nią. Słowo.

- Jak się miewa Elizabeth?

Naprawdę nie musiałem się tłumaczyć przed Susan, ale żeby nie było żadnych niedomówień, uznałem, że powinienem coś powiedzieć. Czułem się zupełnie bezbronny i niechcący się wygadałem:

- Za dużo wypła, a chciała obejrzeć swój dawny pokój, poza tym mieliśmy dużo pracy związanej z testamentem, jestem jej mecenasem, więc została i...

Zanim zdążyłem się jeszcze bardziej zaplatać, Susan przerwała mi.

- Nic mnie to nie obchodzi. Więc co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie spałem z nią.

Cisza.

- Naprawdę mnie to nie interesuje, John. Muszę się przyszykować do kościoła.

Skoro już podjąłem decyzję i zadzwoniłem do niej, to nie dam się tak łatwo spławić.

- Zaraz przyniosę ci kopertę. Zadzwonię do drzwi. Jeśli nie otworzysz, zostawię ją na progu.

Cisza.

- Do widzenia - rzuciłem do słuchawki i rozłączyłem się.

Nałożyłem marynarkę, zabrałem ze stołu w jadalni kopertę i wyszedłem z domu.

Był piękny, słoneczny dzień, śpiewały ptaki, cykała szarańcza, bzycały pszczoły, a mnie serce waliło w piersi, kiedy szedłem drogą w stronę domku gościnnego.

Nie miałem bladego pojęcia, dlaczego jestem taki spięty. Przecież, jeśli ktoś powinien czuć się winny albo niezręcznie, to raczej Susan, a nie ja. W końcu to nie ja miałem romans i nie ja zastrzeliłem potem kochankę.

Po przejściu trzystu jardów dzielących mnie od domku gościnnego udało mi się w dużej mierze odzyskać równowagę.

Kiedy podszedłem do domu, zauważyłem, że poprzedni właściciele zaznaczyli granicę dziesięcioakrowej posiadłości żywopłotem. Za czasów, gdy w rezydencji mieszkali jeszcze William i Charlotte, proponowałem Susan postawienie dwudziestostopowego muru z wieżyczkami strażniczymi, co pozwoliłoby uniknąć niezapowiedzianych wizyt jej rodziców, ale Susan nie chciała zasłaniać sobie widoku. Dlatego ciekaw byłem, czy zetnie ten żywopłot. Pan Nasim na pewno martwił się jego obecnością gdyż taki żywopłot mógł zapewnić doskonałą osłonę irańskim snajperom.

Ale wróćmy do bardziej przyziemnych trosk. Połowa mnie wolałaby, żeby Susan nie otworzyła drzwi. Mógłbym sobie dalej wieść swoje życie, nie przejmując się istnieniem Susan Stanhope Sutter. Czułem się jednak zobowiązany podzielić się z nią niepokojem Nasima i moim niepokojem związanym z Anthonym Bellarosą. Oczywiście mogłem załatwić to przez telefon albo listownie. I zrobię tak, jeśli nie otworzy mi drzwi.

Moja druga połowa, jeśli mam być szczery, chciałaby, żeby Susan powitała mnie w progu. Jeśli już nie z innego powodu, to choćby po to, bym mógł wytłumaczyć, dlaczego Elizabeth została na noc. Mnie na tym specjalnie nie zależało, ale mogło zależeć Elizabeth. Gdyby udało mi się wyjaśnić to nieporozumienie, może udałoby się wyjaśnić z Susan następne.

Podszedłem pokrytą łupkiem ścieżką do dużego kamiennego budynku. Zauważyłem, że bluszcz jest nieprzycięty i wdarł się na parapety okien. Również żwirowy podjazd i plac przed domem wymagały odnowienia. Zwykle to było moim zadaniem i albo robiłem to sam, albo wynajmowałem kogoś. Za to rabatki z kwiatami, odwieczne oczko w głowie Susan, były perfekcyjnie zadbane. Dlaczego w ogóle zwracam na to uwagę?

Podszedłem do drzwi i bez wahania nacisnąłem dzwonek.

Nim otworzą się drzwi albo nim stąd ucieknę, będę miał chwilę na zastanowienie się. W związku z tym pomyślałem o tym, jak Susan i Frank pieprzyli się na potęgę, kiedy ja siedziałem w kancelarii w mieście albo walczyłem z urzędem podatkowym, a w wolnym czasie broniłem jej kochasia przed zarzutem o morderstwo. Wszystkie te szczęśliwe wspomnienia wprowadziły mnie w odpowiedni nastrój.

Odczekałem około dziesięciu sekund, potem położyłem kopertę pod drzwiami, odwróciłem się i odszedłem.

Pięć sekund później usłyszałem otwierane drzwi i głos Susan:

- Dziękuję.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem ją stojącą w progu z kopertą w ręce, ubraną w dżinsy i różową koszulkę polo.

- Proszę bardzo - odparłem i ruszyłem dalej przed siebie.

- John.

Zatrzymałem się i odwróciłem.

- Tak?

- Wejdiesz na chwilę? Mam coś dla ciebie.

Spojrzałem na zegarek i z ostentacyjną niechęcią powiedziałem:

- No... dobrze.

Wróciłem do drzwi. Susan zniknęła w środku, pozostawiając je otwarte. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Stała w drugim końcu długiego foyer, obok kuchni.

- Napijesz się kawy?

- Dziękuję.

Zniknęła w kuchni, a ja poszedłem za nią. Dom, z tego, co zdążyłem zauważyć, wyglądał zupełnie tak samo jak dziesięć lat temu. Meble to były antyki Stanhope'ów, które ja nazywałem gratami.

Wielka rustykalna kuchnia też wyglądała jak niegdyś. Na ścianie wisiał ten sam stary zegar z wahadłem. Miałem przez chwilę wrażenie, że wyskoczyłem na moment po niedzielne gazety, a kiedy wróciłem, okazało się, że jestem od dziesięciu lat rozwiedziony.

Susan stała odwrócona do mnie plecami i pochylała się nad dzbankiem z kawą.

- W dalszym ciągu czarna?

- Tak.

Nalała kawę do kubków i odwróciła się. Spotkaliśmy się w połowie drogi. Wręczyła mi kubek. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Naprawdę się nie postarzała, zresztą zauważyłem to już wtedy, gdy widziałem ją z daleka na ulicy kilka dni temu. Przez te dziesięć lat nie przybył jej ani gram ciała. Zresztą mnie też. Musieliśmy myśleć o tym samym, bo jednocześnie zaczęliśmy:

- Wyglądasz... - uśmiechnęliśmy się mimowolnie i dokończyliśmy - całkiem dobrze.

Wymiana uprzejmości zakończona.

- Muszę z tobą porozmawiać - odezwałem się.

- Jeżeli sprowadza cię tu poczucie winy...

- Nie jestem niczemu winny.

- Możesz sypiać, z kim zechcesz, ale trzymaj się, proszę, z dala od moich przyjaciółek.

- W takim razie poproszę o ich listę.

- A ty daj mi listę swoich przyjaciół, jeśli ich masz.

Suka. Postawiłem kubek z kawą na stole.

- Zanim stąd wyjdę, chcę żebyś wiedziała, że nie uprawiałem seksu z Elizabeth

Allard.

- Nic mnie to nie obchodzi.
- Ale właśnie powiedziałaś...
- Bawisz się ze mną w adwokata?

Są rzeczy, które się nie zmieniają. Susan jest bardzo bystra, ale trudno ją posądzać o logikę i racjonalne myślenie. To znaczy, potrafi być logiczna i racjonalna, ale kiedy znajduje się pod wpływem stresu, do głosu dochodzi ta druga, szalona część jej umysłu. Pewnie wszystkie rude tak mają.

- Spójrz mi, proszę, w oczy - powiedziałem. - Nie uprawiałem seksu z Elizabeth. Wpatrywała się we mnie dłuższą chwilę.
- Zapytaj ją - zaproponowałem.
- Kiwnęła głową.
- W porządku. Wierzę ci.

Staliśmy tak w kuchni, zegar na ścianie tykał miarowo, jak zawsze kiedy mijały długie minuty śmiertelnej ciszy po wyczerpującej bitwie między Susan a mną. Takie bitwy miały zazwyczaj oczyszczający charakter i były dobrym sygnałem, że wciąż jeszcze zależy nam na sobie. Dawaliśmy sobie buzi i biegliśmy po schodach do sypialni. Jestem pewien, że Susan też pamiętała o naszych potyczkach, ale tym razem nie mieliśmy pobiec do sypialni.

- Mogę przyjść innym razem - powiedziałem.
- Co jest w kopercie? - zapytała.
- Kilka zdjęć, trochę papierów, które powinny być u ciebie, takich jak na przykład akty urodzenia Carolyn i Edwarda.
- Jeśli masz parę minut, to chciałabym z tobą coś omówić i dać ci kilka rzeczy.
- W porządku.
- Może usiądziemy w ogrodzie różanym? - zaproponowała.
- Okay.
- Zaraz tam przyjdę.

Zabrałem swój kubek z kawą i wyszedłem kuchennymi drzwiami do angielskiego ogrodu różanego, otoczonego wysokim kamiennym murem i wyglądającego z grubsza tak, jak go zapamiętałem. Jedyna różnica polegała na tym, że żeliwne meble zastąpiły wiklinowe, które, nawiasem mówiąc, nie wyglądały na zbyt wygodne. Kobiety potrafią usiąść na wszystkim.

Róże zaczynały kwitnąć; nie pamiętałem już, czy to wcześniej, czy późno.

Zależało to pewnie od tego, jaka była tego roku wiosna na Long Island.

No i oto byłem tu - w domu i zarazem nie w domu. Wszystko wyglądało znajomo, ale dezorientowały mnie pewne drobne zmiany. To samo z ludźmi. Lepiej bym się czuł w chacie tubylców na wyspie na Pacyfiku, gdzie nic nie przypominało mi o dawnym życiu.

Przypomniałem sobie, co powiedział mi mój ojciec, kiedy poszedłem do wojska i miałem rozpocząć służbę w Niemczech. Opowiadał o czterech latach wojny i o swoim powrocie. Kiedy znowu się tu znalazłem, mówił, czułem się tak nie na miejscu, że wolałbym wrócić do moich kumpli do okopów. Jeśli wziąć pod uwagę, że potem spotkał moją matkę i ożenił się, to jestem pewny, że nieraz jeszcze wypowiadał to życzenie. Co więcej, dopiero teraz rozumiem, co ojciec miał na myśli.

W każdym razie usiadłem na krześle przy okrągłym wiklinowym stoliku i patrzyłem na znajdujące się w głębi niewielkiego ogrodu fontannę i zegar słoneczny.

Pomiędzy różanymi krzewami stały ogrodowe posągi, w większości klasyczne. Przypomniały mi o ogrodach Alhambry, błyszczącej tafli sadzawki i oczywiście o moim śnie. Pewnie jej nigdy nie zapytam, jak, kiedy i gdzie rozpoczął się jej romans z Frankiem Bellarosą, ale gdybym to zrobił, pewnie odpowiedziałaby pytaniem: „Jak co się zaczęło? A... to. To było tak dawno temu, John. Po co znów to wyciągasz?”. I tym podobne. Susan jest popisową sklerotyczką i pewnie tak samo niewiele pamięta z upojnych chwil z Frankiem jak z momentu, kiedy go zastrzeliła. No, nie, oczywiście, że pamięta, ale tylko wtedy, gdy ktoś tak nieokrzesany jak ja jej o tym przypomni.

Przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz ją widziałem. To było jakieś pięć lat temu, na pogrzebie ciotki Cornellii. Nie wiem, dlaczego się tam znalazła, ale przecież ze względu na nasze dzieci wciąż była na swój sposób członkiem rodziny. Swojego nowego męża zostawiła w Hilton Head, więc nie miałem okazji poznać tego szczęśliwca ani tym bardziej ocenić, jak bardzo jest stary czy otyły. Gdyby poślubiła jakiegoś młodego ogiera, możecie być pewni, że zabrałaby go ze sobą, wbijając wcześniej w czarny garnitur od Armaniego.

Owszem, rozmawiałem wtedy z Susan, ale była to luźna rozmowa na temat ciotki Cornellii, jej zmarłego wcześniej męża Arthura i ich dwóch bezmózgich synów. Rozmawialiśmy także o moim ojcu, którego Susan bardzo lubiła, ale nie wspomniała ani słowem o jego pogrzebie, w którym nie uczestniczyłem. Pamiętam, że pogratulowałem jej zamążpójścia i życzyłem szczęścia. Chyba nawet szczerze.

Ona z kolei powiedziała, że jej mąż jest bardzo dobrym człowiekiem, co, moim



zdaniem, oznaczało, że nie jest miłością jej życia.

Nie zadała mi żadnego osobistego pytania, a ja sam nie chwaliłem się swoim życiem uczuciowym.

W porządku dziennym zabrakło też ostatnich słów, jakie zamieniliśmy ze sobą sześć lat wcześniej, tuż przed rozstaniem. Byłem wówczas obecny podczas jej przesłuchania w sądzie federalnym na Manhattanie, gdzie miałem wystąpić w roli świadka. Jako jej mąż i jednocześnie obrońca mogłem odmówić składania zeznań, mimo to chciałem przedstawić pewne okoliczności łagodzące, w głównej mierze odnoszące się do jej stanu psychicznego w chwili zabójstwa. Zamierzałem powiedzieć coś w stylu: „Wysoki sędzio, moja żona to wariatka. Wystarczy spojrzeć na jej rude włosy”. Albo: „Informowałem już wysoki sąd, że chciałbym wyjaśnić sprawę stręczenia przez FBI mojej żony znajdującemu się pod ich opieką szefowi mafii, a także wspomnieć w kilku słowach o wątpliwych z punktu widzenia prawa działaniach prokuratora Alphonse’a Ferragamo”.

Cóż, okazało się, że sędzia i pan Ferragamo nie mieli ochoty wysłuchać mojej mowy, a odbywające się za zamkniętymi drzwiami posiedzenie zakończyło się decyzją Departamentu Sprawiedliwości o nieprzedstawianiu sprawy ocenie ławy przysięgłych. Totalne zwycięstwo Susan i potwierdzenie tego, że władza potrafi chronić własną dupę. Jeśli chodzi o mnie, po raz pierwszy wywarłem wpływ na wynik rozprawy, siedząc z zamkniętą gębą na sądowym korytarzu.

Cieszyłem się oczywiście, że Susan wyszła na wolność, ale szczerze mówiąc, jako prawnik i obywatel byłem nieco zaskoczony, że Departament Sprawiedliwości tak łatwo się poddał, nie dając jej nawet po łapach. Jako zdradzony mąż miałem nadzieję, że przynajmniej każą jej nosić szkarłatną literę na sukience, ale pewnie wtedy ja nosiłbym tabliczkę z napisem ROGACZ.

W każdym razie po rozprawie podbiegłem do niej na schodach sądu przy Foley Square. Była otoczona przez szczęśliwych rodziców, trzech zadowolonych z siebie adwokatów i dwóch psychiatrów, którzy ledwie radzili sobie ze wszystkimi problemami mentalnymi rodziny Stanhope’ów.

Oderwałem Susan na chwilę od jej świty i mieliśmy okazję krótko porozmawiać. Pogratulowałem jej szczęśliwego zakończenia rozprawy, choć wcale nie byłem zadowolony z wyroku. Mimo to powiedziałem wtedy:

- Nadal cię kocham, wiesz o tym.
- Twoje szczęście. Pamiętaj - na zawsze.

- Tak, na zawsze. - To były moje ostatnie słowa.

A jej ostatnie brzmiały:

- Ja ciebie też.

Rozeszliśmy się wtedy na schodach sądu i nie widzieliśmy się przez następne cztery lata, do czasu gdy Edward skończył edukację w Sarah Lawrence.

A kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, na pogrzebie Corneli, jej ostatnie słowa brzmiały: „Życzę ci szczęścia, John, ale przede wszystkim życzę ci spokoju”.

Nie wiedziałem, dlaczego uważa, że nie jestem spokojny - w końcu to był mój sekret - ale odpowiedziałem: „Dziękuję. Ja też ci tego życzę”.

Pożegnaliśmy się na cmentarzu i wróciłem do Londynu. Teraz, cztery lata później, mieliśmy wkrótce pochować następną staruszkę i gdybym był w nastroju do żartów, powiedziałbym: „Powinniśmy przestać się spotykać w takich okolicznościach”. Z drugiej strony, być może jedno z naszych dzieci, a może oboje, zapragnie wziąć ślub i wtedy spotkam się z Susan przy szczęśliwszej okazji, takiej jak urodziny czy chrzciny wnuka.

Do tej pory trafiały się same pogrzeby. Przypomniałem sobie wers z Longfellowa: „Niech martwa przeszłość pogrzebie swych umarłych”.

No właśnie.

## ROZDZIAŁ 22

W ogrodzie różanym pojawiła się Susan. Byłem dość spostrzegawczy, by zauważyć, że przeczesła szczotką włosy i może nawet przeciągnęła usta błyszczkiem.

Jako dżentelmen podniosłem się z krzesła, a ona przyzwyczajona do naszych nieustannych żartów zapytała:

- Czy grają hymn?

Uśmiechnęliśmy się oboje. Susan położyła na stole jakieś pudełko i kopertę, która ode mnie dostała, po czym usiadła naprzeciwko.

Jeśli chodzi o kopertę, wolałbym, żeby jej teraz nie otwierała. Nie chciałem oglądać z nią jej nagich zdjęć. To mogłoby być dziwaczne albo kłopotliwe, ewentualnie niosłoby niewłaściwe przesłanie. A może już wcześniej zajrzała do koperty? W każdym razie położyła ją na stoliku.

Siedzieliśmy przez kilka sekund w milczeniu.

- Przykro mi z powodu twojego męża - powiedziałem w końcu.

- Dziękuję.

Na tym temat się wyczerpał, więc postanowiłem pograżonej w żałobie wdowie zadać pytanie.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

- Ty pierwszy.

- Damy mają pierwszeństwo.

- No dobrze. To pudełko jest dla ciebie. Są tu odbitki zdjęć, które pewnie chciałbyś mieć. Znalazłam też cały stos listów pisanych przez Edwarda i Carolyn, kiedy chodzili jeszcze do szkoły. Zrobiłam dla ciebie fotokopie.

- Dziękuję. Masz może też anulowane czekki, które im posyłałem?

Uśmiechnęła się.

- Nie, ale mam za to listy z podziękowaniami. Teraz głównie ślą e-maile, ale nie zapomnieli, jak się pisze listy. Co jest w tej kopercie?

- Podobne rzeczy. Zdjęcia, trochę listów od dzieci. I kilka dokumentów, które być może zechcesz zatrzymać.

- Dziękuję. Edward i Carolyn powiedzieli mi, że przyjadą na pogrzeb Ethel. Edward prosił, by go powiadomić z wyprzedzeniem. Jest bardzo zapracowany. Carolyn zresztą też, ale ona z Brooklynu może tu szybko dotrzeć.

- Zawsze chciałem doczekać chwili, gdy moje dzieci będą musiały zacząć godzić

pracę z obowiązkami rodzinnymi. Żeby tak jeszcze wzięły ślub i miały dzieci.

- John, w twoich ustach słowa praca, rodzina, małżeństwo i dzieci brzmią jak kara.

- Przepraszam, źle wyszło. W każdym razie informuj ich na bieżąco o stanie Ethel. Ja nie mam komputera ani komórki.

- A zamierzasz mieć?

- Jeśli zostanę.

Susan nie naciskała dalej, zapytała za to:

- Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałeś?

- W ubiegłą niedzielę. U nich wszystko w porządku.

- Wiem. Cieszą się z twojego powrotu. - Wykorzystała okazję, żeby spytać: - Jak długo zostaniesz?

- Przynajmniej do pogrzebu.

Skinęła głową i nie zadawała więcej pytań. Ponieważ rozmawialiśmy o rodzinie, poradziła mi:

- Powinieneś spotkać się ze swoją matką, jeszcze przed pogrzebem.

- Czyim - matki czy Ethel?

- Bądź poważny. Powinieneś zachowywać się wobec matki tak, jak chciałbyś, żeby zachowywały się dzieci wobec ciebie. Dałbyś im dobry przykład. Przecież ona jest ich babką. A ty jej synem.

- Chyba rozumiem.

- Czas wydorosnąć.

- Jestem synem swojej matki i zachowuję się tak, jak jestem traktowany.

- Bardzo śmieszne. Twój stosunek do matki ma wpływ na nasze dzieci. Chodź mi o ich dobro.

Oczywiście, zawsze dzieci były najważniejsze, choć ich wcale nie obchodziły moje stosunki z matką. W gruncie rzeczy nie chodziło o mnie i Harriet, ani o mnie i dzieci. Chodziło o mnie i Susan.

Niezrażona Susan kontynuowała:

- Poza tym Edward i Carolyn czują się niezręcznie, gdy widzą, jak odnosisz się do moich rodziców. W końcu to są ich dziadkowie - przypomniała mi, na wypadek gdybym zapomniał.

- Jak długo jeszcze zamierzasz prowadzić ten wykład?

- To nie jest wykład. To są ważne sprawy, które musimy omówić dla dobra

naszych dzieci.

Nie są już dziećmi - chciałem powiedzieć - trzeba było o nich myśleć, kiedy dziesięć lat temu postanowiłaś pójść do łóżka z Frankiem Beilarosą.

- Dobrze, jeśli mam w ogóle wpływ na czyjekolwiek życie, postaram się być lepszym synem, lepszym ojcem i lepszym eksmężem.

- I jeszcze odrobinę mniej sarkazmu.

- A poza tym nigdy nie powiedziałem Edwardowi czy Carolyn niczego złego na temat twoich rodziców.

- Może nie... ale wyczuwają twoją wrogość.

- Są wyjątkowo spostrzegawczy. W ogóle nie myślę o twoich rodzicach.

Skorzystała z okazji, żeby podzielić się ze mną dobrą wiadomością.

- W ostatnich latach bardzo złagodnieli.

Jedynym sposobem, żeby tych dwoje złagodniało, byłby przeszczep mózgu.

- Może to moja obecność sprawiała, że ujawniały się ich najgorsze cechy.

Zignorowała moją uwagę i zaczęła zbliżać się do końca wykładu.

- To, co się wydarzyło pomiędzy nami, miało wpływ na wielu ludzi, na których nam zależało, więc może powinniśmy być wobec nich bardziej uprzejmi. To sprawi, że życie stanie się łatwiejsze.

- Nie sądzisz, że jest już odrobinę za późno?

- Nie.

Zamilkłem.

- Kiedy ci przejdzie? - zapytała.

- Już mi przeszło.

- Nieprawda.

- A tobie?

- Nigdy nie byłam na ciebie zła, John.

- Wiem. A dlaczego miałabyś być? Co ja zrobiłem?

- Powinieneś pomyśleć o swojej roli w tym wszystkim, co się zdarzyło.

- Proszę cię.

- A potem pomyśl o tym, co robiłeś przez ostatnie dziesięć lat.

- Nic nie robiłem.

- Właśnie o to chodzi. Po prostu uciekłeś.

Zamiast odpowiedzieć, spojrzałem ostentacyjnie na zegarek

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie skończę.

- Więc kończ.

Zamilkła na chwilę.

- John, nie cofniemy tego, co się stało...

- Spróbuj jeszcze raz, tylko użyj liczby pojedynczej.

Wzięła głęboki wdech.

- Okay... nie mogę cofnąć tego, co się stało... tego, co zrobiłam. Ale chciałabym... chciałabym, żebyś mi wybaczył.

Nie spodziewałem się tego. Odebrało mi na chwilę mowę. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, i o mało nie wysnęło mi się „wybaczam ci”, ale spojrzałem na Susan i odparłem:

- Nigdy nawet nie wspomniałaś, że jest ci przykro.

Wytrzymała moje spojrzenie.

- John, popełniłam tak wielki grzech, że przeprosiny nic tu nie dadzą. Co mam powiedzieć? Przepraszam, że zrujnowałam nasze życie? Przepraszam, że miałam romans? Przepraszam, że go zabiłam? Przepraszam, że nie poszłam do więzienia, żeby odpokutować swoje winy? Przepraszam jego żonę i dzieci? Przepraszam, bo to moja wina, że nasze dzieci cierpiały, a ty zniknąłeś na dziesięć lat? Że nie było cię tu, kiedy umierał twój ojciec? Jak mam za to przeproszać?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i nie mogłem spojrzeć jej w oczy, więc odwróciłem się i wtedy usłyszałem:

- Przepraszam.

Spojrzałem na nią ale ona wstała i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu.

Siedziałem tak przez minutę zboląły, ale też zadowolony, że spotkanie dobiegło końca.

W ogrodzeniu była furtka. Spojrzałem na nią myśląc o wyjściu. Kiedy oboje ochłoniemy, mógłbym do niej zadzwonić. A może chciała, żebym tu na nią zaczekał? Albo poszedł za nią do środka?

Kobiety trudno zrozumieć, a kiedy są przygnębione, nawet nie próbuję. Najlepiej będzie, jeśli postąpię tak, jak chcę, a w tej chwili bardzo chciałem stąd wyjść. Wstałem, wziąłem pudełko z pamiątkami i podszedłem do furtki. W pewnej chwili zawahałem się i obejrzałem w stronę domu. Po Susan nie było śladu. Najwyraźniej rozmowa została zakończona. No i dobrze.

Otworzyłem furtkę i znów się zawahałem, wyobrażając sobie, że Susan wróci i mnie nie zastanie. Czuję się rozdarty. Moja silniejsza połowa mówiła: wyjdź, a ta

słabsza szeptała: ona cierpi.

Bywa, że w takich chwilach proszę o pomoc niebios, ale mimo to drzwi domu pozostawały zamknięte.

- No, pomóż mi, panie Boże.

*Duma doprowadza do zła.*

Dziękuję za przypomnienie.

*Powiedz to kwiatami.*

- Co? - Nagle przypomniałem sobie, jak czasami godziliśmy się w przeszłości, nie tracąc przy tym honoru.

Wróciłem do ogrodu, znalazłem na ławeczce sekator, ściałem tuzin róż i położyłem je na stoliku. Potem podszedłem do furtki i otworzyłem je.

- John...

Odwróciłem się i zobaczyłem ją w drzwiach.

- Wychodzisz?

- Ja... ja...

- Jak możesz tak po prostu... - Spostrzegła róże i podeszła do stolika.

Wzięła do ręki bukiet, spojrzała na niego, potem przeniosła wzrok na mnie. Powoli ruszyłem w stronę domu.

Patrzyła, jak się zbliżam i zatrzymuję w połowie drogi.

- Dlaczego chciałeś wyjść? - zapytała.

- Myślałem, że tego oczekujesz. To ty pierwsza wstałaś i wyszłaś - przypomniałem jej.

- Wychodząc, powiedziałam „przepraszam”, a nie „do widzenia”.

- Nie byłem pewny... no dobrze... szczerze mówiąc, chciałem wyjść.

- Dlaczego?

- To jest zbyt bolesne.

Skinęła głową.

Staliśmy naprzeciw siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Poprosiła mnie o wybaczenie, więc po dziesięciu latach powinienem po prostu powiedzieć: „Wybaczam ci”. Ale gdybym nie mówił tych słów szczerze, wyczułaby to.

Wychowaliśmy się z Susan w świecie, gdzie o takich rzeczach jak grzech, akt skruchy i rozgrzeszenie trąbiło się w kościele, w St. Paul, na uczelni, a nawet w domu. Ten świat już może ginał, ale my wciąż jeszcze pozostawaliśmy jego produktem. Dlatego wiedziałem, że zrozumie dobrze moje słowa.

- Susan, przyjmuję twoje przeprosiny. Naprawdę. Ale nie mam sił ani ochoty ci wybaczać.

- Doskonale rozumiem. Chciałabym przynajmniej, żebyś mnie nie nienawdził.

- Nie nienawidzę cię.

- Owszem.

- Nigdy cię nie nienawdziłem. Powiedziałem ci... tam na schodach w sądzie... pamiętasz?

- Pamiętam. Powiedziałaś swojej siostrze, że przypłyniesz do Hilton Head. Czekałam na ciebie.

To też było bolesne wspomnienie, ale trzeba przez to przebrnąć.

- Popłynąłem tam... i zawróciłem.

- I wybrałeś się w rejs dookoła świata.

- Tak.

- Mogłeś zginąć.

- Nie miałem tego w planie, jeśli o to ci chodzi.

- To ty powiedziałaś.

- Temat wyczerpany.

- Wszyscy się martwili. Twój rodzice, dzieci...

- Tego też nie miałem w planach. To był tylko wspaniały akt braku odpowiedzialności i egoizmu. Nic poza tym. Należało mi się to - dodałem i powtórzyłem: - Temat wyczerpany.

- W porządku. Dziękuję za kwiaty.

- To kwiaty z twojego ogródka - zauważyłem.

- Wiem. Ale dziękuję za gest.

- Bardzo proszę.

- Jestem pod wrażeniem.

Wciąż trapiła mnie jej sugestia, że wypłynąłem w rejs, bo byłem zrozpaczony, użalałem się nad sobą, miałem złamane serce, szukałem współczucia i w ogóle byłem wrakiem człowieka. Kobiety nie umieją zrozumieć nieracjonalnych zachowań i dlatego wróciłem do zamkniętego już tematu.

- To było także wyzwanie.

- Co było wyzwaniem?

- Opłynięcie świata małą żaglówką.

- Chyba mówiłaś, że ten temat jest już...



- Mężczyźni lubią czuć dreszczyk emocji.
- Myślę, że ludziom czekającym na nich w domu to się nie podoba.
- Być może.

Postanowiłem w końcu wyjść.

- Nie chcę, żebyś spóźniła się do kościoła. Może zobaczymy się jutro?
- Nie jestem w nastroju, żeby spotykać ludzi w kościele.

Nigdy nie sądziłem, że do kościoła chodzi się po to, żeby spotykać tam ludzi, i nie wiedziałem, w jakim trzeba być nastroju.

- Poczujesz się lepiej, jeśli pójdziesz do kościoła.

Zignorowała moją radę.

- Może się przejdziemy - zaproponowała.

Zastanowiłem się chwilę.

- Zgoda.

Zdjąłem marynarkę i powiesiłem ją na oparciu krzesła. Wyszliśmy przez furtkę w murze ogrodu. Susan niosła w ręku bukiet róż.

Było jak za dawnych czasów, tyle że to nie były stare, dobre czasy. One nigdy już nie wrócą. Choć w chwili, kiedy się rozstawaliśmy, mogliśmy powiedzieć sobie: „Bądźmy w kontakcie”. Będzie przecież jeszcze więcej ślubów i pogrzebów, urodzin i innych okazji, pojawią się w naszym życiu nowi ludzie, a my mimo to potrafilibyśmy przebywać razem w jednym pokoju i uśmiechać się do siebie. Naszym przyjaciółom i rodzinie na pewno by się to podobało.

Stało się, jak się stało, i tak należy uznać za cud to, że byliśmy tu teraz razem, spacerowaliśmy i rozmawialiśmy ze sobą.

## ROZDZIAŁ 23

Szliśmy po trawniku w stronę odległego żywopłotu.

Susan była boso; zawsze lubiła w ten sposób spacerować po swojej posiadłości. Zastanawiałem się, czy bosa stopy będą do przyjęcia dla Amira Nasima. Ale znajdowaliśmy się wciąż na terenie należącym do Susan, zaczniemy się martwić, kiedy wkroczymy na terytorium irańskie.

Susan opowiadała o posiadłości.

- Ganzowie... ci ludzie, którym sprzedałam dom... Diana i Barry Ganz... poznałeś ich?

- Przelotnie, po tym, jak się wyprowadziłaś. Dzwonili do mnie co najmniej raz w tygodniu, żeby zapytać, jak coś działa, albo dlaczego nie działa.

- Przykro mi.

- Chciałem im pomóc, ale przypominałem za każdym razem, że to nie ja sprzedałem ten dom.

- Zrobiłam to pod wpływem impulsu. Byłam zrozpaczona, a rodzice namawiali mnie, żebym przeprowadziła się do nich do Hilton Head.

U Williama i Charlotte namawiać znaczyło wywierać presję. Ciekawe, czy Susan zdążyła to w ciągu ostatnich dziesięciu lat zauważyć.

Sprzedając dom i wyprowadzając się stąd, Susan pogrzebała ostatecznie nasze szanse na pogodzenie się. To pewnie dlatego Stanhope'owie nalegali, żeby się do nich wprowadziła.

Nie wspominając już o tym, że wcześniej zastrzeliła szefa mafii, a zawsze lepiej jest po takim zdarzeniu zmienić miejsce zamieszkania.

Susan miała jednak inne wytłumaczenie.

- Władze przejęły Stanhope Hall od... wiesz od kogo. Nie miałem pojęcia, czy nie zostaną otoczona przez osiedle nowych domków, tak jak to się stało w... sąsiedztwie... i dlatego sprzedałam dom.

Nie odpowiedziałem, ale zwróciłem uwagę, że nie chce wymieniać nazwiska Franka Bellarosy ani nazwy Alhambra. Może nie mogła sobie przypomnieć nazwiska kochanka? A może, jak słusznie podejrzewała, nie miałem ochoty usłyszeć jego nazwiska. Ponieważ to nie była jedyna mina, na którą mogliśmy wdepnąć podczas tego spaceru, postanowiłem pokazać jej, że już mnie to nie boli, i odezwałem się:

- Widziałem te domki w Alhambrze. Frank Bellarosa pewnie przewraca się w

grobie. - I szybko dodałem: - Przepraszam.

Susan milczała przez chwilę, a potem wróciła do Ganzów.

- Dbali o posesję, ale w ochronie własnej prywatności posadzili ten żywopłot i zasłonili mi widok. Teraz jednak i ja mam więcej prywatności. Sama już nie wiem, czy mam go ściąć. Jak myślisz?

- Zostaw go jeszcze przez rok, potem zadecydujesz.

- Dobry pomysł. Opalam się na trawniku, a to mogłoby razić nowego właściciela.

- Wiem o tym.

-Poznałeś go?

- Owszem.

- I co ci powiedział? - zapytała.

- Żebyś ubierała się skromnie.

- To wiem. I co jeszcze?

- Załatwiłem z nim, że mogę zostać w stróżówce po śmierci Ethel.

- Naprawdę? Na długo?

- Najwyżej do pierwszego września. Jeśli w ogóle zostanę tak długo. Po tej dacie chce odzyskać swoją własność. Nasim chce kogoś umieścić w stróżówce. Mówił ci o tym?

- Nie. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Chciał ode mnie odkupić domek gościnnie. Wspomniał ci o tym?

- Tak.

Szliśmy dalej po pokrytym słonecznymi plamami trawniku.

- Złożył mi bardzo korzystną ofertę - powiedziała. - Wydawał się niezadowolony, kiedy ją odrzuciłam.

Nie odezwałem się słowem. Nie zachęcałem jej też do przyjęcia oferty. Postanowiłem także nie poruszać w tej chwili tematu bezpieczeństwa Amira Nasima. Powinienem o tym wspomnieć przy okazji moich wątpliwości dotyczących Anthony'ego Bellarosy, ale pozostawiałem to na później.

Susan, podobnie jak my wszyscy, zmieniła się przez ostatnie dziesięć lat, ale znałem ją i byłem pewien, że uzna obawy Nasima za głupie i paranoiczne albo, co gorsza, za realne, choć nie dotyczące jej osoby. Jeśli zaś chodzi o możliwą wendetę Anthony'ego Bellarosy... z jednej strony zdawała sobie sprawę z zagrożenia, a z drugiej - lekceważyła je. Susan wychowała się w szczelnym i mocno

uprzywilejowanym środowisku i mogłem się założyć, że niewiele się pod tym względem zmieniło w Hilton Head. Podejrzywałem u niej syndrom Marii Antoniny - i nie chodziło tutaj o mentalność wyrażającą się słowami „To niech jedzą ciastka”, a raczej o zupełne niezrozumienie, dlaczego ktoś mógłby chcieć uciąć jej głowę. Gdyby przypadkiem, wstępując na szafot, nadepnęła na nogę kata, nie zapomniałaby o dobrych manierach i przeprosiła.

Tak więc może się zmieniała przez te dziesięć lat, ale trudno było mi to dostrzec. Zauważyłem za to, że wydaje się mniej szalona. A może trzymała to dla mnie na deser?

- Dlaczego tu wróciłaś? - zapytałem ją.

- Tęskniłam za domem. A ty nie tęsknisz?

- Dom to nie miejsce - odpowiedziałem po namyśle.

- A co?

- To... ludzie. Rodzina, przyjaciele... wspomnienia...

- I co? Nie brakuje ci tego?

- Początkowo brakowało. Ale... czas leczy rany, a wspomnienia blakną. Dom może być także duszny. Potrzebowałem odmiany.

- Ja też, ale coś mnie tu ciągnęło. Nie chciałam umierać w Hilton Head.

- Nie, to byłoby zbędne.

- Hilton Head to piękne miejsce. Spodobałoby ci się.

- Nie będzie okazji.

Milczała przez chwilę.

- Mam tam w dalszym ciągu swój dom... więc jeśli zechcesz kiedykolwiek z niego skorzystać, to bardzo proszę.

- Cóż, dziękuję.

- Stoi blisko plaży i dwóch pól golfowych. Świetne miejsce do wypoczynku.

No proszę, niedawno w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy, a teraz ona proponuje mi swój dom na plaży. Ona cały czas próbowała, ja nie. Może faktycznie, jak sugerował Nasim, wybrała się w nostalgiczną podróż i dlatego trafiła tutaj, a ja jakimś cudem znalazłem się w jej miłych wspomnieniach z przeszłości. W każdym razie moje życie ulegało ciągłym zmianom, a może tylko trwało w zawieszeniu, jej zaś wracało do nieistniejącej już przeszłości.

Znów zaczęła mówić o swoim domu w Hilton Head.

- Zupełnie go przemeblowałam i przeniosłam wszystkie rzeczy tutaj.

- Zauważyłem. Cieszysz się z powrotu?

- Tak. Wiesz, to się czuje, kiedy robi się właściwe posunięcie.

- Rodzice pewnie bardzo tęsknią za tobą, ale cieszą się, że jesteś szczęśliwa.

Spojrzała na mnie uważnie. Wiedziała, że ilekroć wspominam o jej rodzicach, robię to albo z ironią, albo dwuznacznie, albo po prostu złośliwie.

- Szczerze mówiąc, musiałam od nich trochę odpocząć.

- Nawet wiem dlaczego.

Zignorowała moją uwagę.

- Kiedy umarł Dan... zdałam sobie sprawę, że nic mnie tam nie trzyma. To znaczy, Carolyn jest tutaj, Edward pojawia się w Nowym Jorku częściej niż w Hilton Head, poza tym mam tu wciąż przyjaciół.

I jednego wroga po sąsiedzku. Zdałem sobie sprawę, że nie zdołam namówić Susan do wyjazdu stąd z powodu Anthony'ego Bellarosy. Mogłem jedynie liczyć, że pozwoli mi opowiedzieć jej o całym problemie. Gdybym zaczął pracować dla Anthony'ego, mógłbym powstrzymać go przed wendetą. A właściwie to, czy pracuję dla Bellarosy, czy nie, i to, gdzie mieszka Susan, nie miało znaczenia. Anthony czuł zapach krwi i po tym zapachu gotów był znaleźć ją na końcu świata.

Jeszcze kilka dni temu myśl o tym, żeby chronić Susan, byłaby zupełnie abstrakcyjna, tymczasem dzisiaj stała się całkiem realna.

Koniecznym było powiadomić miejscową policję oraz FBI. Jeżeli stróże prawa zajmą się Anthonym i dadzą mu do zrozumienia, że nie ma nawet co myśleć o zemście na Susan, to powinno wystarczyć.

Z drugiej strony Susan zastrzeliła ojca Anthony'ego i nie poniosła za to kary, więc Anthony z pewnością nie będzie chciał pozostawić tak tej sprawy. Frank czułby się w obowiązku pomścić śmierć najbliższego członka rodziny, ale może Anthony był ulepiony z innej gliny? Miałem nadzieję, że bardziej cenil sobie swoją wolność niż honor rodziny. Niestety nie znałem odpowiedzi na to pytanie. To był w tej chwili mój największy problem.

- O czym myślisz? - zapytała Susan.

- O... o czym to rozmawialiśmy?

- O moich rodzicach. Zwykle wtedy stajesz się ponury.

- Wcale nie. A jak oni się czują?

- Dobrze.

- Pewnie za nimi tęsknisz.

Na chwilę zapadła cisza.

- Szczerze mówiąc, doprowadzają mnie do szaleństwa.

- Mówiłaś, że złagodnieli - przypomniałem jej.

- Owszem, tak... ale za bardzo się mną opiekują.

- Pamiętam.

Rzeczywiście, William i Charlotte byli stukniętymi manipulatorami, na dodatek on był nie tylko kutwą, ale też pozbawioną skrupułów podstępna żmija. Charlotte, druga połowa tego niepełnosprawnego umysłowo duetu, potrafiła z uśmiechem wbić ci nóż w plecy i była dwulicowa. Poza tym byli całkiem sympatyczni.

Wydawało mi się, że Susan próbowała mi przedstawić mamę i tatę jako miłych starszych ludzi, którzy nie sprawialiby nam kłopotów, gdybyśmy przypadkiem wrócili do siebie. Tyle że moja złość na nich minie mi dopiero wtedy, gdy zostaną pochowani.

Idąc za tą myślą, zapytałem:

- A jak się czują? Może jakieś kłopoty zdrowotne?

Zastanowiła się nad moim pytaniem.

- O niczym takim nie wiem. Przyjadą na pogrzeb Ethel.

Tego się obawiałem. Miałem wcześniej nadzieję, że darują sobie pogrzeb starej służącej, ale w tych szanowanych rodach cały czas obowiązywała zasada *noblesse oblige*. William i Charlotte przestrzegali jej, choć bywało to kłopotliwe, nie wspominając o kosztach podróży. Może przyjadą autostopem.

- Zatrzymają się w The Creek? - zapytałem.

- Zrezygnowali z członkostwa w klubie.

- No tak. Składki były za wysokie.

- Po prostu zbyt rzadko tu bywali.

- Rozumiem. Bilety lotnicze bardzo podrożały...

- Tu nie chodzi o pieniądze, John. Mają teraz... mniej powodów, żeby przyjeżdżać do Nowego Jorku.

- Przecież ty tu jesteś. Jest Carolyn, poza tym mają przyjaciół, którzy ich uwielbiają, więc przypuszczam, że będziesz ich widywać częściej, niż myślisz. - Byłem na fali i czułem się z tym dobrze, więc kontynuowałem: - Nie chciałbym, żeby wydali cały swój majątek na hotel, więc mogę im użyczyć pokoju w stróżówce. Będzie mi bardzo miło...

- Przestań, John.

- Przepraszam, ale próbowałem tylko...

- Ty nie potrafisz wybaczać, prawda?

- Tak sądzisz?

- Jeśli nie potrafisz wybaczyć ani zapomnieć, to przynajmniej ciesz się ze swojego zwycięstwa.

- Zwycięstwa? Jakiego zwycięstwa?

- To ty wygrałeś.

- Myślałem, że wszystko straciłem.

- Tak. I to jest właśnie twoje zwycięstwo.

- To jakaś pokrętna filozofia.

- Dobrze wiesz, o czym mówię, więc daruj sobie.

- W porządku.

Wróciła do poprzedniego tematu i obwieściła:

- Rodzice zatrzymają się u mnie.

Tego się obawiałem. Wcale nie chciałem ich widzieć na terenie posiadłości. Moja oferta wynajęcia im pokoju w stróżówce nie była szczerą.

- Edward i Carolyn też - ciągnęła Susan. - Miło będzie, kiedy znów zamieszkają w swoich dawnych pokojach.

Kiwnąłem potakująco głową.

- Bardzo chciałabym zaprosić cię na obiad albo podwieczorek... jak wolisz.

Nie odpowiedziałem.

- Byłoby miło, gdybyś nie starał się unikać moich rodziców... albo mnie. Dzieci byłyby bardzo zadowolone.

- Wiem o tym, Susan.

- A więc?

Byłem wdzięczny Ethel za zorganizowanie nam tego zjazdu rodzinnego. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę dzieci, choć wcale mi nie zależało na spotkaniu z byłymi teściami. Inna sprawa, że czułem się publicznie poniżony - moja piękna żona przyprawiła mi rogi, rozwiodłem się z nią i przez dziesięć lat nie odzywałem. Moja duma mocno ucierpiała. Gotów byłem, przynajmniej teoretycznie, przebywać z nią w jednym pokoju, uśmiechać się i rozmawiać. Ale kiedy znajdę się w domu niewiernej przy stole z dziećmi i eksteściami... „Susan, kochanie, czy możesz mi podać groszek? William, nalać ci jeszcze wina?”. Nie, na to chyba jeszcze nie byłem gotowy.

- John?

- Cóż... nie sądzę, żeby twoi rodzice mieli ochotę siedzieć ze mną przy stole...

- Nie obchodzi mnie, czego chcą. Jeśli im się nie podoba, mogą zjeść obiad w restauracji. Ja pytam, czy TY zechcesz zjeść obiad w domu ze mną, Edwardem i Carolyn.

- Tak.

- Świetnie. Będą szczęśliwi, kiedy im o tym powiem.

- Mogę przyjść z osobą towarzyszącą?

Spojrzała na mnie, zauważyła, że żartuję, i zmusiła się do uśmiechu.

Potem szturchnęła mnie łokciem i powiedziała:

- To nie było śmieszne.

Kontynuowaliśmy nasz obchód dziesięcioakrowej posiadłości. Susan co chwila wskazywała coś, co zrobili Ganzowie albo co ona sama ostatnio nowego zrobiła. Podkreślała przy tym, jak niewiele posiadłość zmieniła się przez te lata.

- Drzewa urosły i wszystkie przetrwały oprócz tego czerwolistnego buka. Zastąpiłabym go innym drzewem, ale to by kosztowało około trzydziestu tysięcy dolarów.

Chciałem zasugerować, że w ramach ocieplenia stosunków mogliby za to zapłacić jej rodzice i że jestem gotów wspomnieć im o tym przy uroczystym obiedzie. Charlotte zadławiłaby się śmiertelnie oliwki z martini, a William padłby trupem na atak serca. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

W rzeczywistości obiad byłby okazją do poprawienia moich stosunków z Williamem. Powinienem go przeprosić za to, że nazwałem go zdeprawowanym draniem, cynicznym sukinsynem, monumentalnym kutasem i obleśnym bucem. Wtedy chyba rozmawialiśmy po raz ostatni. Nadszedł więc czas, by piękną poprawną angielszczyzną przeprosić go za moje bluźnierstwa.

- W tym miejscu dzieci rozbijały latem namiot - przypomniała mi Susan. - Możesz uwierzyć, że pozwalaliśmy im spać w namiocie bez opieki?

- Zwykle byli z nimi koledzy. Zresztą tu jest całkiem bezpiecznie. - A właściwie było.

- Mój dom w Hilton Head znajduje się na ogrodzonym i strzeżonym terenie.

- Naprawdę?

- No pewnie, że tak.

- Trudno uwierzyć, że Carolyn i Edward wolą żyć w małych mieszkankach przy ruchliwych ulicach.

- Są młodzi i przedsiębiorczy.



- I nie są strachliwi. Cieszę się, że nie byliśmy wobec nich nadopiekuńczy i ich nie popsuliśmy.

- Cóż, pomiędzy opiekuńczością i nadopiekuńczością jest bardzo subtelna granica. - Żeby nie wspomnieć o braku rodzicielskiego zainteresowania, które w dzieciństwie dotknęło mnie.

Podsumowując naszą rozmowę, Susan przypomniała mi, że udało nam się coś zrobić dobrze. Byliśmy dobrymi rodzicami, i z tego nie dość, że powinniśmy być dumni, to jeszcze powinno nas to ze sobą wiązać. Co prawda koniec nie wyszedł nam najlepiej, ale w chwili gdy się rozstawaliśmy, nasze dzieci były już samodzielne.

- Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to - powiedziała Susan.

Wyglądało na to, że żałuje tego, co zrobiła, a może raczej podobnie jak większość nas, mnie nie wyłączając, tego, że dała się przyłapać. Sam romans musiał być inspirujący emocjonalnie i satysfakcjonujący seksualnie, nie wspominając już o cudownym przełamaniu tabu. Innymi słowy, nie pieprzyła się z jakimś tenisistą z klubu, tylko z szefem mafii. Dlatego podejrzewałem, że nie żałuje samego romansu, tylko jego konsekwencji. To pewnie zależało od tego, jak bardzo chciałyby cofnąć czas.

Żeby być szczerym, w czasie gdy byliśmy z Susan w separacji i sypialiśmy w oddzielnych sypialniach, zaangażowałem się na krótko w związek ze znaną w owym czasie reporterką telewizyjną Jenny Alvarez. Poznałem ją kiedy pracowała nad reportażem na temat oskarżenia Franka Bellarosy o morderstwo, wówczas występowałem jako jego adwokat. Ja nigdy nie żałowałem swojej znajomości z Jenny Alvarez, może dlatego, że nie miała ona przykrych konsekwencji, a poza tym czułem się usprawiedliwiony tym, że Susan pieprzyła się z moim najbardziej znanym klientem. Usprawiedliwiony czy nie, igrałem z ogniem. Od dawna czułem, że powinienem powiedzieć Susan o tej przelotnej przygodzie, jak ją nazywałem, by pokazać jej, czym się ona różniła od jej romansu, ale nie byłem pewien, jakie właściwie kierują mną motywy - czy przypadkiem nie chciałem tylko oczyścić swojej duszy, A może chciałem się pochwalić, zranić ją, sprawić, by stała się zazdrosna? Z powodu wszystkich tych wątpliwości do tej pory milczałem.

Ale teraz może nadszedł wreszcie czas, żeby powiedzieć Susan, że nie ona jedna dopuściła się cudzołóstwa.

- Susan...

- Tak?

- Pamiętasz tę reporterkę telewizyjną, Jenny Alvarez?

- Nie... Nie kojarzę.

Opisałem jej panią Alvarez, ale Susan nie mogła sobie jej przypomnieć.

- A dlaczego pytasz?

- Jestem ciekawy, czy nadal występuje w telewizji.

- Rzadko oglądam wiadomości.

- Nasim mówił mi, że ty i jego żona... Soheila, tak?

- Tak.

- ...że się zaprzyjaźniłyście.

- No... tak... - Susan była wyraźnie zaskoczona - ale dlaczego zapytałeś mnie o tę reporterkę?

Opamiętałem się i odpowiedziałem:

- Podobały mi się jej reportaże, a teraz nie widziałem jej w żadnej stacji.

Susan wzruszyła ramionami.

- Odkąd wyjechałeś, pojawiło się bardzo dużo nowych stacji kablowych.

- To Edward jest pewnie zadowolony, że pracuje dla dużego studia filmowego.

Susan była rada, że wróciliśmy do tematu dzieci.

- Lubi to, co robi. Jestem tylko zaskoczona, że podoba mu się Los Angeles.

- Ja też. Jaki błąd wychowawczy popełniliśmy?

Uśmiechnęła się.

- Na pewno tęskni za Złotym Wybrzeżem.

- Być może.

- Jak sądzisz, John, czy on tam zostanie na stałe?

- To niewykluczone. Musisz się z tym pogodzić.

Pokiwiała głową.

- W końcu to tylko sześć godzin lotu.

- No właśnie.

- Dorastałam w otoczeniu rodziny... myślałam, że to norma.

- Już nie.

- Przynajmniej Carolyn mamy blisko. Chociaż dawno jej nie widziałam. Jest bardzo zapracowana.

- Stanowisko asystenta prokuratora okręgowego to bardzo stresująca i wymagająca poświęceń praca.

- Wiem. Mówi mi o tym. - Susan spojrzała na mnie. - Nie jesteś dumny, że poszła w twoje ślady?

Właściwie Carolyn nie poszła w moje ślady; ja byłem adwokatem na Wall Street i zarabiałem mnóstwo pieniędzy. Carolyn harowała za grosze, podobnie jak wiele innych dzieci z funduszem powierniczym, i ściagała przestępców, co mnie nieco zaskoczyło, ponieważ kiedyś miała bardzo idealistyczne wizje praw przysługujących podsądnym. Może trzy lata pracy w systemie wymiaru sprawiedliwości otworzyły jej wreszcie oczy. Kto wie, w przyszłości może prowadzić sprawę Rząd przeciw Anthony'emu Bellarosie.

- Jestem dumny.

- Jak sądzisz, jest szansa, żeby zaczęła pracować w twojej dawnej kancelarii?

Na pewno nie było szansy, żebym ja zaczął tam pracować, i nie wydawało mi się, aby obecni partnerzy kancelarii Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds wyrazili zgodę, żeby najmłodsza Sutter zastąpiła zmarłego Suttera albo Suttera skompromitowanego. Zostawili nasze nazwisko w nazwie tylko dlatego, by nie narażać się na koszty związane z jej zmianą, a poza tym mój ojciec był legendą na Wall Street. A jeśli chodzi o mnie... popadłem w niełaskę z powodu kobiety, która teraz pytała, czy mogę jej córce załatwić pracę. Cóż za ironia. I coś za głupota. Kariera Carolyn nie będzie związana ze starą kancelarią z Wall Street. Raczej przyłączy się do jakiejś grupy obrońców praw człowieka lub innej organizacji uszczęśliwiającej na siłę ludzi. I dobrze. Ktoś w tej rodzinie powinien się kierować sercem. Na dodatek to na pewno wkurzy Williama.

- Dowiem się.

- Dziękuję. - Ponieważ rozmowa dotyczyła zatrudnienia i prawa, Susan zapytała: - Jak sobie radzisz w Londynie?

- Świetnie.

- Możesz nie chodzić do pracy aż do września?

- Wziąłem urlop naukowy.

- Więc wrócisz tam?

Moje plany na przyszłość interesowały innych ludzi dużo bardziej niż mnie. Może nadszedł czas, żeby ubrać w słowa przemyślenia i wypowiedzieć je szczerze i jednoznacznie.

- Kiedy wyjeżdżałem z Londynu, myślałem, że tam wrócę. Ale teraz, kiedy tu przyjechałem, postanowiłem zostać w Stanach. Nie mam jeszcze żadnych konkretnych planów. Za to dostałem ofertę pracy.

Susan przez chwilę milczała.

- Miło mi to słyszeć. Jaka ofertę?

Zamiast powiedzieć „mecenasa dona Bellarosy”, wykpiłem się:

- Mówienie o tym przed sfinalizowaniem sprawy mogłoby przynieść pecha.

Spojrzała na mnie, zastanawiając się zapewne, od kiedy to ja jestem taki przesądny.

- Powiesz mi, jak się dogadasz.

- Oczywiście.

- Ale latem powinieś wypocząć - poradziła mi.

Susan, podobnie jak większości ludzi posiadających stare fortuny, nie przychodziło do głowy, że mogą nie wytrzymać finansowo pracowania przez trzy miesiące nad własną opalenizną.

A jeśli już mowa o rodzinie Stanhope'ów, pieniądzech i etyce pracy, to Edward i Carolyn otrzymywali co roku środki z funduszu powierniczego i właściwie nie musieli pracować. Mimo to pracowali, aby nadać swojemu życiu sens i robić coś interesującego i pożytecznego dla społeczeństwa.

Tymczasem brat Susan, Peter, był zupełnie bezużytecznym facetem, wydającym pieniądze ze swojego funduszu i spędzającym życie na doskonaleniu własnej gnuśności. Interesował go tylko tenis, golf i surfing, więc przynajmniej jego ciało było w dobrej formie, w przeciwieństwie do zanikającego mózgu. Peter nie dawał dobrego przykładu swoim siostrzeńcom, ale na szczęście Edward i Carolyn zdawali sobie z tego sprawę.

No i był jeszcze William, który dożył wieku emerytalnego, nie przepracowawszy ani jednego dnia w życiu, jeśli nie liczyć zarządzania rodzinnym majątkiem. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że przez dwa lata służył w Straży Przybrzeżnej, no ale to był obywatelski obowiązek wprowadzony w czasie tej przeklętej wojny.

Nie można też nie wspomnieć o Charlotte, która przed poślubieniem Williama była młodą głupiutką damą, a po ślubie stała się prawdziwą bywalczynią salonów. W swoim życiorysie w rubryce zatrudnienie mogła wpisać co najwyżej „nudne zajęcia domowe”.

Jeśli chodzi o Susan, początkowo poszła w ślady swojego brata, ale później opętała ją myśl o podjęciu pracy. Kiedy ją poznałem, była osobistą sekretarką bajecznie bogatej spadkobierczyni firmy wydawniczej na Manhattanie. Taka praca była do przyjęcia dla młodej przedstawicielki wyższej klasy społecznej i przypominała

bardziej stanowisko damy dworu.

Poznaliśmy się przypadkiem na weselu urządzanym na świeżym powietrzu w Seawanhaka Corinthian Yacht Club. Stanhope'owie początkowo mnie zaakceptowali z powodu mojego pochodzenia, chociaż mieli wątpliwości dotyczące mojego majątku. Na szczęście w tym świecie najważniejsze było to, kim byli rodzice, do jakiej chodziło się szkoły i jaki się miało akcent. Pieniądze to dobra rzecz, ale pieniądze bez odpowiedniego pochodzenia to widok zbyt częsty w Ameryce, więc jeśli było się w sytuacji Williama i Charlotte, którzy chcieli wydać córkę za męża, należało machnąć ręką na pieniądze, wziąć pod uwagę pochodzenie kawalera i dać młodym swoje błogosławieństwo. Prędko jednak odkryli, że mnie nie lubią. I z wzajemnością, ale już było za późno. Susan i ja zakochaliśmy się w sobie do szaleństwa.

Obiektywnie rzecz biorąc, to było bardzo dobre małżeństwo, w tym udany seks, więc jeśli ktoś zapytałby mnie, co złego się stało, nie potrafiłbym odpowiedzieć nic innego, jak tylko: „Pieprzyła się z szefem mafii”. Oczywiście była też trochę stuknięta, a ja, przyznaję, pozwalałem sobie na sarkazm, ale ogólnie byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Wydaje mi się, że Frank Bellarosa był taką złowrogą siłą, która wdarła się do raju i na której przyjście nikt nie był przygotowany. Żeby pozostać przy retoryce biblijnej, Ewa zabiła węża, ale Adam nadal się na nią wściekał i zażądał rozwodu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu i mogę się założyć, że ona też rozmyślała o przeszłości. Wiele bym dał, żeby móc czytać w jej myślach, sprawdzić, czy jej i moje wspomnienia są podobne. Pewnie nie; ja wciąż rozpamiętywałem to, co złe, ona pewnie miała weselsze myśli.

- Chcesz wracać do domu? - zapytałem.

- Nie. To miła przechadzka. Jak za dawnych czasów, John. Rzeczywiście, gdybyśmy mogli wymazać z pamięci tamte pół roku, które przekreśliło wszystkie poprzednie lata i zaważyło na kolejnych dziesięciu, byłoby dzisiaj jeszcze lepiej niż dawniej - po prostu kolejna letnia niedziela spędzana razem.

Szliśmy więc obok siebie jak za dawnych czasów, tyle że nie trzymaliśmy się już za ręce.

## ROZDZIAŁ 24

Obeszliśmy już prawie cały dziesięcioakrowy teren, prócz porośniętego drzewami skrawka wokół stajni. Zastanawiałem się, dlaczego unika tej okolicy. Pewnie dlatego, że stajnia przywołałaby wspomnienia o naszym sąsiedzie Bellarosie, który nalegał, by to jego firma budowlana przeniosła starą stajnię Stanhope'ów z przeznaczonej do sprzedaży ziemi należącej do Williama na terytorium należące do Susan. Rozebranie cegła po cegle stuletniej konstrukcji i postawienie jej na nowo było naprawdę herkulesową pracą. Do tego dochodziła sprzeczność interesów - stajnia miała stanąć blisko rezydencji Alhambra i Frank Bellarosa musiał na to wyrazić pisemną zgodę, co zrobił dla nas - a może dla Susan - z dużym zapalem. A potem Dominie, facet od Bellarosy, przedstawił nam kosztorys, z którego wynikało jedno - pan Bellarosa znacznie zaniżył koszty.

Czy podejrzewałem, że Frank jest napalony na Susan? Owszem, tak. Czy byłem z tego powodu rozżalony? Nie. Czy uważałem, że to jest zabawne? Tak. Czy podejrzewałem, że Susan Stanhope może wskoczyć do łóżka szefowi mafii? Nie, nie i jeszcze raz nie. Czy powinienem zwracać baczniejszą uwagę na to, co się dzieje wokół mnie? Oczywiście. Czy jestem głupcem? Nie, bo byłem zajęty swoimi problemami z urzędem podatkowym i w ogóle jestem zbyt ufny. Żeby nie powiedzieć zbyt egotyczny, by coś takiego zauważyć.

Nie podejrzewałem nawet, że za oskarżeniem o przestępstwo podatkowe, które mogło mnie zrujnować, stał mój kumpel Frank Bellarosa. Potem wystarczyło, że pociągnął za odpowiednie sznurki i znów byłem czysty, tyle że miałem wobec niego dług. Nie dość, że prawnik, doradca podatkowy, ma sam kłopoty z podatkami, to na dodatek rozwiązałem swoje problemy dzięki pomocy mafiosa. To nie było przemyślane posunięcie. Jednak skuteczne.

Cóż, dostałem nauczkę. Dowiedziałem się więcej o życiu, o sobie, o uwodzeniu i przetrwaniu. Nie wspominając o powtórnej lekcji na temat władzy i sekretów zachowań seksualnych. Kto by pomyślał, że don Bellarosa, głowa rodziny mafijnej, i Susan Stanhope, wywodząca się ze znacznie bardziej znaczącej rodziny, znajdą wspólny temat do rozmów? A właściwie to nie było tak. Scenariusz był inny: ty Jane, ja Tarzan.

Dostrzegłem w oddali stajnie.

- Nadal jeździsz konno? - zapytałem.

Spojrzała w kierunku, w którym patrzyłem.

- Tak, ale nie mam własnego konia. Jeżdżę czasami w stadninie w Old Brookville.

Pokiwałem głową wspominając noc, kiedy zastrzeliła Franka Bellarosę. Osiodłała wtedy arabskiego ogiera Zanzibara i powiedziała mi, że wybiera się na nocną przejażdżkę. Ostrzegłem ją że to niebezpieczne, ale ona odparła, że jest pełnia księżyca, jasna noc, i pojechała.

Jakieś dwie godziny później zadzwonił do drzwi pan Felix Mancuso z FBI i poprosił mnie grzecznie, żebym udał się z nim do Alhambry. W głębi duszy wiedziałem, że Susan zamordowała swojego kochanka.

Od chwili gdy Frank Bellarosa został świadkiem koronnym, kumple agenta Mancuso pilnowali go w domu, strzegąc przed dawnymi kolegami i innymi makaroniarzami. Niestety na liście osób, które nie powinny mieć dostępu do dona Bellarosy, zabrakło Susan Sutter. W rzeczywistości Susan była na wysokiej pozycji na krótkiej liście osób, które miały do Franka nieograniczony dostęp, po pouczeniu, że: „Frank powinien mieć jak najwięcej seksu, bo szczęśliwy Frank będzie śpiewał jak z nut”. Ktoś jednak powinien był pamiętać, że: A) kobieta jest bardziej niebezpiecznym gatunkiem niż mężczyzna i B) nie zna piekła straszliwszej furii nad wściekłość zawiedzionej kobiety.

Faceci czasem o tym zapominają nawet ci z FBI, a zresztą o punkcie B pewnie w ogóle nie wiedzieli, póki nie usłyszeli strzałów.

Krocząca obok mnie Susan z pewnością myślała teraz o koniach, a nie o Franku Bellarosie czy morderstwie, gdyż usłyszałem:

- Coraz mniej jest miejsc, gdzie można pojeździć konno. Prawo swobodnego przejazdu przez posiadłości jest nagminnie łamane, a poza tym wiele posiadłości zamieniono w osiedla domków.

Na przykład Alhambrę.

- To fatalnie - rzekłem z wymuszoną szczerością.

Przypomniałem sobie, że po zastrzeleniu kochanka Susan martwiła się głównie o to, że zostawiła Zanzibara uwięzowanego przy domu Franka. Musiałem jej wtedy obiecać, że wrócę na jego grzbiecie do domu. Co też uczyniłem. Niespecjalnie lubiłem to jej narowiste bydlę, ale rozsiadłem go i napoiłem, choć zapomniałem o wyszczotkowaniu. Gdyby Susan się o tym dowiedziała, pewnie by mnie zabiła.

- Ganzowie zamienili powozownię w garaż, a w stajni trzymali narzędzia

ogrodnicze.

- Dobry pomysł.

- Naprawdę brakuje mi Zanzibara. Brakuje mi własnego konia. A ty nie tęsknisz za Yankee?

Yankee był moim koniem i nienawidziłem go tylko odrobinę mniej niż Zanzibara.

- Często o nim myślę - odpowiedziałem nieszczerze.

Spojrzała na mnie przeciągle.

- Znalazłam dla nich dobry dom.

Ucieszyłem się, że po jej wyjeździe przynajmniej konie znalazły dobry dom.

Poranek był cudowny, przynajmniej jeśli chodzi o pogodę, a ja zdążyłem zapomnieć, jak duży jest teren posiadłości. Na trzystu akrach pierwotnego majątku Stanhope'ów rosły przeróżne egzotyczne drzewa z całego świata; wiele z nich miało ponad sto lat. Posesja przez ostatnie kilkadziesiąt lat mocno podupadła, ale Susan - a potem Ganzowie - dbała o swój dziesięcioakrowy skrawek. Zauważyłem też, że Nasim zajął się swoją częścią ziemi.

Powróciwszy tu po tylu latach, byłem zaskoczony, że na Złotym Wybrzeżu, niecałe trzydzieści mil od Manhattanu, wciąż pozostało tyle wielkich posiadłości ziemskich, otoczonych ze wszystkich stron przez zamieszkane przez ponad milion ludzi podmiejskie osiedla. Istniała co prawda presja, by na tej ziemi stawiać osiedla domków dla świeżo upieczonych milionerów, ale nowe pokolenie multimilionerów, włączając w to cudzoziemców jak Amir Nasim czy ludzi o fortunach wątpliwego pochodzenia jak Frank Bellarosa, wolało kupować całe stare posiadłości i tchnąć w nie nowego ducha.

Nim jednak ten proces się rozpoczął, w okolicy była setka nieruchomości z rezydencjami opuszczonymi z powodu podatków, złej passy w interesach czy wysokich kosztów utrzymania. Kiedy byłem młody, te ruiny rzucały się w oczy i sprawiały wrażenie, jakby, mówiąc słowami Anthony'ego Bellarosy, przez terytorium imperium przeszła armia Wandalów. Jako chłopiec bawiłem się w tych opuszczonych ruinach w chowanego. Kiedy trochę dorosłem, zacząłem inną zabawę, nazywaną „miłość pośród ruin” - świece, butelka wina, radio tranzystorowe, śpiwór i wyzwolona młoda dama łykająca tabletki antykoncepcyjne.

To wszystko przypomniało mi, że jednym z wielu talentów Susan był talent malarski. Świetnie jej wychodziło malowanie tych opuszczonych rezydencji. Znana



była w tutejszym światku z romantycznych wizji zarośniętych ruin, malowanych w duchu, jeśli nie w stylu, Piranesiego. Różnorodność architektoniczna rezydencji na Złotym Wybrzeżu i różny stopień ich zniszczenia, od możliwych do ocalenia po kompletne ruiny, stworzyły jej nawet większe możliwości niż Piranasiemu, który malował tylko rzymskie ruiny. Susan malowała farbami olejnymi i akrylowymi. Jeżeli to wszystko brzmi tak, jakbym się znał na rzeczy, to nieprawda. Wszystkie informacje uzyskałem od artystki.

- Nadal malujesz? - zapytałem z czystej ciekawości. Uśmiechnęła się i zaraz posmutniała.

- Już nie. Choć mogłabym.

- Dlaczego przestałaś?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Próbowałam w Hilton Head... Namalowałam kilka marin i całe mnóstwo palm... ale chyba straciłam wenę.

- Nie wierzę.

- No cóż, może brakuje mi tematów. Tak to bywa, kiedy artysta przenosi się z miejsca, które go inspirowało, w jakieś inne.

Pomyślałem, że zmienił się także jej stan psychiczny. Jeśli dobry artysta jest szalony - a ona była dobrą artystką i to na dodatek szaloną - to powrót do zdrowia psychicznego może zniszczyć tę iskrę szalonego geniuszu. To dobrze i źle zarazem. Ale raczej dobrze. Można żyć ze złym malarstwem, trudniej z szaloną żoną.

Tak czy owak, ciekawiło mnie, czy ta nowa, spokojna osobowość Susan była wynikiem skutecznej terapii zalecanej przez medyków.

- A teraz, kiedy znowu tu jestem... zobaczę, czy mam natchnienie - powiedziała Susan.

- Jasne. - Tylko nie odstawiaj leków.

Jak na ironię, jeden z najlepszych jej obrazów i chyba ostatni, przedstawiał Alhambrę. Pani Sutter podczas naszej pierwszej wizyty w Alhambrze wielkodusznie obiecała namalować obraz przedstawiający tamtejszą palmiarnię i podarować go w prezencie nowym sąsiadom. Susan miała zdjęcia tej wspaniałej palmiarni z dwukondygnacyjnym tarasem z czasów przed wprowadzeniem się Bellarosów i zamierzała namalować ją jako ruinę. Pani Bellarosa była zdziwiona, że ktoś może chcieć malować takie „wraki”, ale pan Bellarosa przypomniał sobie, że widział podobne obrazy w Rzymie, i uznał to za znakomity pomysł.

Ja również byłem zaskoczony propozycją Susan, która rzadko rozdawała swoje prace, co najwyżej wystawiała je na aukcjach charytatywnych. Susan powiedziała poza tym Bellarosom, że choć będzie malować głównie na podstawie fotografii i z pamięci, to dla zachowania odpowiedniej perspektywy musi rozstawić swoje sztalugi w palmiarni. Frank zapewnił ją, że drzwi jego domu są dla niej zawsze otwarte.

Kiedy teraz myślę o tamtym popołudniu, a zastanawiałem się nad tym już nieraz, widzę, że wtedy chodziło o coś więcej niż tylko o prezent dla sąsiadów czy kawę.

Trudno w to uwierzyć, ale Susan Stanhope Sutter i Frank Biskup Bellarosa dopasowali się jak wtyczka z gniazdkiem i już wtedy powinienem dostrzec światło bijące z ich oczu. Niestety, nie dostrzegłem, Anna też nie, i oboje pozostaliśmy w mroku.

W każdym razie przeniesienie stajni Susan i malowanie obrazu sprawiło, że pani Sutter i pan Bellarosa utrzymywali ze sobą stały kontakt.

Tymczasem ja spędzałem sporo czasu w mieście, a Anna jeździła swoim czarnym cadillakiem tam i z powrotem do Brooklynu, gdzie odwiedzała rodzinę i zaopatrywała się w cannoli i oliwę z oliwek.

Do tej pory nie wiem, kto wykonał pierwszy ruch ani gdzie i jak to się stało, ale jestem pewien, że pan Włoski Ogier uważał, że to on jest napastnikiem.

- Większość tych opuszczonych rezydencji została odrestaurowana albo zniknęła z powierzchni ziemi - dokończyła swoją myśl Susan - ale mam stare fotografie, z których mogłabym malować.

A może powinnaś namalować swoich rodziców i nazwać obraz „Amerykańską groteską”.

No dobrze, nie powiedziałem tego - tylko pomyślałem.

- Namaluj stróżówkę, nim Nasim obłoży ją aluminiowym sidingiem.

Może popełniłem freudowską pomyłkę, proponując jej rozstawienie sztalug przed moim domem. To niesamowite, do czego jest zdolna podświadomość.

- Dobry pomysł... i jeszcze ta żeliwna brama - podchwyciła Susan.

Temat artystycznych okresów Susan, dawnych i dzisiejszych, mieliśmy już za sobą. Szliśmy dalej w milczeniu.

- Co mówi się w Londynie o jedenastym września? - zapytała mnie nieoczekiwanie.

Przypomniałem sobie, co odpowiedziałem Elizabeth.

- Uważają, że oni będą następni.

Zastanawiała się chwilę.

- Świat stał się okropny - zauważyła.

- Świat jest fajny, a większość ludzi jest dobra. Zrozumiałem to podczas rejsu.

- Naprawdę? To dobrze. Ale to, co się tutaj stało... zmieniło życie tylu ludzi...

- Wiem.

- Kilku naszych znajomych zginęło.

- Tak, wiem.

- Dla ich rodzin nigdy już nie będzie tak samo jak niegdyś.

- Nie, nie będzie.

- To, co się wydarzyło... sprawiło, że wielu ludzi przemyślało na nowo swoje życie.

- To zrozumiałe.

- Zaczęłam doceniać pewne rzeczy... tamtego dnia byłam przerażona. Carolyn była w mieście, a ja nie mogłam się do niej dodzwonić.

- Wiem. Ja też.

Odwróciła się w moją stronę.

- Myślałam wtedy, że do mnie zadzwonisz.

- O mało tego nie zrobiłem. Rozmawiałem z Edwardem, powiedział, że dodzwonił się do Carolyn na komórkę, że jest cała i zdrowa i że tobie też to przekazał.

- Tak, dzwonił... ale myślałam, że usłyszę to od ciebie.

- A ja myślałem, że ty do mnie zadzwonisz.

- Zaczęłam dzwonić, ale zdałam sobie sprawę, że w Londynie jest trzecia w nocy, więc odłożyłam słuchawkę. A następnego dnia byłam tak wycieńczona... za dużo płakałam... więc wysłałam ci e-mail... ale się nie odezwałeś.

- Przepraszam.

- W porządku... ale po tym horrorze... myślę, że ni z tego, ni z owego może się zdarzyć coś strasznego... bez żadnego powodu. Tylko dlatego, że znajdziemy się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Widzę teraz wiele rzeczy z zupełnie innej perspektywy, to zadziało jak dzwonek alarmowy. To właśnie wtedy zaczęłam zastanawiać się nad powrotem tutaj, do ludzi, pośród których dorastałam, i... wtedy też zaczęłam myśleć o tobie.

Chwilę milczałem, aż w końcu zdobyłem się na szczerość.

- Miałem podobne myśli. - Jak długo można chować urazę? Cóż, ja chowam

długo. Ale podobnie jak Susan, wydarzenia z jedenastego września sprowadziły mnie tutaj.

- Jak długo mamy się złościć na ludzi, których kiedyś kochaliśmy... w obliczu takiej prawdziwej tragedii? - ciągnęła Susan.

Pytanie tylko z pozoru było retoryczne. Postanowiłem na nie odpowiedzieć.

- Nie ma już złości. Nawet poczucie bycia zdradzonym zniknęło. To, co pozostało, to... zranione ego i... zakłopotanie, że przytrafiło się to właśnie mnie. I że wszyscy o tym wiedzą.

- Nie udało ci się tego przezwyciężyć?

- Nie.

- A uda się kiedykolwiek?

- Nie.

- Czy mogę coś zrobić?

- Nie.

Wzięła głęboki wdech.

- On nie żyje, John. Zabiłam go. Dla nas. Nadszedł czas, by się z tym wszystkim zmierzyć.

- To ty tak twierdzisz.

Zatrzymała się, ja też przystanąłem. Spojrzeliśmy na siebie.

- Gotowa byłam pójść na resztę życia do więzienia, żebyś mógł odzyskać dumę i honor - powiedziała. - To była moja pokuta i publiczne upokorzenie. Miałam nadzieję, że dzięki temu przyjmiesz mnie z powrotem.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Susan... zamordowanie człowieka to nie... - zacząłem.

- On był samym złem.

Rzeczywiście, był. Ale wątpię, czy zdawała sobie z tego sprawę, dopóki nią nie wzgardził. Wcześniej była gotowa pojechać za nim do Włoch, dokąd władze wysyłały go w ramach programu ochrony świadków.

- Musisz mi powiedzieć, dlaczego go zabiłaś.

- Już ci mówiłam.

Znów zobaczyłem tamtą dawną Susan, jasnozielone, szalone oczy, nadąsana mina, zaciśnięte wargi, wysunięty do przodu podbródek. Zdawała się mówić: „Jak śmiesz mi zaprzeczać”.

- Teraz, po dziesięciu latach, tak ci się wydaje. Ale to nie dlatego go zabiłaś. Nie

dla mnie i nie dla nas.

Spojrzała mi w oczy, nie odwróciłem wzroku. Już raz to przerabialiśmy, w palmiarni w Alhambrze, gdzie na podłodze leżał trup Franka Beliarosy, a w pewnej odległości od nas stał tuzin agentów FBI, pozwalając pani Sutter swobodnie porozmawiać z mężem i zarazem jej adwokatem. Kiedy wówczas zapytałem ją, dlaczego go zabiła, dała mi taką samą odpowiedź. Mogłem tamte słowa przyjąć za dobrą monetę, co dałoby nam szansę na odbudowanie naszego związku.

Tyle że to nie była właściwa odpowiedź, a nie można niczego zbudować na kłamstwie.

Właściwa odpowiedź na temat jej motywów była zupełnie inna. I chyba powinienem wziąć część winy na siebie. Albo patrząc z innego punktu widzenia, przypisać sobie pewne zasługi.

Patrzyliśmy sobie w oczy, a ja cofnąłem się myślami do mojej wizyty u Franka Beliarosy w Alhambrze. Leżał w łóżku chory na gripę i dochodził do siebie po strzałach, jakie oddano w jego kierunku w restauracji Giulia.

To nie była moja pierwsza wizyta, ale okazała się ostatnią. Kilka dni później już nie żył. Nieco wcześniej przypomniał mi, że za uratowanie, mu życia u Giulia jest mi winien przysługę i mogę zażądać od niego, czego tylko zechcę.

Zastanawiałem się długo nad tym, co może dla mnie zrobić, i wreszcie powiedziałem mu:

- Dobrze, Frank, chcę, żebyś powiedział mojej żonie, że między wami wszystko skończone, że nie zabierzesz jej do Włoch, na co ona ma cały czas nadzieję. Masz jej też powiedzieć, że wykorzystałeś ją, żeby dotrzeć do mnie.

Frank zastanowił się i powiedział:

- Załatwione. - Ale dodał: - Powiem jej, że ją wykorzystałem, ale to nieprawda. Powinieneś o tym wiedzieć.

Dobrze o tym wiedziałem. Wiedziałem, choć trudno mi było w to uwierzyć, że byli w sobie zakochani i Susan była gotowa rzucić mnie dla niego. Miłość od pierwszego wejrzenia. Jedyna kobieta, którą kochałem i która tak naprawdę nadal mnie kochała, Susan Stanhope Sutter, była do szaleństwa zakochana we Franku Bellariosie, a Frank w niej. To dlatego sprzedał się federalnym - po to, żeby mogli razem wyjechać do Włoch albo dokądkolwiek indziej i rozpocząć nowe życie we dwoje. Przetrwałoby to może rok lub dwa, ale ludzie ogarnięci obsesją nie wybiegają tak daleko myślami w przyszłość.

W każdym razie Frank musiał dotrzymać słowa i powiedział jej to, o co go poprosiłem, przez telefon albo osobiście, sam nie wiem. Nie zna piekło straszliwszej furii i tak dalej. Jak na ironię, kilka tygodni wcześniej dał jej broń, z której go zastrzeliła. Cała reszta to już historia i tragedia, a może nawet po trosze komedia, jeśli ktoś spojrzy na to z boku.

Podstawowe pytanie brzmiało następująco: dlaczego poprosiłem Franka, żeby powiedział jej, że wszystko skończone, że nie zabierze jej ze sobą do Włoch i że wykorzystał ją, bo chciał, bym został jego adwokatem? Pragnąłem, oczywiście, odzyskać Susan albo się na niej odegrać. Nie miałem pojęcia, że tak się wkurzy i zastrzeli Franka. A może miałem?

Zawsze myślałem, że Frank Bellarosa, wielki miłośnik Niccolo Machiavellego, doceni mój... makiaweliczny sposób rozwiązania problemu. Ciekaw byłem, czy Frank w ostatnich sekundach swojego życia zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, mówiąc Susan o rozstaniu. Jeżeli zdążył przed śmiercią coś pomyśleć albo powiedzieć, miałem nadzieję, że jego ostatnie słowa brzmiały: „John, ty sukinsynu!”.

Wróciłem do terażniejszości i spojrzałem Susan w oczy. Wytrzymała moje spojrzenie przez chwilę, potem spuściła wzrok.

- Spotkałam się z nim wcześniej tamtego dnia; powiedział mi, że między nami koniec, że mnie nigdy nie kochał, a miał ochotę przelecieć... sukę z wyższych sfer. Poza tym chciał namówić cię do pracy dla niego. - Wzięła głęboki wdech i kontynuowała: - Kazał mi się wynosić i nie pokazywać więcej na oczy. Ale ja wróciłam... i kochaliśmy się... myślałam, że wszystko się ułożyło... ale potem znów kazał mi się wynosić. Powiedziałam, że nie zrobię tego. Wtedy on zagroził, że wezwie agentów FBI, którzy mnie wyrzucą. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam... wściekłam się.

Milczałem i nie spuszczałem z niej wzroku. Wydawała się zupełnie spokojna, ale to był spokój zwiastujący rychłe załamanie emocjonalne albo wybuch. Nigdy nie wiedziałem, jak to się u niej skończy. Najwidoczniej Frank też nie wiedział, w przeciwnym razie miałby się na baczności. Powinien był przynajmniej pamiętać o broni.

- Powiedziałam, że go kocham - dokończyła cicho - i że poświęciłam dla niego całe swoje życie. A on odparł: „Wracaj do Johna. On cię kocha, a ja nie”. Powiedział, że będę szczęśliwa, jeśli zechcesz mnie przyjąć z powrotem, i że powinnam za to dziękować Bogu. Nazwał mnie... brzydko... i kazał się wynosić...

Stałem niezdolny wydusić z siebie słowo. Zastanawiałem się, jak bardzo Frank Bellarosa ją kochał i z jakim trudem przysły mu te wszystkie słowa. Zdałem sobie też sprawę, że powiedział więcej, niż prosiłem. Z drugiej strony zawdzięczał mi życie i pewnie chciał w końcu powiedzieć: „Nasze rachunki są wreszcie wyrównane”. Nie zdążył.

Susan zrobiła krok w moim kierunku; dzieliły nas teraz tylko centymetry.

- Dlatego go zabiłam. Zadowolony?

Spodziewałem się, że zobaczę na jej policzkach łzy, ale Susan rzadko płakała, choć jej wargi drżały niepokojąco.

- Już dobrze. On nie żyje - rzekłem.

Obróciliśmy się i ruszyliśmy w stronę domu. Któreś z nas powinno może się odezwać, ale nie pozostało już nic do dodania.

## ROZDZIAŁ 25

Przez ogród różany przeszliśmy na taras. Susan gdzieś po drodze zgubiła pęk róż, ale na stole leżały pozostałe kwiaty.

Byłem pewien, że po tym wyznaniu będzie oczekiwała, że sobie pójde. Chciałem to zrobić, ale musiałem z nią jeszcze porozmawiać na temat Amira Nasima i Anthony'ego Bellarosy. Wolałem to zrobić osobiście.

- Muszę ci powiedzieć coś ważnego - zacząłem.

Spojrzała na mnie, ale nie odezwała się słowem.

- Wiem, że wolałabyś teraz zostać sama, ale gdybyś mogła usiąść i wysłuchać mnie przez dziesięć minut...

- Jeżeli to takie ważne...

- Owszem. Może usiądziemy.

- Daj mi kilka minut. Chcesz czegoś?

- Wody.

Weszła do domu, a ja stanąłem przy wiklinowym stoliku i otworzyłem otrzymane od niej pudełko. Tak jak powiedziała, w środku były kopie listów Edwarda i Carolyn oraz plik rodzinnych fotografii. Przejrzałem je i zauważyłem kilka zdjęć grupowych, na których byli moi i jej rodzice.

Przypomniałem sobie reklamę jakiegoś studia fotograficznego zajmującego się retuszowaniem zdjęć. Firma niczym z Orwella mogła sprawić, że jakaś niechciana osoba zniknęła ze zdjęcia. Pomyślałem, że muszę się skontaktować z tymi spryciarzami, żeby z fotografii wyparowali William i Charlotte. Niestety, wyczyszczenie zdjęcia nie równa się wyczyszczeniu pamięci. I przeszłości.

Przerzuciłem pozostałe zdjęcia. Nie było wśród nich żadnych pikantnych fotografii. Pomyślałem, że nie powinienem był słuchać Pani Dobre Wychowanie i wkładać do koperty tamtych nagich zdjęć. Spojrzałem na kopertę i już miałem wyjąć te fotografie, i schować je do kieszeni marynarki, kiedy otworzyły się drzwi i na tarasie pojawiła się Susan z tacą, na której stały dwie szklanki i butelka wody gazowanej.

Susan wydawała się teraz bardziej opanowana, a może też czuła ulgę, widząc, że jej spóźnione wyznanie o miłości, a nie tylko pożądania jako przyczynie zdrady, nie skłoniło mnie do natychmiastowego wyjścia. Wskazała ruchem głowy zdjęcia, które od niej dostałem.

- Są piękne. Mam ich cały stos, więc jeśli będziesz miał ochotę je któregoś dnia



przejrzeć...

- Dziękuję.

Postawiła tacę na stole i usiadła. Ja naprzeciwno. Nalała wody do szklanek.

- Przejdź od razu do rzeczy.

- Dobrze. - Napilem się wody i zacząłem: - Po pierwsze, odwiedziłem Amira Nasima, który powiedział mi, że chce odkupić twój dom, bo potrzebuje pełnej prywatności. Przypuszczam, że chodzi mu o różnice kulturowe, innymi słowy nie potrzebuje atrakcyjnej, niezamężnej kobiety na terenie swojej posiadłości. - Przerwałem na chwilę. - Ale potem powiedział jeszcze, że obawia się o bezpieczeństwo.

Czekałem, aż trafią do niej moje słowa.

- Jego żona wspomniała o tym samym - poinformowała mnie Susan.

Zaskoczyło mnie to, ale potem uświadomiłem sobie, że Nasim mógł użyć swojej żony do przekazania tej informacji Susan.

- Wydaje mi się, że albo po jedenastym września wpadł w paranoję, albo w ten sposób próbuje przekonać cię do sprzedaży domu - podzieliłem się z nią swoimi przypuszczeniami.

Susan zastanawiała się przez chwilę.

- A jeśli jego obawy są słuszne?

- W takim razie powinien zwrócić się do władz. Zresztą może już to zrobił, chociaż nie mówił mi o tym. Z drugiej strony, gdyby zwrócił się do władz, to ktoś z FBI albo miejscowego posterunku policji zadzwoniłby do ciebie. Dzwonili?

- Nie.

- Do mnie też się nie odzywali. Stąd wniosek, że Nasim nie skontaktował się z policją, a w takim razie zaczynam się zastanawiać nad słusznością jego obaw.

- Jesteś prawnikiem i myślisz jak prawnik. Pamiętaj, że on przyjechał z innego świata i może mieć swoje zdanie na temat policji.

- Masz rację, ale mieszkał tu i w Londynie dostatecznie długo, żeby zrozumieć, że jeśli pójdzie na policję, to na posterunku nikt go nie pobije.

- Nawet jeśli ma podstawy do obaw, to jest jego problem, nie mój.

- Nasim prosił, żeby dzwonić do niego, jeśli zauważę coś podejrzanego.

- Soheila mówiła mi to samo.

- Albo zadzwoń do mnie - zaoferowałem się.

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, ale nie powiedziała ani słowa. Było dla

mnie jasne, że niezależnie od tego, czy obawy Amira Nasima są realne, czy tylko wyimaginowane, będą miały pozytywny wpływ, gdyż wszyscy na terenie tej posiadłości staną się ostrożniejsi, dzięki czemu zmniejszy się możliwe zagrożenie ze strony Anthony'ego Bellarosy.

A propos Anthony'ego i porad Pani Dobre Wychowanie, chciałem zapytać Susan, czy ma broń. Ale biorąc pod uwagę, co zrobiła poprzednim razem, kiedy broń wpadła jej w ręce, uznałem, że temat może być dla niej niewygodny, szczególnie gdybym zapytał ją jeszcze, czy wie, jak się nią posługiwać. Oboje znaleźliśmy odpowiedź na to pytanie. Dlatego się nie odezwałem.

- Na wszelki wypadek pójde na policję i poproszę ich, żeby skontaktowali się z FBI. - Mówiąc te słowa, myślałem raczej o Anthonym niż o Amirze Nasimie. - Ty powinnaś zrobić to samo.

Nie odpowiedziała, tylko spojrzała na mnie dziwnie.

- To niewiarygodne... że musimy myśleć o czymś takim jak... terroryści.

- Świat się zmienił, nawet tutaj - poinformowałem ją na wypadek, gdyby zapomniała - więc musimy myśleć o takich rzeczach.

Zamilkła w zamyśleniu, wspominając zapewne świat, w którym dorastała, kiedy największym zagrożeniem zewnętrznym był atomowy Armagedon, tak nierzeczywisty, że nikt o nim na co dzień nie myślał. Jedynym innym zagrożeniem dla naszego spokojnego życia ze strony obcokrajowców była coroczna inwazja na okoliczne plaże dokonywana przez Rosjan, którzy byli właścicielami posiadłości w Glen Cove. Jestem pewien, że Susan, podobnie jak wszyscy inni, z nostalgią wspominała lata, kiedy jedynym naszym kontaktem z wrogimi obcymi był widok grupy gburowatych Rosjan pozostawiających na publicznych plażach puste butelki po wódce. Niestety, teraz przyszło nam bez przerwy myśleć o jedenastym września i zastanawiać się, z której strony padnie kolejny cios.

- Nasim zaproponował, że zapłaci mi dziesięcioprocentową premię, jeśli dasz się namówić do sprzedaży domu - wyznałem szczerze.

Moje słowa wyrwały ją z zamyślenia.

- To nieetyczne.

- To tylko biznes.

- Co mu powiedziałaś? - zapytała.

- Że jeśli podniesie do piętnastu procent, powiem ci, że widziałem za żywoptem irańskich terrorystów.

- Nie dam się zastraszyć - zapewniła mnie z uśmiechem. - To jest moja ziemia; należała do mojej rodziny od ponad stu lat. Jeżeli Nasim się boi, to może stąd wyjechać.

- Rozumiem. - Zrozumiałem także, że nie spakuje się i nie wyjedzie z powodu Anthony'ego Bellarosy. Mimo to postanowiłem ją ostrzec. - Jest jeszcze jedna ważna sprawa, o której muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzała na mnie.

- Chodzi o Anthony'ego Bellarose?

Zaskoczyła mnie w pierwszej chwili. Susan może być szalona, ale nie jest głupia.

- Tak. O Anthony'ego Bellarose.

- Wiedziałaś, że mieszka w Alhambrze, zanim jeszcze zdecydowałam się odkupić dom. Jego obecność nie miała żadnego wpływu na moje plany wtedy i nie ma teraz.

- Dobrze, ale... - przypomniał mi się fragment z Tolkiena - nie zapomina się o smoku, który mieszka w pobliżu.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam ochoty rozmawiać o smoku, nawet jeśli miałbyś na jego temat coś ciekawego do powiedzenia. Ale dziękuję za troskę. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że to troska, a nie skrywana radość.

Chciałem, żeby zrozumiała, że sprawa jest poważna, więc nie odwzajemniłem uśmiechu.

- Naprawdę bardzo się martwię.

Chyba w końcu to do niej dotarło, bo zapytała:

- Jak się dowiedziałeś, że on mieszka po sąsiedzku?

- Odwiedził mnie w stróżówce w ubiegły poniedziałek. Wiadomość o tym, że Anthony Bellarosa był na terenie posiadłości, przykuła jej uwagę.

- Po co?

- To była niezapowiedziana wizyta. Przyjechał powitać dawno niewidzianego sąsiada.

Susan nie mogła się zdecydować, czy przerwać tę dyskusję, czy może jednak wysłuchać, co mam jej do powiedzenia.

- Chciał ze mną porozmawiać o swoim ojcu - ciągnąłem.

Susan milczała.

- Pytał o ciebie.

Susan spojrzała na mnie i momentalnie przybrała typową dla Stanhope'ów postawę.

- Jeśli jest coś, co chciałby o mnie wiedzieć, powinien zapytać mnie, a nie ciebie.

Susan cechował ten wrodzony rodzaj odwagi, typowy dla klasy wyższej, którą można by opisać jako mieszaninę wyniosłej obojętności wobec fizycznego zagrożenia i naiwnej, opartej na złudzeniach wiary, że nikt z jej warstwy społecznej nie może stać się ofiarą. Innymi słowy, wyobraźcie sobie Susan, która ostrzega włamywacza, żeby przed wejściem wytarł buty. Żeby ją sprowadzić z obłoków na ziemię powiedziałem:

- Jest taki sam jak jego ojciec - nie rozmawia o rzeczach istotnych z kobietami.

To ją tylko rozzłościło.

- John, to nie jest twój problem, tylko mój. Doceniam twoją troskę, naprawdę jestem wzruszona, ale nie musisz się mieszać w...

- Przestań się mądrzyć, Susan.

Rozsiadła się na krześle, założyła nogę na nogę i wbiła wzrok w ogród.

- Może ci przypomnę, zastrześliś jego ojca. Anthony nie będzie o tym z tobą dyskutował. Ale rozmawiał o tym ze mną. - Nie wspomniałem o późniejszej rozmowie przy kolacji w Oyster Bay. - I chociaż nie groził ci bezpośrednio, to odniosłem niejasne wrażenie, że szuka odwetu.

Patrzyła cały czas w jeden punkt w oddali, zastanawiając się pewnie, dlaczego jej róże zaatakowały mszyce. Tak właśnie postępowała, kiedy stykała z problemem, który ją przerastał. Zajmowała się mniejszym problemem. Tak też postąpiła po zamordowaniu Franka Bellarosy. Na podłodze leżał trup, wokół roilo się od detektywów czekających, żeby ją aresztować i odstawić do aresztu, a tymczasem ona martwiła się o swojego konia i pewnie jeszcze o to, jak Anna doczyści plamy krwi z podłogi.

Postanowiłem zakończyć tę rozmowę. Wiedziałem, że zrobiłem to, co powinienem, oraz że wszystko, co dalej powiem, będzie tylko moimi przypuszczeniami i opiniami, a tych Susan najwyraźniej nie chciała słuchać.

- Powinnaś pójść na policję i złożyć zeznanie pod przysięgą... - powiedziałem na koniec.

Chciałem jeszcze dodać „na wypadek gdyby coś się stało”, ale zrezygnowałem. Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- To wszystko? - zapytała w końcu.

- Tak.

- Dziękuję.

Spojrzałem na zegarek.

- Pora na mnie.

Chyba mnie nie słuchała. Wstałem, ona jednak nie podniosła się z krzesła.

- Sam trafię do wyjścia - powiedziałem.

Znowu żadnej odpowiedzi.

To był dla niej bardzo wyczerpujący emocjonalnie poranek. Dla mnie też. Już samo wyznanie, dlaczego zastrzeliła człowieka, którego kochała, było wystarczająco traumatyczne. A ja jeszcze poruszyłem temat Amira Nasima i irańskich terrorystów, a potem wspomniałem, że syn Franka Bellarosa mieszka w sąsiedztwie i pyta o nią. Mogłem sobie tylko wyobrażać, co w tej chwili dzieje się w jej głowie.

Lepiej zrozumiałem jej cierpienie, kiedy zadała mi nieoczekiwane pytanie.

- Polubiłeś w Londynie jagnięcinę?

- Słuchani?

- Myślałam o jagnięcinie na obiad, ale jeśli nadal jej nie lubisz, to może być cielęcina.

Odchrząknąłem.

- Może być jagnięcina.

- Świetnie. - Spojrzała na mnie zaskoczona, że stoję, i zapytała: - Dokąd idziesz?

- Mam... kilka spraw do załatwienia - wyjaśniłem. - Chciałem, jak co niedziela, zadzwonić do dzieci.

- Dlaczego nie zadzwonimy do nich razem? - zaproponowała po krótkim namyśle.

- No...

- Ucieszą się.

- Może nie powinniśmy... ich zaskakiwać. Poza tym może chcesz zostać sama.

Puściła moje słowa mimo uszu i nalala mi resztę wody do szklanki.

- Pójdiesz ze mną do Ethel? - zapytała.

Pomyślałem, że wypadałoby usiąść. Tak też zrobiłem.

- Naprawdę mam mnóstwo spraw. - Nie miałem ochoty wpaść w towarzystwie Susan na Elizabeth w Fair Haven, podobnie jak wcześniej nie chciałem nadziać się na

Susan, gdy byłem w towarzystwie Elizabeth. Poza tym o czwartej miałem jeść obiad u Bellarosów. Zacząłem się zastanawiać, czy to dobry pomysł, żeby tam iść.

Spojrzałem na Susan, która właśnie otworzyła otrzymaną ode mnie kopertę i zaczęła przeglądać zdjęcia. Były to w większości rodzinne fotki i chyba jeszcze nie dotarła do tych „tylko dla dorosłych”, bo powiedziała:

- Lubię to zdjęcie naszej czwórki na łodzi w Seawanhaka. Kto je zrobił?

- Nie przypominam sobie. - I zaproponowałem: - Może obejrzysz zdjęcia później. Muszę już iść.

Susan oglądała kolejne fotografie i w pewnym momencie uśmiechnęła się.

- A ja się zastanawiałam, gdzie one się podziały.

Nie odezwałem się.

Wydawała się ubawiona tymi fotografiami; na jej twarzy zagościł frywolny uśmieszek.

- O rany...! - zawołała nagle i pokazała mi jedno ze zdjęć.

Spojrzałem na nie i zobaczyłem fotografię nas dwojga, na tylnym tarasie Stanhope Hall zrobioną samowyzwalaczem ze statywu. Stanhope'owie, kiedy się wyprowadzali, zostawili trochę mebli ogrodowych na tarasie. Pamiętam, że czasami chodziliśmy tam z Susan wypić wieczornego drinka, a ja zabierałem ze sobą aparat i statyw.

To był gorący letni dzień i po kilku wypitych drinkach Susan zaproponowała rozbieraną wersję gry papier, kamień, nożyce, gdzie przegrany miał zająć się oralnie zwycięzcą. Propozycja wydała mi się rozsądna, bo w ten sposób nikt nie przegrywał. Rozpoczęliśmy grę, Susan miała kilka razy z rzędu pecha i już po kilku minutach byłem nagi.

Zdjęcie przedstawiało mnie opartego o kolumnę z majtkami spuszczoneymi do kolan, odbierającego nagrodę.

- Nie możemy już tego robić - zauważyła Susan.

Uśmiechnąłem się.

- Nie, myślę, że pan Nasim by się nie zgodził, żebyśmy popijali drinki na jego tarasie.

Ona też się uśmiechnęła i dodała:

- Ani żebym ci robiła loda.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że Susan jest w zupełnie innym stanie ducha niż jeszcze pięć minut temu.

Zaczęła podsuwać mi pod nos kolejne zdjęcia.

- Widziałem je - zapewniłem ją.

- Zrobiłeś sobie odbitki?

- Nie.

- Zrobię ci. - Zajęła się na powrót fotografiami. - Nie przybyło mi kilogramów. -

Spojrzała na mnie. - Tobie też nie.

Czułem suchość w ustach, dopiłem wodę i ponownie spojrzałem na zegarek, ale Susan była zajęta rozłożonymi na stoliku zdjęciami.

- To są miłe wspomnienia, John.

Skinąłem głową.

Wstała, popatrzyła na mnie i tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej intencji, powiedziała:

- Chciałabym ci pokazać, co zrobiłam w domu.

Właściwie dlaczego nie? Zanim zdążyłem się zastanowić, dlaczego nie, wstałem, chwyciliśmy się za ręce i weszliśmy do domu.

Obchód domu rozpoczęliśmy i zakończyliśmy w naszej dawnej sypialni.

## ROZDZIAŁ 26

W sypialni na górze było ciepło; Susan leżała naga na plecach z rozchylonymi nogami i rękami pod głową. Nie spała, choć oczy miała zamknięte.

Okno było otwarte, a zasłony odsłonięte. Pokój zalewało światło słoneczne. Nad łóżkiem obracał się wentylator; chłodny powiew studził nasze spocone ciała i poruszał jej długimi, rudymi włosami.

Usiadłem i spojrzałem na leżącą obok mnie kobietę. Jej skóra, także na piersiach, miała ładną letnią opaleniznę i tylko tam, gdzie Susan nosiła majtki, ledwie osłaniające rude włosy łonowe, była mlecznobiała.

- Patrzysz na mnie? - zapytała, nie otwierając oczu.

- Tak.

- I jak wyglądam?

- Tak samo jak wtedy, kiedy się po raz pierwszy kochaliśmy.

To była prawda.

- Dziękuję Mam dobre geny.

Faktycznie, William i Charlotte byli bardzo twarżową parą; szkoda tylko, że mieli pomieszane w głowach.

Susan otworzyła oczy i odwróciła się w moją stronę.

- Nikogo tu nie przyprowadziłam.

- To twoja sprawa.

- Chciałam, żebyś wiedział - powiedziała, wciąż patrząc na mnie. Uśmiechnęła się i dodała: - Tak dawno się nie kochałam, że nie pamiętam już, kto kogo powinien pohamować.

Ja również się uśmiechnąłem, ale nie zamierzałem jej tego wyjaśniać.

- A ty? - zapytała.

- No cóż...

- W porządku. Nie chcę wiedzieć.

Oczywiście, że chciała, więc żeby już mieć to za sobą powiedziałem:

- Jest pewna kobieta w Londynie. To nic poważnego.

- Jak ma na imię?

- Samantha.

- Ładne imię. Zerwij z nią.

- No... dobrze... ale...



Susan usiadła, wzięła mnie za rękę i spojrzała mi w oczy.

- Zmarnowaliśmy dziesięć lat, John. Nie chcę już tracić ani minuty.

- Rozumiem, ale...

- To dla ciebie zbyt szybko?

- To raczej niespodziewane.

- Kochasz mnie?

- Kocham. Zawsze kochałem.

- Ja też. Na zawsze. Więc?

- Jesteś pewna? - zapytałem.

- Jestem. I ty też jesteś.

No i stało się. Mówiąc szczerze, wiedziałem, że tak to się skończy już po dwóch minutach pobytu w domu Susan. Zapomniałem o wszystkim, co złego o niej myślałem, i w chwili, kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy, poczułem przypływ nadzwyczajnej energii seksualnej. Z nią było podobnie, wiedziałem o tym. Oczywiście seks to nie miłość, choć w razie konieczności może ją zastąpić, ale w tym wypadku to była miłość. I zawsze będzie. Pozostawało więc tylko zrobić pierwszy krok. I zrobiliśmy.

Po dziesięciu latach mogło to być dziwaczne, ale nie było. Czuliśmy się swobodnie, co jest bardzo ważne, jeśli idzie się do łóżka z partnerem, z którym się często współżyło. Było też trochę nowości, w końcu minęło dziesięć lat.

- Myślałem o tym - odezwałem się.

- Ja też. Często. Dlaczego tak długo nie przychodziłeś?

- Po prostu... bałem się.

- Czego?

- Czego...? Tego, że to się zdarzy, i tego, że się nie zdarzy.

- Ja też. Ale teraz nie musimy się już niczego obawiać.

- Nie. Myślałem, że to ty mnie odwiedzisz.

- Walczyłam ze sobą. Zamierzałam dać ci kolejne czterdzieści osiem godzin.

Potem miałam zadzwonić. Ale kiedy wieczorem zobaczyłam samochód Elizabeth, byłam... jakiego powinnam użyć słowa?

- Przybita? Załamana? Wkurzona?

- O, właśnie. Choć gotowa ci wybaczyć.

- Nie ma czego wybacząć.

- Lubisz ją?

- Lubię. - Milczała przez chwilę.

- Ona też ciebie lubi. Powiedziała mi to wtedy, podczas lunchu. Wstyd jej było o tym mówić, ale to prawda.

- To bardzo miła kobieta.

- Też tak uważam. Dlatego wszyscy możemy być przyjaciółmi.

- Świetnie.

Jak się okazało, w ciągu ostatnich trzydziestu minut zapadło mnóstwo ważnych decyzji, przy czym o niektórych nie miałem nawet pojęcia. Tak to się często dzieje po seksie. Zaczyna się od uprzejmego „cześć”, potem łąduje się bez ubrania w łóżku i angażuje w najbardziej intymny akt z osobą, którą się zna lub nie, a później, jeśli się człowiek nie wykręci brakiem czasu, rozpoczynają się intymne zwierzenia. Takie rozmowy do poduszki mogą wpędzić człowieka w nie lada kłopoty.

Jednak w tym wypadku, z Susan, los dawno już postanowił, że tu się znajdę, więc mogłem spokojnie poddać się jego wyrokowi.

- Nie wierzyłem, że rozstaliśmy się na całe życie - powiedziałem.

- A ja wiedziałam, że znów będziemy razem.

- Widziałem cię we wtorek w Locust Valley.

- Tak? Gdzie?

- W knajpce, niedaleko Ralfa.

- A, tak. Jadłam lunch z Charlie Frick.

- Wyglądała na kobietę.

- Charlene. Zdrobniale Charlie. Z rodziny Fricków.

- Niewątpliwie, skoro nosi to nazwisko.

- John, dopiero co się kochaliśmy. Mógłbyś pohamować swój sarkazm?

Nie widziałem tu żadnego związku, ale spodziewałem się więcej takich błędów logicznych wywołanych niedawno przeżytym orgazmem.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Co tam robiłeś? Chyba nie kupowałeś u Ralfa tych jego obrzydliwych kanapek?

Tym razem mieliśmy do czynienia z nadmiernym krytycyzmem wywołanym przez przeżyty niedawno orgazm.

- I?

- Wypiłem u Ralfa tylko kawę, a kiedy wyszedłem, zobaczyłem ciebie i Mitzi.

- Charlie. Dlaczego się nie przywitałeś?

- Bo nie w takich okolicznościach chciałem cię spotkać po czterech latach.

Ścisnęła mi rękę.

- Ja też. Jak się wtedy czułeś? Co sobie pomyślałeś?

- Było mi... chyba smutno. A pomyślałem, że nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak pięknie.

Przytuliła się i objęła mnie.

- Kocham cię. Nigdy już się nie rozstaniemy i nigdy nie będziemy smutni. - Pocałowała mnie. - Możesz w to uwierzyć? Możesz uwierzyć, że znów jesteśmy razem?

- Trudno w to uwierzyć.

- Ożenisz się ze mną ponownie?

Byłem przygotowany na to pytanie.

- Jeżeli tego chcesz - odparłem bez wahania.

To musiała być niewłaściwa odpowiedź, bo odsunęła się ode mnie i zapytała:

- A czego ty chcesz?

- Wyjdiesz za mnie? - spróbowałem ponownie.

- Muszę się zastanowić. No dobrze, wyjdę za ciebie.

- Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

- Wiem o tym. Ale pomieszkajmy razem przez rok, żeby się upewnić.

- Świetnie. To znaczy, nie, pobierzmy się jak najszybciej.

- Skoro tego chcesz. Co robisz jutro?

Susan bez wątpienia była szczęśliwa, bo kiedy jest szczęśliwa, jest też zabawna. Ja też byłem szczęśliwy, ale wszystko stało się tak szybko, że przestałem nadążać za biegiem wydarzeń i potrzebowałem przynajmniej dziesięciu minut na spokojne zastanowienie się nad tą zupełną odmianą w moim życiu. Ale zaraz przypomniałem sobie, co mówiłem Elizabeth o korzystaniu z okazji i kierowaniu się sercem, a nie rozumem. W obecnej chwili nic nie ryzykowałem, żeniąc się ze swoją byłą żoną. Mogłem trafić gorzej. A żeby to wszystko zabrzmiało pozytywnie, byłem w niej zakochany i miałem szansę znów być szczęśliwy.

- Czy toczysz teraz wewnętrzną debatę za i przeciw ożenkowi ze mną? - zapytała Susan, która dobrze mnie знаła.

- Niczego nie pragnę bardziej jak tego, żeby ożenić się z tobą i żebyśmy znów stanowili rodzinę.

Oparła się o wezgiowie i zobaczyłem, jak z jej oczu płyną łzy.

- Przepraszam za to, co się stało, John - wyszeptwała.

- Ja też.

Siedzieliśmy tak przez chwilę bez ruchu; czułem na skórze powiew mielonego przez wentylator powietrza. Nasza dawna sypialnia z naszymi starymi meblami przywoływała miłe wspomnienia chwil, kiedy się kochaliśmy, leniwych niedzielnych poranków, dzieci, które przybiegały, żeby się do nas przytulić, śniadań w łóżku w Dzień Ojca i w Dzień Matki, ciągnących się długo w noc rozmów. Przypomniałem sobie kartkę, jaką od niej dostałem z okazji rocznicy ślubu: „John, nie masz pojęcia, jak często budzę się rano i po prostu patrzę na ciebie leżącego obok mnie. Będę to robiła do końca życia”.

Mogłem rozpamiętywać przeszłość, dziesięcioletnią przerwę w życiorysie, ale to wywoływałyby tylko złość, urazę i raniło duszę. Dlatego wziąłem ją za rękę, spojrzałem jej w oczy i powiedziałem:

- Wybaczam ci.

Pokiwała głową.

- Powinieneś.

Zbliżyła się do mnie, położyła głowę na moim ramieniu i tak siedzieliśmy, ciesząc się chwilą i wybiegając myślami w przyszłość. Tak, nadszedł czas, by podążyć naprzód.

Niestety, przeszłość nie była martwa. Przeszłość żyła, mieszkała w Alhambrze i miała nas wkrótce dopaść.

## ROZDZIAŁ 27

Dla mnie seks pod prysznicem to przykład wielozadaniowości. Po wszystkim ubraliśmy się i zesłiśmy na dół do kuchni.

- Jesteś głodny? - zapytała Susan.

Spojrzałem na zegar; minęła trzynasta. Przypomniałem sobie o niedzielnym spaghetti i klopsikach u Bellarosów.

Miałem też zadzwonić do Elizabeth w sprawie planowanej na dziewiętnastą randki. Wiele się wydarzyło, nim nastąpiła ta nieoczekiwana zmiana w moim życiu, i teraz żałowałem, że nie przyszedłem do Susan kilka dni wcześniej. Ale kto wie, co by się stało, gdybyśmy się spotkali w ubiegłym tygodniu? Na pewno nie byłem wtedy gotowy na to, co dziś się stało. Szczerze mówiąc, nie byłem na to gotowy także dzisiaj. Z drugiej strony ludzie inteligentni, tacy jak ja, potrafią dostosowywać swoje plany do zmieniających się okoliczności. Jeśli chodzi Elizabeth, to skoro zamierzałem się ożenić, powinienem przestać chodzić na randki z innymi kobietami. Z obiadem u Bellarosów decyzja nie była już taka prosta.

- John? John, jesteś?

Spojrzałem na Susan.

- Wiesz co, napiłbym się krwawej mary.

- Chyba nie mam soku pomidorowego.

- To nawet lepiej. W takim razie wódki z lodem.

Otworzyła drzwi zamrażarki, wyjęła butelkę grey goose, naląła do szklaneczki, dodała lodu i dopełniła szklankę sokiem pomarańczowym, instruując mnie:

- Nie możesz pić czystej wódki tak wcześnie.

A mnie się wydawało, że mogę. Zacząłem sobie przypominać sceny z mojego pierwszego i zarazem ostatniego małżeństwa. Susan naląła sobie samego soku. Stuknęliśmy się szklaneczkami.

- Za nas - wzniosłem toast.

- Za nas.

Napiłem się, ale nie czułem smaku wódki.

- Chcesz coś zjeść? - zapytała ponownie.

- Nie, dziękuję.

- Co jadłeś na śniadanie?

- Hmm... Niech pomyślę... - Na stole prawie miałem Elizabeth, ale chyba nie

powiniennem o tym wspominać. - Bułkę. - Przypomniałem sobie wreszcie.

- Tylko?

- I dżem jabłkowy. I kawę.

- I jadłeś sam?

- Nie.

- Jak to się stało, że ty i ona spaliście pod jednym dachem i do niczego nie doszło? - dociekała Susan.

Zniecierpliwiły mnie te pytania na temat Elizabeth.

- To nieważne, jak i dlaczego do niczego nie doszło. Ważne, że nie doszło.

Wyczuła, że jestem rozzłoszczony.

- Przepraszam. Sama się sobie dziwię, że jestem taka zazdrosna. Już nigdy o tym nie wspomnę.

- Dziękuję.

- Może straciłeś biegłość w tych sprawach.

- Susan...

- A może chciałeś pozostać wierny Samancie?

To były bardzo tendencyjne pytania, więc postanowiłem rzecz wyjaśnić.

- Elizabeth, jak możesz sobie wyobrazić, jest bardzo przygnębiona z powodu swojej matki. Przez cały dzień przedzieraliśmy się przez dokumenty i prywatne rzeczy Ethel, a pod koniec Elizabeth była tak wyczerpana, że wypła zbyt dużo wina i poszła wcześniej spać. Ja spałem na sofie. Koniec historii.

- Już dobrze. Przepraszam. - Ale po chwili spytała: - A masz na to jakichś bezstronnych świadków?

Myślałem, że za chwilę stracę cierpliwość, ale kiedy na nią spojrzałem, zobaczyłem, że się uśmiecha. Też się uśmiechnąłem, a ona odstawiła swoją szklankę i objęła mnie.

- Nie chcę być zazdrosna.

Prawie mnie nabrała. Postawiłem swoją szklankę na blacie i zaczęliśmy się przytulać i całować.

- Zadzwońmy do Edwarda i Carolyn - zaproponowała.

Była tym pomysłem bardzo podekscytowana, ja zresztą też.

- Ty zadzwoń.

Podeszła do wiszącego na ścianie aparatu i wybrała numer.

- Najpierw spróbuję na komórkowy Carolyn - powiedziała.

Carolyn odebrała, rozmawiały przez chwilę i z tego, co się zorientowałem, Carolyn była z przyjaciółmi na niedzielnym obiedzie.

- Muszę z tobą przez chwilę porozmawiać prywatnie. - Susan zasłoniła mikrofon dłonią i poleciła mi: - Chcę, żebyś to ty jej powiedział.

Kiedy Carolyn powróciła, Susan powiedziała do niej:

- Twój ojciec chce ci coś powiedzieć.

Carolyn musiała być kompletnie zaskoczona, bo Susan dodała;

- Nie, stoi tu obok mnie. - Oddała mi słuchawkę.

- Jak się miewasz, kochanie? - zapytałem córkę.

- Ja świetnie. A ty?

- Wyśmienicie. - Słyszałem w tle odgłosy ulicy. - Gdzie jesteś?

- Stoję przed restauracją Petrossian. Jestem z przyjaciółmi.

Nie przypuszczałem, żeby asystentka prokuratora okręgowego zarabiała aż tak dobrze, więc pewnie za szampana i kawior płacił fundusz powierniczy Stanhope'ów.

- Mam nadzieję, że to z funduszu reprezentacyjnego - zażartowałem.

- Mam randkę, tato.

- Och... Wciąż nie potrafiłem sobie wyobrazić mojej małej dziewczynki z mężczyzną, szczególnie z takim, który funduje jej kawior i szampana.

- No więc... co się stało?

Dobre pytanie. Zerknąłem na Susan, która przełączyła telefon na tryb głośnomówiący.

- Więc... jestem tutaj, w domu twojej matki...

- To wiem.

- I... wiesz, Carl, postanowiliśmy wrócić do siebie...

Usłyszałem pisk i pomyślałem, że przejechał ją autobus, ale pisk się powtórzył, a potem Carolyn zaczęła krzyżeć:

- O mój Boże! Tato! To cudownie! Jestem taka szczęśliwa. Mamo! Mamo!

Susan zabrała mi słuchawkę, wyłączyła głośnik i zaczęła wymieniać z córką poglądy z szybkością karabinu maszynowego.

Zrozumiałem, że moja rola jest już skończona, więc wycofałem się i dolałem sobie do soku pomarańczowego wódki.

- John, wystarczy - usłyszałem głos Susan.

Po kilku minutach szyfrowanej babskiej rozmowy Susan włączyła ponownie głośnik.

- Wracaj do swoich przyjaciół. Zadzwoń, jak będziesz miała chwilę. Ojciec chce się z tobą pożegnać.

- Cześć, Cari! Kocham cię! - zawołałem przez całą długość kuchni.

- Cześć, tato! Ja ciebie też!

Susan odłożyła słuchawkę.

- Jest taka szczęśliwa z naszego powodu, John. Czy to nie wspaniale?

- Owszem - zgodziłem się. - Jest na randce.

- Powiedziałam jej, że zadzwonimy teraz do Edwarda. Carolyn ma do niego zadzwonić wieczorem.

- Co to za facet?

- Twój syn. Edward.

- Mam na myśli tego od randki.

- Och, nie wiem. Zerwała z Cliffem, a teraz znowu z kimś się spotyka. Ale żadnego nie traktuje poważnie.

- Obiad u Petrossiana za dwieście dolarów brzmi poważnie. Może to ma coś wspólnego z jej zaangażowaniem w likwidowanie klęski głodu na świecie - spekulowałem.

Susan zignorowała moją uwagę.

- Zadzwoń do Edwarda.

Spojrzałem na tarczę zegara.

- W Los Angeles jest dziesiąta rano. Prawdopodobnie jeszcze śpi - zaprotestowałem.

Chwyliła za słuchawkę i wykręciła numer.

- Spróbujemy najpierw w mieszkaniu.

Po kilku dzwonek ktoś odebrał.

- Dzień dobry, mówi pani Sutter, matka Edwarda. Czy on jest tam gdzieś? - Wysłuchała odpowiedzi i dodała: - Proszę mu powiedzieć, że to ważne. Zaczekam. Dziękuję. - Zasłoniła słuchawkę dłonią i zwróciła się do mnie: - Jest pod prysznicem.

- Kto to był?

- Jakaś młoda dama, która jest na tyle źle wychowana, że się nie przedstawiła.

Zauważyłem, że Susan była zawsze nastawiona bardziej krytycznie do dziewczyn Edwarda niż do wyborów, jakich dokonywała Carolyn. Ja zwykle postępowałem przeciwnie. Jestem pewien, że Freud by mi to wytłumaczył, gdybym do niego napisał. Drogi Sigmundzie...



- Mam nadzieję, że go nie wystraszyłam - powiedziała Susan.  
- Ta dziewczyna wskoczyła pewnie teraz pod prysznic - odparłem.  
- John, proszę cię. - Susan przycisnęła słuchawkę do ucha.  
- Dzień dobry, skarbie. Nie, wszystko jest w porządku. Chciałam się tylko podzielić z tobą dobrą wiadomością. Zaczekaj. Ktoś chce z tobą porozmawiać.

Przekazała mi słuchawkę, a ja przywitałem syna jego starym przezwiskiem:

- Cześć, kapitanie.  
- Tato!  
- Przepraszam, że wyciągnęliśmy cię spod prysznic...  
- Nie ma sprawy. Co słyhać?  
- Kto odebrał telefon?  
- Och... to Stacy. Ona... idziemy właśnie na plażę.  
- Wspaniale. Na którą?  
- Pewnie Malibu. Musisz tu koniecznie przyjechać, tato.  
- Tak zamierzam zrobić. Ale chyba prędzej zobaczę cię tutaj z pewnej, smutnej okazji.

- Taaa... Jak ona się czuje?  
- Niezbyt dobrze. Widziałem ją kilka dni temu i obawiam się, że to już niedługo...

- To smutne. I jak się czujesz z powrotem w Nowym Jorku?

- Cudownie Jak to miło wrócić.

- A jak tam pogoda?

- Doskonała.

Wyglądało na to, że Edward nie widzi nic dziwnego w tym, że jego matka i ja dzwoniemy do niego razem. Na dodatek zapomniał, że miało chodzić o coś ważnego. Edward ma iloraz inteligencji geniusza, ale odkąd pamiętam, był nieco postrzelony, więc nie mogłem go za to winić.

Widziałem, że Susan zaczyna się nieco niecierpliwić.

- No dobra, kapitanie, pewnie jesteś ciekawy, dlaczego dzwoniemy

- No... wszystko w porządku?

Susan przełączyła na tryb głośnomówiący.

- Jestem na linii, skarbie. Twój tata i ja mamy bardzo dobre wieści.

- To świetnie.

Uznałem, że teraz moja kolej, więc odezwałem się pełnym szczęścia głosem:

- Twoja matka i ja pobieramy się.

- Co?

- Pobieramy się. Jeszcze raz.

Na chwilę zapadła cisza.

- To znaczy... Wy, ze sobą?

- Czy to nie wspaniałe? - zaszczębiotała Susan.

- Och... tak. Wspaniałe. - Wreszcie do niego dotarło, ale pojawiły się wątpliwości. - Nie żartujecie?

- Nie! - zawołaliśmy, a Susan dodała: - Dzwoniliśmy już do Cari; jest uradowana. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

- Świetnie. Słuchajcie. Jestem...

Nagle stało się coś dziwnego i głos mu uwiązł w gardle. Ja też miałem ściśniętą krtani, a w oczach Susan pojawiły się łzy.

- Nie zabieramy ci więcej czasu, kapitanie. Baw się dobrze na plaży. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia...

Susan otarła oczy chusteczką i zaczęła udzielać Edwardowi rad.

- Nie planuj zbyt dużo na dni, kiedy tu będziesz. Musisz poświęcić trochę czasu rodzinie. Zjemy razem obiad.

- Co? A, tak. Oczywiście.

- Jak tylko będziemy coś wiedzieli, zadzwonię do ciebie albo wyślę ci e-mail. Będziesz musiał przylecieć pierwszym samolotem do Nowego Jorku. To nie musi być bezpośrednie połączenie. Jeśli w klasie ekonomicznej nie będzie miejsc, leć pierwszą albo biznes. Edward? Czy ty mnie słuchasz?

Edward przestał słuchać już jakieś dziesięć lat temu, ale posłusznie odpowiedział:

- Tak, mamo.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

- Kocham cię - dorzuciłem.

Susan odłożyła słuchawkę.

- Byli absolutnie wstrząśnięci. Naprawdę, John. Możesz uwierzyć?

- Mogę.

Susan ponownie przetarła oczy.

- Mamy teraz mnóstwo czasu, żeby znów być rodziną.

- Tak, a ja mam do odrobienia mnóstwo zaległości.

- Edward wciąż potrzebuje silnego męskiego wzorca w rodzinie - zauważyła Susan. - Jest taki... niedojrzały.

Byłem innego zdania i powinienem przemilczeć ten temat, ale zwyciężył mój sarkazm.

- Ma już dwadzieścia siedem lat. Sam dla siebie może być dobrym wzorcem.

Susan trochę się zdenerwowała, potem poczuła się zakłopotana.

- Przecież wiesz, jaki on jest - przypomniała mi.

- Wiem, jest taki jak ja.

- Ty jesteś trochę lepiej zorganizowany. Podkreślam - trochę.

To Susan była największym roztrzępalcem, jakiego w życiu znałem, ale widocznie przez ostatnie dziesięć lat lepiej się zorganizowała.

Problem polegał na tym, że my się zmieniliśmy, a nasze wspomnienia nie, albo odwrotnie, zmieniły się wspomnienia, a my pozostaliśmy tacy sami. Sporo wysiłku będzie wymagało zobaczenie siebie nawzajem takich, jacy jesteśmy teraz, zamiast takich, jakimi byliśmy.

A w bardziej optymistycznym tonie - Susan momentalnie poczuła się tak dobrze w moim towarzystwie, że nie wahała się wytykać mi moich wad i poddawać mojego zachowania konstruktywnej krytyce. Jak widać, okres zalotów został skrócony do minimum.

Musiała chyba czytać w moich myślach, bo uśmiechnęła się.

- Ale i tak cię Kocham. Kocham twój chłopięcy urok, twój sarkastyczny humor, twoje denerwujące zwyczaje, a nawet twój uparty, nieznośny charakter. Kocham cię bezwarunkowo i zawsze będę kochała. Powiem ci dlaczego - mówisz prawdę, masz charakter, a to rzadkie w dzisiejszych czasach, i masz jaja, John. Kiedy jestem przy tobie, nigdy się nie boję.

Zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Właściwie mógłbym ciągnąć jej myśl i powiedzieć: Jesteś rozpieszczona, kompletnie oderwana od rzeczywistości, nieco złośliwa i szalona, ale mimo to Kocham cię". To wszystko była prawda, ale obawiałem się, że moje słowa mogą zostać źle przyjęte, więc ograniczyłem się do zwykłego „dziękuję” Wziąłem ją w ramiona i szepnąłem:

- To ja ciebie Kocham bezwarunkowo. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał.

- Wiem. - Położyła mi głowę na ramieniu. - To jest jak sen.

Poczułem na szyi jej łzy.

Nie wiem, o czym w tej chwili myślała; ja myślałem o obiedzie u Anthony'ego  
Bellarosy.

## ROZDZIAŁ 28

Susan podjęła się trudnego zadania udoskonalenia mnie przed planowanym ślubem. Jedną z moich niedoskonałości była blada cera, co zauważyła w sypialni. Przyznałem, że potrzebuję nieco opalenizny. Wyciągnęliśmy na taras dwa szezlongi, rozebraliśmy się i położyliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. Ja miałem na sobie tylko bokserki, a Susan dolną część bikini. Radio w kuchni ustawiliśmy na stację z muzyką klasyczną. Orkiestra symfoniczna z Chicago pod dyktando sir Geорга Solnego grała uverturę do *Latającego Holendra*.

Słońce dobrze robiło mojej skórze. Przez siedem lat w Londynie nieczęsto się opalałem.

Na stoliku stojącym pomiędzy szezlongami postawiliśmy litrową butelkę sanpellegrino. Przypomniałem sobie, że po raz pierwszy piłem tę wodę podczas naszej pierwszej wizyty w domu Bellarosów. Drugą okazją był uroczysty lunch z Frankiem Bellarosa u Giulia w Little Italy, gdzie świętowaliśmy wypuszczenie Franka za kaucją. Ostatni raz piłem tę wodę też u Giulia, kilka miesięcy później. Byliśmy tam razem z żonami. Wtedy właśnie dobrze poznałem włoską kuchnię i jednocześnie upewniłem się, że moja żona ma romans z Frankiem. On ją w towarzystwie praktycznie ignorował, natomiast wobec mnie był bardzo wylewny. Czy potrzebny jest jeszcze jakiś dowód?

Właściwie powinienem wtedy powiedzieć Annie Bellarosa, kiedy tak zajadała się swoimi cannoli: „Twój mążś pieprzy moją żonę”.

Anna powinna na to zwrócić się do Susan: „Susan, ja muszę... ale ty...?”.

Tylko żartuję. W każdym razie wielokrotnie zastanawiałem się, co by się stało, gdybym doprowadził wtedy do konfrontacji. Czy wyszedłbym z Frankiem na ulicę, żeby zobaczyć, czy podjechała już jego limuzyna? Pewnie nie. Raczej szukałbym taksówki, która zawiozłaby mnie na stację kolejową. I czy moje nagłe wyjście pokrzyżowałoby plany zamachu na Franka? Tego nie wiem, ale na pewno nie stałbym przy nim, kiedy dwa pociski trafiły w jego kamizelkę kuloodporną, i potem nie ratowałbym go przed wykrwawieniem się na śmierć. Frank byłby trupem i Susan nie musiałaby go później zastrzelić.

Jeżeli jesteśmy skazani na los, to nic na to nie możemy poradzić, ale nawet los musi mieć jakiś plan awaryjny na wypadek użycia przez człowieka kamizelki z kevlaru.

- Jesteś bardzo milczący - zauważyła Susan.

- Cieszę się chwilą.

- Porozmawiaj ze mną.

- Nie ma sprawy. Masz piękne piersi.

- Dziękuję. Chcesz zobaczyć mój tyłeczek?

Uśmiechnąłem się.

- Pewnie.

Zdjęła majtki i obróciła się na brzuch.

- I jak?

Obróciłem się na bok.

- Idealny.

- Zdejmuj gatki - zarządziła. - Musisz sobie trochę opalić ten blady tyłek.

Rozebrałem się i położyłem na brzuchu. Leżeliśmy zwróceni do siebie twarzami.

- Możesz to zrobić jeszcze raz? - zapytała.

- Obrócić się?

- Nie, John, kochać.

- Jeszcze pytasz?

Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w pośladek. Poczulem w lędźwiach nagły przyływ pożądania. Szezlong próbował je stłumić, więc by uniknąć poważnego zranienia, obróciłem się na plecy.

- O mój Boże! - zawołała Susan. - Tak trzymaj!

Zerwała się ze swojego legowiska, przyklękła nade mną, ścisnęła mi kolanami i nogami biodra, potem zniżyła się, a ja gładko się w nią wślizgnąłem.

Robiliśmy to już wcześniej na tarasie, tylko szezlongi chyba były inne, i dwa razy daliśmy się przyłapać - raz przez ogrodnika, który bardzo się po tym wydarzeniu zmienił, a drugi raz przez Judy Remsen, przyjaciółkę Susan, która przyniosła jakąś roślinę w doniczce, a na nasz widok upuściła ją na ziemię. Bardzo interesująco wyglądała kolacja, którą niedługo potem jedliśmy razem z Remsenami.

Susan zaczęła powoli i rytmicznie unosić się i opadać, a potem zwiększyła tempo. Odchyliła tułów do tyłu, wyciągając twarz ku słońcu.

Czas, który, jak wiadomo, jest względny, wydawał się zatrzymać, potem przyspieszył, wreszcie zwolnił na bardzo długą sekundę, w której oboje osiągnęliśmy orgazm.

Susan opadła na moją pierś; słyszałem wyraźnie jej ciężki oddech. Wsunęła mi ręce pod plecy i ścisnęła mocno, gryząc jednocześnie lekko w ramię. Zaczęła kręcić biodrami i po chwili miała następny orgazm.

Już myślałem, że do trzech razy sztuka, ale ona wyciągnęła nogi, położyła mi głowę na ramieniu i w ciągu minuty zasnęła. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak będzie wyglądała moja opalenizna. Słońce i seks sprawiły, że też poczułem się senny i wkrótce odpłynąłem wsłuchany w śpiew ptaków i muzykę Wagnera.

Miałem cudowny sen. Śniło mi się, że leżę nagi na skąpanej w słońcu plaży. Kiedy się obudziłem, doszedłem do wniosku, że musimy się z Susan wybrać na plażę nudystów w St. Martins, gdzie dziesięć lat temu spędziłem kilka wspaniałych dni.

Dopiero kiedy nieco oprzytomniałem, uznałem, że proponowanie Susan wyprawy w miejsce, do którego przed nią kiedyś uciekłem, może być ryzykowne. Szczególnie jeśli tym miejscem jest plaża nudystów. Może w takim razie po pogrzebie Ethel powinniśmy z Susan pojechać do jej rodziców w Hilton Head, gdzie moglibyśmy rozpocząć proces uzdrawiania i odbudowywania naszej rodziny? Stanhope'owie będą zachwyceni, że znów jesteśmy razem, a William chwyci mnie za ramiona, potrząśnie mną i powie: John, ty stary draniu, dobrze, że wróciłeś”. A Charlotte zaszczebocze: „Mój ukochany zięć znów jest z nami!”.

W rzeczywistości Stanhope'owie dostaną pewnie monstrualnego szału. Myślałem już trochę o tym i muszę porozmawiać z Susan.

Susan przeciągnęła się, ziewnęła, cmoknęła mnie w policzek i sturlała ze mnie. Stała z twarzą wyciągniętą ku słońcu i zamkniętymi oczami.

- Pamiętasz, jak wpadła tu Judy Remsen? - zapytała.

- Pewnie.

Roześmiała się.

- Tak mi było wobec niej głupio.

- Nie przejmuj się. Zaraz pobiegła wszystkim o tym opowiedzieć.

- Usiadłem, napiłem się wody Pellegrino i wbiłem wzrok w nagą Susan stojącą w promieniach słońca.

- Stawaj tu przede mną, zrobimy kilka ćwiczeń rozciągających - rozkazała.

- Przykro mi. Naciągnąłem sobie ścięgna w pachwinie. Poćwicz sama.

- John, musisz utrzymywać formę.

- Biegam.

- Musisz się też rozciągać i ćwiczyć mięśnie. W Locust Valley jest nowy salon

pilates.

- Co takiego?

Wyjaśniła mi, ale nic z tego nie zrozumiałem. Susan rozpoczęła ćwiczenia i wyglądało to tak seksownie, że zapytałem:

- Kiedy rozpoczyna się kurs?

- Kiedy tylko będziesz gotowy.

Obracała się, rozciągała i pochylała.

- Wszyscy tam ćwiczą nago?

- Nie, John.

- Och...

Susan włożyła majtki, rozłożyła ręcznik plażowy na tarasie, położyła się na plecach i zaczęła robić ćwiczenia, które wydawały się niemożliwe do zrobienia.

Spojrzałem na pozycję słońca i oceniłem, że dochodzi piętnasta.

- Susan, muszę z tobą porozmawiać.

- Później - rzuciła, nie przerywając gimnastyki. - Pójdziemy gdzieś na kolację.

Nie odpowiedziałem.

- Chciałabym, żebyś jeszcze dzisiaj przeniósł tu swoje rzeczy - ciągnęła. -

Pomogę ci.

- Tu zatrzymają się twoi rodzice - przypomniałem jej.

- Och... jakoś sobie z tym poradzimy.

Naciągnąłem bokserki i wstałem.

- Chodźmy do środka.

Przerwała unoszenie nóg, usiadła i spojrzała na mnie.

- O czym jeszcze chcesz porozmawiać? Wszystko, co było do omówienia, omówiliśmy.

- Kilka szczegółów logistycznych - powiedziałem, zbierając swoje rzeczy.

Milczała przez chwilę, potem wstała, zgarnęła swoje ubranie i weszliśmy do środka. Ubieraliśmy się w kuchni.

- Usiądźmy w moim gabinecie - zaproponowała.

Kiedyś to był mój pokój i jednocześnie domowy gabinet, więc znałem drogę. Weszliśmy do dużego położonego od frontu pokoju, w którego oknach widziałem ją kilka dni temu.

Spodziewałem się, że typowo męski wystrój - skóra, mosiądz, mahoń i obrazy ze scenami z polowań - zostały zastąpione przez coś subtelniejszego, ale chyba



wszystko pozostało na swoim miejscu. Brakowało tylko kilku pamiątek z wojska. Zauważyłem, że na półce stała nawet oprawiona w ramki fotografia moich rodziców.

- Nie ruszałam tu niczego.

Przemilczałem to.

- Czas na drinka - oznajmiła, podchodząc do niewielkiego barku.

- Pozostanę przy wódce.

Nalała mi wódki i dodała lodu, sobie przygotowała wódkę z tonikiem.

Usiedliśmy oboje na skórzanej sofie; Susan położyła nagie stopy na stoliku do kawy. Wieloletnia praktyka adwokacka nauczyła mnie, że powinienem omawiać sprawy w porządku rosnącym, poczynając od najmniej istotnej, czyli jej rodziców. Należało również zacząć od pytania.

- Jak ci wydaje, jak twoi rodzice zareagują na nasze dobre wieści?

- Wpadną w cholerną furję - odpowiedziała bez wahania.

Uśmiechnąłem się, słysząc to niespodziewane bluźnierstwo, ale żeby pokazać, że traktuję sprawę serio, zapytałem:

- A jak zamierzasz zareagować na ich cholerną furję?

Wzruszyła ramionami.

- To jest moje życie.

- Ale ich pieniądze.

- Mam własne pieniądze. Choć już nie tak dużo, bo przepłaciłam za ten dom.

- No dobrze. Więc...

- Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

- Odpowiedź brzmi; jestem bez grosza.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Wyobrażam sobie. Ale potrafisz zarobić na godziwe życie i jesteś dobry w łóżku.

Uśmiechnąłem się.

- Dobrze, ale...

- Nie, posłuchaj mnie. Chciałam ci powiedzieć, że tym razem nie chcę żadnej intercyzy.

Porządnie mnie zaskoczyła.

- Moim jedynym majątkiem jest ten dom i dom w Hilton Head, oba nieobciążone hipoteką. Chcę, żebyś stał się właścicielem połowy z nich i płacił większość rachunków - wyjaśniła.

- Jesteś bardzo szczodra, ale...

- Jak się pewnie domyślasz, kiedy ogłosimy zamiar powtórnego ślubu, moi rodzice postraszą mnie wydziedziczeniem i przestaną mnie wspierać finansowo.

Widać było, że dużo o tym myślała przez ostatnie godziny. A może tygodnie albo lata. Kiedy ja zastanawiałem się, czy uda nam się jakoś ucywilizować nasz stosunki, ona myślała o tym, ile ponowne zamążpójście za Johna Suttera będzie ją kosztowało. Byłem bardzo poruszony tym, że jej zdaniem jestem wart więcej niż pieniądze rodziców. To, co było jeszcze w tej chwili abstrakcją, stanie się twardą rzeczywistością chwilę po tym, jak zadzwoni do mamusi i tatusia.

- Oni nie będą cię straszyć obcięciem kieszonkowego czy wydziedziczeniem - ostrzegłem ją - oni to po prostu zrobią. W mgnieniu oka.

Wzruszyła ramionami.

- Pan, panie Sutter, jest moją ostatnią szansą na szczęście - odparła. - A moje szczęście jest dla mnie najważniejsze. - Uśmiechnęła się - Twoje rzecz jasna też.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Coś miłego.

- Raczej coś realistycznego, i to będzie najmiłsza rzecz, jaką mogę ci w tej chwili powiedzieć - życie bez pieniędzy nie jest łatwe.

- Nie wiem.

- Właśnie o to chodzi, Susan.

- Czy ty próbujesz wykręcić się od tego małżeństwa dlatego, że zostało mi tylko kilka milionów dolarów?

Na mojej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech i zażartowałem:

- Nie zapominaj o posagu i dużym prezencie ślubnym od rodziców.

- Możesz być pewien, że daliby mi pięć milionów dolarów, żebym tylko za ciebie nie wyszła - odparła.

Przez dłuższą chwilę popijałem w milczeniu wódkę.

- No, dobrze... - odezwałem się w końcu. - Możemy poradzić sobie z tym, co ci pozostało, zamieszkać w tym domu, jeśli chcesz, może nawet utrzymać dom w Hilton Head, a ja zarobię na przyzwoite utrzymanie. - Była to prawda, nawet gdybym nie podjął pracy w firmie Mordercy Sp. z o.o. A w tej sytuacji, w jakiej się obecnie znalazłem, na pewno dla nich pracować nie zamierzałem.

- Dostałeś jakąś ofertę pracy - przypomniała mi Susan.

- Tak... zaraz do tego dojdziemy. Ale zapomnijmy na chwilę o pieniądzach.

Zastanawiałaś się nad tym, jakie będą koszty emocjonalne separacji od rodziców?

- Oni to przeżyją. Ale musisz obiecać mi, że nie będziesz dolewał oliwy do ognia.

Zastanowiłem się.

- Na pewno pokażę im, że jestem zupełnie innym człowiekiem niż dziesięć lat temu.

- Nie jesteś - zauważyła Susan. - Ale możesz tak powiedzieć. Nazwałeś mojego ojca kutasem.

- Wcale nie. Nazwałem go...

- Nie chcę tego więcej słyszeć. - Spojrzała na mnie. - Pewnie na to zasłużył, ale jeżeli mnie kochasz, to go przeprosisz.

- W porządku. Kocham cię, więc przeproszę.

- Dziękuję.

- Poza tym ucieszyłem się, słysząc, że nieco złagodnieli.

- Wcale nie. Okłamałam cię. - Uśmiechnęła się i mrugnęła do mnie.

- I tak ci nie wierzyłem.

- Zrobimy wszystko, co możliwe, John - powiedziała z poważną już miną. - Nie będzie łatwo, ale obiecuję ci, że tym razem zawsze ty będziesz ważniejszy od moich rodziców.

Właśnie teraz po raz pierwszy przyznała mi się, że w trakcie naszego małżeństwa te priorytety były odwrócone. Doskonale zdaję sobie sprawę z potęgi pieniądza, szczególnie jeśli znajdują się one w rękach takich ludzi jak William i Charlotte Stanhope'owie, ale ostatecznie, jeśli przeciwstawimy się temu zastraszaniu i manipulacjom, skorzystają na tym wszyscy.

- A może będziemy mile zaskoczeni ich reakcją, kiedy im o tym powiemy - zasugerowałem z niczym nieuzasadnionym optymizmem.

- My? Ja im tego nie powiem. To twoja rola. - Roześmiała się.

- Poproszę twojego ojca o rękę dokładnie tak samo jak poprzednim razem - odparłem z uśmiechem.

- To bardzo miłe. I wspomnij, że to ty nalegałeś, żeby zrezygnować z intercyzy. Nie zapomnij o kamerze. Chcę zobaczyć ich reakcję.

Susan najwyraźniej znalazła się w takim punkcie swojego rozwoju emocjonalnego, że wreszcie zaczęła buntować się przeciwko władzy rodzicielskiej. Co prawda o kilkadziesiąt lat za późno, ale za to bardzo stanowczo. Oby tylko nie

zabrakło jej sił.

Rozmyślałem także nad jej małżeństwem ze starym przyjacielem jej ojca, Danem Hannonem. Niepotrzebna była żadna dogłębna analiza, żeby domyślić się, że było to małżeństwo skojarzone, zawarte po to, by zadowolić tatusia. Ale teraz pokaże tatusiowi. Nie miałem wątpliwości, że mnie kocha i że jest gotowa dla mnie poświęcić rodziców razem z ich pieniędzmi, ale była w tym wszystkim też forma rewanzu na ojcu.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale nie pozostało im wiele życia. - To była dobra wiadomość.

Przemilczałem jej słowa i poruszyłem pokrewny temat.

- Zastanawiam się też, jaki wpływ będzie miało nasze małżeństwo na fundusz powierniczy dzieci i ich prawa do spadku.

Susan wydawała się zaskoczona i odparła bez należytego namysłu:

- Nigdy by tego nie zrobili swoim wnukom.

Chciałem w to wierzyć, ale znałem Stanhope'ów wystarczająco dobrze, żeby sobie odpowiedzieć na to pytanie. Przynajmniej William był tak mściwy, że gdyby miał rodzinny herb, to widniałaby na nim dewiza „Obetnę sobie nos na złość mojej twarzy”, a tarczę zdobiłaby figura mężczyzny bez nosa.

- Pieniądze dzieci znajdują się w funduszu powierniczym - przypomniała mi Susan.

- To prawda - zgodziłem się, nie chcąc jej martwić.

Ale widziałem dokumenty dotyczące funduszu i nie zagłębiając się w kwestie prawne, wiedziałem, że to, co dziaduś dał, dziaduś może odebrać. Na dodatek zarządcą funduszu był bezużyteczny brat Susan, Peter, a William mógł za jego pośrednictwem manipulować pieniędzmi i po prostu wstrzymać comiesięczne wypłaty dla dzieci. Jakby tego nie było dość, mógł sprawić, że Edward i Carolyn nie zobaczą ani centa przed ukończeniem pięćdziesiątki. Poza tym mógł oczywiście w każdej chwili wydziedziczyć swoje wnuczeta.

Czułem się w obowiązku powiedzieć jej o tym wszystkim, bo jeśli nawet zdecydowała się poświęcić swoje pieniądze, to nie była chyba gotowa zrobić tego z pieniędzmi Edwarda i Carolyn. Gdyby została postawiona pod ścianą, John Sutter musiałby pewnie zniknąć. Potrafiłem to zrozumieć.

Na razie miałem nadzieję, że William kochał swoje wnuki na tyle mocno, że nie ukarze ich za grzechy własnej córki.

- Dobrze, Susan, ale musisz zdawać sobie sprawę, że możesz stracić swoje comiesięczne dochody i zostać wydziedziczona z majątku wartego miliony dolarów.

- Tak, John. Zdaję sobie z tego sprawę.

- I nadal chcesz wyjść za mnie za męża? - zapytałem nie do końca żartem.

- Już nie. Za dużo mnie kosztujesz.

Wziąłem to za żart.

- Bądź poważna.

- Jak mogłeś zadać mi takie pytanie?

- Przepraszam.

- Zaraz, zaraz... powiedz mi jeszcze raz, co ja na tym zyskuję?

- Mnie.

- Tylko? Uroczy książkę bez pracy i pieniędzy?

- Mam dyplom prawnika.

- Mogę go zobaczyć?

Uśmiechnęliśmy się oboje, usiedliśmy i dopiliśmy nasze drinki. Byłbym zaskoczony, gdyby to wszystko potoczyło się inaczej. Susan Stanhope Sutter była zakochana i chciała, żebym do niej wrócił. A jeśli Susan czegoś chce, musi to dostać. Ja też ją kochałem, nigdy nie przestałem kochać, toteż, przynajmniej teoretycznie, to powinno się udać.

Susan założyła nogę na nogę, wyjrzała przez okno i powiedziała chyba bardziej do siebie:

- Miłość zwycięży wszystko.

- To prawda. - Jak powiedział Wirgiliusz: *omnia vincit amor*. Te słowa przypomniały mi o kolejnej sprawie.

## ROZDZIAŁ 29

Kiedy już zamknęliśmy temat Stanhope'ów, może nie na dobre, ale przynajmniej na razie, gotów byłem porozmawiać z Susan na temat Anthony'ego Bellarosy, jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Tymczasem Susan wolała przechadzkę do stróżówki, jakby spodziewała się tam znaleźć majtki leżące na podłodze, ruszyliśmy więc drogą prowadzącą od domku gościnnego do mojej tymczasowej kwatery.

Kiedy przemierzałem tę samą drogę sześć godzin wcześniej, moje życie tkwiło w zawieszeniu, a plany na przyszłość były niesprecyzowane. A teraz czekał mnie ślub.

- Kiedy mieszkałam tu jako dziecko, do głowy by mi nie przyszło, że posiadłość zostanie sprzedana i podzielona, otoczona osiedlami domków, a ja zamieszkał samotnie w domku gościnnym - odezwała się Susan. - Właściwie nigdy nie wybaczyłam ojcu, że wystawił Stanhope Hall na sprzedaż.

William nigdy nie musiał sprzedawać posiadłości, ale jej utrzymanie i podatek od nieruchomości wynosiły więcej, niż ja zarabiałem w ciągu roku, a na pewno więcej, niż gotów był wydawać, żeby zachować Stanhope Hall dla swoich spadkobierców i ich potomków. Nie mógł zabrać posiadłości ze sobą, a z drugiej strony nie mógł znieść myśli o wydatkach. Dlatego przeprowadził się do Hilton Head i w końcu znalazł kupca w osobie pana Franka Bellarosy. Nie mam też żadnych wątpliwości, że do zostania posiadaczem drugiej rezydencji namówiła go dama, która teraz szła u mojego boku.

I tak oto Stanhope Hall, odjąwszy dziesięć akrów należących do Susan i sześćdziesiąt akrów, na których powstało nowe osiedle, a gdzie niegdyś Susan jeździła konno, znalazło się w rękach Amira Nasima, człowieka spoza towarzystwa, za to widniejącego na liście sporządzonej przez muzułmańskich mułłów. Alhambra została rozparcelowana, a jej poprzedni właściciel, Frank Bellarosa, nie żył. Spora część tych zmian dokonała się za przyczyną Susan Stanhope Sutter, która przecież przed zmianami się wzbraniała.

Musimy jednak żyć w świecie, jaki jest, a nie, jaki był. Tyle że najpierw trzeba zrobić porządek z przeszłością.

Susan natomiast żyła teraźniejszością.

- Czy mogłabym znaleźć w stróżówce coś, czego nie chciałabym widzieć?

- A nie wspominałem ci, że czasami noszę jedwabne bokserki?

- Bardzo zabawne Założę się, że kiedy dziś rano dzwoniłeś do mnie, nie

spodziewałeś się, że będziesz mnie kilka godzin później prowadził do stróżówki.

- Nie, nie spodziewałem się.

Na szczęście w domu nie było żadnych dowodów zbrodni, a co najważniejsze, miałem czyste sumienie.

Dotarliśmy wreszcie do stróżówki.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak było mi smutno, kiedy zobaczyłam, że samochód Elizabeth Allard stoi tu przez cały dzień i noc.

Owszem, wyobrażałem sobie, ale powiedziałem coś innego.

- Nie zawsze tak jest, jak się państwu zdaje.

- Zaraz to sprawdzimy.

Wyprzedziła mnie w progę. W przedpokoju zobaczyła rzeczy osobiste Allardów, zgromadzone tu wcześniej przez Elizabeth i przeze mnie.

- Widzę, że nie tylko piliście - skomentowała.

- Mieliliśmy mnóstwo innej roboty.

- A co jedliście na kolację?

- Ser i krakersy.

Przeszła do salonu i spostrzegła na sofie moją poduszkę i koc, które na swoje szczęście tam zostawiłem. Ponieważ Susan nie skomentowała tego ewidentnego dowodu, że spałem sam, powiedziałem:

- Widzisz?

Zignorowała mnie i z zainteresowaniem rozglądała się po pokoju.

- Elizabeth chce zabrać te wszystkie stare graty?

- Nie wiem. Zrobiłem inwentarz, a ona go podpisała. Przenieśliśmy się do jadalni, gdzie na stole i podłodze wciąż wały się pudła.

- Co to jest? - zapytała.

- Większość to rzeczy z mojej kancelarii i gabinetu w domu. Przeniosłem je tutaj, kiedy się wyprowadziłem.

- Gabinet w domu znów należy do ciebie.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony.

- Co zamierzałeś z tym zrobić?

Zamierzałem przechować to w domu Elizabeth Allard, ale na głos powiedziałem coś innego.

- Wynająć magazyn. Ale właśnie rozwiązałaś mój problem z gratami. I z mieszkaniem też. I wiele innych problemów.

- Wiem o tym - przyznała. - Kiedy zrezygnujesz z pracy, musisz zlikwidować swoje londyńskie mieszkanie.

- Oczywiście, kochanie. Polecę do Londynu po pogrzebie Ethel.

- I pożegnaj się ze swoją londyńską przyjaciółką. Jeszcze zanim tam polecisz.

- Oczywiście, kochanie.

Chyba że ona przyleci tu niespodziewanie wcześniej. Musiałem pilnie wykonać ten telefon.

- Polecę z tobą do Londynu - obwieściła Susan.

- Świetnie. Zatrzymamy się w Berkeley.

- Zatrzymamy się w twoim mieszkaniu.

Tego się właśnie obawiałem. Mam ładne, niewielkie mieszkanie, Samantha nie ma do niego kluczy, ale mogło się tam znajdować trochę drobiazgów Samantha, których widok mógłby rozzłościć Susan.

Skoro już Susan poruszyła kwestię prywatności, postanowiłem pójść za ciosem.

- Zanim się do ciebie wprowadzę, dam ci czas na uprzątnięcie rzeczy, których nie powinienem zobaczyć...

- Możesz się wprowadzić już dzisiaj, i wprowadzisz się. Jeśli chcesz, możesz myszkować po kątach. Nie mam przed tobą nic do ukrycia. - Zastanowiła się chwilę. - No, może daj mi godzinę.

Uśmiechnąłem się.

- Tyle samo czasu będę potrzebował w Londynie.

- Dostaniesz dziesięć minut i będę czekała w taksówce.

Oczami wyobraźni zobaczyłem siebie upychającego w poszewkę poduszki - odpowiednik poczty dyplomatycznej - listy, notatki, najciekawsze zdjęcia z mojego trzyletniego rejsu i bieliznę Samantha, podczas gdy wzburzony tłum szturmował już bramy. Nie było czasu, by to wszystko spalić, pozostawało wyrzucenie kompromitujących materiałów przez okno.

- John?

- Zgoda.

Poczułem, że zaczynam tracić kontrolę nad swoim życiem. Susan nie była kobietą wyjątkowo zazdrosną i kontrolującą każdy krok swojego mężczyzny, nie licząc czasu naszego narzeczeństwa i początków małżeństwa. A więc może to tylko taka faza w jej życiu. Minie.

Rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że znad kominka zniknął portret ślubny



Ethel i George'a.

- Aż trudno uwierzyć; mieszkali tu, nim się jeszcze urodziłam.

- Wiesz, że ta posiadłość była jedną z ostatnich należących od samego początku do tej samej rodziny, więc tamta epoka skończyła się, nim się urodziłaś. Nasze dni są policzone.

Pokiwała głową.

- Nawet nostalgia nie jest już taka sama.

Z jadalni Susan przeszła do kuchni i rozejrzała się wokół.

- Kiedy byłam mała, George przywoził mnie tutaj po szkole, a Ethel częstowała świeżo upieczonymi ciasteczkami i gorącą czekoladą.

Mogłem się założyć, że w Stanhope Hall nie dostawała takich rzeczy, a jeśli już, to nie jej matka piekła ciastka czy przygotowywała czekoladę, ani ich nie podawała. Z tego, co udało mi się wyciągnąć z George'a, Ethel i innych służących, którzy byli tu jeszcze, kiedy ja się pojawiłem, Susan była typowym samotnym dzieckiem bogaczy. Podejrzewałem, że jej rodzice niespecjalnie się nią interesowali, aż do chwili gdy była na tyle duża, by wejść na salony.

Może powinienem być bardziej wyrozumiały dla Williama i Charlotte, a ich liczne winy złożyć na karb wychowania, gdyby nie to, że znałem wiele starych rodów i wiele z nich to byli przyzwoici ludzie, kochający swoje dzieci i wielkoduszni wobec przyjaciół i ludzi, którym się gorzej wiodło. Zdarzały się też kompletne świnię, ale gdyby wszystkie z czterystu rodzin widniejących w Social Register startowały w konkursie na największą świnię, to William Stanhope zdobyłby pierwszą nagrodę, a Charlotte dostałaby wyróżnienie.

- Nic tu nie ma - powiedziała Susan, otwierając lodówkę.

- Będzie mniej do przenoszenia.

- Zanim tu posprzątam, powinniśmy zrobić kilka zdjęć.

- Świetny pomysł.

Spojrzałem na zegar z kukułką, który wskazywał piętnastą trzydzieści.

- Może jutro rano? - zaproponowałem.

- Dobrze.

Uznałem, że wycieczka po domu właśnie się skończyła, i zaproponowałem:

- Usiądźmy na tarasie?

- Rzućmy jeszcze okiem na piętro.

Ruszyłem za nią po schodach. Otworzyła drzwi sypialni Ethel i weszła do

środka.

Zasłony były zaciągnięte i czuło się stęchliznę. Drzwi komody i szafy były otwarte, a na nieposłanym materacu leżały stosy ubrań. Widok był przygnębiający. Przypomniały mi się wygłoszone przez księdza nad grobem Franka Bellarosy słowa z listu do Tymoteusza: „Nic bowiem nie przynieśliśmy na ten świat; nic też nie możemy z niego wynieść”.

Susan nie odezwała się słowem. Wyszliśmy i zamknęliśmy za sobą drzwi.

Zajrzała do łazienki i widząc leżący na podłodze stos ręczników, zapytała:

- Pralka się zepsuła?
- Nie wiem. A gdzie jest pralka?
- Jutro przyjdzie tu moja sprzątaczką i zrobi porządek.
- To miło z twojej strony.

Jak mogłem zapomnieć, że prócz nowego domu i narzeczonej należy mi się też sprzątaczką?

- Brała prysznic? - zapytała Susan.
- Sprzątaczką?
- John!
- Chyba tak. Tak.

Susan weszła do mojej sypialni, kiedyś i ostatnio sypialni Elizabeth, i zaczęła pomieszczenie bez pośpiechu lustrować. Spojrzała na łóżko, potem zauważyła na stoliku nocnym pustą butelkę po winie, jej uwagę przykuły dwa kieliszki, których powinienem był się wcześniej pozbyć.

- Dlaczego tu stoją dwa kieliszki? - zaczęła dociekać.

Przychodziły mi do głowy różne wytłumaczenia, w tym o urojonym przyjacielu z dzieciństwa, z którym Elizabeth piła wino, ale wybrałem najprostsze z możliwych i niezbyt odległe od prawdy.

- Elizabeth chciała spać w swoim dawnym pokoju, więc wypiliśmy po kieliszku przed snem.

- Marne tłumaczenie.

Wziąłem głęboki wdech i uznałem, że najlepiej będzie powiedzieć prawdę.

- No dobrze... więc... wypiliśmy za dużo i myśleliśmy o tym... ale w końcu doszliśmy do wniosku, że to byłby błąd.

Cisza.

- Padło twoje imię i... Elizabeth poczuła się niezręcznie, rozumiesz sama.

Zresztą ja też.

Znów cisza.

Powinienem już chyba zamilknąć.

- Oto cała prawda - dodałem na wszelki wypadek.

- Wcześniej mówiłeś mi coś innego.

- Zgadza się. Teraz poznałaś szczegóły. - Byłem na siebie trochę zły, że tak łatwo się poddałem, i zamierzałem sprawdzić, czy rzeczywiście najlepszą obroną jest atak.

- Jeszcze wczoraj wieczorem byłem wolnym człowiekiem, Susan, i nawet gdybym się z nią przespał, to nie twój interes.

Odwróciła się, opuściła sypialnię i zeszła po schodach na parter. Po Susan trudno było poznać, czy jest zła, czy obojętna. Ona sama potrzebowała trochę czasu, żeby to pojąć. Skorzystałem z okazji i uprzątnąłem trochę pokój.

- Będę na tarasie - usłyszałem z dołu jej głos.

Oczekałem jeszcze minutę i zszedłem po schodach z dwoma kieliszkami i pustą butelką po winie, którą wrzuciłem do kosza na śmieci pod zlewozmywakiem.

Wyszedłem na taras i ujrzałem Susan przechadzającą się pomiędzy grządkami warzyw.

- Jestem umówiony o czwartej! - zawołałem do niej.

Nie odpowiedziała.

- Ale najpierw muszę z tobą porozmawiać - ciągnąłem.

Spojrzała na mnie i zapytała:

- O czym?

- Usiądź, Susan. To nie zajmie dużo czasu.

- Gdzie musisz być o czwartej? - zapytała, wracając na taras.

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Siadaj.

Zawahała się, ale w końcu usiadła przy stoliku.

- To zabrzmi trochę... niewiarygodnie, ale jak już ci wspominałem...

- Więc nie przespałeś się z nią, bo myślałeś o mnie?

Najwyraźniej tamten temat nie był jeszcze skończony.

- Tak. - Postanowiłem jeszcze poszerzyć moją wypowiedź: - To byłoby nie w porządku. Szczególnie po tym, jak zobaczyłem cię w aucie. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale nawet nie wiedząc, co do mnie: czujesz, nie mógłbym tego zrobić, nie porozmawiawszy najpierw z tobą.

Myślałem, że to powinno wystarczyć, ale kobiety potrafią tego typu rzeczy analizować znacznie głębiej niż mężczyźni.

- Czułeś do niej pociąg?

- Wcale nie. Mężczyzna nie potrzebuje powodu - wyjaśniłem jej - potrzebuje tylko odpowiedniego miejsca.

- Wierz mi, dobrze o tym wiem. Ale najwyraźniej ją pociągałeś.

- Pociągam wszystkie kobiety.

- Jesteś skończonym idiotą.

- Wiem o tym. Czy możemy...

- Może była tak pijana, że się jej spodobałeś.

- Na pewno. Czy teraz...

- Myślałam, że jest moją przyjaciółką.

- Bo jest, Susan. Właśnie dlatego nie...

- Musi się teraz czuć taka samotna, kiedy jej matka umiera.

- No właśnie.

Czekałem na dalszy ciąg pogłębionej analizy, ale Susan chwyciła mnie za rękę i nieoczekiwanie powiedziała:

- W porządku. Temat zamknięty.

Bardzo w to wątpiłem, więc odczekałem jeszcze minutę i zacząłem:

- Jak już ci mówiłem...

- Kocham cię.

- A ja ciebie.

- Wiem, że byłeś mi wierny przez cały czas trwania naszego małżeństwa.

Chciałabym móc powiedzieć to samo o sobie.

Ja też.

- Chcę, żebyś wiedział, John, że on był jedynym...

- Wiem.

- Tyle kobiet się za tobą uganiało, a ja nigdy nie byłam zazdrosna. Miałam do ciebie absolutne zaufanie.

- Wiem o tym. Nadal możesz mi ufać.

- Jeżeli miałeś romans, kiedy ja... kiedy byliśmy w separacji, potrafię to zrozumieć.

- Cieszę się.

- Miałeś?

- Oczywiście, że nie. - Przeżyłem tylko chwilową fascynację. - Byłem zbyt zdruzgotany, żeby myśleć o takich rzeczach.

- Przepraszam, że zawiodłam twoje zaufanie.

- To już przeszłość. - Przyszedł mi do głowy wyświechtany, ale odpowiedni w tej sytuacji zwrot: - Dzisiaj jest pierwszy dzień naszego wspólnego życia.

Uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała mnie.

- Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać - przypomniała.

- Tak. Proszę, wysłuchaj mnie, nie przerywając. Jak już ci mówiłem, w ubiegły poniedziałek pojawił się tutaj Anthony Bellarosa. - Opisałem jej w wielkim skrócie przebieg wizyty i wspomniałem, że się o nią dopytywał. Susan słuchała bez słowa. - Zaprosił mnie na kolację - zakończyłem.

- Zgodziłeś się?

- Tak.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Głównie martwiłem się o ciebie.

Milczała, więc ciągnąłem wywód:

- Do tego dochodzi moja perwersyjna ciekawość...

- Rozumiem. Mów dalej.

- Spotkaliśmy się w Wong Lee w Glen Cove. - Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać: - Pomyślałem, że po tym, co się stało poprzednim razem, lepiej będzie unikać włoskich restauracji... w każdym razie Anthony nie jest tak urzekający ani tak bystry jak jego ojciec, ale...

- John, naprawdę nie chcę niczego słyszeć o jego ojcu. Ani dobrego, ani złego. Powiedz mi tylko, o co chodzi z Anthonyem.

- W porządku. - Wspomniałem o kierowcy Tonym, który również o nią wypytywał, streściłem najważniejsze fragmenty rozmowy z Anthonyem, opisałem krótko przebieg rozmowy telefonicznej z Anną Bellarosa. - Potem wstałem i wyszedłem - zakończyłem opowieść.

- Mam nadzieję, że to nie jest ta oferta pracy, o której wspominałeś? - zapytała po głębszym namyśle.

- Pozwól, że skończę. - Opowiedziałem o moim przypadkowym spotkaniu z Tonym i Anthonyem na Grace Lane i mojej podróży do Oyster Bay. Wspomniałem o biurze Teddy'ego Roosevelta. Chciałem, żeby dowiedziała się nie tylko tego, co zostało o niej powiedziane, ale także tego, co nie zostało powiedziane. Opisałem jej czarnego

cadillaca escalade i poradziłem, żeby na niego uważała. Zbagatelizowałem kilka spraw, żeby jej nie straszyć, ale z drugiej strony nie chciałem, żeby myślała, że problem sam się rozwiąże. - Tak więc oferta pracy stoi chyba pod znakiem zapytania.

- Nie sędzę - powiedziała, patrząc mi w oczy. - Czyś ty oszalał?

- Susan, musisz zrozumieć...

- Rozumiem, John. Rozważasz przyjęcie tej oferty, żeby mnie chronić, ale...

- A po co inaczej w ogóle rozmawiałbym z tym człowiekiem?

- Sobie zadaj to pytanie, nie mnie.

- Przestańmy się bawić w amatorskie analizy. Gdybym nie podejrzewał, że Anthony Bellarosa szuka rewanzu... no dobrze... może też pomyślałem o tym, że mógłbym dla mego pracować w granicach prawa...

- On jest szefem mafii.

- Tego nie wiem.

- Wiesz, John. Powiem ci jeszcze coś. Odwołał się do twojego ego i to ci pochlebilo. Wyczuł też, że jesteś podatny na jego propozycję, bo nie układa ci się życie. Nie możesz powtórzyć tego błędu...

- Chwileczkę. Mam ci przypomnieć, kto i dlaczego namawiał mnie do współpracy z wiadomo-kim?

- Przestań! - Wzięła głęboki wdech i opanowała się. - Nie musisz mi przypominać. Sama pamiętam.

Oboje zamilkliśmy na chwilę.

- Może okazać się, że on jest o wiele sprytniejszy, niż myślisz - powiedziała.

- Kto wie.

- Ale ty jesteś jeszcze sprytniejszy.

- To wiem.

- Co zamierzasz zrobić, John?

- Moja sytuacja uległa zmianie - odparłem z wymuszonym uśmiechem. - Jestem zakochany, wkrótce mam się ożenić, więc nikt nie musi mi się przypochlebiać. Moje ego jest w pełni usatysfakcjonowane i nie jestem już podatny na podszepty szatana.

- Więc powiedz szatanowi, żeby sobie poszedł do diabła.

- Zrobię to, ale wciąż martwię się o ciebie.

- Nie trzeba. - Ujęła moją dłoń. - Jestem wzruszona, że chciałeś mnie chronić nawet wtedy, kiedy mnie nienawidziłeś.

- Nigdy cię nie nienawidziłem. Kochałem cię.

- Teraz to wiem. - Wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła oczy. - Naprawdę wiem. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Zamierzasz się z nim jeszcze spotkać? - zapytała.

Spojrzałem na zegarek.

- Tak, za pięć minut.

- Gdzie?

- U niego w domu. Zostałem zaproszony na niedzielny obiad.

- Nie idź tam.

- Intuicja każe mi pójść. Zaufaj mi.

- Po co się tam wybierasz? - zapytała po dłuższej chwili.

- Czuje, że jeśli nie pójde, mogę stracić okazję, żeby się czegoś więcej dowiedzieć... lepiej zrozumieć tego człowieka, zorientować się, co myśli o... tobie. Jeżeli zaczniesz ci grozić, pójde na policję, a oni na pewno poważnie potraktują moje zgłoszenie. W końcu wiedzą, kim jest Anthony Bellarosa, i pamiętają, co się wydarzyło dziesięć lat temu.

- Gdybym mogła cofnąć czas, nie pociągnęłabym za spust - oznajmiła po długiej chwili milczenia.

W dodatku trzykrotnie, dodałem w myślach.

- Masz broń? - zapytałem.

- W Hilton Head miałam dubeltówkę. Mam też strzelbę.

Ucieszyła mnie wiadomość, że ma broń i potrafi się nią posługiwać.

Skoro jednak miałem się do niej wprowadzić... miałem nadzieję, że potrafi panować nad emocjami i z byle powodu nie sięgnie po nią.

- Gdzie trzymasz strzelbę?

- Nie wiem... jest chyba gdzieś w piwnicy.

- Musisz jej poszukać. - Wstałem z krzesła. - Idę.

- Kto tam będzie? - zapytała.

- Anthony, jego żona Megan, pewnie ich dwoje dzieci i Anna. Nie wiem kto jeszcze.

- No dobrze. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Wróciliśmy do kuchni. Zdjąłem z haczyka kluczyki do samochodu.

- Powinieneś zanieść gospodyni jakiś prezent - przypomniała mi.

Susan była naprawdę komiczna. Nie zapomniała o etykiecie nawet wtedy, gdy

wybierałem się do człowieka, który pewnie chciał ją zabić. Cóż, w jej świecie jedno z drugim nie miało nic wspólnego.

Otworzyłem spiżarnię, ale wina już niestety nie było, więc zabrałem słoik dżemu z odręcznie zrobioną przez Ethel etykietką, na której była data.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty, W sam raz do lasagne.

- W tym czasie spakuję twoje rzeczy i przewiozę do naszego domu - powiedziała Susan.

- Dziękuję. Ale kiedy przyjadą twoi rodzice, przeprowadzam się tu powrotem.

- Byłoby miło, gdybyśmy wszyscy zamieszkali pod jednym dachem.

- Nie znam tak dużego dachu.

- Zobaczymy, kiedy przyjadą.

- Dobrze, ciao. - Nie miałem teraz ochoty z nią dyskutować

- Jak będziesz od nich wychodził, powiedz: *Va al inferno*.

- Tak zrobię.

- Powodzenia. - Pocałowała mnie.

Wyszedłem z domu, wsiadłem do samochodu, przejechałem przez otwartą bramę Stanhope Hall, skręciłem w lewo w Grace Lane i ruszyłem w stronę Alhambry.

Moja pierwsza wizyta w Alhambrze dziesięć lat temu była kolosalnym błędem. Obecnie miałem szansę tamten błąd naprawić.



## ROZDZIAŁ 30

Zatem w drogę na niedzielny obiad u Bellarosów. Odległość od bramy Stanhope Hall do bramy Alhambry wynosi mniej więcej ćwierć mili. Pierwszą połowę drogi pokonuje się wzdłuż zbudowanego z szarego kamienia muru posiadłości Stanhope'ów, a przy drugiej połowie stoi otynkowany, ceglany mur Alhambry.

Złote Wybrzeże w latach swej świetności, czyli przed Wielkim Kryzysem z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, chlubiło się ponad dwustoma wielkimi posiadłościami i podobną liczbą mniejszych rezydencji.

Dzientelmen mieszkający wraz z rodziną przy Piątej Alei mógł dotrzeć do swojej wiejskiej rezydencji w godzinę koleją albo w dwie godziny, jeśli wybrał podróż statkiem. Mógł też dojechać własną limuzyną z kierowcą, drogą zwaną Vanderbilt Toll Road, którą William Vanderbilt zbudował dla siebie i swoich przyjaciół, a z której pozwalał wszystkim nieodpłatnie korzystać. Dobre stare czasy.

Większość posiadłości otaczają kamienne albo żeliwne ogrodzenia z bramami i stróżówkami. Sporo tych budowli przetrwało do dziś i było wspomnieniem wspaniałej przeszłości, która nikogo z obecnych mieszkańców nic nie obchodziła. Widać tu było namacalne dowody tego, że kiedyś naprawdę istniał Połączany Wiek i były to czasy lepsze od obecnych.

Wracając do analogii do upadku cesarstwa rzymskiego, przedstawionej przez Anthony'ego Bellarose, czytałem kiedyś, że we wczesnym średniowieczu ostatnie kilka tysięcy nieoświeconych mieszkańców Rzymu, oniemiałych z wrażenia na widok otaczających ich monumentalnych ruin, wierzyło, że miasto zbudowali giganci albo bogowie.

Podejrzewałem, że kiedy za tysiąc lat archeolodzy rozkopią Złote Wybrzeże, dojdą do wniosku, że maklerzy giełdowi i prawnicy to były dzikie plemiona, które przypiekały miejscowe ziemiaństwo na grillach Webera.

Skoro już byłem w takim nastroju, to przypomniałem sobie historię rzymskiego senatu, który mimo upadku cesarstwa długo jeszcze się zbierał na posiedzeniach, stanowiąc coś na kształt atrakcji turystycznej dla ciekawskich mieszkańców i barbarzyńców, ściągających licznie na Forum, by zobaczyć te ubrane w starożywieckie togi żyjące upiory przeszłości.

Nigdy nie byłem pełnoprawnym członkiem klasy patrycjuszy, już raczej ekwitów, ale kiedy wkładałem swoją niebieską marynarkę, jasnobrązowe spodnie i

zamszowe buty, ruszałem w miasto i odzywałem się z tym swoim eleganckim akcentem, czułem się chwilami jak jeszcze jedna, obok murów, ruin i rezydencji, atrakcja turystyczna Złotego Wybrzeża. „Spójrz mamó, czy to jeden z nich?”

Dojeżdżając do dawnej stróżówki Alhambry, zwolniłem. Teraz służyła jako budka wartownicza dla firmy ochroniarskiej pilnującej ogrodzonego osiedla.

OSIEDLE ALHAMBRA - TEREN PRYWATNY - głosiła tablica.

Wielkie żeliwne wrota były otwarte. Zobaczyłem próg zwalniający i wymalowaną w poprzek żółtą linię ze znakiem stop. Zatrzymałem się przed dawną stróżówką.

Na drzwiach wisiała niewielka tabliczka z napisem: OSIEDLE ALHAMBRA - DZIAŁ SPRZEDAŻY. W boczną ścianę budynku wstawiono okno, z którego wychylił się mężczyzna ubrany w paramilitarny strój koloru khaki. Przywitał mnie nieszczerym uśmiechem i zapytał:

- Mogę w czymś pomóc?

Na piersi miał metalową odznakę z napisem: BELL SECURITY SERVICE. Jak pamiętałem, była to filia należącej do Anthony'ego firmy Bell Enterprises. Ponieważ przyjechałem jako przyjaciel szefa, a na dodatek nie byłem w najlepszym nastroju, pozwoliłem sobie okazać rozdrażnienie.

- Nie wiem, czy możesz mi w czymś pomóc. A mam jakiś wybór?

- Sir?

Zatęskniłem za cynglami Franka Bellarosy - Lennym i Vinnie oraz za Anthonyem - obecnie Tonym.

- Przyjechałem do... - poczułem przypływ zuchwałości - ... dona Bellarosy.

- Do pana Anthony'ego Bellarosy - poprawił mnie strażnik, przyglądając mi się uważnie.

- Właśnie. I do jego brata Dona.

Strażnik nie wyglądał na zachwyconego, ale skoro byłem gościem szefa, wolał ze mną nie zadzierać.

- Pańskie nazwisko, sir?

- John Whitman Sutter.

Nawet nie spojrział na listę zaproszonych, którą trzymał w ręku.

- Zgadza się. - Udzielił mi wskazówek, jak trafić, i pożegnał się uprzejmym: - Życzę miłego dnia.

Kiedy odjeżdżałem, spostrzegłem w lusterku wstecznym, że strażnik chwycił za

słuchawkę i gdzieś dzwonił, zapewne do domu Bellarosy; a więc nie było już odwrotu.

Jechałem brukowaną aleją, która kiedyś kończyła się podjazdem przed willą zwaną Alhambra. Teraz droga, już asfaltowa, ciągnęła się dalej. Odchodziły od niej boczne drogi prowadzące do pięcioakrowych parceli z niewielkimi willami. Tylko niektóre stare drzewa przetrwały budowę domów, dróg i basenów, większa część terenu była zupełnie ogołocona.

Mogło być gorzej. Nie byłem specjalnie wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się, że Alhambrę kupił Frank Biskup Bellarosa - i tak mieliśmy wcześniej złych sąsiadów, a ten był tylko trochę gorszy. Uznałem, że jeden szef mafii z rodziną jest lepszy niż setka maklerów z nadmiernie obciążoną hipoteką.

Zresztą to nie był mój problem. Sporą część życia spędziłem na przyjęciach i pogaduszkach w klubie na temat zmieniającego się wokół nas świata i sposobu powstrzymania zachłannych deweloperów.

Zatrzymałem samochód w miejscu, gdzie kończył się szpaler topól, a brukowana aleja przechodziła w asfalt. W tym miejscu stała Alhambra. Wysiadłem i rozejrzałem się wokół. To był najwyższy punkt całej posiadłości. Widziałem stąd dziesiątki niewielkich willi z wypielegnowanymi ogródkami, garażami na trzy samochody, podjazdami i tarasami. W wielu ogródkach grillowano, ku bezchmurnemu niebu unosił się niebieski dym. Wyglądało to jak obóz biwakującej armii. Poza tym nie spostrzegłem żadnych innych oznak ludzkiej aktywności.

Dalej, za dawną posiadłością Alhambra, widziałem pole golfowe The Creek Club. Przypomniałem sobie, jak z Susan zabraliśmy Bellarosów do klubu na kolację, a Frank Bellarosa poprosił mnie o rekomendowanie go na członka. Tak to się dzieje, kiedy zaprosi się do klubu na kolację jakąś nic nieznaczącą parę; można być pewnym, że będą się chcieli do takiego klubu wkręcić. Byłem przekonany, że zarząd klubu nie rozpatrzy pozytywnie prośby szefa mafii, więc na tyle taktownie, na ile mi się udało, wyjaśniłem Frankowi, że nawet Jezus Chrystus, jako pół-Żyd ze strony matki, nie mógłby otrzymać członkostwa The Creek.

Muszę przyznać, że mimo wydarzeń tamtej wiosny, lata i jesieni, mimo tragicznego finału mojego życia i małżeństwa, nieźle się ubawiłem. Zupełnie tak, jak pani Lincoln, która na pytanie: „Jak się pani podobała sztuka?”, odpowiedziała: „Doskonała komedia, śmiała się cały czas aż do chwili, gdy padł strzał”.

Spojrzałem w kierunku, gdzie kiedyś znajdował się basen i klasyczne rzymskie ruiny, ale krajobraz tak się zmienił, że nie byłem pewien, czy to jest właśnie to

miejsce. Równie dobrze mógł w tym miejscu stać jeden z nowo wybudowanych domów.

Przed oczami stanęła mi znów scena z mojego snu, ale udało roi się szybko ją przegnać.

Odwrociłem się i spojrzałem na długą aleję prowadzącą do stróżówki. Po drugiej stronie Grace Lane stał na lekkim wzniesieniu wielki, stuletni dom w stylu kolonialnym. Należał do rodziny DePauws, choć nie wiedziałem, czy nadal tam mieszkają. Dziesięć lat temu FBI używało ich posiadłości jako punktu obserwacyjnego, skąd mogła fotografować wszystkie osoby przyjeżdżające do Alhambry i z niej wyjeżdżające.

W noc, kiedy doszło do nieudanego zamachu na Franka w restauracji Giulia w Little Italy, zostałem zawieziony przez policję do komisariatu w Midtown South, gdzie miałem okazję obejrzeć wiele takich zrobionych za pomocą teleobiektywu zdjęć. Policja i FBI pytali mnie, czy przypadkiem któraś ze sfotografowanych osób nie jest tą która strzelała do Franka.

Pośród zdjęć przyjaciół, członków rodziny i współpracowników Bellarosy znajdowało się kilka ładnych fotografii przedstawiających Susan i mnie, kiedy składaliśmy w Alhambrze pierwszą sąsiedzką wizytę. Dotarło wtedy do mnie, że FBI wiedziało dużo wcześniej ode mnie, że Susan i Frank mają się ku sobie. Zastanawiałem się teraz, czy FBI wiedziało też o moim czwartym już spotkaniu z Anthonym Bellarosa. Ciekaw byłem, co się stało z agentem specjalnym Feliksem Mancuso, który tak gorliwie próbował kiedyś ratować moją duszę. Może powinienem do niego zadzwonić.

Wsiadłem z powrotem do samochodu i skręciłem w lewo, w wąską alejkę nazwaną Pine Lane, która doprowadziła mnie do ślepego zaułka, przy którym stały, oddalone od siebie o sto jardów, trzy wille z czerwonymi, spadzistymi dachami.

Znajdowałem się teraz blisko granicy ze Stanhope Hall i rzeczywiście, za willami zobaczyłem rząd sosen rozdzielających posiadłości. Zatem w linii prostej domek gościnny Susan dzieliło od willi Anthony'ego nie więcej jak pięćset jardów.

Trzy stojące obok siebie wille różniły się stylem i kolorem, a strażnik przy bramie powiedział mi, że dom Bellarosy jest żółty. Skierowałem się w stronę ostatniego domu po lewej stronie i zatrzymałem przed zadbanym trawnikiem. Wsiadłem z samochodu, pamiętając o zabraniu dżemu.

Całą szerokość podjazdu zajmowały czarny cadillac escalade, biały minivan,

który, jak przypuszczałem, należał do Megan, oraz żółta corvette - zapewne samochód Anthony'ego na wypadek ucieczki. Nad drzwiami garażu zawieszony był kosz do koszykówki.

Obok mojego samochodu stał jeszcze typowy dla mafii czarny cadillac z przyciemnianymi szybami.

Z podjazdu skręciłem na betonową ścieżkę, która zaprowadziła mnie do drzwi frontowych.

Spojrzałem na zegarek; kwadrans po czwartej. Spóźniłem się. Nad drzwiami zauważyłem kamerę; uśmiechnąłem się do obiektywu i nacisnąłem dzwonek.

## ROZDZIAŁ 31

Anthony Bellarosa został uprzedzony przez strażnika o moim przyjeździe, poza tym widział mnie na monitorze swojej kamery, więc nie okazał najmniejszego zdziwienia, otwierając drzwi.

- Witam, cieszę się, że wpadłeś. Wejdz - powitał mnie w progu.

Miał na sobie błyszczącą czarną koszulę z podwiniętymi rękawami, wpuszczoną w ciemnografitowe spodnie z zaprasowanymi zaszewkami, trzymające się na cienkim jak ołówek pasku. Mokasyny były zrobione ze skóry jakiegoś gada. Chyba nie spodziewał się dzisiaj żadnego dziennikarza z dodatku Style do „New York Timesa”.

- Dziękuję za zaproszenie - odpowiedziałem.

- Taa... Zobaczysz, tym razem mi nie uciekniesz. Założymy się?

Ciekaw byłem, czy poprosi mnie, żebym zostawił w szatni broń, ale on tylko zapytał:

- Miałeś jakieś problemy przy bramie?

Domyśliłem się, że strażnik musiał się na mnie poskarżyć za „dona Bellarose”, a Anthony chciał mi teraz pokazać, że to nie było zabawne.

- Strażnik miał chyba kłopoty ze słuchem - odpowiedziałem.

- Naprawdę? Trudno teraz o dobrych pracowników.

A skoro już mowa o kłopotach ze słuchem, to z głośników na ścianie wyl na całe gardło po włosku jakiś piosenkarz. Anthony, przekrzykując hałas, obwieścił moje przybycie słowami:

- Hej, Megan! Mamy towarzystwo!

Anthony podszedł do konsoli i ściszył muzykę.

- Świetna płyta - zachwalał.

Czekaliśmy na pojawienie się Megan. Anthony bawił się pokrętłem basów, a ja, korzystając z okazji, obejrzałem duży hol i zajrzałem do salonu i jadalni. Szczerze mówiąc, nie wyglądało to tak źle. Spodziewałem się bogato zdobionej włoskiej wersji okropieństwa pana Nasima, na szczęście Megan, i zapewne profesjonalny dekorator, zdecydowali się na współczesne i dość proste meble. Tylko na ścianach wisiało zbyt dużo olejnych krajobrazów słonecznej Italii. Zauważyłem też dwa krzyże.

Widok wchodzącej do holu Megan Bellarosy przyjemnie mnie zaskoczył. Zbliżała się do trzydziestki, była wysoka i szczupła, miała uroczo piegowatą irlandzką buzię i niebieskie oczy. Rude włosy sprawiały wrażenie naturalnych, więc jak

wiedziałem z własnego doświadczenia, musiała być albo zadziorna, albo bardzo nerwowa, albo po prostu szalona.

Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało, zastanawiając się pewnie przy tym, co strzeliło jej mężowi do głowy, żeby zaprosić mnie na obiad.

- Jest mi bardzo miło, że zostałem zaproszony - powiedziałem do niej.

- Cieszę się, że zechciał pan przyjść. Mamy dużo jedzenia. - Przestałem się martwić, że wyjem im wszystkie resztki z lodówki. - Mogę zabrać pański płaszcz? - zapytała.

Nie miałem płaszcza, tylko marynarkę, z którą niechętnie się rozstaję, więc zaoponowałem.

Nie zapomniałem też pochwalić, że mają bardzo ładny dom.

- Dziękuję. Anthony później pana oprowadzi.

Mówiła z wyraźnym akcentem niższej klasy społecznej, do której należała też jej różowa poliestrowa tunika i czarne poliestrowe obcisłe spodnie. Zważywszy na jej zgrabną sylwetkę, profesor Higgins mógłby dokonać z nią cudów.

- Domowej roboty - powiedziałem, wręczając jej słoik dżemu.

Przyjęła prezent, spojrzała na etykietę i zawołała z uśmiechem:

- O Jezu, moja babcia takie robiła.

Początek znajomości był dobry. Megan obdarzyła mnie takim miłym, szczerym uśmiechem, że przed oczami przez chwilę stanęła mi Susan. Najwyraźniej śniadym mężczyznom z rodu Bellarosów podobały się jasnoskóre kobiety z północnej Europy.

Rozmyślenia przerwał mi Anthony.

- Hej, mama nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć. Chodź.

Poszedłem za Anthonym i Megan do obszernej słonecznej kuchni. Przy umieszczonym pośrodku pomieszczenia stole stała Anna Bellarosa i kroїła ser. Kiedy mnie zobaczyła, odłożyła nóż, wytarła dłonie o fartuch i podbiegła do mnie z okrzykiem:

-John! O mój Boże!

W porę zaparłem się nogami, wyciągnąłem w jej kierunku ramiona i wtedy doszło do kolizji. Buum! Uściskała mnie mocno, a ja objąłem ją i wydyszałem tylko:

- Anno... wyglądasz wspaniale...

W rzeczywistości, jeszcze przez zderzeniem, zdążyłem zauważyć, że przybyło jej kilka funtów, co czułem teraz boleśnie, gdy pozbawiała mnie swoim uściskiem tchu. Na domiar złego wyperfumowała się okropnie i nie czułem zapachów tego, co

gotowała.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, chwyciłem ją za dłonie, żeby nie przyszło jej do głowy ponownie wziąć mnie w ramiona. W dalszym ciągu jej twarz miała wygląd cherubinka, teraz podkreślony jeszcze zbyt czerwoną szminką i różem na policzkach. Mimo to skóra pod tą tapetą wyglądała młodo. Czyżby to wpływ śródziemnomorskiej diety?

Złapałem wreszcie oddech.

- Jak dobrze cię znowu...

- John, wyglądasz świetnie - przerwała mi. - Tak się cieszę, że przyszedłeś. - Gadała tak dłuższą chwilę, wypytywała o dzieci, ale nie o moją wstrętną cudzołożnicę, zapytała też, czym się zajmuję.

Anna zwykle miała na sobie tyle biżuterii, że mogła nią zakłócać odbiór radiowy, ale tym razem nałożyła tylko złote kolczyki i obrączkę. Ubrana była w czarne spodnium, które miało podkreślać jej wdowieństwo, a na szyi wisiał na łańcuszku złoty krzyżyk.

Anna trajkotała dalej, a ja starałem się odpowiadać szybko, nim zdążyła mi przerwać. Zauważyłem, że Megan wyszła z kuchni, i przypomniałem sobie, że obie panie nie darzą się sympatią.

W końcu Anthony przerwał nieustanne trajkotanie matki.

- Okay, daj mu odetchnąć, mamó. Czego się napijesz, John? Wino, piwo, coś mocniejszego?

Potrzebowałem potrójnej szkockiej, ale poprosiłem o lampkę białego wina.

Anthony otworzył lodówkę, wyjął odkorkowaną butelkę i nalał wina do dwóch kryształowych kieliszków.

- Zrobiłam dla ciebie lasagne, John - obwieściła mi Anna. - Anthony mówił, że smakuje ci moja lasagne.

- Owszem. - Faktycznie było to moje i Susan ulubione danie z kuchni Anny.

- Mamy jeszcze antipasto na ciepło i na zimno. Stracciatelle, wspaniałe bronzini, które dostałam w Brooklynie, jest też cielęcina...

- Mamó, on nie potrzebuje...

- Anthony, *sta'zitto*.

To chyba znaczyło „zamknij się”. Muszę zapamiętać ten zwrot.

Anna deklamowała swoje menu, jakby odmawiała różaniec. Nigdy do końca nie zrozumiałem, dlaczego mnie właściwie lubiła - jeśli nie liczyć tego, że jestem czarujący



- ale jeśli pomiędzy mężczyzną i kobietą nawiązuje się przyjaźń, to zawsze jest tam obecny element seksualności. Może nie romantyczny seks, ale rodzaj freudowskiego seksu, w którym pociąg przekracza granice miłości platonicznej, ale nie dochodzi do etapu zaproszenia do łóżka. Tymczasem u Susan i Franka był to czysty popęd, który zapewne później przerodził się w miłość. Co ciekawe, Anna niczego się nie domyślała i bardzo lubiła Susan aż do chwili, gdy ta zastrzeliła jej ukochanego męża.

Anna nie dość, że mnie lubiła, to jeszcze uważała, że John Whitman Sutter może mieć dobry wpływ na męża, otoczonego jej zdaniem przez złych ludzi. Gdyby to nie było takie smutne, przypuszczalnie bym się ubawił. W każdym razie byłem pewien, że podobne myśli chodziły jej teraz po głowie, kiedy patrzyła na swojego syna.

Anna plotła dalej, Anthony próbował wpaść jej w słowo, a ja od czasu do czasu wydawałem odpowiednie dźwięki. Nagle dotarło do mnie, że kiedy powiem Anthony'emu, że jesteśmy z Susan znowu razem, postawię go w niezręcznej sytuacji, bo przecież jego matka już nie lubi mojej żony. W tej sytuacji Anthony może nie być dalej zainteresowany moją pracą w charakterze jego doradcy prawnego. Właściwie byłem tego stuprocentowo pewien.

Kiedy ja rozmyślałem, Anna doszła do wniosku, że jednak nie wyglądam wcale tak wspaniale, i podsunęła mi pod nos talerz z serem i salami.

- Jedz. Jesteś taki chudy.

Anthony roześmiał się i zaczął parodiować matkę.

- *Mangia! Mangia!* Jesteś za chudy. Teraz Anna zwróciła uwagę na syna.

- Ty też jesteś za chudy.

Anthony znów się roześmiał i nalał matce kieliszek wina.

- Pijesz za mało wina, mammo. *Beva. Beva.*

Anna zlekceważyła wino, za to spróbowała sera i salami. Dieta doktora Atkinsa?

Anthony i ja wzięliśmy po kawałku sera. Cuchnął jak Zatoka Neapolitańska, ale w smaku był dobry. Gdybym miał wybierać pomiędzy matką włoską albo białą anglosaską protestantką, wolałbym zostać sierotą.

Anna przyglądała się słoikowi dżemu, który Megan zostawiła na stole.

- Co to jest? - zapytała syna.

- John to przyniósł - wyjaśnił Anthony.

- Jak się staruszka czuje? - zapytała Anna.

- Niezbyt dobrze.

Anna zamyśliła się przez chwilę.

- Pamiętam jej męża. Przychodził tu czasem i szukał... twojej żony. - Nie odezwałem się, a Anna kontynuowała: - Jej zbyt dobrze nie pamiętam. Kiedyś sobie chwilę miło pogawędziłyśmy.

- Przekażę jej pozdrowienia od ciebie.

- Tak. Mam nadzieję, że wydobrzeje. A więc zamieszkałeś tutaj? - zmieniła temat.

- Tak.

Nie miałem wątpliwości, że Anna była bliska ostrzeżenia mnie, że w domku gościnnym pojawiła się morderczyni. Anthony chyba wyczuł, że matkę zaczynają ogarniać złe wspomnienia, więc szybko zaproponował:

- Chodźmy na zewnątrz. Muszę sprawdzić, co robią dzieci.

- Powiedz im, że zaraz obiad - przypomniała mu Anna. Wyszliśmy przez przesuwane przeszkłone drzwi na wyłożony terakotą taras, tak duży, że mógłby służyć jako zapasowe lądowisko dla promów kosmicznych. Dalej znajdował się, otoczony sześciostopowej wysokości płotem basen, którego rozmiary pozwalały swobodnie nazywać go morzem śródlądowym.

Jeszcze dalej widziałem rozciągnięty łańcuch, do którego uwiązany był wielki owczarek niemiecki. Spozrzegł mnie z daleka, zatrzymał się i szarpiąc się, zaczął na mnie czekać.

- *Stazitto!*- krzyknął Anthony, a pies, który był najwyraźniej dwujęzyczny, natychmiast się uspokoił. Podszedłem z Anthonym do basenu. Otworzył furtkę i zawołał na dzieci, które pluskały się w wodzie.

- Hej, dzieciaki! Przywitajcie się z panem Sutterem.

Spojrzały na mnie i pomachały, a potem krzyknęły jednocześnie:

- Cześć! - i wróciły do swojej zabawy.

Chłopiec, jak sobie przypomniałem, miał pięć lat i na imię Frank, a dziewczynka miała na imię Kelly Ann i wyglądała na o rok starszą. Na ich widok przypomniał mi się Edward i Carolyn, kiedy byli w ich wieku. Tak samo cieszyli się letnimi atrakcjami i nie przejmowali otaczającym ich światem.

Dopiero teraz spostrzegłem siedzącą na ogrodowym krześle pod parasolem kobietę w średnim wieku. Nie spuszczała ani na moment dzieci z oczu.

- Eva, przygotuj dzieci do obiadu! - zawołał Anthony.

Anthony odwrócił się i wróciliśmy na taras. Myślałem, że wejdziemy z

powrotem do domu, ale Anthony skierował się w stronę altany, w której, jak teraz dostrzegłem, siedzieli kobieta i mężczyzna.

Skryliśmy się w cieniu pawilonu.

- Pamiętasz wujka Sala? - zapytał Anthony.

Zaskoczył mnie do tego stopnia, że zaniemówiłem.

Na wyścielanym krześle siedział ze szklanką w jednej ręce i papierosem w drugiej nie kto inny, jak Salvatore D'Alessio, pseudo Sally Da-Da. Może to i miło jeść niedzielne obiady w gronie rodzinnym, ale żeby zapraszać wujaszka, który swojego czasu próbował ci zastrzelić tatusia? A może wyłączył mój etnocentryzm i trochę przesadzałem?

Wujek Sal nie podniósł się, zerknął na mnie, kiwnął lekko głową i wymamrotał:

- Sie masz.

- Cześć - odpowiedziałem.

Pomyślałem sobie, że takie spotkanie po dziesięciu latach powinno go nieco bardziej ucieszyć, tymczasem siedział z tym swoim papierosem i szklanką zapatrzony gdzieś w dal.

Po raz pierwszy spotkałem Sally'ego Da-Da w hotelu Plaza, gdzie Frank zaprosił do swojego apartamentu połowę mafiosów z Nowego Jorku na obalenie zwolnienia go za kaucją z aresztu. To nie była zwyczajna uroczystość, a raczej demonstracja siły. Przeróżni *capo* i pomniejsi giermkowie przyszli, by ucałować jego pierścień, pojawili się nawet jego konkurenci, by okazać szacunek *capo di tutti capi*.

Zaczepił mnie tam człowiek, którego szybko sklasyfikowałem jako neandertalczyka. Zadał mi kilka zupełnie dla mnie niezrozumiałych pytań. Potem dowiedziałem się, że był to szwagier dona Bellarosy, Salvatore D'Alessio. Dużo później wyszło na jaw, że pan D'Alessio, który w hierarchii znajdował się pod Frankiem, bardzo chciał zostać *capo di tutti capi*.

A teraz siedział przede mną, dobrze zbudowany, z farbowanymi na czarno włosami i grubymi, zrosniętymi brwiami. Takich osobników widuje się tylko w muzeum historii naturalnej. Nikt by się nie zdziwił, gdyby okrywała go tylko zwierzęca skóra, ale teraz miał na sobie luźne spodnie od dresu i rozpiętą do pępka białą koszulę, spod której wystawało obfite owłosienie. Przypuszczałem, że na rodzinny obiad nie zabrał ze sobą broni, ale jeśli ją miał, to mógł ją z powodzeniem ukryć w gęstwinie porastających jego klatkę piersiową włosów.

- Znasz moją ciotkę Marie? - zapytał mnie Anthony.

Odwróciłem się do kobiety, która wyglądała jak szczuplejszy i starszy model Anny.

- Chyba się już spotkaliśmy - odpowiedziałem.

Skinęła głową, ale nie odezwała się słowem.

Rzeczywiście, poznałem Marie D'Alessio na pogrzebie Franka Bellarosy. Siedziała wtedy obok Anny i obie bez przerwy płakały. Wtedy też widziałem po raz drugi w życiu wuja Sala. Stał wpatrzony w trumnę i wyraźnie unikał wzroku Anthony'ego.

Marie najwyraźniej nie miała nic do powiedzenia byłemu mężowi Susan Sutter, więc odwróciłem się ponownie do Sala, który bacznie mi się przyglądał. Nasze spojrzenia spotkały się.

- Kopę lat - powiedział.

To miało chyba oznaczać „dawno się nie widzieliśmy” albo „wieki minęły, odkąd ostatnio się widzieliśmy, John”.

- Kopę lat - odparłem.

Wiedziałem, dlaczego wuj Sal chciał zabić swojego szwagra, ale byłem na niego wściekły, że wybrał akurat ten wieczór, kiedy z Frankiem i jego żoną wybraliśmy się na kolację. Felix Mancuso wyjaśnił mi później, że Sally Da-Da był pewien, iż Frankowi Bellarosie nie przyjdzie do głowy, że ktoś mógłby złamać żelazną zasadę o niestrzelaniu do siebie w obecności rodziny albo niewinnych obywateli, którymi w tym wypadku byli John i Susan Sutter. Tak więc Salvatore D'Alessio zapisał sobie w swoim kalendarzu „zabić Franka” pod tą samą datą, pod którą ja zapisałem w swoim „kolacja z Bellarosami”. Powinienem jeszcze być dopisać „w restauracji Giulia”, ale kiedy ma się do czynienia z ludźmi pokroju Franka, nigdy nie wiadomo, w jakim miejscu się ostatecznie wyląduje. Był jednak człowiek, kierowca Lenny, który wiedział, dokąd pojedziemy, i nie omieszkał podzielić się tą wiadomością z Sallym. Sally z kolei nie mógł nie skorzystać z okazji.

Zerknąłem na wciąż wpatrującego się we mnie Salvatore, próbując sobie odpowiedzieć na pytanie, cóż to za człowiek, który zamierzał zabić swojego szwagra na oczach siostry swojej żony.

Jak widać, Frank Bellarosa nie znał dnia ani godziny, skoro nawet do kolacji nakładał kamizelkę kuloodporną. Dzięki niej miał tylko kilka złamanych żeber, no i przeciętą tętnicę szyjną, której kamizelka nie mogła ochronić.

- Ciotka i wujek wpadli tylko na chwilę - ogłosił dobrą nowinę Anthony.

Wuj Sal wstał, a ja zamarłem z wrażenia na widok jego potężnej postury. Nawet gdyby go całego ogolić, i tak byłby zwałistym facetem.

- Tak, już idziemy - mruknął Sal.
- Dbaj o matkę, Anthony - powiedziała ciotka, wstając.
- Oczywiście.
- Dzwonź do niej często.
- Oczywiście.
- Zapraszaj ją częściej. Nie tylko w niedziele.
- Moi bracia często ją odwiedzają.
- Odkąd nie żyje twój ojciec... - spojrzała na mnie - ...ona jest taka samotna.
- W Brooklynie ma z pięćdziesiąt kuzynek.
- Każdy ma swoje życie.
- Jasne, ciociu, dziękuję.

Podczas tej wymiany zdań wuj Sal stał z twarzą bez wyrazu i pewnie myślał, że jego żona marnuje czas na rozmowy z potencjalnym trupem. Nie znałem, oczywiście, jego myśli, ale przypuszczałem, że wciągnął Anthonyego na listę śmierci. A może wypracowali jakiś kompromis w stylu: „ty, Anthony, zajmiesz się narkotykami, prostytutką i lichwą, a ja hazardem, wymuszeniami i kradzieżami”. To byłoby najlepsze rozwiązanie.

- Dzięki, że wpadliście - odezwał się Anthony.

- Twoja matka dobrze się trzyma - zauważył wuj Sal, przydeptując butem niedopałek papierosa.

Anthony spojrzał na leżący na jego ślicznym czystym tarasie niedopałek, ale nie odezwał się słowem. Może sobie pomyślał: Po co się denerwować, on i tak jest już trupem.

Czyż to nie byłoby cudowne, gdyby Anthony Bellarosa i Salvatore D'Alessio nawzajem się wystrzelali?

Całe szczęście, że nie powiedziałem tego głośno.

- To czym się teraz zajmujesz? - zagadnął mnie wuj Sal.
- Tym samym co zawsze.
- Tak? To znaczy czym?

Anthony postanowił przerwać tę dyskusję.

- John jest moim doradcą podatkowym - powiedział.
- Naprawdę? - Wuj Sal spojrzał na mnie przeciągle, jakby chciał powiedzieć:

„Szkoda, że moi chłopcy cię nie załatwili u Giulia”. A może tylko mi się tak zdawało.

- Idę do środka - obwieściła ciotka Marie i przypomniała jeszcze Anthony'emu  
- Matka cię potrzebuje.

Staliśmy z Anthonym i Salvatore z milczeniem. Przyszło mi do głowy, że może powinienem zostawić ich samych. Z drugiej strony nie chciałem wracać do kuchni pełnej kobiet - tak postępują tylko pedały, więc powiedziałem:

- Pójdę się przejść. - I zwróciłem się do wuja Sala: - Miło cię znowu widzieć.

- Taa...

- Masz wizytówkę?

- Co?

- *Ciao*. - Poszedłem w stronę basenu na taką odległość, że nie mogły mnie dosięgnąć ani ich słowa, ani kule.

Spojrzałem na połyskującą wodę, a potem na śledzącego mnie wzrokiem owczarka, który, nie wiedząc czemu, przypominał mi Salvatore D'Alessio.

Salvatore D'Alessio - dla przyjaciół Sally Da-Da, dla siostrzeńca wuj Sal - był realną istotą. Nie udawał jak inni, że uwielbia szefa mafii. Był podły i niebezpieczny. Gdybym miał obstawiać, kto kogo zastrzeli pierwszy, założyłbym się, że to wuj Sal będzie na pogrzebie Anthony'ego, a nie odwrotnie.

Z drugiej strony Anthony miał większą motywację - osobistą wendetę - poza tym wyglądał na inteligentniejszego, choć to akurat nie musiało mu wcale pomóc.

Podsumowując: Anthony chciał zabić wuja Sala; wuj Sal chciał zabić Anthony'ego; wuj Sal wciąż jeszcze mógł być na mnie zły za uratowanie życia Frankowi, co sprawiło, że zyskał wizerunek niekompetentnego mafiosa; Anthony chciał zabić Susan; ja życzyłem śmierci; Anthony'emu i Salvatore.

I kto powie, że niedzielne rodzinne obiady są nudne?

## ROZDZIAŁ 32

Spostrzegłem, że wuj Sal zniknął, a Anthony siedzi samotnie na krześle w altance. Przysunąłem do niego swoje krzesło. Niedopałek papierosa zniknął z tarasu.

Żaden z nas się nie odezwał, choć wydawało mi się, że za chwilę Anthony pocieszy mnie słowami: „Pod tą mierzwą włosów kryje się wielkie serce”. Tymczasem Anthony zachowywał się tak, jakby wuja Sala tu w ogóle nie było.

- To prawdziwa modliszka - opisał swoją ciotkę Marie.

Nie byłem pewien, czy mam ochotę to komentować, ale Anthony dalej kpił z publicznych wystąpień ciotki. Czuł nieodpartą potrzebę podzielenia się ze mną swoim zdaniem na jej temat.

- Wygląda na to, że cię bardzo lubi i kocha swoją siostrę - powiedziałem.

- Tak. Pewnie. Ma dwóch synów. Obaj mieszkają na Florydzie. Nikt ich nigdy nie widział.

Pomyślałem, że może pożarł ich własny ojciec, ale Anthony zaraz wyjaśnił:

- Rzną tylko panienki na plaży.

Nie skomentowałem tego.

Usiadł wygodniej i zapalił papierosa. Wizyta wuja Sala najwyraźniej wpędziła go w zły nastrój i pewnie teraz zastanawiał się nad sposobem zakończenia tego rodzaju wizyt na zawsze. Właśnie dlatego jego myśli krążyły wokół żony i synów wuja. Ciotka była modliszką a on uczyniłby ją chętnie wdową. Kuzynów nie musiał się obawiać, nie stanowili dla niego zagrożenia.

A może przesadzałem. Może Anthony myślał tylko o przygotowywanej przez matkę lasagne.

- Twój wuj dobrze wygląda - zagadnąłem.

- Tak - odpowiedział. - Używa tej samej pasty do czyszczenia butów i przyciemniania włosów. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. - Zapytałeś go wizytówkę.

- Chciałem wiedzieć, czym się zajmuje.

Uśmiechnął się jeszcze raz.

- Rodzinny interes. Nie zauważył, że się z niego nabijasz.

Całe szczęście.

- Masz jaja - zauważył.

Nie odezwałem się, ale temat jaj powrócił.

- Powinienem mu ten niedopałek wsadzić w dupę, ale zawsze kiedy się na niego wkurzam, wszyscy mówią, że się nad nim znęcam.

- Dobrze to rozegrałeś - upewniłem go. - W końcu to twój wujek.

- Wiem. I dlatego winien mu jestem szacunek. Prawda?

- Oczywiście.

Przynajmniej do czasu, aż go zabijesz.

- Ale on też powinien mi okazywać szacunek.

- Zgadzam się z tobą.

Nie miałem wątpliwości, że w świecie Anthony'ego ludzie ginęli z dużo bliższych powodów niż rzucenie niedopałka na taras gospodarza. Ważny był szacunek, związki rodzinne, hierarchia i utrzymanie równowagi sił. Może właśnie dlatego tych dwóch jeszcze nie skoczyło sobie do gardeł. Na razie nawzajem się wkurzali. Nadejdzie jednak moment, kiedy jeden albo drugi nie wytrzyma.

- Lepiej go nie wkurwiał - poradził mi. - On się nie zna na żartach.

Mogłem się założyć, że ich po prostu nie rozumie.

- Wygląda na to, że to będzie pracowity tydzień - powiedział Anthony.

Nie bardzo wiedziałem, do czego to się miało odnosić, ale ponieważ nie była to chyba rzucona bez związku uwaga, więc zapytałem:

- Dlaczego?

- Z tego, co słyszałem, Johnowi Gottiemu zostało tylko kilka dni.

Nie odpowiedziałem.

- Trzy dni potrwa czuwanie przy zwłokach, a potem będzie uroczysty pogrzeb - ciągnął.

Nadal milczałem.

- Więc muszę tam być. Nie łączyły mnie z nim żadne interesy, ale znam jego rodzinę, więc muszę im okazać szacunek.

Wystarczy, że się tam człowiek pojawi, a już niektórzy wyciągają błędne wnioski. No pewnie, szczególnie policja i dziennikarze mogą cię wziąć za gangstera.

- Ty przyszedłeś na pogrzeb mojego ojca. Mimo że go nie szanowałeś.

Sam nie wiedziałem, dlaczego wtedy poszedłem na pogrzeb. Może czułem się winny... bo moja żona go zabiła. Owszem, nie darzyłem Franka szacunkiem, ale mimo wszystko go lubiłem.

- Lubiłem twojego ojca - powiedziałem. - I matkę też.

Spojrzał na mnie i pokiwał głową.



- Teraz, po latach, zdałem sobie sprawę, że naprawdę jesteś facetem z jajami. Żeby przyjść na pogrzeb człowieka, którego zamordowała twoja żona...

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Założę się, że nieźle za to oberwałeś od przyjaciół i rodziny.

Właściwie to nie. A to dlatego, że nikt ze mną nie chciał w ogóle rozmawiać. Tylko mój ojciec skomentował: „Oto przykład błędnej decyzji, John”. Nawet moja matka powiedziała wtedy: „Coś ty sobie właściwe myślał?”. Zadzwoiła też do mnie moja siostra Emily i powiedziała: „Widziałam cię w telewizji podczas pogrzebu Bellarosy. Byłeś tam samotny jak palec”.

- Prasa pewnie też cię nie oszczędzała - mówił dalej Anthony.

Było kilka wzmianek, ale niespecjalnie krytycznych. Media skupiły się na ironicznym wydźwięku tego, że mąż morderczyni pojawił się na pogrzebie. Może dziennikarze nie wiedzą, co to ironia.

Moja przyjaciółka Jenny Alvarez złagodziła nieco ton wypowiedzi na mój temat, mówiąc przed kamerami, że: „Anonimowe źródła opisują Johna Suttera jako człowieka, który przedkłada obowiązki zawodowe nad osobiste odczucia i jako adwokat Franka Bellarosy czuł, że powinien towarzyszyć rodzinie zmarłego klienta”.

Była to lekka przesada, żeby nie powiedzieć sprzeczność, ale Jenny lubiła mnie, a jeśli jakiś dziennikarz cię lubi, to zawsze znajdzie albo wymyśli jakieś anonimowe źródło, które cię zachwala. Gdyby była zupełnie szczerą, dodałaby: „Aby dopełnić tego obrazu, muszę dodać, że spałam z panem Sutterem”.

- Byłoby świetnie, gdybyś ze mną pojechał - Anthony wyrwał mnie z zamyślenia.

Uważałem, że jeden pogrzeb mafiosa to i tak za dużo jak na mnie.

- Mam bardzo pracowity tydzień. Ale dziękuję.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

Obaj milczeliśmy dobrą minutę. Anthony palił papierosa i w zamyśleniu patrzył na swój basen.

Nie jestem miłośnikiem mafii, ale jako bystry adwokat, który pracował kiedyś dla Franka Bellarosy, zacząłem układać sobie wszystko w całość. Śmierć Johna Gotti może wywołać stan niepewności wśród jego partnerów w interesach. Skoro Anthony i Sally Da-Da przez tyle lat utrzymywali rozejm, to być może był on narzucony przez kogoś takiego jak John Gotti. Jeśli moje rozumowanie było poprawne, za kilka dni Anthony i jego wujek będą mogli się swobodnie pozabijać. Pewnie dlatego Anthony

był taki ostrożny.

Przyszło mi jeszcze do głowy, że Susan również mogło częściowo dotyczyć to zawieszenie broni. Mafia zajmowała się przede wszystkim zarabianiem pieniędzy i nie lubiła złej prasy. Tyle że po śmierci Gottiego Anthony może nabrać ochoty, żeby się z Susan policzyć.

Istniała jeszcze inna możliwość - może spędzałem zbyt dużo czasu z Anthonym i zacząłem myśleć takimi samymi kategoriami jak on i jego koledzy.

Temat zbliżającej się śmierci Johna Gottiego zdawał się wyczerpany, a jeszcze nie wołano nas na obiad, więc pomyślałem, że to jest odpowiednia chwila, by przekazać Anthony'emu dobrą wiadomość na temat Susan i mnie.

- A co robią twoje dzieci? - zapytał Anthony, nim zdążyłem się odezwać.

Na długo przedtem, nim w moim życiu pojawili się Bellarosowie, nauczyłem się zachowywać ostrożność, gdy ktoś pytał o to, gdzie mieszkają i co robią moje dzieci. Co prawda Sutterowie czy Stanhope'owie nie byli ludźmi z pierwszych stron gazet jak Bellarosowie, ale rodzina Stanhope'ów była bogata. Zawsze łudziłem się nadzieją, że ktoś porwie Williama i zażąda za niego miliona dolarów okupu, a Charlotte nie zechce zapłacić.

- Mój syn mieszka na zachodnim wybrzeżu, a córka jest asystentką prokuratora okręgowego w Brooklynie.

Ta informacja najwyraźniej go zainteresowała.

- Tak? Pracuje dla Joego Hynesa?

Słynny brooklyński prokurator nazywa się Charles J. Hynes, ale przyjaciele mówią na niego Joe. Nie przypuszczałem by panowie Hynes i Bellarosa byli przyjaciółmi, ale mogli znać się na płaszczyźnie zawodowej.

- Współpracuje z federalnymi w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej - skłamałem.

Nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności.

Anthony zastanawiał się chwilę, a potem spojrział na mnie bardzo uważnie

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- A dlaczego miałbyś słyszeć? - zapytałem niewinnym tonem.

- To znaczy... no tak. Tam się niedużo zarabia.

- Nie chodzi o pieniądze.

Roześmiał się.

- Naprawdę? No tak, jak już się ma pieniądze, to potem można sobie nimi nie

zawracać głowy.

- Przecież ty masz pieniądze. Naprawdę tak myślisz?

- Czasami - odpowiedział. - A czasami chodzi o władzę.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - Zapalił kolejnego papierosa i powiódł wzrokiem po swoich pięciu akrach ziemi i sąsiednich posiadłościach. - To wszystko należało do mojego ojca.

Przemilczałem to.

- Musisz sprawić, żeby mi to zrekompensowali - ciągnął.

Byłem już zmęczony tym tematem, więc milczałem dalej. Poza tym nadszedł czas, żeby mu powiedzieć, że Susan i ja znów jesteśmy razem i że nie zamierzam dla niego pracować.

- Dlaczego powiedziałeś swojemu wujowi, że jestem twoim doradcą podatkowym? - zapytałem.

- Bo jesteś.

- Nie dobiliśmy interesu.

- Wahasz się?

- Już nie.

- Chcesz wycisnąć ze mnie więcej forsy?

- Pieniądze są dobre, tylko praca do dupy.

- Jeszcze nie spróbowałeś.

Zignorowałem jego słowa i powtórzyłem pytanie:

- Dlaczego powiedziałeś wujowi, że dla ciebie pracuję?

- Jemu się wydaje, że masz władzę. Odpowiednie kontakty. I niech tak uważa.

- Skąd mu to przyszło do głowy?

- Bo jest głupi.

- Rozumiem. - Król zatrudnia czarnoksiężnika, który nie ma magicznych mocy, choć wszyscy uważają, że ma.

Może powinienem zażądać większej gaży? A przynajmniej kamizelki kuloodpornej, na wypadek gdyby Sally Da-Da chciał mnie ukarać kulką za pracę dla Anthony'ego.

- Jak będziesz dla mnie pracował, nie będziesz miał do czynienia z moim wujkiem.

- Co za szkoda.

Anthony dostrzegł sarkazm i zachichotał.

- Moja córka pracuje w biurze prokuratora okręgowego, więc może jednak nie chcesz, żebym był twoim adwokatem - podjąłem beznadziejną próbę.

- Nigdy nie będziesz miał do czynienia z czymś, czym zajmuje się twoja córka.

Przyszła mi do głowy zabawna myśl. Moja córka prowadząca śledztwo w sprawie Rząd przeciwko Johnowi Sutterowi. „Przepraszam, tato, taka praca. Nie traktuj tego osobiście”.

- Może nie, ale jeśli dziennikarze połączą ciebie, mnie i ją, będzie to dla niej bardzo kłopotliwe.

- Niby dlaczego?

- Anthony, może będziesz poruszony tym, co powiem, ale są ludzie, którzy uważają, że jesteś uwikłany w przestępczość zorganizowaną.

Wcale nie wydawał się poruszony. Nawet się nie rozżłościł, że tak mówię.

- John, jestem właścicielem pięciu legalnych przedsiębiorstw. Jedno z nich, Bell Security Service, po jedenastym września podpisuje poważne kontrakty. Oto źródło moich dochodów. - Pochylił się w moją stronę. - Tyle powinienes wiedzieć, i tyle jest w tej sprawie do powiedzenia. Nic nie poradzę na to, jakie nazwisko nosi moja rodzina. A jeśli jakiś dupek napisze coś na mój temat w gazetach, pozwę go do sądu.

Zabrzmiało to tak wiarygodnie, że gotów byłem natychmiast przystąpić do Włosko-Amerykańskiej Ligi Przeciwko Zniesławieniom. Ale nim to zrobię, porozmawiam sobie najpierw z Feliksem Mancuso.

Anthony sięgnął do kieszeni.

- Chcesz wizytówkę? Oto moja wizytówka.

Wziąłem ją do ręki. Zwyczajna wizytówka z nazwą firmy „Bell Enterprises, Inc.” i adresem w Rego Park w Queens. Numer kierunkowy siedemset osiemnaście również należał do Queens.

- Widzisz, jestem praworządnym biznesmenem - pochwalił się Anthony.

- Jasne. Oto dowód.

Nie uznał moich słów za zabawne.

- Z tyłu jest mój numer komórkowy i stacjonarny. Zatrzymaj ją sobie.

Niewiele już pozostało do dodania, a na obiad wciąż jeszcze nas nie proszono.

- Anthony... - zacząłem.

Miałem dla niego dobrą i złą wiadomość.

- Chciałbym, żebyś wiedział, że...

Z domu wybiegła Kelly Ann.

- Obiad za dziesięć minut...! - zawołała. A potem zobaczyła w popielniczce papierosa. - Tato! Palisz! Chcesz umrzeć?!

Moim osobistym zdaniem tatuś nie będzie żył wystarczająco długo, żeby umrzeć z powodu palenia, ale nie podzieliłem się swoimi przemyśleniami z dzieckiem. Przyłapany Anthony zwałił winę na mnie.

- To pan Sutter pali, kochanie. To nie mój papieros. Prawda, John?

- Zgadza się. - Wyciągnąłem rękę po leżącego w popielniczce papierosa, ale Kelly Ann nie była głupia.

- Kłamczuch! Kłamczuch! - zawołała, odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu. Ze środka było słyhać jej krzyk: - Mamo! Tatuś pali!

Anthony zabrał ode mnie papierosa, zaciągnął się głęboko i szybko go zgasił.

- Cholerni nauczyciele. Mówią im, że narkotyki, alkohol i palenie to to samo. Mieszają dzieciakom w głowach.

Nie skomentowałem tego, ale pomyślałem ze współczuciem o biednym Anthonym otoczonym przez wciąż patrzące mu na ręce modliszkowate kobiety. Matka, ciotka, żona, córka. Kochanka pewnie była podobna. Dziwne, że nie został gejem. Ale najciekawsze było to, że wcale nie panował nad toczącym się w domu życiem. W przeciwieństwie do swojego ojca, który był prawdziwym *padrone* w Alhambrze. Brakowało mu jaj. Nie potrafił nawet powiedzieć swojej sześciolatniej córce *sta'zitto*. To tylko moje zdanie, a te dwa słowa to połowa tego, co potrafię powiedzieć po włosku. Przyszło mi też do głowy, że skoro z niego taka miernota, to Susan nie ma się czego obawiać.

- Chciałbym skorzystać z twojego telefonu - powiedziałem, wstając.

- Bardzo proszę. - Anthony zaprowadził mnie do podwójnych drzwi balkonowych i poradził: - Skorzystaj z komórki.

- Zostawię koło telefonu ćwierćdolarówkę.

- Pogadaj dłużej i zostaw dolara. - Otworzył drzwi. - To mój gabinet. Stąd trafisz do jadalni.

Wszedłem do ciemnego, klimatyzowanego pokoju i zamknąłem za sobą drzwi.

Pokój miał typowo męski wystrój - mahoń, mosiądz, skóra, dobrze zaopatrzony barek i wielki telewizor. Byłem pewien, że tu właśnie się ukrywa, kiedy poziom estrogenów w domu przekracza stan krytyczny.

Na ścianach półki uginały się pod książkami. Rozpoznałem kolekcję jego ojca z Akademii Wojskowej La Salle. Jak już wcześniej wspominałem, Frank był wielkim miłośnikiem Machiavellego, ale czytywał też świętego Augustyna i świętego Ambrożego i potrafił wieść dysputy z księżmi. Ciekawe, gdzie był teraz i z kim dyskutował.

Anthony, dla odmiany, wołał pogan. Całe półki wypełniały książki o cesarstwie rzymskim. Zdawałem sobie sprawę, że Anthony nie jest pierwszym mafiosem będącym pod wrażeniem sposobu, w jaki Rzymianie rządili i rozwiązywali problemy, wyrzynając w pień całe narody. Niestety ludzie do niego podobni zdobywali wykształcenie, które przekraczało ich inteligencję, i byli dużo bardziej niebezpieczni niż, na przykład, wuj Sal.

Znalazłem telefon na biurku i zadzwoniłem na komórkę Elizabeth. Telefon dzwonił, a w mojej głowie pojawiły się dwie myśli: pierwsza to taka, że Anthony nie trzyma na biurku niczego, czego nie powinienem oglądać ani ja, ani jego żona, ani FBI; druga - że jego telefon podsłuchuje co najmniej jedna agencja zajmująca się respektowaniem prawa, a niewykluczone, że także konkurenci z branży. Możliwe też, że sam nagrywał rozmowy ze swojego telefonu, choćby po to, by kontrolować Megan. Z drugiej strony, w dobie telefonów komórkowych, kto zawracałby sobie głowę zakładaniem podsłuchu na telefonie stacjonarnym. W każdym razie muszę uważać na to, co mówię.

Poczta głosowa Elizabeth poinformowała mnie, że nie może ona w tej chwili odebrać, i zapraszała do pozostawienia wiadomości po sygnale.

- Elizabeth, tu John - rzuciłem do słuchawki. - Przepraszam, ale nie możemy się spotkać o siódmej. - Zawahałem się i dodałem: - Mam spotkanie z Susan. Mam nadzieję, że u twojej mamy wszystko w porządku. Zadzwonię jutro.

Rozłączyłem się i wybrałem numer Susan.

- Cześć, to ja - powiedziałem.

- Cieszę się, że dzwonisz. Jak ci idzie?

- W porządku...

- Powiedziałeś mi?

- Jeszcze nie. Nie mogę teraz swobodnie rozmawiać.

Pomyślała chyba, że naszą rozmowę słyszy Anthony. Nie przyszło jej do głowy, że telefon może być na podsłuchu.

- Powiem ci, co się stało. Kiedy pakowałam twoje rzeczy w stróżówce,

zadzwoił telefon. Odebrałam go.

- Świetnie... - Samantha? Elizabeth? Irańscy terroryści?

- To była Elizabeth. Szukała cię.

- No jasne. W końcu tam mieszkam.

- Powiedziała, że stan matki się pogorszył i zapadła w śpiączkę.

- Przykro mi to słyszeć, ale wiemy, że...

- ...i że nie może się z tobą spotkać o siódmej.

- Aha... Chciała mnie zaprosić na kolację, żeby podziękować za...

- Tak właśnie mówiła. Skorzystałam z okazji i powiedziałam jej, że znów jesteśmy razem.

- Świetnie. Miała nadzieję, że tak się stanie.

- Odniosłam z naszej krótkiej rozmowy zupełnie przeciwne wrażenie. Wydawała się zaskoczona.

- Naprawdę? No cóż, ja też jestem zaskoczony. Dobrze, niech się tylko pozbędę Anthony'ego...

- Powiedz mu po prostu, że musisz już wyjść. Powiedziałam Elizabeth, że spotkamy się w Fair Haven. Zresztą możesz do niego zadzwonić później i powiedzieć mu wszystko.

- Nie, Susan, muszę to zrobić teraz. Osobiście. Dojadę za jakiś kwadrans.

- No dobrze. Powodzenia. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Odłożyłem słuchawkę i rozejrzałem się jeszcze raz po pokoju. Nad kominkiem wisiała reprodukcja Porwania Sabinek Rubensa. Ten obraz więcej mówił o stanie umysłu Anthony'ego niż o jego gustach malarskich.

Już miałem wyjść, kiedy spostrzegłem stojący na sztalugach znajomy obraz. To było dzieło Susan przedstawiające zrujnowaną palmiarnię. Po raz pierwszy i ostatni zarazem widziałem to płótno w odnowionej palmiarni, gdzie kilka jardów dalej leżały zwłoki Franka Bellarosy, a artystka stała zakuta w kajdanki.

Wtedy uważałem ten obraz za jeden z najlepszych, jakie Susan namalowała. Pamiętam też, że dopatrzyłem się wówczas analogii między widokiem ruin a jej stanem psychicznym. Nawet dzisiaj nie jestem pewien, czy nie miałem racji. Pamiętam też, jak jednym uderzeniem pięści rozerwałem płótno i zrzuciłem je na ziemię.

Podszedłem bliżej do obrazu. Ktokolwiek go restaurował, zrobił to

perfekcyjnie. Gdyby tak można było naprawić własne życie...

Ciekaw byłem, kto podjął się restauracji, dlaczego jej dokonano i dlaczego płótno znajdowało się w gabinecie Anthony'ego Bellarosy. W prawym dolnym rogu widniał podpis Susan, więc Anthony doskonale wiedział, kto był autorem dzieła.

Mogłem się jeszcze długo tak zastanawiać i wymyślać dziesiątki mniej lub bardziej prawdopodobnych teorii. Mogłem też po prostu zapytać o to Anthony'ego. Tyle że wprowadziłbym niepotrzebny zamęt. Najwyższy czas, żeby mu powiedzieć, że nie zamierzam dla niego pracować, i poradzić, żeby trzymał się z daleka od mojej dawnej i przyszłej żony.

Kiedy Cezar przekroczył Rubikon, wiedział, że nie ma odwrotu, i z tą myślą chwyciłem z biurka nóż do papieru, podszedłem do obrazu i pociąłem płótno na strzępy. Potem wyszedłem z gabinetu i ruszyłem długim korytarzem w stronę jadalni, gdzie podawano już obiad.



## ROZDZIAŁ 33

Długi stół w jadalni został nakryty dla sześciu osób. Stały na nim półmiski z antipasto, bochen włoskiego chleba i butelka czerwonego wina.

Anthony królował u szczytu stołu. Po prawej stronie siedziała Megan, po lewej jego matka. Dzieci zajęły miejsca obok matki. Anna nakładała sobie na talerz salami i ser.

- Siadaj tutaj, obok mnie - powiedziała.

- Przepraszam, ale muszę iść - wytłumaczyłem się.

Anna zamarła w bezruchu.

- Iść? Dokąd?

- Ethel Allard, ta, która mieszkała w stróżówce, jest teraz w hospicjum i właśnie zapadła w śpiączkę - wyjaśniłem.

- To okropne - odezwał się Anthony.

- Przepraszam, ale muszę tam jechać, na wypadek gdyby... - spojrzałem na dzieci - ... odeszła dzisiaj.

Anna przeżegnała się; tylko ona jedna.

- Co to jest śpiączka? - zapytał mały Frank.

Anthony podniósł się.

- Oczywiście. Nie ma sprawy. Jeszcze będzie okazja.

- Zadzwoń i powiedz, co się dzieje - powiedziała Megan, wstając

- A co się dzieje, jak się zapada w śpiączkę? - zainteresowała się Kelly Ann.

- Dam ci coś na wynos - zaoferowała się Anna.

- To bardzo miło z twojej strony, ale spieszę się. - Spojrzałem na Anthony'ego i wskazałem ruchem głowy drzwi.

- Odprowadzę cię - powiedział.

Uściskałem w pośpiechu Annę, życzyłem wszystkim smacznego i poszedłem za Anthonym do holu.

- Odezwij się, jak będziesz coś wiedział. O śmierci Gottiego dowiesz się z prasy. Jak już będzie po wszystkim, skontaktujemy się.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponowałem.

Spojrzał na mnie, obejrzał się w stronę jadalni i zawołał:

- Zaczynajcie beze mnie. - Otworzył drzwi, wyszliśmy i zatrzymaliśmy się pod portykiem. Skorzystał z okazji, żeby zapalić papierosa, i zapytał: - Co się stało?

- Susan i ja postanowiliśmy wrócić do siebie - oznajmiłem.

- Co?

- Susan. Moja była żona. Wróciliśmy do siebie.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz?

- A kiedy miałem ci powiedzieć?

- Wczoraj.

- Wczoraj jeszcze o tym sam nie wiedziałem. A jaka to różnica?

Odpowiedział nie wprost.

- Wiesz co, nigdy nie potrafiłem zrozumieć facetów, którzy wracają do niewiernej żony.

Chciałem mu już zaproponować, żeby się pieprzył, ale to byłby koniec naszej rozmowy, a miałem mu jeszcze coś do powiedzenia.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miał takiego dylematu.

Moje słowa najwyraźniej go rozzłościły.

- Ja wiem, co bym w takiej sytuacji zrobił, ale ty rób, co chcesz.

- Dziękuję. Waśnie to robię.

- Myślałem, że jesteś mądrzejszy, John. Ze masz dla siebie więcej szacunku.

Nie zamierzałem pozwolić mu, żeby mnie obrażał.

- Gównu cię to obchodzi.

- A jednak - odparł. - To chyba zmieni nasze stosunki.

- Nigdy nie było żadnych stosunków.

- Pieprzysz. Zawarliśmy umowę, dobrze o tym wiesz.

- Nieprawda. Ale skoro się upierasz, to umowa jest nieważna.

- Tak. Jeśli do niej wrócisz, zrywamy naszą umowę. Chyba że... zmienisz zdanie.

- Nie zmienię. Może ty powinieneś zmienić zdanie na jej temat

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz co.

- A ty wciąż o tym? Daj spokój, John. Mówiłem ci już... minęło wiele lat Nie denerwuj się. Ożeń się z nią. Wszystkiego najlepszego.

Uważał na to, żeby nie powiedzieć czegoś, co skłoniłoby mnie do pójścia na policję. Na wszelki wypadek upewnił mnie jeszcze:

- Kobiety, dzieci i debile są zawsze niewinni. Rozumiesz? Takie obowiązują

zasady.

- Ktoś próbował zamordować twojego ojca na oczach jego żony - przypomniałem mu. - Ona też mogła zginąć. Czyżby ktoś zapomniał o zasadach? Spojrzał na mnie przeciągle.

- Nie twój interes.

- Wybacz, Anthony, ale kiedy to się działo, stałem obok twojego ojca. Więc to był mój interes.

- To nie jest twój interes - powtórzył po namyśle.

- No dobrze. Nie chcę cię zatrzymywać. Dziękuję za gościnę. Masz bardzo miłą rodzinę. Najbardziej przypadł mi do gustu wujek Sal. A żeby nie było żadnych niedomówień w sprawie Susan Sutter, powiem ci teraz jako jej adwokat, że zamierzam wysłać ją na policję, żeby złożyła zeznania pod przysięgą, że czuje się z twojej strony zagrożona. Zatem jeśli cokolwiek się jej przydarzy, policja będzie wiedziała, do kogo trafić. *Capisce?*

Spodziewałem się, że wpadnie w szal, tymczasem stał spokojnie i wpatrywał się we mnie.

- Miłego dnia - powiedziałem, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem przez trawnik.

- John.

Odwróciłem się przygotowany, że zobaczę wycelowaną w siebie broń, ale on tylko podszedł do mnie i zaczął mówić pojednawczym tonem:

- Posłuchaj, John, ta skarga na policji jest niepotrzebna. Porozmawiajmy jak mężczyźni.

- Już rozmawialiśmy.

- Myślałem, że zrozumiałeś moje słowa. O tym, co zrobiłeś dla mojego ojca. Tamtego wieczoru, kiedy cię odwiedziłem, powiedziałem, że mam wobec ciebie dług wdzięczności za uratowanie mu życia. Pamiętasz? Nie bardzo wtedy wiedziałem, o co ci chodzi, ale teraz rozumiem. To nigdy nie stanowiło dla mnie problemu. Ale skoro uważasz, że problem istnieje, i jeżeli oczekujesz ode mnie takiej właśnie przysługi, to masz ją. Przysięgam na grób swojego ojca.

Gdybym mu wierzył, na tym pewnie byśmy zakończyli. Gdybym miał wybierać pomiędzy złożeniem skargi na policji a uwierzeniem w jego słowo honoru, bez wahania pognałbym na posterunek. I jeszcze kupił broń.

Anthony czekał na odpowiedź, która nie nadchodziła.

- Rozstańmy się bez żalu. Każdy pójdzie swoją drogą, a ty możesz przestać się martwić. W ten sposób obaj wyświadczymy sobie nawzajem przysługę.

Nie chciałem, żeby Anthony Bellarosa żył w przeświadczeniu, że wyrządza mi jakąkolwiek przysługę, nawet jeśli obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że kłamię.

- Twój ojciec już mi odplacił za uratowanie życia. Nie jesteś mi nic winny.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę? Odplacił? To dobrze. Ale ja chcę odplacić jeszcze raz.

- Niczego od ciebie nie chcę.

- Tak? - Zaczynał się niecierpliwić i złościć na mnie. - Jesteś dupkiem. Wynoś się stąd.

Tym razem ja się bardzo wkurzyłem i postanowiłem uświadomić Anthony'emu, jak jego ojciec odplacił mi za uratowanie mu życia. Podszedłem do niego.

- Co?

- Twój ojciec zakochał się w mojej żonie, a ona w nim. Zamierzali razem uciec, zostawiając ciebie, twoich braci i twoją matkę...

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- Ale zawdzięczał mi życie, więc...

- On ją tylko posuwał. To wszystko. Pieprzył ją dla sportu.

- Więc poprosiłem go, żeby powiedział jej, że wszystko skończone. Ze nigdy jej nie kochał...

- Gówno prawda.

- Zrobił to dla mnie, ale niestety zakochana Susan wpadła w szal i...

- Wynoś się stąd.

- Anthony, zrozum, właśnie dlatego go zabiła. Kochała go, a on kochał ją. Złamał obietnicę, że zabierze ją do Włoch w ramach programu ochrony świadków.

- Skąd ty to, kurwa, wiesz...?

- Był świadkiem koronnym. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. - Milczał, więc dodałem: - Chciałeś poznać prawdę o swoim ojcu, no to ją masz.

Zbliżył swoją twarz do mojej.

- To nie zmienia faktu, że ona to zrobiła - wycedził. - Dobrze o tym wiesz.

Położyłem dłoń na jego piersi i odepchnąłem od siebie. Stanął w miejscu i patrzył mi w oczy.

- To brzmi jak groźba. Czy to jest groźba? - spytałem.

Powinien się w tym momencie wycofać, ale trafiłem w jego czuły punkt.

- Traktuj to, jak chcesz.

- Traktuję to jak groźbę. Policja będzie tego samego zdania.

Nie odezwał się, więc odwróciłem się i ruszyłem w stronę samochodu.

- Wydaje ci się, że tacy jak ty nie muszą się bać takich jak ja. Grubo się mylisz, mecenasie.

Ucieszyło mnie, że wreszcie zrozumiał, ale nie byłem pewien, czy jest tak błyskotliwy jak jego ojciec i czy będzie wiedział, kiedy powinien się zamknąć i wyprowadzić stąd.

Wsiadłem do samochodu; gdy odjeżdżałem, wciąż stał na trawniku i odprowadzał mnie wzrokiem.

Teraz nie musiałem już chronić Susan z oddali; byliśmy razem.

Zatrzymałem się w miejscu, gdzie kiedyś stała rezydencja. Przypomniałem sobie, jak siedziałem z Frankiem Bellarosa w bibliotece. Paliliśmy cygara i piliśmy grappę, rozmawialiśmy o Machiavellim i o oskarżeniu o morderstwo. Nim się zorientowałem, już stałem się członkiem rodziny. Historia się tym razem nie powtórzyła, ale to ona kierowała naszym losem.

Kiedy po raz ostatni widziałem Bellarosę, leżał na wpół nagi, martwy na podłodze palmiarni pod antresolą. Spojrzałem na miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się palmiarnia, a teraz asfaltowa droga prowadziła do garażu jednego z domków, i wyobrażałem sobie leżącego tam Franka.

Rozejrzałem się po raz ostatni, świadomy tego, że już pewnie nigdy nie pojawię się na terenie Alhambry, i ruszyłem dalej. Przejechałem obok stróżówki i skręciłem w prawo w Grace Lane. Od domku gościnnego w Stanhope Hall dzieliło mnie ćwierć mili.

## ROZDZIAŁ 34

Przejechałem przez otwartą bramę Stanhope Hall, minąłem stróżówkę, zadrzewioną aleją dotarłem do domku gościnnego i zatrzymałem samochód obok lexusa Susan.

Wysiadłem i poszedłem do drzwi frontowych. Susan nigdy nie zamykała drzwi na klucz, więc otworzyłem je, wszedłem do holu i jak to miałem w zwyczaju, zawołałem:

- Kochanie, wróciłem.

Nie było żadnej odpowiedzi, toteż poszedłem do kuchni. Zobaczyłem ją na tarasie z tyłu domu. Siedziała na szeszlunku i czytała gazetę. Kiedy otworzyłem drzwi, poderwała się, podbiegła i mnie objęła.

- Tak się cieszę, że już wróciłeś - powiedziała.

Pocałowała mnie.

- Powiedziałeś mi?

- Tak.

- I?

- Tak jak się spodziewałem. Nie przyjął tego zbyt dobrze.

- Po co mu mówiłeś? To nie jest jego sprawa. Wystarczyło powiedzieć, że nie zamierzasz dla niego pracować.

- Masz rację, ale chciałem, żeby wiedział, że jesteśmy razem, że nie zostaniesz sama.

Zastanowiła się.

- No dobrze, ale nadal uważam, że przesadzasz.

Nie myślałaby tak, gdyby stała wtedy ze mną i z Anthonym na trawniku przed jego domem, ale nie chciałem jej więcej niepokoić.

- Sądzę, że nie będzie już żadnych problemów... ale jutro pójdziemy razem na miejscowy posterunek policji i złożysz tam skargę na Anthony'ego Bellarose...

- Nie muszę tego robić, John. To może sprawić, że...

- Susan, zrobimy to po mojemu, nie kłóć się ze mną. Chcę, żeby wiedział, że policja jest uprzedzona. Jasne?

Spojrzała na mnie i choć starałem się przybrać obojętny ton, czuła, że się martwię.

- Zgoda - powiedziała, a potem zmieniła temat: - Widziałeś Annę?

- Tak.

- Jak się zachowywała? Przyjaźnie?

- Owszem. - Ale nie kazała cię pozdrowić.

- A jego żona?

- Całkiem miła.

Przypomniałem sobie, że ilekroć poszedłem gdzieś bez Susan, byłem poddawany takiemu przesłuchaniu, jakie urządzałem czasem w sądzie świadkom. Zdecydowanie potrzebowałem drinka.

- Chyba czas na mały koktajl - powiedziałem.

- Jak wygląda jego żona?

- Jest... całkiem ładna. Ale mało wytworna.

- Kto tam jeszcze był?

- Salvatore D'Alessio. Wujek Sal. I jego żona Marie. Spotkałaś ich kiedyś? - zapytałem.

- Nie. Jakim cudem... - Nagle przypomniała sobie, że bywała częstym gościem w Alhambrze, zastanowiła się chwilę nad tym wszystkim, o czym próbowała przez ostatnie dziesięć lat zapomnieć, i powiedziała:

- Właściwie tak. Poznałam ich. Malowałam wtedy w palmiarni. - Zamierzała w tym miejscu zakończyć, ale doszła do wniosku, że powinna się ze mną podzielić wspomnieniami. - Wpadli przypadkiem. Anna mi ich przedstawiła, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Ten facet wyglądał strasznie - podsumowała.

- Nic się nie zmienił.

- Zrobię ci drinka - zaoferowała się. - Czego się napijesz?

- Pink squirrel.

- Jak to się robi?

- Nalewasz cztery uncje szkockiej i dodajesz lód.

- Okay, zaraz wracam.

Weszła do środka. Rozmyślałem o jej spotkaniu z Salvatore D'Alessio w Alhambrze. Ciekaw byłem, czy zdawała sobie wtedy sprawę, że wkroczyła do świata, w którym nie mogła już panować nad swoim losem i nie była lady Stanhope. Była nikim więcej jak tylko kochanką dona. Gdy się nad tym zastanović, wydawało się niewiarygodne, że Susan Stanhope, wyniosła kobieta z wyższych sfer, zniżyła się do tego, żeby zostać zabawką w rękach potężnego, ale nieokrzesanego mężczyzny. Historia pełna jest opowieści o takich kobietach - jak choćby o żonie rzymskiego

cesarza, która w nocy stawiała się prostytutką - i jestem pewny, że psycholog klinicysta mógłby na temat tej dychotomii napisać porządną pracę naukową. Może Susan chciała w ten sposób zemścić się na mamie i tacie. Może zapomniałem pochwalić jej nową sukienkę. Najprawdopodobniej sama nie miała pojęcia, dlaczego na kochanka wybrała sobie przestępcę. Mawiają że umysł jest największym afrodyzjakiem, i nikt nie wie, co tam się w nim dzieje. W każdym razie byłem pewny, że Susan przestała nad sobą panować.

Susan wróciła z tacą, na której stał kieliszek białego wina i moja szkocka. Postawiła tacę na stole, unieśliśmy naczynia i stuknęliśmy się.

- Za nas - powiedziała Susan.

- Razem, na zawsze - dodałem.

- To jeszcze twoja szkocka. Trzymałam ją od czasu, kiedy wyjechałeś.

Widocznie żaden z jej facetów ani ostatni mąż nie pili dewarsa. A może chciała mi sprzedać to małe kłamstewko, żebym wiedział, że ostatnie dziesięć lat to tylko mała kupka gówna na naszej drodze do szczęścia.

- Im starsza, tym lepsza - powiedziałem.

Chciałem jeszcze dodać „ciebie to też dotyczy”, ale jeśli mówi się do kobiet, należy zachować szczególną ostrożność przy obsypywaniu ich tego rodzaju komplementami.

- Czym właściwie różni się ta pink squirrel od zwykłej szkockiej z lodem? - zapytała.

- Głównie nazwą.

- Zajmie mi trochę czasu, nim przyzwyczaję się na nowo do twojego infantylnego poczucia humoru.

- Infantylnego? Pokażę ci jeszcze, że...

Złożyła na moich wargach pocałunek.

- Boże, jak mi ciebie brakowało.

- A mnie ciebie.

Staliśmy, trzymając się za ręce, wpatrzeni w słoneczny ogród.

- Jak wygląda ich dom? - zapytała po dłuższej chwili.

- Nieźle, ale nie kontaktowałem się z biurem sprzedaży. - Chciałem wrócić do poprzedniego tematu, więc zapytałem: - Wiedziałaś, że Salvatore D'Alessio był głównym podejrzanym w sprawie strzelaniny u Giulia?

- Nie... więc to jego szwagier...?



- Właśnie. Nie słyszałaś o tym?

- A gdzie miałam słyszeć?

Jak to, od niedoszłej ofiary, twojego kochanka.

- Z gazet.

- Nie czytałam wiadomości - odpowiedziała po chwili.

- Jasne.

Pewnie nie przeczytała też znacznie większego artykułu, kilka tygodni później, na temat Susan Stanhope Sutter, która zabiła Franka Bellarosę - i wcale nie dlatego, że nie mogłaby tego znieść; chodziło raczej o głęboko zakorzenioną niechęć do tego typu informacji. Jej motto brzmiało następująco: „Jeśli przeczytasz o jednej katastrofie kolejowej, to tak jakbyś przeczytał o wszystkich katastrofach”. Poza tym Susan została wychowana w przeświadczeniu, że nazwisko kobiety może się pojawić w gazetach tylko z okazji jej urodzin, zamążpójścia i śmierci. Nie ma tu więc miejsca na artykuły o zastrzeleniu kochanka. W każdym razie wierzyłem jej, kiedy mówiła, że nie miała pojęcia o udziale Salvatore D'Alessio w próbie zabicia Franka. Zresztą sam jej o tym nigdy nie wspominałem.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - zapytała.

- Ponieważ wydaje mi się... że Anthony Bellarosa żywi do swojego wujka głęboką urazę. Z drugiej strony wuj Sal może chcieć wykończyć Anthony'ego.

- Ale przecież... jedli razem obiad - zauważyła po chwili zastanowienia.

- Oni nie zostali na obiedzie, ale pewnie wcześniej jadali wspólnie. - I dodałem ulubione powiedzenie Franka Bellarosi: - Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Oczywiście, że ma, John. Skoro ten człowiek próbował zabić...

- Nie sil się na zrozumienie tego, Susan. - Chciałem użyć przykładu, kiedy to ja daję zlecenie na jej ojca, ale pozostawało to niestety tylko w sferze fantazji. - Chodzi o to, że ta... wendeta została odłożona w czasie na dziesięć lat, ale niedługo może znów ożyć, Anthony może być w tej chwili bardzo zajęty ratowaniem własnego życia i planowaniem pozbycia się wujka. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- To niewiarygodne - powiedziała Susan wpatrzona w różany ogród.

- Chciałem ci tylko uświadomić, co się może wydarzyć.

I wreszcie tobą trochę potrząsnąć.

- Jakies nowe wieści o Ethel? - zapytałem.

- Nie. John, co właściwie powiedziałeś Anthony'emu i co on na to?

- Opowiem ci przy kolacji.

- Dobrze...

- A co mamy na kolację?

- Moją specjalność. Zarezerwowany stolik.

- Świetnie. O której?

- O siódmej. Mówiłam ci, że odwołałam rezerwację dla ciebie i Elizabeth?

- Owszem. A ja ci powiedziałem, że zostawiłem jej wiadomość.

- Nie odsłuchiwała jej jeszcze, kiedy z nią rozmawiałam.

- Zgadza się, bo rozmawiałas z nią wcześniej. Dokąd idziemy?

- Pomyślałam, że chętnie zjadłbyś kolację w Seawanhaka. Jak za starych dobrych czasów.

Pomyślałem sobie o moim dawnym klubie żeglarskim i szczerze mówiąc, miałem mieszane uczucia. Z jednej strony wiązało mnie z nim mnóstwo miłych wspomnień - przyjęcia, śluby, doroczny grill z okazji Czwartego Lipca w Oyster Bay Harbor, no i przede wszystkim to, że tam właśnie poznałem Susan. Najmilsze wspomnienia wiązały się jednak z moim trzydziestosześcioletnim morganem, pierwszym Paumanokiem, łodzią, która kochałem tak bardzo, że wołałem ją zatopić, niż oddać w ręce urzędu skarbowego. Właściwie jedynym złym wspomnieniem związanym z klubem było właśnie zatopienie Paumanoka, W końcu sam już nie wiedziałem, czy mam ochotę tam pójść.

- Wszystko w porządku, John?

- Może innym razem.

- Teraz jest odpowiedni czas. Chcę pamiętać ten dzień do końca życia i chcę, żeby się skończył na werandzie, gdzie będziemy w blasku zachodzącego słońca pić drinka.

- Zgoda... ale jeśli usłyszysz od kogoś: „Dziwię ci się, John, że pojawiłeś się po tym, jak doprowadziłeś do ruiny swoje życie i uciekłeś”, to dam mu w pysk.

Susan roześmiała się.

- Jeśli ktoś ośmieli się tak odezwać, pobijemy go oboje.

- Umowa stoi. A teraz muszę się odświeżyć.

- Rozpakowałam twoje rzeczy i oddzieliłam te przeznaczone do prania. Niewiele ci zostało do ubrania.

- Dziękuję.

- Jest tu Sophie - to moja sprzątaczką. Jest Polką, ale mówi dobrze po angielsku. Każę jej wyprasować twój czarny garnitur. Będzie ci wkrótce potrzebny -

dodała zupełnie niepotrzebnie.

- Dziękuję. - Ulżyło mi, kiedy usłyszałem, że Susan przez ostatnie dziesięć lat nie nauczyła się prać i prasować. To zniszczyłoby moje wyobrażenia o niej.

- Ale najpierw musimy zajechać do Fair Haven - przypomniała mi.

- Oczywiście.

- Zaprosiłabym na kolację Elizabeth. Wiem, że ma wolny wieczór, bo anulowałam jej randkę, ale pewnie woli czuwać przy łóżku matki. Poza tym to nasz pierwszy wspólny wieczór.

- Tak, oczywiście.

- Zapytałam ją otwarcie, czy coś między wami zaszło poprzedniej nocy.

- Więc teraz już wiesz, że do niczego nie doszło. Jestem zaskoczony, że mi nie wierzyłaś, i dziwię się, że jej zadałaś takie pytanie, ale...

- Nie zapytałam jej, John.

- Och...

- Nie mogę uwierzyć, że mogłeś tak pomyśleć.

Co ja wiem? - Szczególnie o kobietach.

- To ona chciała się wytłumaczyć ze swojego nocnego pobytu u ciebie, ale powiedziałam jej, że ty już to zrobiłeś za nią.

- Dobrze. Czyli sprawa załatwiona. - Spojrzałem na zegarek. - To zajmie mi chwilę.

- Idę z tobą na górę.

Wróciliśmy do domu, wdrapaliśmy się po schodach i weszliśmy do naszej sypialni.

Tak jak to dawniej bywało, umyliśmy przy jednej umywalce zęby. Susan zaczęła się malować, a ja zmywałem z twarzy i dłoni ślady Casa Bellarosa.

W mojej dawnej szafie znalazłem wiszącą w miarę czystą koszulę. Susan włożyła ładną białą sukienkę letnią, która pięknie kontrastowała z jej opalenizną.

Zawsze wydawało mi się, że Susan zbyt długo szykuje się do wyjścia ale dopiero po dziesięciu latach oczekiwania na to, aż inne kobiety będą gotowe, uświadomiłem sobie, że moja żona jest szybka. Jest naturalnie piękna i nie przesiaduje bez końca przed lustrem. Zdałem sobie sprawę, że coraz wyżej ją cenię.

Rzeczywiście, skończyła przygotowania pierwsza.

- Gotowy? - zapytała.

- Nie mogę znaleźć grzebienia.

- Jest w kieszeni marynarki, gdzie zawsze. Sprawdziłem; faktycznie tam był.  
Wychodząc z domu, wręczyła mi pęk kluczy.

- Są twoje.

- Dziękuję.

Zamknąłem drzwi na klucz. Pojechaliśmy jej lexusem; ja prowadziłem.

- Zadzwoiłam do Soheili i powiedziałam jej, że przeprowadziłeś się do mnie -  
powiedziała, kiedy mijaliśmy stróżówkę.

- Nie powiedziała, że jesteś kobietą upadłą?

- Nie, John. Życzyła mi szczęścia.

- To miłe. Będę się musiał przeprowadzić z powrotem do stróżówki, kiedy  
przyjadą twoi rodzice - przypomniałem jej.

- Nie. Jeżeli im się nie spodoba, mogą sobie poszukać innego lokum.

- Nie chcę, żeby przeze mnie popsuły się twoje stosunki z rodzicami -  
powiedziałem zupełnie nieszczerze.

- Wysłałam do rodziców i do dzieci e-mail, że Ethel zapadła w śpiączkę.

- To dobrze.

Skręciłem w Grace Lane i ruszyłem w stronę hospicjum Fair Haven.

Susan wcisnęła guzik CD i Bobby Darin zaczął śpiewać *Beyond the Sea*.

Jechaliśmy w milczeniu, słuchając muzyki.

Minęło zaledwie jedenaście dni od przesilenia letniego i słońce wciąż jeszcze  
stało wysoko nad horyzontem. Okolica skąpana była w niezwykłym  
późnopołudniowym blasku, a od strony zatoki wiała lekka bryza.

Przeżywałem zarazem najpiękniejsze i najgorsze dni. Na szczęście więcej było  
tych dobrych. Rzecz jasna nie dla Ethel Allard czy Anthony'ego Bellarosy. Dla Susan i  
dla mnie ten dzień na pewno był piękny.

## ROZDZIAŁ 35

Susan zadzwoniła wcześniej do Elizabeth, więc wiedzieliśmy, że stan Ethel się nie zmienił. Kiedy dojechaliśmy do Fair Haven, Elizabeth czekała na nas w holu. Miała na sobie ładne niebieskie lniane ubranie. Pewnie przyjechała tu wprost z kościoła, gdy tylko dowiedziała się, że stan matki się pogorszył.

Uściskaliśmy się i wycelowaliśmy; Susan i ja wyraziliśmy swój żal z takiego obrotu spraw. Elizabeth trzymała się dobrze, a do zbliżającego się kresu życia matki miała stosunek filozoficzny. Poinformowała nas, że doktor Watral daje Ethel nie więcej jak czterdzieści osiem godzin.

Elizabeth, jak mi się wydawało, była życzliwiej nastawiona do Susan niż do mnie. Ledwie się do mnie odzywała. Cóż, to zrozumiałe. Spędziliśmy miło, a nawet dość intymnie, trochę czasu, oboje byliśmy samotni i wydawało nam się, że to może być początek czegoś nowego. Aż tu nagle do akcji wkroczył los.

- Chcecie ją zobaczyć? - zapytała Elizabeth.

- Oczywiście - odparła Susan.

Wjechaliśmy windą na piętro i weszliśmy do pokoju Ethel. W kącie na krześle siedziała pielęgniarka pochłonięta lekturą jakiegoś romansidła. Ethel podłączono do większej liczby rurek niż ostatnim razem, ale wyglądała bardzo spokojnie.

Okno tym razem zasłonięto, w pokoju panował mrok i tylko pielęgniarka miała zapaloną lampkę do czytania.

- Lekarz zapewnił mnie, że nie czuje żadnego bólu - powiedziała Elizabeth.

Susan podeszła do łóżka i przysunęła dłoń do twarzy Ethel.

- Niech cię Bóg błogosławi, Ethel, i doprowadzi bezpiecznie do domu - wyszeptała i pocałowała ją w policzek. - Dziękuję za gorącą czekoladę i ciasteczka.

Wziąłem głęboki wdech i teraz, ja podszedłem do Ethel.

- Powiedz George'owi, kiedy już go spotkasz, że go pozdrawiam. - I Augustusa też, pomyślałem w duchu. - Susan i ja znów jesteśmy razem - poinformowałem ją. Wiedziałem, że jest w głębokiej śpiączce, ale wydawało mi się, że poczułem uścisk jej dłoni. Pocałowałem ją. - Żegnaj.

Było jeszcze trochę rzeczy do omówienia, więc wyszliśmy wszyscy na korytarz.

- Dziękuję, że przyjechaliście - rzekła Elizabeth.

Susan z poczuciem winy, wiedząc, że Elizabeth nie odejdzie od łóżka matki, zaproponowała:

- Wybieramy się na kolację do Seawanhaka. Może pójdziesz z nami?

- To bardzo miłe z waszej strony, ale muszę tu zostać - odparła z uśmiechem. - Zadzwońłam do kilku osób, niedługo się tu pojawią, - Spojrzała na mnie. - Zaraz powinna tu być twoja matka. - Może na nią poczekaasz?

Nie miałem zamiaru.

- Zaczekałbym, ale moja matka zawsze traci rachubę czasu. Przekaż jej, proszę, że jest mi przykro, że się z nią nie zobaczyłem.

Spodziewałem się reprimendy ze strony Susan, ale się nie odzywała.

Nie miałem ochoty zostawać tu ani chwili dłużej i wpaść na Harriet albo pastora Hunningsa, albo kogoś innego, z kim wolałem się nie spotkać.

- Wyprowadziłem się ze stróżówki - poinformowałem Elizabeth.

- Wiem.

- Dom jest twój, możesz zacząć przygotowania do wywiezienia mebli i rzeczy osobistych. Porozmawiam z Nasimem, żeby dał ci na to odpowiednio dużo czasu.

- Dziękuję. Dziękuję ci, John, za wszystko, co zrobiłeś.

Nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń.

- Dzwoń do mnie na komórkę albo na telefon domowy, a ja przekażę wiadomość Johnowi - dodała Susan. - I zadzwoń do nas, kiedy nastąpi koniec.

- Zadzwonię. - Spojrzała na nas. - Cieszę się, że wam się udało.

Mogłem się założyć, że jej słowa były tak samo szczerze jak zaproszenie Susan. Uściskaliśmy się i wycelowaliśmy ponownie; Elizabeth wróciła do sali, by czuwać przy umierającej, a Susan i ja zeszliśmy do holu.

- Na pewno nie chcesz poczekać na matkę? - zapytała mnie Susan, kiedy wracaliśmy do samochodu.

- Czekalibyśmy tu do zachodu słońca - odparłem, przyspieszając kroku. - Muszę się napić.

- Dobrze, ale... chciałbym, żebyś do niej zadzwonił i powiedział, że znów jesteśmy razem.

- Mogę jej powiedzieć, ale potem ona zadzwoni do ciebie, żeby wybić ci to z głowy - zapewniłem ją.

- John...

- To miłe, że zaprosiłaś Elizabeth na kolację - przerwałem jej.

- Lubię ją.

Gdyby Elizabeth się zgodziła, przestałaby ją lubić. Tak czy inaczej, był to ładny gest. Susan zawsze była uprzejma wobec znajomych.

- Elizabeth jest jedną z ostatnich ze starej gwardii - zauważyła Susan.

Pomyślałem o wszystkich, którzy umarli albo wyprowadzili się stąd.

- Tak, to prawda.

- Niewiele nas już zostało - dodała Susan.

- Ty wróciłaś, ja wróciłem. Poznamy nowych przyjaciół z osiedla.

- Nie sądzę.

Gdy wracaliśmy do samochodu, trzymaliśmy się za ręce. Los znowu mi sprzyjał, bo nie natknąłem się na nikogo, z kim nie miałbym ochoty dziś się spotkać. Nie miałem jednak złudzeń, wszystkich ich zobaczę na pogrzebie Ethel. A konkretnie jedną osobę. A teraz... cóż... życie to pasmo niespodzianek. Mniej lub bardziej przyjemnych.

Dojechaliśmy do Centre Island, która w rzeczywistości jest półwyspem, ale ktoś, kto mieszka w rezydencji wartej dziesięć czy dwadzieścia milionów dolarów, może nadawać nazwy, jakie chce.

Zajechaliśmy na parking przed Seawanhaka Corinthian Yacht Club, który, jak się spodziewałem, wyglądał dokładnie tak samo jak w chwili, gdy byłem tu po raz ostatni, i prawie tak samo jak w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim, kiedy go wybudowano. Jednym z fundatorów klubu i jego pierwszym komandorem był William Swan, bliski przyjaciel Teddyego Roosevelta. Gdyby dzisiaj wpłynął do zatoki, bez trudu rozpoznałby duży dwupiętrowy, pokryty gontem budynek z białymi ścianami i czarnymi okiennicami. Nawet jeśli podczas mojej nieobecności co nieco się zmieniło, to w środku poczułby się jak w domu. Zmieniły się zasady noszenia ubioru, dżentelmeni nadal przychodzili w marynarkach, ale krawaty nie były już wymagane, a jeśli chodzi o damy, ubierały się w sposób konserwatywny, choć najstarsi członkowie mogli czuć się zaszokowani połączeniami prezentowanej nagiej skóry.

Klub powstał w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym roku i był jednym z najstarszych korynckich klubów jachtowych w Ameryce - koryncki to znaczy, że właściciele jachtów pływali na własnych łodziach bez zawodowej załogi. Nazwa nawiązywała do starożytnych Greków z Koryntu, którzy pierwsi w historii zorganizowali zawody żeglarskie dla czystej zabawy. Dla mnie największą w życiu zabawą było patrzeć, jak William i Charlotte rzygają przez burtę Paumanoka w czasie szalejącej w zatoce wichury. Wspominam tamten dzień z rozrzewnieniem.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała Susan.

- Do ciebie, kochanie.

Zatrzymałem samochód na wysypanym żwirem parkingu. Był prawie pełen, przeważały SUV-y.

- Dzisiaj jest Salty Dog - powiedziała Susan.

Salty Dog to grill na świeżym powietrzu, i choć nie wiem, skąd pochodzi ta nazwa, na wszelki wypadek nie jadam przy takiej okazji żeberka.

- Zarezerwowałam dla nas stolik w środku, więc pewnie będziemy tam sami - dodała.

- Świetnie. - W drodze do budynku klubowego, zadałem od dawna nurtujące mnie pytanie: - Czy my mamy jacht?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Chciałam właśnie wznowić swoje członkostwo w klubie. Ze względów towarzyskich.

To mogło oznaczać spotkanie się z ludźmi, często z mężczyznami.

- W starych, dobrych czasach samotna kobieta nie miała szansy zostać członkiem klubu - przypomniałem jej.

- Na szczęście tamte czasy już minęły. Co wy byście bez nas zrobili?

- Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić.

Wchodziłem do środka z mieszanymi uczuciami. Obawiałem się, że zostanę w uprzejmy sposób poproszony o opuszczenie klubu z nieznanych przyczyn, wśród których może być zatopienie własnego jachtu, przedstawienie mnie publicznie jako adwokata mafii, że nie wspomnę już o tym, że moja żona zastrzeliła swojego kochanka mafiosa. Z drugiej strony Susan odzyskała prawa członka i nie miała żadnych oporów, by tu przyjść. Więc może wszyscy już zapomnieli o tych przykrych nieporozumieniach. Czego się więc obawiałem?

„Droga Pani Dobre Wychowanie, znów jestem ze swoją byłą małżonką - tą samą, która zastrzeliła swojego kochanka. Ona chce mnie zabrać na kolację do mojego dawnego klubu jachtowego. Biorąc pod uwagę fakt, że zostaliśmy z niego relegowani za niewłaściwe postępowanie (ona dopuściła się cudzołóstwa i morderstwa, a ja zostałem adwokatem mafii i zatopiłem swój jacht, który władze chciały mi skonfiskować na poczet niezapłaconych podatków), czy uważasz, że członkowie klubu zaakceptują nasze towarzystwo? (Podpisano: Wciąż Zakłopotany z Long Island)”.

„Drogi... Jakiś tam, jak się domyślam, jedno z was zostało ponownie członkiem



klubu, jeśli zatem ubierzesz się i będziesz zachowywał odpowiednio oraz jeśli twoje rachunki są uregulowane, pozostali członkowie klubu powinni być zachwyceni, zyskując tak interesującego kompana do rozmów. Dwa zastrzeżenia: po pierwsze, nie wszczynaj dyskusji na temat morderstwa, cudzołóstwa czy zatapiania łodzi; poczekaj, aż inni to zrobią. I po drugie, staraj się nie powtórzyć żadnego z tych przestępczych i nieakceptowanych w towarzystwie działań, przez które zostałeś wcześniej usunięty z listy członków klubu. Powodzenia (Podpisano: Pani Dobre Wychowanie. PS Oboje macie jaja)”.

Susan musiała wyczuć moje wahanie, bo wzięła mnie za rękę.

- Wpadłam tu już dwa razy po powrocie i nie było żadnego problemu. Zarząd nie robił mi żadnych trudności ani tu, ani w The Creek.

- Najwyraźniej obniżyli standardy - zauważyłem.

Teraz pewnie mógłbym przyprowadzić Franka Bellarosę do The Creek, gdyby żył.

Weszliśmy do środka i skierowaliśmy się, jak wielokrotnie dawniej, do baru.

Nie zaskoczyło mnie to, że nic się nie zmieniło, nawet barman, przesympatyczny łysy facet o imieniu Bennett, był ten sam.

- Dobry wieczór, pani Sutter - powitał ją. Potem spojrział na mnie i nie tracąc rezonu, powiedział: - Dobry wieczór, panie Sutter.

- Witaj, Bennett.

Oboje zawahaliśmy się chwilę, a potem wyciągnęliśmy w jego kierunku dłonie.

- Cieszę się, że widzę państwa znów razem.

- A my cieszymy się, że znów tu jesteście. Dobrze jest wrócić.

- *Dark and stormy?* - zaproponował drinka.

- Poprosimy.

Odszedł, żeby przygotować drinki, których akurat nie lubiłem. Ale cóż z tego, to były firmowe drinki klubu.

Oparłem się plecami o kontuar i rozejrzałem po sali. Rozpoznałem starszą parę przy jednym ze stolików. Zauważyłem sporo młodszych ludzi, którzy świetnie pasowali do atmosfery klubu, choć nie wszyscy mężczyźni nosili niebieskie marynarki i jasnobezowe spodnie. Większość pewnie nie odróżniała bakburty od sterburty, ale w końcu ja kiedyś byłem taki sam.

- No i jakie wrażenia? - zapytała Susan.

- Dobre.

Bennett postawił na kontuarze drinki, a Susan podpisała rachunek. Powiodłem jeszcze raz wzrokiem po sali. Tym razem spostrzegłem zawieszony we wnętrzu na ścianie cynowe kufle upamiętniające regaty. Na jednym z nich było wygrawerowane moje nazwisko. Na drugiej ścianie znajdowały się modele jachtów, a na pozostałych ścianach fotografie dawno już nieżyjących i zapomnianych ludzi. Zostali tu unieśmiertelnieni po wsze czasy, a może przynajmniej do czasu, kiedy członkinie klubu zdecydują się na zmianę dekoracji.

Susan wręczyła mi drinka i stuknęliśmy się szklaneczkami.

- Witaj z powrotem - powiedziała.

*Dark and stormy* nie jest takie złe, jeśli lubi się ciemny rum i piwo imbirowe w tej samej szklance. Ja nie lubiłem.

Zabraliśmy swoje szklanki i przeszliśmy do wielkiej głównej sali. Nie zmieniła się specjalnie. Ciągłe dominował tu żeglarski wystrój, wciąż z sufitu zwieszały się prywatne bandery członków klubu, a w szafach za szklanymi drzwiami stały żeglarskie trofea, w tym kilka moich.

W środku znajdowało się sporo osób. Część siedziała przy stolikach, część stała ze szklaneczkami w ręku. Kilka osób spojrzało na nas, ale miało opóźnioną reakcję, kilka pomachało nam ręką ale nikt nie wstał i nie podszedł do nas na pogawędkę. Domyślałem się, że zaskoczył ich mój widok, czy może widok Susan i mnie razem, więc nikt nie chciał być tym pierwszym, który zada pytanie: „O co tutaj chodzi?”. Wiedziałem, że kiedy już usiądziemy, języki im się rozwiążą i być może ktoś zostanie nawet wydelegowany, żeby dowiedzieć się od byłego małżeństwa Sutterów sensacyjnych wiadomości.

Rzeczywiście, nim dotarliśmy do podwójnych przeszklonych drzwi prowadzących na werandę, pojawiła się przed nami jakaś kobieta. Po krótkiej chwili zastanowienia rozpoznałem w niej panią Altheę Gwynn, jedną z wielkich dam starego obrządku, która, jak pamiętałem, z upodobaniem pełniła funkcję arbitra w sprawach dobrych manier i odpowiedniego zachowania. Jej mąż, Dwight, był przyzwoitym człowiekiem po udarze (a może tylko udawał), więc nie musiał z nią rozmawiać.

Pani Gwynn obdarzyła nas cierpkim uśmiechem.

- Słyszałam, że wróciłeś, John - odezwała się.

- Owszem.

- To wspaniale. A gdzie mieszkasz?

- W domu.

- Rozumiem...

- John i ja jesteśmy znowu razem - poinformowała ją Susan.

- To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Byłem pewien, że wcale się nie cieszy, ale odpowiedziałem:

- Dziękujemy.

Pani Gwynn spojrzała na mnie przenikliwie.

- Kiedy widziałam cię po raz ostatni, John - a było to chyba dziesięć lat temu - jedliście kolację w The Creeek z inną parą która była chyba nowa w tej okolicy.

- A tak, pamiętam. To zapewne był pan Frank Bellarosa z małżonką Anną. Wcześniej mieszkali w Brooklynie.

Panią Gwynn zaskoczyła chyba moja buta. Powinienem zapewne powiedzieć: „To naprawdę było tak dawno temu?”.

- To na pewno był Frank i Anna, kochanie. Pamiętam dobrze - wtrąciła się Susan.

- Oczywiście. Zaprosiliśmy ich na kolację jako naszych nowych sąsiadów. Ale nie pomieszkali tu długo - dodałem.

Pani Gwynn nie wiedziała chyba, co powiedzieć, więc rzuciła tylko krótkie „przepraszam” i zniknęła.

Susan wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy dalej przez salę.

-Jak miło, że Althea nas przywitała - powiedziała Susan.

- To cudowna kobieta - zgodziłem się. - Za wścibstwo należy jej się kopniak w tę tłustą dupę.

- No, no, John, daj spokój. Przecież ona tylko zauważyła, że widziała cię ostatnio dziesięć lat temu.

- Pewnie. I jedliśmy wtedy kolację w The Creeek z... kto to był?

- Bellarosowie, kochanie. Z Brooklynu.

Roześmialiśmy się oboje.

Owszem, to było zabawne, a pani Gwynn należała do wymierającego gatunku, wcale nie tak znaczącego, jak jej się wydawało. Ale w swoim świecie zrobiła to, co do niej należało. I muszę przyznać, że czułem respekt przed jej pełną niezłomności przemyślanością i snobizmem.

Szczególnie że Susan pochodziła z rodziny Stanhope'ów. Na szczęście Susan zmieniła temat

- Mam twoją flagę; kiedy kupimy łódź, uroczycie ją tu zawiesimy.

Zastanawiałem się, co zostało z mojej flagi; wiedziałem przecież, co zostało z mojej łodzi.

- Nie jestem pewien, jaki tu mam status.

- Wolno ci zatopić jedną łódź raz na dziesięć lat - odparła po namyśle.

Uśmiechnąłem się, ale po głowie chodziło mi pytanie, ilu trzeba zabić kochanków, żeby zostać na zawsze wykluczonym z klubu. Za takie myślenie dałem sobie w duchu po pysku.

- Kiedy się pobierzemy, znowu zostaniesz członkiem klubu, kupimy piękną czterdziestostopową łódź i popłyniemy nią w podróż poślubną na Karaiby.

- To mi się podoba. - Nie wiedziałem tylko, czy Susan zdaje sobie sprawę, że jej sześciocyfrowe roczne kieszonkowe stoi z powodu tego miesiąca miodowego pod dużym znakiem zapytania.

Na długiej przeszklonej werandzie znaleźliśmy dwa wolne krzesła i usiedliśmy zwrócenii twarzami w stronę zatoki.

Była dokładnie dziewiętnasta i słońce zniknęło właśnie za horyzontem. Nad ciągnącym się ku wodzie trawnikiem powiewała w lekkich podmuchach wiatru amerykańska flaga. Grillowanie było w pełnym toku. Dostrzegłem mnóstwo młodych ludzi i dzieci - dużo więcej, niż bawiło się przy takich okazjach w przeszłości. To nowobogaccy z osiedla.

Susan i ja bywaliśmy tu jako dzieci w towarzystwie naszych rodziców - członków klubu, ale Stanhope'owie i Sutterowie nie znali się wówczas i ani ja, ani Susan nie mogliśmy sobie przypomnieć, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali.

Mój ojciec był właścicielem pięknej siedemnastostopowej łodzi i to on nauczył mnie żeglować. Chyba dzięki temu wspominam go tak czule.

William, mój były i przyszły teść, pseudonim Komandor Rzygowina, nie miał żadnej łodzi. Nie potrafił żeglować, ale miał za to kilka łodzi silnikowych, choć ich tu nie trzymał. Członkostwo Williama i Charlotte w klubie miało podłoże wyłącznie towarzyskie.

Zerknąłem na trzy klubowe pirsy, wdzierające się w głąb zatoki na odległość prawie stu stóp. Pirs juniorów był pełen młodzieży obojga płci, szczęśliwej, że wyrwali się spod skrzydeł rodziców, i zajętej przed godowymi rytuałami. Przypomniałem sobie, że zachowywałem się w ich wieku tak samo. Tak dokazywaliśmy, że zawsze ktoś wylądował w wodzie.

- Wrzucił cię kiedyś ktoś do wody? - zapytałem Susan.

- Ładowałam średnio raz w tygodniu. Ten wredny James Nelson zwykł mi okazywać swoje uczucia, wrzucając mnie do wody.

- Powinnaś była wyjść za niego za męża.

- Zamierzałam, ale potem się wystraszyłam, że z tego wyrośnie. A ty wrzucałeś dziewczyny do wody?

- Chyba tak.

- A ciebie wrzucali? - zapytała.

- Tylko matka, kiedy upewniła się, że mam do nogi uwiązaną kotwicę.

- Jesteś okropny, John.

Wzięliśmy się za ręce i utkwiliśmy wzrok w rozciągającej się na południe wodzie. Widziałem z oddali światła Oyster Bay, gdzie o mało nie rozpocząłem nowego rozdziału swojej kariery. Ciekaw byłem, czy Anthony w dalszym ciągu zamierza kupić tamten dom. Denerwowało mnie, że człowiek powiązany ze światem przestępczym dysponuje taką fortuną. Podobne odczucia miałem kiedyś wobec jego ojca. Wiedziałem jednak, że ludzie jego pokroju nigdy nie śpią spokojnie. A jeśli nawet, to budzą się przerażeni. I zwykle dosięga ich ręka sprawiedliwości albo kula. Miałem nadzieję, że wkrótce kula dosięgnie Anthonyego.

- Jak tu pięknie - zauważyła Susan.

- To prawda. - Promienie słońca odbijały się od tafli wody. Po zatoce pływały dziesiątki żaglówek i motorówek, po błękitnym niebie płynęły niespiesznie zapowiadające dobrą pogodę obłoki. Spojrzałem na południowy wschód, w stronę Cove Neck, gdzie Sagamore Hill, dawny dom Teddy'ego Roosevelta, pełnił obecnie funkcję muzeum i gdzie nadal mieszkali potomkowie rodu.

- Utrzymujesz kontakt z Jimem i Sally? - zapytałem.

- Utrzymywałam przez kilka lat, ale potem wyprowadzili się do San Diego.

- Co oni robią w Meksyku?

- W południowej Kalifornii - poprawiła mnie. - Przestań być takim snobem.

- I kto to mówi.

- Mnie trzeba wybaczyć - urodziłam się snobką. Ty się musiałeś tego nauczyć.

- Punkt dla ciebie.

- Powinniśmy wejść do środka - przypomniała.

- Anulujmy rezerwację i posiedźmy tutaj.

- W porządku. Zaraz wracam.

Susan wstała i zniknęła w budynku klubowym, a ja obserwowałem zbliżającego

się do nabrzeża czterdziestostopowego jola. Żagle miał pełne południowego wiatru i prawie czułem w swoich rękach jego ster.

- Sutterowie dzisiaj tylko piją - oznajmiła Susan, wracając.

- Sutterowie to porządni ludzie.

Patrzyliśmy na połyskującą wodę, łąd po drugiej stronie zatoki, na niebo i na oświetlone łodzie, zawijające na noc do portu. Zerknąłem na ciągnący się na wschód trawnik.

- Tu się poznaliśmy - powiedziałem. - Obok ślubnego namiotu.

- Cieszę się, że pamiętasz. Ale to chyba było bliżej werandy. Ja wychodziłam z budynku, a ty właśnie wchodziłeś.

- Masz rację. Szedłem do toalety.

- Jakie to romantyczne.

- W każdym razie zobaczyłem cię - właściwie widziałem cię już wcześniej - i próbowałem odgadnąć, czy przysłaś tu z kimś i czy ktoś wie, kim jesteś. Ale chyba już ci to opowiadałem...

- Opowiedz jeszcze raz.

Streściłem historię moich podchodów, odkrycia, że nie przyszła do klubu z żadnym chłopakiem, nazywa się Stanhope i jest bajecznie bogata - co, oczywiście, nie miało dla mnie żadnego znaczenia, tak byłem zachwycony jej urodą i pewnym siebie zachowaniem. Ktoś powinien mnie być uprzedzić, że ma okropnych rodziców, ale ja przecież nie zamierzałem się wtedy żenić. Chodziło mi tylko o to... żeby pójść z nią do łóżka.

Udało mi się. A na dodatek ożeniłem się z nią, a w posagu, za karę za moje początkowo złe intencje, dostałem jej rodziców.

- Kiedy tak teraz o tym myślę, widzę, że obrałem właściwą taktykę - powiedziałem.

- Jaką taktykę, John?

- Pamiętasz? Powiedziałem o pannie młodej... jak ona miała na imię...? Nieważne. Powiedziałem, że jest gościem<sup>6</sup> na własnym weselu. Pamiętasz?

- Tamtego wieczoru byłeś trzecim, który mi to mówił.

- Nie...

- Obiecałam sobie wtedy, że trzeciemu, który powie to samo, odpowiem, że jest

---

<sup>6</sup> Panna młoda nazywała się Guest - gość.

idiotą.

- Naprawdę?
- Naprawdę. I to ty byłeś tym trzecim.
- Myślałem, że to jest zabawne. Śmiałaś się.
- Owszem, śmiałam. Bo zrozumiałam, że jesteś wyjątkowy.
- Byłaś tamtego wieczoru pierwszą dziewczyną, która tak się śmiała.

Kelnerka przyniosła dwie nowe szklaneczki *dark and stormy*, talerz warzyw i półmisek krewetek.

Siedzieliśmy, sączyliśmy drinki, rozmawialiśmy i patrzyliśmy, jak zachodzi słońce. Kolory nabrały ostrości, a w pewnej chwili rozległ się wystrzał z działa i wszyscy stanęli w milczeniu, patrząc na opuszczaną flagę. Poczёт sztandarowy złożył ją i odniósł do budynku.

- Zapamiętaj ten dzień - powiedziała Susan.
- Aż do śmierci.
- Aż do śmierci.

## ROZDZIAŁ 36

Susan i ja obudziliśmy się w jednym łóżku. Potrzebowaliśmy kilku minut, żeby przystosować się do tej nowej dla nas po dziesięciu latach sytuacji. Na szczęście nie nazwałem jej imieniem innej kobiety, ona też za pierwszym razem bezbłędnie wypowiedziała moje imię, ale o szóstej rano nie było to wcale łatwe.

Wystarczyło jednak pół godziny, żebyśmy wpadli w naszą dawną poranną rutynę, ubrali się i zeszli na dół.

Po solidnym śniadaniu drwała, składającym się z jogurtu, muesli i kapsulek z tranem, obwieściłem stanowczo:

- Idziemy na posterunek policji. Złożysz skargę.

Nie odezwała się, więc wstałem i powtórzyłem:

- Idziemy.

- Przecież mi nie groził - odparła, nie wstając z miejsca.

- Owszem, groził.

Spojrzała na mnie, wstała i wzięła torebkę. Włożyłem swoją niebieską marynarkę, wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do jej lexusa.

Skierowałem się na południe, w stronę drugiego posterunku policji hrabstwa Nassau, który znajdował się o pół godziny drogi od Stanhope Hall.

To właśnie policjanci z tego posterunku dziesięć lat temu przyjechali do Alhambry na wiadomość o strzałach. Pewnie nadal pracowali tam ludzie, którzy pamiętali tę sprawę. Jak można było coś takiego zapomnieć? Na pewno potraktują nas poważnie, choć nie tak poważnie, jakbyśmy sobie tego życzyli, biorąc pod uwagę, że FBI zabrało im tę sprawę, a potem Departament Sprawiedliwości uwolnił Susan od zarzutu morderstwa.

Miałem nadzieję, że miejscowa policja nie ma już o to żalu, a dzięki skardze Susan będzie miała okazję przesłuchać spadkobiercę imperium zła, Anthony'ego Bellarose.

Zapowiadał się kolejny piękny, słoneczny dzień, i gdyby nie gromadzące się nad naszymi głowami czarne chmury, nasza przyszłość wyglądałaby równie wspaniale jak niebo. Spojrzałem na Susan. Zamknęła się w sobie.

- Wiem, że to może być nieprzyjemne, ale jako twój adwokat i przyszły mąż uważam takie postępowanie za konieczne.

Nie odpowiedziała. Może myślała, że na siłę przypominam jej o przeszłości, ale



nie takie były moje intencje. Zdawałem sobie tylko sprawę z ewentualnych konsekwencji tego, co zrobiła dziesięć lat temu, i ona również powinna pewne rzeczy zrozumieć.

Opowiedziałem jej pokrótce, czego należy się spodziewać i co ma powiedzieć, ale chyba mnie nie słuchała. Sam miałem niewielkie doświadczenie w składaniu skarg na policji i nie byłem pewien, jak to się potoczy.

Susan wsunęła płytę do odtwarzacza i naszej dalszej podróży towarzyszyła dobiegająca z tuzina głośników muzyka Wagnera.

Dojechaliśmy do Woodbury. Dostrzegłem tablicę kierującą nas do drugiego posterunku. Skręciłem w prawo w Jericho Turnpike, a potem w lewo na parking przeznaczony dla gości i wysunąłem płytę z Wagnerem z odtwarzacza.

- To może zająć godzinę albo nawet więcej. Potem będzie po wszystkim. - uspokoilem ją.

- Policja pójdzie do niego? - zapytała.

- Tak.

Nie wyglądała na szczęśliwą z tego powodu.

- To standardowa procedura - zapewniłem ją. - Muszą poznać jego zdanie w tej sprawie.

Z drugiej strony wiedziałem, że policjanci, którzy zajmą się skargą skorzystają z okazji, żeby uprzykrzyć życie Anthony'emu i dać mu wyraźny sygnał, że mają go na oku. Jeśli będziemy mieli szczęście, Anthony powie coś obciążającego, co pozwoli go aresztować. Susan martwiła się, że nawet jeśli go nie zamkną to będzie okropnie wkurzony.

Wysiedliśmy z samochodu i obeszliliśmy posterunek dookoła, żeby dotrzeć do drzwi frontowych. Był to parterowy budynek w stylu kolonialnym z białymi okiennicami. Przypominał dom, który przed chwilą mijaliśmy, a w którym znajdowała się lodziarnia Friendly's. Weszliśmy do korytarza prowadzącego do poczekalni.

W drugim końcu pomieszczenia znajdował się długi kontuar, za którym siedziało dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Kiedy podeszliśmy bliżej, młodszy z policjantów, noszący, jak należało sądzić z naszywki na mundurze, nazwisko Anderson, wytrzeszczył oczy na Susan, a potem przeniósł wzrok na mnie.

- W czym mogę pomóc?

- Chcieliśmy złożyć skargę.

- Okay. Jaką skargę?

- Na groźby fizyczne kierowane pod adresem tej pani.

- Kto pani grozi? - zapytał, nie odrywając oczu od Susan.

- Sąsiad.

- Sąsiad nazywa się Anthony Bellarosa i może mieć związki ze światem przestępczym - dodałem.

- Tak? A skąd pan o tym wie?

Pan Anderson najwyraźniej nie kojarzył sobie tego nazwiska.

- To syn Franka Bellarosa - odpowiedziałem mu.

Policjant nadal nie wiedział, o kogo chodzi.

- A kim pan jest? - zapytał mnie.

- Adwokatem tej pani.

To go zainteresowało. Zwrócił też bez wątpienia uwagę na nasz ubiór i nienaganny akcent. Dlatego uznał, że sprawa może być interesująca, ale widocznie to nie była jego działka, więc odwrócił się do starszego stopniem kolegi.

- Poruczniku, słyszał pan kiedyś o takim mądrali jak Anthony Bellarosa?

Porucznik podniósł wzrok znad klawiatury komputera i zmierzył wzrokiem mnie i Susan.

- Tak. A o co chodzi? - zapytał.

- Ta pani jest jego sąsiadką i twierdzi, że on jej groził - wyjaśnił Anderson.

Porucznik podniósł się i podszedł do kontuaru.

- Czy to pańska żona, sir? - zapytał mnie.

- Wkrótce nią zostanie. Nazywam się John Sutter, a to jest Susan Sutter. Jestem jej adwokatem. - Żeby nie pomyślał, że zamierzam się ożenić ze swoją siostrą, wyjaśniłem: - Byliśmy już wcześniej małżeństwem.

- Okay - skwitował porucznik i zwrócił się do Andersona: - Zaprowadź państwa do pokoju przesłuchań i spisz raport.

Anderson znalazł na biurku jakieś formularze, obszedł kontuar naokoło i zaprowadził nas do niewielkiego pomieszczenia po prawej stronie.

- Proszę usiąść. Porozmawiamy o tym, co się stało.

Zaczął od wypełniania policyjnego formularza. Zapytał nas o nazwiska, adresy i tym podobne informacje pozwalające zidentyfikować Susan jako osobę składającą skargę, a potem zażądał krótkiego opisu wydarzeń z podaniem personaliów uczestniczących w nich osób. Właściwie przez cały czas to ja przemawiałem w imieniu swojej klientki.

Po spisaniu tego raportu Anderson rozpoczął przyjmowanie od nas pełnego zeznania, ze wszystkimi szczegółami. I znowu to ja przemawiałem w imieniu Susan. Opisałem dokładnie przebieg wszystkich moich rozmów z Anthonym Bellarosa. Podkreśliłem szczególnie jego uwagi odnoszące się do bezpieczeństwa Susan. Kiedy skończył spisywać zeznanie, wręczył mi formularz. Przeczytałem całą treść i oddałem Susan wraz z piórem.

- Podpisz to.

Złożyła podpis, nie czytając treści raportu, co miała w zwyczaju. W przeszłości nie przeczytała nawet intercyzy, którą przygotowali prawnicy jej ojca. Bo i dlaczego miała się przejmować świstkiem papieru, który rozpoczynał się od zdania: „Mąż nie otrzyma niczego prócz pióra, którym podpisał ten dokument”.

Posterunkowy Anderson zabrał formularze i wstał, prosząc, żebyśmy zaczekali, podczas gdy on sprawdzi, czy któryś z policjantów może się od razu zająć śledztwem.

- Spróbuj zdobyć się na choć odrobinę zainteresowania sprawą, kiedy cię ktoś przesłuchuje - poradziłem jej, kiedy Anderson wyszedł z pokoju.

Wzruszyła tylko ramionami.

Po kilku minutach w drzwiach pojawił się ubrany po cywilnemu mężczyzna i przedstawił się jako detektyw A.J. Nastasi. Podaliśmy sobie ręce.

Detektyw Nastasi wyglądał na człowieka inteligentnego, a że miał po czterdzieście, na pewno pamiętał zdarzenia sprzed dziesięciu lat. Ubrany był w bardzo elegancki garnitur w prążki, który dobrze by pasował do mojej dawnej kancelarii prawniczej. Wyglądał na człowieka małowównego.

- Więc Anthony Bellarosa groził pani - odezwał się, zaglądając do raportu.

- Nie - odpowiedziała.

- Okay... ale uważa pani, że może dla pani stanowić zagrożenie.

- Nie jestem pewna.

Detektyw Nastasi też nie był pewien, więc postanowiłem się wtrącić.

- To ja słyszałem coś, co moim zdaniem było groźbą pod adresem pani Sutter, i jestem gotów złożyć wyjaśnienia.

- Świetnie - odparł. - Proszę za mną.

Przeszliśmy przez poczekalnię i znaleźliśmy się w sali detektywów, w której aż huczało. Policjanci przesłuchiwali jakichś ludzi albo słuchali ich wyjaśnień; bez przerwy dzwoniły telefony.

Minęliśmy gwarną salę i detektyw Nastasi otworzył przed nami drzwi z

tabliczką: PORUCZNIK PATRICK CONWAY - SZEFE WYDZIAŁU.

Nastasi wprowadził nas do cichego, pustego pokoju.

- Usiądźmy tutaj. Tu jest spokojniej.

Najwyraźniej musieliśmy zwrócić na siebie jego uwagę. A może interesował go Anthony Bellarosa.

Nastasi usiadł za biurkiem swojego szefa, a my zajęliśmy miejsca na krzesłach naprzeciwko. Przez chwilę zajął się komputerem i czytał coś na ekranie.

- Jak państwo wiecie, Anthony Bellarosa nigdy nie usłyszał żadnych zarzutów kryminalnych i nikt nigdy nie złożył na niego skargi. - Spojrzał na nas uważnie. - Szczerze mówiąc, nie jest typem człowieka, na którego ktoś miałby ochotę się poskarżyć. - Przeniósł spojrzenie na Susan. - Więc jeśli pani podtrzymuje swoją skargę, musi pani wiedzieć, że złożymy mu wizytę i porozmawiamy na temat tego, co pani zeznała. Czy to jasne?

- Po to tu jesteśmy - odpowiedziałem.

- Czy to jasne? - powtórzył, nie spuszczając wzroku z Susan.

Susan milczała.

- Czy pani wycofuje swoją skargę? - zapytał.

- Nie wycofuje. Mówię to jako jej prawnik.

Nastasi patrzył wciąż na Susan, próbując ocenić sytuację, ale ponieważ nie uzyskał odpowiedzi, wrócił do komputera i zaczął coś pisać.

Zaczynałem być na Susan zły. W końcu próbowałem uratować jej życie, więc mogłem oczekiwać choć odrobiny współpracy.

Nastasi stukał w klawisze, a ja zastanawiałem się, czy to tu ją przywieziono dziesięć lat temu w kajdankach z Alhambry. Pewnie nie. Raczej zawieźli ją od razu do wydziału zabójstw w komendzie policji w Mineoli, która była stolicą hrabstwa. Z drugiej strony wszystkie posterunki policji wyglądają tak samo, dlatego musiałem brać pod uwagę to, co teraz czuła i jakie ta wizyta przywołała wspomnienia. Nie mogłem jednak zapominać o realnym zagrożeniu. A realizm, niestety, nigdy nie był mocną stroną Susan.

- Dobrze. Idziemy - powiedziałem, żeby ją wyrwać z otępienia. - Musimy to przemyśleć. Na razie wycofujemy skargę. Idziemy - zwróciłem się do Susan.

Zacząła się podnosić z krzesła, spojrzała na mnie i usiadła z powrotem.

- Dokończmy to - powiedziała.

Detektyw Nastasi wyraźnie się ucieszył. Dostrzegł i docenił mój blef.

- Wydaje mi się, że podjęła pani słuszną decyzję, pani Sutter - zwrócił się do Susan. - Proszę pozwolić, że my się tym zajmiemy. Pani już nie będzie musiała się martwić.

- Nie martwię się.

- Okay. - Przeniósł wzrok na mnie. - Ale pan się martwi.

- Owszem.

- Dobrze. Proszę w takim razie powiedzieć, co jest przedmiotem pańskiej troski.

- Jak już mówiłem, słyszałem z ust Anthony'ego Bellarosy groźby skierowane pod adresem pani Sutter. Pani Sutter jest moją byłą żoną. Żeby mógł pan lepiej zrozumieć, dlaczego uważam te groźby za wiarygodne, muszę panu opowiedzieć...

- Nie trzeba. Wszystko wiem. Byłem tam tamtej nocy.

Przyjrzałem mu się uważniej. Wydał mi się znajomy, ale tamtej nocy w Alhambrze było mnóstwo detektywów, agentów FBI i techników kryminalistycznych.

- Faktycznie, pamiętam pana - odpowiedziałem, żeby nawiązać z nim bliższą więź.

- A ja pamiętam pana - odparł. - Panią też - zwrócił się do Susan. - Nie wyjechała pani stąd?

- Wyjechałam.

- A teraz pani wróciła... - postukał w formularz zaznania - ...pod ten adres.

- Tak.

- A Bellarosa mieszka tam, gdzie mieszkał jego ojciec

- W pewnym sensie - wtrąciłem się i wyjaśniłem, jak doszło do podziału posiadłości Bellarosy na działki budowlane, starając się przy tym nie wyrażać źle o nowobogackich mieszkańcach osiedla.

Nastasi, słuchając mnie, patrzył jednocześnie na ekran komputera.

- Ta sprawa nigdy nie trafiła do sądu stanowego - powiedział. Przypuszczałem, że chodziło mu o oskarżenie Susan o zabójstwo.

- Zajął się nią sąd federalny - wyjaśniłem i dodałem: - Ofiara była świadkiem koronnym.

Nastasi skinął głową i spojrzał na Susan.

- Nawiasem mówiąc, nie byłem z tego powodu zbyt szczęśliwy - zwrócił się do mnie. - Ale w porządku, stało się. Teraz musimy zająć się przyszłością.

Spojrzałem na Susan, która okopała się w miejscu nazywanym przeze mnie

Susan-Land. Nie była zła ani zasmucona uwagą Nastasiego. Nie wyglądała też na skruszoną morderczynię ani zmieszana faktem, że wymigła się od kary.

- Jestem gotów złożyć zeznanie - spróbowałem naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

- Zwykle najpierw przesłuchujemy osoby składające skargę, ale... wysłucham, co ma pan do powiedzenia. - Przynął się do klawiatury. - Piszę szybko, ale proszę od czasu do czasu robić krótką przerwę.

- Jestem prawnikiem - przypomniałem mu.

- No dobrze, mecenasie. Jestem gotowy.

Po wstępie wyjaśniającym, kim jestem, gdzie mieszkam i tak dalej, zacząłem właściwe zeznanie. Wspomniałem o zabójstwie Franka Bellarosy sprzed dziesięciu lat i dodałem, że choć przez ostatnie siedem lat mieszkałem w Londynie, to w dalszym ciągu należałem do nowojorskiej palestry.

Opisałem nieoczekiwaną wieczorną wizytę Anthony'ego Bellarosy w stróżówce i nie wchodząc w zbędne szczegóły, przeszedłem do sedna sprawy, czyli naszej rozmowy na temat mojej byłej żony Susan Sutter.

Detektyw Nastasi cały czas pisał, doceniając, jak przypuszczałem, moją spójną i klarowną narrację.

Susan, która słyszała tę opowieść po raz pierwszy, siedziała bez ruchu wpatrzona gdzieś w przestrzeń.

Następnie opisałem przebieg kolacji w restauracji Wong Lee, nie zapominając wspomnieć o propozycji pracy, jaką otrzymałem od Bellarosy.

Detektyw Nastasi po raz pierwszy podniósł wzrok znad klawiatury i spojrzał na mnie uważnie.

Jeśli nie liczyć zdania dwóch moich klientów, którzy odsiadują wyroki za niezapłacone podatki, uważam się za fachowca w sprawie składania zeznań pod przysięgą. Trzymam się faktów mających związek ze skargą, omijając jednocześnie wszystkie kwestie, które mogłyby być mylnie zinterpretowane jako próba wynegocjowania dobrych warunków zatrudnienia u Bellarosy.

Dalej opisałem nasze przypadkowe spotkanie na Grace Lane i moją wycieczkę z Anthonyem i jego kierowcą do Oyster Bay, wizytę w domu, który Bellarosa zamierzał kupić, i kolejne próby zwerbowania mnie do pracy w charakterze jego adwokata.

Nie wszystko miało bezpośredni związek z groźbami wobec Susan, ale wydawało mi się, że detektyw Nastasi jest zaintrygowany moją opowieścią.

Tymczasem Susan zaczynały złościć moje bliskie związki z synem jej dawnego kochanka. Jej spojrzenie zdawało się mówić: „Czy ty oszalałeś?”.

Wyjaśniłem, że nie podobało mi się zainteresowanie pana Bellarosy moją osobą, ale martwiłem się o bezpieczeństwo Susan i dlatego podtrzymywałem kontakt z Anthonym, co pozwoliłoby mi lepiej określić stopień zagrożenia i zdecydować, jakie podjąć kroki zaradcze.

Detektyw Nastasi w tym momencie przerwał mi po raz pierwszy.

- W tym samym czasie pan i pani Sutter postanowiliście ponownie się pobrać.

- Nie - odparłem.

- Dobrze. Ale rozmawialiście o tym?

- Wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie rozmawialiśmy ze sobą od trzech lat.

- Czterech - wtrąciła Susan.

- Zgadza się, czterech. - Ucieszyło mnie to, że Susan słucha.

- Więc po co pan właściwie zadawał sobie ten trud? - zapytał mnie Nastasi.

Zerknąłem na Susan.

- Wciąż... była mi bliska, no i jest matką moich dzieci. - Poza tym nie płaciłem alimentów, więc dlaczego miałbym życzyć jej śmierci.

W pokoju zapadła cisza, toteż postanowiłem zeznawać dalej.

- Ponieważ nie łączył nas żaden związek uczuciowy, mój rosnący niepokój związany z intencjami pana Bellarosy wobec pani Sutter nie był zabarwiony emocjonalnie. Teraz sytuacja uległa zmianie, miałem okazję przedyskutować ten problem z panią Sutter i oboje doszliśmy do wniosku, że powinniśmy na wszelki wypadek zgłosić się na policji.

- Chyba rozumiem, dlaczego pan w ogóle rozmawiał z Bellarosa, panie Sutter. - I zaraz przedstawił własną opinię: - Ale uważam, że rozmowa o pracy z człowiekiem, który być może ma związek ze zorganizowaną przestępczością, nie jest dobrym pomysłem.

- Dziękuję panu za radę. Ale sam pan powiedział, że jego kartoteka jest równie czysta jak pańska.

Detektyw Nastasi uśmiechnął się i odwrócił do klawiatury.

- Proszę mówić dalej - zachęcił mnie.

Zakończyłem, opisując wizytę w domu Bellarosów, dokąd zostałem zaproszony na niedzielny obiad. Wspomniałem, że w tym momencie pani Sutter i ja już byliśmy razem i że ona odradzała mi tę wyprawę. Nie zapomniałem dodać, że na krótko

pojawił się tam pan Salvatore D'Alessio, czyli Sally Da-Da.

- Znał go pan wcześniej? - zapytał Nastasi.

- Tak. Poznałem go dziesięć lat temu, kiedy pracowałem dla Franka Bellarosy.

- Rozumiem - powiedział detektyw Nastasi. - Jadł pan niedzielny obiad w bardzo złym towarzystwie, panie Sutter.

- Nie zostałem na obiedzie.

- To dobrze. - Przerwał pisanie i zaczął się nad czymś zastanawiać.

- Był pan chyba świadkiem nieudanego zamachu w Little Italy.

- Zgadza się. - Najwyraźniej skojarzył Salvatore D'Alessio i Franka Bellarosę z próbą zabicia Franka.

- Uratował pan wtedy Bellarosie życie.

- Powstrzymałem krwotok. Jak dobry samarytanin.

Zetknął na Susan. Ubawiła go zapewne ironia faktu, że uratowałem życie kochankowi żony, i jeszcze większa ironia, że potem ona zastrzeliła tego, kogo uratowałem. Nawet jeśli detektyw Nastasi miał coś do powiedzenia na ten temat, zatrzymał to dla siebie.

- Czy wczoraj w swoim domu Anthony Bellarosa groził pani Sutter?

- Tak. - Streściłem naszą rozmowę przed domem i zacytowałem wiernie słowa Anthony'ego. - Nawiązując do tego, co powiedziałem wcześniej, odparł: „To nie zmienia faktu, że ona to zrobiła. Dobrze o tym wiesz”.

- To był wierny cytat? - zapytał Nastasi.

- Słowo w słowo.

- Okay. Co pan odpowiedział?

- Zapytałem go, czy to groźba, a on odpowiedział, cytując: „Traktuj to, jak chcesz”. A na koniec powiedział: „Wydaje ci się, że tacy jak ty nie muszą się bać takich jak ja. Grubo się mylisz, mecenasie”.

- Czy uznał pan to za osobistą groźbę?

- Tak.

- Dobrze. Ma pan coś jeszcze do dodania?

- Tylko tyle, że potraktowałem te groźby wobec mnie i pani Sutter poważnie, biorąc pod uwagę, że pani Sutter zabiła ojca Anthonyego Bellarosy.

Detektyw Nastasi skrzętnie zapisał moje słowa, a potem zwrócił się do Susan.

- Czy chce pani coś dodać do zeznania pana Suttera?

- Nie.



- Czy może pani powiedzieć, co pani myśli o ewentualnym zagrożeniu własnego życia?

Susan zamyśliła się.

- Cóż... kiedy to wszystko słyszę, wydaje mi się, że zagrożenie może być realne.

Detektyw Nastasi zapisał to, a potem odwrócił się na krzesło w naszą stronę.

- Zwykle tacy faceci nie grożą. Po prostu działają. Więc może to są tylko słowa.

- Wiem o tym. Ale on jest bardzo młody. Nie jest taki jak jego ojciec. Wydaje mi się, że jest trochę narwany.

Nie wspomniałem detektywowi, że wcześniej powiedziałem Anthonemu kilka rzeczy, które go rozwścieczyły. Nie wspomniałem też o swojej chwili słabości, kiedy zniszczyłem obraz w gabinecie Anthony'ego. Było to bez znaczenia, jeśli nie liczyć faktu, że kiedy Anthony to odkryje, naprawdę się wścieknie.

- Groźba może być realna lub nie, ale skoro już padła, należy ją w rozumieniu prawa traktować jako nękanie. - Tej uwagi nie mogłem sobie darować.

- Oczywiście, rozumiem, mecenasie. Ciekawe, co powie, kiedy z nim porozmawiam.

- Świetnie. Co dalej?

Nastasi wcisnął klawisz drukowania.

- Proszę przeczytać i podpisać. Ten protokół stanie się częścią raportu. Traktujemy groźby poważnie. Na razie zalecam unikanie wszelkich kontaktów z tym człowiekiem.

- To się rozumie samo przez się.

- Świetnie. Ale musiałem o tym wspomnieć. Radzę również przedsięwziąć podstawowe środki ostrożności, ale ich charakter pozostawiam państwu do rozważenia. - Spojrzał na nas. - Kiedy już z nim porozmawiam, skontaktuję się z państwem i udzielę bardziej szczegółowych rad.

- Kiedy zamierza pan z nim porozmawiać? - zapytałem.

- Bardzo prędko.

Moje zeznanie zostało wydrukowane; detektyw Nastasi wręczył mi je ze słowami:

- Proszę przeczytać i jeśli wszystko się zgadza, podpisać. Przebiegłem wzrokiem kartki, wziąłem do ręki pióro i podpisałem się w miejscu, gdzie wydrukowano moje nazwisko.

- Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś sobie jeszcze państwo przypomnicie albo

gdybyście państwo zauważyli, że się kręci w waszej okolicy. - Detektyw Nastasi wręczył nam swoją wizytówkę. - Gdyby coś państwa zaniepokoiło, proszę dzwonić pod dziewięćset jedenaście.

- Czy on znajdzie się pod obserwacją? - zapytałem.

- Podejmiemy decyzję z moimi przełożonymi po rozmowie z Bellarosą - odparł.

Wyglądało na to, że to już koniec; detektyw Nastasi odprowadził nas do poczekalni.

- Bardzo dziękuję, że poświęcił pan nam swój czas i uwagę - powiedziałem.

- Jeśli zamierzacie państwo stąd wyjechać, proszę dać nam znać. Dobrze państwo zrobiliście, przychodząc tutaj - zapewnił nas na koniec.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a Susan i ja wyszliśmy z posterunku i ruszyliśmy w stronę samochodu.

- Naprawdę dobrze zrobiliśmy.

- Możemy zmienić temat? - poprosiła.

- Oczywiście. O czym chciałabyś porozmawiać?

- O czymkolwiek.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w stronę domu. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

- Dziękuję - odezwała się w końcu Susan.

- Nie ma za co.

- Troszczysz się o mnie czy o moje pieniądze?

- O pieniądze.

- Ale martwiłeś się o mnie, nim jeszcze mi się oświadczyłeś - zauważyła.

Ja się oświadczyłem?!

- Zawsze się o ciebie troszczyłem, Susan, nawet w chwilach gdy miałem ochotę skrócić ci kark.

- Jakie to słodkie. - I dodała po chwili namysłu: - To wszystko moja wina.

- Oczywiście. Ale to nasz wspólny problem.

- Nie wiedziałam, że ci groził - rzekła po dłuższej chwili.

Nie odezwałem się.

- Co mu takiego powiedziałaś, że się wściekł? - zapytała.

Powiedziałem mu, że tatuś zamierzał porzucić całą rodzinę dla Susan Sutter.

- John? Co mu powiedziałaś?

- Odrzuciłem jego ofertę pracy, nie okazując przy tym odpowiedniego

szacunku.

- To za mało, żeby zaczął ci grozić.

Zmieniłem temat.

- Chyba powinniśmy zrobić sobie urlop zaraz po pogrzebie Ethel.

- Pomyślę o tym. A tymczasem jest piękny dzień i potrzebuję chwili przerwy.

Co powiesz na wycieczkę do Hamptons?

- Świetny pomysł. Wpadniemy tylko do domu i zabierzemy stroje kąpielowe.

- W Southampton jest taka plaża, gdzie stroje nie będą nam potrzebne.

- Okay. - Skorygowałem kurs i po dziesięciu minutach znaleźliśmy się na Long Island Expressway i ruszyliśmy na wschód w stronę Hamptons, żeby wykąpać się na golasa w oceanie.

Kiedyś miałem letni domek w East Hampton, gdzie rodzina Sutterów spędzała latem większość czasu. Kiedy moje dzieci były jeszcze małe, a ja wciąż jeszcze rozmawiałem z rodzicami, spędzaliśmy tam cudowne chwile.

Sprzedalem ten domek z powodu problemów z urzędem podatkowym i przez ostatnie dziesięć lat nie pojawiałem się w Hamptons, więc tym chętniej spędzę dzień na wschodzie, nie myśląc więcej o dzisiejszym poranku ani o jutrze.

- Będzie jak za starych, dobrych czasów - powiedziała Susan.

- Nawet lepiej.

- A najlepsze dopiero nas czeka.

- Masz rację.

## ROZDZIAŁ 37

W Hamptons nie ma oficjalnie uznanych plaż nudystów, ale udało nam się znaleźć ustronną plażę w Southampton, gdzie nieoficjalnie można było zdjąć z siebie ubranie.

Samochód zostawiliśmy na smaganim wiatrem parkingu. W to poniedziałkowe czerwcowe południe plaża była prawie całkowicie wyludniona. W wodzie dostrzegłem dwie kąpiące się pary, a kiedy fala cofnęła się, widać było, że są nagie.

Zeszliśmy na szeroką piaszczystą plażę, zrzuciliśmy ubrania i wskoczyliśmy do zimnej wody.

- O cholera - zakląła Susan.

Woda rzeczywiście była trochę za zimna, ale spędziliśmy w niej dobre pół godziny i nim dostaliśmy hipotermii, wróciliśmy na plażę i włożyliśmy na mokre ciała ubrania.

- Pamiętam, że pierwszy raz zrobiliśmy to, kiedy jeszcze chodziliśmy na randki. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Myślałam wtedy, że jesteś stuknięty.

- Oszalały z miłości.

Faktycznie, było sporo rzeczy, których Susan Stanhope nie robiła, nim mnie poznała. Może właśnie dlatego tak podobała mi się ta bogata, chowana pod kloszem dziewczyna, która przystawała na wszystkie moje błazenady. Ja starałem się jej zaimponować, a ona pokazać mi, że jest taka jak wszyscy. Aż wreszcie zaczęliśmy po prostu być sobą i z ulgą zauważyliśmy, że nadal się lubimy.

Pobiegliśmy pędem do samochodu i pojechaliśmy do niegdyś uroczej, a obecnie pełnej butików wioski Southampton. Zjedliśmy spóźniony lunch w jednej z naszych ulubionych knajpek, pubie Drivers Seat. Na wyraźne żądanie Susan zamówiłem sałatkę z grillowanym kurczakiem i wodę mineralną, ale później, w drodze do toalety, zmieniłem zamówienie na cheeseburgera z frytkami i piwo. Susan najwyraźniej pamiętała moje sztuczki, bo kiedy ona z kolei poszła do łazienki, przywróciła pierwotne zamówienie. Jeden z moich przyjaciół dał mi kiedyś radę: „Nigdy nie umawiaj się na randki z byłą żoną”. Teraz rozumiałem, co miał na myśli.

Po zjedzeniu sałatki ruszyliśmy na spacer po Job's Lane, która powstała w tysiąc sześćset sześćdziesiątym czwartym roku, a teraz pełna była modnych sklepów, restauracji i przedsiębiorczych osadników z Manhattanu.

- Chodź, kupimy jakieś ubranie - zaproponowała Susan.

- Mam ubranie.

- No, chodź, John. Chociaż kilka koszul.

Odwiedziliśmy kilka sklepów, kupiliśmy kilka koszul do fraka, kilka sportowych, kilka krawatów, kilka par dżinsów i kilka innych niepotrzebnych mi rzeczy. Susan też sobie co nieco kupiła.

Postanowiliśmy zostać na noc, więc kupiliśmy też sobie ubrania sportowe i kostiumy kąpielowe, a Susan zadzwoniła do Gurneys Inn, hotelu leżącego niedaleko Montauk Point, w którym znajdowało się spa, i zarezerwowała dla nas pokój z widokiem na ocean. Potem pojechaliśmy na wschód, przez pozostałości po wioskach Hamptons, między innymi przez East Hampton, gdzie kiedyś mieliśmy domek letniskowy.

- Chcesz zobaczyć nasz domek? - zapytałem ją.

Pokręciła przecząco głową.

- To zbyt smutne. Dzieci uwielbiały to miejsce - przypomniała mi. A potem jej twarz pojaśniała. - Odkupmy go.

- Nie możesz odkupywać wszystkich swoich dawnych domów - zaprotestowałem.

- Dlaczego nie?

- Choćby ze względu na pieniądze.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało prostacko, John, ale pewnego dnia odziedziczę swoją część tych stu milionów dolarów.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałem, ile warci są Stanhope'owie i o mało nie wypadłem z drogi. Dotychczas, kiedy już w ogóle mówiło się o majątku Stanhope'ów, bez przerwy słyszałem, że jest „nadwątlony”, dlatego tak bardzo było mi żal Williama i Charlotte. No, może nie do końca, ale oceniałem ich wartość netto na jakieś dziesięć, może dwadzieścia milionów. Teraz dopiero się zakochałem.

Oczywiście, żartuję.

W każdym razie wiedziałem, że Edward i Carolyn, jako jedyne wnuki, będą uwzględnione w testamencie Williama. Pozostawał jeszcze brat Susan, Peter Sybaryta, i oczywiście Charlotte, jeśli przeżyje męża. Jednakże Charlotte nie była Stanhope, więc zgodnie z regułami rządzącymi się dawnymi majątkami znaczna część schedy ją ominie, ale na szczęście miała własny rodzinny majątek. Dzięki sprytnym posunięciom w sprawach podatków i skomplikowanemu systemowi funduszy powierniczych większość fortuny Stanhope'ów przypadnie w udziale potomkom

Williama w linii prostej. W taki sam sposób William odziedziczył majątek po Augustusie, a Augustus po Cyrusie.

Tak więc z prostego rachunku wynika, że Susan Stanhope powinna uroczyście otworzyć szampana nad grobem Williama.

Pod warunkiem że nie wyjdzie za mnie powtórnie za mąż, o czym ośmieliłem się jej przypomnieć.

- Twoja część może zostać zredukowana do zera.

Nie skomentowała tego, ale niewątpliwie starliśmy się właśnie z ponurą rzeczywistością.

Mijaliśmy dalej wioski i zdewastowane wydmy. Nieco dalej, na wschodnim krańcu Long Island, znajdowała się latarnia morska Montauk Point. Po raz ostatni widziałem ją dziesięć lat temu z łodzi, kiedy opływałem cypel w drodze do Hilton Head. Po raz tysięczny zastanawiałem się, co by się stało, gdybym wtedy przybił do brzegu i spotkał się z Susan.

Być może w owym czasie żadne z nas nie było jeszcze gotowe do pojednania, ale jestem przekonany, że gdybym z nią porozmawiał, nie rozstalibyśmy się na dziesięć długich lat. Kto wie?

Nim dotarliśmy do cypla, po stronie oceanu pojawił się Gurneys Inn, więc skręciłem i zaparkowałem przed wejściem do recepcji.

Zameldowaliśmy się, przebraliśmy w dopiero co kupione stroje sportowe i przez kilka kolejnych godzin korzystaliśmy ze spa i siłowni.

Susan zamówiła sobie jakąś serię upiększających zabiegów, a ja, korzystając z okazji, wróciłem do pokoju i zadzwoniłem do centrali FBI na Manhattanie.

Po długich biurokratycznych korowodach udało mi się dotrzeć do kogoś w zespole do spraw przestępczości zorganizowanej.

- Nazywam się John Sutter i szukam agenta specjalnego Feliksa Mancuso - wyjaśniłem.

- W jakiej sprawie pan dzwoni?

- Dziesięć lat temu prowadził sprawę, w którą byłem w pewien sposób uwikłany. Chciałbym porozmawiać z nim na temat nowych okoliczności.

- Czy on będzie wiedział, o co chodzi?

- Na pewno.

- Nie ma go w tej chwili, sir, ale jeśli pan zostawi kontakt do siebie, to on albo ktoś inny na pewno do pana oddzwoni.

- Świetnie. - Podałem mu numer do Gurney's Inn, który, jak mu powiedziałem, będzie aktualny do rana, a następnie podałem numer domku gościnnego.

- Czy może pan podać numer komórki? - zapytał.

- Nie mam telefonu komórkowego.

Milczał przez krótką chwilę i już zacząłem się obawiać, że usłyszę jakieś kryminalne zarzuty.

- Dopiero co przyjechałem z Londynu - wyjaśniłem. - Niedługo kupię sobie komórkę.

- Rozumiem. Ale można panu zostawić wiadomość pod tymi numerami, które pan podał?

- Oczywiście. Proszę przekazać agentowi specjalnemu Mancuso, że to pilne.

- Powtórzę mu.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do spa na nasz wspólny małżeński masaż.

Susan zarezerwowała dla siebie wizytę u masażystki, drobnej kobiety o wschodnioazjatyckiej urodzie, a dla mnie u masażysty, którego, sądząc z jego sylwetki, można było oskarżyć o tortury.

- Wysłałam e-maile do dzieci i rodziców z najnowszymi wiadomościami o stanie zdrowia Ethel. Napisałam im, że powinni być przygotowani na szybki przyjazd - powiedziała leżąc na sąsiednim łóżku Susan.

- Przekazałaś rodzicom naszą dobrą wiadomość?

- Nie. Dzieci poprosiłam, żeby bez naszej zgody nikogo o tym nie informowały.

- Rozumiem. - Miałem nadzieję, że kiedy powiem mamusi i tatusiowi, co się zdarzyło, padną trupem, nim zdążą wydziedziczyć córkę. Sto milionów? Może powinienem być dla nich miłszy? A może lepiej zadzwonić do Sally'ego Da-Da i zawrzeć z nim układ?

Znałem wcześniej na Złotym Wybrzeżu i w Hamptons ludzi, których majątki warte były sto milionów, więc ta liczba nie robiła na mnie aż takiego wrażenia. Najbardziej wkurzało mnie to, że taką fortunę posiadał William, który zawsze zachowywał się tak, jakby za chwilę miał zostać bezdomny. Byłem strasznie wkurzony. Ten stary kutwa... a może Susan pomyliła się w obliczeniach? To nie byłby odosobniony przypadek. A może chodziło o większą kwotę?

- O czym myślisz? - zapytała Susan.

- O tym, jak zaciągnąć twoje posmarowane oliwką ciało z powrotem do domu.

Masażystka zachichotała, a masażysta parsknął śmiechem.

- John... - zmięgowała mnie Susan.

Masaż zakończył się w milczeniu. Potem zabraliśmy swoje nasączone oliwką ciała do pokoju. Kochaliśmy się, ucieliśmy sobie drzemkę, a potem ubraliśmy się i zeszliśmy na dół do kawiarni, gdzie patrzyliśmy na ocean i mroczniejące niebo.

Zarezerwowaliśmy stolik na kolację w hotelowej restauracji, dotarliśmy tam lekko wstawieni, na dodatek dość późno, kiedy słońce zniknęło już za horyzontem.

Siedzieliśmy przy stoliku, na którym płonęły świece.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek spojrzę na ciebie siedzącego naprzeciw mnie w restauracji - odezwała się Susan.

- Przed nami wiele dobrych lat - powiedziałem, ujmując jej dłoń.

- Jestem tego pewna.

Zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i powiedziała:

- Nie mam ochoty odbierać.

Wyłączyła telefon i schowała go do torebki.

Nie byłem pewien, czy powinienem zapytać, kto dzwonił. Może to jej rodzice albo nasze dzieci, albo Elizabeth ze złymi wiadomościami - a może jakiś mężczyzna? Gdyby chciała mi powiedzieć, zrobiłaby to.

Ale kiedy zorientowałem się, że nagle stała się mniej czuła, zapytałem:

- Kto to był?

- Policja hrabstwa Nassau.

- Odsłuchaj wiadomość.

- Później.

- Odsłuchaj.

Wyjęła telefon, włączyła go, wstukała kod PIN i oddała mi go. Przyłożyłem słuchawkę do ucha.

- Witam, pani Sutter. Tu detektyw Nastasi z posterunku policji hrabstwa Nassau. Chciałem panią poinformować, że dzwoniłem dziś wieczorem do naszego znajomego do domu. Jego żona powiedziała mi, że wyjechał do miasta, a ona nie wie, kiedy wróci. Proszę do mnie oddzwonić. I jeszcze jedno, proszę przekazać tę wiadomość panu Sutterowi.

Wcisnąłem przycisk powtórnego odsłuchania i oddałem jej telefon. Słuchała nagranej wiadomości, a ja zastanawiałem się, co może oznaczać nagle zniknięcie Anthonyego Bellarosy. Nie pasowało to zupełnie do jego planów trzymania się blisko domu w obliczu rychłej śmierci Johna Gottiego. A może wuj Sal chwycił za broń i



Anthony stał się pokarmem dla ryb gdzieś w głębinach oceanu? Czyż to nie brzmiało uroczo? Ale jeśli nie, to nagłe zniknięcie Anthony'ego było bardzo niepokojące.

Susan ponownie wyłączyła telefon i włożyła go do torebki.

- Zadzwońmy do niego jutro - zaproponowałem.
- Zamów coś z menu spa - powiedziała, zmieniając temat
- Dlaczego? Coś nie tak?
- Jesteś tym, co jesz - odpowiedziała.
- W takim razie muszę zmienić nazwisko na Żeberko.
- Polecam halibuta na parze.
- Na śniadanie łyknąłem już kapsułkę z tranem.
- I powinieneś to stale robić.
- Rzeczywiście długo pożyję, jak będę łykał to gówna.
- Jak chcesz. Zamów stek, skoro chcesz sam się zabijać.
- Dziękuję.

Pojawiła się kelnerka i przyjęła zamówienie.

Halibut w połączeniu z butelką miejscowego chardonnay nie był zły.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, na automatycznej sekretarce nad było żadnej wiadomości.

Nie musiałem rozmawiać z Feliksem Mancuso, ale jeśli był ktoś w instytucjach pilnujących przestrzegania prawa, kto dobrze znał tę sprawę, to właśnie on. I nie chodziło tylko o fakty czy o historię, ale także o czynnik ludzki. To on próbował zbawić moją duszę, ustrzec mnie przez największym złem, a poza tym czuł się zakłopotany faktem że jego koledzy odgrywają rolę stręczycieli dona Bellarosy.

Być może Mancuso przeszedł na emeryturę, został przeniesiony do innego wydziału albo zginął, ale jeśli nie, to wiedziałem, że do mnie zadzwoni.

Wyszliśmy z Susan na balkon, by podziwiać widok oceanu. W oddali widziałem światła wielkich liniowców i statków handlowych, a nad moją głową jedne samoloty podchodziły do lądowania na lotnisku Kennedy'ego a inne wzbijały się w niebo, by rozpocząć podróż do Europy.

- Chciałbyś jeszcze popłynąć? - zapytała Susan.
- A jaki pożytek z jacht klubu bez jachtu? - odpowiedziałem pytaniem.

Uśmiechnęła się, a potem odezwała całkiem poważnym tonem.

- Nie chciałabym, żebyś jeszcze raz popłynął sam.

Co prawda nie byłem cały czas sam podczas swojego rejsu, ale rozumiałem, co

Susan miała na myśli.

- Na pewno nie popłynę bez ciebie.

Zawieszeni pomiędzy nocnym niebem a czernią oceanu w milczeniu słuchaliśmy rozbijających się o brzeg fal.

- Jak się wtedy czułeś? - zapytała w końcu.

- Samotnie - odpowiedziałem, nie odrywając oczu od rozgwieżdżonego nieba. - Kiedy jest się samemu na łodzi, w nocy, na środku oceanu, nietrudno sobie wyobrazić, że jest się ostatnim ocalałym człowiekiem na ziemi.

- To brzmi strasznie.

- Czasami to jest straszne. Ale bywały chwile, kiedy czułem, że... jestem tylko ja i Bóg. Można oszaleć podczas takiego rejsu, ale to jest cudowne szaleństwo. Masz dużo czasu na przemyślenia i poznanie samego siebie.

- Myślałeś o mnie?

- Tak. Naprawdę. Każdego dnia i każdej nocy.

- Dlaczego w takim razie nie wróciłeś do domu?

Mogłem dać kilka odpowiedzi - ze złości, z powodu urażonej dumy, z chęci bycia wolnym człowiekiem bez ojczyzny i pracy. Wybrałem inną:

- Jak sam będę wiedział, powiem ci.

Wpatrywaliśmy się jeszcze chwilę w gwiazdy, a potem zasnęliśmy wyciągnięci na leżakach.

Przez sen słyszałem szum oceanu, czułem morską bryzę i zapach słonego powietrza. Śniło mi się, że znów jestem na morzu. Tylko że tym razem była obok mnie Susan.

## CZEŚĆ III

*Teraźniejszość to wciąż żywa, zsumowana przeszłość.*

Thomas Carlyle, *Characteristics*

### ROZDZIAŁ 38

Wtorkowy poranek był pochmurny. Po porannym biegu po plaży i zdrowym śniadaniu polecanym przez spa wyruszyliśmy w drogę powrotną do Lattingtown i Stanhope Hall. Czekala nas dwugodzinna podróż, podczas której rozmawialiśmy trochę o minionych dziesięciu latach, próbując wypełnić pustkę „straconych lat”, jak nazwała je Susan. Ponieważ nie wspomnieliśmy o kilku znaczących i nieznaczących postaciach, w przekazach historycznych będą pewne luki. Swoiste czarne dziury. Susan nie zapomniała mi za to przypomnieć, żebym zadzwonił do Samantha.

Zamierzałem już ją zapytać, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach dopadł ją Frank Bellarosa, ale pewnie nie spodobałoby jej się takie pytanie. Poza tym zdałem sobie sprawę, że wcale mnie to już nie obchodzi. Chyba się pogodziłem z faktami.

Kiedy skręcałem do Stanhope Hall, zauważyłem przy stróżówce samochód firmy zajmującej się przeprowadzkami i SUV-a Elizabeth. Zatrzymałem się i oboje z Susan weszliśmy do stróżówki.

Elizabeth, w dzinsach i T-shircie, stała w holu i kontrolowała przeprowadzkę.

- Dzień dobry - powiedziała na nasz widok. - Zajechałam do domku gościnnego, żeby wam powiedzieć, że zamierzam opróżnić dom, ale was nie zastałam. Pomyślałam, że lepiej to zrobić teraz, niż wyklócać się z Nasimem o dodatkowy czas po pogrzebie. - Spojrzała na mnie. - John, mam nadzieję, że cię nie wyrzucam.

No nie, ale przez ciebie nie będę mógł się tu wycofać, kiedy przyjadą Stanhope'owie.

- John?

- Nie. Nie zamierzałem już tu mieszkać.

- Świetnie - powiedziała Elizabeth. - Jeśli chcesz, to panowie przewiozą twoje rzeczy do domku gościnnego.

- Dziękuję - powiedziałem, nim zdążyła wspomnieć o wcześniejszej propozycji przygarnięcia mnie i moich rzeczy.

- Jak się miewa matka? - zapytała Susan.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Bez zmian. Wiem, że koniec jest bliski, i choć trudno mi w to uwierzyć... pogodziłam się z tym. - Rozejrzała się po stróżówce. - Mieszkali tu przez ponad sześćdziesiąt lat... a teraz... cóż, życie toczy się dalej. Pytałam Johna, czy Nasim nie myśli o sprzedaży tego domu - zwróciła się do Susan - ale podobno chce go zatrzymać dla siebie. Szkoda. Znów bylibyśmy sąsiadami.

- Byłoby cudownie - odrzekła Susan tonem, który miał sprawiać wrażenie szczerego. - Zamierzałam przysłać tu sprzątaczkę. Przepraszam, jeśli John nabałaganiał.

John miał ochotę odpowiedzieć, że Elizabeth narobiła większego bałaganu, ale John wie, kiedy zamknąć buzię na kłódkę.

- Och, nie przejmuj się tym - Elizabeth uspokoiła Susan. - Ja tu nie mieszkam, a Nasim niech sobie robi, co chce. Przejedźzał tędy niedawno, więc powiedziałam mu, że dom należy do niego choćby od dziś. - Spojrzała na swojego adwokata. - Miałam rację?

- To ty jesteś wykonawczynią testamentu - odparłem.

- Od swojej żony dowiedział się, że znów jesteście razem i mieszkanie w domku gościnnym - ciągnęła Elizabeth. - Życzy wam obojgu powodzenia i szczęścia.

- To bardzo miłe z jego strony - zauważyła Susan.

No, tak. Teraz pan Nasim będzie mógł umieścić swoich ochroniarzy w stróżówce. Odradzałbym mu tylko firmę Bell Security. Pewnie zastanawiał się też, jaki ta zmiana naszej sytuacji osobistej będzie miała wpływ na decyzję Susan o sprzedaży domu gościnnego. Może powinienem mu się przyznać, że my też mamy problemy z bezpieczeństwem, ale ponieważ mamy strzelbę, może powinniśmy połączyć siły na wypadek niespodziewanego ataku.

- A propos naszego związku - przerwała moje rozmyślania Susan, zwracając się do Elizabeth - nie powiedziałam o tym jeszcze moim rodzicom. Gdyby z tobą rozmawiali, proszę, nie wspominaj o tym.

- Rozumiem - odpowiedziała Elizabeth.

- To samo dotyczy matki Johna i ojca Hunningsa - dodała Susan.

- Nie pisnę ani słowa.

- Dziękuję. Nie masz nic przeciwko temu, że pójde po aparat i zrobię kilka zdjęć, nim wszystko stąd wywieziesz?

- Już zrobiłam zdjęcia - poinformowała ją Elizabeth. - Prześlę wam odbitki. To był mój jedyny dom. Będzie mi go brakowało. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Wydawało mi się, że ma ochotę opowiedzieć Susan, jak się we mnie w młodości podkochiwała. Uznała jednak, że nie warto mnożyć problemów, więc zakończyła: - To były piękne czasy, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w Stanhope Hall.

Susan, istota wrażliwa, wzięła Elizabeth w ramiona. Zaszklily im się oczy.

Nigdy nie wiedziałem, jak się zachować, kiedy kobietami zaczynają targać emocje. Czy powinienem się do nich przyłączyć?

- Gdyby nie było nas w domu - odezwała się Susan, kiedy wreszcie oderwały się od siebie - niech tragarze zostawią pudła w moim gabinecie. W gabinecie Johna - poprawiła się. - Drzwi będą otwarte.

- Dopilnuję tego - obiecała Elizabeth i przypomniała mi: - Nadal mam ten list, który mama napisała do ciebie, ale to byłoby nie w porządku, gdybym ci go dała przed jej śmiercią.

- Masz absolutną rację - zapewniłem ją, choć wydało mi się wątpliwe, by stan Ethel poprawił się nagle na tyle, żeby usiadła na łóżku i zażądała, żeby jej oddać ten list.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, a potem wróciliśmy z Susan do lexusa.

- Jaki list? - zainteresowała się Susan.

- Ethel napisała do mnie list, który mam przeczytać po jej śmierci.

- Naprawdę? Jak sądzisz, co w nim jest?

- Pewnie przepis na dżem jabłkowy.

- Bądź poważny.

- Nie wiem - odparłem, jadąc wysadzaną drzewami aleją w stronę domku gościnnego - ale wszystko wskazuje na to, że niedługo się dowiemy.

Po powrocie do domu rozpakowaliśmy nowo kupione ubrania. Nareszcie poczułem, że znów jestem w domu. To było miłe.

Zapytałem Susan o hasło dostępu do poczty głosowej domowego telefonu, poszedłem do gabinetu, ale okazało się, że nie ma dla mnie żadnej wiadomości.

- Spodziewasz się telefonu? - zaintrygowała się Susan, wchodząc do gabinetu.

- Tak.

- Ktoś wie, że tu mieszkasz?

- Policja, nasze dzieci, Elizabeth, pan i pani Nasim, Anthony Bellarosa i Felix Mancuso.

- Kim jest Felix... ach, tak. Pamiętam go. Po co do niego dzwoniłeś?
- Z powodu Anthony'ego Bellarosy.
- Rób, co chcesz. - Wzruszyła ramionami.
- Z twoją pomocą. Chciałbym, żebyśmy zainstalowali tu system alarmowy.
- Ten dom stoi tu od stu lat i nigdy nie było w nim systemu alarmowego. Nie zamierzam tego zmieniać.
- Więc może chociaż zaczniesz zamykać drzwi i okna.
- Zamykam je na noc.

Moja ciotka Cornelia, która mieszkała w wielkim wiktoriańskim domu w Locust Valley, też zamykała drzwi i okna tylko na noc, jeśli o tym pamiętała. To musiało mieć coś wspólnego z pochodzeniem. Wszyscy oni zdawali się mówić: „Nie boję się i nie zamierzam zmieniać swojego stylu życia”. Podobało mi się to, choć było oderwane od rzeczywistości. Po jedenastym września wszyscy zmieniliśmy sposób życia.

Tymczasem Susan odbywała swoją sentymentalną podróż, usiłując zbudować na nowo swoje życie w taki sam sposób, w jaki ono wyglądało dziesięć lat temu. Wróciła do swojego dawnego domu i dawnego męża, została ponownie członkiem tych samych klubów, zastanawiała się nad odkupieniem dawnego domku letniskowego w East Hampton. Kiedy ma się pieniądze, można dokonać wiele, ale nie da się cofnąć czasu. Jeśli ktoś mimo wszystko próbuje to zrobić, rezultaty bywają zaskakujące, katastrofalne, a w tym wypadku - niebezpieczne.

- Gdzie może znajdować się strzelba? - zapytałem.
  - Wydaje mi się, że w piwnicy. Sama nie wiem, John. Jeszcze nie rozpakowałam wszystkich pudeł po przewodźce.
  - Poszukam później.
  - Tylko nie otwieraj skrzyni z napisem: „Moi faceci”.
  - Trzymasz swoich byłych w skrzyni?
  - Tylko ich prochy. Sama później poszukam.
- Usiadła przy komputerze i otworzyła pocztę.
- Odezwał się Edward, Carolyn i moja matka - powiedziała, czytając e-maile. - Tylko potwierdzają otrzymanie wiadomości i proszą, żeby ich powiadomić...
  - Twoi rodzice myślą, że będą tu spali - przypomniałem jej.
  - Zobaczymy, jak potoczą się sprawy.
  - Susan, oni pojawią się samochodem z wypożyczalni u twoich drzwi...

- U naszych drzwi, kochanie.

- ...i nie będą zachwyceni.

- W takim razie mogą zawrócić i pojechać gdzieś indziej.

- Wydaje mi się, że powinnaś ich powiadomić... może jakaś aluzyjka? Na przykład: „Mieszkam z facetem, za którego zamierzam wyjść za mąż”.

Zaczęła uderzać w klawisze.

- Droga mamó i tato... Mam faceta, który bardzo przypomina... nie... Nie mogę wam na razie powiedzieć, o co chodzi, ale wynajęłam wam pokój w... gdzie?

- W małym motelu w Juneau na Alasce.

- Pomóż mi, John.

- Sprawdź, czy w The Creek może mają wolne pokoje. Albo w Seawanhaka.

Skończyła pisać e-mail i spojrzała na mnie.

- Jeśli im go wyślę, zadzwonią i zapytają, dlaczego nie mogą tu zamieszkać.

- Powiesz im, że dochody z twojego funduszu powierniczego nie wystarczą na przyjmowanie gości.

Wyłączyła komputer, nie wysławszy wiadomości.

- Niech najpierw przyjadą tutaj, potem będziemy się martwić.

- Świetny pomysł. - I żeby podkreślić wagę, jaką przykładam do tego rodzinnego pogodzenia się, powiedziałem: - Pomyślałem nawet nad sposobem, w jaki ich przywitam. - Chwyciłem Susan za rękę, zaciągnąłem do drzwi wejściowych i otworzyłem je. - Oto przyjechali. Wsiadają właśnie z samochodu.

- John...

Wyszedłem na zewnątrz i szeroko rozpostarłem ramiona.

- Mamó! Tato! Wróciłem!

Susan uznała, że to zabawne, ale nie omieszkała mi przypomnieć:

- Jesteś idiotą.

Wróciliśmy do gabinetu. W portfelu znalazłem wizytówkę detektywa Nastasiego.

- Zadzwonię do niego - powiedziałem, wybierając numer. - Detektywie, mówi John Sutter. - Włączyłem tryb głośnomówiący, żeby Susan mogła słyszeć naszą rozmowę.

- Witam - odezwał się detektyw. - Widzę, że dostał pan moją wiadomość. Jego żona powiedziała, że wyjechał z miasta.

Poinformowałem go, że Bellarosa uprzedzał mnie w niedzielę, że będzie miał

pracowity tydzień, ponieważ spodziewano się śmierci Johna Gottiego.

- Tak? Gotti zmarł wczoraj po południu w szpitalu więziennym w Springfield w Missouri. Pisały o tym gazety.

- Nie czytałem prasy - usprawiedliwiłem się. Pomyślałem, że mógłbym go zapytać, czy Jenny Alvarez nadal zajmuje się tropieniem mafii; mogła mieć więcej informacji. - Więc może Bellarosa pojechał do Springfield.

- Być może. Przesłuchałem strażnika przy bramie Alhambry. Twierdzi, że nie widział Bellarosy od wczorajszego ranka. Zadzwoiłem później do tej ich budki strażniczej i inny strażnik powiedział mi to samo.

- Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że Bell Security jest częścią Bell Enterprises Inc., której prezesem i głównym udziałowcem jest Anthony Bellarosa.

- Żartuje pan? Jak to? Sądzi pan, że to przypadek?

- Oczywiście, że nie.

Roześmiał się.

- Tak się składa, że mam kolegę w biurze prokuratora okręgowego, który sprawdzał Anthony'ego Bellarosę. Z dokumentów wynika, że Bell Enterprises jest legalnie działającą firmą zarejestrowaną w Rego Park. Zajmuje się pralniami, dostawami do restauracji, wywozem śmieci, wypożyczaniem samochodów i tak dalej.

Miałem nadzieję, że w dokumentach nie było wzmianki o mojej nowej kancelarii prawniczej Sutter, Bellarosa&Roosevelt.

- Stąd wiem też o Bell Security - zapewnił mnie Nastasi. - A pan skąd to wie?

- Powiedział mi.

Detektyw Nastasi nie skomentował tego.

- Kiedy rozmawiałem z jego żoną, odniosłem wrażenie, że on faktycznie zniknął. Nie widziałem też nigdzie jego samochodu. Może rzeczywiście poleciał do Springfield.

- Chyba warto by to sprawdzić.

- No dobrze, panie Sutter. Zajmiemy się tym. Jak tylko uda mi się porozmawiać z Bellarosą, powiadomię pana. Gdyby pan przypadkiem coś usłyszał albo zobaczył, proszę do mnie zadzwonić, ale niech go pan nie szuka na własną rękę.

- Nie zamierzam.

- To dobrze. - I dodał po chwili: - Tamta rezydencja została zburzona.

- Tak.

- To był piękny dom. Teraz już się tak nie buduje.



- Nie.

- Jak pan sądzi, ile są warte te nowe domki?

- Nie wiem... - Spojrzałem na Susan, która uniosła w górę trzy palce i odpowiedziałem: - Około trzech milionów.

- Serio?

- Może zapłacił pieniędzmi z przestępstwa?

- Nic na niego nie mamy - przypomniał mi.

- Może powinniście lepiej poszukać.

- To jest robota dla prokuratora okręgowego i federalnych. -Jako prawnik wiem, że FBI nie zajmuje się groźbami ani nękaniami, ale może warto zadzwonić do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną i zapytać ich, czy nie zajmują się Anthonym z innych powodów.

- FBI niczego mi nie powie.

- Jasne... ale jeżeli śledzą go z innych powodów, to może dobrze by było, gdyby wiedzieli też o tych groźbach...

- W porządku, zajmę się tym.

- Świetnie.

- Ma pan jeszcze jakieś sugestie?

O dziwo, nie zabrzmiało to sarkastycznie. Pewnie chronił w ten sposób własną dupę, na wypadek gdyby na jego zmianie stało się coś pani Susan Stanhope Sutter.

- Jestem pewien, że robi pan wszystko, co w pana mocy, choć chciałbym mieć pewność, że wozy patrolowe w okolicy zostały poinformowane o naszej skardze.

- Oczywiście. A kiedy już porozmawiam z Bellarosą, ocenię sytuację i dam panu znać.

- Doskonale. Dziękuję.

- Życzę miłego dnia. Proszę pozdrowić ode mnie panią Sutter.

- Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Susan, która siedziała w fotelu i przeglądała jakieś czasopismo.

- Przypuszczam, że jest w Missouri z rodziną Gottiego, więc przez chwilę mamy spokój - powiedziała.

- Oczywiście. - Rzecz jasna nie miała racji.

Kiedy dokonano zamachu na Franka, Sally Da-Da znajdował się w innym stanie. Don czy capo nie wykonywali takiej roboty samodzielnie; właśnie dlatego

mówiło się o zleceniu. A kiedy zlecenie było wykonywane, zleceniodawca wylegiwał się na plaży na Florydzie.

Z tego też powodu należało trzymać się blisko swoich wrogów. Kiedy znikali z pola widzenia - robiło się niebezpiecznie.

- Pojedź ze mną do Locust Valley- zaproponowała Susan. - Muszę kupić alkohol i coś do jedzenia. Pozwolę ci wybrać takie muesli, jakie lubisz najbardziej.

Wolałbym co prawda poczekać na telefon od Mancusa i poszukać w tym czasie strzelby, ale mimo to postanowiłem z nią jechać.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Może być zabawnie.

- Robienie z tobą zakupów wcale nie jest zabawne.

Mój znajomy powiedział jeszcze coś na temat spotkania się z byłą żoną: „Znają twoje nazwisko, pozycję społeczną i numer seryjny”.

Brzmiało to cynicznie, ale dzięki temu można było uniknąć długich, stresujących umizgów.

Wsiadliśmy do lexusa. Susan chciała poprowadzić.

- Musimy się pozbyć tego twojego samochodu z wypożyczalni.

- Potrzebny mi samochód.

- Kup sobie.

- Susan, skarbie, nie mam pieniędzy, a nikt w tym kraju nie da mi kredytu.

- Naprawdę? Ja ci dam.

- Jak sądzisz, ile twój ojciec mi zaoferuje za to, żebym wrócił do Londynu?

- Sto tysięcy dolarów. To jego standardowa oferta dla niechcianych mężczyzn.

- Gdybym to wiedział, nim zacząłem się z tobą spotykać...

- Dla ciebie podwoiłby stawkę.

- Podzielę się z tobą.

Kiedy dojeżdżaliśmy do stróżówki, zauważyliśmy Elizabeth i Susan przystanął. Elizabeth podeszła do samochodu i pochyliła się nad moja szybą. Pachniała bzem; tak samo jak ubiegłej nocy.

- Wybierz się z nami na kolację - zaproponowała Susan. - Zapomnisz na chwilę o kłopotach.

- Dziękuję, ale chcę pojechać do Fair Haven - odparła Elizabeth.

- Rozumiem - powiedziała Susan - ale jeśli zmienisz zdanie będziemy około siódmej w The Creek.

Od dawna wiedziałem, że Susan nie potrafi gotować, i z ulgą przyjąłem

wiadomość, że przez ostatnie dziesięć lat się nie nauczyła. Nie cieszyła mnie jednak perspektywa kolacji w The Creek.

- Mam dla ciebie skrzynkę dżemów jabłkowych - zwróciła się do mnie Elizabeth.

- Dziękuję.

- To zapłata dla Johna za opiekowanie się domem - wyjaśniła Elizabeth Susan.

Byłem pewien, że Susan odpowie: „Nic dziwnego, on jest bez grosza”. Na szczęście Susan zaproponowała:

- Jeżeli zechcesz wpaść choć na chwilę do klubu na drinka zadzwoń.

- Dziękuję.

Pojechaliśmy do Locust Valley.

- Naprawdę nie mam ochoty iść do The Creek.

- Miejmy to już za sobą - odparła.

- Jak mógłbym odrzucić takie zaproszenie.

- Wiesz dobrze, co miałam na myśli.

- W porządku. To może nawet być zabawne. Mam nadzieję, że będzie tam Althea Gwynn - odparłem po chwili namysłu.

W Locust Valley zatrzymaliśmy się najpierw przed sklepem z alkoholem, potem weszliśmy do supermarketu, gdzie wpadliśmy na kilka znajomych Susan. Z każdą z nich pogawędziliśmy chwilę, ale tylko jedna, Beatrice Browne, znana jako Bee-Bee, pozwoliła sobie na prowokacyjne słowa:

- Jestem zaskoczona, że wróciłeś, John - powiedziała.

- A ja jestem zaskoczony, że wciąż tu jesteś - odparłem.

Bee-Bee nie bardzo wiedziała, jak zareagować na moją uwagę, więc popchnęła swój wózek i szybko zniknęła nam z oczu.

- Powinieneś odpowiadać: Jak wspaniale znowu tu być” - zasugerowała mi Susan.

- Jak wspaniale znowu tu być - powtórzyłem.

- Nie odpowiadaj na prowokacyjne pytania czy zaczepki.

- Jak wspaniale znowu tu być.

Susan przeszła do działu owocowo-warzywnego i już po półgodzinie byliśmy z powrotem przy samochodzie.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze? - zapytała, kiedy wkładałem zakupy do bagażnika. - Przyborów toaletowych? Lekarstw?

- Jak wspaniale znowu tu być.

Westchnęła, usiadła za kierownicą i ruszyliśmy w stronę domu.

- Chciałabym, żebyś zadzwonił dziś do swojej matki.

- Jeśli do niej zadzwonię, nie mogę jej powiedzieć, że znów jesteśmy razem, bo wygada się przed twoimi rodzicami.

- Poproś ją, żeby tego nie robiła. Powinna wiedzieć, że jej syn znowu mieszka ze swoją byłą żoną. I powinna to wiedzieć jeszcze przed pogrzebem i przyjazdem moich rodziców.

- Cóż to za zasady?

- Zwyczajna kurtuazja.

- Co powiedziałyby na to Pani Dobre Wychowanie?

- Powiedziałyby, że masz robić to, co każe ci twoja przyszła żona.

- Jak wspaniale znowu tu być.

Susan wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w policzek.

- Jak wspaniale, że znowu tu jesteś.

## ROZDZIAŁ 39

Wróciliśmy do domku gościnnego i wypakowaliśmy zakupy z lexusa.

- Przebiegnijmy się nad zatokę - zaproponowała Susan.

- Mam do zrobienia mnóstwo rzeczy w swoim nowym gabinecie, poza tym muszę poukładać skarpetki w szufladzie.

- Dobrze. Za godzinę jestem z powrotem.

- Nie chcę, żebyś biegała po Grace Lane ani w ogóle poza terenem posiadłości.

- John...

- Pobiegnij po posiadłości - upierałem się. - W końcu nie każdy ma do dyspozycji dwieście akrów. Może później do ciebie dołączę.

- Nie sądziłam, że będziesz mną tak dyrygował - rzuciła nieco rozzłoszczona.

Ani ja, pomyślałem.

- Ustąp mi, proszę.

- Zawsze ci ustępuję. No dobrze, zobaczymy się za godzinę.

- Weź ze sobą telefon i zadzwoń do mnie. Albo ja zadzwonię.

- Tak jest, sir.

- I żadnych szortów.

Uśmiechnęła się i poszła na górę się przebrać, a ja wszedłem do gabinetu. Wszystkie pudła z dokumentami leżały złożone przy ścianie. Obok stała skrzynka ze słoikami dżemu jabłkowego.

Spostrzegłem migającą w aparacie telefonicznym lampkę automatycznej sekretarki. Odsłuchałem wiadomość: „Panie Sutter, tu Felix Mancuso”. Dalej podał mi numer telefonu komórkowego. Zapisałem numer na odwrocie wizytówki detektywa Nastasiego i skasowałem nagranie.

Czekając, aż Susan wyjdzie, zacząłem się rozglądać po swoim dawnym gabinecie, przypominać długie wieczory spędzone na rozwiązywaniu cudzych problemów podatkowych.

Nad sofą wisiał nowy wystrój pomieszczenia - trzy olejne obrazy przedstawiające tutejsze ruiny rezydencji - wszystkie autorstwa Susan. Pierwszy przedstawiał kaplicę w Laurelton Hall, budynek Louisa C. Tiffany'ego w stylu *art nouveau*; drugi kamienne kolumny - pozostałość po Meudon, osiemdziesięciopokojowym pałacu, będącym repliką rezydencji Meudon pod Paryżem, a trzeci kolumnadę miejsca zwanego Knollwood, niegdysiejszej rezydencji

ostatniego króla Albanii o nazwisku Zog. Uświadomiłem sobie, że pan Nasim nie był pierwszym cudzoziemcem, który kupił kawałek Złotego Wybrzeża. I pewnie nie ostatnim.

Susan naprawdę miała talent i nie mogłem zrozumieć, dlaczego przestała malować. Może miało to coś wspólnego z jej ostatnią próbą w Alhambrze i złymi wspomnieniami związanymi z wręczonym wówczas Bellarosom prezentem. Powędrowałem myślami do swojego aktu wandalizmu, dokonanego w domu Anthony'ego. Założę się, że musiał się wściec, kiedy to zobaczył. Założę się też, że Sigmund Freud potrafiłby wytłumaczyć moje destrukcyjne postępowanie. Twierdziłby zapewne, że nie tylko chciałem się pozbyć przedmiotu powiązanego pośrednio z moimi nieszczęściami, ale także podświadomie odciągnąć uwagę Anthony'ego od Susan i skierować ją na siebie. No, no, Sigmundzie, to wcale nie było takie podświadome.

- Do zobaczenia! - zawołała Susan.

Usiadłem przy biurku, zerknąłem na telefon i zawahałem się. Instynkt podpowiadał mi, żeby zadzwonić do Feliksa Mancuso, ale znając zasady działania policji, wiedziałem, że będzie to pogwałceniem reguł i procedur i na pewno nie spodoba się Nastasiemu. Sam powiedział, że FBI za żadne skarby nie podzieli się z nim informacjami. Mogłem się założyć, że działało to także w drugą stronę. Poza tym obiecał, że mimo wszystko skontaktuje się z FBI.

Z drugiej strony, miałem już kiedyś do czynienia z Feliksem Mancuso. Uważałem go za bystrego i przyzwoitego człowieka i darzyłem zaufaniem. Nazywałem go w duchu świętym Feliksem i choć starał się wszystkich na siłę uszczęśliwić, to, może z racji włoskiego pochodzenia, bardzo poważnie podchodził do przestępczej działalności mafii, La Cosa Nostra. Jak się domyślałem, jego *paesanos* porządnie go wkurzali.

Chciałem więc przynajmniej z nim porozmawiać, żeby mieć pewność, że wykorzystałem wszystkie możliwości. Gdyby coś się stało, a ja wiedziałbym, że to z powodu mojego zaniechania, to... zresztą nie ma o czym dyskutować, zrobiłbym przecież wszystko, by ochronić Susan. Wybrałem jego numer.

- Mancuso - usłyszałem w słuchawce.

- Witam, panie Mancuso. Mówi John Sutter.

- Dzień dobry, panie Sutter. Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

Pamiętałem, że Felix Mancuso był raczej formalistą, i w zachowaniu, i w

słowach. Był zresztą nie tylko agentem specjalnym, ale także prawnikiem jak ja.

- Dzwonię do pana, niestety, w bardzo podobnej sprawie jak poprzednio, dziesięć lat temu.

- Naprawdę? Jak to?

- To długa historia. Zacznę od tego, że ostatnie dziesięć lat spędziłem za granicą. Wróciłem na Long Island dwa tygodnie temu.

- Witamy w domu.

- Dziękuję. Poza tym pogodziłem się ze swoją byłą żoną.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Gratuluję. Jak się miewa pani Sutter? - usłyszałem w końcu.

- Całkiem nieźle, wzięwszy pod uwagę, że znów pojawiłem się w jej życiu.

Mancuso zachichotał.

- Niech pan nie ma o sobie takiego niskiego mniemania, panie Sutter. Na pewno jest teraz szczęśliwa.

To była zapewne aluzja do tego, że Susan nie tylko dopuściła się cudzołóstwa z szefem mafii, ale też zamordowała owego szefa, który był jednocześnie najcenniejszym świadkiem koronnym FBI. I jakby tego było mało, nie poniosła za to żadnej kary. Miałem tylko cichą nadzieję, że Felix Mancuso nie żywi za to do niej urazy.

- Jak mogę pomóc, panie Sutter? - zapytał.

- Nie wiem, czy może mi pan pomóc, ale dzieje tu się w tej chwili coś, co ma związek z tamtymi wydarzeniami sprzed lat.

- Rozumiem. A co się dzieje?

- Syn Franka Bellarosy, Anthony, mieszka na osiedlu Alhambra, w jednym z tych nowo wybudowanych domów...

- Wiem o tym. Cóż za ironia losu, prawda?

- Tak, ale nie o ironię losu tu chodzi. Problem w tym, że Susan przeprowadziła się tu z Hilton Head, odkupiła swój dom w posiadłości Stanhope i...

- Rozumiem.

- Wiedziałem. Przeprowadziła się tu dwa miesiące temu, a ja właśnie teraz z nią zamieszkałem.

- Dobrze. Czy Anthony Bellarosa groził jej w jakikolwiek sposób, zapowiadał, że zamierza... powiedzmy, pomścić śmierć swojego ojca?

- Ma pan na myśli wendetę?

Pan Mancuso dobrze wiedział, że wendeta to nie nazwa najnowszego modelu włoskiego skutera.

- To odpowiednie słowo - powiedział. - A więc?

- Prawdę mówiąc, nie rozmawiał z nią. Rozmawiał ze mną i odniosłem wrażenie, że może mieć ochotę wyrównać rachunki.

- Rozumiem. Jak do tego doszło, że rozmawiał pan z Anthonyem Bellarosa?

To nie było pytanie, na które czekałem z utęsknieniem, biorąc pod uwagę fakt, że Mancuso poświęcił dużo czasu i energii, żeby mnie uchronić przed zgubnym wpływem znajomości z Frankiem. Woląłem zatem nie wspominać mu o tym, że rozmawiałem z synem Franka o możliwości pracy dla niego.

- Panie Sutter?

- Cóż, Anthony uznał, że mógłbym rozważyć ponowne związanie się z rodziną Bellarosów.

- Naprawdę? Skąd mu przyszedł do głowy taki pomysł?

- Podsunął mu go chyba Jack Weinstein - wyjaśniłem. - Pamięta go pan, prawda?

- Oczywiście. Kolejny zdolny prawnik, który zblądził.

Naprawdę potrzebowałem teraz pomocy, a nie umoralniającego wykładu, więc brnąłem dalej.

- Anthony, opierając się na opinii swojego ojca, uważa, że mógłbym być godnym zaufania i cennym członkiem organizacji. - Postanowiłem to zilustrować cytatem: - Frank Bellarosa powiedział kiedyś Anthony'emu, że John Sutter to wyjątkowa kompozycja błyskotliwego umysłu i prawdziwych jaj.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- I? - usłyszałem wreszcie głos Mancuso.

Naprawdę nie miałem ochoty drażnić tego tematu.

- Mówię o tym tylko po to, żeby wiedział pan, jak doszło do mojej rozmowy z Anthonyem. Istotne jest to, że słowa Anthony'ego odebrałem jako groźbę skierowaną w stosunku do Susan.

- Jakie to były słowa?

- Przede wszystkim musi pan wiedzieć, że rozmawiałem z Anthonyem, nim pogodziłem się z panią Sutter. Wydaje mi się, że Anthony swobodnie wygłaszał te wszystkie groźby, myśląc, że podobnie jak wielu innych eksmałżonków marzę o tym, by moją była diabli wzięli.



Usłyszałem w słuchawce stłumiony chichot

- Co on właściwie powiedział?

Streściłem mu, co Anthony Bellarosa mówił na temat Susan.

- Ile razy pan z nim rozmawiał? - zapytał, przerywając moją opowieść.

- Cztery.

- Naprawdę?

Myślałem, że powie „cztery razy za dużo”, ale sobie darował, więc przedstawiłem mu swoją teorię o trzymaniu się blisko przyjaciół, a jeszcze bliżej wrogów.

- To chyba wymyślił jakiś scenarzysta - zgasił mnie.

Cóż za niespodzianka; zabrzmiało jak prawdziwe ludowe przysłowie włoskie

- Ostatni raz spotkałem się z nim w niedzielę... w jego domu.

- Tak?

- Zaprosił mnie na obiad.

- Doprawdy?

- Oczywiście nie zostałem na obiedzie, ale skorzystałem z okazji, żeby mu powiedzieć, że może iść do diabła i przestać zawracać głowę mnie i mojej przyszłej żonie.

- I jak na to zareagował?

- Niezbyt dobrze. - Opowiedziałem mu o swojej wizycie w domu Anthony'ego, miłym spotkaniu z jego matką i nieoczekiwanym ze starym kumplem, Sallym Da-Da. - Na koniec naszej rozmowy powiedział, cytując: „To nie zmienia faktu, że ona to zrobiła. Dobrze o tym wiesz”.

Pan Mancuso milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Poszedł pan na policję?

- Tak. Wczoraj. Złożyliśmy formalną skargę.

- Może mi pan szczegółowo opisać swoją wizytę na... to chyba będzie drugi posterunek, prawda?

- Zgadza się. - Opowiedziałem mu wszystko i dałem namiary na detektywa A.J. Nastasio, wspomniałem też o tym, że Nastasi wybrał się wczoraj do domu Anthony'ego Bellarosy, ale okazało się, że Anthony wyjechał. Powinienem jeszcze powiedzieć, że moim zdaniem Anthony jest teraz u rodziny Gottiego w Springfield w stanie Missouri, ale obawiałem się, że zabrzmiałoby tak, jakbym był fanem mafii. Dodałem tylko, że to detektyw Nastasi przyjął zgłoszenie o strzelaninie w Alhambrze

dziesięć lat temu, dlatego dobrze zna sprawę.

- Od tamtego dnia nagromadziło się dużo niezakończonych spraw - zauważył Mancuso.

- Nie wiem, jak detektyw Nastasi zareaguje na to, że dzwoniłem do FBI.

- Proszę się tym nie przejmować, panie Sutter. Po jedenastym września wszyscy jesteśmy w jednej drużynie, nauczyliśmy się dzielić informacjami i współpracować na różnych szczeblach.

To nie do końca współgrało ze słowami Nastasiego.

- Przynajmniej tyle dobrego z tej tragedii - zauważyłem ugodowo. - Więc powiem mu...

- Proszę tego nie robić. Sami mu o tym powiemy.

- Rozumiem... Zresztą detektyw Nastasi wspomniał dzisiaj rano, że skontaktuje się z wydziałem do spraw walki z przestępczością zorganizowaną. Nie wie pan, czy dzwonił?

- Nie, nie wiem. Ale sprawdzę i oddzwonię do pana.

- Może powinniśmy się spotkać?

- Jako prawnik wie pan, że FBI nie zajmuje się bezpośrednio przypadkami gróźb karalnych, jeśli nie mają związku z ewentualną działalnością przestępczą Anthony'ego Bellarosy - przypomniał mi. - To sprawa dla miejscowej policji.

- Rozumiem, ale...

- Ale możemy wspomóc miejscową policję. I ustalić, czy nie zostało złamane prawo federalne.

- Świetnie.

- Nie pracuję już w wydziale przestępczości zorganizowanej. Ale... ponieważ zajmowałem się tamtą sprawą sprzed lat i zadzwonił pan do mnie, mogę uzyskać zgodę na spotkanie z panem. Jeśli zajdzie potrzeba, skontaktuję pana z odpowiednimi ludźmi. Ta sprawa wciąż mnie interesuje.

- Naprawdę?

- Zawsze mnie interesowała, panie Sutter.

Zrozumiałem, że zawsze go interesowała moja osoba, przypuszczalnie w ramach jego badań nad tym, jak uczciwy prawnik staje się adwokatem mafii. A może po prostu mnie lubił? Poza tym interesował się tą sprawą, prywatnie czy służbowo, podejrzewał bowiem, że niezwykle niepopularny prokurator okręgowy Alphonse Ferragamo próbował przyskrzynić Franka Bellarosę za przestępstwo, którego tamten

nie popełnił. No i wreszcie Mancuso nie był zachwycony faktem, że Departament Sprawiedliwości - wielkie koło w powoli obracającej się maszynie, w której pan Mancuso był tylko małym trybikiem - kazał iść Susan do domu i nie grzeszyć więcej.

- Nigdy mi ta sprawa nie dawała spokoju - kontynuował Mancuso.

- Mnie też. Ale tym razem nie trzeba zbawiać mojej duszy.

- Niespecjalnie mi się udało ostatnim razem - przypomniał, parskając śmiechem.

- Lepiej, niż pan myśli.

- Cieszę się. Mam nadzieję, że czegoś to pana nauczyło.

- Wszystkich nas nauczyło, panie Mancuso. Pana też.

- Tak, wszyscy dowiedzieliśmy się czegoś o sobie i o tyra, jak działa, albo nie działa, wymiar sprawiedliwości - rzekł po namyśle. - Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, i cieszę się, że pan i pani Sutter znów jesteście razem.

W rzeczywistości wolałby zobaczyć panią Sutter w więzieniu - nic osobistego, taka praca.

- Dziękuję.

- A co u pana?

- Wszystko w porządku, dziękuję. Brakowało mi dwóch tygodni do emerytury, kiedy samoloty uderzyły w wieże. Teraz pracuję w wydziale do walki z terroryzmem.

- Rozumiem. Pewnie nie brakuje roboty.

- Niestety nie. Przestępczość zorganizowana to co prawda jeszcze nie historia, ale nie stanowi już takiego problemu jak kiedyś.

- Dla mnie stanowi, panie Mancuso.

- Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia - zgodził się ze mną.

- W każdym razie dziękuję, że pan oddzwonił do mnie i zainteresował się tą sprawą.

- A ja dziękuję, że pomyślał pan właśnie o mnie. Dziękuję za zaufanie, panie Sutter.

- Cóż, zamierzam znowu zostać podatnikiem w tym kraju, więc pomyślałem sobie, że skorzystam z usług agencji rządowych.

Mancuso ponownie zachichotał. Przypomniał sobie, jak potrafię być zabawny.

- Może mi pan podać swój numer komórkowy?

- Przykro mi, ale nie. Muszę najpierw załatwić sobie kredyt. Ale dam panu numer komórki pani Sutter. Wspominałem jej, że rozmawiałem z panem, więc nie

będzie zaskoczona, kiedy pan zadzwoni, chociaż może być...

- Przerazona?

- A jaki jest antonim słowa przerażona?

- Chce pan powiedzieć, że nie obawia się sąsiedztwa Anthonyego Bellarosa i tego, co on panu powiedział?

- Właśnie to chciałem powiedzieć. To ja się martwię.

- I słusznie. Nie chciałbym podsycać pańskiego niepokoju, ale miałem z tymi ludźmi do czynienia przez dwadzieścia lat i wydaje mi się, że znam ich lepiej niż oni siebie. Anthony Bellarosa, czy tego chce, czy nie, musi coś zrobić. Musi postępować według starych reguł, w przeciwnym razie straci szacunek, a jego pozycja osłabnie. Chodzi tu nie tylko o osobistą zemstę, wendetę, ale o jego pozycję przywódcy.

- Rozumiem. Gdyby pan jeszcze sprawił, żeby pani Sutter to zrozumiała. Nie straszac jej oczywiście.

- Właśnie trzeba ją wystraszyć.

Takie słowa w ustach agenta specjalnego wstrząsnęły mną.

- Niech pan siedzi cicho - radził mi dalej Mancuso - podejmie jakieś środki ostrożności i pozostaje w kontakcie z miejscową policją. Obawiam się, że może istnieć pewne zagrożenie, choć jeszcze nie w tej chwili.

- Dlaczego?

- Porozmawiamy o tym, kiedy się spotkamy. Postaram się wpaść do pana jutro.

Ma pan czas?

- Tak, jestem bezrobotny. Moja żona też.

Nie skomentował moich słów.

- Proszę pozdrowić panią Sutter.

- Dziękuję. - Miałem się już rozłączyć, kiedy do głowy przyszła mi pewna myśl.

- Może będę miał dla pana dodatkowe zajęcie, panie Mancuso.

- Powiniennem od razu przejść na emeryturę?

Uśmiechnąłem się grzecznie.

- To ma coś wspólnego z pańską pracą w wydziale do walki z terroryzmem. - Mancuso milczał, więc kontynuowałem: - Pan Amir Nasim, człowiek, który kupił Stanhope Hall, z pochodzenia Irańczyk, powiedział mi w zeszłym tygodniu, że obawia się zamachu ze strony swoich rodaków.

- Rozumiem.

Z jakiegoś powodu nie wydawał się zainteresowany informacjami, które mu

przekazałem.

- Jeśli by to pana to zaciekało, mogę powiedzieć więcej, kiedy się spotkamy - zaproponowałem.

- Nie, nie, proszę mówić dalej.

Streściłem mu przebieg mojej rozmowy z Nasimem, kończąc słowami:

- Nasim jest albo paranoikiem, albo ma inne powody, dla których podzielił się ze mną swoimi obawami. Ja tylko powtarzam to, co od niego usłyszałem.

- Dziękuję - powiedział pan Mancuso. - Przyjrę się temu. Teraz modna jest dewiza: „Jeśli coś zobaczyłeś, mów”.

Uznałem, że ta dewiza odnosi się również do stróżów prawa i porządku.

- Proszę zadzwonić do pana Nastasio.

Mancuso życzył mi miłego dnia i w ten sposób zakończyliśmy rozmowę.

Miałem teraz wrażenie, że zrobiłem wszystko, co mogłem - zameldowałem nawet o możliwej działalności terrorystycznej w sąsiedztwie. W swoim mniemaniu byłem proaktywny, a nie reaktywny. No i ten kawałek świata stał się teraz bezpieczniejszy, niż był jeszcze dwa dni temu.

Mimo to musiałem odnaleźć strzelbę.

Zszedłem do piwnicy i spędziłem pół godziny wśród licznych, w większości opisanych pudeł. Na żadnym niestety nie znalazłem napisu „strzelba” ani nawet „prochy moich byłych facetów”.

Znalazłem za to pudło z napisem „John”. Podejrzewałem, że chodziło o mnie, a Pani Dobre Wychowanie nie pozwoli mi go otworzyć. Ale skoro Susan myszkowała w stróżówce... co więcej, może tam się znajdować strzelba, choć pudło było chyba zbyt krótkie. W każdym razie rozciąłem je nożem i otworzyłem.

W środku znalazłem stertę listów miłosnych, pocztówek, fotografii i kilka zwariowanych prezentów dla Susan, przywożonych ze służbowych wyjazdów.

Na wierzchu leżało parę wydrukowanych e-maili. Wziąłem jedną z kartek do ręki i zobaczyłem, że jest to e-mail sprzed czterech lat wysłany przez Susan do mnie do Londynu.

*„John, przykro mi z powodu śmierci ciotki Corneli. Będę w Nowym Jorku na pogrzebie. Edward powiedział mi, że ty też będziesz. Chciałam, żebyś to wiedział. Mam nadzieję, że cię tam zobaczę. Susan”.*

Do kartki dołączona była druga, z moją odpowiedzią:

*„Będę na pogrzebie”.*

Krótko i bez czułości.

Nie miałem pojęcia, po co to wydrukowała. A właściwie wiedziałem. I bardzo mnie to zabolalo. Ona próbowała wyciągnąć do mnie rękę, a ja tego nie dostrzegalem.

Ale, jak powiedział Mancuso i Szekspir, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nawet jeśli straciliśmy kilka lat.

Stojąc tak z tym listem w ręku, nadal bez strzelby, myśląc o zatroskaniu Mancusa i o przeszłości kładącej się cieniem na naszej przyszłości - poczułem nagle, że muszę zabić Anthony'ego Bellarosę.

## ROZDZIAŁ 40

Susan zawsze wracała z terenu posiadłości przez ogród różany, usiadłem więc na tarasie z butelką wody i ręcznikiem i czekałem na nią. Wyszła już ponad godzinę temu. Nie martwiłem się, ale nie byłem też zupełnie spokojny. Dotarło do mnie, że dłużej nie możemy w ten sposób żyć.

Miałem przy sobie telefon bezprzewodowy, więc zadzwoniłem na jej komórkę. Zgłosiła się poczta głosowa. Zostawiłem wiadomość i postanowiłem jej poszukać.

Zabrałem ze sobą bezprzewodową słuchawkę, która miała co prawda niewielki zasięg, ale lepsze to niż nic. Wyszedłem z domu i wsiadłem do swojego taurusa.

Zadzwonił telefon.

- John Sutter - przedstawiłem się.

Na szczęście to była Susan.

- Tu jestem... - wydyszała do słuchawki - na tarasie.

- Zaraz tam przyjdę.

Wróciłem na taras. Susan stała pochylona na ścieżce w ogrodzie różanym, z rękami opartymi o kolana i głęboko oddychała. Jeśli nie liczyć butów, nie miała na sobie niczego.

- Gdzie twoje ubranie? - postanowiłem przeprowadzić śledztwo.

- Och... dres jest w pralni, powiedziałaś, że mam nie biegać w szortach, więc tylko to mi pozostało. Świetnie się biegało - dodała.

Nie wierzyłem w ani jedno jej słowo, ale postanowiłem nie psuć zabawy.

- A gdzie trzymałaś telefon?

- Nie pytaj - odpowiedziała.

Ciekawe, czy miała włączone wibracje.

Weszła na taras, położyła telefon na stole i wytarła ręcznikiem spoconą twarz i całe ciało. Wzięła spory łyk wody z butelki.

- Spotkałam Nasima, podwoił ofertę.

- Na jego miejscu zapłaciłbym ci, żebyś została - rzekłem z uśmiechem.

Rozłożyła ręcznik na krześle, usiadła na nim, a nogi umieściła na stole. Poprosiła, żebym zdjął jej buty. Zdjąłem je razem ze skarpetkami. Poruszała palcami, co miało być dla mnie zachętą do rozmasowania jej stóp. Oblała się wodą z butelki, a resztę wypila. Odrzuciła głowę do tyłu i wzięła głęboki wdech.

- Co robisz? - zapytała.

- Ćwiczyłem pilates.

- Czas na drinka, tym razem twoja kolej - powiedziała z uśmiechem. - Grey goose z sokiem żurawinowym.

- Czy przynieść ci jakieś ubranie? - zapytałem.

- Nie. Lubię paradować nago.

Nie zamierzałem z nią dyskutować. Poszedłem do kuchni, zrobiłem jej drinka, a sobie naląłem whisky. Do miseczki nasypałem orzeszków ziemnych, żeby stworzyć choć iluzję tego, że nie chodziło tylko o alkohol.

Warto wspomnieć słowem o alkoholu. W naszym cudownym raju mieszkał, i jak sądzę, nadal mieszka cały tłum ostro pijących ludzi. Zwykle chodzi o picie w towarzystwie, a nie o spadanie ze stołków barowych, ale byli też tacy, którzy popijali w samotności w domu. W każdym razie Susan i ja znajdowaliśmy się pewnie na szarym końcu listy rekordzistów w spożyciu alkoholu, choć z drugiej strony w jakimś hrabstwie na Środkowym Zachodzie zostalibyśmy publicznie oskarżeni i sąd skierowałby nas na przymusowe leczenie. Na dodatek teraz, kiedy czuliśmy na plecach oddech Bellarosy i w mojej głowie zapaliła się czerwona lampka alarmowa, naprawdę powinniśmy ograniczyć spożywanie alkoholu.

Zaniosłem na tacy orzeszki i drinki na taras. W tym czasie Susan wyciągnęła skądś dres i rzuciła go na krzesło, na którym położyła nogi. Ręcznik spowijał jej ramiona i dla przyzwoitości zasłaniał piersi.

Podąłem jej drinka i stuknęliśmy się szklaneczkami.

- Za lato - wzniosłem toast.

Usiadłem. Popijaliśmy drinki, jedliśmy orzeszki, cieszyliśmy się ciszą i łagodnymi podmuchami wiatru.

- Trochę się martwiłem - wyznałem.

- Za bardzo się przejmujesz - powiedziała po chwili.

- Bo jest powód.

- Wiem, ale... co więcej możemy zrobić?

Można było zrobić jeszcze wiele, tyle że ona nie chciała.

- Szukałem w piwnicy strzelby, ale nie znalazłem.

- Może jest gdzie indziej.

- Jeśli nie znajdziemy jej do jutra, kupię nową. Albo karabin.

- Dobrze strzelam ze strzelby - przypomniała mi.

Z pistoletu też, pomyślałem.



- Kiedy biegałaś, rozmawiałem z Feliksem Mancuso. - Pokiwała tylko głową, więc ciągnąłem: - Chce się z nami spotkać, może nawet jutro. Podałem mu twój numer telefonu komórkowego.

- Chyba już czas, żebyś sobie kupił telefon.

- Nie o to chodzi.

- Nabijasz mi rachunek.

- Susan, naprawdę już czas, żebyś wyciągnęła głowę z piasku i zaczęła mi pomagać.

- Dobrze. Zrobię, co każesz.

To oczywiście złagodzona na użytek męża wersja zdania: „Jesteś tyranem i kompletnym idiotą, a ja bezwolną ofiarą twojej dominacji, ale oczywiście zrobię, co tylko zechcesz, kochanie”.

- Czyż nie posłuchałam cię i nie biegałam tylko na terenie posiadłości? Wzięłam też ze sobą telefon i nie włożyłam szortów. Spójrz na mnie. Musiałam biegać przez ciebie nago.

Trudno się złościć na piękną nagą kobietę.

- Kiedy słuchasz moich poleceń, nie traktuj ich tak dosłownie - zwróciłem jej uwagę.

Przez chwilę milczała, potem wpadła w poważniejszy ton.

- Nikt nie lubi posłańca przynoszącego złe wiadomości. Ty byłeś tylko posłańcem, a wiadomość była przeznaczona dla mnie.

- Przecież mnie lubisz.

- I kocham za to, że się o mnie martwisz.

Chciałem dodać, że Felix Mancuso podziela moje obawy, ale lepiej będzie, jeśli sam jej to powie.

- Bieganie nago rozpala mnie - oznajmiła Susan, kiedy weszliśmy na górę do naszej sypialni.

Ugasilem ten pożar, a potem wzięliśmy razem prysznic. Kiedy ubieraliśmy się przed wyjściem na kolację do The Creek, zadzwonił telefon komórkowy Susan. Spojrzała na wyświetlacz i oddała mi aparat

- To chyba do ciebie.

- Może być jutro, dziesiąta rano? - zapytał Felix Mancuso, kiedy odebrałem.

- Świetnie. Wie pan, gdzie nas szukać.

- Wiem.

Faktycznie, był tutaj dwukrotnie - raz przywiózł mnie do domu z Manhattanu po próbie sprzątnięcia Bellarosy, a drugi raz pojawił się, żeby mnie poinformować, że moja żona właśnie zamordowała naszego sąsiada, Franka Bellarose.

- W takim razie do zobaczenia - rzuciłem do słuchawki i rozłączyłem się. - Jutro o dziesiątej - poinformowałem Susan. - Chcę, żebyś znalazła czas.

- Oczywiście, kochanie.

Siedziałem za kierownicą lexusa Susan. Minęliśmy ciemną i opuszczoną teraz stróżówkę. Za dzień, dwa Nasim będzie mógł umieścić w niej swoich ludzi, chyba że dojdzie do wniosku, że jednak nikt nie dybie na jego życie. Moje obawy były łatwiejsze do zweryfikowania, dlatego wcale nie przeszkadzałyby mi, gdybym w drodze do domu musiał przejeżdżać przez punkt kontrolny Nasima. Każdy środek bezpieczeństwa był pożądany, choć zdawałem sobie sprawę, że zabijaki Anthony'ego Bellarosy mogą uderzyć w dowolnym miejscu i czasie.

Moją obecną troską było jednak pojawienie się na nowo w The Creek Country Club. Pociuszające było to, że w The Creek nigdy nikogo nie zastrzelono podczas kolacji, chociaż sam o tym nieraz myślałem, gdy jadłem w towarzystwie ludzi, którzy zanudzali mnie na śmierć.

- Żeby było jasne, nie boję się iść do The Creek - odezwałem się do Susan.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoiła mnie. - Jesteś ze mną.

- Pewnie. - Do tej pory nie mogłem pojąć, dlaczego jej wybaczone morderstwo, a ja znalazłem się na czarnej liście tylko dlatego, że przyprowadziłem na kolację szefa mafii. A właściwie wiedziałem. Ona złamała tylko prawo - niepisane reguły. Prócz tego ona nazywała się Stanhope. Biorąc pod uwagę jej romans z Donem, Który Przyszedł Tu Na Kolację, było to zbyt pikantne, żeby ją wyrzucić z klubu. Właściwie powinni jej zafundować bezpłatne roczne członkostwo.

The Creek leży zaledwie o dziesięć minut jazdy od Stanhope Hall i nim zdołałem wymyślić rozsądny powód, żeby zawrócić, podjeżdżaliśmy już długą wysadzaną drzewami aleją pod klub.

The Creek Country Club to malownicze miejsce z polem golfowym, plażą z kabinami, kortami tenisowymi i domkami gościnnymi. W jednym z nich wkrótce zamieszkają Stanhope'owie albo ja. Budynek klubu to wciąż olśniewająca urokiem i wdziękiem stara rezydencja. Jedzenie po kilku drinkach wydaje się dobre, a po jednej lub dwóch butelkach wina jest wyśmienite. Obsługa bywała do niczego, ale to właśnie jest ten specyficzny urok, który próbowałem wyjaśnić Frankowi Bellarosie i jego

żonie. Frank nie rozumiał starej tradycji, że jedzenie powinno być takie sobie, a obsługa gburowata. Dawał tym samym świadectwo, że jest prostym, nieokrzesanym chamem. Ich wizyta w The Creek to było pasmo problemów; począwszy od jego i jej stroju, poprzez opieprzanie Richarda, starego kelnera, który w The Creek był od zawsze, a skończywszy na nierealistycznym i niezrozumiałym pragnieniu zostania członkiem klubu. Na szczęście Susan, zabijając Franka, położyła kres tym kłopotliwym sytuacjom.

Zostawiłem samochód na niewielkim parkingu i weszliśmy do środka. Susan zarejestrowała się, a potem opuściliśmy zatłoczony i najeżony niebezpieczeństwami bar i salonik. Hostessa zaprowadziła nas wprost do jadalni i posadziła przy nakrytym dla dwóch osób stoliku w rogu. Następnie przyjęła od nas zamówienie.

Tego wieczoru niewiele osób przyszło na kolację; widziałem znajome twarze, ale nie byli to ani dawni przyjaciele, ani klienci.

- Cieszysz się, że tu jesteś? - zapytała Susan.

- Kiedy jestem z tobą kochanie, jestem szczęśliwy w każdym miejscu.

- Świetnie. Któregoś wieczoru zabierzemy tu moich rodziców.

- Jeśli będzie im to odpowiadało, proszę bardzo.

- Kochają mnie i chcą mojego szczęścia - powiedziała z nieco sceptyczną miną.

- Więc jednak coś nas łączy.

- Może tutaj urządzimy przyjęcie weselne? - zaproponowała.

- Nie chciałbym ponownie narażać twojego ojca na koszty. W końcu ten sam mąż...

- Tym razem to my zapłacimy.

Ciekaw byłem, kto płacił za wesele Susan i Dana Jak Mu Tam.

- W takim razie przyjęcie będzie skromne.

- A może urządzimy je w ogrodzie przed domkiem gościnnym?

- Nie zapomnij zaprosić Nasimów. Oni uwielbiają przyjęcia. -Nasze przyjęcie weselne w Stanhope Hall było najważniejszym wydarzeniem tamtego lata.

Susan najwidoczniej zapomniała, że tamto przyjęcie odbywało się pod hasłem: „Przeżyjmy jeszcze raz trudy drugiej wojny światowej” - z racjonowaniem żywności, prawie pustym barem i zaciemnieniem po dwudziestej drugiej.

- To był niezapomniany wieczór - zapewniłem ją.

- John, urządzmy przyjęcie w Seawanhaka! - wpadła na nowy pomysł. - Tam się poznaliśmy, ty jesteś żeglarzem, będzie świetnie.

Całe to weselne gadanie wprawiało mnie w stan lekkiej nerwowości, więc postanowiłem uciąć dyskusję.

- Doskonale! - zakrzyknąłem.

- Wspaniale. Jutro zadzwonię i zapytam, na co możemy liczyć.

- Do mnie też zadzwoń i zapytaj, czy można na mnie liczyć.

Wzięła to za dobrą monetę i uśmiechnęła się.

Kelnerka przyniosła nam drinki - dwie lampki słabego białego wina - i menu.

- Za cudowny drugi raz. - Stuknęliśmy się kieliszkami.

- Jesteś taki kochany.

Przebiegłem wzrokiem menu, żeby sprawdzić, czy po wizycie słynnego szefa mafii dodali jakieś włoskie danie. Cielęcina a la Bellarosa? Klopsiki Karabin Maszynowy Dona? Spaghetti Strzelba Gładkolufowa?

- Zamawiaj z rozsądkiem - powiedziała Susan.

- Zastanawiam się nad kurczakiem z kevlaru.

- Gdzie ty to widzisz?

- Dania główne, trzeci od dołu.

Zerknęła do karty.

- To kurczak Kiev.

- A, rzeczywiście, Kiev. - Odłożyłem menu. - Ciężko odczytać przy tym oświetleniu. Zamów za mnie.

Wróciła kelnerka i Susan zamówiła dwie sałatki warzywne i dwie porcje dorsza z wody, a mnie pociekła ślinka.

Wieczór w The Creek przebiegł miło i spokojnie, nie zakłócił go żaden znajomy. Dziękowałem Bogu, że w jadalni było tak pusto.

Kiedy wychodziliśmy, zerknąłem w stronę baru i zobaczyłem tam kilkoro moich znajomych. Część z nich dostrzegła Susan i mnie. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na pewną siedzącą przy stoliku damę, która przypominała mi moją matkę. To rzeczywiście była moja matka w towarzystwie czterech pań w jej wieku. Nie zauważyła mnie, więc w dalszym ciągu zmierzałem w kierunku wyjścia.

Nie widziałem matki od pogrzebu ciotki Cornellii cztery lata temu, choć rozmawialiśmy przez telefon średnio raz na miesiąc i wysyłaliśmy sobie kartki świąteczne. Prócz tego zaprosiłem ją do Londynu, ale podobnie jak wielu innych aktywnych staruszków była zbyt zajęta, żeby mnie odwiedzić. Sporo podróżowała z firmą Elder Hostel - co prawda nie do Londynu, ale do innych egzotycznych miejsc,

gdzie mogła bratać się z naturą i tubylcami szczerymi, szlachetnymi, niematerialistami, na dodatek chyba nieznanymi podstawowych zasad higieny. Pewnie dlatego nie skusiła jej moja oferta zwiedzenia imperialnego muzeum wojny.

Harriet była członkiem założycielem Skonfliktowanej Partii Socjalistycznej i dla zasady odmawiała członkostwa w jakimkolwiek prywatnym klubie, ale za to nie miała żadnych oporów, by się tam pojawiać jako mój czy czyjkolwiek gość. A od śmierci ojca stała się stałym gościem czegoś, co niektórzy członkowie nazywali Smętnym Klubem Zawianych Wdów. Widywałem te damy w saloniku, popijające wino lub sherry i wspominające swoich drogich nieobecnych mężów z większą pasją, niż kiedykolwiek to czyniły za ich życia.

Wyszedłem z Susan na zewnątrz, ale tam zatrzymałem się nagle.

- Czas zmierzyć się z bestią - powiedziałem.

- Co masz na myśli?

- W saloniku jest moja matka.

- To straszne, John. Chodźmy się z nią przywitać.

Wróciliśmy po swoich śladach do saloniku.

Harriet zauważyła nas, kiedy wchodziliśmy, wstała i zapiszczała z radości:

- John! John! Dziewczyny! To mój syn John! - Te ostatnie słowa skierowała do swoich koleżanek. - Los się dzisiaj do mnie uśmiechnął!

To nie były dokładnie jej słowa. Była tak przejęta, że ledwie mogła mówić.

Podszedłem do stolika z Susan, która przejęła inicjatywę, pochyliła się i wymieniła uściski i całusy ze swoją byłą i przyszłą teściową. Ja poszedłem w jej ślady.

Harriet przedstawiła nas swoim przyjaciółkom.

- Drogie panie, oto mój syn John, którego może pamiętacie, a to jego była żona, Susan Stanhope, którą na pewno wszystkie znacie, a jeśli nie, to znacie jej rodziców. - Następnie przedstawiła nam cztery towarzyszące jej panie.

Faktycznie, pamiętałem te wesołe wdówki, a nawet ich mężów, którzy żyli jeszcze, kiedy stąd zniknąłem.

Harriet miała na sobie szykowny wieśniacki strój z lat siedemdziesiątych i te same sandały, w których wystąpiła na swojej pierwszej antywojennej demonstracji. To było długo przed Wietnamem, ale o którą wojnę chodziło, do dzisiaj pozostaje tajemnicą. Harriet nadal nosi długie siwe włosy - chyba się z takimi urodziła - i biżuterię wykonaną przez odrzuconych przez zachodnią cywilizację autochtonów, których dzieła powoli wracają do łask.

Przez dobrą minutę prowadziliśmy z paniami cczą dyskusję. Miałem wrażenie, że kilka osób przy barze i stolikach zaczyna nam się przyglądać. Nie wzbudziłem takiego zainteresowania przy barze od czasu, gdy dziesięć lat temu przyprowadziłem tu małżeństwo Bellarosów.

Harriet nie poprosiła, żebyśmy usiedli, więc Susan skorzystała z okazji i obwieściła:

- Jeżeli nie macie panie nic przeciwko temu, zamierzam porwać na chwilę Harriet.

Harriet przeprosiła przyjaciółki i przeszliśmy do holu. Nawet jeśli matka była ciekawa, co Susan i ja robimy tutaj razem, to nie wychodziła z siebie, żeby się dowiedzieć.

- John chciałby ci coś powiedzieć - zaczęła Susan.

Faktycznie, miałem jej sporo do powiedzenia, ale powstrzymałem się i ograniczyłem do jednego krótkiego zdania.

- Susan i ja pogodziliśmy się.

Harriet pokiwała głową.

- Zamierzamy ponownie się pobrać - dodałem. Na koniec zostawiłem jeszcze jedną dobrą wiadomość: - Przeprowadzam się tutaj z Londynu.

Ponownie pokiwała głową i spojrzała na Susan, oczekując potwierdzenia tych bredni. Susan wyjaśniła jej to najprościej, jak się dało.

- Nigdy nie przestaliśmy się kochać, a John mi wybaczył.

Harriet odpowiedziała tonem, który sugerował, że od dawna o tym wiedziała.

- A ty mu wybaczyłaś?

Pytanie było co najmniej niestosowne.

- Szczerze porozmawialiśmy o ranach, jakie sobie nawzajem zadaliśmy - odparła Susan - i postanowiliśmy wybaczyć sobie i dalej razem kroczyć przez życie.

Harriet zmierzyła nas oboje wzrokiem.

- No, cóż, dzieci... - tak zwykła się do nas zwracać - ...muszę przyznać, że to bardzo zaskakująca decyzja, i nie wiem, co mam powiedzieć...

Daj spokój, Harriet. Powiedz po prostu „ja to pierdołę” i wracaj do swojego towarzystwa.

- Chciałabym, żebyś cieszyła się z tego tak jak my - powiedziała Susan.

Harriet udała, że nie słyszy, i zapytała:

- Rozmawialiście już z Williamem i Charlotte?

- Chcieliśmy, żebyś pierwsza się o tym dowiedziała, chociaż zadzwoniliśmy już do Edwarda i Carolyn. Są zachwyceni.

- Nie wątpię.

- Będziemy wdzięczni, jeśli zachowasz to w sekrecie i dasz nam szansę poinformowania o tym innych - ciągnęła Susan.

Harriet skinęła głową.

- Obawiam się, że twoi rodzice tego nie zaakceptują, Susan.

- Oczekujemy ich aprobaty, ale i tak postąpimy, jak chcemy.

- Naprawdę?

To oznaczało, że Harriet zastanawia się, czy rozumiemy związek pomiędzy słowami aprobaty a pieniądze.

- Rozmawialiśmy o tym z Johnem - zapewniła ją Susan.

- To dobrze. Ale mam nadzieję, że wasz ponowny związek nie rozdzieli twoich rodziców i ich wnuków.

Definicja rozdzielania: wykreślenie z testamentu; likwidacja funduszu powierniczego. Tak rozumie to słowo kobieta, która nie uznawała dziedziczenia majątku, chyba że chodziło o majątek paskudnego bandyty, który zapisywał go jej wnukom. Harriet była klinicznym przypadkiem osoby pełnej sprzeczności i hipokryzji.

- Nie widzę powodu, dla którego nasz ponowny ślub miałby mieć wpływ na stosunki pomiędzy moimi rodzicami a ich wnukami - odparowała Susan.

- Mam nadzieję, że się mylę.

Zaczęła mnie niecierpliwic ta mało konkretna, choć uprzejma wymiana zdań.

- Nie musisz się cieszyć z naszej decyzji, nie musisz nam udzielać błogosławieństwa, nie musisz nawet przychodzić na nasz ślub - wypaliłem. - Ale może przynajmniej zadbasz o swój interes.

Harriet spojrzała na mnie, jakby zastanawiała się, kim ja właściwie jestem i skąd się tu wziąłem.

- John, to było niegrzeczne.

Postanowiłem być w dalszym ciągu niegrzeczny.

- Na miłość boską, Harriet, życie jest zbyt krótkie, żebyś tu stała jak kłoda, nie uśmiechnęła się do nas, nie uściskała nas, nie powiedziała jednego ciepłego słowa.

- John... - zaproponowała bez przekonania Susan.

- Wychodzimy - obwieściłem. - Miłego wieczoru, mammo.

Skierowałem się ku drzwiom.

- John - usłyszałem głos matki.

Odwrociłem się, wtedy ona podeszła do mnie i spojrzała mi w oczy.

- Ja też oczekiwałam od ciebie uśmiechu, uścisku czy miłego słowa - powiedziała.

Harriet jest doskonała w zamianie ról - z agresora staje się ofiarą, z oskarżyciela - matką męczenniczką, z królowej lodu - misiem przytulanką. Dlatego zareagowałem tak, jak zwykle to robić, odkąd przejrzałem ją jako dziecko - uściskałem ją mocno i wycalowaliśmy się serdecznie. Aż do następnego razu.

Susan uśmiechała się i już po chwili tworzyliśmy zwartą szczęśliwą, obejmującą się serdecznie grupę ludzi. Oddałbym dwa lata swojego życia za podwójną szkocką w takiej chwili. Mogłem się założyć, że Harriet też.

- Bardzo mnie zaskoczyliście, ale rzecz jasna, jestem szczęśliwa - zapewniła nas Harriet.

- Wiem, że jesteś - odparła Susan. - John jest najwspanialszym mężczyzną na świecie i jedynym, którego kiedykolwiek kochałam.

Tej ostatniej części jej wypowiedzi nie byłem do końca pewien, a Harriet miała wątpliwości co do pierwszej, ale mimo to powiedziała:

- To cudownie.

- Jak wspaniale znowu tu być - powtórzyłem swoją mantrę.

Susan obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

- Wracaj do koleżanek - zwróciła się do Harriet.

- Jak przypuszczam, wkrótce spotkamy się na pogrzebie - odparła moja matka.

- Nie wiem, czy już słyszałaś, ale Ethel zapadła w śpiączkę - poinformowała ją Susan.

- Tak, słyszałam. Obawiam się, że koniec jest bliski - zawyrokowała Harriet, a potem wygłosiła pean: - Ethel Allard to wspaniała kobieta.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy z Susan do samochodu.

- Cieszę się, że mamy to za sobą - rzekła Susan.

Nie bardzo wiedziałem, czy chodzi jej o moje przyście do klubu, czy pogodzenie się z lady Makbet.

- Nie będzie łatwo, prawda? - zauważyła z niezwykłą dla siebie przenikliwością.

- Chyba powinniśmy się wycofać - pociągnąłem ten wątek.

- Już raz to zrobiliśmy. Teraz wracamy. Razem.



- Jak wspaniale znowu to być - zapewniłem ją.
- Twoja matka dobrze wygląda.
- Robi sobie makijaż z odpadów medycznych. Głównie z krwi i żółci.
- John...
- Myślisz, że oboje byliśmy adoptowani?
- Mimo wszystkich swoich wad kochają nas - zapewniła mnie.
- Pewnie, miałaś małą próbkę tej miłości nie dalej jak dwie minuty temu. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy zobaczę, jak przyjmują to twoi rodzice.
- Może to z nami coś jest nie tak - powiedziała z uśmiechem Susan.
- Chyba jesteś na dobrym tropie.

Wsiadliśmy do samochodu i ruszyliśmy w kierunku Stanhope Hall. Po dzisiejszej rozmowie z Feliksem Mancuso nie cieszył mnie powrót do domku gościnnego, ale Susan w ogóle się tym nie przejmowała. Szczebotała całą drogę o naszej przyszłości, podczas gdy ja myślałem o najbliższych dziesięciu minutach.

## ROZDZIAŁ 41

Noc była ciemna; księżyc skrył się za gromadzącymi się na niebie deszczowymi chmurami. Poprosiłem Susan, żeby prowadziła. Kiedy dojechaliśmy do zamkniętej bramy Stanhope Hall, nacisnąłem przycisk pilota i żeliwne skrzydła powoli zaczęły się rozchyłać.

Wjechaliśmy do środka i brama automatycznie zamknęła się za nami.

Trzystujardowa alejka prowadząca do domku gościnnego była wąska, kręta, mroczna i po obu stronach porośnięta gęstym szpalerem drzew. Susan potraktowała to jak wyzwanie i zaczęła przyspieszać.

- Zwolnij.

- John...

- Stój!

Wcisnęła hamulec.

- Co...?

Sięgnąłem ręką do przełącznika i wyłączyłem reflektory.

- Teraz jedź. Powoli.

Spojrzała na mnie zaskoczona, wreszcie zrozumiała i ruszyła powoli. Pod kołami chrzęścił żwir.

- Nie mogę uwierzyć, że musimy się tak zachowywać - powiedziała spokojnie.

- Nasim robi to codziennie - zażartowałem, żeby rozładować atmosferę.

Poprosiłem, żeby mi dała swój telefon komórkowy. Wybrałem numer dziewięćset jedenaście, ale nie wcisnąłem klawisza „połącz”.

Po lewej, oddalony o sto jardów od nas, ukazał się zarys domu gościnnego. Widać było także światła rezydencji Stanhope Hall, która znajdowała się ćwierć mili za domkiem gościnnym. Jeżeli Nasim obserwował okolicę przez lornetkę, mógł przypuszczać, że oto pojawili się zamachowcy.

Kiedy zbliżyliśmy się do naszego domu, zauważyłem kilka zapalonych świateł w środku i dwa na zewnątrz - jedno nad drzwiami frontowymi i jedno umieszczone na kamiennym słupie, oznaczające miejsca, gdzie należało skręcić z alei prowadzącej dalej do Stanhope Hall. Susan skręciła na podjazd do domu.

- Zawróć przed domem - poleciłem jej.

Zrobiła, jak jej kazałem, i teraz samochód stał skierowany przodem w kierunku głównej alei.

- Sprawdzę dom, a ty zostań tutaj, bądź gotowa do szybkiej ucieczki i zadzwonienia pod dziewięćset jedenaście. I nie zapomnij wcisnąć blokady drzwi.

- John, jeśli uważasz, że coś nam tu grozi, to chodźmy spać do hotelu.

- Nie wiem, czy coś nam grozi; to są zwykle środki ostrożności.

- To nie jest normalne.

- Teraz już jest. Zostań tu. - Uśmiechnąłem się. - I nie zaśnij.

- John...

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do drzwi frontowych. Były zamknięte. Następnie ruszyłem w bok ścieżką prowadzącą do ogrodu różanego, żeby sprawdzić, czy żadne z okien nie jest otwarte lub wybite.

Dotarłem do znajdującego się z tyłu domu tarasu, sprawdziłem okna i drzwi i zajrzałem do środka. Następnie obszedłem dom z drugiej strony. Kiedy minąłem narożnik, coś poruszyło się w ciemnościach. Zamarłem.

Przed wyjściem zostawiłem włączoną lampę w salonie i teraz snop światła padał na trawnik z boku budynku. Ktoś kroczył w kierunku tej jasnej plamy. To była Susan.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku - powiedziała na mój widok.

- Kazałem ci zostać w samochodzie.

- Zostałam w samochodzie. A potem wysiadłam. Zbyt długo to trwało.

Byłem na nią wściekły, a jednocześnie podziwiałem jej odwagę. Susan nie jest płochliwa i nie znosi, kiedy ktoś jej rozkazuje. Szybko też traci cierpliwość do mężczyzn, którzy chcą ją nadmiernie chronić. Widziałem to wielokrotnie na morzu, a także wtedy, gdy jeździliśmy konno przez bezdroża.

- W wojsku nauczono mnie, że należy słuchać rozkazów i robić tylko to, co kazano. Dzięki temu można uniknąć zaskoczenia - rzekłem spokojnie. - Gdybym miał broń, mógłbym cię zastrzelić.

- Poczekaj, aż będziemy po ślubie.

Żadna logika nie skutkowałą, więc poddałem się, podszedłem do drzwi kuchennych i otworzyłem je.

- Zaczekaj tu.

Ruszyłem prosto do holu, żeby się upewnić, że drzwi do piwnicy są zamknięte, potem obszedłem szybko cały parter, zapalając we wszystkich pomieszczeniach światła. Dom jest duży i nie zamierzałem zabezpieczać wszystkich pokoi, ale teraz, póki policja nie porozmawia z Anthonyem Bellarosą, a ja z Feliksem Mancuso i póki

nie mam broni - zamierzałem sprawdzić pokój po pokoju. Te środki ostrożności powinny też uświadomić Susan, jak realne jest zagrożenie.

Susan oczywiście nie czekała na zewnątrz; była już w holu.

- Zostań tutaj - poleciłem jej, poszedłem na piętro, sprawdziłem wszystkie pięć sypialni, a kiedy zszedłem na dół, zastałem ją w gabinecie.

Najwyraźniej mieliśmy problem z rozumieniem słowa „tutaj”.

Susan odbierała pocztę elektroniczną.

- Jutro przylatują moi rodzice... - Podała szczegóły ich jazdy na miotle i dodała:  
- Edward pojawi się w czwartek wieczorem, a Carolyn prosi, żeby dać jej znać, kiedy Ethel umrze, wtedy przyjedzie pociągiem.

Zauważyłem migającą lampkę automatycznej sekretarki. Włączyłem ją i odsłuchałem wiadomość.

- Chciałabym was poinformować, że mama umarła dzisiaj wieczorem o ósmej piętnaście. - W głosie Elizabeth słychać było zmęczenie i napięcie. - Zadzwoń jutro i podam więcej szczegółów na temat pogrzebu. Dziękuję wam, jesteście wspaniałymi przyjaciółmi.

Ani Susan, ani ja nie powiedzieliśmy słowa. Susan wybrała numer Elizabeth; zgłosiła się automatyczna sekretarka.

- Elizabeth, bardzo nam przykro. Ale wiemy, że jest teraz bliżej Boga. Jeśli możemy w czymś pomóc, zadzwoń, proszę.

- Daj nam znać, czy mamy przyjechać do domu pogrzebowego - wtrąciłem się. - Nie możesz wszystkim zajmować się sama, pozwól sobie pomóc.

Susan odłożyła słuchawkę.

- Przypominam sobie, kiedy umarł George, wydawało mi się, że zakończyła się pewna epoka... zabrał ze sobą część mojego dzieciństwa.

Podszedłem do barku.

- Drinka? - zapytałem.

- Poproszę. Cokolwiek.

Nalałem dwa kieliszki brandy, podczas kiedy Susan wysyłała e-maile z informacją o śmierci Ethel.

A więc Ethel Allard nie żyła. Dzień wcześniej zmarł John Gotti. Poza tym nic ich nie łączyło. A jednak oba te zgony wywarły wpływ na moje życie. Śmierć Ethel przywiodła mnie z powrotem do domu, a śmierć Gottiego mogła sprowadzić na nas niebezpieczeństwo.

Podałem Susan kieliszek.

- Za Ethel - powiedziała Susan, stukając swoim kieliszkiem o mój.

- To ona sprowadziła mnie z powrotem do domu - podzieliłem się swoimi przemyśleniami z Susan.

- Poprosiłam ją, żeby z tobą porozmawiała - wyznała z kolei Susan.

- Wiem. I porozmawiała.

- To było z mojej strony bardzo egoistyczne. Prosiłam umierającą kobietę o wstawiennictwo.

- Na pewno zrobiła to z przyjemnością.

- Chyba tak.

Zabraliśmy kieliszki na górę, rozebraliśmy się i położyliśmy do łóżka.

Chwilę jeszcze rozmawialiśmy i czytaliśmy, potem Susan zasnęła. Wstałem z łóżka i zszedłem do piwnicy, żeby jeszcze raz poszukać strzelby. Nie znalazłem jej, więc poszedłem do kuchni, wziąłem długi zakrzywiony nóż, wróciłem do sypialni, zamknąłem drzwi na klucz i zastawiłem je komodą.

Usiadłem na łóżku i zacząłem się zastanawiać nad wszystkimi wydarzeniami, które doprowadziły do tego, że znalazłem się teraz w sypialni z nożem na nocnym stoliku.

Cóż, mogło być gorzej; mogłem przecież zaginąć na morzu. Albo jeszcze gorzej - ożenić się. Mogło też być lepiej; Frank Bellarosa mógłby nie zabłądzić dziesięć lat temu w poszukiwaniu restauracji w Glen Cove i nigdy nie ujrzeć Alhambry ani Susan Sutter.

Ale stało się, co się stało, ludzie żyli i umierali, i nie czas teraz zastanawiać się dlaczego; trzeba wyprzedzać ruch tych, którzy mieli wobec nas złe zamiary.

Zgasilem lampę, ale przez całą noc czuwałem w półśnie.

## ROZDZIAŁ 42

W nocy padał deszcz, dlatego trudno było usłyszeć, czy ktoś nie próbuje dostać się do domu.

Usiadłem na łóżku i spojrzałem na śpiącą obok mnie Susan. Wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że groziło jej niebezpieczeństwo. Straciłem ją dla Franka Bellarosy, ale nie zamierzałem teraz stracić dla Anthony'ego.

To była długa noc, podczas której przygotowałem się do tego, o czym mówił Felix Mancuso - trzeba wystraszyć Susan.

Nie jestem paranoikiem i kiedy opływałem świat dookoła, byłem jednym z nielicznych żeglarzy, którzy nie trzymali na pokładzie broni. Z tego powodu kilka osób odmówiło nawet zamustrowania się na moją łódź.

Zdarzyło się jednak u wybrzeży Somalii, że potrzebna mi była broń i musiałem sięgnąć po pistolet sygnalizacyjny. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Po tej przygodzie poddałem się twardej rzeczywistości i w Adenie kupiłem AK-47. Nawiasem mówiąc, łatwiej było tam kupić karabin niż butelkę whisky. I taniej.

Zauważyłem, że z kałasznikowem na pokładzie lepiej sypiam w nocy, i zastanawiałem się, jak do tej pory sobie bez niego radziłem. Świat jest do dupy i bujanie w obłokach może mieć fatalne skutki.

Nastał szary, deszczowy, ale upragniony świt. Ludzi można mordować co prawda o dowolnej porze, ale istnieje w nas taki pierwotny instynkt, który każe nam czuwać wtedy, gdy powinniśmy spać. W nocy, kiedy śpimy, pod domem czają się drapieżniki.

Wstałem z łóżka, nałożyłem szlafrok i szedłem ponownie do piwnicy. Po piętnastu minutach poszukiwań byłem już całkowicie przekonany, że strzelba została w Hilton Head albo ukradli ją ludzie zajmujący się przeprowadzką. Z drugiej strony kupno nowej strzelby czy nawet karabinu w miejscowym sklepie sportowym nie stanowiło żadnego problemu. Dzięki Bogu mieliśmy Drugą Poprawkę i prywatne sklepy z bronią. Tak łatwo można się było zaopatrzyć jeszcze tylko w Adenie.

Niestety, mimo przysługujących mi konstytucyjnych praw do noszenia broni, bardzo trudno było uzyskać pozwolenie na posiadanie broni krótkiej, a właśnie takiej potrzebowaliśmy z Susan, kiedy wychodziliśmy z domu. Mogłem się założyć, że ani Anthony Bellarosa, ani cała La Cosa Nostra nie mają takich problemów.

Wróciłem na górę i zastałem Susan siedzącą za kuchennym stołem. Miała na

sobie białe body, które wspaniale podkreślało jej opaleniznę. Czytała jakieś kobiece pismo, łykając przy tym bezmyślnie witaminy i popijając je sokiem z marchwi, który był tego samego koloru co jej włosy.

- Dzień dobry - powiedziała, unosząc głowę znad gazety.

Brakowało mi snu, byłem wściekły z powodu strzelby i w ogóle w nie najlepszym nastroju tego pochmurnego ranka, więc nie odpowiedziałem.

- Co robiłeś w piwnicy? - zapytała Susan.

- Przymierzałem twoje zimowe sukienki.

- Jeszcze na to za wcześnie, John.

Dostrzegłem dzbanek z kawą i nalałem sobie filiżankę.

- Napij się soku z marchwi - zaproponowała.

- Dziękuję, ale już zrobiłem sobie zastrzyk z soku z granatów<sup>7</sup>.

- Naprawdę na to za wcześnie.

- Jesteś pewna, że zabrałaś strzelbę z Hilton Head?

- Tak. I nawet pamiętałam, gdzie ją położyłam.

- Świetnie. Gdzie?

- Na strychu.

- Wcześniej mówiłaś, że w piwnicy.

- Piwnica, strych, co za różnica?

- Żadna? Dobrze... więc jak już pójdziesz na strych...

- Już tam byłam. - Wskazała ręką pomieszczenie na szczotki. - Tam stoi.

- Jasne. - Otworzyłem drzwi pomieszczenia i zobaczyłem pomiędzy mopem a miotłą oparty o ścianę futerał strzelby.

Zabrałem go do kuchni, wyjąłem strzelbę i sprawdziłem, czy jest zabezpieczona.

Była to dubeltówka kalibru .20 włoskiej firmy Beretta. Na wykonanej z orzechowego drewna kolbie osadzona była mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem: Susan Stanhope Sutter, a niklowaną baskilę zdobiły skomplikowane złote grawerunki z motywami roślinnymi. Gdybym miał zgadywać, ile ta strzelba kosztowała, obstawiałbym dziesięć tysięcy dolarów. Może to był prezent ślubny od Sally'ego Da-Da w podziękowanie za załatwienie Franka Bellarosy.

Susan szybko wyprowadziła mnie z błędu.

---

<sup>7</sup> Sok z granatów jest uważany za skuteczny środek na zaburzenia erekcji.

- Dostałam ją od Dana, kiedy zostałam członkinią klubu strzeleckiego.

Dan najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, co stało się z ostatnim chłopakiem Susan.

- Jeśli chcesz, możesz ją sprzedać. Kupimy inną.

Chyba miałem w tej chwili zdecydować, czy strzelba ma dla niej wartość sentymentalną - przywołuje słodkie wspomnienia chwil wspólnie spędzonych na strzelaniu do rzutków czy anihilowaniu kaczek na bagnach.

- On nie strzelał - dodała celem wyjaśnienia. - Tylko ja. On grał w golfa.

- Możemy ją zatrzymać - zdecydowałem. - Jest na niej twoje nazwisko.

Wzruszyła ramionami i wróciła do czytania gazety.

Złamałem strzelbę, żeby się upewnić, czy w komorze nie został nabój, zajrzałem do lufy, która okazała się dość czysta, choć cała broń wymagała na pewno czyszczenia i konserwacji.

- Kiedy ostatni raz z niej strzelałaś? - zapytałem.

- Jakies dwa lata temu - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- Szkoda, że nie miałem jej zeszłej nocy.

Nie odezwała się.

- Masz zestaw do czyszczenia?

- Nie mogłam go znaleźć.

- A naboje?

- Poszukam.

No tak, strzelba nie na wiele by się zdała wczoraj.

- Idę dziś do sklepu sportowego.

Nie odpowiedziała. Włożyłem broń do futerału.

- Chyba powinniśmy sobie sprawić psa.

- Miałam psa.

- Też jest na strychu?

Zignorowała moje pytanie.

- Z psami jest mnóstwo pracy. Po co ci pies?

Najwyraźniej nadawaliśmy na różnych częstotliwościach.

- Dla bezpieczeństwa.

- A... tak... no jasne. Ale zczekajmy do pogrzebu i do chwili, kiedy wszyscy wyjadą. Moi rodzice nie lubią psów - dodała.

- Chyba się tu nie zatrzymają?



- A będziesz miał coś przeciwko temu?

- Po prostu byłbym zaskoczony.

Susan rzuciła magazyn na stół.

- Nie sądzę, John, że zareagują tak źle, jak to sobie wyobrażasz.

- Będę szczęśliwy, jeśli okaże się, że nie mam racji.

- Czy ja dobrze słyszę?

Przemknęła mi przez głowę przerażająca myśl, że oto dziś jest pierwszy dzień reszty mojego życia.

- I przestań się opychać tymi witaminami - poradziłem jej.

Podszedłem do lodówki, żeby przyrządzić sobie śniadanie, ale nim otworzyłem drzwi, usłyszałem jej głos:

- Skoro tak mówisz, to na śniadanie dostaniesz to.

Obejrzałem się przez ramię. Susan leżała na stole z rozchyłonymi nogami, a jej body powędrowało w górę na wysokość piersi. O mój Boże!

- Myślałem o bułce z masłem, ale cóż...

Po tym śniadaniu mistrzów Susan, ja i strzelba powędrowaliśmy do sypialni.

- Dzisiaj przychodzi Sophie - poinformowała mnie Susan - więc schowaj strzelbę do szafy.

- Dobrze. - Ukryłem broń w garderobie, opierając ją o ścianę za drzwiami. Powiedziałem Susan, gdzie wsadziłem broń, i wszedłem pod prysznic.

Po chwili drzwi prysznicowa otworzyły się i Susan do mnie dołączyła. Wyszorowałem jej gąbką plecy.

- To nie fair używać seksu jako środka służącego do wpływania na moje postępowanie.

- W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, John.

- Dobrze, ale pamiętaj, że ty to powiedziałaś.

- Poza tym to działa. - Sięgnęła ręką pomiędzy moje nogi, pociągnęła lekko za Małego Johna i wyszła spod prysznic.

- Jaki jest cel wizyty Feliksa Mancuso? - zapytała, kiedy się ubieraliśmy.

- Ma wybadać, czy w sprawę może się zaangażować FBI - odparłem.

- On mnie nie lubi - powiedziała po chwili namysłu.

- To nic osobistego. Taką ma pracę.

- Myślę, że to jednak osobiste.

Nadszedł czas na powrót do przeszłości. Felix Mancuso i tak to za chwilę zrobi,

dlatego lepiej, żeby była przygotowana.

- Zastrześliś jego głównego świadka w śledztwie, które prowadził przeciwko mafii - przypomniałem jej. - Nieczęsto udaje im się namówić takiego człowieka jak Frank Bellarosa do wyśpiwania wszystkiego. - Susan milczała, więc ciągnąłem: - Stracił swojego świadka, a to mu na pewno nie pomogło w dalszej karierze.

- Bardzo protestował przeciwko wpuszczaniu mnie tam - odezwała się po chwili.

Wiedziałem o tym, ale byłem zaskoczony, że ona wie i na dodatek chce o tym rozmawiać. Pewnie nadszedł wreszcie odpowiedni czas i Susan się odblokowała. A to, że Felix Mancuso nie był zadowolony, kiedy wpuszczano do Alhambry Susan? Może wynikało to z jego zawodowych standardów, może z poczucia moralności, a może po prostu darzył mnie sympatią?

W takim wypadku Susan miała rację - to były osobiste uczucia. W każdym razie Mancuso nie był winien temu, co się wydarzyło - nikt nie mógł przewidzieć, że Susan zastrzeli doną Bellarosę - ale ja odniosłem wtedy wrażenie, że Mancuso stał się kozłem ofiarnym. Dlaczego? Bo kiedy gówno wpadnie w wentylator, to zwykle wszyscy popychają w chlapiący, cuchnący strumień tego, kto najgłośniej krzyczał: „A nie mówiłem?”.

Ale zamiast powiedzieć Susan, że święty Felix po prostu uważał ją za fankę mafii i zwykłą ulicznicę, odparłem:

- Mancuso nie był też zachwycony tym, że uwolniono cię od zarzutu o morderstwo.

Jej odpowiedź zaskoczyła mnie.

- To był raczej błąd jego przełożonych. Byłam gotowa zapłacić za swój czyn.

Spojrzałem na nią i wiedziałem, że naprawdę tak uważa. Zresztą miała rację - to nie jej wina, że władze w tej sprawie poległy, szala sprawiedliwości jest zawsze wychylona tak, żeby nie zaszkodzić władzom. Czasami oznacza to ukrycie niewygodnych i kłopotliwych faktów i uwolnienie winnego. Dotarło do mnie, że gdyby została postawiona w stan oskarżenia i skazana za zabójstwo, to właśnie teraz wychodziłaby na wolność. Pewnie bym się z nią nie rozwiódł, tylko czekał na jej powrót z więzienia. No, ale w rejs chyba bym popłynął.

Skończyłem się ubierać i postanowiłem poruszyć kolejny niemiły temat.

- Najbliższe dni będą bardzo stresujące - przypomniałem jej i miałem na myśli nie tylko czuwanie przy zwłokach Ethel i pogrzeb, ale także wizytę jej rodziców. -

Musimy... dobrze się rozumieć.

- Śniła mi się Ethel... - powiedziała Susan. - Siedziała sama, płakała... zapytałam ją, dlaczego jest taka smutna. A ona odpowiedziała mi: „Wszyscy umarli”. Chciałam ją pocieszyć... ale ona wciąż płakała. Ja też zaczęłam płakać i... poczułam się tak strasznie samotna... że powiedziałam: „Zawołam Johna”.

Spojrzałem jej w oczy; była bliska łez. Wziąłem ją w ramiona i mocno przytuliłem.

- Nie jesteś sama - pocieszyłem ją.

- Wiem. Ale przez tyle lat byłam samotna i nie było mi z tym dobrze.

Zeszliśmy na parter do kuchni. Czytając gazetę i popijając kawę, czekaliśmy na Sophie, Feliksa Mancuso, Williama i Charlotte Stanhope'ów i kogo tam jeszcze los zamierzał nam zesłać.

## ROZDZIAŁ 43

Sprzątaczką Sophie przysłała o ósmej rano, a osobisty trener Susan, obojnaczy typ o imieniu Chip, o ósmej trzydzieści. Mimo deszczu w pracy pojawili się też ogrodnicy. O dziewiątej przyjechał kurier UPS z przesyłką o dziewiątej piętnaście był listonosz, a o dziewiątej trzydzieści przyjechały rzeczy z pralni. Tłok był taki, że zabójca nasłany przez mafię musiałby zaczekać w holu.

Przez cały ranek bez przerwy dzwonił telefon. Kiedy Susan skończyła zajęcia z trenerem, poszła do gabinetu i zajęła się telefonami i e-mailami. Większość spraw dotyczyła pogrzebu Ethel. Susan kilkakrotnie rozmawiała z Elizabeth, dzwoniła też do domu pogrzebowego, kwiaciarni i kilku firm wynajmujących limuzyny - nie korzystaj z usług Bell Car Service! - skontaktowała się również z ludźmi opiekującymi się cmentarzem Stanhope'ow. Chciałem zaproponować, żeby kazała przy okazji wykopać dwa dodatkowe doły dla Williama i Charlotte, ale mogłaby źle przyjąć moją sugestię. Tak nastrojony miałem dla Susan zagadkę: Co zrobisz, jeśli nie trafisz w teściów? Przeładowujesz i strzelasz ponownie.

Nie powiedziałem jej tego, ale zagadka przypomniła mi, że miałem kupić naboje do strzelby.

- Zarezerwuj domek gościnny w The Creek dla rodziców - przypomniałem jej jeszcze.

- Najpierw sprawdzimy, czy nie zechcą zatrzymać się u nas.

- O której przylatują?

- Mówiłam ci już pięć razy - lądują na LaGuardii o trzeciej pięćdziesiąt, więc będą tu około piątej. Napijemy się drinka i... porozmawiamy.

- Dobrze.

Gdzie trzymasz trutkę na szczury?

- A o której będą wystawione zwłoki?

- To też ci mówiłam. Od siódmej do dziewiątej. - Przekazała mi dzień po dniu harmonogram czuwania. Wyglądało na to, że Ethel zostawiła instrukcje, by maksymalnie wydłużyć ten czas. Nikt nie będzie się mógł potem usprawiedliwiać, że nie zdążył. - Mszę żałobną odprawią w sobotę o dziesiątej rano. Czy mam ci to zapisać?

- Nie trzeba. Mam ciebie, kochanie.

- W niedzielę wypada Dzień Ojca - mówiła dalej. - Z korespondencji, jaką

prowadzę z dziećmi i rodzicami, wynika, że będziemy tu wszyscy razem w niedzielę, więc zaproponowałam uroczysty obiad z tej okazji.

Susan podchodziła do tego zjazdu rodzinnego z dużo większym optymizmem niż ja.

- Jak zwykle pomyślałaś o wszystkim - pochwaliłem ją. - Czy twoi rodzice wiedzą że tu jestem?

- Dowiedzieli się od dzieci, że przyjechałeś na pogrzeb i mieszkasz w stróżówce.

- Ale już nie mieszkam.

- Nie są na bieżąco.

- I nie będzie im przeszkadzała moja obecność na obiedzie z okazji Dnia Ojca?

- Rozumieją że Edward i Carolyn chcą być tego dnia z tobą. Powiedziałam im, że nie mam nic przeciwko temu.

- Jasne. Kiedy w takim razie powiemy twoim rodzicom, że mieszkam tu i śpiam z tobą?

- Kiedy przyjadą. Lepiej postawić ich przed faktem dokonanym.

Co, miałem nadzieję, przyprawi ich o atak serca, a ja dobiję ich strzałem z dubeltówki.

- Rób, jak chcesz - odparłem.

- Jak myślisz, powinnam zaprosić twoją matkę czy to będzie dla niej zbyt przykre? - zmieniła temat Susan. - W końcu twój ojciec nie żyje.

- Harriet będzie zachwycona, jeśli ją zaprosisz! - wykrzyknąłem z przesadnym entuzjazmem. - A ja nie mogę się wprost doczekać obiadu w towarzystwie mojej matki i twoich rodziców.

- Zniesiesz to jakoś? - zapytała Susan, bacznie mi się przyglądając

- Odpowiedź brzmi: dużo martini.

- Liczę na ciebie, John. Mam nadzieję, że dasz dobry przykład Edwardowi i Carolyn.

- Możesz na mnie liczyć, kochanie. - Szczerze pragnąłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby dać trochę radości tym popaprańcom, więc rzuciłem pomysł: - Twój ojciec i ja usiądziemy po przeciwnych stronach stołu i odśpiewamy w duecie *Oh, My Papa*.

Nie wiedzieć czemu Susan wciąż była nastawiona sceptycznie.

- Uhonoruję w ten szczególny dzień twojego ojca; w końcu dał mi ciebie, Susan.

- To bardzo miłe z twojej strony, John. Pamiętaj, że robimy to dla Edwarda i

Carolyn, więc możesz się chyba ugryźć od czasu do czasu w język. Dzieci będą cię za to szanowały. A jeśli mój ojciec nie będzie miły, to już jego problem.

- To zawsze był jego problem.

- I bardzo cię proszę, nie siedź jak podczas Ostatniej Wieczerzy. Nie chcę, żebyś w końcu wybuchnęła i powiedział mu... cokolwiek.

- Ty zdeprawowany draniu, ty...

- Już dobrze, John. Pamiętaj, że obiecałeś go za to przeprosić.

- Nie mogę się doczekać tej chwili.

Susan przyjrzała mi się uważnie.

- John... to dla naszych dzieci... i nie chodzi mi o ich stan emocjonalny, tylko o stan ich konta.

- Dobrze wiem, o co ci chodzi. Ale przecież byłaś pewna, że twoi rodzice nie ukarzą swoich wnuków za nasze postępowanie - przypomniałem jej i nie mogłem sobie odmówić jeszcze jednej uwagi: - Nikt przecież nie mógłby być tak mściwy.

- Lepiej tego nie sprawdzajmy.

- Czy dostąpimy tego zaszczytu i tego jednocześnie smutnego i radosnego dnia odwiedzi nas twój brat?

- Petera nie będzie na pogrzebie Ethel.

Ale postara się przyjechać na Dzień Ojca.

- Cudownie. A gdzie teraz Peter pracuje?

- Na wyspach Bahama.

- I co robi?

- Surfuje.

- Jasne. Jeśli wystartuje jeszcze dzisiaj i złapie dobrą falę, to do niedzieli powinien tu dotrzeć.

Myślałem, że się rozłości, ale ona uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Stanhope'owie pozwalają rozwinąć się twojemu dowcipowi - zauważyła.

Jeszcze nie widziałaś najlepszego, droga pani.

- Za chwilę pojawi się tu Felix Mancuso - zmieniłem temat - Liczę na ciebie, Susan. Odrzuć wszystkie negatywne uczucia wobec niego i postaraj się być miła. Tak jak ja się staram być miły dla twoich rodziców.

- Dobrze. Umowa stoi. Mamy szansę naprawić przeszłość. Albo przynajmniej o niej zapomnieć.

- No właśnie.

Pomyślałem o mojej rozmowie z leżącą na łożu śmierci Ethel. Pewnie w podobnym duchu rozmawiała z innymi odwiedzającymi ją osobami. Nie wszyscy mamy okazję do długich pożegnań, często nie wystarcza nam czasu, żeby wszystko przed śmiercią poukładać jak należy.

Możemy oczywiście zostawić wszystkim listy, na wypadek gdybyśmy nie zdążyli przyznać osobiście: „Przepraszam, że byłem dupkiem”. Podejrzywałem, że list, który zostawiła dla mnie Ethel, był takim właśnie wyznaniem. Gdybym miał napisać prawdę o sobie, to powinienem sporządzić w obecności notariusza trzy takie listy: po jednym dla Edwarda i Carolyn i trzeci przeznaczony dla Susan. Najłatwiejszy do napisania był początek: Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że nie żyję...”. Może powinienem napisać też do Williama i Charlotte: „Drogie dupki...”.

- O czym myślisz? - zapytała Susan.

- O... o tym, jak byliśmy szczęśliwi... ty i ja... i jak bardzo jestem teraz szczęśliwy... i nieważne, co będzie potem, grunt, że jesteśmy znowu razem.

O dziesiątej rozległ się dzwonek. Otworzyłem drzwi; w progu stał agent specjalny Felix Mancuso.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy pozdrowienia. Zaprosiłem go do holu, gdzie zdjął płaszcz przeciwdeszczowy. Zauważyłem, że jego łysina nie powiększyła się specjalnie przez ostatnie dziesięć lat, tylko resztkę włosów zmieniła kolor z czarnego na szpakowaty. Kiedy agent specjalny Mancuso walczył z osławioną Cosa Nostra, nosił zawsze lepsze garnitury niż jego przeciwnicy, ale teraz jego szary garnitur, koszula i krawat nie wyróżniały się niczym specjalnym. Doskonale wtapiał się w tło nowojorskiej ulicy, gdzie tropił terrorystów. Zauważyłem też, że w klapie marynarki miał wpięty znaczek z amerykańską flagą.

Susan siedziała w kuchni. Poprosiłem ją o dziesięć minut rozmowy sam na sam z agentem Mancuso. Zaprosiłem go do mojego dawnego, dopiero co odzyskanego gabinetu i poprosiłem, by usiadł w moim starym skórzanym fotelu. Zlustrował szybko pomieszczenie. Ja usiadłem na krześle za biurkiem i wyłączyłem dzwonek telefonu.

- Piękne miejsce - zagaił. - Czy to dawna posiadłość rodzinna żony?

- Nazywamy to rodzinnym gniazdem.

Dostrzegł ironię i uśmiechnął się.

- Żona jest właścicielką tylko tego domu gościnnego i dziesięciu akrów ziemi - poinformowałem go. - Pozostała część posiadłości i główna rezydencja należy teraz do pana Amira Nasima, który, nawiasem mówiąc, ma pewne problemy mogące pana

zainteresować.

Mancuso nie skomentował mojej wypowiedzi.

- Życzę panu wszystkiego najlepszego. To chyba miło znów być w domu.

- Byłoby miło, gdyby nie sąsiad z Alhambry.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

Jak już wcześniej wspomniałem, Mancuso był tu wcześniej dwukrotnie - raz, kiedy zaproponował mi podwiezienie do domu po strzelaninie w restauracji Giulia, i drugi raz, kiedy zabrał mnie do Alhambry, żeby pokazać mi, w jaki sposób Susan pozbawiła życia Franka.

Poczułem się w obowiązku oczyścić atmosferę po naszym ostatnim spotkaniu.

- Pani Sutter obawia się, że żywi pan wobec niej negatywne uczucia.

- Owszem, żywiłem - odparł otwarcie - ale od naszego ostatniego spotkania stałem się większym realistą.

Czyli ubyło ci idealizmu, pomyślałem. Szczególnie wtedy, gdy nie z twojej winy zawaliła się twoja kariera. Susan wyszła na tym lepiej, co jeszcze raz dowiodło, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Mam nadzieję, że tym razem pani Sutter będzie bardziej skora do współpracy

- powiedziałem.

Mancuso pewnie zastanawiał się, czy można być jeszcze mniej skorym do współpracy niż ostatnim razem.

- Miło mi to słyszeć. Panie Sutter, nigdy nie mieszałem spraw zawodowych z odczuciami osobistymi.

- Doskonale pan wie, że to nieprawda - odparłem szczerze.- Ale nie ma w tym nic złego. Doceniam pana osobiste zaangażowanie w sprawie moich związków z Frankiem Bellarosą. Pani Sutter też mogłaby skorzystać z pańskiej rady.

- Ma pan rację - odpowiedział po dłuższym namyśle - ale szczerze mówiąc... to była pańska rola.

- Brawo. Oczywiście. Powiem panu więcej - ona powinna wówczas mnie namawiać, żebym nie wiązał się z Frankiem Bellarosą, tymczasem przeciwnie, zachęcała mnie do tego.

Mancuso o nie wydawał się tym specjalnie zaskoczony. Pewnie od początku zdawał sobie sprawę, co dzieje się w trójkącie John-Susan-Frank.

- Cóż... sprawy się skomplikowały, kiedy przestało to być dla państwa słodką tajemnicą. Od tej chwili powinniście się nawzajem chronić - siebie i swoje



małżeństwo.

- Niech pan nie zapomina o naszych duszach. Ale kiedy się zorientowaliśmy, było już za późno.

- Zwykle tak się dzieje.

- Pani Sutter ostro sprzeciwiała się jakimkolwiek moim kontaktom z Anthonyem Bellarosą. - To była dobra wiadomość.

Odpowiedział tak, jak przewidywałem.

- Cieszę się, że choć jedno z was zrozumiało.

- Wszyscy zrozumieliśmy - zauważyłem.

Rozległ się dzwonek interkomu. Podniosłem słuchawkę.

- Czy mogę już zrobić swoje wielkie entré?

Dziękowałem Bogu, że nie był włączony głośnik.

- Tak - odpowiedziałem - i prosiłbym, żeby jeden ze służących przyniósł kawę.

- Ostatni służący zniknął stąd trzydzieści lat temu, ale zobaczę, co da się zrobić.

- Dziękuję. Za jakieś pięć minut. - Odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do pana Mancuso: - Nie ma w tej chwili żadnego ze służących, ale kawę poda pani Sutter.

Uśmiechnął się tylko.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak dwoje ludzi z waszych sfer mogło związać się z kimś takim jak Frank Bellarosa.

- Cóż, jeśli to miało być pytanie, to nie znam na nie odpowiedzi.

- Odpowiedzią, choćby częściową może być to, że diabeł potrafi kusić. Chyba już kiedyś o tym wspominałem.

- Owszem. Proszę dodać do tego nieco znudzenia i już ma pan odpowiedź. Mówię oczywiście za siebie - zastrzegłem się. - Nie wiem, co pchnęło panią Sutter do takiego postępu.

- A pytał pan?

- Nie wprost. Ale może pan sam ją o to zapytać, skoro nie daje to panu spokoju. Mogło to mieć coś wspólnego z seksem - odpowiedziałem mu.

Nie wydawał się zaszokowany, choć pewnie byłby, gdybym wspomniał także o miłości. Ale to nie był jego interes.

- Cudzołóstwo jest zwykle objawem poważniejszego problemu - zauważył po namyśle.

- Bywa. Ale, żeby sparafrazować Freuda, czasami cudzołóstwo jest po prostu cudzołóstwem. Zresztą jakie to ma teraz znaczenie?

- Ma, panie Sutter, gdyż wiedza i zrozumienie to dopiero pierwszy krok do pojednania. A najważniejsze, żeby pan wiedział, kim jest, kim jest ona i co właściwie macie sobie wybaczyć.

Nie dało się ukryć, że Mancuso wciąż zajmował się psychologią i udzielał duchowych porad. Do swojego repertuaru dodał jeszcze poradnictwo małżeńskie.

- Nie chciałbym być... niegrzeczny, ale czy oprócz prawa skończył pan jeszcze jakieś inne studia?

Najwyraźniej nie poczuł się urażony moim pytaniem.

- Spędziłem dwa lata w seminarium duchownym, nim uznałem, że nie mam powołania - odpowiedział.

Nie byłem specjalnie zaskoczony. Znałem sporo katolickich prawników i sędziów i kilku stróżów prawa, którzy otarli się o seminarium. Musiał zatem istnieć jakiś związek, choć jego natura była mi nieznana.

- A co sprawiło, że zwątpił pan w swoje powołanie? - zapytałem.

- Zwyciężyły pokusy cielesne - odparł bez zażenowania.

- Potrafię to zrozumieć. - Pomyślałem, żeby zaproponować mu przejście do Kościoła episkopalnego i jeszcze raz spróbować kapłaństwa, ale Mancuso zmienił temat

- Jeśli wolno jeszcze powrócić do tego, co stało się dziesięć lat temu... Przez wiele lat miałem do czynienia z przestępcami, ale rzadko zdarzało mi się trafić na człowieka z tak silnym socjopatycznym wdziękiem i charyzmą jak Frank Bellarosa. Jeżeli to panu może nieco poprawić samopoczucie, proszę mi wierzyć, że pan i pańska żona wpadliście w szpony mistrza manipulacji.

- Od razu poczułem się lepiej.

Felix Mancuso zdawał się wierzyć, że historia ludzkości to ciągła walka dobra ze złem, przy czym Frank Bellarosa występował w roli diabła wcielonego. Ale ta teoria nie tłumaczyła typowo ludzkich uczuć Franka, takich jak miłość do Susan Sutter, czy jego honorowego zachowania wobec mnie, które w rezultacie doprowadziło do jego śmierci.

Postanowiłem przejść do bardziej współczesnych problemów.

- Anthony Bellarosa nie jest tak złożoną i czarującą osobowością jak jego ojciec. Nie jest też tak inteligentny.

- Faktycznie, nie jest - zgodził się Mancuso. - I dlatego jest bardziej skłonny do używania w trudnych dla niego sytuacjach przemocy.

- No właśnie. Nie jest Machiavellim. Przypomina raczej Kaligulę.

Mancuso skinął głową z uśmiechem.

- Za plecami mówią na niego Mały Cezar. Chyba właśnie słowo „mały” tak go wkurza. Bo na pewno nie „Cezar”.

- Rozmawiałem z nim o schyłku i upadku cesarstwa rzymskiego. - O dziwo, Mancuso nie skomentował tego. - Podczas kolacji w chińskiej restauracji w Glen Cove.

Mancuso nadal milczał.

- Mielіśmy tam towarzystwo? - zapytałem go.

- Po prostu przeczytałem zeznanie, jakie pan złożył na policji - wytłumaczył.

- Rozumiem. - Problem w tym, że w zeznaniu nie wspomniałem o takich szczegółach.

To musiała być ta kelnerka. Tylko urzędnik państwowy potrafi być tak niekompetentny. Żarty na bok, wcale nie cieszyła mnie myśl, że w mojej zupie pływała sobie pluskwa. A pan Mancuso ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał.

Postanowiłem zmienić temat.

- Pańska uwaga, że trzeba porządnie nastraszyć Susan, sprawiła, że miałem bezsenną noc.

- Po prostu nie chciałem, żebyście państwo sytuację potraktowali zupełnie bez troski. Mam nadzieję, że nie zdenerwowałem zbyt pan Sutter.

- Ona pozostaje w błogiej nieświadomości tego, że Anthony Bellarosa jest albo może być psychopatą. Chciałbym, żeby pan jej to uświadomił. Oczywiście bez przesady.

- Rozumiem. Za to zupełnie nie rozumiem, dlaczego ona się wcale nie przejmuje.

- Taką ma naturę. I tak została wychowana.

- To znaczy?

- To dość skomplikowane, ale najkrócej rzecz ujmując, żyła pod kloszem i była dzieckiem uprzywilejowanym - jak jakiś egzotyczny ptak na zupełnie odizolowanej od świata wyspie. Dlatego nie wie, jak wygląda i czym pachnie niebezpieczeństwo.

- Tak aż do września ubiegłego roku wyglądał cały nasz kraj - rzekł po namyśle.

- Ciekawa analogia.

- Tak się składa, że miałem okazję przeczytać opinię psychiatryczną na temat pani Sutter, zleconą przez Departament Sprawiedliwości, a także opinię lekarzy

zajmujących się jej rodziną. To była bardzo... interesująca lektura.

Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Niestety wiedziałem, że nie poda mi żadnych szczegółów.

- Nie martwi mnie stan jej umysłu sprzed dziesięciu lat. Martwię się tym, jak traktuje obecne zagrożenie, i wydaje mi się, że problemem jest jej osobowość, a nie jakaś podświadomość czy coś takiego. Dlatego chciałbym, żeby pan nią potrząsnął - powiedziałem.

- Przekażę jej kilka faktów i swoją opinię na temat wielkości zagrożenia.

- Świetnie. Ale najpierw niech pan mi o tym powie. Żeby panu ułatwić, proszę określić to kodem kolorów.

Pan Mancuso zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Zanim to zrobię, muszę usłyszeć, co pan i pani Sutter macie w tej sprawie do powiedzenia.

Susan jeszcze się nie pojawiła, więc pan Mancuso skorzystał z okazji, żeby mi się zwierzyć.

- Nie wiem, czy to pana zainteresuje, ale omawiałem ten przypadek w trakcie wykładów na akademii.

- Naprawdę? Mam nadzieję, że nie potraktował pan Sutterów zbyt surowo.

Nie odpowiedział wprost.

- Słuchacze zawsze zadawali więcej pytań, niż znałem odpowiedzi.

- Podobnie jest ze mną.

- Korzystając z okazji, może teraz znajdę odpowiedź na kilka pytań - rzekł, patrząc mi w oczy.

- Ja nie szukam już żadnych odpowiedzi. Stało się, co się stało.

- Cóż, trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, w otwartych drzwiach stanęła Susan.

## ROZDZIAŁ 44

Felix Mancuso i ja wstaliśmy na jej widok.

- Susan, pamiętasz agenta specjalnego Mancuso - odezwałem się.

Uśmiechnęła się uprzejmie i podała mu rękę.

- Oczywiście. Dziękuję, że pan nas odwiedził.

- Cieszę się, że mogę znowu pomóc - odparł.

Miałem wrażenie, że Susan nie była zadowolona z jego pomocy poprzednim razem. Zresztą oboje dobrze o tym wiedzieli.

Kiedy wymianę uprzejmości mieliśmy już za sobą, Susan dała znak stojącej w progu Sophie. Dziewczyna wprowadziła do środka wózek z kawą i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Susan poprosiła nas, żebyśmy się częstowali, a sama usiadła na sofie. Mancuso i ja wróciliśmy na swoje miejsca.

Moja eks ubrała się skromnie w jasnobezowe spodnie i białą bluzkę, a na ramiona narzuciła szytą na miarę niebieską marynarkę. Powinna jeszcze mieć na szyi krzyżyk, ale może to byłaby już przesada.

Pewnie byliśmy przewrażliwieni na punkcie jego typowej dla klasy średniej katolickiej moralności oraz opinii na temat cudzołóstwa Susan i mojej pracy dla mafii, ale Felix Mancuso wydawał się najzupełniej szczerzy w swoich poglądach. A teraz nadeszła pora, by przejść do omówienia naszych aktualnych problemów.

- Czy ominęło mnie coś istotnego? - zapytała Susan.

- Nie - odparłem. - Omawialiśmy tylko, jak ty i ja zmarnowaliśmy sobie życie.

- W takim razie cieszę się, że nie straciłam nic ważnego - odcięła się.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy.

- Życzę pani i panu Sutterowi wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia - odezwał się Mancuso.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pańskiej strony.

Susan przybrała postawę lady Stanhope, co mogło, choć nie musiało, zrobić na Feliksie Mancuso wrażenie. Z całą pewnością odreagowywała to, co spotkało ją, kiedy po raz ostatni widziała agenta specjalnego Mancuso - miała co prawda wtedy na sobie piękny strój do jazdy konnej, ale kajdanki na rękach poważnie redukowały jej pozycję. Nie wspominając o tym, że była zapłakana, dyrygowała nią policjantka, a ciało jej kochanka leżało rozciągnięte w nienaturalnej pozycji na podłodze. Tak, ponowne

spotkanie z agentem specjalnym Mancuso nie należało do najłatwiejszych i właśnie dlatego przyjęła postawę wyniosłej lady Stanhope.

- Jak już tłumaczyłem panu Sutterowi przez telefon, nie pracuję w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną, ale z racji mojego wcześniejszego zaangażowania w tamtą sprawę i dlatego, że pan Sutter poprosił mnie o to osobiście, zostałem wyznaczony do wyjaśnienia sprawy gróźb, jakie spotkały państwa ze strony Anthony'ego Bellarosy. Wygląda na to, że FBI nie może zająć się tym bezpośrednio, gdyż tego typu sprawami zajmuje się policja stanowa, ale Biuro jest gotowe udzielić lokalnym władzom wsparcia i wszelkich potrzebnych informacji.

- Jeden z miejscowych policjantów powiedział, że FBI nie przekazuje im żadnych informacji.

- Wbrew takim opiniom po jedenastym września uruchomiliśmy wiele kanałów łączności pomiędzy służbami - odpowiedział z uśmiechem Mancuso. - Wszyscy mamy ten sam cel: wsadzić Anthony'ego Bellarosę za kraty na resztę jego życia, i nie dbam o to, czy spędzi je w więzieniu stanowym, czy federalnym.

Wydawało mi się oczywiste, że Mancuso wolałby dla Anthony'ego więzienie federalne. Ja wolałbym, żeby Anthony nie żył.

- Naszym głównym celem jest to, żeby nic się nie stało pani Sutter - przypomniałem mu.

- To się rozumie samo przez się.

- Żeby było jasne - wtrąciła się Susan - martwię się, ale nie zamierzam wpadać w paranoję. - I dodała: - Moim głównym celem, jeśli to panów interesuje, jest prowadzenie normalnego życia. To tak jak z terroryzmem. Jeśli się wystraszymy i zmienimy nasz sposób życia, to będzie oznaczało, że terroryści wygrali. A nie powinni. I Anthony Bellarosa też nie powinien poczuć się zwycięzcą.

Felix Mancuso zmierzył Susan badawczym spojrzeniem.

- Podziwiam pani odwagę.

Susan nie odpowiedziała, toteż Mancuso przeszedł do kolejnego tematu.

- Jak już wcześniej wspomniałem, miałem okazję przejrzeć zeznania, które złożyliście państwo na policji, mam więc ogólne pojęcie o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni i co państwa niepokoi.

- Pan sam też był zaniepokojony - wtrąciłem się.

- Przez kilka lat zajmowałem się badaniem przestępczej działalności Anthony'ego Bellarosy i choć nigdy nie zetknąłem się z nim osobiście, to miałem do

czynienia z jego współpracownikami, a także z ludźmi, którzy byli ofiarami jego i jego organizacji. Rozmawiałem też z kolegami, którzy mieli okazję poznać Anthony'ego. Z opisów wyłania się postać człowieka brutalnego, ale bardzo ostrożnego.

- Wydaje mi się, że jest w gorącej wodzie kąpany, więc nie zawsze uważa na to, co robi - podzieliłem się swoją opinią.

Mancuso skinął głową.

- Anthony Bellarosa jest przedstawicielem nowej mafii z przedmieść, opartej na klasie średniej. Są to Amerykanie w trzecim, czwartym pokoleniu, niektórzy z nich nie mają już nawet w żyłach stu procent włoskiej krwi. Podobnie jak Bellarosa żenią się z nie-Włoszkami. Chcę przez to powiedzieć, że stereotypy nie zawsze pasują do prawdziwego obrazu i choć mniej jest obecnie przemocy, to zawsze będzie ona przez nich brana pod uwagę jako sposób na rozwiązywanie problemów. Szczególnie jeśli rzecz ma podłoże osobiste.

Pomyślałem teraz o Anthonym jak o młodym tygrysie, który od trzech czy czterech pokoleń nie żył na wolności, został oswojony, a mimo to, gdy poczuł zapach krwi, odzywały się w nim pierwotne instynkty.

- Na policji powiedzieli nam, że nie mają żadnego zgłoszenia przeciwko niemu.

- Podejrzewamy go o pobicie co najmniej czternastu osób, ale nie potrafimy powiązać go w żaden sposób z jakimkolwiek zabójstwem.

- Więc nikogo nie posłał do piachu? - zapytałem.

- Na pewno to zrobił, tyle że nic o tym nie wiemy. W przeciwnym razie nie miałby takiej pozycji w organizacji.

- Czegoś nie rozumiem - wtrąciła się Susan. - Co to znaczy posłał do piachu?

- Osobiście kogoś zamordował - wyjaśnił Mancuso. - W przeciwieństwie do wydania zlecenia na zamordowanie.

- Rozumiem.

Felix Mancuso wyjął z kieszeni notes.

- Chciałbym, żebyście państwo opowiedzieli mi o tym, o czym może zapomnieliście wspomnieć na policji. Mogą to być opinie, wrażenia, odczucia, jakieś szczegóły, które mogły wydawać się państwu nieistotne, ale które mogą mieć dla mnie ogromne znaczenie.

Oznaczało to o wiele większą swobodę niż podczas zeznań na policji, mogłem też dużo swobodniej i zabawniej opisać swoją niedzielną wizytę u Bellarosów. Z drugiej strony sprawa była poważna, a ja nie chciałem dać do zrozumienia panu

Mancuso, że jego rodacy są po prostu śmieszni. Susan zaproponowała, żebym ja zaczął, więc opowiedziałem, jak usłyszałem pukanie do drzwi stróżówki, po którym Anthony Bellarosa przekroczył próg mojego mieszkania.

- Anthony przyjechał w określonym celu - zacząłem. - Miał mnie zachęcić do współpracy, a Susan użył jako karty przetargowej. Układ miał być taki, że ona będzie żyła, póki będę dla niego pracował.

- Proszę mówić dalej - zachęcił mnie Mancuso.

Dolałem sobie kawy i opowiadałem dalej historię Johna i Anthony'ego. Opisałem przebieg kolacji w Wong Lee, spotkanie z Tonym, wcześniej znanym jako Anthony, streściłem też swoją rozmowę telefoniczną z Anną. Przytoczyłem nawet dowcipy Anthony'ego na temat mamy, które sprawiły, że na twarzy Mancusa pojawił się uśmiech, zapewne przypomniał sobie własną matkę.

Nie mogłem pominąć niegrzecznego zachowania Anthony'ego wobec chińskiej kelnerki. Opisałem dokładnie naszą rozmowę o jego ojcu i podobnych sprawach i zakończyłem swoim nieoczekiwanym wyjściem.

- Czy nie podaję za dużo szczegółów?

- Szczegółów nigdy dosyć - zapewnił mnie. - Pracujemy nad profilem psychologicznym tych ludzi i każdy, kto miał z nimi osobisty kontakt, może dostarczyć cennych informacji na temat ich sposobu myślenia i działania.

- Rozumiem. - Opowiedziałem mu w związku z tym dowcipy Anthony'ego na temat chińskich kobiet. Mancuso nie śmiał się z nich, Susan też nie.

- Niesmaczne - skomentowała.

Dalej opowiedziałem o swoim przypadkowym spotkaniu z Anthonym na Grace Lane i wspólnej wyprawie do Oyster Bay. Opowiadałem szczerą prawdę, uzupełniając ją od czasu do czasu własnymi opiniami.

Mancuso przytakiwał, w niektórych momentach unosił wysoko brwi, dając mi do zrozumienia, że nie aprobuje mojego zainteresowania pracą dla Anthony'ego. Od czasu do czasu robił notatki.

- Wybrał odpowiednią osobę, która zwracałaby mu uwagę, gdy zrobi się zbyt przemądrzały - zauważyła Susan, kiedy skończyłem opowieść o wyprawie do Oyster Bay.

Ponieważ miało to być zabawne, więc zachichotałem. Nawet pan Mancuso uśmiechnął się lekko, ale poprosił, żebym mówił dalej. Przeszedłem do mojej niedzielnej wizyty u Susan. Przesadziłem trochę, wspominając o dręczących Susan



wyrzutach sumienia, i zapewniłem Mancuso, że Susan, podobnie jak Maria Magdalena, zrozumiała swoje winy, dostała odkupienia grzechów i w ogóle była już bliska świętości.

No dobrze, nie posunąłem się aż tak daleko, ale chciałem, by Mancuso zrozumiał, że siedząca tu Susan Sutter to nie była już ta sama upadła kobieta, jaką pamiętał sprzed dziesięciu lat, i warto ją ratować. Musiał odrzucić podświadome przekonanie, że jej los nie jest wart zachodu. Agent specjalny Mancuso był profesjonalistą, ale był także człowiekiem głęboko zaszokowanym tym, co wydarzyło się dziesięć lat temu. Mimo wszystko powinien wykonać swoją robotę, choć pewnie wykonywałby ją lepiej, gdyby był przekonany, że ma przed sobą anioła.

- Jeśli można zadać osobiste pytanie... - przerwał moją kanonizację Susan - ...nie rozumiem, jak mogliście tak szybko się państwo pogodzić po dziesięciu latach separacji.

No cóż, Susan Stanhope Sutter była po prostu doskonała w łóżku.

- Panie Sutter?

- A więc... było tak, jakby pękła nagle tama i uwolniła pokłady złości, cierpienia, zdrady i uporu. A to, co pozostało, to głębokie, łagodne jezioro... miłości.

Wydawało mi się, że na te słowa Susan jęknęła.

- Proszę kontynuować - zachęcił mnie pan Mancuso.

Opowiedziałem o mojej wyprawie do Alhambry, rozmowie z ochroniarzem przy bramie, poznaniu Megan Bellarosy i pogodzeniu się z Anną. Gdybym w tym momencie zbyt szczegółowo opisał zaborcze postępowanie Anny wobec syna i zaczął stroić sobie żarty z włoskich matek, mógłbym Mancuso wprowadzić w zakłopotanie, postanowiłem więc podkreślić jej dobre cechy, takie jak ciepło, gościnność i pogodę ducha.

- Chciałbym, żeby moja matka taka była - zakończyłem te peany.

Zdałem sobie sprawę, że moje wyznanie nie było całkowicie nieszczerze. Mancuso uśmiechnął się.

Na razie całkiem dobrze mi szło. Miałem już za sobą opowieść o pokrętnych dyskusjach z Anthonym na temat pracy dla niego. Dalszy ciąg historii powinien przedstawiać mnie w lepszym świetle.

- Na tarasie z tyłu domu zastałem Salvatore D'Alessia, czyli Sally'ego Da-Da, z żoną - poinformowałem Mancuso.

- O tym czytałem w pańskich zeznaniach na policji. Proszę dalej.

Opisałem swoją rozmowę z wujem Salem i podzieliłem się z panem Mancusem swoimi przemyśleniami na temat związków łączących Sala i Anthony'ego. Wspomniałem też o dalszym ciągu rozmów na temat mojego zatrudnienia, podkreślając, że Anthony w ogóle nie przyjmował do wiadomości mojej odmowy. Dodałem, że moim zdaniem kobiety w domu Bellarosów wcale nie traktują Anthony'ego jak *padrone*. Na dźwięk włoskiego słowa Mancuso uśmiechnął się lekko. Przyznałem się też, że powiedziałem Anthony'emu, gdzie pracuje moja córka.

- Zatem ma pan członka rodziny w służbach prawa i porządku.

- Uwielbia swoją pracę, pracuje po dwanaście godzin dziennie - powiedziała z dumą Susan.

Mancuso uśmiechnął się, choć pewnie pomyślał, że przynajmniej jedna osoba z tej rodziny kroczyła właściwą ścieżką.

Przeszedłem do wizyty w gabinecie Anthony'ego. Nie wspomniałbym nawet o telefonie do Elizabeth i do Susan, bo Mancuso na pewno słuchał nagrań z podsłuchu. Ale jako prawnik wiedziałem, że jeśli coś pomnę albo w najmniejszym stopniu skłamię, podważę swoją wiarygodność.

Mancusa zainteresowała wiadomość, że byłem w prywatnym gabinecie Anthony'ego i kazał mi go opisać.

Żeby dopełnić profil Anthony'ego Bellarosy, wspomniałem, że trzyma na półkach książki swojego ojca z Akademii Wojskowej La Salle, a sam kolekcjonuje książki dotyczące Rzymian.

- Jak już wcześniej wspomniałem, Anthony Bellarosa może cierpieć na kompleks Cezara.

- Wielu z nich na niego cierpi - dodał Mancuso z uśmiechem.

Zamierzałem pominąć temat imperium rzymskiego, ale wydało mi się interesujące, że ten w gruncie rzeczy prosty człowiek miał drugie oblicze.

- Jego uwielbienie dla starożytnych Rzymian może brać się stąd, że sam jest pantoflarzem, a Rzymianie to byli prawdziwi macho.

Mancuso skinął uprzejmie głową ale najwyraźniej uważał, że poniosły mnie emocje.

- Nad kominkiem w jego gabinecie wisi reprodukcja *Porwania Sabine* Rubensa. Płótno przedstawia Rzymian porywających kobiety z plemienia Sabinów - dodałem na wypadek, gdyby pan Mancuso nie znał tej klasycznej historii.

- Chyba rozumiemy, co masz na myśli. Mógłbyś mówić dalej? - popędziła mnie

Susan.

Dotarłem do momentu, w którym powinienem opowiedzieć, jak zobaczyłem w gabinecie obraz namalowany przez Susan i podarłem go na strzępy. O tym incydencie nie wspomniałem policji, nie wiedziała też o nim Susan. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, co o mnie pomyśli. Sam nie byłem pewny, czy ten akt wandalizmu należy uznać za przejaw mojej odwagi, czy szaleństwa.

- W gabinecie Anthony'ego na sztalugach stał olejny obraz. Poznałem go, przedstawiał palmiarnię w Alhambrze i namalowała go Susan...

- Tamtego wieczoru rozerwał pan pięścią płótno... - przerwał mi pan Mancuso.

- Tak. Ale ktoś je odrestaurował.

Susan, która nie wiedziała, że dziesięć lat temu zniszczyłem jej dzieło, spojrzała na mnie uważnie, ale nie odezwała się słowem.

- Wziąłem do ręki nóż do kopert i znowu pociąłem płótno - wyznałem w końcu.

Nikt nie skomentował mojego postępowania, więc nałamałem sobie kolejną filiżankę kawy.

- Dlaczego? - odezwał się w końcu Mancuso.

Dobre pytanie.

- To był symboliczny gest z głębokim podtekstem psychologicznym, połączony z prymitywnym przekonaniem, że mój wróg nie powinien mieć niczego, co byłoby związane z moją byłą i jednocześnie przyszłą żoną.

Mancuso sprawiał wrażenie zatopionego w myślach, jakby opracowywał właśnie mój profil psychologiczny.

Czułem na sobie spojrzenie Susan. Podniosłem wzrok i spojrzałem jej w oczy.

Zdałem sobie sprawę, że moje tłumaczenie było trochę dziwaczne, dlatego spróbowałem wyjaśnić to w prostszy sposób.

- Po prostu byłem na niego wściekły i chciałem dać mu wyraźny sygnał.

- Jestem pewien, że dostał ten sygnał, panie Sutter - powiedział Mancuso - a znając ten typ ludzi, jestem też pewny, że szykuje dla pana odpowiedź.

- Na pewno.

Zakończyłem swoją opowieść dokładnym streszczeniem rozmowy na trawniku przed domem, kiedy to powiedziałem Anthony'emu, że jego ojciec był kapusiem, zdradził swoich przyjaciół i rodzinę w zamian za uniknięcie kary. Nie wspomniałem tylko o tym, że moim zdaniem jego ojciec i Susan byli w sobie zakochani i zamierzali razem uciec.

Wspomniałem jeszcze o czymś, o czym nie mówiłem detektywowi Nastasiemu, bo uszło to wcześniej mojej uwagi.

- Sądząc z tego, jak Anthony Bellarosa na mnie patrzył i jakim tonem do mnie mówił, podejrzewam, że gdyby miał wtedy broń, zabiłby mnie bez wahania.

Susan wstała, podeszła do mnie i chwyciła mnie za rękę.

-Chyba powinniśmy zrobić przerwę - rzekł Mancuso, wstając z krzesła.

## ROZDZIAŁ 45

Felix Mancuso został w gabinecie, a Susan i ja przeszliśmy do salonu na piętrze, dawno już zamienionego w pokój dzienny, w którym razem oglądaliśmy telewizję, kiedy Edward i Carolyn byli mali. Nie wiem, co poprzedni właściciele zrobili z tym pokojem, ale Susan wiernie przywróciła jego pierwotny wygląd. Na ścianach wisiały nawet stare plakaty, choć brakowało tego z *Ojca chrzestnego*.

Susan otworzyła dwie butelki wody mineralnej i jedną mi podała. Patrzyłem na padający za oknem deszcz.

- Teraz dopiero widzę, co zaszło między tobą a Anthonyem Bellarosa.

- Najważniejsze, żebyś zdała sobie jasno sprawę, jakie zagrożenie może dla ciebie stanowić.

- I dla ciebie też.

- Jest na mnie wściekły, może rozczarowany - odparłem. - Ale głównie chodzi mu o ciebie.

- On ci groził, John.

Nie odpowiedziałem.

- Dlaczego, na miłość boską, zniszczyłeś ten obraz? - zapytała.

- Przecież ci powiedziałem.

- Ale... po co jeszcze bardziej go rozwścieczyłeś?

Oderwałem wzrok od widoku za oknem.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, Susan, ten pieprzony obraz przywołał wspomnienia czasu, który spędziłaś w Alhambrze, twojego romansu z...

- W porządku. Chyba przesadziłeś, ale...

- Właśnie dlatego uszkodziłem ten obraz dziesięć lat temu. A tym razem na pewno nie uda się go odrestaurować.

- Rozumiem - odpowiedziała po długim milczeniu. Zapadła długa cisza.

- Ale nie rozumiem... Nie rozumiem, co wywołało taki wybuch gniewu u Anthony'ego... przecież lubił cię, miał o tobie wysokie mniemanie... a potem nagle zaczął ci grozić. Dlaczego?

- Mówiłem to już Nastasiemu, a teraz agentowi Mancuso; powiedziałem Anthony'emu, że ty i ja znów jesteśmy razem, a z nim nie chcę mieć nic wspólnego. Wyobraź sobie, że to taki romantyczny trójkąt.

- Zamierzałem dodać „dobrze o tym wiesz”, ale zrezygnowałem. - On nie lubi

przegrywać. A najbardziej wkurzyło go, gdy dowiedział się, że jego ojciec zaczął sypać agentom FBI.

Skinęła głową, ale widziałem, że moje tłumaczenia jej nie satysfakcjonują. Susan, mimo całej swojej rezerwy i sporadycznej niepoczytalności, w przedziwny sposób umiała rozpoznawać bzdury. Szczególnie u mnie.

- Czy jesteś ze mną szczery? - zapytała, patrząc mi w oczy.

Odpowiedziałem jej tym samym pytaniem.

- A ty jesteś ze mną szczerą? Powiedziałaś mi wszystko o sobie i Franku?

- Tak - odparła. - Powiedziałam ci, że go kochałam, że zabiłam go, bo poinformował mnie, że to już koniec, że mnie wykorzystał, nigdy mnie nie kochał i zamierzał uciec do Włoch z Anną. Powiedziałam ci też, że zabiłam go dla nas - to było kłamstwo. Co jeszcze chcesz usłyszeć?

- Nic.

- Czy jesteś ze mną szczery? - zapytała ponownie.

Milczeliśmy przez chwilę i wtedy zrozumiałem, że nadszedł czas - nie chciałem, by to nastąpiło, ale wciąż nie dawało mi to spokoju, a ona była wobec mnie uczciwa. Powinienem odwdziżyć jej się tym samym. Nawet jeśli źle przyjmie to, co musiałem jej powiedzieć, to przynajmniej dowiemy się o sobie czegoś nowego.

Zaproponowałem, żebyśmy usiedli, ale ona wolała stać.

- Dobrze... oto brakujący fragment - zacząłem - oto dlaczego Anthony stracił nad sobą panowanie. Powiedziałem mu, że ty i jego ojciec kochaliście się i planowaliście uciec razem do Włoch. Nie uwierzył mi; twierdził, że jego ojciec bzykał cię, cytuję, dla sportu. Ale przekonałem go, że Frank był gotów powiedzieć żonie i synom *arrivederci*.

Mogłem na tym poprzestać, moje słowa dostatecznie dobrze wyjaśniały nagłą zmianę w traktowaniu mnie przez Anthony'ego. Ale skoro zacząłem, należało doprowadzić całą rzecz do końca.

- Jest jeszcze coś. I pewnie nie chciałabyś tego usłyszeć.

- Poradzę sobie.

- Jak chcesz. - Zacząłem od tego, co powiedziałem Anthony'emu - że Frank za uratowanie mu życia był mi winien wielką przysługę. - Poprosiłem go, żeby powiedział ci, że wszystko między wami skończone, że nigdy cię nie kochał, że wykorzystał cię, żeby zbliżyć się do mnie, i nie zamierzał zabierać cię do Włoch. Zrobił to. Dla mnie.

Patrzyłem na nią; nasze spojrzenia się spotkały. Widziałem, że nie może tego

początkowo pojąć, aż wreszcie dotarło do niej, że to wszystko, co jej powiedział, pochodziło z moich ust, a nie z jego serca. Zrozumiała, że zastrzeliła mężczyznę, którego kochała i który ją kochał.

Usiadła na sofie i wbiła puste spojrzenie w ścianę.

- Powiedziałem to wszystko Anthony'emu - że ojciec zamierzał porzucić jego, matkę i braci, a nie zrobił tego tylko dlatego, że zawdzięczał mi życie. Nie chciałem mu tego mówić, ale... byłem na niego wściekły i chciałem, żeby dowiedział się, że jego święty tatuś był nie tylko kapusiem, ale też kiepskim mężem i ojcem. - Chciałem poza tym odwrócić uwagę Anthony'ego od Susan i skierować ją na siebie, ale gdybym o tym wspomniał, zabrzmiałoby to jak nieudolna obrona, więc zrezygnowałem z tego pomysłu. - Właśnie dlatego Anthony wściekł się i zaczął mi grozić.

Susan wciąż tępo wpatrywała się w ścianę, a ja nie mogłem wyczytać niczego z jej twarzy.

Musiałem jej powiedzieć coś jeszcze, czego nie powiedziałem Anthony'emu i czego nie dopuszczałem do swojej świadomości.

- Kiedy poprosiłem Franka, żeby oświadczył ci, że to koniec, miałem nadzieję, że dasz sobie z nim spokój... ale podświadomie czułem, że możesz z nim zostać. - Wziąłem głęboki wdech. - Może zresztą pomyślałem o tym później, ponieważ... kiedy go zastrzeliłaś, nie byłem pewny, czy o to mi chodziło, czy tego chciałem... nie byłem pewien, czy powinienem czuć się winny jego śmierci... nawet dzisiaj tego nie wiem...

Susan spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem.

- Chciałem, żebyś do mnie wróciła, żebyś przestała go kochać... ale nie wiem, czy chciałem jego śmierci. Ale jeśli tak, to masz rację, sam powinienem go zabić.

Siedziała nieruchomo na sofie, widziałem, że jest w szoku. Właśnie dowiedziała się, że zabiła człowieka, który cały czas ją kochał, a tylko honorowo spełnił moje żądanie.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak się w tej chwili czuła i co czuła wobec mnie.

Niewiele było już do dodania, mimo to spróbowałem.

- Nie wiem, czy powinienem cię przeproszać za to, że kazałem mu cię okłamać - oboje oszukiwaliście mnie dostatecznie długo - i nie zamierzam prosić cię o wybaczenie. Ale chcę, żebyś wiedziała, że część winy biorę na siebie.

- To ja go zabiłam. Nie ty - odezwała się po raz pierwszy.

- Tak... Ale jeżeli się nad tym zastanowić...

- Mam wrażenie, że ciebie kochał bardziej niż mnie.

- Był moim dłużnikiem.

Westchnęła głęboko.

- Wciąż o tobie mówił. Czułam się wtedy niezręcznie, byłam zła... i...

- Już dobrze. Nie chcę tego słuchać. Masz sporo do przemyślenia, nim... podejmiesz decyzję. Idę dokończyć rozmowę z Mancusem. Nie musisz nam towarzyszyć.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi.

- John?

Spojrzałem na nią.

- Naprawdę chciałeś, żebym wróciła?

- Tak.

- W takim razie dlaczego nie przyjąłeś mnie z powrotem, kiedy już nie żył?

- Zmieniłem zdanie.

- Czemu?

- Ponieważ... zdałem sobie sprawę, że... chciałem, żebyś go rzuciła z własnej woli. Chciałem, żebyś wróciła do mnie dlatego, że kochałaś mnie bardziej niż jego... ale on po prostu umarł, a to było dla mnie za mało.

Susan milczała. Zamierzałem wyjść.

- John.

- Muszę iść.

- Powiedz mi, dlaczego po jego śmierci znów nie byliśmy razem.

- Już ci powiedziałem.

- Nie.

Jak już wspomniałem, Susan dobrze mnie znała. Mogłem uciec, ale nie potrafiłem się przed nią ukryć.

- W porządku. Czułem się... upokorzony. Publicznie. Gdyby wszystko zostało pomiędzy nami, pal sześć FBI, mógłbym ci wybaczyć. Ale kiedy twój romans stał się powszechnie znany, kiedy stał się tematem artykułów w brukowcach i pikantnych dowcipów, wtedy... - Spojrzałem jej w oczy. - I ty się dziwisz, że wsiadłem do łodzi i odpłynąłem w siną dal? Za kogo ty mnie uważasz?

Zakryła dłońmi twarz. Zaczęła płakać. Nie wiedziałem tylko, dlaczego - czy dlatego, że zastrzeliła Franka Bellarose, choć jak się właśnie okazało, nie miała ku temu powodów, czy dlatego, że w końcu zrozumiała, jakiego dokonała wokół siebie spustoszenia. A może zdała sobie sprawę, że mam wątpliwości, czy powinniśmy



znowu być razem.

Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju.

## ROZDZIAŁ 46

Felix Mancuso wciąż siedział w moim biurze; rozmawiał przez telefon komórkowy. Czekałem, aż skończy.

- Pani Sutter nie czuje się zbyt dobrze, więc musimy zmienić plany. Jeśli to panu na rękę, mogę wpaść jutro do pańskiego biura.

- Nic się nie stało? - zapytał.

- Jest przygnębiona.

- To musi być dla niej bardzo stresujące. Ale chciałbym zająć jeszcze państwu dziesięć minut. Poza tym będę musiał z nią porozmawiać.

- Nie sądzę, żeby mogła wnieść coś nowego do sprawy, ale decyzja należy do pana. Proszę do niej zadzwonić - zaproponowałem. - Proszę mówić.

- Po pierwsze musi pan wiedzieć, że Anthony Bellarosa zniknął - powiedział, patrząc mi w oczy. - Nie wiemy, czy ma jakieś kłopoty, czy może chodzi o śmierć Johna Gottiego. Bywa też, że tacy ludzie jak on po prostu na pewien czas znikają. Niekiedy ma to związek z interesami, ale najczęściej chodzi po prostu o wypoczynek.

Nie słuchałem go zbyt uważnie; myślami byłem przy Susan.

- A może nie żyje? - zapytałem.

- Może - odparł pan Mancuso. - Nic o tym nie wiemy, a według tego, co mówi detektyw Nastasi, żona Bellarosy, Megan, nie wyglądała na szczególnie przejętą tym, że jej mąż zniknął bez słowa wyjaśnienia.

- Może ona też życzy mu śmierci? - zapytałem żartobliwie.

Mancuso zignorował moją uwagę.

- Policja chciałaby z nim porozmawiać, uprzedzić, że złożył pan na niego skargę, i dać mu do zrozumienia, że jest obserwowany. A najlepiej byłoby, gdyby się przyznał, wtedy można by go zamknąć. Niestety, na razie zniknął.

Jak na ironię, gdybym był jego adwokatem, doradziłbym mu, żeby był do dyspozycji policji i odmawiał wszelkich zeznań bez obecności adwokata. Tak się postępowo w moim świecie - w jego natomiast unikało się kontaktów z policją. W tej sytuacji postępowanie Anthony'ego było zupełnie zrozumiałe. Poza tym wyjazd z domu nie jest niczym nielegalnym.

- Czy jest szansa, że policja albo FBI uzyskają nakaz aresztowania Bellarosy? - zapytałem.

- Próbujemy skłonić do tego sąd stanowy albo federalny, ale trudno nam

przekonać sędziego, skoro chcemy go tylko przesłuchać i to wyłącznie na podstawie pańskiego zgłoszenia. Po jedenastym września doszedłem do wniosku, że w sprawach terrorystów sądy są bardziej skłonne do wydawania nakazów aresztowania. Niestety Anthony Bellarosa nie jest podejrzany o terroryzm. To zwykły mafioso korzystający w pełni z praw obywatelskich.

- A nie wspomniałem panu, że widziałem w jego gabinecie zdjęcie z dedykacją Osamy bin Ladena?

Mancuso uśmiechnął się.

- W każdym razie zniknięcie Bellarosy jest kłopotliwe z punktu widzenia pańskiej sprawy i bardzo interesujące z punktu widzenia jego kłopotów wewnątrz organizacji.

- Myśli pan o kłopotach związanych z Salvatore D'Alessiem? - zapytałem.

- Być może. Zobaczymy, czy Anthony Bellarosa pojawi się na pogrzebie Johna Gottiego.

- Osobiście mam nadzieję, że ktoś odnajdzie jego zwłoki i będę mógł spokojnie spać.

- Ma pan broń? - zapytał pan Mancuso.

- Strzelbę.

- Potrafi się pan nią posługiwać?

- Wkłada się nabój do komory, odbezpiecza, celuje i naciska spust - odpowiedziałem nieco szorstko. - Byłem w wojsku, a pani Sutter strzela do rzutków. To jej strzelba.

- W porządku. Ani FBI, ani policja nie namawia cywilów do konfrontacji z napastnikiem czy kupowania w tym celu broni...

- Panie Mancuso, rozumiem, co chce pan powiedzieć. Może pan być pewny, że ani ja, ani pani Sutter nie zamierzamy zasadzać się na Anthony'ego Bellarosę w jego ogródku, ale jeśli ktoś wedrze się do tego domu z zamiarem zrobienia nam krzywdy, to podejmiemy odpowiednie kroki. Znam prawo - zapewniłem go.

- Wiem, że pan zna prawo. Jeśli Anthony Bellarosa wróci do domu albo jeśli uda nam się ustalić, gdzie przebywa, ktoś z biura albo miejscowej policji doradzi panu takie postępowanie.

- Mam nadzieję.

- Uzgodniłem z drugim posterunkiem, że załogi ich radiowozów będą uprzedzone o zaistniałej sytuacji. Niewykluczone, że w okolicy pojawi się również FBI.

Mancuso poruszył jeszcze kilka tematów i zadał mi uzupełniające pytania. Widać było, że ma bardzo dobrą pamięć krótkoterminową - pamiętał prawie wszystko, co powiedziałem. Wiedziałem jednak, że pamięta też dobrze wydarzenia sprzed lat, nawet sprzed dziesięciu. To nas łączyło.

Wciąż jeszcze nie doszedłem do siebie po tym, co zrobiła Susan, i choć zdawało mi się, że zrzuciłem już ten ciężar z barków, to rozgrzebywanie starych ran wprowadziło mnie teraz w zły nastrój.

Nie dość, że opowiedziałem o wszystkim Susan, to na dodatek znów się poczułem największym rogaczem wszech czasów.

- Panie Sutter?

Spojrzałem na Mancuso.

- Pytałem, czy ktoś jeszcze mieszka w tym domu.

- Nie... to znaczy, właśnie zmarła stara przyjaciółka naszej rodziny, pani Allard, i oczekujemy gości, którzy przyjadą na pogrzeb.

- Kto to będzie?

- Nasze dzieci, Edward i Carolyn. - Powiedziałem mu, ile mają lat, a on zapisał te informacje w notesie. - Poza tym prawdopodobnie rodzice pani Sutter, William i Charlotte Stanhope'owie, chociaż oni być może zamieszkają gdzie indziej. A w Dzień Ojca może tu wpaść jeszcze brat pani Sutter, Peter.

- Faktycznie, Dzień Ojca. To już w niedzielę. Jak ten czas szybko leci.

- Nie dla mnie.

- Czy ktoś mieszka w tym małym domku przy bramie? - zapytał.

- To jest stróżówka, w której mieszkała zmarła niedawno pani Allard. Ja do niedzieli też tam mieszkałem.

- Rozumiem. A teraz?

- Stróżówka po śmierci Ethel Allard stała się własnością Amira Nasima.

- Zostawiła mu ją w spadku?

Wyjaśnienie tego, jak Ethel Allard pieprzyła się z Augustusem Stanhope'em i w zamian otrzymała dożywotnie prawo korzystania ze stróżówki, zajęłoby zbyt wiele czasu, choć Mancuso, jako prawnik, zrozumiałby, o czym mówię. Z drugiej strony jako były kleryk nie byłby szczęśliwy, że przez sześćdziesiąt lat grzechy nie zostały odkupione.

- Pani Allard do śmierci mogła korzystać ze stróżówki - wyjaśniłem krótko. - Z tego, co wiem, Nasim zamierza wzmocnić swoją ochronę, więc być może kogoś tam

ulokuje.

- Czy wie pan coś o sytuacji w domu Nasima? - zapytał Mancuso.

- Wiem, że dom ma pięćdziesiąt pokoi i przeszukanie go zajęłoby zamachowcom tydzień. - I żebym nie został uznany za człowieka nonszalanckiego, dodałem: - Z tego, co wiem, mieszka tam sam z żoną, ale może też być tam służba. Widziałem jedną pokojówkę. Niech pan zresztą zapyta panią Sutter. Ona lepiej zna sytuację domową w Stanhope Hall.

Mancuso zanotował to, a potem zadał mi kilka pytań dotyczących naszych zwyczajów, planów wyjazdu i tym podobnych rzeczy.

- Powinni się państwo zastanowić nad założeniem systemu alarmowego albo kupnem psa.

- Właśnie się nad tym zastanawiamy.

- Jeżeli państwa na to stać, doradzałbym skorzystanie z usług agencji ochrony.

- Co pan myśli o Bell Security? - zapytałem.

Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- To mogłoby przynieść odwrotny skutek do zamierzonego.

- Brzmi to tak, jakbyśmy byli w wielkim niebezpieczeństwie.

- Ujmę to tak. Oceniam stopień zagrożenia na żółty, z tendencją do przesuwania się w stronę pomarańczowego.

- Ale nie czerwony?

- Proponuję nie myśleć zbyt wiele o kolorach. Istnieje zagrożenie; porozmawiam jeszcze raz z policją i z odpowiednimi ludźmi w Biurze. Kiedy ocenimy sytuację, dam panu znać.

- Dlaczego w rozmowie telefonicznej powiedział pan, że na razie nie ma zagrożenia? - zapytałem.

Mancuso przez chwilę milczał.

- To nieco skomplikowane, ale chodzi o śmierć Johna Gottiego, o Salvatore D'Alessio i o pewne zmiany, które mogą nastąpić w nadchodzących tygodniach.

- Innymi słowy Anthony Bellarosa ma teraz inne sprawy na głowie?

- Najprościej rzecz ujmując, tak. Anthony Bellarosa musi się teraz troszczyć o własne bezpieczeństwo i być może właśnie dlatego zniknął. Chodzi o to, że w ciągu kilku najbliższych tygodni wyjaśni się, kto przejdzie na emeryturę - Bellarosa czy D'Alessio. Tradycyjnie na czas czuwania przy zwłokach i pogrzebu istnieje moratorium na wendetę.

- To bardzo cywilizowany zwyczaj. Czy dotyczy to także wendety na Sutterach?

- Nie. Ale daję Anthony'emu i Salowi tydzień spokoju.

- Miło mi to słyszeć. Dlaczego nie rozwiązali tego problemu dziesięć lat temu? - zapytałem.

- Gotti po incydencie w restauracji Giulia wynegocjował między nimi rozejm. Mafia zajmuje się głównie zarabianiem pieniędzy, a nie wojnami gangów i dostarczaniem telewizji krwawych tematów. Właśnie dlatego Anthony i jego wujek działali obok siebie przez tyle lat. Ale jeśli chodzi o pana... trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło.

Nie odezwałem się.

Mancuso rzucił jeszcze jedno przysłowie: kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Nie to chciałem usłyszeć od Feliksa Mancuso, o którym myślałem jak o księciu na białym koniu, a nie o kostusze. Miałem nadzieję, że jego słowa odnosiły się do Anthony'ego i wuja Sala, a nie do mnie i Susan.

Mancuso zakończył swoje wyjaśnienia następującymi słowami:

- Pan i pani Sutter nie jesteście w tej chwili dla Anthony'ego najważniejszym celem. Ale kiedy upora się z problemami towarzyskimi i rodzinnymi albo kiedy jego towarzysze przejmą interes, będzie musiał wziąć na cel panią Sutter. To nie tylko zemsta osobista, od tego zależy jego wizerunek. - Myślałem, że na koniec usłyszę *capisce?*, ale powiedział: - Tak w chwili obecnej wygląda sytuacja.

- Rozumiem. A jeśli pan się myli?

- Być może. Dlatego proszę nie tracić czujności.

- Nie mam zamiaru.

- Świetnie. Powiem tak... jeżeli zniknie Salvatore D'Alessio albo zostanie zamordowany, będzie to dla nas wszystkich sygnał, że Anthony Bellarosa żyje i zaczyna wyrównywać rachunki. Jeśli natomiast znajdziemy martwego Anthony'ego, to pan, Salvatore D'Alessio i kilka innych osób będziecie mogli odetchnąć swobodniej.

- Rozumiem. W takim razie będę trzymał kciuki za Sally'ego Da-Da.

Mancuso nie skomentował moich słów.

- Niestety musimy w tym tygodniu być w domu... - powiedziałem po krótkim namyśle.

- Niech państwo zajmą się swoimi sprawami. Będziecie otoczeni ludźmi, którzy przyjadą na pogrzeb, a jak już mówiłem, Anthony i jego wujek muszą najpierw załatwić porachunki między sobą. To ma sens.

- Oczywiście. - Tyle że nikt nie podejrzewał Anthony'ego o taką logikę i inteligencję, jaka charakteryzowała jego ojca. - Więc uważa pan, że nic nie grozi moim gościom... moim dzieciom? - zapytałem.

- Nie mogę tego powiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale szczerze wątpię, żeby Anthony Bellarosa zrobił coś, co mogłoby poruszyć opinię publiczną albo ściągnąć mu na głowę całą policję i służby federalne. Ale przede wszystkim nie zaryzykuje ściągnięcia na siebie gniewu swoich kolegów. Pańska córka jest asystentką prokuratora okręgowego, a to działa lepiej niż kamizelka kuloodporna. Anthony chce głowy pani Sutter, może także pańskiej i na tyle pozwoli mu jego organizacja. Ktokolwiek dał zlecenie na zabicie Franka Bellarosy - założmy, że był to jego szwagier - nie chciał skrzywdzić pana, pani Sutter czy pani Bellarosy. To są zawodowcy, a nie gang uliczny.

- Miło mi to słyszeć. - Może powinienem odstąpić Williamowi i Charlotte naszą sypialnię, a Williamowi pożyczyć swój płaszcz i kapelusz? - W przyszłym tygodniu, kiedy wyjadą nasi goście, też stąd wyjedziemy - poinformowałem pana Mancuso.

- Decyzja należy do was - odparł. - Ale nie mówcie nikomu, dokąd się wybieracie. Nie wspominajcie o nim przyjacielom czy rodzinie i nie wysyłajcie pocztówek.

- To rozumiem. - Tyle że wcale nie byłem pewny, czy dokądkolwiek pojedę razem z Susan.

- Zdaję sobie sprawę - Mancuso najwyraźniej zamierzał podsumować już naszą dyskusję - że panu i pani Sutter, jako dobrym, przestrzegającym prawa obywatelom, trudno zrozumieć to, co was spotyka. Możecie odnosić wrażenie, że stróże prawa powinni zrobić dla was więcej, ale niech pan będzie pewny, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nie spotkało was nic złego. Traktujemy was poważnie, a wasze kłopoty są częścią walki, jaką toczyliśmy z przestępczością zorganizowaną.

Gotów byłem podyskutować z Mancuso na temat części jego wypowiedzi, ale odparłem tylko:

- Dziękuję.

Obaj wstaliśmy i odprowadziłem go do drzwi.

- Zamierza pan odwiedzić Amira Nasima? - zapytałem.

- Skoro już tu jestem...

- Nie wiem, czy go pan zastanie, choć zwykle jest w domu.

-Jest - odpowiedział Mancuso.

Nie zapytałem go, skąd to wie, bo i tak by mi nie odpowiedział.

- Zamierzam powiedzieć Nasimowi, że pan i pani Sutter macie pewne problemy, i poprosić go, żeby niezwłocznie zawiadomił policję, jeśli zauważy coś podejrzanego - oświadczył Mancuso.

- On mnie prosił o to samo.

- Świetnie. W takim razie to będzie bardzo bezpieczne miejsce. Nigdy wcześniej nie myślałem o Stanhope Hall jako o ufortyfikowanej twierdzy.

- Może powinienem zawrzeć z Nasimem jakiś pakt?

- Po prostu bądźcie dobrymi sąsiadami - rzekł z uśmiechem Mancuso.

- Ma pan coś na Amira Nasima? - zaciekałem się.

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Rozumiem, ale jestem jego sąsiadem i chciałbym wiedzieć, czy rzeczywiście grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

Mancuso przez chwilę zastanawiał się, jak postąpić.

- Powiem panu w zaufaniu, że Amir Nasim prowadzi bardzo niebezpieczną, ale lukratywną grę, dostarczając informacji każdemu, kto chce skorzystać z jego usług. Ma dzięki temu mnóstwo przyjaciół i tyle samo wrogów i nie zawsze potrafi odróżnić jednych od drugich.

- Dlaczego go pan nie aresztuje?

Mancuso nie zamierzał odpowiedzieć na to pytanie, udzielił mi za to ostatniej rady:

- Jeżeli państwo stąd wyjedziecie, pamiętajcie, by dzwonić pod dziewięćset jedenaście, jeśli odniesiecie wrażenie, że ktoś was obserwuje lub śledzi.

Skinąłem głową i pomyślałem, że muszę kupić na czas podróży jakąś podręczną broń.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to nie będzie Anthony Bellarosa - dodał jeszcze.

- Rozumiem, ale ponieważ sprawa ma charakter osobisty, więc może jednak to on sam...

- Nigdy w życiu. Jeżeli coś się stanie jego wujkowi, będzie w tym czasie o tysiące mil od miejsca zbrodni, mimo że to też sprawa osobista.

- Gdzie w takim razie podziła się osobista wendeta i honor rodziny?

- Nadal istnieją, tyle że zajmują się tym wynajęci ludzie.

Wręczył mi swoje dwie wizytówki i uścisnęliśmy sobie dłonie. Podziękowałem mu serdecznie za wizytę. Poprosił, żeby pożegnać od niego panią Sutter i



przypomnieć, żeby zadzwoniła, kiedy poczuje się lepiej.

Patrzyłem, jak wsiada do swojego szarego służbowego sedana, dojeżdża do głównej alei i skręca w stronę Stanhope Hall.

Miałem teraz mnóstwo rzeczy na głowie - czuwanie przy zwłokach, pogrzeb, przyjazd teściów i dzieci, dwulicowego Irańczyka w domu obok, policję, FBI i w końcu Anthony'ego Bellarose, który szukał wykonawcy zlecenia na mnie i na Susan. W porównaniu z tym wszystkim piraci z Karaibów stanowili znacznie mniejszy problem.

No i jeszcze Susan. Wydawało mi się, że jest teraz bezpieczniejsza, ale nie wiedziałem, co w tej chwili czuje. Powinienem pójść na górę i sprawdzić albo wsiąść do samochodu i wybrać się na przejażdżkę, która pozwoliłaby mi zebrać myśli.

Wróciłem do domu i wszedłem po schodach na piętro. Drzwi do pokoju były zamknięte. Zawahałem się i w końcu je otworzyłem.

Susan wciąż siedziała na sofie, ale teraz była zwinięta w kłębek w narożniku i otoczona porozrzucanymi poduszkami. Wiedziałem dobrze, co ta pozycja w języku jej ciała oznacza. Na pewno nie oznaczała: „Chodź tu do mnie, przytul mnie i pocałuj”.

- Idę do sklepu z bronią - odezwałem się.

Nie zareagowała.

- Czy ten sklep w Glen Cove wciąż jeszcze istnieje?

Żadnej odpowiedzi.

Zaczynało mnie to denerwować.

- Zostaję w domu, ale jeśli sobie życzysz, możesz przenieść moje rzeczy do pokoju gościnnego albo sam to zrobię.

Spojrzała na mnie, ale wciąż milczała.

Wyszedłem z pokoju, zszedłem na parter i sprawdziłem w książce telefonicznej, że sklep z bronią znajduje się w tym samym miejscu co dziesięć lat temu.

Wyszedłem na deszcz, wsiadłem do samochodu i wyjechałem na Grace Lane.

To nie był mój najlepszy dzień, pocieszałem się, że w związku z tym nie będę musiał być miły dla Williama i Charlotte.

Jadąc do Glen Cove, zastanawiałem się, co jeszcze wydarzy się dzisiaj, a co przyniesie jutrzejszy dzień i wszystkie następne.

Wyglądało na to, że czeka mnie tylko pasmo nieszczęść, po których pozostaną same złe wspomnienia. Dlatego kiedy pozałatwiam wszystkie sprawy, powinienem jak najszybciej wracać do Londynu. A Susan niech się troszczy sama o siebie, jest dorosła. Będę jej radził, żeby wróciła do Hilton Head, ale nie czułem już wobec niej żadnych

zobowiązań Nie pragnąłem też, by była częścią mojego życia.

To wszystko była oczywiście nieprawda, ale dawała ewentualną drogę ucieczki. Na wypadek gdybym spakował swoje rzeczy. Może za dziesięć lat wrócę i spróbujemy jeszcze raz.

## ROZDZIAŁ 47

Dobrze pamiętałem właściciela sklepu sportowego, pana Rogera Bahnika, który zawsze był chętny do pomocy i wykazywał się dużą dozą cierpliwości, kiedy przed różnymi wakacyjnymi wypadami przyprawdzałem do jego sklepu Edwarda i Carolyn. Sam też tu kupowałem sprzęt do polowania pod wodą i różne żeglarskie drobiazgi, pomyślałem więc, że powinienem mu się przypomnieć. Z drugiej strony Bahnik mógł pamiętać, do czego Susan użyła broni. Postanowiłem zatem pozostać anonimowy do czasu, aż poprosi mnie o pokazanie dokumentu tożsamości.

Wyjaśniłem mu, o co mi chodzi, udając przy okazji, że nie znam się na broni i amunicji. O dziwo, brzmiało to w moich ustach całkiem przekonująco. Właściciel zaprowadził mnie do działu, gdzie znajdowały się zabawki dla dużych chłopców, i zapytał, czy strzelam do rzutków, czy do ptactwa, a jeśli do ptactwa, to do jakiego.

- Do bardzo dużych ptaków - odpowiedziałem.

Zaproponował broń odpowiednio dużego kalibru, a ja kupiłem jeszcze paczkę naboju karabinowych przeznaczonych do polowania na grubego zwierza. Taki pocisk potrafił zrobić naprawdę dużą dziurę w ciele człowieka.

Bahnik nosił kaburę z pistoletem, tak jak to jest wymagane od wszystkich sprzedawców broni. Chętnie kupiłbym od niego dwa pistolety, po jednym dla mnie i Susan, ale jak już wspominałem, na broń krótką trzeba było uzyskać specjalne pozwolenie. Może dostałbym je, ale procedura trwała około sześciu miesięcy, a nie wiem, czy tyle czasu mi zostało. Niestety Susan miała już wcześniej przygodę z bronią palną i wątpiłem, czy władze rozpatrzyłyby pozytywnie jej wniosek.

Nadal też potrzebowałem broni, którą mógłbym wozić w samochodzie, dlatego poprosiłem uszczęśliwionego pana Bahnika o pokazanie mi kilku karabinków.

Otworzył szafę, w której trzymał broń, i położył przede mną na ładzie kilka małych karabinków. Wziąłem do ręki starego winchestera M-1 kalibru .30, z jakiego strzelałem w wojsku. Te karabiny mają tylko około trzech stóp długości i świetnie mieszczą się pod siedzeniem samochodu, a nawet w dużych torebkach, jakie czasami noszą kobiety.

- M-jeden jest bardzo celny na dystansie trzystu jardów. Powali jelenia, choć zwykle strzela się z niego do mniejszej zwierzyny. Często ludzie kupują go do obrony własnej - zachwalał swój towar pan Bahnik. - A panu do czego będzie służył?

Nie chciałem mu mówić, że będę go woził w samochodzie, bo poluje na mnie

mafia.

- Do chronienia domu - odpowiedziałem.

- Świetnie. Żonie się spodoba - jest lekki, waży tylko pięć funtów, półautomatyczny i ma słaby odrzut.

- Będzie zachwycona - przyznałem. - To prezent na rocznicę.

Sprzedawca wiedział, że żartuję, albo miał taką nadzieję, w każdym razie roześmiał się.

Kupiłem jeszcze pudełko naboju kalibru .30 i zestaw do czyszczenia broni. Bahnik dorzucił do tego znaczek z amerykańską flagą, który mogłem sobie przypiąć do kurtki myśliwskiej albo piżamy.

Zauważyłem wiszący na ścianie pomarańczowy kombinezon, a obok niego spory wybór masek gazowych. Kiedy ostatnio robiłem zakupy w tym sklepie, w ofercie nie było takich produktów.

- Dużo pan sprzedaje tych masek gazowych i kombinezonów? - zapytałem.

Przeniósł wzrok na wiszący kombinezon.

- Sprzedałem kilka masek, ale kombinezony nie idą... Ale za to sprzedaję dużo racji żywnościowych i kanistrów na wodę. I trochę detektorów promieniowania.

- A broń?

- Interesy idą coraz lepiej. Jeszcze świece, lampy naftowe, latarki... Kiedyś nie sprzedawałem tyle nawet przed nadejściem huraganu - zażartował.

Nie odpowiedziałem, ale cieszyłem się, że Bahnikowi dobrze się powodzi, a Złote Wybrzeże jest przygotowane na wszelkie nieszczęścia. Życie w Stanach Zjednoczonych uległo jednak zmianie.

Właściciel podliczał moje zakupy, podczas gdy ja wypełniałem dokumenty związane z zakupem karabinka i amunicji. Formularz był krótki i nie zawierał zbyt wielu zbędnych czy wręcz głupich pytań. Do identyfikacji użyłem swojego paszportu. Moja karta American Express wciąż była ważna.

Sprzedawca owinął karabinek M-1 w brązowy papier, żebym w drodze do samochodu nie wywołał zaniepokojenia ludzi na ulicy, a zwłaszcza stróżów prawa. Pozostałe zakupy zapakował do dużej torby z napisem: „Artykuły sportowe - Broń”. O maskach gazowych nie było mowy.

Na widok mojego nazwiska, a może adresu wpisanego do formularza, Bahnikowi coś zaczęło świtać. Może przypomniał sobie, jak przychodziłem do jego sklepu z dziećmi. A może, co bardziej prawdopodobne, przypomniał sobie coś, o czym

dziesięć lat temu słyszał w telewizji albo przeczytał w gazetach.

Podziękowałem mu i idąc w kierunku drzwi, czułem na sobie jego uważne spojrzenie. Martwił się pewnie, że znów usłyszy w wieczornych wiadomościach o mnie i o pani Sutter. Cóż, niewykluczone.

Deszcz przestał padać, ale niebo nadal było pochmurne; z oddali dobiegały odgłosy zbliżającej się burzy.

Kiedy dojechałem do Stanhope Hall, dobry los sprawił, że natknąłem się na Amira Nasima. Stał przed budynkiem stróżówki i rozmawiał z dwoma mężczyznami w garniturach. Malarze pokojowi? Raczej nie. Zatrzymałem się i wysiadłem ze swojego taurusa. Pan Nasim przeprosił swoich rozmówców i podszedł do mnie.

Przywitaliśmy się. Zachowywał się dość chłodno, może dlatego, że nie zgodziłem się przekonywać Susan do sprzedania mu domu gościnnego. Poza tym dowiedział się już, że pozostanę w posiadłości na stałe. Z drugiej strony stróżówka stała się jego własnością wcześniej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

Nie ucieszyła go też pewnie wizyta Feliksa Mancuso, i to z dwóch powodów: po pierwsze, nie życzył sobie odwiedzin agentów FBI i po drugie, Mancuso opowiedział mu o kłopotach, jakie mają Sutterowie z powodu mafii.

Na szczęście pan Nasim był miłym facetem, więc zmusił się do uśmiechu.

- Rozumiem, że mogę już składać gratulacje panu i pani Sutter.

Nie chciałem psuć wrażenia i wspominać o tym, że w tej chwili akurat pani Sutter i ja nie odzywaliśmy się do siebie.

- Dziękuję.

- Zamierzają tu państwo nadal mieszkać? - dopytywał się.

Trudno mi było odpowiedzieć na to pytanie, póki nie wrócę do domu i nie sprawdzę, czy moje rzeczy nie zostały wystawione za próg. Poza tym, gdybym w tej chwili się zawahał, to cena, jaką wcześniej proponowałem, stałaby się pewnie nieaktualna, a ja straciłbym część swojej dziesięcioprocentowej prowizji.

- Uwielbiamy nasz dom - powiedziałem.

- Proszę mi dać znać, gdybyście państwo zmienili plany.

- Pan pierwszy się o tym dowie.

O wizycie Mancusa Nasim najwyraźniej nie miał ochoty wspominać. Wskazał za to na stojących na uboczu dwóch dżentelmenów.

- Zatrudniłem prywatną firmę ochroniarską. Mają przeanalizować moje potrzeby i dać propozycję poprawienia systemu ochrony.

- Świetny pomysł - zapewniłem go i ostrzegłem: - Tylko proszę nie korzystać z usług firmy Bell Security. To firma należąca do mafii.

Chyba nie wiedział, czy żartuję, czy mówię poważnie.

- To inna firma.

- Świetnie. A skoro już o tym mówimy, przypuszczam, że widział się pan dzisiaj z agentem specjalnym Feliksem Mancuso.

- Tak, owszem. Wspominał o państwa obawach związanych z tym, co wydarzyło się tu wiele lat temu i może mieć swoje implikacje w chwili obecnej.

- Zgadza się. Skoro zatem wszyscy obawiamy się o swoje bezpieczeństwo, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy skoordynowali swoje działania.

Zastanawiał się dłuższą chwilę, podejrzewając zapewne, że chciałbym za darmo skorzystać z jego ochrony.

- Oczywiście - odparł wreszcie. - Ponieważ mieszkamy na terenie tej samej posesji, powinniśmy omówić sprawę odwiedzin gości. Tak jak to robią w sąsiedniej Alhambrze.

Kiepskie porównanie, pomyślałem.

- Naturalnie.

- Od razu umieszczę w stróżówce dwóch umundurowanych strażników. Zmieniłem kod i hasło pilota do bramy. Teraz brama będzie zamykana. Ale oczywiście otrzymają państwo nowe kody.

- Dziękuję. - Co prawda pan Nasim sprawił, że będziemy się czuli nieco bezpieczniej, ale i nie bez satysfakcji utrudnił nam życie. Cóż, miał do tego prawo - dom gościnny stał pośrodku jego posiadłości i chociaż mieliśmy wolny przejazd, to bramę kontrolował Nasim. Gdybyśmy się nie dogadali w sprawie środków bezpieczeństwa, to pewnie wkrótce spotkalibyśmy się w sądzie. Szczęśliwym dla Sutterów trafem Amir Nasim obawiał się, że ktoś czyha na jego życie.

- Czy spodziewa się pan jakichś gości, panie Sutter? - zapytał. - A może jest ktoś, kogo nie chciałby pan widzieć?

- Cóż, dzisiaj nikt z mafii do mnie nie dzwonił.

Zaskoczyła go moja bezpośrednia odpowiedź, a może był zaskoczony, że robię sobie żarty z tego, co wcale nie jest śmieszne. Jeśli chodzi o niechcianych gości, miałem ochotę podać mu rysopisy Williama i Charlotte z prośbą, żeby ochroniarze zatrzymali ich i przeprowadzili w stróżówce rewizję osobistą. Niestety, o wszystkim mogłaby się dowiedzieć Susan i pewnie nie przyjąłaby do wiadomości, że to był tylko

żart, na którym pan Nasim się nie poznał.

- Spodziewamy się kilkorga gości w związku ze śmiercią pani Allard - odpowiedziałem już całkiem serio.

Poinformowałem go, że dziś o siedemnastej przyjeżdżają Stanhope'owie, a jutro po południu Edward i Carolyn. Wyleciał mi za to zupełnie z głowy sobotni lub niedzielny przyjazd Petera, więc przy odrobinie szczęścia ochroniarze mogą uwięzić utracjusza w piwnicy. Wspomniałem za to o Elizabeth Allard, którą Nasim znał, i mojej matce, którą opisałem jako uroczą staruszkę. Na koniec pozostawiłem sobie małą armię zatrudnionych przez Susan służących i dostawców.

- Może lepiej będzie w takim razie, jeśli dostarczy mi pan listę tych ludzi, a ja przekażę ją ochronie - zauważył Nasim.

- Musimy wypracować jakiś system, który nie będzie kłopotliwy dla mnie i pani Sutter.

- Oczywiście.

- Muszę mieć poza tym kontakt z pańskimi ochroniarzami, a oni ze mną. Poza tym pani Sutter i ja musimy mieć prawo wydawania im poleceń.

- Na pewno dojdziemy do porozumienia - zapewnił mnie Nasim, choć widać było po nim, że wcale mu się nie podoba to, co powiedziałem.

- Ten wysoki na dziesięć stóp mur, który na długości ćwierć mili odgradza posiadłość od Grace Lane, nie powstrzyma nikogo, kto będzie chciał się tu dostać - zauważyłem. - Reszta granicy posiadłości jest w ogóle nieogrodzona, jeśli nie liczyć palisady z tyłu i szpaleru drzew po bokach. Tak więc brama może być zamknięta, a mimo to pozostaje prawie mila niestrzeżonej granicy posiadłości.

- Zastanawiamy się nad zainstalowaniem czujników, a poza tym musi pan wiedzieć, że popołudniami posiadłość będzie patrolował samochodem ochroniarz z psem. O szczegółach jeszcze pana poinformuję.

- Bardzo proszę. Czy ochroniarze będą uzbrojeni? - zapytałem.

- Oczywiście.

Większość tych ludzi to byli dorabiający albo emerytowani policjanci, albo dawni wojskowi. Do nich można było mieć zaufanie. Niestety odniosłem wrażenie, że w Ameryce jest obecnie tak olbrzymie zapotrzebowanie na usługi ochrony, że zatrudnia się coraz częściej ludzi przypadkowych.

- Niech pan się upewni, czy wszyscy ochroniarze mają referencje i pozwolenie na noszenie broni. Poza tym na każdej ze zmian powinno być przynajmniej dwóch

strażników, którzy kiedyś pracowali w policji lub wojsku - doradziłem Nasimowi.

- Miło mi się z panem rozmawiało, panie Sutter.

- Mnie również. - Żeby wyglądać na jeszcze lepszego sąsiada i zwrócić uwagę na korzyści, jakie płyną dla mnie z ufortyfikowania przez Nasima Stanhope Hall, zaproponowałem: - Chętnie będę partycypował w części ponoszonych przez pana kosztów. - Tak naprawdę to Susan musiałaby w nich partycypować.

- Państwa obecność nie podnosi ponoszonych przeze mnie kosztów, cieszę się natomiast, że mogę ochraniać także dom gościnny i należącą do państwa część posiadłości.

- Bardzo dziękuję, ale jak wiadomo, za wszystko trzeba płacić, nalegam więc, bym był stroną w podpisywanej przez pana z firmą ochroniarską umowie i bym mógł płacić jej bezpośrednio swoją cześć proporcjonalną do posiadanych przez nas dziesięciu akrów ziemi.

- Pan nigdy nie przestaje być prawnikiem, panie Sutter - rzekł z uśmiechem Amir Nasim.

- Zgadza się pan czy mam zatrudnić własną firmę ochroniarską, co może być dla nas obydwu kłopotliwe?

- W porządku. - Chyba rozumiał moje obawy i powody, które skłoniły mnie do tego pokazu siły. - Może mi pan doradzi, jak sporządzić kontrakt?

- Może pan być pewny, że nasz kontrakt będzie jak najlepszy.

Teraz przysłała kolej na prężenie mięśni przez niego.

- Ten żywopłot, który otacza państwa dziesięć akrów, może stanowić dla ochrony problem. Proszę się zastanowić nad usunięciem go.

- Zrobiłbym to, ale pani Sutter lubi opalać się nago, a pewnie nie chciałby pan być tego świadkiem.

Pan Nasim mógł sobie pomyśleć, że zachowuję się wobec niego prowokacyjnie albo go podpuszczam, bo odpowiedział krótko:

- Bezpieczeństwo jest najważniejsze, więc może uda się panu namówić panią Sutter do zlikwidowania żywopłotu i postawienie w jego miejsce niewielkiego płotu, za którym mogłaby... zażywać kąpiele słonecznych.

Celny strzał, Amir. I całkiem rozsądne rozwiązanie.

- Porozmawiam z nią.

- Dziękuję. - Zamyślił się na chwilę. - Jeżeli wyda się to państwu nie do zaakceptowania, może zastanowicie się ponownie nad moją ofertą kupna domu.



Ja bym się zastanowił, tyle że dom i ziemia nie należały do mnie. Doszedłem też do wniosku, że dom i ziemia Susan - otoczone teraz przez posiadłość paranoicznego cudzoziemca, który zamierzał zatrudnić uzbrojonych strażników z psami - wcale nie były już tak atrakcyjne. Nawet miejscowi agenci nieruchomości, którzy potrafili sprzedać ruinę, mieliby kłopoty ze znalezieniem nabywcy. „Piękna rezydencja w stylu angielskim jest położona w samym środku olbrzymiej posiadłości, której właścicielami jest przeurocze, zastraszone małżeństwo Irańczyków. Dlatego też będą mogli państwo napawać się widokiem psów i uzbrojonych mężczyzn przemierzających tereny posiadłości. Na szczęście psy są łagodne, a strażnicy mają zakaz strzelania w dzień. Cena nabycia: 3 miliony dolarów”.

- Panie Sutter?

- Cóż, decyzja należy do pani Sutter i chyba już pan ją poznał. Ale spróbuję... - Pomyślałem, że gdyby William i Charlotte zginęli od kul strażników, albo gdyby zagryzły ich psy, Susan mogłaby odkupić za pieniądze ze spadku całą posiadłość. Tylko te koszty utrzymania... Robiłem w myślach szybkie obliczenia, a tymczasem pan Nasim czekał na moją odpowiedź. - ...Spróbuję jeszcze raz poruszyć tę kwestię. I to tylko dlatego, że pan mnie o to prosił.

- Niczego więcej od pana nie żądam. Proszę też wspomnieć pani Sutter, że jestem szczęśliwy, mogąc zapewnić jej odrobinę bezpieczeństwa w tych... trudnych dla niej czasach. Niestety poczucie bezpieczeństwa wymaga pewnych poświęceń. - I zaraz dał mi przykład takiego poświęcenia. - Obawiam się, na przykład, że będę musiał poprosić państwa o niekorzystanie z należącego do mnie terenu. Tak doradzili mi specjaliści z firmy ochroniarskiej.

Kolejna bzdura, ale świetny powód, żeby obniżyć cenę, za jaką chciałby kupić dom.

- Wczoraj widziałem, jak pani Sutter biegała - mówił dalej Nasim. - Obawiam się, że to nie będzie możliwe, kiedy pojawią się tu patrole z psami.

- Jest pan pewien, że to ona? - zapytałem. - Co miała na sobie?

- Była ubrana stosownie, ale nie o to chodzi.

- Jasne, rozumiem. - Przecież wiedziałem, że nie biegała nago.

- I choć mam nadzieję, że trudna sytuacja, w jakiej znalazła się pani Sutter, wkrótce znajdzie pomyślny finał, to niestety o sobie nie mogę tego powiedzieć. Dlatego nie wierzę, że w tej okolicy zapanuje w najbliższym czasie niezmacony spokój.

- Wyraził się pan jasno, panie Nasim.

- Tak? To dobrze. Proszę jeszcze przekazać moje kondolencje rodzinie pani Allard. Mam nadzieję, że będę miał przyjemność poznać w najbliższych dniach państwa rodzinę.

A może tak zapytać go, czy nie ma wolnej sypialni dla Williama i Charlotte - miał ich przecież chyba dwadzieścia - ale nie byłem pewien, czy Stanhope'owie i Nasimowie wytrzymaliby ze sobą pod jednym dachem. A właściwie czemu nie? William opowiedziałby Amirowi historię rezydencji, a Charlotte nauczyłaby Soheilę, jak przygotowywać wstrząśnięte martini.

- Może uda nam się wypić razem herbatę - odpowiedziałem uprzejmie.

- Proszę dać mi znać.

- Oczywiście. A propos, proszę mnie informować o pańskich ustaleniach dotyczących środków bezpieczeństwa. Proszę też przygotować projekt umowy, w którym znalazłoby się również nasze nazwisko.

Rozeszliśmy się bez uścisku dłoni. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w stronę domku gościnnego.

Nie zobaczyłem na trawniku swoich walizek, i to był dobry znak. Nie wiedziałem tylko, co czeka mnie w środku.

To co zrobiłem dziesięć lat temu, żeby przerwać szczęśliwie rozwijający się romans Susan i Franka, można było oceniać na dwa sposoby. Pierwszy to taki, że zrobiłem to, by odzyskać Susan, którą kochałem, drugi że zrobiłem to im na złość, bo obojga jednakowo nienawidziłem. Może oba wyjaśnienia były prawdziwe, ale wiedziałem, że Susan mnie kocha i pomyśli raczej o tym pierwszym.

Podsumowując sprawę zabójstwa Franka, jestem pewien, że żadne z nas trojga tego nie chciało - szczególnie Frank, ale także Susan i ja - lecz jak słusznie zauważył Mancuso, trzeba było wypić piwo, którego się nawarzyło.

## ROZDZIAŁ 48

Zaniosłem swoje zakupy do domu. Susan jednocześnie rozmawiała przez telefon, sprawdzała coś w komputerze i zapisywała w notatniku.

Obdarzyła mnie nerwowym uśmiechem, a potem zajęła się z powrotem telefonem i pocztą elektroniczną.

Rozpakowałem swój karabinek i położyłem go na stoliku do kawy a potem zacząłem ładować magazynek.

- Po co ten karabin? - zapytała Susan, skończywszy rozmowę telefoniczną.

- Do samochodu.

Zbyła to milczeniem.

Odłożyłem załadowany magazynek i zapytałem wprost:

- Gdzie mam spać?

- W sypialni.

- Świetnie.

- Ja będę spała w pokoju gościnnym.

Nietrudno było zauważyć, że żartuje.

- Nie miałbym żalu, gdybyś uznała, że potrzebujesz czasu, żeby przemyśleć to... co powiedziałem i zrobiłem.

- Już to sobie przemyślałam.

- I?

- I... rozumiem, co zrobiłeś i... nie sądzę, żebyś planował to, co się potem wydarzyło. - Powtórzyła to, co było dla wszystkich od dawna jasne. - Miałam romans i zabiłam go. Ja, nie ty.

- To prawda.

- Wiem, że chciałeś tylko, żebym do ciebie wróciła.

- To też prawda. W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

- Masz... rację. - Przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszała te słowa. - Nie możemy po dziesięciu latach wymagać od siebie, byśmy rozumieli to, co wtedy myśleliśmy i czuliśmy. Nie możemy więc także wydawać wyroków.

- Zgadza się z tobą.

- Ty wcześniej zdałeś sobie sprawę z problemu, jakim może stać się dla nas Anthony Bellarosa. Powinieneś przerwać to i uciekać, ale próbowałeś mi pomóc, nawet wtedy, gdy jeszcze nie byliśmy razem. Mój problem stał się twoim problemem,

a ty naraziłeś swoje życie na niebezpieczeństwo.

Jasne, nie mogłem się bardziej narazić. Gdybym spotkał Johna Suttera i usłyszał całą tę historię, powiedziałbym mu, że jest superfacetem. Albo skończonym kretynem.

- Kocham cię - wyznałem.

Susan wstała i padliśmy sobie w objęcia. Czulem na swojej szyi jej włosy.

- To ja ciebie kocham - usłyszałem jej szept - I potrzebuję cię.

- Razem damy sobie radę.

- Na pewno.

Wzięła się w garść i spojrzała mi w oczy.

- Wystarczy. Koniec. Nigdy więcej nie chcę rozmawiać o tym, co wtedy się stało. Nigdy.

- Zgoda. Nie ma tu już nic do dodania.

- Właśnie. - Wzięła głęboki wdech. - Widzę, że znalazłeś sklep sportowy.

- Tak. Właściciel mnie pamiętał, pamiętał też, że pod koniec miesiąca będziemy obchodzić rocznicę ślubu, i w związku z tym doradził mi kupno tego karabinu. Możemy iść na wysypisko śmieci i postrzelać do szurków.

Susan postanowiła kontynuować moją głupią grę.

- Jak miło. - Spojrzała na karabinek. - Nie powinieneś być tak rozrzutny, John.

- Och, to drobiazg.

Wzięłem do ręki karabinek, wyjaśniłem jej zasadę jego działania oraz opisałem wszystkie zalety. Potem wcisnąłem go jej do ręki.

- Zobacz, jaki lekki.

Uniosła go.

- Mogłabym zabierać go do Locust Valley i nosić przez cały dzień.

- Świetnie mieści się pod fotelem samochodu.

- Właśnie widzę.

Zabrałem od niej broń, włożyłem magazynek, sprawdziłem, czy jest zabezpieczona, i wprowadziłem nabój do lufy.

- Wystarczy odbezpieczyć, wycelować i nacisnąć spust. To broń półautomatyczna, więc będzie strzelać za każdym razem, kiedy naciśniesz język spustowy. W magazynku masz piętnaście nabołów. Wszystko jasne?

Skinęła głową.

Następnie pokazałem jej, jak strzelać z biodra do bliskich celów. W pewnej

chwili w drzwiach pojawiła się Sophie. Na widok broni krzyknęła i uciekła.

Chciałem za nią pobiec, oczywiście bez broni, ale Susan zawołała tylko:

- Zaraz wróć! - i pobięła śladem dziewczyny.

W oczekiwaniu na jej powrót przygotowałem nam obojgu wódkę z tomkiem. Cieszyłem się, że Susan i ja wreszcie zostawiliśmy przeszłość za sobą, że kupiłem karabin i amunicję do strzelby oraz że całą sprawą zajmuje się Felix Mancuso.

Cieszyłem się też, że Amir Nasim postanowił wzmocnić swoją ochronę, co powinien był już chyba dawno uczynić. Wyglądało na to, że Felix Mancuso zdołał cholernie nastraszyć Nasima. Musiał mu powiedzieć, że już nawet do FBI dotarły informacje o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Czy Mancuso zrobił tak po to, żeby Nasim zapłacił za całodobową ochronę Sutterów? A może to tylko zbieg okoliczności, że chwilę po rozmowie z agentem Mancuso Nasim już sprowadził speców od ochrony? Prawdopodobnie wezwał ich, kiedy tylko dowiedział się, że stróżówka już jest wolna. W każdym razie Mancuso musiał Nasimowi udzielić tej samej rady co mnie: kup sobie broń.

Do pokoju wróciła Susan.

- Dałam jej podwyżkę - powiedziała.

- A będzie czyściła broń?

- Nie, John, ale zapewniłam ją że jesteś zupełnie normalny, a podwyżkę dostała dlatego, że w domu pojawiła się dodatkowa osoba.

- Świetnie. A powiedziałaś jej, że depcze nam po piętach mafia?

- Nie. Ale porozmawiam z nią jeszcze raz na temat otwierania drzwi obcym.

- Nie będzie nas odwiedzało zbyt wielu obcych - uprzedziłem ją. - Nasim wprowadził w Stanhope Hall nowy reżim.

- Co masz na myśli?

- Właśnie się z nim widziałem, rozmawiał z doradcami od ochrony. Za nowy irańsko-amerykański pakt obronny - wzniosłem toast.

Opowiedziałem Susan w skrócie przebieg mojej rozmowy z Amirem Nasimem.

- To zaczyna być kłopotliwe... i pogarsza jakość mojego życia - zauważyła Susan.

- W takim razie daj się zabić.

- Nie tego się spodziewałam, wracając tutaj.

- Wierzę ci. Ale... cóż, wszyscy musimy oddać trochę wolności ca bezpieczeństwo.

- Nie, nie musimy.

Już kiedyś z Susan spierałem się o to, gdy siedziałem jeszcze w Londynie, a także tutaj, w Nowym Jorku. Chodziło oto, jak daleko należy się posunąć, ile trzeba oddać wolności, a ile zyskuje się w zamian poczucia bezpieczeństwa.

- Zobaczmy najpierw, jak to będzie wyglądało. A na razie koniec z bieganiem nago po posesji.

Uśmiechnęła się.

- Nasim chce też, żebyśmy zlikwidowali ze względów bezpieczeństwa żywopłot. Na razie odpowiedziałem mu, że cenimy sobie prywatność.

- Mam wrażenie, że wywiera na mnie nacisk, żebym sprzedała dom.

- Niewykluczone. Może powinnaś się nad tym zastanowić?

-Nie.

- W takim razie odkup od niego całą posiadłość.

- A skąd mam wziąć na to pieniądze?

Mój wzrok powędrował bezwiednie ku leżącemu na stoliku karabinowi.

- To nie jest zabawne - powiedziała, kiedy dotarło do niej, co miałem na myśli.

- Co takiego? - zapytałem z niewinną miną.

- O czym rozmawiałeś z Mancuso? - zapytała, zmieniając temat.

Opowiedziałem jej w skrócie o naszej rozmowie o zniknięciu Anthony'ego Bellarosy i tym, co może się wydarzyć w najbliższych tygodniach. Przekazałem jej też słowa Mancusa, że nasi goście i nasze dzieci są bezpieczne.

Susan miała do mnie mnóstwo pytań, więc wręczyłem jej jedną z wizytówek agenta.

- Prosił, żebyś do niego zadzwoniła. Przy okazji możesz mu zadać te wszystkie pytania i wspomnieć o swoich niepokojach.

- Dobrze. Zadzwonię jeszcze dzisiaj.

- Powinnaś też wiedzieć, że Mancuso złożył wizytę panu Nasimowi i być może stąd te nagłe decyzje.

- Jak mogliśmy dać się w to wszystko wciągnąć? Ci wszyscy ludzie...

Miałem nadzieję, że to było retoryczne pytanie, bo gdybym miał na nie odpowiedzieć, musiałbym wrócić do spraw, o których mieliśmy już więcej nie rozmawiać. Oczywiście za problem z Nasimem Susan nie odpowiadała, ale z drugiej strony gdyby nie nakłoniła wcześniej Franka Bellarosy do kupna Stanhope Hall, to władze nie przejęłyby później posiadłości i teraz może stanowiłaby własność jakiejś

sympatycznej rodziny, która nie obawiałaby się, że ktoś nastaje na ich życie. I gdyby Susan nie miała z Frankiem Bellarosą romansu, a potem go nie zastrzeliła, to Susan i John przez ostatnie dziesięć lat wiedliby szczęśliwe życie małżeńskie i nie martwili się wendetą mafii.

- To minie.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - powiedziała, patrząc mi w oczy.

Chodziło mi po głowie podobne pytanie, ale ponieważ podjąłem decyzję, kierując się sercem, a nie rozumem, więc nie powinienem zadawać sobie zbyt wielu pytań.

Susan przeszła do poważniejszego tematu.

- Wynajęłam firmę zarządzającą przyjęciami. Pomogą mi zrobić zakupy i gotować. Przez cały tydzień będzie tu Sophie. Wydaje mi się, że mamy dość wina, piwa, wódki, whisky i wszystkiego innego, ale mama i tata piją gin z martini, a zabrakło nam ginu. Ich ulubiona marka to Boodles. Mógłbyś kupić gin?

- Dobrze. Tylko sprawdzę, czy dostanę przepustkę na wyjście z posesji.

- Czy mam zadzwonić do rodziców i uprzedzić ich o środkach bezpieczeństwa przy bramie?

- To dobry pomysł. Powiedz im, że to pomysł Nasima, nie nasz.

- Oczywiście. Powiadomię też Edwarda i Carolyn. I Petera.

- Nasim chce dostać listę naszych gości. Zajmij się tym, proszę.

- Dobrze.

- I nie zapomnij o służbie i dostawcach.

- Dam sobie radę. To wszystko jest do dupy - skomentowała.

- Masz rację. Wrócę za godzinę. A ty zabierz amunicję do strzelby na górę, a karabin schowaj w szafie w holu.

- Nie chcesz go ze sobą wziąć?

- Nie.

- Nie mogę uwierzyć, że musimy prowadzić takie rozmowy... Nie skomentowałem tego.

- Do zobaczenia.

Postanowiła odprowadzić mnie do samochodu. Zanim wsiadłem, wcisnęła mi do ręki swój telefon komórkowy.

- Zadzwoń - powiedziała, ściskając mnie na pożegnanie. - I uważaj na siebie.

Usiadłem za kierownicą i skierowałem się w stronę stróżówki.

Brama była otwarta na oścież, a wokół nikogo nie dostrzegłem. Skręciłem w Grace Lane.

Minutę później zobaczyłem nadjeżdżającego z naprzeciwka czarnego escalade. Gdy się zbliżył, zwolnił.

Przyciemniane szyby nie pozwoliły mi nikogo w środku zobaczyć, a byłem zbyt daleko, żeby odczytać tablice rejestracyjne. Zaczynałem żałować, że nie mam przy sobie karabinu.

Samochód zatrzymał się na środku drogi jakieś trzydzieści stóp ode mnie. Kiedy podjechałem bliżej, na bocznej szybie zauważyłem naklejkę z amerykańską flagą. Tablice rejestracyjne zdradziły mi, że jest to wóz Anthony'ego.

Czy Anthony siedział w środku? I czy skorzysta teraz z okazji, żeby zabić Johna Suttera?

Mogłem go szybko minąć albo zawrócić, ale byłem ciekawy, kto chce ze mną porozmawiać, więc zrównałem się z czarnym escalade i zatrzymałem.

Okno kierowcy uchyliło się; za kierownicą siedział Tony.

- Cześć, panie Sutta. Tak sobie pomyślałem, że to pan. Co słychać?

- W porządku. A co u ciebie?

- Super.

Spostrzegłem jakiś ruch na tylnym siedzeniu. Na wszelki wypadek nogę trzymałem cały czas w pogotowiu na pedale gazu. Na pewno czułbym się lepiej, gdyby na moich kolanach leżał teraz karabinek.

- Co pan porabia?

Ten idiota wiecznie zadawał te same kretyńskie pytania.

- Nic nowego.

- Taaa... A jak tam pani Sutta?

Miałem ochotę powiedzieć „pierdol się”, ale ugryzłem się w język.

- Gdzie twój szef? - zapytałem.

Uśmiechnął się. Gdybyśmy byli bliżej siebie, dzieliłbym go pięścią w twarz.

- Nie wiem - odpowiedział. - A czemu pan pyta?

Musiałem dzielić swoją uwagę pomiędzy Tony'ego a tajemniczy ruch na tylnym siedzeniu.

- Powiedz mu, że go szukam.

- Taaa...? A dlaczego pan go szuka?

- Przypomniałem sobie coś jeszcze na temat jego ojca i chciałem mu to



powiedzieć.

- Taaa...? On lubi takie historie. Ja też. Niech pan mi opowie. Skoro prosił...

- Gdyby Frank pożył trochę dłużej, zakapowałby cię federalnym i do tej pory gnilbyś w kiciu.

- Pierdol się, człowieku.

- Nie. To ty się pierdol. I niech się pierdoli twój szef...

Tyłna boczna szyba opuściła się i już zamierzałem staranować escaladę, kiedy usłyszałem głos Kelly Ann:

- Pan przeklina! Nie wolno przeklinać!

- Przepraszam, skarbie - powiedziałem do niej i zwróciłem się do Tony'ego: - Powiedz swojemu szefowi, żeby przestał się ukrywać i zaczął postępować jak mężczyzna.

- Powtórzę mu - obiecał Tony.

- To miło z twojej strony, ale chcę mu to powiedzieć osobiście.

- Zobaczymy, co da się zrobić.

- Przekaż pozdrowienia przyszłej wdowie.

W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony, dopiero po chwili dotarł do niego sens moich słów.

- Ty też - odpowiedział niezbyt poprawnie.

Zamknęliśmy okna i każdy pojechał w swoją stronę.

Powinienem zadać sobie pytanie, po co pogarszam sytuację. Odpowiedź brzmiała: gorzej już nie może być, więc dlaczego nie doprowadzić do szewskiej pasji faceta, który chce cię zabić? Prawdę mówiąc, poczułem się lepiej, a on może teraz popełnić jakiś błąd. O to mi właśnie chodziło - wystarczył jeden jego błąd, żebym mógł go osobiście zabić.

## CZEŚĆ IV

*„Czcij ojca twego i matkę swoją”*

Księga wyjścia (20,12)

*I wierzcie mi, pomiędzy rodzicem a dzieckiem  
jest mur na dziesięć stóp gruby i na dziesięć mil wysoki*

George Bernard Shaw, *Misalliance*

### ROZDZIAŁ 49

Było dziesięć po piątej, pojawił się deszcz, a Stanhope'owie nie.

- Dziesięć minut temu dzwonili, właśnie zjechali z autostrady - uspokoiła mnie Susan.

Dodała jeszcze, że powinni tu być za kwadrans. Kwadrans to wystarczająco dużo czasu, żeby wysączyć szklaneczkę dewarsa.

Susan i ja byliśmy w kuchni. Sophie położyła na blacie przekąski, których nie wolno mi było tknąć. Pojawiła się także kobieta z firmy cateringowej i obie z Susan zaczęły planować menu na najbliższy tydzień. Sophie miała przez nadchodzące pięć dni zamieszkać w pokoiku dla służby na parterze. Było to wygodne dla Susan i dawało Williamowi i Charlotte kogoś jeszcze prócz własnej córki, kim mogliby komenderować. Istniała też szansa, że w obecności służącej nie będziemy na siebie wszyscy zbyt głośno krzyczeć.

Zadzwoił telefon.

- Tak, oczekujemy ich - powiedziała do słuchawki Susan i rozłączyła się. - Przyjechali z kwaciarni. Okazuje się, że przy bramie jest już strażnik.

Nie odezwałem się, choć dopiero teraz do mnie dotarło, jak wielkie przygotowania są czynione na przyjazd mamy i taty. A pamiętałem przecież, że William i Charlotte nigdy wcześniej nie zauważali ani nie doceniali tego, co szykowała Susan na ich przyjazd. Owszem, byli wymagającymi rodzicami, ale ciągle mówili o Peterze jak o idealnym dziecku. Tymczasem Peter był bezwartościowym dupkiem, który dobrze wiedział, jak kadzić mamusi i tatusiowi i komu zawdzięcza kasę.

Wydawało mi się też, że Susan jest zbyt optymistyczna, jeśli chodzi o pobyt

tutaj jej rodziców. Kazała wysprzątać cały dom, nagromadziła stosy napojów i przekąsek, mogłem się założyć, że w ich sypialni stały już kwiaty. Spojrzałem na Susan i choć nie miałem ochoty widzieć tu jej rodziców, to nie chciałem też jej zranić.

- Posłuchaj, Susan, może jednak pójde do hotelu...

- Nie. Jesteś moim przyszłym mężem i ojcem naszych dzieci. Zostaniesz tu ze mną, Edwardem i Carolyn.

- Ale...

- Ale chcę, żebyś zniknął, dopóki nie zrobię im drinka. Zamknij się w gabinecie, a ja w odpowiednim momencie dam ci znać przez interkom. Jakies piętnaście, dwadzieścia minut po ich przyjeździe.

- Będą widzieli na podjeździe mój samochód.

- Powiem im, że to mój drugi samochód.

- Zobaczą w stróżówce strażników i domyśla się, że tam nie mieszkam.

- No dobrze, chcesz ich przywitać razem ze mną?

- Nie, Susan, chcę wyjechać. Wrócę, jak...

- Nigdzie nie wyjedziesz. Masz się tylko na chwilę schować.

- W porządku. - Złapałem tacę pełną przekąsek i szklanę z whisky. - Powodzenia.

- John, pamiętaj o jednym.

- O czym?

- O połowie ze stu milionów dolarów.

Uśmiechnąłem się, zabrałem swoją wykradzioną porcję do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi. Żaluzje były odsłonięte, toteż widziałem przez okno, jak pod dom podjeżdża furgonetka kwiaciarni. Dwóch mężczyzn wyładowało z niej tyle kwiatów, że można byłoby nimi zapełnić cały dom pogrzebowy.

Opuściłem żaluzje, żeby William i Charlotte nie zobaczyli przypadkiem w oknie swojego przyszłego zięcia, usiadłem przy biurku, sprawdziłem pocztę elektroniczną i zjadłem przekąski, popijając whisky.

Susan zadzwoniła do Mancusa. Powiedziała mi, że dał jej kilka rad i mówił o zniknięciu Anthony'ego. Dodał także, że jest pod wrażeniem jej odwagi, ale nie powinna tracić czujności. Ze słów Susan wynikało, że zostali dobrymi znajomymi. Bardzo mnie to ucieszyło.

Nie powiedziałem jej o spotkaniu z Tonym; miała dość na głowie. Ale zaraz po tym incydencie zadzwoniłem z telefonu komórkowego Susan do Feliksa Mancuso i

zostawiłem mu wiadomość na poczcie głosowej. Opisałem przebieg rozmowy z Tonym i zasugerowałem, żeby ktoś z biura Mancusa przesłuchał Tony'ego i wypytał go o miejsce pobytu szefa. Poinformowałem go także, że Amir Nasim zaczął instalować w Stanhope Hall system alarmowy mogący rywalizować z tym, który chroni ich siedzibę przy Federal Plaza 26. Dodałem, że powinien podzielić się najnowszymi informacjami z detektywem Nastasim, albo ja to zrobię, jeśli akurat w tym tygodniu FBI i policja nie zamierzają ze sobą współpracować.

Jestem świetny w chronieniu własnego tyłka, a w obliczu grożącego mi niebezpieczeństwa mój umysł zaczyna pracować jaśniej.

Przejrzałem swoje e-maile z ostatnich dwóch tygodni. Większość przysłali mi klienci z Londynu, do których wciąż nie docierało, że jestem na długim urlopie. Przypomniało mi to, że powinienem poinformować swoją firmę o rezygnacji z pracy. Muszę też poinformować Samanthę, że z niej również zrezygnowałem.

Powinienem zadzwonić, ale w Londynie było teraz po jedenastej wieczorem, więc może tylko wyślę e-mail i będę miał to z głowy, chociaż tak się nie powinno załatwiać tego rodzaju spraw... a poza tym, pomyślałem, chyba zaczekam i zobaczę, co się wydarzy w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Może to z mojej strony paskudne, ale Susan też musiała poukładać swoje priorytety. Kłopot polegał na tym, że miała tych priorytetów kilka: mnie, dzieci, pieniądze - a niektóre z nich wzajemnie się wykluczały.

Może w takim razie to ja powinienem poukładać te priorytety w odpowiednim porządku i jeśli by doszło do sytuacji - John albo pięćdziesiąt milionów dolarów, po prostu się wycofać. Że już nie wspomnę o wyborze - John albo fundusze powiernicze dzieci czy John albo pieniądze na życie dla Susan.

Kiedy tak myślałem, jaki to jestem szlachetny i bezinteresowny, słyszałem wchodzących i wychodzących ludzi z kwaciarni i Susan, która tym specyficznym dla klasy wyższej tonem, uprzejmym i kategorycznym zarazem, udzielała im instrukcji.

Jak ta kobieta mogłaby żyć bez pieniędzy? Chodzi o to, że te pieprzone kwiaty kosztowały więcej, niż większość ludzi zarabia przez miesiąc. Nie wspominając o wymyślnych przystawkach, firmie cateringowej, Sophie... czemu ja się tym przejmowałem? W końcu mieliśmy większe problemy na głowie. Na przykład, jak pozostać przy życiu.

Wysłałem kilka e-maili do przyjaciół w Londynie, ale nie wspomniałem im o porzuceniu pracy, przeprowadzce do Nowego Jorku, ponownym poślubieniu mojej

eks ani o dybiącej na moje życie mafii. Takie informacje mogłyby dotrzeć do mojej firmy albo do Samantha. Owszem, byłem gotowy spalić za sobą mosty, ale jeśli okazałoby się, że muszę wrócić, to choć jeden most byłby mi potrzebny.

Wcześniej napisałem też e-mail do swojej siostry Emily, która nadal mieszkała w Teksasie z facetem numer cztery lub pięć. Emily i ja byliśmy sobie bardzo bliscy mimo dzielącej nas od dziesiątków lat dużej odległości. Napisałem jej o śmierci Ethel i podzieliłem się dobrą wiadomością o Susan i o mnie.

Teraz odebrałem jej odpowiedź: „Cudownie. Całuję, Emily. PS Cudownie. PSS Nie przyjadę na pogrzeb Ethel, ale na ślubie Johna i Susan na pewno będę. Zadzwoń, jak będziesz miał czas”.

Napisałem odpowiedź: „Jesteś cudowna. Życie jest cudowne. Zadzwonię, jak będę mógł. Całuję, John. PS Za chwilę przyjeżdżają Stanhope’owie. To nie jest cudowne. Ale może przynajmniej będzie zabawne”.

W tym samym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Wyjrzałem zza żaluzji i obok swojego niebieskiego taurusa zobaczyłem drugiego niebieskiego taurusa, którego na pewno William i Charlotte wypożyczyli na lotnisku. Oczami wyobraźni widziałem cudowną scenę, kiedy Stanhope’owie wjeżdżają na teren posiadłości i tam zatrzymuje ich grad pocisków z karabinów maszynowych.

- Zapraszam! - usłyszałem powitalny okrzyk Susan.

- Cholerne nowojorskie korki, jak ty możesz tu żyć? - odezwał się William Pierdoła.

- Jak cudownie znów cię widzieć, kochanie! - zaszczebiotała Charlotte.

I tym podobne.

Uszczęśliwione głosy umilkły gdzieś w głębi korytarza, więc usiadłem z powrotem do klawiatury i zacząłem pisać e-mail do Edwarda i Carolyn: „Cześć, wasi dziadkowie niestety dotarli na miejsce cali i zdrowi...” skasować... „Babcia i dziadek właśnie dotarli, a ja się ukrywam...” skasować... „Babcia i dziadek dotarli, a ja jeszcze się z nimi nie przywitałem, więc bardzo krótko: pamiętajcie, że wasza matka i ja bardzo was kochamy i kochamy się nawzajem i zrobimy wszystko, żeby dziadek i babcia czuli się też kochani. Nawet wujek Peter, ten bezużyteczny...” skasować... „który może nas odwiedzi. Mama i ja spróbujemy do was jutro zadzwonić i powiedzieć, jak się sprawy mają. Albo wy zadzwóńcie do nas. Edward, gdybyśmy się już nie słyszeli, szczęśliwego lotu. Carolyn, zadzwoń i powiedz, którym pociągiem przyjeżdżasz. Całuję, tata. PS Wasi dziadkowie są warti sto milionów dolarów -

martwi...”, skasować.

Przeczytałem jeszcze raz e-mail i nie byłem pewny, czy powinienem go wysłać. Edward i Carolyn zdawali sobie sprawę z pewnych tarć pomiędzy mną i ich dziadkami, byli już dorośli, więc powinienem ich traktować jak dorosłych. Mój list niósł pozytywne treści, choć mogli wyczuć delikatną aluzję, że pewne problemy nie są wykluczone. Nie miałem pojęcia, co powiedziała im Susan, jeżeli w ogóle cokolwiek powiedziała, ale musiałem być aktywny i dlatego wcisnąłem klawisz „wyślij” i mój list powędrował do cyberprzestrzeni.

Dla zabicia czasu otworzyłem przeglądarkę i wpisałem: „teściowie, doskonałe morderstwo” i od razu dostałem kilka podpowiedzi.

Następnie wszedłem na stronę, o której wspominał mi pewien mój amerykański klient, na której znalazłem zdjęcia lotnicze różnych domów i obiektów handlowych w Stanach. Korzystałem już z tej strony internetowej, kiedy zajmowałem się moim amerykańskim klientem, i kilka miesięcy temu w przypływie nostalgii wszedłem na nią, żeby zobaczyć Stanhope Hall i Alhambrę.

Po minucie widziałem na ekranie zdjęcie lotnicze Stanhope Hall zrobione zimą tego roku. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak wielka była rezydencja. Dostrzegłem labirynt z żywopłotu, świątynię miłości, kort tenisowy, sad śliwkowy, a nawet nadpalone szczątki domu dla lalek Susan.

Powiększyłem widok stróżówki, potem przeniosłem się do domu gościnnego i pobliskiej stajni. Następnie powędrowałem kursorem do Alhambry i zobaczyłem długi, prosty rząd sosen odgradzających obie posesje. Pomyślałem o konnych przejażdżkach Susan ze Stanhope Hall do Alhambry.

Na zdjęciu nie było zrównanej już z ziemią rezydencji Bellarosy ani sztucznych rzymskich ruin czy sadzawki. Były tylko czerwone skośne dachy nowych willi i łączące je drogi.

Zrobiłem zbliżenie domu Anthony’ego z dużym tarasem i zbyt dużym basenem, a potem wróciłem na teren Stanhope Hall, do widoku domku gościnnego.

Na ziemi z domu Susan do willi Anthonyego trzeba było jechać naokoło, ale w linii prostej dzieliła je odległość pięciuset, może sześciuset jardów - jedna trzecia mili.

Zapamiętałem sobie: gdybym biegł na przełaj, dotarłbym do domu Bellarosy w mniej niż pięć minut. Tyle samo czasu zajęłaby ta droga Anthony’emu.

## ROZDZIAŁ 50

Zadzwoił interkom. Podniosłem słuchawkę i zapytałem:

- Zemdleli czy wyszli?

- Ani to, ani to. Już minął im pierwszy szok.

- Czy są gotowi na kolejny, kiedy im powiem, że nie będzie żadnej intercyzy?

- Dawkujmy im po jednym szoku dziennie. Jutro twoja kolej.

- W porządku. Gdzie jesteś?

- W kuchni, robię im drugie martini. Za minutę będę w salonie. Zrobiłam ci mocnego drinka.

- Świetnie. Do zobaczenia w salonie.

Wyszedłem z gabinetu do holu. Dałem sobie minutę na przypomnienie wszystkich bzdur, jakie przez dwadzieścia lat od nich słyszałem, i wszedłem do salonu.

William i Charlotte siedzieli na stojących obok kominka fotelach, a Susan naprzeciwko nich na dwuosobowej kanapie. Pomiędzy nimi stał stolik do kawy, a na nim tace z przekąskami. Przed Williamem i Charlotte stały kieliszki z kolejnym martini, a przed Susan kieliszek białego wina.

Przez moment bawiłem się myślą, żeby podbiec do nich z wyciągniętymi ramionami i okrzykiem: „Mamo! Tato!”, ale zamiast tego rzuciłem krótkie:

- Cześć - i podszedłem do nich.

Susan wstała, po chwili bez entuzjazmu podnieśli się William i Charlotte.

Żeby ich wkurzyć, najpierw pocałowałem Susan, potem wyciągnąłem rękę do Charlotte, która przywitała się ze mną gestem omdlewającej dziewczycy, i do Williama, którego dłoń w dotyku przypominała oślizłą rybę.

- Jak minęła podróż? - zagadnąłem.

- Nie najgorzej - odpowiedział William.

- Usiądź przy mnie, John - zaprosiła mnie gestem Susan. - Zrobiłam ci wódkę z tonikiem.

- Dziękuję. - Usiadłem na kanapie obok Susan, która natychmiast ujęła moją dłoń. Nie uszło to uwagi mamusi i tatusia; skrzywili się.

W tle przygrywał nam Schubert, pokój rozjaśniał dyskretny blask świec, w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Zupełnie jak w domu pogrzebowym.

Przechyliłem swoją szklaneczkę i poczułem, że to jest sam tonik.

William Daltonista miał na sobie kretyńskie zielone spodnie, okropną żółtą koszulkę do golfa i wstrząsająco różową lnianą sportową marynarkę. Charlotte ubrała się w blad różowe spodnie i sraczkowatozieloną bluzkę. Oboje mieli na nogach te potworne białe buty ortopedyczne. Dziwne, że wpuścili ich na pokład samolotu.

Zauważyłem, że William nie postarzał się specjalnie przez ostatnie dziesięć lat, miał tyle samo włosów na głowie co dawniej i używał tej samej farby do włosów. Twarz Charlotte pokryła się siecią głębokich zmarszczek. Miała nadal naturalne jasnorude włosy, nosiła kolczyki, naszyjnik i bransoletkę z koralami i muszelek i ogólnie przypominała wyschnięte akwarium. Żadne z nich nie przytyło specjalnie, ale jak na graczy w golfa mieli ziemistą cerę, zupełnie jakby się smarowali wapnem.

- Oboje świetnie wyglądacie - rzuciłem.

- Dziękuję. Czujemy się dobrze. - Tylko na tyle było stać Williama.

Nie odpowiedział mi komplementem.

W takich chwilach ludzie, którzy przekroczyli osiemdziesiątkę, zwykle wygłaszają pełną wersję raportu o stanie zdrowia. Na ogół mnie to straszliwie nudzi, ale tym razem nie martwiłem się, że usłyszę o jakichś dolegliwościach, nieważne jak niewielkich czy nieznaczących. Nigdy nie wiadomo, jakie choróbko może się w tym wieku przyplątać. Niestety nie podzielili się ze mną informacjami o swoim stanie zdrowia i tylko Charlotte wspomniała:

- Nasz internista powiedział, że możemy dożyć setki.

Niech go szlag trafi.

Susan postanowiła poruszyć ważny temat.

- John, powiedziałam mamie i tacie, że zamierzamy ponownie wziąć ślub i jak bardzo cieszą się z tego nasze dzieci.

- Moja matka też jest zachwycona - zapewniłem mamę i tatę. - A Ethel tuż przed śmiercią powiedziała: „Teraz już mogę spokojnie umrzeć...”. - Poczulem, jak paznokcie Susan wbijają mi się w dłoń, więc wyhamowałem. - Długo się nad tym z Susan zastanawialiśmy... - czyli od chwili, gdy wskoczyliśmy w niedzielę do łóżka - ...omówiliśmy wszystkie aspekty naszego ponownego związku i doszliśmy do przekonania, że tego właśnie chcemy.

- I jesteśmy w sobie zakochani, John - przypomniała mi Susan.

- I jesteśmy w sobie zakochani - powtórzyłem.

Ani mama, ani tata nie mogli się wypowiadać w tej sprawie, więc Susan ciągnęła:



- Jak już wam mówiłam, nim przyszedł John, rozumiem, że to może być dla was zaskoczenie; rozumiem także wasze wątpliwości, ale jesteśmy pewni swojej miłości.

William i Charlotte siedzieli, jakby nagle stracili słuch. Oboje jednocześnie sięgnęli po kieliszki i porządnie łyknęli.

- Rozmawialiśmy z Johnem o tym, co się zdarzyło w przeszłości, i postanowiliśmy już do tego nie wracać. Wierzimy, że przeszłość nauczyła nas tego, co naprawdę jest istotne w życiu, a nasze błędy nauczyły nas, jak postępować, żeby umacniać naszą miłość, a rodzinę uczynić trwałą.

William i Charlotte skończyli swoje martini. Uznałem, że teraz moja kolej.

- Jestem pewien, że pragniecie szczęścia Susan, a ja wierzę, że potrafię ją uczynić szczęśliwą. - Nadszedł czas na moje *mea culpa*. - W trakcie trwania naszego związku popełniłem wiele błędów i biorę na siebie winę za większość złych rzeczy, które nam się przytrafiły, ale chcę, żebyście wiedzieli, że dojrzałem, jestem teraz bardziej wyczulony na potrzeby Susan, nauczyłem się powściągać gniew i... - Znowu poczułem wbijające się paznokcie Susan. - Mógłbym wam podać STO MILIONÓW powodów - albo połowę z tego - dlaczego uważam, że będę dla Susan dobrym mężem, i sto milionów powodów, dlaczego...

- John.

- Co?

- Myślę, że mama i tata chcieliby, żebyś skoncentrował się na tym, co się zdarzyło, kiedy byliśmy tu poprzednio wszyscy razem.

- Właśnie do tego zmierzałem. - Z tego, co pamiętałem, siedzieliśmy we włoskiej restauracji w Locust Valley.

William dopiero co sprzedał Frankowi Bellarosi Stanhope Hall i prosił mnie o przygotowanie, za darmo, umowy sprzedaży. Potem usiłował, jak zawsze, wkręcić mnie w zapłacenie rachunku za kolację, a ja miałem już tego dosyć i nazwałem go...

- John.

- Tak. - Spojrzałem na Williama i Charlotte. - Najbardziej żałuję swoich słów, jakie skierowałem do ciebie, Williamie, podczas naszej ostatniej wspólnej kolacji. Mój wybuch był zupełnie niedopuszczalny i nieuzasadniony. Słowa, które padły z moich ust, jak na przykład... chyba diabeł mi je podpowiedział... Cóż, gdybym mógł cofnąć te słowa, zrobiłbym to. Ale nie mogę, więc proszę przyjmij moje szczerze i skromne przeprosiny. Przepraszam także ciebie, Charlotte, że musiałaś słuchać tego steku

plugawych przekleństw, i ciebie, Susan, że byłaś tego świadkiem... - Pogubiłem się w skomplikowanej składni tego zdania, więc zakończyłem: - Przyjmijcie moje przeprosiny.

Zapadła kilkusekundowa cisza.

- Nikt nigdy w ciągu całego mojego życia nie odezwał się do mnie w ten sposób - powiedział William.

Czyżby?

- To było takie przykre - dodała Charlotte.

Może potrzebowali jeszcze jednego martini. Cóż, obiecałem Susan, że przeproszę i przeprosiłem, ale tych dwoje półgłówków miało to za nic. Spróbowałem jeszcze raz, teraz w stylu uniwersytetu w Yale.

- Nie macie pojęcia, ile razy zasiadałem do napisania listu z przeprosinami, ale nigdy nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów do wyrażenia swoich uczuć i przelania ich na papier. Teraz wreszcie mam okazję wypowiedzieć je na głos. Padają z tych samych ust, które wypłyły z siebie niegdyś okrutne, nieprzyzwoite i wulgarne epitety. Mam nadzieję, że dostrzegacie to, iż słowa przeprosin płyną wprost z mojego serca. - Wskazałem dłonią serce.

William, mimo dwóch martini chlupoczących w jego zakutym łbie, najwyraźniej przeczuwał, że stroję sobie żarty. Charlotte, która miała łeb zakuty do kwadratu, przyjmowała wszystko dosłownie.

- Po prostu oniemiałem, John - odezwał się William - że mój zięć, człowiek, którego rodziców bardzo szanuję, mógł użyć takiego języka w miejscu publicznym i na dodatek w towarzystwie dam. - I tak dalej.

Zwiesiłem głowę i cierpliwie go słuchałem. William oczywiście od dawna czekał na ten dzień i teraz musiał nacieszyć się każdą chwilą, wycisnąć z tego jak najwięcej małostkowej satysfakcji.

- Tato, John poprosił was o przyjęcie jego przeprosin - przerwała w końcu jego wywód Susan.

William spojrzał najpierw na nią, potem na mnie.

- Zastanowimy się nad tym z Charlotte - powiedział. - Musisz wiedzieć, John, że nie wybaczymy tak łatwo, jak to obecnie czynią młodzi ludzie. O wybaczenie trzeba poprosić, ale trzeba też na nie zasłużyć - pouczył mnie.

- Mam nadzieję, że zasłużę sobie na wasze wybaczenie.

- Tu nie chodzi o nadzieję, John. Trzeba na to zapracować.

Dobrze, dupku.

- To właśnie miałem na myśli.

- Zrobię wam nowego drinka - zaproponowała Susan i zabierając kieliszki, zwróciła się do mnie: - Pomóż mi, John.

Wstałem i ruszyłem za nią do kuchni.

- Dziękuję ci - powiedziała.

Przemilczałem to.

- Wiem, że to było trudne, ale zrobiłeś to.

- Te słowa płynęły wprost z mojego serca. - Wskazałem na klatkę piersiową.

- A ja myślę, że ze śledziony.

- Mówiłaś przecież, że zmiękli.

- Nie. Powiedziałam, że skłamałam.

- Jasne.

- To nic nie pomaga - rzekła, wyjmując z lodówki gin.

- Zadziała. Jedno maroni, drugie martini, trzecie martini, gleba. A w moim toniku brakuje wódki - poskarżyłem się.

- Jeszcze będziesz mi za to dziękował.

- Muszę się napić, żeby przez to przebrnąć.

- Świetnie sobie radzisz.

- Naprawdę?

- Tak. Tylko nie przesadź. Jesteś bliski sarkazmu.

- Ja? - zapytałem zdziwiony. - Musielibyśmy przez to przechodzić, gdyby nie byli bogaci?

- Gdyby nie byli bogaci, nie byłiby też tacy trudni - odparła, nalewając gin do kieliszków.

- Nie wiadomo.

- I proszę cię, nie używaj więcej słów „sto milionów”.

- Próbowałem tylko wyliczyć...

- Pamiętaj o dzieciach. Nami się nie przejmuję, ale martwię się o nie.

- Nie chcę, żeby nasze dzieci straciły szacunek dla samych siebie albo nawet zaprzedały duszę za garść złota.

- Nie. To nasze zadanie.

- Gdzie dzisiaj śpią mama z tatą?

- Jeszcze do tego nie doszliśmy.

- Czy oni wiedzą że śpię tu z tobą?

- Cóż, ojciec coś wspominał o strażnikach w stróżówce, ale chyba jeszcze się nie zorientował. Jak przyjdzie pora, po prostu powiemy „dobranoc” i nie będziemy z tego robić problemu.

- W porządku. A co z kolacją?

- Pójdziemy wszyscy do domu pogrzebowego, a potem proponuję wrócić do domu i zjeść lekką kolację. Chyba że będą woleli iść do restauracji.

- Co powiesz na tę włoską restaurację w Locust Valley, w której jedliśmy ostatnim razem?

Roześmiała się.

- Dobrze. Tylko nie broń się znów przed zapłaceniem rachunku.

- Aha! To dlatego wciąż jest wkurzony.

Susan dołała do obu kieliszków odrobinę wermutu i wrzuciła po oliwce.

- Wracajmy, bo pomyślą że ich obgadujemy.

- To oni nas teraz obgadują.

Postawiła kieliszki na srebrnej tacy i wręczyła mi ją.

- Ty czyń honory.

Ruszyłem w kierunku drzwi, ale w pewnej chwili się zatrzymałem.

- Jeśli do niedzieli to wszystko się nie wyjaśni, nie chcę tych dwojga więcej widzieć. Rozumiesz?

- Wyjaśni się. Już ty się o to postarasz.

- Bardzo proszę! - zawołałem w drzwiach salonu.

Chwycili za kieliszki i spróbowali.

- Susan robi wyśmienite martini - odezwał się William.

- A ja nie rozlałem ani kropli - dodałem z dumą.

- Pozwólcie, że powiem to jeszcze raz - wtrąciła się Susan, unosząc swój kieliszek z winem - że bardzo się cieszę, że jesteście tu, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, w pięknym Stanhope Hall. I choć okazja jest smutna, to wiem, że Ethel patrzy na nas z góry i uśmiecha się, widząc nas wszystkich znowu razem.

O mało się nie popłakałem.

Nie stuknęliśmy się kieliszkami, wznieśliśmy je tylko.

Miałem wrażenie, że William i Charlotte ostatnie pięć minut spędzili na gratulowaniu sobie nawzajem, że są takimi dupkami, i na planowaniu kolejnego ataku na Johna.

Jakby na zawołanie odezwał się William.

- Widziałem się ostatnio z synem Dana, Bobem. Przesyła ci pozdrowienia - powiedział do Susan.

- To miłe - odparła Susan.

- Jeszcze raz mi powtórzyl, że uczyniłaś szczęśliwymi ostatnie lata życia jego ojca.

Susan nie odezwała się. Teraz była kolej Charlotte.

- Tak bardzo nam wszystkim brakuje Dana. Zawsze był duszą towarzystwa.

- Ale najbardziej kochał golfa. - William zachichotał. - Ciebie też zaraził tą miłością Susan. Całkiem dobrze ci szło. A tutaj grasz?

- Nie.

- Założę się, że tam, w górze, gra co najmniej dwa razy dziennie

- Zostawiłaś te piękne kije, które ci kupiliśmy - zwróciła się Charlotte do Susan.

- Chcesz, żebyśmy ci je przysłali?

- Nie, dziękuję.

Miałem ochotę złapać ich za gardło, ale siedziałem cicho, słuchając, jak dzielą się z Susan najświeższymi wiadomościami z Hilton Head i przy każdej możliwej okazji utykają imię Dan.

Susan powinna im zwrócić uwagę, że mogą nie mieć ochoty słuchać o jej drogim zmarłym mężu, ale tych dwoje było w takim amoku, że pewnie nie na wiele by się to zdało.

Moim jedynym grzechem przeszłości było to, że nie potrafiłem znieść tych wszystkich bzdur, które wygadywali, podczas gdy ich córka dopuściła się cudzołóstwa i morderstwa. A teraz ja musiałem przeproszać za to, że nazwałem Williama zdeprawowanym draniem, cynicznym sukinsynem, obleśnym bucem i monumentalnym kutasem. A może najpierw kutasem, a potem bucem? Tak czy siak, to była prawda.

Susan czuła, że zaczyna się we mnie gotować i za chwilę wybuchnę tak samo jak dziesięć lat temu w restauracji, więc szybko przerwała wywód ojca.

- Edward i Carolyn przyjadą tu jutro wieczorem. Nie mogą się doczekać spotkania z wami.

- My też z niecierpliwością czekamy, żeby ich zobaczyć - odezwała się Charlotte i nie zapomniała spytać: - Jak się miewają?

Co jest, do cholery? Byłem przekonany, że tę część rozmowy mają już dawno za

sobą, a tu okazuje się, że do tej pory nawet nie zapytali o swoje wnuki. Co za świnie.

Susan zaczęła opowiadać im o Edwardzie i Carolyn, ale babcia i dziadek wydawali się umiarkowanie zainteresowani tematem, tak jakby chodziło o cudze wnuki.

Temat został wreszcie wyczerpany i William zajął się moją osobą.

- A co u ciebie, John? Jak ci się wiedzie w Londynie?

Dobrze wiedziałem, że guzik go obchodzi, jak mi się wiedzie w Londynie, i jest to tylko preludium.

- Londyn to ładne miasto - odparłem.

- Pracujesz? - zapytał.

- Całe życie pracuję.

- Przez trzy lata płynąłeś dookoła świata - przypomniał mi. - Ale to pewnie też ciężka praca - zgodził się łaskawie.

Miałem ochotę zaprosić go na długi rejs, ale pewnie domyśliliby się, że nigdy by z niego nie wrócił.

- To było wyzwanie.

- Na pewno. Miałeś dziewczynę w każdym porcie?

- To nie jest odpowiednie pytanie, skoro siedzi z nami twoja córka - odparłem.

To powinno zakończyć jego występ, ale Susan poniosły nerwy.

- Przeszłość jest już za nami, tato.

William, jak przystało na tchórza, wycofał się.

- Nie chciałem poruszać bolesnych tematów.

- To nie jest bolesny temat, tylko zamknięty - zapewniła go Susan.

- Oczywiście - powiedział pan Wrażliwy. A potem miał czelność mnie zapytać: - Jak to się stało, że przez te wszystkie lata nie ożeniłeś się ponownie, John?

- Bo umawiałem się tylko z mężatkami.

William nie uznał mojej odpowiedzi za zabawną, ale Charlotte moje tłumaczenie w zupełności wystarczyło, choć zauważyła trafnie:

- Wygląda na to, że marnowałeś czas na kobiety, które nie były do wzięcia.

- Mogę wam zrobić jeszcze jednego drinka? - zapytała Susan.

Mama i tata potrząsnęli zgodnie głowami.

- Ograniczamy się do trzech martini - poinformował nas William.

Na minutę?

- Wypiliście dopiero dwa - zauważyłem.

- Jedno wypiliśmy, nim tu dotarliśmy.
- To się nie liczy. Nie znoszę pić samotnie.
- No... dobrze - zgodził się William.

Wstałem, żeby zrobić im drinki, ale w drzwiach pojawiła się Sophie i zapytała, czy nam czegoś potrzeba.

Na to odezwał się William, który zwykł traktować pomoc domową jak chłopca pańszczyźnianego.

- Dwa martini i zabierz stąd te talerze, a przynieś czyste - zarządził i zwrócił się do Susan: - Pokaż jej, jak się robi martini.

Susan wstała, Sophie zabrała talerze i obie wyszły. Następnie Charlotte przeprosiła nas, mówiąc, że idzie do toalety, i zostałem sam na sam z Williamem.

Popatrzyliśmy na siebie; widziałem, jak mruży żółte oczy, a pomiędzy włosów wyrastają rogi. Z nozdrzy buchnął mu dym, ortopedyczne buty rozerwały się, ukazując diabelskie kopyta. Potem sięgnął do tyłu spodni i zaczął się bawić czarnym ogonem.

A może tylko to sobie wyobraziłem? Ale oczy naprawdę zmrużył.

- Nie jesteśmy z tego powodu szczęśliwi, John - odezwał się do długim milczeniu.

- Cóż, przykro mi to słyszeć. Grunt, że wasza córka jest szczęśliwa.

- Może jej się tylko wydawać, że jest szczęśliwa. Po śmierci Dana Susan była samotna, a po atakach terrorystycznych wręcz przygnębiona. Przez ostatnie kilka miesięcy rozpamiętywała przeszłość.

Pozwoliłem mu mówić dalej.

- Chcę przez to powiedzieć, John, że ona nie jest sobą i to, co widzisz teraz, może bardzo się różnić od tego, co będziesz oglądał za kilka miesięcy.

- Doceniam to, że chcecie mnie uchronić przed popełnieniem błędu, i jestem wzruszony waszą troską o moją przyszłość.

Znów zmrużył oczy.

- Wcale się o ciebie nie troszczymy. I nie sądzimy, żeby troszczyła się o ciebie Susan. Ona jest zagubiona. Znamy własną córkę, naszym zdaniem przechodzi teraz w życiu... pewien etap, który kiedyś minie.

- W takim razie powinniście powiedzieć jej, co sądzicie o jej stanie psychicznym. Albo ja to zrobię.

Pochylił się ku mnie i powiedział ściszym głosem:

- Musimy o tym porozmawiać, John. Jak mężczyzna z mężczyzną.

- Z miłą chęcią.

Tylko przyprowadź tu mężczyznę na swoje miejsce.

William postanowił przejść do sedna sprawy.

- Ludzie z naszą pozycją, mam na myśli Charlotte i siebie, muszą być bardzo ostrożni przy doborze odpowiedniego kandydata dla córki. Rozumiesz, o czym mówię?

- Oczywiście. Chcecie, żeby była szczęśliwa.

- Nie... to znaczy... tak, oczywiście, że tak. Ale teraz mówię o... hmm, pieniądzach.

- O pieniądzach? A co to ma wspólnego z pieniędzmi? Wesele sfinansujemy sami - zapewniłem go.

Moja tępota doprowadzała go do rozpacz, ale cierpliwie tłumaczył mi dalej.

- Nie mam pojęcia, jaka jest twoja kondycja finansowa, ale jestem przekonany, że na twoją decyzję miały wpływ pieniądze, które Susan dostaje na utrzymanie, i jej przyszły spadek. Nie zrozum mnie źle, John. Na pewno wydaje ci się, że ją lubisz, jestem tego pewien, ale szczerze mówiąc, uważam, że mieliście słuszne powody, żeby się rozwieść - po prostu nie pasujecie do siebie i dlatego trzymaliście się od siebie z dala przez dziesięć lat. Pozostaje pytanie, dlaczego znów jej macisz w głowie i dlaczego zaproponowałeś jej małżeństwo.

Można to było powiedzieć delikatniej.

- William, jeśli sugerujesz, że jestem łowcą posagów, to czuję się obrażony.

- Ja tego nie powiedziałem, John. Uważam tylko, że na twoje uczucia i sposób myślenia mogą mieć wpływ właśnie te czynniki. Oczywiście podświadomie.

- Poruszyłeś ciekawą kwestię... więc uważasz, że podświadomie... chyba muszę to przemyśleć. Nie chciałbym myśleć, że żenię się z miłości, a gdzieś tam w głębi duszy chodzi tylko o pieniądze.

Chyba za dużo było tym razem w moich słowach sarkazmu, ale William tego nie zauważył. Pochylił się jeszcze niżej i powiedział bezceremonialnie:

- Może byśmy porozmawiali o jakimś porozumieniu finansowym, które skłoniłoby cię do powrotu do Londynu?

Jeśli miał na myśli marne sto tysięcy dolarów, które oferował wszystkim zalotnikom Susan, to czułem się znieważony. Nawet dwieście tysięcy byłoby zniewagą. To powinna być siedmiocyfrowa sumka.



- John?

Spojrzałem na niego i zdałem sobie sprawę, że jeśli powiem mu, żeby spierdalał, to resztę tygodnia spędzimy w dość nieprzyjemnej atmosferze. Ale jeśli będę grał na czas, on będzie raczył się naszą gościnnością, i dopiero po obiadku w Dzień Ojca spokojnie powiem mu, żeby spierdalał. A może lepiej poczekać, aż w poniedziałek rano wyjedzie Edward. Chwilę, kiedy powiem mu spierdalać, trzeba było starannie ustalić.

- Mam nadzieję, że przemyślisz to sobie.

- Tak. To znaczy, nie sprawy finansowe... tylko to, co powiedziałaś o Susan. No... że nie jest sobą, że jest zagubiona. - Udałem głębokie zamyślenie, potem pokiwałem głową i niechętnie przyznałem: - Nie chciałbym, żeby popełniła błąd, wychodząc ponownie za mnie za mąż.

- My też tego nie chcemy, John.

-Więc może w takim razie powinniśmy... - wspaniały pomysł! - ... po prostu żyć ze sobą.

Biedny William. Myślał, że pójdzie mu ze mną tak łatwo. Odchrząknął i powiedział:

- Mówiłem o porozumieniu finansowym, które pomogłoby ci podjąć decyzję o powrocie do Londynu.

- A... tak. Ale... nie chciałbym jej zranić... Nie chciałbym też skrzywdzić jej niepotrzebnym małżeństwem.

- Oboje będziecie szczęśliwsi, jeśli się teraz rozstaniecie - zapewnił mnie William. - To musi być rozstanie szybkie, łagodne i ostateczne.

Przypomniała mi się moja umowa z Frankiem Bellarosą. Westchnąłem głęboko i powiedziałem:

- Muszę to przemyśleć.

William poczuł, że umowa może dojść do skutku.

- Chcę znać twoją odpowiedź do niedzieli - powiedział. - Albo ostatecznie do poniedziałku rano, przed naszym wyjazdem.

- W porządku. A jeśli chodzi o to porozumienie finansowe... - rzekłem z zakłopotaniem.

- Porozmawiamy o tym, kiedy podejmiesz decyzję.

- Łatwiej byłoby mi o tym rozmyślać, gdybym wiedział w jakiej wysokości...

William nie miał pojęcia, ile jest gotów wydać, żeby zapewnić swojej córce

szczęście. Nie znał też mojej ceny za definitywne zniknięcie z oczu miłości mojego życia. Wiedział za to, że zdaje sobie sprawę, iż może ją wydziedziczyć i przestać dawać pieniądze na życie. To obniżało jej wartość i moją cenę.

Obserwowałem, jak toczy wewnętrzny bój, wkurzony do ostateczności tym, że Susan będzie go kosztowała kupę forsy. Na mnie był wkurzony z wielu przeróżnych powodów, ale głównie dlatego, że te pieniądze miałbym właśnie ja otrzymać. Kto wie, czy nie zmniejszy jej kieszonkowego, żeby sobie powetować straty.

- A o jakiej kwocie myślisz? - zapytał w końcu.

- Co powiesz na dwa miliony?

W pierwszej chwili myślałem, że zemdleje, wyładowuje twarzą w serze brie, ale jakoś udało mu się złapać oddech i wymamrotał niewyraźnie:

- Może połowa tej kwoty, ale płatna w rocznych ratach, żebyś nie zmienił zdania.

- Wiem, do czego zmierzasz. Ale jeśli zapłacisz mi całość od razu, nie wycofam się z umowy. Masz na to moje słowo.

- Potrzebny będzie pisemny kontrakt.

- Jasne. Umowa o niezawieraniu małżeństwa.

- I niemieszkanu razem.

- Oczywiście. - Uwielbiam zawierać umowy. - Ale jeśli dostanę całość od razu, to coś spuszczę z tych dwóch milionów.

- O tej kwocie jeszcze musimy porozmawiać. I o warunkach też. Później.

- Masz czas po obiedzie?

Nim zdążył odpowiedzieć, do pokoju wróciła Susan i Sophie, więc William, dzentelmen w każdym calu, podniósł się i szybko chwycił swój kieliszek martini.

Sophie zmieniła nakrycia na stoliku i wyszła.

- Gdzie jest mama? - spytała Susan, siadając.

- Poszła się odświeżyć - odparł William.

Susan oceniła wprawnym okiem sytuację i zapytała:

- Pogadaliście sobie jak mężczyzna z mężczyzną?

- Rozmawialiśmy właśnie o tym, co dzieje się tu w Stanhope Hall - rzekł William.

Zerknąłem na niego; był bardziej wyluzowany, może nawet pełen nadziei, że jego najgorszy koszmar skończy się, nim się zaczął. Miałem ochotę mrugnąć do niego okiem i pokazać mu dwa palce wyciągnięte w kształcie litery V, symbol zwycięstwa,

ale nie za wszelką cenę - tylko dwa miliony dolarów.

Wróciła Charlotte i zgarnęła ze stolika swoje martini.

Susan postanowiła kontynuować wątek Stanhope Hall.

- Jak wspomniałam w mailu, właściciel, Amir Nasim, obawia się o swoje bezpieczeństwo i wynajął firmę, która doradzi mu, jakie zastosować zabezpieczenia.

- Obawia się o swoje bezpieczeństwo? - zdziwił się William.

- Pochodzi z Iranu. Jego żona powiedziała mi, że w kraju ma wielu wrogów, którzy mogą zechcieć zrobić mu krzywdę.

Charlotte przerwała na chwilę wylizywanie dna kieliszka i szepnęła:

- O rany...

- Myślisz, że coś nam grozi? - zapytał William, który jak zwykle myślał tylko o sobie.

- Trudno pomylić pana Nasima i jego żonę z kimkolwiek z nas - odparłem.

- No to może tu być wesoło - odezwał się głupio William.

Jakoś nikt się nie roześmiał ani nie poklepał radośnie po udach.

- Jeżeli wygodniej wam będzie gdzie indziej, Susan może wam wynająć pokój w The Creek.

- Chyba nie powinniśmy przesadzać, John - wtrąciła się Susan.

Nie odpowiedziałem, ale zwróciłem uwagę, że William i Charlotte nie wyrazili żadnego zaniepokojenia losem córki i wnucząt.

- Kiedy mieszkaliśmy w Stanhope Hall, nawet nie zamykaliśmy drzwi - oznajmił William. - Prawda, kochanie? - Spojrzał na swoją ledwie przytomną połówicę.

- Nie - odpowiedziała Charlotte, co mogło oznaczać, że zgadza się z mężem lub, równie dobrze, że się z nim nie zgadza.

Właściwie byłem zadowolony, że piję czysty tonik; z jasnym umysłem mogłem bardziej docenić występy Williama i Charlotte.

Susan postanowiła przypomnieć im, po co przyjechali do Nowego Jorku.

- Tak mi smutno z powodu Ethel - powiedziała. - Trudno uwierzyć, że ona nie żyje.

- Biedactwo - zauważyła Charlotte. - Mam nadzieję, że nie cierpiała przed śmiercią.

Rozmawialiśmy przez kilka minut o Ethel, przypominaliśmy sobie różne miłe chwile, ale nikt nie wspomniał, że była dla nich zadrą w dupie. Tylko Charlotte

zauważyła z uśmiechem:

- To była bardzo uparta kobieta. Czasami zastanawiałam się, kto tu jest panią, a kto służącą.

- Nie używamy już tych słów, mamó - przypomniała jej Susan.

- Och, Susan. Komu to przeszkadza.

Zauważyłem, że William nie miał na temat Ethel nic do powiedzenia, ani dobrego ani złego. Siedział cicho i pewnie myślał o tym jak jego ojciec się z nią pieprzył.

Ale ponieważ zarówno Augustus, jak Ethel umarli, postanowiłem ożywić nieco rozmowę.

- Przeglądałem dokumenty Ethel - zwróciłem się do Williama i Charlotte - i znalazłem wśród nich akt dożywotniego przeniesienia własności stróżówki. Zastanawiam się, dlaczego Augustus przeniósł prawo własności na dwoje młodych pracowników, którzy...

- John - przerwała mi Susan. - Musimy się już chyba zbierać. - Spojrzała na zegarek. - Chciałabym być w domu pogrzebowym o siódmej. - I wstała.

Faktycznie, powinienem poruszyć ten temat w większym gronie, wtedy zabawa będzie lepsza, więc również podniosłem się, a za moim przykładem poszli William i Charlotte. Charlotte lekko się chwiała.

- Bagaze mamy i taty wciąż są w samochodzie - zwróciła się do mnie Susan. - Czy mógłbyś je przynieść?

- Oczywiście, kochanie.

William już trzymał kluczyki w ręku. Wręczył mi je ze słowami.

- Dziękuję, John. - To chyba oznaczało, że nie zamierza mi pomóc. Dobrze. W takim razie ja nic nie opuszczę z tych dwóch milionów.

Wyszedłem na deszcz, wyjąłem te ich tanie walizki przypominające rozdawane przez firmy reklamówki, i zataszczyłem je po schodach na piętro.

Nie dotarli jeszcze do swojego pokoju, więc nie dostałem napiwku. Wróciłem do naszej sypialni, gdzie Susan właśnie się rozbierała.

- Mamy czas na szybki numerek? - zapytałem.

- Chyba się upiłeś - odpowiedziała z uśmiechem.

- Bardzo zabawne. To tamtych dwoje wypilo pół butelki ginu.

- Byli bardzo zdenerwowani - broniła ich. - Chociaż po trzecim kieliszku tata sprawiał wrażenie znacznie mniej przygnębionego.

- Prawda?

- O czym we dwóch rozmawialiście? - dopytywała się.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej, że tatuś próbował mnie przekupić, ale gdybym to zrobił teraz, byłaby przygnębiona. Niech lepiej myśli, że poprawił mu się humor po alkoholu. A jutro, kiedy zobaczy że obaj jakoś znosimy swoje towarzystwo nawet bez wspomagania alkoholem, będzie szczęśliwa.

Dopiero potem, w niedzielę po kolacji albo w poniedziałek rano kiedy wyjadą już dzieci, ale nim Sknerus MacKwacz odleci na południe zapytam Susan, czy wie, jaką kwotę jest gotów zaakceptować tatuś za mój wyjazd do Londynu. Zresztą może powiem to jej inaczej: „Twój ojciec miał czelność zaoferować mi łapówkę w zamian za to, że cię zostawię. Nikt jeszcze do tego stopnia mnie nie obraził”.

Nim zdąży ochłonać, powiem jej, że zaproponował mi dwa miliony dolarów, ale ja nie zamierzam jej porzucić za mniej niż pięć. To już są poważne pieniądze. Mógłbym żyć z odsetek, tak jak to robią Stanhope'owie.

Susan usiadła przy toaletce i zaczęła się malować.

- Poszło lepiej, niż myślałam - powiedziała. - Jeszcze raz dziękuję ci, że byłeś... miły.

- Łatwo jest być miłym dla miłych ludzi.

Udało mi się ją rozbawić.

- Pohamuj tylko swój sarkazm - przypomniała mi. - Oni nie są tacy głupi.

- Tak myślisz?

- I nie poruszaj tematu darowizny dla Ethel. Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że to drażliwy temat.

- Dobrze wiesz, że tak. Spróbuj znaleźć sobie mniej okropny sposób zabawy.

- Okay. A co z szybkim numerkiem?

- John, idziemy na czuwanie przy zwłokach. - Spojrzała na zegarek i zapytała: - Jak szybki?

## ROZDZIAŁ 51

William i Charlotte uszkodziliby oddechem alkomat, więc to ja prowadziłem. Karabinek zostawiłem w domu, żeby Stanhope'owie go nie widzieli i żeby mnie nie kusilo.

Susan siedziała obok mnie. Do twarzy jej było w czerni. Poza tym była w tym spokojnym, postkoitalnym i przedpogrzebowym nastroju.

Stanhope'owie, siedzący na tylnym fotelu lexusa, zrzucili z siebie tropikalne ciuchy i zamienili je na czarne ubrania. Poza tym w samochodzie cuchnęło ginem i czułem, że zaczynam być lekko wstawiony.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że William przekazał żonie treść naszej rozmowy i teraz oboje obrabiali swoimi nasączonymi alkoholem mózgami poznane fakty.

Tak więc nasza trójka wiedziała o negocjacjach, podczas gdy Susan Stanhope Sutter nie zdawała sobie nawet sprawy, że może być przedmiotem handlu.

W każdym razie, mimo długiego i wyczerpującego dnia i zapowiadającego się długiego wieczoru, byłem w radosnym nastroju. Najwidoczniej rozkwitałem w obliczu niebezpieczeństwa, w atmosferze konfliktu, słuchając bzdur. Poza tym dopiero co uprawiałem seks. I nie uprawiałem go z byle kim, tylko z córką pani i pana Stanhope, co czyniło go dużo przyjemniejszym. Wiem, że to lekka perwersja, ale jestem jej świadomy i na liście znanych zbrodni zajmuje tak odległe miejsce, że nie warto się nią bliżej zajmować.

Jeżeli mama i tata zachowali czujność, to musieli zauważyć, że dzielę z ich córką sypialnię. A jeżeli na dodatek podsłuchiwali pod drzwiami, to wiedzieli też, dlaczego spóźniliśmy się z Susan o kwadrans.

Nikt w samochodzie nie palił się do rozmowy, toteż żeby ożywić nieco nastroj pasażerów, powiedziałem:

- Pozwólcie, że postawię wam dzisiaj kolację. Jest taka miła włoska restauracja w Locust Valley. Nie byłem tam już chyba dziesięć lat.

- John.

- Tak, kochanie?

- Rodzice mieli dziś ciężki dzień, więc zjemy spokojnie w domu.

- Świetny pomysł. Przepraszam, zapomniałem o tej instrukcji.

- Teraz już wiesz.

William i Charlotte zachowywali się nienaturalnie cicho, więc zerknąłem w lusterko wsteczne i zobaczyłem, że oboje przysnęli i nie usłyszeli mojej hojnej oferty zafundowania im kolacji w naszej ulubionej włoskiej restauracji.

- Jak się ta knajpa nazywała? - zapytałem Susan. - Vaffanculo?

Pochyliła się w moją stronę i wyszeptała:

- Zachowuj się. To jest zbyt ważne, żeby spieprzyć twoim szczeniackim poczuciem humoru.

- Przepraszam.

- Tak dobrze ci szło. Nie potrafisz nad sobą zapanować?

- Staram się, ale czasami nie potrafię się powstrzymać...

- Tu nie chodzi o ciebie. Chodzi o Edwarda i Carolyn. I o nas.

Susan oczywiście nie wiedziała, że mam w tej chwili nad tatusiem pewną przewagę, która zniknie, gdy tylko powiem Williamowi, żeby sobie wsadził swoją ofertę w *culo*. Dlatego właśnie zamierzałem przez kilka dni poznać się nad nim, tyle że musiałem to robić, kiedy w pobliżu nie było Susan.

- John? Rozumiesz?

Uniosłem dwa palce. Susan zrozumiała ten gest jako „pokój”.

- Dziękuję, John.

W poniedziałek wyjaśnię jej, że oznaczał dwa miliony dolarów.

Postaram się być teraz obiektywny. Rozumiem, że William jako ojciec myślał, że stara się jak najlepiej dla córki. Ale odbiło mu na punkcie panowania nad wszystkim i nie miał pojęcia, co może być dla Susan najlepsze. No i oczywiście nienawidził mnie zupełnie bezinteresownie i bez powodu. Cóż... po prostu nie przypadliśmy sobie do gustu. Oto cały William. Zamiast porozmawiać najpierw z Susan, potem ze mną od razu zaproponował mi pieniądze za to, żebym spływał. Dlaczego uważał, że John Whitman Sutter przyjmie te pieniądze? Minęło tyle lat, a on wciąż mnie nie znał.

A skoro już o tym mowa, będę się upierał, żebyśmy zawarli intercyzę, dzięki której wyniosę z tego małżeństwa tyle, ile wniosłem, czyli nic. Ten stary drań powinien być zadowolony, ale największą przyjemność z intercyzy będę miał ja, bo będę miał pewność, że powtórnie poślubiłem Susan z właściwego powodu. Z miłości. No... może jeszcze dla nowej łodzi. Na wypadek, gdybym musiał znowu się wynosić.

W każdym razie czułem się, jakbym osiągnął najwyższe moralne wyżyny - moje serce było czyste, a portfel pusty. Powinienem zatem mieć przynajmniej prawo do

zabawienia się kosztem Stanhope'ów, nim stąd wyjadą.

Spojrzałem na nich jeszcze raz w lusterku wstecznym. Może umarli? Jeśli tak, jechaliśmy do odpowiedniego miejsca.

- John, wiem, że tego nie lubisz - odezwała się do mnie Susan, kiedy zbliżaliśmy się do domu pogrzebowego. - Nikt tego nie lubi, ale...

- To zależy, kto leży w trumnie.

- Postaraj się nie okazywać swojego znudzenia i zachowuj się odpowiednio.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat bardzo wydozrosłem.

- Więc najwyższy czas pokazać to światu.

- Będziesz ze mnie dumna.

Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę.

- Zawsze byłem z ciebie dumna, nawet wtedy, gdy zachowywałeś się jak idiota.

- To bardzo miłe.

- Wyglądasz tak przystojnie w czarnym garniturze - powiedziała, całując mnie w policzek.

Zajechałem na parking przed domem pogrzebowym.

- Dziękuję. Może powinienem podjąć tu pracę.

Zobaczyłem, że Stanhope'om wróciła świadomość, i zastanawiałem się tylko, ile z naszej rozmowy zdolali podsłuchać. Nie byli specjalnie romantyczni, ale mimo zastrzeżeń co do mojej osoby musieli dostrzec, że Susan i ja kochamy się. Cóż, skoro tego nie rozumiecie, to jest mi was bardzo żal. O ileż łatwiejsze stałoby się ich i nasze życie, gdyby po prostu powiedzieli: „Cieszymy się waszym szczęściem i życzymy wam wszystkiego najlepszego”.

Niestety oni, podobnie jak ja, chowali zbyt wiele urazy i żalu - ale w przeciwieństwie do mnie, byli w swoim postępowaniu niegodziwi. I dokąd nas to wszystko doprowadziło? Do domu pogrzebowego.

Dom pogrzebowy Waltona w małym Locust Valley jest podobny do domu pogrzebowego Campbella na Upper East Side na Manhattanie - bardzo dobre ostatnie miejsce zameldowania.

Tu czuwaliśmy dziesięć lat temu przy zwłokach George'a Allarda, potem mojej ciotki Cornelii, mojego ojca i wielu, wielu znajomych, przyjaciół i członków rodziny.

Dom mieści się w ładnym, starym, wiktoriańskim budynku, podobnym nieco do mojej dawnej kancelarii i nawet niezbyt od niej odległym. Przypuszczam, że jeśli zostanę w Nowym Jorku, to też tu skończę. Ten interes zawsze się kręci. Jeśli o mnie



chodzi, bardziej podoba mi się sala B.

Tymczasem Ethel leżała w sali A, dużo mniejszej, przeznaczonej dla tych, którzy prawie wszystkich już przeżyli albo dla niecieszących się zbytnią popularnością. Takich jak Stanhope'owie.

Wpisując się do księgi gości, ledwie słyszałem dźwięki muzyki organowej, więc poprosiłem faceta w czerni, żeby zrobił głośniej i sprawdził wysokie tony. Potem weszliśmy do sali A. pod ścianami stało dużo wieńców i wiązanek, ale ludzi było niewiele. Prawie cały pierwszy rząd zajmowała rodzina Allardów. Podeszliśmy najpierw do trumny i cała nasza czwórka stanęła i patrzyła na Ethel.

Wyglądała spokojnie - to znaczy nie poruszała się. Przedsiębiorcy pogrzebowi zadbali o jej włosy i makijaż. Miała na sobie lawendową sukienkę z białymi koronkami, która wyglądała jak z innej epoki. Dobry wybór, Ethel.

- Wygląda pięknie - szepnęła Susan.

- Tak, wygląda dobrze - zgodziłem się.

Przynajmniej jak na kogoś starego i martwego.

William i Charlotte zauważyli, że Ethel nie postarzała się bardzo przez ostatnie dziesięć lat. Faktycznie, wyglądała lepiej niż Charlotte, która przecież wciąż żyła.

Odmówiłem za Ethel cichą modlitwę, a potem odwróciłem się i podszedłem do Elizabeth, której było bardzo do twarzy w czerni. Ucałowaliśmy się.

- Dziękuję, że przyszedłeś - powiedziała.

- Była wyjątkową kobietą będzie mi jej brakowało.

Obok mnie stanęła Susan. Wymieniły całusy i stosowne formułki.

- Jak się trzymasz? - zapytała Susan.

- Cieszę się, że jest teraz z tatą - odparła Elizabeth.

Hmm, kto wie, gdzie ona teraz jest i z kim.

Następnie z Elizabeth przywitali się Stanhope'owie. Wyczułem dzielący obie strony wyraźny dystans. Stanhope'owie pojawili się tu rzekomo w ramach *noblesse oblige*, ale w rzeczywistości przyjechali odwiedzić córkę i kilkoro starych znajomych w Nowym Jorku, a także, miałem nadzieję, swoje wnuki. Moja obecność w Nowym Jorku to był bonus dla nich.

Prawdę mówiąc, William i Charlotte mieli do Ethel pretensje, głównie o dożywotnią własność tego, co należało kiedyś do nich, a także o powód, dla którego tę dożywotnią własność otrzymała. Do tego należy dodać to, o czym wspomniała Charlotte - że Ethel nie знаła swojego miejsca w szeregu. Tu znowu powracał temat

romansu z Augustusem. Miałem powody przypuszczać, że William cieszył się ze śmierci kochanki swojego ojca.

Elizabeth, ze swej strony, nigdy chyba nie przejmowała się Williamem i Charlotte - zresztą któż by się przejmował? - ale wpojono jej, że ma być dla nich miła. Dlatego teraz też była miła i uprzejmie podziękowała im za przybycie z tak odległych stron jak Hilton Head.

Nie pamiętając zaszłości sprzed lat albo po prostu nie znając prawdziwych uczuć, jakimi darzyli mnie Stanhope'owie, powiedziała:

- Czy to nie wspaniała wiadomość? Susan i John znowu razem.

Nie uwierzycie, ale twarz może jednocześnie zastygnąć i skrzywić się. Ten fenomen ujrzałem na twarzach Williama i Charlotte. Elizabeth w lot pojęła, co się dzieje.

- Pozwólcie państwo, że przedstawię wam moje dzieci. Przedstawiła nam Toma juniora i Betsy. Pamiętaliśmy je jako małe urwisy, teraz to byli dobrze ubrani i dobrze wychowani, dorośli młodzi ludzie. Może należałoby ich poznać z Edwardem i Carolyn. Założylibyśmy dynastię. Ale na razie złożyliśmy im kondolencje z powodu śmierci babci.

Następnie Elizabeth przedstawiła nas pozostałym członkom rodziny siedzącym w pierwszym rzędzie krzeseł. Na samym końcu siedział były mąż Elizabeth, Tom Corbet. Tom z kolei przedstawił nas przystojnemu mężczyźnie o imieniu Laurence, który, jak wyraził się Tom, był jego partnerem.

Cóż mogę powiedzieć? To zawsze dziwnie wygląda, kiedy byli małżonkowie znajdują się w tym samym pomieszczeniu ze swoimi nowymi ukochanymi. I nie ma to specjalnego znaczenia, czy nowy partner jest tej samej, czy przeciwnej płci. Zdałem też sobie sprawę, że gdyby w sobotni wieczór i niedzielny poranek sprawy potoczyły się inaczej, mógłbym teraz siedzieć obok Elizabeth i z chłodną obojętnością graniczącą z wrogością witać Susan, Williama i Charlotte.

W każdym razie, ponieważ Tom przedstawił Laurence'a jako swojego partnera, rzeczą naturalną było, że William zainteresował się, jakim biznesem obaj się zajmują.

- Wall Street - odparł Tom.

- CBS News - powiedział Laurence.

William był wyraźnie zaskoczony.

- Myślałem, że jesteście partnerami.

Elizabeth z wielką satysfakcją wyjaśniła nieporozumienie, co wywołało

powszechny chichot. Nie śmiał się tylko William, który właśnie poznał nowe znaczenie starego słowa. Tymczasem Charlotte, całkiem już trzeźwa, jak zawsze nie wiedziała, kto o czym mówi.

Susan, prawdziwa święta, powiedziała Elizabeth, że zostaniemy tutaj aż do zamknięcia, i zapytała, czy ona lub John mogą coś dla niej zrobić. John jej zawtórował, choć nie miał pojęcia, co mógłby zrobić w domu pogrzebowym. Podlać kwiatki? Podkreślić głośniejszą muzykę? Na szczęście do dwudziestej pierwszej William i Charlotte powinni się już zmęczyć. I to byłoby najlepsze, co mogli dla mnie zrobić.

Elizabeth podziękowała nam za wszystko, co już dla niej zrobiliśmy.

- Kocham was oboje - dodała.

To było urocze. Postanowiłem kontynuować ten festiwal miłości.

- To źle, że dopiero taka smutna uroczystość jak pogrzeb zgromadziła nas wszystkich razem - ciebie, Susan, mnie oraz Williama i Charlotte, za którymi przez wiele lat tęskniłem.

Wydawało mi się, że usłyszałem lekki pisk wydobywający się z gardła Charlotte, za to na pewno słyszałem prychnięcie Williama. Dajcie spokój, ludzie. Wyluzujcie się, niech miłość zwycięży.

Susan zaproponowała, żebyśmy usiedli. Zajęliśmy miejsca w ławce za Elizabeth i jej dziećmi.

Bywają lepsze i gorsze czuwania przy zwłokach. Zależy to głównie, jak już wcześniej wspomniałem, od tego, kto leży w trumnie. Poza tym spotyka się dawno niewidzianych znajomych i obiecuje sobie nawzajem, że następne spotkanie odbędzie się w miłszych okolicznościach. Niestety wszystko wskazywało na to, że ta uroczystość będzie śmiertelnie nudna.

Problem w tym, że nikogo tutaj nie znałem. Może powinienem przejść do sali B i sprawdzić, co tam się dzieje.

Susan знаła parę osób i od czasu do czasu wstawiała, by przywitać się z przybywającymi żałobnikami. Niektórych nawet przyprowadzała, żeby ich przedstawić mnie i swoim rodzicom.

William i Charlotte również znali kilka osób ze starszego pokolenia. W końcu wstali i powędrowali na tył sali, gdzie z dala od trumny, która najwyraźniej wprawiała ich w zły nastrój, zgromadziła się grupka seniorów.

Przypomniałem sobie, że dziesięć lat temu, podczas pogrzebu George'a, zebrała się spora liczba dawnych służących, którzy przyszedli oddać hołd jednemu ze swoich.

Pojawiło się wtedy także nieco miejscowego ziemiaństwa. Tymczasem teraz nie widziałem wśród zgromadzonych przedstawicieli ani jednej, ani drugiej klasy społecznej. To uświadomiło mi, że stary świat, który zaczynał umierać, kiedy się urodziłem, teraz definitywnie już nie żył.

I nagle w drzwiach pojawiła się starsza pani. Siedziała na wózku inwalidzkim popychanym przez ubraną w biały fartuch pielęgniarkę.

- To pani Cotter - powiedziała Susan, spostrzegłszy staruszkę - Pracowała u nas jako gospodyni. Pamiętasz ją?

Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek miał gospodynię, więc domyśliłem się, że chodziło o Stanhope Hall.

- Chyba tak - odpowiedziałem.

Pani Cotter podjechała do trumny i przez dłuższą chwilę trwała tam w zamyśleniu. Potem okręciła się o sto osiemdziesiąt stopni i podjechała do Elizabeth.

Susan wstała, wzięła mnie za rękę i podeszliśmy do siedzących teraz naprzeciwko siebie kobiet Elizabeth trzymała w dłoniach rękę staruszki; obie płakały.

Pani Cotter była zniedołężniała, ale nie brakowało jej sił witalnych i od razu poznała Susan. Susan przyklękła przy jej wózku i zaraz popłynęło jeszcze więcej łez, kiedy trzy kobiety zaczęły wspominać Ethel, George'a i przeszłość.

Oto co zostało ze sławy Stanhope Hall - dawny pan i pani, którym odbijało się teraz martini w kącie sali, ich córka, próbująca odtworzyć choć fragment tamtych wspaniałych czasów, pani Cotter, dowodząca zmniejszającym się ciągle personelem rezydencji, w której zamykano pokój po pokoju, Elizabeth, smarkuła wychowująca się na terenie posesji, i Ethel, w tej szczęśliwej sytuacji, że nie będzie musiała już uczestniczyć w żadnym pogrzebie.

- Pamięta pani mojego męża, Johna Suttera? - zapytała Susan panią Cotter.

Pani Cotter poprawiła sobie na nosie dwuogniskowe okulary.

- Wydawało mi się, że pan odszedł z inną kobietą.

Starsi ludzie mogą mówić i mówią co tylko zechcą nawet jeśli nie mają racji.

- Wróciłem - odpowiedziałem grzecznie.

- Nigdy nie powinien pan wyjeżdżać. Wokół panny Stanhope kręciło się mnóstwo zalotników, i to z najlepszych rodzin.

Wszyscy z trudem powstrzymywaliśmy się od uśmiechu, a tymczasem pani Cotter, szczęśliwa, że ma okazję ująć się za panną Stanhope, ciągnęła dalej:

- To wspaniała młoda dama; mam nadzieję, że pan to docenia.

- Naturalnie.

Pani Cotter wydawała się zadowolona z mojej odpowiedzi.

- Pani Cotter, są tu moi rodzice. Na pewno chcieliby się z panią przywitać - powiedziała Susan.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego.

- Dziękuję - rzekła pani Cotter - ale nie życzę sobie rozmawiać z panem Stanhope'em.

Koniec przedstawienia.

- Możemy już jechać - zwróciła się pani Cotter do pielęgniarki.

Elizabeth wyszła z nimi do holu, a Susan i ja wróciliśmy do swojej ławki.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc po prostu milczałem. Pomyślałem sobie tylko, że William musiał być wyjątkowo trudnym pracodawcą i pewnie nie dał staruszce odpowiedniej odprawy. Byłem zadowolony, że moja zła opinia o Williamie znalazła potwierdzenie w słowach pani Cotter i to w obecności Susan.

- Pamiętam, że były jakieś tarcia pomiędzy tatą a panią Cotter - przerwała milczenie Susan.

- Bardzo ostro mnie podsumowała - powiedziałem, żeby załagodzić sytuację.

- Teraz tego nie pamięta, ale lubiła cię - rzekła Susan z uśmiechem.

- Radziła mi, żebym za ciebie wyszła.

Zamilkliśmy. Dzieliłem swoją uwagę pomiędzy spoglądanie na zegarek i na przybywających żałobników. Spostrzegłem kilka osób, mężczyzn i kobiet, które były niewątpliwie znajomymi Elizabeth, oraz kilka kobiet tak fatalnie ubranych, że musiały być klientkami jej sklepu. Chyba od dzieciństwa byłem przyzwyczajony do patrzenia z góry na nowobogackich, ale przecież oni sami dawali takim ludziom jak ja powody, żeby się z nich nabijać. Sęk w tym, że najczęściej mieli pieniądze, za to żadnego smaku i ostentacyjnie wydawali je bez zachowania jakiegokolwiek powściągliwości. Niestety, to właśnie tacy ludzie zaczęli dominować w tym zakątku naszej planety.

Po upływie pół godziny byłem tak znudzony, że nie zauważyłem, kiedy przyszła moja matka. Dopiero po chwili spostrzegłem, że Harriet stoi w towarzystwie Susan i Elizabeth.

- Nie przywitasz się, John? - zaczęła mnie Harriet.

A to suka.

- Przepraszam, mamó - wytłumaczyłem się, wstając. - Modliłem się.

Zbyła moje słowa uśmiechem i wróciła do rozmowy z Elizabeth i Susan.

Harriet miała na sobie zgrzebną kolorową sukienkę z bawełny, która pewnie była strojem żałobnym jakiegoś pieprzonego plemienia żyjącego w pieprzonej dżungli w jakimś odległym pieprzonym kraju. Harriet miała wielokulturowe zainteresowania.

Dlatego zanim zaczęła tańczyć naokoło trumny i rozrzucać wokół banany, przeprosiłem i uciekłem do poczekalni. Odpoczywał tu Tom i Laurence, więc przysiadłem się do nich.

- Wy tłumaczcie mi jeszcze raz, jak możecie być partnerami i zajmować się zupełnie różnymi interesami - zagailem.

Roześmialiśmy się wszyscy wesolo.

- Myślałem, że moja teściowa, świec Panie nad jej duszą to diabeł wcielony - wyznał Tom - ale tych dwoje pochodzi chyba z samego dna piekiel.

- Och, nie są tacy straszni - odparłem.

- Opieram się tylko na tym, co mówiła Elizabeth, a co usłyszała od Ethel - tłumaczył się Tom. - Przepraszam, jeśli popełniłem błąd.

- Nie należą do moich ulubieńców - przyznałem. - Ale mają kilka zalet. Na przykład są bogaci i starzy.

I znów była okazja do śmiechu.

- Gratuluję ponownego ożenku - powiedział Tom.

Posiedziałem chwilę i pogawędziłem z Tomem i Laurence'em.

Potem do poczekalni wszedł William w towarzystwie jakiegoś starszego mężczyzny. Spozrzegł mnie, ale zignorował. Postanowiłem mimo to zachowywać się wobec mojego przyszłego teścia z szacunkiem, więc wyciągnąłem w górę rękę z dwoma palcami.

William odwrócił się do mnie plecami i usiadł ze swoim znajomym.

- Już jedziecie? - zapytał Tom.

- Nie.

- Myślałem, że pokażesz Williamowi, że ma dwie minuty czasu.

- To był znak pokoju - wytłumaczyłem. - Czasami ograniczam się do pokazania mu jednego palca.

Tom i Laurence uznali, że to zabawne, więc postanowiłem im rzecz całą wyjaśnić.

- Kiedy spotykałem się z Susan, William i ja często kłóciliśmy się o wojnę w Wietnamie. Ja pokazywałem znak pokoju, a on znak zwycięstwa. Oba prezentują się tak samo, prawda? Potem zacząłem pokazywać mu tylko jeden palec, środkowy. Jemu

to się nie spodobało, więc zaczął poruszać palcem wskazującym, ostrzegając mnie, że go wkurzam. Wtedy ja pokazywałem mu mały palec, kpiąc w ten sposób z jego małego penisa.

Tom i Laurence roześmiali się na głos, co zwróciło uwagę pozostałych, w tym Williama oraz wielebnego Jamesa Hunningsa, który patrzył na mnie tak, jakby za chwilę miał pogrozić mi palcem. Pomyślałem sobie, że powinienem stąd zniknąć.

Wróciłem do sali A, usiadłem w tylnej ławce i obserwowałem wchodzących i wychodzących. Zapach kwiatów był przytłaczający, a migające światło kinkietów na ścianach mogło przyprawić o atak serca.

Myślami wróciłem do pogrzebu George'a. Przypomniałem sobie, że pojawił się wtedy Frank Bellarosa, co wywołało zresztą cichy szmer w tłumie żałobników. Przecież nie co dzień w domu pogrzebowym Waltona pojawia się szef mafii. Zastanawiałem się wtedy, czy ludzie zdają sobie sprawę, że stało się tak przeze mnie. No i oczywiście przez Susan.

Frank przyjechał wtedy z Anną, po katolicku ukląkł przed trumną przeżegnał się, pochylił głowę i zaczął się modlić. Przysięgam, że widziałem, jak George przewrócił się w trumnie.

Po złożeniu hołdu zmarłemu Bellarosowie odwrócili się, uścisnęli dłonie wszystkim siedzącym w pierwszym rzędzie, złożyli kondolencje i wyszli.

Nie miałem pojęcia, dlaczego tam się wtedy pojawili. Może Włosi nie przepuszczają takiej okazji jak pogrzeb, niezależnie od tego, jakie stosunki łączyły ich ze zmarłym. Pewnie co rano czytali uważnie rubrykę nekrologów, potem dzwoniли po znajomych, pytając, kto znał Angela Cacciatore czy kogoś innego, a następnie jechali do domu pogrzebowego.

Ale Frank Bellarosa miał inny powód, żeby poświęcić pół godziny swojego zbrodniczego życia na pojawienie się na pogrzebie George'a Allarda i przesłać olbrzymi wieniec; chciał się przypodobać mnie i Susan.

Ale przecież obiecałem Susan, że nie będę myślał o przeszłości, więc zacząłem myśleć o czymś dużo przyjemniejszym; na przykład o tym, że zobaczę znów Edwarda i Carolyn, tym, że jestem znów z Susan i tym, że wanna w łazience dla gości jest bardzo śliska.

Po blisko dwudziestu minutach wstałem i zacząłem oglądać stojące pod ścianami wieńce. Znałem wiele z osób, które je przysłały, jak choćby Jima i Sally Rooseveltów, którzy najwyraźniej nie zamierzali przyjechać do Nowego Jorku na

pogrzeb Ethel, choć znali ją od czterdziestu lat. Do tej kategorii ludzi należała też moja siostra Emily, która nie chciała mieć nic wspólnego z tym światem Złotego Wybrzeża; już dawno temu uznała, że nasza matka jest szalona, a każdy, kto tu żyje, żyje przeszłością.

A skoro już mowa o Harriet, zauważyłem, że donica z pelargoniami stojąca na stojaku jest właśnie od niej. Harriet ma bzika na punkcie ekologii, więc nikt nie dostanie od niej ciętych kwiatów. Dlatego przy każdej okazji wręczała doniczkę z pietruszką naciową albo koperkiem. Owszem, jest stuknięta, ale na szczęście nie do tego stopnia, żeby przynieść na pogrzeb krzak pomidorów.

Przyjrzałem się wielkiemu wieńcowi z kartką: od Johna, Susan, Carolyn, Edwarda, Williama, Charlotte i Petera. Pierwsze cztery imiona nie budziły moich zastrzeżeń, ale nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Willie Sknerus, Charlotte Ptasi Mózdzek i Peter Bezużyteczny nie mogli przesłać własnego wieńca. Na widok swojego imienia w towarzystwie tamtej trójki skręcały mi się bebechy. Jak to zrobić, żeby być dla Williama miłym do końca jego żywota?

Obejrzałem pozostałe wieńce. Miło było widzieć tyle znajomych nazwisk ludzi, którzy się stąd wyprowadzili, a jednak pamiętali o Ethel, kobiecie, która mimo swoich wad była dobrą parafianką, przyjaciółką dla wybranych i ostatnim ogniwem łączącym ich z tamtą epoką wielkich rezydencji, dam i dżentelmenów - ze światem, którego nie cierpiała, ale którego, jak na ironię, była nieodłączną częścią.

Obejrzałem jeszcze kilka wieńców, aż wreszcie zatrzymałem się przed jednym, do którego była dopięta kartka z napisem: „Szczere kondolencje, Anthony, Megan, Anna i rodzina”.



## ROZDZIAŁ 52

Poczekaliśmy do chwili, gdy w sali A została już tylko Ethel. Odprowadziliśmy Elizabeth z dziećmi do samochodu.

- Może przyjdiesz do nas na późną kolację - zaproponowała Susan.

Elizabeth odmówiła, ale ja nie ustępowałem. Potrzebowałem większego towarzystwa, żeby nie musieć rozmawiać ze Stanhope'ami.

Elizabeth wyczuła to, ale powiedziała, że Tom i Laurence zatrzymają się u niej w domu. W tej sytuacji zaprosiliśmy także ich. Elizabeth zadzwoniła do Toma, który z radością przyjął zaproszenie. Uwielbiam spontanicznie organizowane przyjęcia, dlatego zaproponowałem Elizabeth:

- Zaprośmy jeszcze wujka... jak ma na imię twój wujek?

- Nie możemy przeciążać Sophie - zwróciła mi uwagę Susan.

Stanhope'owie nie byli zachwyceni towarzystwem i to właśnie radowało mnie najbardziej.

Ruszyliśmy w drogę i około dziewiętej trzydzieści dotarliśmy do wrót Stanhope Hall.

Mój stary pilot wciąż działał, ale kiedy przejechałem przez bramę, ze stróżówki wyszedł młody człowiek w kretyńskim błękitnym mundurze i uniósł rękę, każąc nam się zatrzymać.

- Do kogo jedziecie? - zapytał, kiedy zatrzymałem samochód.

- Do siebie - odparłem. - A ty kogo tu odwiedzasz?

Przywołałem go do porządku, kazałem wpuścić jeszcze dwa kolejne samochody i ruszyłem ciemną aleją w stronę domu.

- No, pięknie - skomentował William. - Nie można nawet wjechać na teren własnej posiadłości. Na naszym osiedlu, Palmetto Shores, każdy ochroniarz zna wszystkich właścicieli i ich samochody. Prawda, Susan?

- Pan Nasim dopiero zaczyna, tato - odparła Susan.

Ale William rozwodził się dalej nad swoim ogrodzonym rajem. Naprawdę potrzebowałem drinka. Co ciekawe, Susan też była już zmęczona obecnością mamy i taty, a przecież byli tu dopiero od czterech godzin.

Postanowiłem być miły, więc powiedziałem na głos:

- Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy z Susan wybierzemy się do Hilton Head. Palmetto Shores brzmi tak uroczo.

Na tylnym siedzeniu zapadła cisza. Podjechałem pod dom i wszyscy weszliśmy do środka.

Susan zadzwoniła wcześniej do Sophie, która próbowała teraz w kuchni przyrządzić naprędce jedzenie dla dziewięciu osób - dziesięciu, jeśli liczyć wujka o nieznanym imieniu.

Ja zająłem się męskim zajęciem i rozstawiłem na kuchennym blacie butelki, a Susan zaczęła pomagać Sophie. William i Charlotte byli jak zwykle bezużyteczni i usiedli w salonie z piątym martini w ręku.

Przyjechała Elizabeth z Tomem juniorem i Betsy.

- Co się dzieje w stróżówce? - zapytała.

Susan wyjaśniała jej posunięcia pana Nasima, a ja w tym czasie przygotowywałem dla wszystkich drinki.

- To smutne - powiedziała Elizabeth. - Ale mimo to wciąż mam miłe wspomnienia z czasów, kiedy tu mieszkałam.

Potem zapytała mnie, czy mam czerwone tokańskie wino, czym przypomniała mi o naszej pierwszej i ostatniej randce. Kazałem jej dzieciom podnieść prawą rękę i przysiąc, że mają dwadzieścia jeden lat, co wywołało na ich twarzach i na twarzy ich matki uśmiech.

Wpadłem na świetny pomysł. Poszedłem do salonu i zabrałem stamtąd zdjęcie Carolyn i Edwarda.

- Przyjadą tu jutro wieczorem - oznajmiłem. - Może gdzieś wyskoczycie we czwórkę.

- John - usłyszałem głos Susan.

To za każdym razem oznacza coś innego, ale zwykle „zamknij się”.

- To dobry pomysł - broniła mnie Elizabeth.

Pojawili się Tom i Laurence i znowu musiałem tłumaczyć, że mam za sąsiada Irańczyka paranoika. Oni uznali, że to wyjątkowo ekscytująca historia, ale widziałem, że Elizabeth zaczyna coś podejrzewać i kiedy na mnie spojrzała, nieznacznie skinąłem głową.

Wpadłem na kolejny doskonały pomysł.

- Zadzwonimy do Nasim ów i zaprosimy ich - zaproponowałem Susan.

- Nie mam pojęcia, co oni jedzą i piją.

- Powiem im, żeby przynieśli własne zapasy. Pan Nasim będzie zachwycony, jeśli będzie mógł porozmawiać z twoim ojcem o Stanhope Hall.

- Obawiam się, że moi rodzice nie zniosą już żadnego dodatkowego towarzystwa.

A przecież tylko dlatego chciałem zaprosić Nasimów.

- Amir i Soheila mogą się poczuć urażeni, jeśli nie pozwolimy im uczestniczyć w naszych uroczystościach pogrzebowych - naciskałem. - Nie masz nic przeciwko temu? - zapytałem Elizabeth.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Znali mamę od dziesięciu lat i zawsze byli dla niej bardzo mili.

- Świetnie.

- Czy możemy ich zapytać, kto chce ich zabić i dlaczego? - zapytał Laurence przysłuchujący się dotąd pilnie naszej rozmowie.

- Naturalnie - odparłem. - Pan Nasim jest otwartym człowiekiem.

Zrozumiałem, że przesadziłem, ale na szczęście Susan powiedziała twardo:

- Nie. Może innym razem.

Tak więc Stanhope'ów ominęło doświadczenie zderzenia kultur. Może zaproszę Nasimów na kolację razem z moją matką. Wprost ślini się, słysząc o ludziach z krajów Trzeciego Świata, więc powinna być dumna, że mam irańskich przyjaciół.

Około dziesiątej trzydzięci wszyscy byliśmy już lekko wstawieni i siedzieliśmy w jadalni, a przed nami stały półmiski pełne podanych na zimno i gorąco sałatek, które, jak się obawiałem, mogły smakować Williamowi i Charlotte. Uparłem się, żeby oboje usiedli po przeciwnych stronach stołu, a żeby zyskać pewność, że nie będą mieli z kim rozmawiać, posadziłem Susan, Elizabeth i siebie pośrodku. Po obu bokach Williama siedzieli Tom i Laurence, a Tom junior i Betsy tworzyli flanki Charlotte. Naprawdę jestem w tym dobry.

William i Charlotte, zgodnie z moimi przewidywaniami, odeszli wcześniej od stołu. Do północy nie było już nikogo. Susan, Sophie i mnie pozostało posprzątać po gościach.

- Było świetnie - odezwałem się do Susan. - Chyba wszyscy dobrze się bawili.

- Tak, było świetnie - zgodziła się Susan.

- Tylko twoi rodzice byli tacy milczący.

- Byli zmęczeni.

- Chyba skończył się gin.

- Jutro kupię. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Jest jak za starych, dobrych czasów.

- O tak. - Ale wcale tak nie było.

Padliśmy sobie w objęcia i pocałowaliśmy się, co sprawiło, że na twarzy Sophie wykwitł uśmiech.

- Jestem taka szczęśliwa, John. I jednocześnie taka smutna.

- Wiem.

- A ja wiem, że nadrobimy te wszystkie stracone lata.

- Będziemy się codziennie kłaść o dwie godziny później.

- I nie będziemy się na siebie obrażać, wydzwaniać do siebie, nie będziemy do późna pracować i spędzać nocy z dziewczynami...

- Masz na myśli siebie czy mnie?

- Bądź poważny. I raz w tygodniu będzie u nas na obiedzie twoja matka...

- Nie przesadzaj.

- I będziemy chodzić na kolację z Carolyn i raz w miesiącu latać do Los Angeles, żeby odwiedzić Edwarda.

- Zapomniałaś o Hilton Head.

- Zgoda, tam też. Zobaczysz, John, że moi rodzice cię zaakceptują. Nigdy nie pokochają cię tak jak ja, ale zaczną cię szanować, a kiedy zobaczą, jaka jestem szczęśliwa, wszystko się ułoży.

Nie odezwałem się.

- Musisz przyznać, że dziś nie było tak źle, jak się obawiałeś.

- Mieliśmy mały kryzys po ich przyjeździe, może zbyt długo wspominaliśmy Dana i zadano o kilka za dużo wścibskich pytań, wykład o zasłużeniu sobie na wybaczenie też nie był potrzebny, ale... poza tym było miło.

- Zawsze mogło być gorzej. A jutro będzie lepiej - zawyrokowała.

- A najlepiej w poniedziałek.

- Idę na górę - oznajmiła, dając mi całusa.

- Sprawdźę drzwi.

Susan poszła na górę, a ja sprawdziłem drzwi i okna i upewniłem się, czy są zapalone światła na zewnątrz. Potem powiedziałem Sophie „dobranoc”, wyjąłem z szafy w holu karabinek i poszedłem do sypialni na górze.

Susan czytała w łóżku; spojrzała na karabin, ale się nie odezwała. Strzelbę załadowałem już wcześniej grubym śrutem. Teraz tylko wyjąłem ją z garderoby.

- Wolisz spać z panem Berettą czy z panem Winchesterem? - zapytałem, dzierżąc w dłoniach broń.

- Wszystko mi jedno - odpowiedziała, nie przerywając czytania.

Oparłem karabinek o jej nocny stolik, a strzelbę położyłem po swojej stronie łóżka.

- Ochrona zacznie skutecznie działać za jakiś tydzień - rzekłem.

Nie odezwała się, więc zmieniłem temat.

- Przyjrzałaś się wieńcom?

- Tak.

- To dobrze. I co?

- Widziałam go.

- Nie przywiązywałbym do tego zbyt dużej wagi.

Wspomniałem w niedzielę, kiedy u niego byłem, o chorobie Ethel i Anna musiała to zapamiętać. Anthony'ego nie ma w domu. To chyba tylko miły gest ze strony Anny i Megan.

- A może podziękowanie dla ciebie za zniszczenie obrazu.

- Myślę, że Anthony pierwszy go znalazł i zaraz wyrzucił.

Znowu się nie odezwała. Rozebrałem się i włożyłem T-shirt z Yale.

- Będę go oglądała każdej nocy?

- Tam studiowałem.

- Niech ci Bóg wybaczy.

Uznałem, że to żart. Choć bliski był bluźnierstwu.

Położyłem się do łóżka i zacząłem czytać jeden z tabloidów, jakie codziennie rano kupowała Sophie, żeby szlifować swój angielski. Właśnie ten pomysł był moim zdaniem przyczyną jej problemów językowych.

Szukałem konkretnie artykułu na temat Johna Gottiego. Znalazłem krótką wzmiankę, z której dowiedziałem się, że ciało pana Gottiego przewieziono z Missouri i teraz spoczywało w zamkniętej trumnie w domu pogrzebowym Papavero w Maspeth w dzielnicy Queens. Artykuł zdawał się sugerować, że ciało nie było wystawione na widok publiczny, a plany dotyczące pogrzebu nie były zdefiniowane, ponieważ diecezja brooklińska odmówiła odprawienia mszy żałobnej.

Nie było to chyba zgodne z przebaczeniem, o którym mówił Chrystus, ale w końcu to był ich kościół i mogli w nim robić, co chcieli.

Ważniejsze dla mnie było to, że w tej sytuacji Anthony Bellarosa może nie czuć potrzeby pojawienia się publicznie w tym tygodniu. Może powinienem wysłać do diecezji brooklińskiej e-mail i wytłumaczyć, że ja, FBI i nowojorska policja chcemy

zobaczyć na mszy żałobnej wszystkich rodaków Johna Gottiego. Czego się boi kardynał? Naoglądał się Ojca chrzestnego?

Tak więc na razie plany dotyczące śmiertelnych szczątków i nieśmiertelnej duszy pana Gottiego pozostawały w zawieszeniu i pewnie wymagały dalszych negocjacji. Może diecezja oczekuje na duży datek? A może ktoś już go dał, a kardynał liczy na więcej?

Nawiasem mówiąc, Frank Bellarosa nie miał takich problemów. Byłem pewny, że jego dusza ma tyle samo ciemnych plam co dusza Gottiego, ale Frank miał większą zdolność przewidywania. Przeczuwał chyba własną śmierć, choć nie przypuszczał zapewne, że tak będzie wyglądała.

Przypomniałem sobie, jak dzień po przyjęciu w hotelu Plaza Frank i ja w towarzystwie Lenny'ego i Vinniego pojechaliśmy czarnym cadillakiem do Williamsburga, gdzie Frank dorastał. Weszliśmy do kościoła Santa Lucia i wypiliśmy kawę z trzema starszymi księżmi, którzy opowiadali, jak ciężko jest utrzymać kościół. Koniec końców Frank wypisał czek na pięćdziesiąt kawałków, który chyba musiał mieć pokrycie, bo jak kilka miesięcy później przyszło co do czego - tu spojrzałem na Susan - nie było żadnych problemów z odprawieniem mszy żałobnej w Santa Lucia.

Ale czasy się zmieniły i Kościół katolicki miał chyba dosyć odprawiania mszy za dusze najmniej pożądanых owieczek w stadzie.

Pomyślałem o czuwaniu przy zwłokach Ethel w domu pogrzebowym Waltona i zbliżającym się sobotnim pogrzebie poprzedzonym nabożeństwem u Świętego Marka, odprawianym przez wielebnego Hunningsa. Śmierć Ethel Allard nie stała się takim newsem jak śmierć Johna Gottiego czy wcześniej Franka Bellarosy.

To było oczywiste, ale nie w porządku. Kto za życia jest sławny, sławny umiera. Jeżeli istnieje jakaś wyższa instancja, to dopiero u bram niebios zadawane są pytania i tam następuje selekcja.

- Dobranoc - powiedziała Susan, gasząc nocną lampkę.

Czytałem jeszcze przez chwilę gazetę, potem pocałowałem swoją śpiącą piękność, poklepałem czule strzelbę i też zgasilem światło.

## ROZDZIAŁ 53

Czwartkowy poranek był szary i dżdżysty. Miałem nadzieję, że pogoda się poprawi i Stanhope'owie pójdą zagrać w golfa.

Susan, jako gościnną i kochającą córkę, była już na dole. Zauważyłem, że nasz arsenał został gdzieś schowany, żeby nie drażnić wzroku naszych gości lub służby. Faktycznie, chciałem, żeby Sophie nie bała się broni. Pomyślałem, że nauczę ją, jak się z nią obchodzić, i pokażę pięć podstawowych pozycji strzeleckich.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i zszedłem do kuchni, gdzie czekał już na mnie zrobiony przez Susan dzbanek kawy i śniadanie.

Pocałowałem ją na powitanie.

- Czy twoi rodzice poszli pobiegać?

- Jeszcze nie wyszli z sypialni.

- Mam im podać martini do łóżka?

Zignorowała moją uwagę, co mnie specjalnie nie zdziwiło.

- Sprawdziłem pocztę - powiedziałem. - Carolyn przyjedzie pociągiem o szóstej pięć i weźmie ze stacji taksówkę. - Susan z kolei powiedziała mi o planach Edwarda i kilku innych ważnych sprawach. Najbardziej ucieszyło mnie, że tego wieczoru ominie nas wizyta w domu pogrzebowym. Mogłem się założyć, że Ethel chętnie opuściłaby własny pogrzeb, ale niestety, w przeciwieństwie do nas, musiała na nim być.

Nalałem kawy sobie i Susan, która namawiała mnie do połknięcia garści swoich witamin. Grzecznie odmówiłem i zatopiłem zęby w bułce.

Usiedliśmy przy stole i zajęliśmy się lekturą trzech tabletek przyniesionych rano przez Sophie. Dowiedziałem się z nich, że ciało Gottiego wciąż spoczywało w domu pogrzebowym Papavero. Trumna była zamknięta, a odwiedzać go mogła tylko najbliższa rodzina. Wspomniano natomiast o prywatnej mszy żałobnej w kaplicy cmentarnej, gdzie będzie obowiązywał wstęp tylko za zaproszeniem. Terminu nie podano. No tak, to był ruch we właściwym kierunku. Najwidoczniej na diecezję brooklińską spadły gromy ze strony Ligi Przeciwko Zniesławianiu La Cosa Nostra. Ciekaw byłem, czy na nabożeństwo zaproszeni będą Anthony Bellarosa i Salvatore D'Alessio.

Wstałem i podszedłem do wiszącego na ścianie telefonu.

- Do kogo dzwonisz? - zapytała Susan.

- Do Feliksa Mancuso.

- Po co?

- Żeby usłyszeć najnowsze wiadomości. - Wybrałem numer. - Witam, przy telefonie John Sutter.

- Dzień dobry.

- Nie chcę się naprzykrzać, ale czy ma pan jakieś nowe informacje o Anthony?

- Zadzwońbym do pana. Ale miło mi, że pan dzwoni. Odsłuchałem pana wiadomość o przypadkowym spotkaniu z kierowcą Bellarosy, Tonym Rosinim, bo tak się nazywa. Już się nim zajęliśmy.

To właśnie chciałem usłyszeć od Feliksa Mancuso, ale ponieważ nie chciałem, żeby Susan zaczęła coś podejrzewać, zmieniłem temat i powiedziałem mu coś, o czym mógł nie wiedzieć.

- Wczoraj uczestniczyłem w czuwaniu przy zwłokach Ethel Allard, o której panu wspominałem. Jeden z wieńców, naprawdę ładny, miał doczepioną kartkę podpisaną przez Anthony'ego, Megan i Annę.

Pan Mancuso milczał przez chwilę.

- Jest tam wymieniona jego żona i matka - rzekł w końcu - więc nie doszukiwałem się w tym niczego nadzwyczajnego.

Byłem podobnego zdania, więc ucieszyłem się, słysząc z jego ust potwierdzenie. Ale mimo to poprosiłem o szczegółowe wyjaśnienie subtelności tego gestu.

- Cóż, gdyby podpisał się sam Anthony, byłaby to niewątpliwie wiadomość dla pana i pańskiej żony.

- Przecież to nie było czuwanie przy naszych zwłokach.

- Ale takie byłoby przesłanie.

- Czyli?

- Dobrze pan wie. Niech pan sobie tym nie zawraca głowy - poradził mi.

Jak to dobrze było znać Feliksa Mancuso, który tłumaczył mi niuanse postępowania Włochów.

- Dostał pan moją wiadomość o tym, że Amir Nasim zajął się poważnie swoją ochroną? - zapytałem.

- Tak. To dobrze dla wszystkich.

- Oprócz irańskich i włoskich bandziorów.

- To prawda.

- Namawiał pan Nasima do zrobienia tego?



- Sam doszedł do takiego wniosku.
- Rozumiem... ale czy on rzeczywiście jest zagrożony?
- Ma wrogów.

Widziałem, że nie ma sensu dalej go naciskać, i zmieniłem temat

- Przyjechali rodzice Susan, są u nas w domu.
- Mówiliście im państwo o swoich obawach?
- Nie. Powiedzieliśmy, że wszystkie środki bezpieczeństwa podjął Nasim.
- To dobrze. Nie ma sensu ich niepokoić.
- Sugeruje pan, żeby zamieszkali gdzie indziej?
- Tego nie powiedziałem.
- Porozmawiam o tym z panią Sutter.
- Powinien pan dla nas pracować - rzekł wyraźnie ubawiony pan Mancuso.
- Dziękuję. Przemyślę pana propozycję.
- Bardzo miło mi się wczoraj rozmawiało z panią Sutter.
- Wspominała mi o tym.
- Wydaje mi się, że rozumie powagę sytuacji i jest czujna.
- Świetnie. Powiedział jej pan, że chce kupić psa?

Pan Mancuso zachichotał.

- Swojej żonie od dwudziestu lat mówię o psie.
- Ale pana nikt nie próbuje zabić.
- Właśnie, że tak. Taką już mam pracę. Ale pana to nie dotyczy.
- Mam nadzieję.
- Jestem pod wrażeniem pani Sutter.
- Ja też.

- Czy mogę jeszcze coś dla państwa zrobić?

- Owszem. Czytałem w gazecie o Johnie Gottim, diecezji brooklińskiej i tak dalej. Czytał pan to?

- Tak.

- Jaki to może mieć wpływ na pojawienie się Anthony'ego na pogrzebie?

- No cóż, nie ma publicznego czuwania przy zwłokach, ale pogrzeb odbędzie się w sobotę w południe w kaplicy na cmentarzu St. John w Queens - to taka Walhalla mafii. Zobaczymy, kto się tam pojawi.

Gazety nie wspominały o miejscu i dacie pogrzebu, ale agent specjalny Mancuso miał pewnie lepsze źródła informacji niż „New York Post”.

- Tak się składa, że w sobotę będę uczestniczył w pogrzebie pani Allard w Locust Valley, więc obawiam się, że nie złożę hołdu Johnowi Gottiemu.

- Nie sądzę, żeby ktoś pana zaprosił, panie Sutter.

- Myli się pan. Dostałem zaproszenie od Anthony'ego.

- Naprawdę? Ja będę tam nieproszonym gościem, ale jeśli zobaczę kogoś z pana znajomych, przemówię w pańskim zastępstwie.

- Dziękuję. I proszę do mnie zadzwonić.

- Zadzwonię na pewno.

- A skoro już mówimy o zmarłych, Anna Bellarosa wspomniała mi, że razem z trzema synami odwiedza grób Franka w każdy Dzień Ojca.

- Spojrzałem na przysłuchującą się naszej rozmowie Susan. Sięgnęła po gazetę i udawała, że czyta. - Może to jest dobra okazja, żeby znaleźć Anthony'ego.

- Dobra myśl - odparł Mancuso. - Wzmocnimy też obserwację domu Bellarosy i jego matki w Brooklynie.

Dobrze byłoby, pomyślałem, gdyby Anthony postanowił w Dzień Ojca odwiedzić grób Franka - nieważne czy dlatego, że czuł taką potrzebę, czy bał się bury od matki. Potem oczywiście byłby rodzinny obiad. Anthony nie był chyba taki głupi, żeby pojawić się w swoim albo matki domu, ale mógł pójść na cmentarz.

- Cmentarz Santa Lucia - przypomniałem Mancuso.

- Wiem, byłem tam. Pan też był na mszy i pogrzebie Franka Bellarosy.

- Byłem.

- Dlaczego?

- Musimy się kiedyś umówić na piwo.

- Dobry pomysł. Jest pan w kontakcie z miejscową policją?

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem z detektywem Nastasim.

- Miło mi to słyszeć. Nadal zajmuje się pan tą sprawą.

- Dopóki jej nie rozwiążę.

- A jak tam na froncie walki z terroryzmem?

- Dzisiaj doskonale.

- Jest jeszcze wcześniej.

- Jak nic się nie dzieje, to już sukces.

- Rozumiem.

Skończyliśmy rozmowę, obiecując sobie, że się znowu zadzwonimy. Usiadłem i wbiłem wzrok w swoją bułkę.

- Ma ciekawy smak - powiedziałem.

- Zawiera jogurt. Co powiedział? - spytała Susan.

Streściłem jej treść naszej rozmowy, ale nie wspomniałem, że sugerował, by jej rodzice się wyprowadzili. A może to był jednak mój pomysł? Wykorzystam go dopiero wtedy, gdy Stanhope'owie staną się nie do zniesienia. Poza tym nie chciałem nikogo denerwować, a zwłaszcza Edwarda i Carolyn.

- Coś mówił o moich rodzicach? - zapytała Susan.

- Powiedział tylko, że jeśli dowie się czegoś nowego, co wskazywałoby na zwiększenie zagrożenia, to wtedy doradzi nam, żeby twoi rodzice zmienili miejsce pobytu.

- Byłabym niepokieszona, gdybym musiała powiedzieć Edwardowi i Carolyn o naszych problemach i doradzić im, żeby nocowali gdzieś indziej.

- To nie problem. Mancuso mówił, że dzieciom nic nie grozi. Jeśli ktoś będzie musiał wyjechać, to tylko twoi rodzice.

- Nie rozumiem... - Po chwili jednak pojęła. - John, to nie jest zabawne.

- Przepraszam. Ale to mój as w rękawie. Zobacz sama, mniejsze szanse na tarcia, więcej miłości.

- Najpierw się przekonajmy, jak nam pójdzie dzisiaj.

- W porządku. Ale wczoraj to ty zaczęłaś tracić cierpliwość.

- Bo to był bardzo długi, męczący, pełen napięcia dzień.

Nie odezwałem się. I dobrze, bo po chwili usłyszałem, jak schodzą po schodach.

William i Charlotte weszli do kuchni. Susan pocałowała ich na powitanie, mnie wystarczyło zwykłe „dzień dobry”.

Jak pamiętałem, William rano lubił jeść płatki zbożowe na zimno. Susan położyła na kuchennym blacie sześć paczek różnych płatków. William wybrał jakieś kakaowe paskudztwo, którym nie nakarmiłbym nawet świń.

Charlotte nie jada śniadań i nie pije kawy, więc Susan zagotowała tylko wodę, żeby zaparzyć jej ziołową herbatę.

Dochodziła dopiero ósma rano, a ja już byłem wkurzony.

Zdumiewało mnie tylko to, że nie widać było po nich, ile wczoraj wypili ginu i wina. Zadziwiające. Może robili im co roku przeszczep wątroby?

Cała nasza czwórka usiadła przy kuchennym stole i zaczęła rozmawiać.

- Z maili i telefonów Susan nie wywnioskowałem, że tu mieszkasz - zwrócił się do mnie bezceremonialnie William.

- Wprowadziłem się tu dopiero wczoraj. Jak wiesz, po śmierci Ethel pan Nasim zażądał opuszczenia stróżówki, bo chciał w niej zainstalować swoich ochroniarzy. Ponieważ byłem bezdomny, Susan zgodziła się łaskawie udostępnić mi moją dawną sypialnię.

- To także jej sypialnia - zauważył zupełnie słusznie William.

- Śpimy razem - wyjaśniła całkiem niepotrzebnie Susan.

William i tak o tym wiedział. Halo? William? Pewnie chciał to usłyszeć bezpośrednio z ust grzeszników. Z drugiej strony wiedziałem, że ani on, ani Charlotte nie byli tacy zasadniczy, kiedy Susan mieszkała i chodziła na randki w Hilton Head. W końcu Susan jest dorosła, a ja bliski dorosłości i nie musimy się im tłumaczyć z tego, co robimy za zamkniętymi drzwiami. Nie wspominając już o tym, że kiedyś byliśmy małżeństwem i mamy dwoje dzieci. Ale William lubił mieć nad wszystkim kontrolę i nie chodziło mu o przyzwoitość, tylko o Johna Suttera.

Porzuciliśmy ten temat. William wsunął sobie do ust pełną łyżkę kakaowych płatków, a Charlotte siorbała herbatę zrobioną z jakichś himalajskich kłączy.

Zastanawiałem się właśnie, w jaki sposób wymigać się od ich towarzystwa i wstać od stołu, kiedy William nieoczekiwanie zwrócił się do Susan:

- Twoja matka i ja doszliśmy do wniosku, że wystarczy ci towarzystwo Edwarda i Carolyn - no i Johna - więc postanowiliśmy przenocować w The Creek.

Dzięki ci, panie Boże.

Susan zaprotestowała, a ja wtrąciłem:

- Nie chcecie tego jeszcze raz przemyśleć? - Może pojechaliby od razu do domu?

Dyskutowaliśmy jeszcze jakiś czas na ten temat, a kiedy byłem już pewien, że ich decyzja jest nieodwołalna, zapytałem:

- Może zostaniecie choćby na jeszcze jedną noc?

- Hmm...

O Boże, co ja narobiłem...

Na szczęście William upierał się przy swoim.

- Zadzwoń, proszę, do The Creek i sprawdź, czy mają wolny pokój - zwrócił się do Susan.

- Zawsze miło nam się u ciebie spędzało czas, kochanie, i nasza decyzja nie ma nic wspólnego z twoją gościnnością - zaszczebotała Charlotte.

- Rozumiem - odpowiedziałem.

- Mówiłam do Susan - odparła Charlotte.

- Oczywiście.

Susan podeszła do telefonu, zadzwoniła do The Creek i zarezerwowała dla państwa Stanhope pokój, każąc obciążyć swój rachunek. William był szczęśliwy. Ja czułem zawroty głowy.

- Zarezerwuj dla mamy i taty pole golfowe - poradziłem Susan. - I nie zapomnij o kabinie plażowej. Może jeszcze lekcje tenisa.

Susan zignorowała moje uwagi i odłożyła słuchawkę.

- Macie rezerwację do poniedziałku - powiedziała.

Zatem stało się. Stanhope'owie chyba nie chcieli mieszkać ze mną pod jednym dachem i pewnie obawiali się kolejnej spontanicznie zorganizowanej imprezy. Poza tym przeszkadzali im strażnicy przy bramie. Nie wspominając już o ukrywających się w krzakach irańskich terrorystach.

- Może pomóc wam się pakować? - Wykazałem się inicjatywą.

William odparł, że poradzą sobie sami, ale poprosił, żeby później zanieść ich rzeczy do samochodu.

- Jak tylko będziecie gotowi - zapewniłem go.

- Już jesteśmy spakowani - powiedziała Charlotte, wstając.

- W takim razie - podniosłem się z krzesła - idę po wasze rzeczy.

Biegłem pokonując po cztery stopnie schodów.

Nie minęło pół godziny, jak William, Charlotte, John i Susan stali na zewnątrz i mówili sobie *ciao*, ale niestety nie *arrwederci*.

William zapowiedział, że mają tu kilkoro starych znajomych, z którymi zechcą się być może spotkać albo nawet zagrać w golfa i zjeść lunch i dlatego nie będą dziś uczestniczyć w czuwaniu przy trumnie Ethel ani nie zobaczą się wieczorem z Edwardem i Carolyn.

Mieliśmy za to wszyscy spotkać się w piątkowy wieczór w domu pogrzebowym, a potem zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie - cokolwiek by to miało oznaczać. A miałem nadzieję, że oznaczało, iż nie zobaczymy się wcześniej niż w sobotę na pogrzebie. Pozostawał jeszcze Dzień Ojca w niedzielę. Wspomniałem półgłosem Williamowi, że do poniedziałku rano musimy porozmawiać. Mrugnąłem przy tym do niego okiem, ale nie odpowiedział tym samym.

Staliśmy z Susan na podjeździe i machaliśmy im na pożegnanie. Pokazałem Williamowi znak V, ale chyba tego nie zobaczył.

- Jestem trochę zaskoczona, ale ulżyło mi - powiedziała Susan, kiedy wróciliśmy do domu.

- Doskonale wiem jak się teraz czujesz.

- Daj spokój, John. Prawie ich wyrzuciłeś za drzwi.

- Wcale nie.

Poszliśmy do kuchni i sięgnąłem po bułkę.

- Pachnie i smakuje jak gnojówka.

- To otręby. - I dodała: - Bardzo się starałeś, ale oni czuli się w tej sytuacji niezręcznie.

- A jaka była twoja pierwsza myśl?

- Że to ich problem - powiedziała po namyśle.

- No właśnie. I nie miej poczucia winy. Jesteś dobrą córką, a oni są narcystyczni, egoistyczni i lubią tobą manipulować. - Poza tym są dupkami. - I nie zależy im na spotkaniu z wnukami.

Susan usiadła przy stole. Wyglądała na smutną.

- Za to spędzimy miłe chwile w Dzień Ojca. Obiecuję - zapewniłem.

Zmusiła się do uśmiechu.

Zawahałem się, potem wziąłem ją za rękę.

- Jeżeli mój wyjazd mógłby...

- Jeśli jeszcze raz o tym wspomnisz, to faktycznie cię stąd wykopię.

Wstałem i uściskałem ją.

- Umówiłem się z twoim ojcem na poważną rozmowę w niedzielę wieczorem albo w poniedziałek rano.

- Nie mam ochoty, żebyście o mnie dyskutowali, jakbym była rumieniącą się panienką.

- A nie jesteś dziewczicą?

- O czym zamierzacie rozmawiać?

- O umowie. Potrzebna będzie intercyza.

- To nie jest umowa. To małżeństwo.

- Nie dla Stanhope'ów.

- Dobrze, porozmawiaj z nim. Tylko postaraj się to zrobić tak, żeby mnie nie wydziedziczył.

- Zależy ci na tym?

- Nie. Ale zależy mi na przyszłości dzieci.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Potem Susan powiedziała coś, co mnie nie zaskoczyło:

- Boże, wybacz mi, ale ich nienawidzę.

Zbierało jej się na płacz, więc objąłem ją ramionami i powiedziałem:

- Uciekliśmy od przeszłości, a teraz ty musisz uciekać od swoich rodziców.

- Wiem. Tak mi ich żal...

Trudno mi było odczuwać żal wobec kogoś wartego sto milionów dolarów, kto na dodatek był dupkiem, ale postanowiłem być miły.

- Wiem, co czujesz. Mnie jest żal Harriet i było mi żal mojego ojca. Ale... nie będziemy tacy jak oni.

Skinęła głową i wstała.

- Zróbmy dziś coś zabawnego - powiedziała.

Przed chwilą wywalilem Stanhope'ów za drzwi, co może być bardziej zabawnego?

- Co chciałabyś zrobić?

- Zjedzmy lunch na mieście, a potem idźmy do muzeum albo na zakupy.

- Na zakupy?

- Kiedy byłeś ostatni raz na Manhattanie?

- We wrześniu ubiegłego roku.

Spojrzała na mnie i pokiwała głową.

- Nigdy nie byłem na Ground Zero. Czy możemy coś zrobić..?

- To wcale nie będzie zabawne.

- Wiem... Ale ty już tam byłeś. Możemy pójść tam razem?

- Zastanowimy się po drodze.

- Dobrze. - Wzięła mnie za rękę. - Przy tobie czuję się bezpieczna.

- Bardzo się cieszę. Nigdy nie czułem się taki samotny i przygnębiony jak we wrześniu, kiedy wróciłem do Nowego Jorku.

- Carolyn przyjechała wtedy do mnie do Hilton Head i powiedziała: „Chciałabym, żeby tata był tutaj”. A ja jej odpowiedziałam: „Ja też”.

- I jestem.

## ROZDZIAŁ 54

- Jak dziwnie wygląda miasto bez wież... - powiedziała Susan, kiedy jechaliśmy w stronę Manhattanu. - Pojedźmy do Ground Zero.

- Jak sobie życzysz.

Pojechaliśmy na dolny Manhattan i spędziliśmy w ciszy kilka chwil na platformie widokowej nad ruinami. Trudno było sobie wyobrazić rozmiar tej tragedii, a jeszcze trudniej zrozumieć bezsensowną śmierć tylu ludzi. Dzień był szary i dżdżysty, co tylko potęgowało ponury nastrój.

Poszliśmy na spacer ulicami dolnego Manhattanu. Kiedy pracowałem w tej okolicy, była to tętniąca życiem część miasta. Teraz ulice i chodniki wydawały się bardziej puste. To musiało mieć związek z jedenastym września. Może znów zacznę tu pracować, oczywiście w nowej firmie, która doceni moją wątpliwą karierę, morskie przygody i dawne związki z organizacją o charakterze przestępczym. Niestety znalezienie dobrej pracy wcale nie należało do łatwych zadań, a skoro byłem chyba jedyną osobą gotową zatrudnić Johna Suttera, powinienem pracować na własny rachunek. Mój przyszły teść na pewno z radością wesprze finansowo firmę, poza tym mogłaby u mnie pracować Carolyn. Firma nazywałaby się Sutter&Sutter i zajmowała doradztwem podatkowym, ochroną środowiska i prawami kobiet

- O czym myślisz? - zapytała Susan.

Kiedy jej powiedziałem, uśmiechnęła się i zapytała:

- Która z tych dziedzin najbardziej cię interesuje?

Doszliśmy do Chambers Street i weszliśmy do restauracji Ecco, do której kiedyś często zabierałem klientów. Usiedliśmy przy stoliku i rozejrzałem się po sali. Było tłoczno, przeważali ludzie pracujący na Wall Street. Rozpознаwałem ich bez trudu, choć nie zobaczyłem żadnej znajomej twarzy. Klientelę Ecco stanowili też pracujący w pobliskim sądzie adwokaci i wysocy rangą funkcjonariusze policji z Police Plaza i Federal Plaza. Szukałem wzrokiem Mancusa, choć nie podejrzewałem, żeby zechciał przepuścić sześćdziesiąt dolarów na lunch. Inna sprawa, że możemy tu kiedyś przyjść po pracy na piwo.

- Widzisz kogoś znajomego? - zapytała Susan.

- Nie. A minęło zaledwie dziesięć lat

- Dziesięć lat to szmat czasu - zauważyła.

- Masz rację.



Zjedliśmy smaczny lunch, wypiliśmy butelkę dobrego czerwonego wina, żeby się rozgrzać, trzymaliśmy się za ręce i rozmawialiśmy.

Po lunchu poszliśmy do mojej dawnej kancelarii przy Wall Street 23, gdzie pokazałem Susan uszkodzony na przełomie wieków przez bombę mur budynku. Postąpiła miło, nie przypominając mi, że pokazuję go jej już dwudziesty raz.

Zamierzałem wejść do obszernego, bogato zdobionego holu, ale zauważyłem, że tuż przy wejściu znajduje się teraz punkt kontrolny z wykrywaczami metali i tacami, na których należało położyć zawartość kieszeni. Wyglądało to bardzo przygnębiająco, więc wyszliśmy. Nie miałem ochoty wpaść w objęcia moich dawnych partnerów z Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds.

Chciałem wziąć taksówkę i pojechać do centrum na jakieś porządne zakupy, ale Susan zaproponowała, żebyśmy poszli do dzielnicy włoskiej.

Nie zareagowałem.

- Tam też musimy pójść - nalegała.

Zgodziłem się po chwili namysłu.

Powędrowaliśmy w padającej mżawce do Little Italy, aż znaleźliśmy się na Mott Street. Ulica nie zmieniła się specjalnie przez ostatnie dziesięć lat, tak jak nie zmieniła się przez poprzednie sto.

Chwilę później staliśmy przed restauracją Giulia. Tu też od stu lat niewiele się zmieniło - może oprócz szyby w oknie i czerwonych zasłon zniszczonych w czasie zamachu na życie Franka Bellarosy.

Spojrzałem w dół na chodnik, w miejsce gdzie po strzale prosto w głowę upadł Vinnie. Strzelcy, a było ich dwóch, stali oparci o zaparkowaną przy krawężniku limuzynę Franka. Zobaczyłem, jak celują... potem strzelają... dwie kule trafiły Franka, jedna Vinniego.

A potem mężczyzna, który wystrzelił tylko jeden pocisk, popatrzył na mnie.

- Co się stało, John? - zapytała Susan.

Spojrzałem na nią. Siedziała wtedy z Anną przy stole. Zdałem sobie sprawę, że nigdy dotąd nie miałem okazji jej opowiedzieć, co się wydarzyło tu, na zewnątrz.

Po krótkim wahaniu opowiedziałem jej o Franku i Vinniem.

- Strzelec przeniósł wzrok na Franka, który leżał w rozbitym oknie... Vinnie już nie żył, więc facet pomyślał, że trudno mu dobrze wycelować w leżącego Franka... wtedy spojrzał na mnie, jakby nie wiedział, co ze mną począć.

- Boże - szepnęła Susan. - Dlaczego nie uciekałeś?

- Wszystko działo się tak szybko... Nie byłem pewny, dlaczego się waha... Potem pomyślałem sobie, że może nie ma mnie na liście... Ale wciąż na mnie patrzył... Pomyślałem, że jestem świadkiem i chyba nie powinienem mu patrzeć w twarz...

- Chodźmy stąd - powiedziała Susan, chwytając mnie za rękę.

Nie ruszałem się z miejsca, gdzie stałem dziesięć lat temu.

- Nie zamierzałem czekać spokojnie na strzał. Pokazałem mu środkowy palec, a on uśmiechnął się, odwrócił i strzelił Frankowi w nogi.

- Co zrobiłeś? - zapytała z niedowierzaniem Susan.

- Pokazałem mu środkowy palec. O tak... - wyciągnąłem palec.

- To było kretyństwo - skomentowała Susan.

- Być może. Ale żyję.

Pociągnęła mnie za rękę.

- Chodźmy stąd.

- Nie, wejdźmy do środka.

- Nie, John.

- Chodź. Pada deszcz i chcę się napić kawy.

Wahała się jeszcze chwilę, ale w końcu ustąpiła.

- Dobrze.

Weszliśmy do środka.

Restauracja wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem, z trzema wentylatorami pod wysokim sufitem, wyłożoną białą terakotą podłogą obrusami w kratkę i tanimi reprodukcjami przedstawiającymi słoneczną Italię na ścianach. Nie było tu co podziwiać - to miejsce stanowiło relikwiarz kultury włoskich emigrantów z poprzedniego wieku. Pamiętałem, że nawet jedzenie jest tu autentycznie włoskie, a nie włosko-amerykańskie, dlatego trzeba uważać, co się zamawia. Chyba że ktoś lubi danie o nazwie *trippa*, czyli, jak sam się o tym przekonałem, pokrojony w kostkę żołądek wieprzowy, albo *capozellę*, głowę owcy.

Autentyczna była też klientela, głównie mieszkający w pobliżu Włosi, a także nowi emigranci, którzy poszukiwali prawdziwej włoskiej kuchni.

Był jeszcze jeden rodzaj klientów - dżentelmeni w eleganckich garniturach i z sygnetami na małym palcu. Rzadko się uśmiechali. Zapamiętałem ich dobrze, kiedy jadłem tu z Frankiem lunch. Frank był szczęśliwy, bo akurat wyszedł za kaucją z więzienia, ale kiedy przekroczyliśmy próg restauracji, przybrał taką samą ponurą minę.

Pora lunchu już minęła, ale przy stolikach siedzieli starsi mężczyźni zajęci pić kawy, jedzeniem ciastek i rozmową. Na szczęście nie zauważyłem nikogo, kto przypominałby znajomego Anthony'ego albo Sally'ego Da-Da. Kelner w średnim wieku, w fartuchu podszedł do nas.

- *Buon giorno*.

- *Buon giorno* - odparła Susan. Ja powiedziałem:

- Dzień dobry. - I dodałem, żeby nie pomyślał, że to napad: - Poprosimy o stół.

- Tak, tak. Wy usiąść tutaj. Ładny stół przy oknie.

To na tym właśnie stole wylądował Frank, kiedy wpadł przez okno do wnętrza. Nie przeszkadzało mi to specjalnie, ale miałem inny pomysł i wskazałem na stół w głębi, gdzie Bellarosowie i Sutterowie spożywali niegdyś swoją ostatnią wieczerzę.

- Usiądziemy tam - powiedziałem.

- Chcecie tamten stół?

- Siedzieliśmy już kiedyś przy nim - wyjaśniła Susan.

Kelner wzruszył ramionami.

- Okay. On też ładny stół.

Tak więc usiedliśmy przy ładnym stole i zamówiliśmy cappuccino, butelkę wody San Pellegrino i talerz ciastek. Kelnerowi Susan najwyraźniej wpadła w oko.

- Ja przynieść piękne słodkości i dobra czekolada dla pani.

A co ze mną?

- *Grazie* - odparła Susan.

Potem zagadała coś po włosku. Kelner uśmiechnął się i odpowiedział jej. Pewnie poprzednim razem tak samo zaczęły się jej kłopoty. W każdym razie siedzieliśmy zwróci plecami do ściany, zupełnie tak samo jak z Frankiem po wyjściu z budynku sądu.

- Jak miło - odezwała się w końcu Susan.

- Nie jestem taki pewien - odparłem.

Zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w paszczy lwa, choć nie przypuszczałem, żeby pojawił się tu dzisiaj Anthony Bellarosa. Albo, dajmy na to, duch Franka Bellarosy.

Pojawiło się cappuccino, butelka wody i wielki talerz włoskich ciastek oraz czekoladki dla Susan. Dostaliśmy też butelkę sambuki i dwa kieliszki do likieru - to na

koszt firmy.

Siedzieliśmy, popijając kawę i rozmawiając, objadając się bez umiaru ciastkami i sącząc sambukę. To było zdecydowanie mniej stresujące zajęcie niż zakupy i ciekawsze niż odwiedziny w muzeum. Fajna randka.

Około czwartej Susan przypomniała sobie, że dziś przyjeżdżają nasze dzieci i powinniśmy już wracać do domu.

Zapłaciłem rachunek, zostawiając kelnerowi spory napiwek, i taksówką dojechaliśmy do naszego samochodu.

Do tej pory to był niezły dzień. Pozbyłem się Stanhope'ów i ducha Franka Bellarosy. Teraz kolej na Anthony'ego.

## ROZDZIAŁ 55

Postanowiłem zrobić Carolyn niespodziankę. Zatrzymałem taurusa obok postoju taksówek i czekałem do szóstej pięć na przyjazd pociągu.

Karabinek zostawiłem w domu, wychodząc z założenia, że w biały dzień na ruchliwej stacji kolejowej mafia nie zechce do mnie strzelać. A teraz, jak zwykle w takich sytuacjach, byłem na siebie wściekły, że nie mam go ze sobą.

Dokładnie o szóstej pięć na stację wjechał pociąg, z którego wysypał się tłum wracających z pracy ludzi. Przypomniałem sobie, jak sam jeździłem tym pociągiem. Czy te czasy jeszcze wrócą?

Wysiadłem z samochodu i zacząłem obserwować wysiadających pasażerów w poszukiwaniu Carolyn. Wreszcie ją spostrzegłem, szła w kierunku czekających taksówek.

- Hej! Ślicznotko! Podrzucić cię?! - zawołałem.

Była najwidoczniej przyzwyczajona do takich zaczepek, bo nie zatrzymała się, a głowę miała skierowaną wprost przed siebie. W pewnym momencie jednak przystanąła i spojrzała na mnie. Pomachałem jej.

- Tata! - zawołała i podbiegła do mnie.

Padliśmy sobie w ramiona i wycalowaliśmy się.

- Tato, jak dobrze cię widzieć.

- Ciebie też, skarbie. Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek.

Carolyn zwykle puszcza komplementy mimo uszu, ale tym razem się uśmiechnęła.

- To jest... Och, jestem taka szczęśliwa.

- Ja też. - Miała tylko torebkę i niewielką teczkę.

- Gdzie twój bagaż?

- Mam trochę ubrań u mamy.

- Świetnie.

Ciekawe, ile płacili tej pannie w biurze prokuratora. Na pewno nie wydawała wszystkich pieniędzy z funduszu powierniczego na ciuchy.

Wsiadliśmy do samochodu i dopiero wtedy zauważyłem, że jest ubrana na czarno, a jej strój równie dobrze pasował do pracy, na bankiet, na ślub, jak na pogrzeb.

Na dodatek włosy miała też czarne, zupełnie jak moja matka, nim osiwiiała. Nie

miały w ogóle rudego odcienia, istniała więc szansa, że Carolyn nie będzie tak stuknięta jak Susan.

Popatrzyłem na drogie samochody, którymi żony wyjeżdżały po swoich mężów na stację. W niektórych siedziały dzieci - nianie wcześniej dzisiaj kończyły pracę - i patrząc na tych ludzi, od razu było widać, które pary są szczęśliwe, a w których małżonkowie zastanawiali się, dlaczego dziesięć czy dwadzieścia lat temu nie wsiedli do innego pociągu i nie odjechali w siną dal.

Nie miałem wątpliwości, że każda z par ma jakąś swoją historię, ale ta, która przydarzyła się Susan i mnie, biła inne na głowę.

Przejechałem przez miasteczko i skierowałem się w stronę Stanhope Hall.

- Jesteś szczęśliwy, tato? - zapytała mnie Carolyn.

- A który mężczyzna jest szczęśliwy, kiedy się żeni?

Carolyn nie była w odpowiednim nastroju do podobnych żartów i zapytała ponownie:

- Jesteś szczęśliwy?

- W innym wypadku nie byłoby mnie tutaj - odpowiedziałem, patrząc jej w oczy.

- Wiem.

- Twoja matka też jest szczęśliwa.

- To też wiem. Dzwonimy do siebie dwa razy dziennie. No jasne.

Postanowiłem przerzucić piłeczkę na jej boisko.

- Ja się już żenię drugi raz, a ty nie zaliczyłaś dotąd żadnego ślubu.

- Tato...

Rozmawialiśmy jeszcze o jej pracy i tym podobnych sprawach.

Carolyn, jak każdego lata, spędzała w sierpniu tydzień w Londynie. Wtedy byliśmy razem, chyba że mnie akurat wypadł jakiś pogrzeb, ślub albo wyjazd w delegację.

- Domyślam się, że w tym roku nie odwiedzę cię w Londynie.

- Nie - odparłem z uśmiechem. - Ale wybieramy się z twoją mamą do Londynu, i to już wkrótce. Muszę się przecież przeprowadzić. Może pojedziesz z nami? - zaproponowałem, bo wiedziałem, jak Carolyn lubi Londyn.

- Wątpię, czy dostanę urlop, ale dzięki za zaproszenie. A dlaczego nie zostawisz londyńskiego mieszkania?

Myślałem o tym, i nie był to zły pomysł. Nie wiedziałem tylko, czy spodoba się

Susan. W każdym razie miałbym odskoczną, gdyby Stanhope'owie zabrali z powrotem do siebie swoją córkę.

- Niezła myśl - odpowiedziałem swojej córce.
- Jak tam dziadek i babcia? - zapytała, kiedy dojeżdżaliśmy do Stanhope Hall.
- Fantastycznie.
- Dostałam twój e-mail.
- Cieszę się.
- A więc? Jak sobie z nimi radzisz?
- Właściwie nie najgorzej.
- Są zadowoleni z waszej decyzji?
- Mówiłaś, że jesteś w stałym kontakcie z mamą.
- Na ten temat nie rozmawialiśmy.
- Porozmawiamy, jak dotrze tu Edward.

Od jednego ze strażników dostałem wcześniej nowego pilota do bramy i nowe hasło, którego, zgodnie z jego radą nie powinienem ujawniać nieznajomym. Wprost uwielbiam rozmowy z przemyślami głębami. Tak, jestem snobem.

Na dodatek, w sytuacjach takich jak ta, granice pomiędzy strzegącym a strzeżonym zacierają się, a różnica pomiędzy byciem chronionym a więzionym staje się bardzo płynna.

Kiedy teraz brama się otworzyła, ochroniarz wyszedł ze stróżówki-strażnicy i machnął mi ręką. Na szczęście miałem pilota i jechałem tym samym samochodem co pół godziny temu.

- Mama wspominała o tych facetach przy bramie - zauważyła Carolyn.
- To nic takiego.
- Dziadek i babcia są w domu? - zapytała, zmieniając temat.
- Postanowili zamieszkać w The Creek.
- Dlaczego?

Bo są dupkami.

- Uznali, że tam będzie im wygodniej, i nie chcieli sprawiać kłopotu twojej mamie.

Carolyn tego nie skomentowała.

Naprawdę chciałem, żeby Carolyn i Edward czuli sympatię do swoich dziadków. Te dzieciaki ich nie oceniały, powiem więcej, chyba nawet lubiły księcia Drakulę i jego żonę. Ale znaleźliśmy się oto w krytycznym momencie, kiedy wszyscy

mieszkaliśmy niemalże w tym samym domu. Ktoś musiał Edwardowi i Carolyn uświadomić finansowe aspekty rodzinnej sielanki. Powinna to właściwie zrobić Susan. Ja mogłem być podczas tej rozmowy obecny, ale to przecież nie chodziło o moje pieniądze. Poza tym mogłoby mi się wypsnąć zdanie w rodzaju: „Wasi dziadkowie to najzwyczajniejsze świnię”.

- Zobaczymy się z waszymi dziadkami jutro wieczorem w domu pogrzebowym - poinformowałem córkę.

Carolyn zapytała o moją kolejną ulubienicę.

- A jak babcia Harriet?

- Miewa się bardzo dobrze i nie może się doczekać spotkania z wami.

Na szczęście oboje zostaliście uwzględnieni w jej testamencie.

Jedno dobre, co można o Harriet powiedzieć, to to, że uwzględniła w swoim testamencie wnuki. Nie jest specjalnie wylewna, ale utrzymuje z wnukami bliski kontakt, a dla Carolyn pozostaje swojego rodzaju mentorem, gdyż poucza ją jak przerabiać odpady kuchenne na smaczne przekąski dla nielegalnych imigrantów z jakiegoś tam San Picador. Edward to dla niej prawdziwe wyzwanie, ale jeśli nauczy go gasić światło, to wyjdzie to z pożytkiem i dla niego, i dla środowiska naturalnego.

Poza tym w częstych kontaktach z Edwardem i Carolyn widzi szansę na naprawienie błędów, jakie popełniła przy wychowywaniu Johna i Emily. A to też niemało.

- Dobrze jest być w domu? - zapytałem Carolyn, kiedy jechaliśmy wysadzaną drzewami aleją

- Tak - odparła.

Szczerze mówiąc, Carolyn nigdy specjalnie nie obchodziło królestwo niebieskie na ziemi, jego mieszkańcy, kluby, przyjęcia, styl życia, reakcyjna polityka i tym podobne rzeczy. Mimo to posyłaliśmy ją z Susan na bale młodych dam, żeby nie zniszczyć jej kariery.

- A ty cieszysz się, że jesteś w domu? - zapytała.

- Jest dobrze.

Zatrzymałem samochód przed domem i podszedłem do drzwi frontowych.

- Dlaczego zamykacie drzwi na klucz? - zapytała Carolyn.

- Republikanie chodzili po domach i zbierali datki na ich partię.

Choć zwykle Carolyn nie doceniała mojego poczucia humoru, tym razem się roześmiała.



Susan była na górze, ale usłyszała, jak wchodzimy, i zbiegła na parter. Matka i córka uściskały się serdecznie, co sprawiło, że na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Weszliśmy do kuchni, gdzie Sophie przygotowywała owoce, pocięte w paski warzywa i jogurtowe dipy.

Susan przyniosła w pojemniku z lodem szampana. Odkorkowałem butelkę i napełniłem bąbelkami trzy kieliszki. Sam nie przepadam za szampanem, ale Susan i Carolyn coś w nim widzą, więc wzniosłem kieliszek i wygłosiłem toast:

- Za Sutterów.

Pogoda nieco się poprawiła, toteż wyszliśmy na taras i usiedliśmy przy stole.

Susan była na bieżąco z wiadomościami o Carolyn, ale ja zdałem sobie sprawę, że mam kilkumiesięczne zaległości. Wiedziałem tylko, że Cliff poszedł już w odstawkę, a teraz na tapecie jest Stuart, z którym była na randce w restauracji Petrossian. Chłopak też lubił szampana i miałem tylko nadzieję, że go na niego stać.

- Nie uwierzysz tato, co ja codziennie widzę i słyszę.

Wierzyłem. Carolyn obserwowała mroczną stronę amerykańskiego społeczeństwa. Młodej damie, która dorastała w Stanhope Hall, powinno się to przydać. Susan nigdy nie miała okazji poznać tej strony życia, ale Carolyn poznała i może nie popełni błędu, wdając się w romans z szefem mafii.

Na szczęście udało nam się uniknąć rozmowy na temat dziadków. Zaczekamy z tym do przyjazdu Edwarda.

Zadzwoił telefon. To strażnik przy bramie pytał, czy oczekujemy niejakiego Edwarda Suttera, który właśnie przyjechał taksówką.

- To nasz syn - odpowiedziałem.

- Tylko pytam.

Wyszliśmy przed dom, żeby przywitać Edwarda.

Kilka minut później przed dom zajechała żółta taksówka, z której wyskoczył rozpromieniony Edward.

Susan podbiegła do niego i wzięła go w objęcia. Potem przyszła kolej na Carolyn - panie mają pierwszeństwo - a w końcu na mnie.

- Wspaniale, tato - powiedział Edward, biorąc mnie w objęcia.

- Świetnie wyglądasz, kapitanie. Wspaniała opalenizna.

Staliśmy tak przed domem jako rodzina po raz pierwszy od dziesięciu lat. Widziałem, że Susan cieszy się tą chwilą i pewnie zastanawia się teraz, jak sprawiła, że musiało minąć tyle lat, żebyśmy sobie wybaczyli. Zauważyłem, że zaczynają targać nią

emocje, więc objąłem ją ramieniem, pokazując przy tym dzieciom, jakim jestem wspaniałym, wrażliwym facetem.

Sam nie dorastałem w takiej ciepłej atmosferze, Susan zresztą też nie. Za naszej młodości stosunki panujące w rodzinach były dużo chłodniejsze, a w takich środowiskach jak na Złotym Wybrzeżu wręcz lodowate.

Ale świat się zmienił i teraz Susan i ja pewnie przesadzaliśmy z czułością wobec naszych dzieci. Miałem nadzieję, że kiedy Edward i Carolyn założą rodziny i doczekają się dzieci, będą je przytulać i całować, a nie będą romansować i zabijać swoich kochanków.

Zapytałem Edwarda, czy ma jakieś bagaże, ale podobnie jak Carolyn odpowiedział, że ma tu w domu swoją garderobę.

Jak zwykle brakowało mu pieniędzy, żeby zapłacić za taksówkę, więc ja się musiałem tym zająć.

- Niezły pałac - powiedział kierowca, odbierając spory napiwek.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że prawdziwy pałac znajduje się trochę dalej.

Edward przypomniał sobie o zostawionej na tylnym siedzeniu torbie podróźnej i w ostatniej chwili zatrzymał taksówkę, żeby ją odzyskać.

Czy ja też byłem kiedyś taki postrzelony? Nie sądzę. Muszę zapytać Harriet. Na pewno będzie ze mną szczerą. Aż do bólu.

Usiedliśmy na tarasie z tyłu domu. Trzymaliśmy się z Susan za rękę, wznieśliśmy kolejny toast za Sutterów i jedliśmy przyniesione przez Sophie owoce i warzywa. Jak ja sobie dawałem radę bez Sophie przez siedem lat w Londynie?

Muszę wspomnieć, że Edward i Carolyn, wychowani w domu, w którym zawsze była pomoc domowa, podchodzili do tego zjawiska sceptycznie. Z kolei Susan wyrosła w przekonaniu, że każdy, nawet bezdomny, ma przynajmniej pokojówkę, a ta sprząta od czasu do czasu karton, w którym ten bezdomny mieszka pod mostem.

- Jak podróż? - zapytałem Edwarda.

- W porządku. Ale personel lotniska jest straszny. Wzięli mnie na bok na kontrolę.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Edward nie wyglądał na terrorystę, ale przyjrzałem się jego czarnym dżinsom i czarnemu obcisłemu T-shirtowi.

- Gdybyś nosił porządne spodnie, koszulę i sportową marynarkę, najlepiej

niebieski blezer tak jak ja, wszyscy uznaliby, że jesteś godnym szacunku obywatelem, i traktowaliby cię z odpowiednią kurtuazją. Twój strój świadczy o tobie.

- Tato - zaprotestował.

- John - zwróciła mi uwagę Susan.

Carolyn tylko przewróciła oczami. A potem wybuchnęliśmy śmiechem.

- Co to za faceci tam w stróżówce? - zapytał Edward.

- Jak już ci pisała mama w e-mailu, pan Nasim po jedenastym września zaczął się obawiać, że ktoś może zrobić mu krzywdę.

- Kto?

- Przypuszczam, że jego rodacy.

- Naprawdę myślisz, że mogą to zrobić? Tutaj?

- Cóż... czasy się zmieniły. Sprawdziłem miejscowe zarządzenia. Jest tam napisane, że polityczne zabójstwa są dozwolone od poniedziałku do soboty pomiędzy osiemnastą a ósmą rano. W niedzielę w ogóle nie wolno strzelać.

Edward uznał, że to dobry dowcip. Przeszedłem do głównego celu ich wizyty i wraz z Susan opowiedzieliśmy im o wczorajszej uroczystości czuwania przy zwłokach Ethel.

- Dzisiaj idziemy tam tylko na pół godziny - obwieściła Susan - a potem wybierzemy się gdzieś razem na kolację.

Wyglądało na to, że wszystkim ten pomysł się spodobał.

- A może pójdziemy jak za starych dobrych czasów do Seawanhaka? - zaproponowała Susan.

Carolyn wykazała pewien entuzjizm, a Edwardowi było absolutnie wszystko jedno, więc pomysł przeszedł.

Susan musiała porozmawiać o babci i dziadku, więc tak jak to wcześniej ustaliliśmy, nalałem wszystkim szampana i oznajmiłem:

- Muszę wykonać ważny telefon. Wrócę za kwadrans. Wszedłem do środka, zrobiłem sobie wódkę z tonikiem i poszedłem do gabinetu.

Jak już wcześniej wspomniałem, to była rodzinna sprawa Stanhope'ów i decyzję, jak dużo czy też jak mało powiedzieć dzieciom, pozostawiłem Susan.

Jeśli będzie z nimi szczerza, powie, że babcia i dziadek nie ucieszyli się z mojego powrotu i mogą zagrozić Susan odcięciem dopływu gotówki, jeżeli się pobierzemy. Albo jeżeli razem zamieszkamy. Albo jeżeli zbliżę się do Susan na odległość mniejszą niż tysiąc mil. Jeśli będzie z nimi absolutnie szczerza, ostrzeże ich, że ich fundusze

powiernicze również są zagrożone.

Edward i Carolyn nie przywiązywali wielkiej wagi do pieniędzy i jak przypuszczałem, bardziej zaboląoby ich zachowanie dziadków niż utrata milionów.

W końcu jednak wszyscy odczulibyśmy kłopoty finansowe, choć to pewnie by nas do siebie zbliżyło. Moglibyśmy się przeprowadzić do kawalerki Carolyn w Brooklynie i zasiąść przy stole pełnym hamburgerów, obgadując przy tym dziadka i babcię: „A nie mówiłem wam, że to skończone dranie? Dolej mi jeszcze trochę oranżady”.

Sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Była jedna wiadomość od Mancusa: „Wciąż żadnego śladu. Jeśli czegoś się dowiem, zadzwonię na komórkę pani Sutter. Tak czy inaczej zadzwonię w sobotę z cmentarza. Rozmawialiśmy z Tonym Rosinim. On nic nie wie. Sally Da-Da żyje jak dawniej, tylko ma zwiększoną ochronę. W razie czego proszę do mnie dzwonić”.

Miałem nadzieję, że wuj Sal nie dał się skusić na rodzinną zniżkę i nie wynajął firmy Bell Security Service.

Tylko gdzie, do diabła, może w tej chwili znajdować się Anthony? Musiał już się dowiedzieć od kolegów i rodziny, że federalni i policja pytają o niego. Że nie wspomnę o wujku Salu, który był bardzo ciekawy, gdzie jest jego siostrzeniec. I tylko żony Anthony'ego to chyba nie obchodziło.

Otworzyłem skrzynkę pocztową i znalazłem e-mail od Samantha. „Nie zadzwoniłeś i nie napisałeś. Co mam o tym myśleć?”. Cóż, powinnaś sobie pomyśleć, że to zły znak. Albo że nie żyję. Ale na pewno nie przyjdzie ci do głowy, że John się zaręczył i będzie się żenił.

Naprawdę lubiłem Samanthę i chciałem być wobec niej szczerzy, ale problem polegał na tym, że znała ludzi z mojej firmy. Jeśli jej powiem, że nie wracam, wiadomość szybko dotrze do moich szefów, którzy wcześniej zapewnili mnie na piśmie, że praca czeka na mnie do pierwszego września.

Tymczasem oferta pracy dla Cosa Nostry stała się już nieaktualna, choćby dlatego że prezes, który wcześniej chciał mnie zatrudnić, teraz pragnął mojej śmierci. Oferta pana Nasima, który zaproponował mi dziesięcioprocentową prowizję, jeśli namówię Susan do sprzedaży domku gościnnego, też nie miała już racji bytu, skoro miałem się z właścicielką domu ożenić. Występował tu poważny konflikt interesów i jedyne, czego mogłem się spodziewać ze strony pana Nasima, to piętrenie trudności związanych z ochroną.

Jasnym punktem było to, że William chciał mnie kupić. Susan otrzymywała rocznie jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów kieszonkowego - czyli znacznie więcej niż pięć dolców na tydzień, które ja zawsze dostawałem od rodziców. Z drugiej strony koszty utrzymania wzrosły, więc może pięć tysięcy na tydzień dla Susan to odpowiednia kwota. Jeśli William da mi milion w dziesięciu rocznych ratach, to będzie odbierał Susan co roku sto tysięcy z jej kieszonkowego - choćby po to, żeby dać jej nauczkę. Jeśli tego nie zrobi, musiałby wyłożyć całą sumę z własnej kieszeni.

Poza tym nie sądziłem, żeby żył jeszcze przez dziesięć lat, no chyba że przestanie pić martini. A może to właśnie martini trzyma go przy życiu?

W każdym razie dyskusja była bezprzedmiotowa. Nie zamierzałem brać od Williama pieniędzy. Zamierzałem wziąć jego córkę. I nie obchodziło mnie, czy jej obetnie kieszonkowe. Nie chciałem ani jego, ani jej pieniędzy. Tylko co z Edwardem i Carolyn?

No i co z Susan? Czy rzeczywiście jest gotowa stanąć ze mną ramię w ramię, pokazać mamie i tacie środkowy palec i wrzasnąć: *Vaffanculo*?

I czy jej na to pozwolę?

Oto były najpilniejsze w tej chwili pytania, dlatego nie wiedziałem, czy nie będzie mi jednak potrzebny bilet powrotny do Londynu.

Napisałem do Samantha e-maila: „Przepraszam, nie mam wytłumaczenia dla swojego milczenia. Musimy porozmawiać. Zadzwoń w poniedziałek (najpóźniej)”. Nawet się nie podpisałem.

Tak, to był krok w dobrym kierunku. Zresztą nigdy nie byłem pewien, jak zachowa się Samantha. Spotykałem się wcześniej z kobietami, z którymi nie zamierzałem się żenić, albo z takimi, które same mi obwieszczały, że nie chcą wychodzić za mnie za męża. I tak było najlepiej.

Zadzwoił interkom.

- Jesteśmy na tarasie - powiedziała Susan. - Może się do nas przyłączysz?

- Zaraz przyjdę.

Zostawiłem wódkę w gabinecie i wróciłem na taras.

- Chyba dokładnie wyjaśniłam Edwardowi i Carolyn sytuację. Wszyscy zgodziliśmy się, że najważniejsze jest to, byśmy znowu stali się rodziną.

Spojrzałem na Edwarda, na Carolyn i w końcu na Susan. Miałem nadzieję, że rzeczywiście wyjaśniła całą sytuację dokładnie. O mogącej spotkać ją karze na pewno powiedziała. Ale czy zrobiła następny krok i wspomniała o tym, że dziadek może

zechcieć ukarać także ich?

- Jasne - powiedziałem. - Temat zamknięty. Komu szampana?

Susan i Carolyn przytaknęły, a ja i Edward wybraliśmy irlandzkiego szampana, czyli piwo.

Panie zaoferowały się, że przyniosą alkohol, a my z Edwardem zostaliśmy na tarasie.

- Nie wierzę, że dziadek mógłby to zrobić - odezwał się Edward.

- Nie wiemy, co zamierza - odparłem. - Może skończy się na połajankach.

- Przecież powinien się cieszyć, że mama jest szczęśliwa - zauważył całkiem słusznie Edward.

- Może się cieszy. Nie wiemy tego. Nie myślmy o tym. Bądź miły dla dziadka.

- Okay.

Nadal nie wiedziałem, czy Susan powiedziała dzieciom, że mogą do końca życia żyć tylko z tego, co same zarobią. Najbardziej martwiło mnie to, że wszystko zagarnie mój bezużyteczny przyszły szwagier, Peter Stanhope. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, trzeba będzie go zmusić do sypnięcia groszem, grożąc nieustającym pasmem procesów sądowych.

- Mama naprawdę cię kocha - powiedział Edward.

- Dlatego tu jestem, kapitanie. A ja kocham ją.

Obiekt moich westchnień pojawił się z kubelkiem z butelką szampana, a Carolyn niosła na tacy szklanki i piwo.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, a od czasu do czasu spomiędzy chmur wyglądało słońce i oświetlało taras i Sutterów swoim blaskiem.

## ROZDZIAŁ 56

Dotarliśmy do domu pogrzebowego Waltona około siódmej trzydzieści wieczorem i wpisaliśmy się do księgi gości. Na szczęście nie było w niej rubryki „czas przyścia” i „czas wyjścia”.

Druga noc czuwania zwykle jest też ostatnią. Sutterowie podeszli do trumny, oddali honory zmarłej i zmówili cicho modlitwę. Carolyn i Edward nie stykali się w dzieciństwie ze śmiercią i czuli się niewyraźnie w jej obliczu. Carolyn rozpląkała się, a Edward był bardzo przygnębiony. Oboje lubili Ethel, ona zresztą ich też, i w gruncie rzeczy cieszyło mnie, że potrafią wyrazić swój żal.

Poprowadziłem wszystkich do ławki.

Przywitaliśmy się ponownie z Elizabeth i jej rodziną, a ja skorzystałem z okazji i przedstawiłem sobie Carolyn i Edwarda oraz Toma juniora i Betsy. Dzieciaki nie widziały się co najmniej od dziesięciu lat. Różnica wieku pomiędzy dziećmi Elizabeth a moimi wynosiła jakieś sześć, siedem lat, co w tym wieku było znaczące, ale do pokonania, jeśli się polubiły. Niestety pora była chyba nieodpowiednia, bo nie zauważyłem żadnego wybuchu namiętności, co więcej, nie było nawet najmniejszej iskierki.

Zauważyłem Toma Corbeta i Laurence'a. Tom zdobył moje uznanie jako były mąż i ojciec. Ja byłbym lepszym rozwiedzionym ojcem, gdybym nie wyjechał na dziesięć lat z kraju. Zaproponowałem, żebyśmy się przeszli. Obeszliśmy wokół salę A, potem przenieśliśmy się do poczekalni, żeby sprawdzić, czy nie siedzi tam ktoś, z kim należałoby się przywitać. Przychodząc na czuwanie, zyskuje się w oczach sąsiadów, nikt zatem nie chce pozostać niezauważony. Trzeba się zawnocześnie dobrze przygotować, żeby odpowiednio dużo osób widziało, jak stoisz przy trumnie.

Dzisiaj pojawili się inni ludzie niż wczoraj. Susan, Edward i Carolyn rozmawiali z jakimiś swoimi znajomymi, między innymi z Beryl Carlisle, mężatką, która flirtowała ze mną, ilekroć miała po temu okazję, a teraz, podobnie jak ja, była rozwiedziona. Co ja tu robiłem?

Nie, tak nie wolno. Przecież byliśmy z Susan znów razem. Czyż to nie wspaniałe?

Kiedy tu mieszkalem, największą zmorą mojego życia były śluby i pogrzeby - jednych i drugich było za dużo. Że nie wspomnę już o chrzcinach, zaręczynach, urodzinach i uroczystościach przejścia na emeryturę. Skoro obchodziło się uroczyste

wszelkie zmiany w życiu człowieka, to dlaczego nie świętować z okazji rozwodu? Ja jestem za.

Spojrzałem na zegarek. Minęło dopiero dwadzieścia minut, a mnie wydawało się, że o wiele więcej. Wróciłem do holu, gdzie kusząco spoglądał na mnie napis „wyście”.

Susan dla zabicia czasu wędrowała od znajomego do znajomego, a ja czekałem, wpatrując się w jedno z pseudouduchowionych malowideł. To akurat przedstawiało promienie słońca przebijające się przez chmury i rozświetlające las, w którym żyły w pokoju i harmonii jakieś dziwne stwory. Okropność. Ale lepsze to niż drętwe rozmowy z innymi żałobnikami.

- Jesteśmy gotowi - powiedziała Susan, podchodząc do mnie.

Obróciłem się i zauważyłem, że nasze grono się powiększyło.

- Tom i Betsy idą z nami - obwieściła Susan.

To dobry znak. Tylko nie wiedzieć czemu stała tu też moja matka.

- Mnie też Susan zaprosiła - poinformowała mnie.

Skąd ona się tu wzięła?

- Babcia nigdy nie potrzebuje specjalnego zaproszenia - wybrnąłem gładko.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie Edward i Carolyn dobrowolnie zaofiarowali się, że pojedą z Harriet, która od pięćdziesięciu lat usiłowała nauczyć się prowadzić samochód. Tom junior i Betsy, rozgadani i szczęśliwi, że udało im się wyjść wcześniej z domu pogrzebowego, mieli jechać z nami. Miłe dzieciaki. Ciekawe, czy Betsy podobałoby się w Los Angeles. Tom wspomniał wcześniej, że chciałby zamieszkać na Manhattanie. A dlaczego nie w Brooklynie? To dobry pomysł.

Posadzono nas przy okrągłym stoliku w Seawanhaka. Zorganizowałem to tak, żeby dzieci siedziały obok siebie, a Susan pomiędzy mną a Harriet.

Kelnerka przyjęła zamówienie na drinki. Harriet nie piła, bo przyjechała samochodem. Niepotrzebnie, bo na trzeźwo czy po pijaku prowadziła tak samo źle. Zadecydowałem, że u nas kierowcą będzie Susan i w związku z tym zamówiłem dla siebie podwójną szkocką z lodem. Dzieciaki zażyczyły sobie butelkę białego wina.

Wyglądało na to, że dobrze się ze sobą dogadują więc nie wtrącałiśmy się do ich rozmowy. Tylko wspomniałem, jak bardzo lubię Los Angeles. No i chyba coś jeszcze o Brooklynie. Susan kopnęła mnie lekko pod stołem.

Harriet wydawała się zadowolona, ale to raczej na widok Susan niż na mój. Zawsze lubiła Susan, mimo że ta wybrała na męża kogoś tak beznadziejnego jak ja.



W restauracji pojawiło się kolejnych dwóch uciekinierów z sali A domu pogrzebowego. Susan i Harriet zrobiły im miejsce przy stoliku, a ja nie omieszkałem skorzystać z okazji, żeby wyjść ze swoją szklaneczką na werandę i popatrzeć na dopływające do przystani żagłówki.

Mimo stosunkowo dużej liczby mieszkańców to miejsce przypominało amerykańską prowincję. To była zaleta życia na Złotym Wybrzeżu. Ale była też druga strona medalu. Jeśli miało się dużo pieniędzy i wielką posiadłość, można było się odizolować od ludzi, ale nigdy nie pozostawało się anonimowym.

Lubiłem Londyn dlatego, że tam byłem człowiekiem bez przeszłości; kiedy chciałem, byłem sam, kiedy indziej znajdowałem sobie towarzystwo. Tu, czy mi się to podobało, czy nie, było się członkiem społeczności.

Dlatego dobrze rozumiałem młodych ludzi - takich jak ci siedzący z nami przy stole - że wolą mieszkać w Los Angeles, Nowym Jorku czy innym miejscu, gdzie mogą robić, co chcą kiedy chcą i z kim chcą.

Nie wiedziałem jeszcze, czy wrócę do Londynu, czy przeniosę się na Manhattan, czy zostanę tutaj, czy może wyląduję w domu pogrzebowym Waltona. Trudno było uwierzyć, że dwóch idiotów - Anthony Bellarosa i William Stanhope - mogło mieć wpływ na przyszłość moją i Susan.

Harriet odwiozła dzieci Corbetów do domu ich matki, a Sutterowie ruszyli do Stanhope Hall.

- Cieszę się, że mieliście okazję spędzić trochę czasu z babcią Harriet - powiedziałem do Edwarda i Carolyn.

- Ona jest świetna - zauważyła Carolyn.

- Kontaktujcie się z nią regularnie - poradziłem im.

Oprócz kilku tysięcy wydr morskich miała tylko czworo ludzkich spadkobierców, z czego dwojga nie lubiła.

- A jak układają się wam stosunki z Tomem i Betsy? - zapytałem od niechcienia. Zapadło milczenie.

- Wydawało mi się, że było miło - naciskałem.

- Są mili - odparł Edward.

- To wspaniałe dzieciaki - nie dawałem za wygraną.

Znów milczenie.

- John - upomniała mnie Susan.

Nie odezwałem się więcej.

Nim skręciliśmy w Grace Lane, Susan zadzwoniła do Sophie.

- Czy mamy w domu cebulę? - zapytała.

- Ani jednej - odparła Sophie.

- Dobrze. Jutro kupię. Do zobaczenia za kilka minut. - Susan spojrzała na mnie, a ja kiwnąłem głową zadowolony, że nikt nie trzymał w tej chwili Sophie na muszce, bo to właśnie oznaczało „mieć cebulę”.

Nie powiedzieliśmy Sophie o naszych problemach z mafią ani nawet o problemach pana Nasima z terrorystami. Wspomnieliśmy tylko, że wprowadzamy środki bezpieczeństwa na wypadek włamania. Nie wydawała się szczęśliwa, słysząc to, ale szybko pojęła, na czym polega pomysł z tajnym szyfrem: jest cebula, nie ma cebuli. Przerobiliśmy już pomidory, czosnek i ogórki, w końcu stanęło na cebuli.

Kiedy byliśmy już na Grace Lane, zadzwoniłem do stróżówki i obwieściłem nasze rychłe przybycie. Gdy dojechaliśmy do bramy, ta była już otwarta, a strażnik ruchem ręki kazał nam wjechać. Może to jednak jakoś będzie działało.

Usiedliśmy w salonie na piętrze i zaczęliśmy rozmawiać, tak jak to robiliśmy wielokrotnie w przeszłości. Było prawie jak za starych, dobrych czasów. A nawet lepiej - czułem się, jakbyśmy robili to przez ostatnie dziesięć lat.

Zerknąłem na Susan; promieniała szczęściem. Tak... nie doceniamy tego, co mamy, póki tego nie utracimy.

Około północy uściskaliśmy się i powiedzieliśmy sobie „dobranoc”.

- Postarajcie się zejść na śniadanie na dziewiątą - powiedziałem jeszcze do Edwarda i Carolyn.

- Spijcie tak długo, jak chcecie - rzekła Susan.

Kto tu rządzi?

Zaczęliśmy się z Susan szykować do snu, co oznaczało przygotowanie broni.

- Dzisiaj w nocy chcę strzelbę - oznajmiła Susan.

- Przecież miałaś ją zeszłej nocy.

- Nie, miałam karabin.

- Dlaczego zawsze mi to robisz?

Roześmiała się i mocno mnie uściskała.

- John, jestem taka szczęśliwa. I trochę przerażona.

- Naprawdę?

- Ale tylko trochę. I tylko czasami.

- To dobrze. Mancuso zostawił wiadomość. Anthony gdzieś przepadł.

- Świetnie.

Wcale nie świetnie.

- Może się pokazać w sobotę na pogrzebie Gottiego. Mancuso też tam będzie.

- Powinien go aresztować.

Ja wolałbym, żeby zginął z ręki wuja Sala. To rozwiązałoby większość problemów. Ale na razie wuj Sal sam był trochę wystraszony.

- Obiecuję, że wkrótce cała ta historia się skończy - zapewniłem ją. Nie dopytywała się, skąd mam tę pewność, i zmieniła temat.

- Edward i Carolyn wiedzą już, że dziadkowie nie akceptują naszego małżeństwa i mogą mnie wydziedziczyć.

- Okay. A czy zdają sobie sprawę, że to samo może spotkać ich?

- Nie poruszałam tego tematu.

- A powinnaś.

- John, to niemożliwe.

- Oby. Przypomniałaś im, że mają być wyjątkowo uprzejmi wobec babci i dziadka?

- Nie. Kochają swoich dziadków i nie trzeba im tego przypominać.

No tak. A Johnowi Sutterowi trzeba. Nie było sensu spekulować.

Wkrótce się przekonamy.

- Gdzie jest mój T-shirt? - zapytałam, zmieniając temat.

- Poszedł do prania.

- A jak długo będzie się prał?

- Bardzo długo.

Czułem się, jakbym był w niebie. Uwielbiałem spać *au nature*, więc rozebrałem się i położyłem do łóżka.

- Byłeś dziś bardzo miły dla swojej matki - powiedziała Susan, rozbierając się.

- Bo jest uroczą kobietą.

- Ona cię kocha, John.

- No pewnie.

- Jestem gotowa zrobić ci frajdę, żebyś był miły dla moich rodziców, dla twojej matki i żebyś się przyzwoicie zachowywał podczas pogrzebu.

- Jaką frajdę masz na myśli?

- Zastanawiałam się nad seksem oralnym.

- Ja myślałem o tym samym.

## ROZDZIAŁ 57

Carolyn zeszła o dziewiątej na śniadanie. Edward nie.

- W Los Angeles jest szósta rano - przypomniała mi Susan.

- Ale jesteście w Nowym Jorku. A szósta to odpowiednia pora, żeby wstać.

Matka i córka przewróciły oczami i wróciły do swoich muesli i gazet.

Dzień był deszczowy, toteż mieliśmy niewielki wybór. Postanowiliśmy pojechać do miasta i wstąpić do muzeum, a potem oczywiście Susan i Carolyn zamierzały wybrać się na zakupy. Moim zadaniem było zmuszenie Edwarda do kupna garnituru i nowej sportowej marynarki.

W oczekiwaniu na chwilę, kiedy księżę Edward łaskawie podniesie się z łóżka, przejrzałem gazety i znalazłem wzmiankę o Johnie Gottim. Ostatnie doniesienia na temat kłopotliwego ciała pana Gottiego były takie, że spoczywa ono w dalszym ciągu w domu pogrzebowym Papavero i w sobotę rano, czyli nazajutrz, ma zostać przeniesione do kaplicy cmentarza Świętego Jana w Queens. Publiczność była niemile widziana.

Nadal nie miałem żadnej wiadomości od Mancusa na temat miejsca pobytu Anthonyego Bellarosy. Ale z drugiej strony Mancuso obiecał, że zadzwoni z cmentarza i da nam znać, czy mafioso pojawił się w wąskim gronie zaproszonych na pogrzeb gości. Podejrzywałem, że Anthony pojawi się publicznie dopiero na pogrzebie swojego wujka Sala. Albo na swoim. Oby nie na moim albo Susan.

W artykule wspomniano krótko o karierze Gottiego, wymieniono z nazwiska osoby, które osobiście pozbawił życia, a także te, których zamordowanie zlecił. Był wśród nich jego szef Paul Castellano, który zginął przed moją ulubioną restauracją „Spark”. Przyszło mi do głowy, że gdybym dziesięć lat temu zlecił zamordowanie moich partnerów, to nadal miałbym kancelarię przy Wall Street 23, a na drzwiach widniałoby tylko moje nazwisko. Może to zbyt ekstremalne zarządzanie firmą, ale z drugiej strony... Jeśli chodzi o życie osobiste Gottiego, w artykule wspomniano o tragicznej śmierci jego dwunastoletniego syna, Franka, zabitego przed domem Gottich w Howard Beach w Queens. Chłopak zginął zastrzelony przez sąsiada, Johna Favare, kiedy jeździł po ulicy na rowerze. Całe zdarzenie uznano wtedy za nieszczęśliwy wypadek. Wypadek czy nie, cztery miesiące później pan Favara nagle zniknął i nikt nigdy więcej już go nie widział. Pamiętałem tamto zdarzenie sprzed lat Zastanawiałem się wtedy, czy ktoś doradził panu Favarze, że dłużej i lepiej będzie mu

się żyło, jeśli zmieni sąsiedztwo.

Nie należy nigdy krytykować cudzych nietrafnych decyzji. W końcu każdemu może się zdarzyć, że zamieszka w sąsiedztwie jakiegoś szefa mafii, który zamierza go zabić. Rzeczywiście znam taką jedną parę. Może też powinni się wyprowadzić.

Z gazety dowiedziałem się też, że John Gotti, podobnie jak Frank Bellarosa, był wielkim miłośnikiem Niccolo Machiavellego. To dobrze dowiedzieć się, że takie tępe łby starają się doksztalić dzięki czytaniu mistrzów renesansu. Nigdy nie jest za późno, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o ludzkiej naturze, sposobie pozyskiwania nowych przyjaciół i wywieraniu wpływu na zachowania innych, a także metodach rządzenia księstwem albo organizacją przestępczą.

Podobno Gotti uważał siebie za Cezara. Najwidoczniej próbował połączyć w jedno dwa sposoby rządzenia: dyktaturę i przebiegłość. I chyba mu się to do pewnego stopnia udało, podobnie jak Frankowi Bellarosie, który nie dość, że był miłośnikiem Machiavellego, to uwielbiał jeszcze Benito Mussoliniego.

Tacy ludzie - nieważne, czy Włosi, czy nie - kochają władzę i uwielbiają ją sprawować. O tym, kim są świadczy to, na kim się wzorują. Tymczasem Anthony Bellarosa - Mały Cezar - cierpiał na zwykłą manię wielkości i był nieudanym spadkobiercą imperium swojego ojca. To nie był mój problem. Mnie obchodziło to, że był także niebezpiecznym oprychem działającym pod wpływem impulsu. Musiał odziedziczyć po ojcu intuicję, bo przecież nie kierował się rozumem. Frank Bellarosa był dowcipnym i godnym przeciwnikiem; stając w szranki z Anthonyem, czułem się tak, jakbym walczył z dzikim zwierzem - bezrozumnym, ale za to głodnym.

Artykuł wspominał jeszcze o zamięłowaniu Gottiego do garniturów Brioniego za dwa tysiące dolarów.

- Kupię Edwardowi garnitur od Brioniego - powiedziałem do Susan.

- To dobra marka?

- Doskonała. Kosztują dwa tysiące dolarów. Ręczna robota z Włoch.

- Sobie też kup.

- Czemu nie. Może dostanę rabat.

Edward pojawił się około dziesiątej. Pił kawę, a w tym czasie Susan przygotowywała mu jego ulubione śniadanie: jajecznicę na kielbasie i bułki grubo posmarowane masłem.

- Ja też chcę - odezwałem się, bo to był także mój ulubiony zestaw śniadaniowy.

- Ty nie dostaniesz.

Ktoś próbuje nas zabić, więc co za różnica?

Susan postanowiła, że do miasta pojedziemy samochodem z kierowcą, żeby nie czekać w deszczu na taksówki i nie szukać miejsca na parkingu. Samochód zajechał przed dom o jedenastej. Jak to miło mieć pieniądze.

Na Manhattanie zatrzymaliśmy się najpierw w Galerii Fricka przy Piątej Alei. Zapytałem Susan, czy tu pracuje jej przyjaciółka Charlie Frick. Susan nie odpowiedziała, więc do tej pory tego nie wiem. W środku jej nie widziałem.

Przez godzinę i dwadzieścia siedem minut chłoniliśmy sztukę, a potem zjedliśmy wspaniały lunch w La Goulue, jednej z moich ulubionych restauracji na Upper East Side.

Edward w głębi duszy był nowojorczykiem, tu mieszkała większość jego znajomych, a mimo to wybrał karierę na Zachodnim Wybrzeżu. Susan nie potrafiła się z tym pogodzić, ale gdyby majątek Stanhope'ow znajdował się w jej rękach, na pewno znalazłaby sposób, żeby ściągnąć Edwarda z powrotem. I pomyśleć, że wystarczyłoby zainwestować jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów i poprosić Anthony'ego o przyspieszenie przekazania spadku. Wiem, to nieelegancko tak myśleć. Ale to tylko teoretyczne rozważania. Miałem już swoją szansę i jej nie wykorzystałem.

Po lunchu samochód zawiózł mnie i Edwarda do sklepu Brioniego przy Pięćdziesiątej Drugiej, a panie poszły plądrować sklepy na Madison i przy Piątej Alei.

Edward lubi robić zakupy tak samo jak ja, a mimo to udało nam się wybrać dla niego garnitur wraz ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami. Edward wzbraniał się przed kupnem garnituru za dwa tysiące dolarów, ale wmówiłem mu, że matka będzie szczęśliwa, poza tym płaciliśmy jej kartą American Express, więc musiał stracić tylko trochę czasu i powstrzymać wszechogarniające znużenie. Garnitur miał być gotowy za osiem tygodni i wysłany do Los Angeles. W kolejnym wcieleniu chciałbym być synem Susan Stanhope. Właściwie Susan mnie też kazała kupić garnitur, ale moim zdaniem powinniśmy już zacząć oszczędzać.

Uznaliśmy z Edwardem, że na dziś wystarczy zakupów, dlatego Edward zadzwonił po samochód i pojechaliśmy do klubu Yale przy Vanderbilt Avenue.

Rozsiadliśmy się w olbrzymim salonie, poczytaliśmy gazety, porozmawialiśmy trochę i wypiliśmy po kilka szklaneczek soku pomidorowego, do którego ktoś musiał dolać wódki.

O piątej do Edwarda zadzwoniła Susan. Powiedział jej, że pijemy w klubie

popołudniową herbatę. Dobry chłopak. Nieodrodny syn swojego ojca.

Korki w piątkowe deszczowe popołudnie były straszne i do domu zajechaliśmy na siódmą.

Z przerażeniem odkryłem, że bagażnik samochodu jest pełen pudeł i toreb. Wnosiliśmy je we czwórkę do domu i jeszcze musiał nam pomagać kierowca.

- Carolyn i ja kupiliśmy ci krawat - Susan uprzedziła moją sarkastyczną uwagę. Na myśl o tym, co chciałem powiedzieć, poczułem się strasznie.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie wydałyście zbyt dużo.

Pomyślałem, że może powinienem szepnąć na ucho Susan, by gromadziła rzeczy na czarną godzinę, ale przecież właśnie to robiła, skupując ciuchy od Armaniego, Escady, Prady i Gucciego. Dobrze pomyślane. Gdyby dodać do tego jeszcze garnitur od Brioniego, okazałoby się, że wspieramy włoską gospodarkę na potęgę.

Sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Było kilka wiadomości, ale żadnej od Mancusa, który zresztą miał w razie czego dzwonić na komórkę Susan.

Sprawdziłem też pocztę. Był jeden e-mail od Samantha: „Przylatuję do Nowego Jorku jutro po południu. Przyjdź do mnie do Mark o siódmej”.

Dobry hotel, ale to nie miało sensu, więc szybko odpisałem: „Próbuje mnie zabić mafia. Poza tym zaręczyłem się. Niedługo ślub. Trudno w to uwierzyć, ale...”. Musiał być jakiś lepszy sposób, żeby to powiedzieć. Wykasowałem wszystko i zacząłem od nowa: „Droga Samantha, moja była żona i ja pogodziliśmy się i...”.

Do gabinetu weszła Susan.

- Do kogo piszesz?

Wcisnąłem przycisk kasowania.

- Do firmy.

- Po co?

- Rzucam pracę.

- Świetnie. - Przynęła sobie krzesło i usiadła obok mnie. - Pomogę ci.

- Wiesz... - Spojrzałem na zegarek. - To zajmie chwilę, a musimy już jechać do domu pogrzebowego.

- To potrwa tylko kilka minut.

Chyba nadszedł czas, by spalić za sobą mosty, których wcale palić jeszcze nie chciałem. Z pomocą Susan wysmarowałem bardzo uprzejme i miłe pismo do firmy, w którym ogłosiłem swoją trudną decyzję, wyrażając jednocześnie nadzieję, że nie

sprawiam nią zbytniego kłopotu. I tak dalej, i tak dalej. Zapewniłem, że w ciągu najbliższych kilku tygodni pojawię się w Londynie, żeby zabrać swoje rzeczy osobiste, i podpiszę wszystkie niezbędne dokumenty związane z odejściem z pracy.

- Napisz im, że się żenisz - podsunęła mi Susan.

- Po co?

- To im pomoże zrozumieć twoją decyzję.

- To nieistotne.

- Będą ci gratulować.

- Ich to nic nie obchodzi. To Brytyjczycy.

- Bzdura. Napisz im.

Tak więc ogłosiłem swoją dobrą nowinę, która w ciągu nanosekund dotrze do Samantha. W Londynie była druga nad ranem, miałem więc jeszcze trochę czasu, żeby wysłać jej e-mail.

Wcisnąłem klawisz „wyślij” i wiadomość pomknęła do Londynu. Powinno być jakieś jednon минутowe opóźnienie, żeby człowiek miał czas przemyśleć to, co napisał, albo przynajmniej wyrzucić z pokoju swoją żonę czy dziewczynę.

Reasumując, do tej pory starałem się zachować jakieś wyjście awaryjne, a teraz pozostała mi tylko wiara i nadzieja.

Jeśli będę musiał opuścić Susan, to nie dlatego, że tego chcę, tylko po to, żeby zapewnić jej i naszym dzieciom przyszłość.

Ona też może podjąć taką trudną decyzję - z tych samych przyczyn. W naturze matki leży chronienie własnych dzieci i ja to rozumiem.

- Coś się tak zamyślił? - przerwała moje rozważania Susan.

- Myślałem o tobie, o Edwardzie i o Carolyn... O tym, jak dobrze jest być razem.

- Będziemy już razem do końca życia. Ale to był już inny problem.



## ROZDZIAŁ 58

Do domu pogrzebowego Waltona dotarliśmy kwadrans po ósmej. Jak zwykle w ostatni dzień czuwania pojawili się tam wszyscy, którzy odłożyli wizytę na ostatnią chwilę, a także spory kontyngent dewotek z kościoła Świętego Marka.

Zwyczajowo przemaszerowaliśmy obok trumny - Ethel wciąż wyglądała nieźle - potem przywitaliśmy się z osobami z pierwszych rzędów, następnie obeszliliśmy dookoła salę A, zajrzeliśmy do holu i poczekalni. Odczuwałem silne *déjà vu*.

Był tam też William i Charlotte, choć nie miałem okazji z nimi porozmawiać. Prawdę mówiąc, unikaliśmy spotkania. Zobaczyłem swoją matkę i z nią się przywitałem.

Zauważyłem Diane Knight, pielęgniarkę z hospicjum. To miłe, że się pojawiła, ale nigdy wcześniej nie widziałem, żeby personel medyczny przychodził czuwać przy zwłokach byłego pacjenta. Trochę dziwne.

Natknąłem się na księgowego Ethel, Matta Millera. Zamieniłem z nim kilka słów na temat ostatecznego zamknięcia rachunków Ethel. Co prawda nie wypada omawiać interesów w domu pogrzebowym, ale umówić się na spotkanie chyba można.

Była również towarzyszka lunchu Susan, Charlie Frick. Przedstawiłem się i powiedziałem, że poprzedniego dnia zwiedzałem jej muzeum.

- Ładne miejsce. Dużo dzieł sztuki - pochwaliłem. Potem zwróciłem jej uwagę na koszmarne malowidło w holu. - To by świetnie tam pasowało.

Przeprosiła mnie i odeszła. Najpewniej po to, żeby odszukać Susan i porozmawiać z nią na mój temat.

Przypadkiem wpadłem na Judy Remsen, która była dawniej naszą bliską przyjaciółką. Bardzo się ucieszyła na mój widok. Wiedziała już, co planujemy z Susan, i serdecznie nam gratulowała. To właśnie ona przyłapała nas kiedyś in flagranti na tarasie i mogłem się założyć, że ilekroć mnie spotykała, przypominała sobie o tym. Ja, oczywiście, nie wspominałem o tym incydencie.

- Przyjedź do nas na tydzień, poopalamy się wszyscy na tarasie - zaproponowałem.

- Ja... a, tak... świetnie...

- Tylko uprzedź nas, że przyjeżdżasz. - Uśmiechnąłem się.

Ona też szybko przeprosiła i uciekła.

Następnie spotkałem Lestera Remsena, męża Judy, który był nie tylko moim przyjacielem, ale i maklerem giełdowym. Pokłóciłem się z nim po tym, jak zaprosiłem Franka i Annę Bellarosów na kolację do The Creek. Susan także była obecna podczas tej kolacji, ale jej wybaczone. Zawsze jej wybaczano. To ja byłem tym złym. Ale co tam. Mam to w dupie.

Lester zaproponował swoje usługi, gdybym zechciał znów grać na giełdzie.

- Kombinezony i maski gazowe. To się teraz najlepiej sprzedaje - poradziłem mu.

Spotkałem DePauwsów, małżeństwo mieszkające w domu na wzgórzu obok Alhambry. To tam dziesięć lat temu FBI założyło swój posterunek obserwacyjny, z którego fotografowali wszystkich gości Franka - w tym mnie i Susan. Zapytałem DePauwsa, czy nadal pracuje dla FBI.

Odparł, że nie, i oboje szybko się ulotnili.

Beryl Carlisle mnie unikała, a Althlea Gwynn lekceważyła.

Jak miło być znowu wśród swoich.

W holu natknąłem się na wielebnego Jamesa Hurmingsa. Jak już wcześniej wspominałem, to nie był mój ulubiony duchowny. Ale skoro był ulubionym duchownym wszystkich pozostałych, więc może to ze mną było coś nie tak.

Zauważył mnie, podszedł bliżej i zawołał głosem jak z ambony:

- Dobry wieczór!

- Dobry wieczór! - odkrzyknąłem z nadzieją, że go nie parodiuję.

- No i jak się miewasz, John?

- Świetnie. - Tak się czułem jeszcze pięć sekund temu. - A jak tam wielebny?

- A, dobrze. Dziękuję za troskę.

- A pani Hunnings?

- Dziękuję. Powiem jej, że o nią pytałeś.

Zawsze się zastanawiałem, dlaczego jego żona nie miała żadnego romansu. Była całkiem atrakcyjna i miała w oczach takie... iskielki.

- Masz chwilę? - zapytał wielebny.

- No... cóż...

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności.

Z jednej strony zżerała mnie ciekawość, z drugiej chętnie już bym się czegoś napił. Trudna decyzja.

- Bardzo proszę.

Zaprowadził mnie schodami na górę do drzwi, na których wisiał krzyż. To musiał być pokój zarezerwowany dla księży.

W środku stało biurko i kilka krzeseł zgrupowanych wokół stołu.

Usiedliśmy.

- Przede wszystkim chciałbym powitać cię w domu - zaczął.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że powrócisz do rodziny Świętego Marka.

Chyba miał na myśli kongregację. Trudno było zrozumieć tę jego nowomowę. W każdym razie miałem okazję obwieścić mu, że zostałem buddystą. Nie skorzystałem z niej.

- Oczywiście - odparłem.

- Słyszałem też, że pogodziliście się z Susan.

- Dobre wieści szybko się rozchodzą.

- To prawda. Domyślam się, że zamierzacie z Susan wziąć ślub u Świętego Marka.

- Tak byłoby najlepiej.

Ciekawe, czy dostaniemy rozgrzeszenie?

- Zapewne zatem myśleliście o naukach przedmałżeńskich.

Takich nauk udzielił nam już William.

- Przecież już raz byliśmy małżeństwem.

- Wiem, John, ale jeśli mogę być szczery, okoliczności, które sprawiły, że się rozwiedliście, powinny zostać omówione w kontekście nauki duszpasterskiej. Chętnie się tego podejmę.

- Wie ojciec, tak dawno temu się rozwiodłem, że już nie bardzo pamiętam powody.

Chyba mi nie uwierzył.

- Porozmawiaj o tym z Susan i dajcie mi odpowiedź.

- Oczywiście.

- Pamiętaj, musisz budować na solidnych fundamentach, żeby twój dom ponownie nie legł w gruzach - pouczył mnie górnołotnie.

- Dobre porównanie. - Odniosłem przykre wrażenie, że wielebny ma ochotę poznać pikantne szczegóły romansu Susan. Za takie podejrzania wymierzyłem sobie w duchu policzek i odparłem: - Doceniam ojca zaangażowanie.

- Wykonuję tylko swoje obowiązki, John.

- Oczywiście. Tak... no, tak... - Spojrzałem na zegarek.
- A skoro mowa o domu, to jak rozumiem, mieszkacie z Susan razem. Kto mu o tym doniósł? Już wiedziałem, dokąd zmierza ta rozmowa.
- Śpię w pokoju gościnnym - zapewniłem go.
- Czyżby?
- Oczywiście.

Ciekawe, kto by w to uwierzył. Pewnie zaraz powie, że dowiedział się tego od jednego z grzeszników. Już sobie wyobrażałem, jak wspomina o tym przy obiedzie swojej żonie. Jak ona ma na imię? Sarah? Naprawdę atrakcyjna kobieta.

- John? Powiedziałem, że Bogu się to nie spodoba, jeśli będziecie dzielić łóżce. Poczuję się nagle, jakbym miał osiemnaście lat. To było nawet zabawne.
- Rozumiem.
- To dobrze. Domyślam się, jak cieszą się Edward i Carolyn.
- Są zachwyceni.
- Twoja matka prosiła, żebym z tobą porozmawiał.
- O czym?
- Wspomniała, że bardzo się od siebie oddaliliście. Było jej bardzo przykro, że nie przyjechałeś na pogrzeb ojca.
- Mnie też było przykro, kiedy się dowiedziałem, że nie żyje. Byłem wtedy na morzu.
- Tak, wiem. - Zmienił temat. - Jeśli wolno spytać, jak państwo Stanhope'owie przyjęli tę wiadomość?

Pytanie zabrzmiało tak, jakby już znał odpowiedź.

- Przyjechali na pogrzeb, więc może wielebny ich spyta, jeśli jeszcze tego nie zrobił.
- Widziałem ich tutaj dziś wieczorem. Ale rozmawialiśmy tylko chwilę. Czyżby?
- Mieszkają w The Creek, jeśli chce ich ojciec odwiedzić.
- Zawsze byli aktywnymi i szczodrymi parafianami Świętego Marka, bardzo ich szanuję i wiem, że Susan ich kocha. Dlatego byłbym niepokieszony, gdyby nie dali wam swojego błogosławieństwa.

Wziąłem głęboki wdech.

- Nie dbam o ich błogosławieństwo. Ani o ich pieniądze. Mojej matki też nie powinno to obchodzić. A jeśli William i Charlotte wciąż jeszcze dają datki na Świętego

Marka, to możemy z Susan wziąć ślub gdzie indziej.

Uniósł rękę. Co to miało oznaczać? Pokój? Zamknij się?

- Martwię się tylko, John, czy twoje małżeństwo z Susan spełni wasze oczekiwania i czy przystąpisz do sakramentu małżeństwa w pełni świadom swoich obowiązków.

Chodziło chyba o coś jeszcze, ale nie wiedziałem o co. Gdybym miał zgadywać, uznałbym, że William już rozmawiał z ojcem Hunningsem i powiedział mu, że Stanhope'owie ostro się sprzeciwiają temu małżeństwu, a skoro tak, to czy wielebny byłby tak uprzejmy i porozmawiał z Johnem i Susan podczas nauk przedmażeńskich. Oczywiście z każdym z osobna. Dziel i rządź. William bez wątpienia powiedział Hunningsowi, że John Sutter jest łowcą posagów. Mógł nawet wspomnieć, że John zażądał od niego za zerwanie zaręczyn łapówki. Przy okazji William wręczył mu pewnie hojny datek.

Oczywiście nigdy tego Williemu Cwaniaczkowi nie udowodnię, ale wątpię, żeby wielebny sam wymyślił całą tę intrygę. Przyjął wszystko na wiarę, a teraz może jeszcze zapyta mnie, czy nagabywałem Williama o pieniądze. Kto wie, czy nie zasiał już ziarna niepewności w głowie Susan.

William był bezwzględny, makiawelicznym kutasem, ale tego nie mogłem powiedzieć ojcu Hunningsowi.

- Susan i ja postanowiliśmy ponownie wziąć ślub i nikomu nic do tego - odparłem.

- Oczywiście - zgodził się ze mną. Ale zaraz dodał: - Chodzi o to, że podjęliście decyzję tak szybko po długiej rozłące. Ile czasu jesteście teraz razem? Tydzień?

- Od niedzieli - poinformowałem go. - Od południa.

- Nie będziecie się chyba spieszyć. Dajcie sobie trochę czasu, żeby poznać się na nowo.

- Dobra rada. - Wstałem. - Susan i dzieci pewnie zastanawiają się, gdzie zniknąłem.

Hunnings również wstał, ale to nie był koniec.

- Odwiedzałem często panią Allard w hospicjum - powiedział. - To była kobieta wielkiego serca i wielkiej wiary.

- To prawda.

- No właśnie. Wspominała, że ty także odwiedzałeś ją w Fair Haven.

- Szkoda, że się nie spotkaliśmy.

- Zwierzyła mi się, jako swojemu przewodnikowi duchowemu, że napisała do ciebie list.

Spojrzałem na niego, ale się nie odezwałem.

- Powiedziała mi w ogólnych zarysach, czego list dotyczy, i zapytała o radę, czy powinna ci go dać.

Nadal milczałem.

- Jak sądzę, Elizabeth dała ci ten list po śmierci Ethel, prawda?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Jak sobie życzysz. - Wymownie zerknął na zegarek. - Och, pora na nabożeństwo.

Podeszliśmy razem do drzwi.

- Mam nadzieję, że pomodlisz się z nami.

- Niestety, muszę już jechać.

Zeszliśmy po schodach. Skorzystałem ze sposobności, żeby mu powiedzieć:

- Jak ojciec wie, jestem adwokatem pani Allard i choć testament nie został jeszcze urzędowo potwierdzony, to mogę zdradzić, że pani Allard dokonała hojnego zapisu dla parafii Świętego Marka.

Dotarliśmy do podnóża schodów, gdzie pastor Hunnings z należytym brakiem zainteresowania rzekł:

- To bardzo wielkoduszne z jej strony.

Jak on to ujął?

- Zapisy powinny zostać rozdzielone w ciągu ośmiu tygodni. Jeżeli chce być ojciec świadkiem odczytania testamentu, poinformuję wcześniej o czasie i miejscu.

Albo po prostu włożę do koperty czek na pięćset dolarów, pomniejszony o koszt przesyłki.

Wielebny Hunnings próbował sobie wyobrazić, ile Ethel Allard mogła mieć pieniędzy i ile z nich przeznaczyła na datek dla kościoła. Nie będzie przecież długo męczył rodziny zmarłej modlitwami, jeśli znaczna część spadku miałaby przypaść jemu.

- Nie muszę być przy odczytaniu testamentu - odrzekł w końcu.

- Jeżeli ojciec zmieni zdanie, proszę dać znać. Lubi ojciec koty?

- Właściwie... niespecjalnie. A dlaczego?

- No, cóż... pani Allard... ale o tym porozmawiamy przy następnej okazji.

Życzyliśmy sobie miłego wieczoru.

W holu odnalazłem Susan. Powiedziała mi, że jej rodzice wybrali się na kolację z przyjaciółmi. Poczuję się zaskoczony... nie dlatego, że nie chcieli pójść na kolację z Sutterami, tylko dlatego, że mieli jakichś przyjaciół.

- Jestem zaskoczony i nieco rozzłoszczony faktem, że woleli kolację w gronie przyjaciół niż spotkanie z wnukami - wyraziłem swoją opinię.

- Rozmawiali wcześniej z Edwardem i Carolyn - odparła Susan.

- I było miło?

- Chyba tak.

Nie zabrzmiało to szczerze.

- Twoi rodzice unikają mnie i stroją fochy. Dobrze wiedzą, że Edward i Carolyn są szczęśliwi, widząc nas razem. Wniosek: nie są zadowoleni z ich postępowania.

- John. Wysuwasz zbyt daleko idące wnioski.

- Okay. Co teraz robimy?

- Zostaniemy na nabożeństwie?

- A może pomodlimy się w skrytości ducha w najbliższym barze?

- Chodźmy do McGlade'a - powiedziała z uśmiechem. - Dawno nas tam nie było.

Faktycznie, jakieś dziesięć lat.

Zebraliśmy dzieci, a Susan przekazała mnóstwu ludzi informację, dokąd się wybieramy. Obyczaje pogrzebowe ulegają w Ameryce zmianom, ale tutaj wciąż wiele osób po ostatnim pożegnaniu ma ochotę oprzeć się o bar, szczególnie jeśli pożegnanie przypadło na piątkowy wieczór. W końcu gdzie lepiej można ukoić żal?

Tak więc Sutterowie odbyli dwuminutową podróż do pubu McGlade w Station Plaza, gdzie zastali zupełnie typowy, piątkowy tłum ludzi. Przedstawiliśmy się hostessie i podeszliśmy do baru.

Porozmawialiśmy z Susan z kilkoma gośćmi, których część przywędrowała tu z domu pogrzebowego Waltona, zarówno z sali A, jak i z sali B. Zachowałem się uprzejmie chyba wobec wszystkich.

Edward i Carolyn spostrzegli grupę ludzi w swoim wieku i wszyscy zebrali się przy drugim końcu korytarza.

Z szafy grającej płynęły dźwięki muzyki z lat sześćdziesiątych, knajpa pełna była ludzi dojeżdżających stąd do pracy w mieście, miastowych i przeróżnych innych osobników różnych klas społecznych. Krótko mówiąc, pub był bardzo w porządku. Jeśli dobrze pamiętałem, w menu napisano: „Dla debiutantów i ludzi z wyżyn”. Susan

uważała, że ci z wyżyn to my.

Ja zostałem wyznaczony do roli kierowcy, więc piłem tylko lekkie piwo, podczas gdy Susan przeistoczyła się z lady Stanhope w Suzie i szybko obaliła kilka wódek z tonikiem. Była tutaj powszechnie znana i gdybym się teraz nie pojawił, bez wątpienia nie byłaby długo wdową.

Już po trzech kwadransach hostessa znalazła dla nas stolik. Postanowiliśmy zostawić Edwarda i Carolyn z przyjaciółmi przy barze i usiedliśmy tylko we dwoje. W menu nie było żadnego zdrowego pożywienia, toteż miałem okazję zjeść porządną, prawdziwie amerykańską kolację. Czy może być coś lepszego niż skrzydełka kurczaka smażone w głębokim tłuszczu?

Było jak za starych, dobrych czasów. Gdyby nie to, że o dziesiątej Susan kazała nam wracać do domu, bo Sophie kładła się już spać. A Sophie uważała, że o tej porze nie ma już pod domem żadnych mafiosów. Żadnej cebuli.

Tuż przed północą udało nam się przekonać dzieci, że powinny pójść z nami. Nim dotarliśmy do bram Stanhope Hall, Susan zadzwoniła do stróżówki, dzięki czemu czekała na nas otwarta brama i strażnik, który tylko nam pomachał. Mimo to zatrzymałem się, wysiadłem z samochodu i przekrzykując hałas czyniony przez dzieci, wytłumaczyłem mu, na czym polega mój problem z sąsiadem mafioso. Chyba miał już o tym jakieś pojęcie.

- Za dziesięć minut zadzwonię do pana z domu - uprzedziłem go. - Jeśli tego nie zrobię, proszę wezwać policję i przyjść do domku gościnnego. Z naładowaną bronią.

Nie byłem pewien, jak zareaguje na moje słowa, ale jego odpowiedź była satysfakcjonująca.

- Proszę poczekać. Obudzę swojego zmiennika i pójdę z panem.

Nie chciałem robić wielkiego rabanu w obecności dzieci.

- Nie trzeba. Proszę tylko czekać na mój telefon.

- Jestem byłym gliniarzem z hrabstwa Nassau - poinformował mnie, przedstawiając się: - Dave Corroon. - Machnął nawet jakimś dokumentem, na wypadek gdybym podejrzewał, że jest zwykłym ochroniarzem. - Radziłbym zaczekać tu na mnie, jeśli podejrzewa pan, że w pańskim domu może czaić się jakieś niebezpieczeństwo.

Wytłumaczyłem mu, że nie chciałbym niepokoić dzieci. Umówiliśmy się, jak będzie brzmiało hasło i odzew. Jest cebula, nie ma cebuli.



Uznał, że to rozsądne.

Wróciłem do lexusa. Nikt nawet nie zapytał, o czym rozmawiałem z ochroniarzem. Pojechałem w stronę domu.

Susan próbowała dodzwonić się na komórkę Sophie, potem na numer stacjonarny, ale nikt nie odpowiadał. Doszedłem do wniosku, że dziewczyna twardo zasnęła.

- Potrzebuję trochę świeżego powietrza - powiedziałem, kiedy wysiedliśmy z samochodu. - Usiądźmy na chwilę na tarasie i porozmawiajmy o jutrzejszym dniu.

Susan uznała to za świetny pomysł, a jeśli nawet Edward i Carolyn byli przeciwnego zdania, to nie dali tego po sobie poznać.

Susan poprowadziła ich ścieżką prowadzącą z boku budynku i powiedziała:

- Zaraz wracam.

Otworzyłem drzwi frontowe i wyjąłem z szafy w holu pozostawiony tam wcześniej karabinek. Szybko skontrolowałem pierwsze, a potem drugie piętro. Z naszej sypialni zadzwoniłem do stróżówki.

- Wszystko w porządku? Jest cebula? - zapytał Corroon.

- Nie ma.

- Świetnie. Proszę dzwonić, jeśli natknie się pan na jakąś cebulę.

- Dzięki. - Rozłączyłem się i zszedłem na parter.

Schowałem karabinek w schowku na miody i wyszedłem na taras.

Susan i Carolyn siedziały przy stole i rozmawiały, a Edward drzemał w fotelu.

Postanowiliśmy go nie budzić i zajęliśmy się jutrzejszym dniem. Wyjazd z domu nie później niż o dziewiątej trzydzieści, bo o dziesiątej zaczynało się nabożeństwo żałobne w kościele Świętego Marka. Potem na cmentarz Stanhope'ow. Jeśli wielebny Hunnings nie będzie przedłużał - módlmy się o deszcz - przed południem wyjedziemy z cmentarza i wrócimy do Świętego Marka na spotkanie parafialne w krypcie. To nie był idealny sposób spędzenia soboty, ale cóż... nie zawsze można po prostu iść na plażę.

- Czy nie powinniśmy zsynchronizować naszych zegarków? - spytała Carolyn.

Susan uznała, że to zabawne. Ale gdybym ja to powiedział...

- Elizabeth zaprasza na siódmą wieczorem do swojego domu znajomych i rodzinę - poinformowała nas Susan. - Wydaje mi się, że powinniśmy pójść.

Nigdy wcześniej nie byłem u Elizabeth w domu i uważałem, że powinienem obejrzeć jej pokój gościnny i miejsce do przechowywania rzeczy w piwnicy. Tak na

wszelki wypadek.

- Doskonale. Rozejść się! - zakomenderowałem.

Nikt się nawet nie uśmiechnął.

Carolyn obudziła brata i oboje poszli odpocząć. Ja potrzebowałem kielicha przed snem, więc poszliśmy do gabinetu, gdzie nalałem sobie brandy.

- Pastor Hunnings poprosił mnie o rozmowę w siedzibie swojej filii w domu pogrzebowym - powiedziałem Susan.

- O czym chciał rozmawiać?

Streściłem jej treść naszej pogaduszki.

- Nie mam ochoty na żadne nauki przedmałżeńskie i wkurza mnie to, że rodzice rozmawiali z nim za naszymi plecami.

- Przecież chodzi im tylko o nasze szczęście.

- Więc nie powinni się martwić. Jestem szczęśliwa. A oni nie. To im są potrzebne nauki.

- Na pewno byłoby im łatwiej, gdyby oddali nam cały swój majątek.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie mogę uwierzyć, że ojciec Hurmings wspomniał, że mieszkamy razem.

- Przypuszczam, że dowiedział się tego od twoich rodziców i nie mógł o tym nie wspomnieć.

- Dlaczego oni wszyscy wtrącają się w nie swoje sprawy?

- Dobrze znasz odpowiedź na to pytanie.

- Jak sądzisz, co jest w tym liście?

- Może coś ważniejszego, niż sobie wyobrażam.

- Kto ma ten list? Elizabeth?

- Przynajmniej miała.

- Zapytaj ją jutro wieczorem.

- Dobrze.

Zapytała mnie jeszcze, co się działo w stróżówce.

Opisałem jej całą sytuację i dodałem:

- Funkcjonariusz Corroon to twardziel. Prawdziwy były policjant. Cała reszta może się zatrudnić w Bell Security. Jak uważasz, dzieci się domyślają?

- Siedziały cicho w samochodzie, kiedy rozmawiałeś z tym Corroonem... sama nie wiem, co myślą.

- Jeśli zaczną zadawać pytania, powiążemy to z Nasimem.

- Nie jestem pewna, czy nie powinniśmy im powiedzieć. Dla ich bezpieczeństwa.

- Nie. I tak rozglądają się za Irańczykami. Nie ma sensu tłumaczyć im teraz, że chodziło nam o Włochów. Carolyn wyjeżdża w niedzielę wieczorem, a Edward w poniedziałek rano. Nie chcę, żeby się jeszcze martwili po swoim wyjeździe.

Susan przytaknęła i zmieniła temat.

- W McGlade było świetnie.

- Owszem. A więc to tam spotykają się debiutanci i ludzie z wyżyn. Kto był tym facetem z wyżyn, który się do ciebie przystawiał?

- Jesteś zazdrosny?

- A kiedykolwiek byłem?

- Nie. No... może podczas pierwszej randki.

- Nie pamiętam.

- Jeśli chcesz, mogę ci odświeżyć pamięć.

- Zmyślasz - zakończyłem dyskusję. - No, dobrze. Jutro przed nami długi dzień, więc idziemy do łóżka. I żadnego seksu.

- Dzięki Bogu.

- Sprawdzę tylko okna i drzwi i zaraz wracam.

Susan poszła na górę, a ja usiadłem przed komputerem. W Londynie dochodziła siódma rano, więc Samantha powinna przeczytać mój e-mail, nim zdąży wypić pierwszą kawę. Pod warunkiem że regularnie odbiera pocztę. Naprawdę nie chciałem, żeby wsiadała do tego samolotu do Nowego Jorku. Miałem tu dosyć problemów i choć Susan nie jest specjalnie zazdrosna, to pewnie nie ucieszyłaby jej perspektywa spotkania z Samantha w hotelu Mark.

Zacząłem wystukiwać na klawiaturze przygotowany wcześniej w myślach list do Samantha, w którym otwarcie i szczerze wyjaśniałem zaistniałą sytuację. Nie wspominałem w nim o mafii - żeby się nie martwiła - choć może byłaby zadowolona, gdyby mnie ktoś sprzątnął. Trudno przewidzieć reakcję porzuconej kobiety. Wystarczy wziąć za przykład Susan i Franka.

Przeczytałem ponownie list, wniosłem kilka poprawek i w końcu wcisnąłem klawisz „wyślij”. Czuję się tak, jakbym właśnie zdetonował bombę pod ostatnim mostem łączącym mnie z Londynem.

Koniec. Już nie było powrotu. W rzeczywistości nie było go od ostatniej niedzieli. Stało się.

Wyjąłem karabin ze schowka na szczotki, sprawdziłem, czy drzwi i okna są pozamykane, i poszedłem do sypialni.

Susan leżała na łóżku naga z poduszką pod pupą. Boli ją kręgosłup? Ćwiczy jogę? Ach, rozumiem.

## ROZDZIAŁ 59

Sobotni poranek był deszczowy. Odpowiednia pogoda na pogrzeb.

Sutterowie, ubrani na czarno, z czarnymi parasolami w rękach, wsiedli do lexusa. Zająłem miejsce za kierownicą i po piętnastu minutach jazdy zatrzymałem się przed kościołem episkopalnym pod wezwaniem Świętego Marka w Locust Valley.

Niewielki, ale zgrabny neogotycki budynek powstał na przełomie ubiegłego wieku za pieniądze skonfiskowane sześciu milionerom grającym w pokera w jednej z rezydencji Złotego Wybrzeża.

I jak sądzicie, któż to skonfiskował pieniądze grającym o wysoką stawkę bogaczom? Gdyby to zrobili socjaliści albo urząd podatkowy, pieniądze na pewno nie zostałyby przeznaczone na budowę kościoła. Rzecz jasna, to były ich żony, dobre chrześcijanki, natchnięte zapewne przez miejscowego pastora, który wpadł na genialny sposób, jak zdobyć fundusze.

Mogłem się założyć, że na jego miejscu Hunnings zrobiłby to samo. W każdym razie kościół był ładny, jeśli oczywiście nie pamiętało się o tym, w jaki sposób został ufundowany.

Susan, ja i dzieci przywitaliśmy się ze wszystkimi w kruchcie, a potem poszukaliśmy ławki możliwie blisko ołtarza.

Kościół był prawie w połowie wypełniony, co stanowiło niezły wynik jak na pogrzeb starszej pani w sobotni dżdżysty poranek. Idąc wzdłuż nawy głównej, nie dostrzegłem nigdzie orzechowych loków Williama ani trudnych do przeoczenia wściekle rudych włosów Charlotte. A więc jeszcze ich nie było. Może wczoraj wieczorem wypili zbyt dużo martini, zrobili się nieprzyjemni i dostali od swoich znajomych łomot.

Zamknięta trumna okryta białym całunem stała na katafalku przed ołtarzem. Atmosferę ożywiały przywiezione z domu pogrzebowego i oparte o balustradę wieńce. Organista zapewniał podkład muzyczny. Krople deszczu uderzały o witrażowe okna, a z powodu przesiąkniętych wilgocią ubrań i od zapachu płonących świec w kościele panowała gęsta, duszna atmosfera.

Bywałem w tym kościele przy różnych radosnych okazjach - ślubach i chrzcinach, a także smutnych - ślubach i pogrzebach, a także w niedzielę wielkanocną czy na pasterce oraz od czasu do czasu w zwykłe niedziele. Gdybym zamknął oczy, mógłbym wyobrazić sobie chrzciny Carolyn i Edwarda, a nawet przywołać z

zakamarków pamięci widok siebie i Susan kroczących w kierunku ołtarza.

Wiele tu pozostało wspomnień, wiele krąży duchów, ale chyba najsmutniejsze dotyczy chłopca nazywającego się John Sutter, siedzącego w ławce z Harriet i Josephem, i Emily... uważającego, że ma normalnych rodziców, a świat jest dobry i bezpieczny.

A skoro mowa o siłach nieczystych, do ławki podeszła Harriet i wślizgnęła się na miejsce obok Carolyn. Przywitaliśmy się.

- Chciałabym pojechać z wami na cmentarz - szepnęła Harriet.

- Oczywiście. - Gdyby prowadziła sama, z drogi trzeba byłoby zbierać do karawanu kolejne ciała.

Wielebny James Hunnings pojawił się w odpowiednim duchownym stroju, pokłonił przed ołtarzem i stanął z ponurą miną przed zgromadzonymi.

- Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem wiecznym, powiedział Pan - wygłosił z wyciągniętymi ku górze ramionami.

Miałem nadzieję, że nie mówi o sobie.

Gdyby Ethel to wszystko słyszała, byłaby pewnie zadowolona z przedstawienia, które dał wielebny razem z organistą. Hymny wybierała sama Ethel, a chór i wierni śpiewali czystym głosem.

Elizabeth wygłosiła piękną mowę pogrzebową a po niej głos zabrali Tom junior i Betsy. Z takiej mowy można się dowiedzieć sporo ciekawych rzeczy o zmarłym. Z tej wynikało, że Ethel była bardzo miłą kobietą. Może i była.

Ojciec Hunnings też wypowiadał się o zmarłej w ciepłych słowach, podkreślił, że była człowiekiem wielkiej wiary i wielkiego serca. Powiedział dokładnie to samo, co mówił mi dzień wcześniej.

Nabożeństwo trwało dalej. Była też komunia święta, a to oznaczało, że w niedzielę nie trzeba już będzie przychodzić do kościoła. Skorzystałem okazji i pomodliłem się za ojca.

Na koniec wielebny Hunnings poprosił nas, żebyśmy sobie przekazali znak pokoju i Sutterowie się pocałowali. Pocałowałem nawet Harriet. Potem zaczęliśmy ścisnąć sobie dłonie z otaczającymi nas ludźmi. Odwróciłem się do tyłu i wyciągnąłem rękę do... Williama Stanhope'a. Kiedy on się tu wślizgnął?

Carolyn, Edward i Susan wycalowali Charlotte i Williama, a potem przyszła kolej na mnie. Nie mogłem od tego uciec, no chyba żebym padł trupem na zawał. Chcąc nie chcąc, postąpiłem zgodnie z bożym przykazaniem i cmoknąłem Charlotte w

pomarszczony policzek, mamrocząc przy tym: „Pokój niech będzie z tobą”.

Trumnę ponieśli zawodowi żałobnicy z domu pogrzebowego, a za trumną podążała rodzina Allardów, dalej ojciec Hunnings, za nim ministranci i na końcu pozostali żałobnicy.

Wciąż padał deszcz, więc otwarto parasole, co wywołało tylko dodatkowe zamieszanie, które zwykle powodują przepychanki o to, kto z kim jedzie którym samochodem. Jedno było pewne, Ethel wybierze się w tę podróż karawanem.

Susan uparła się, żeby Harriet jechała z przodu, obok mnie. Dzięki temu miałem przyjemność wysłuchiwać licznych rad wyjątkowo doświadczonego kierowcy. To był żart.

Jechałem w żałobnej kolumnie samochodów, na której czele znajdowała się Ethel. Przedem mną sunęły trzy niebotycznie długie limuzyny wiozące najbliższą rodzinę i około dwudziestu innych samochodów, wliczając w to eskortę policyjną. Przejechaliśmy w ten sposób przez całe miasto, aż wreszcie dotarliśmy na cmentarz w Locust Valley. Cały narożnik tego bezwyznaniowego cmentarza należał do rodziny Stanhope'ów. Mieli dzięki temu odrobinę prywatności i znajdowali się z dala od innych, mniej ważnych umarłaków.

Zatrzymałem samochód tak blisko grobu jak się dało i poszliśmy w deszczu w kondukcje żałobnym.

Pracownicy domu pogrzebowego ustawili wieńce w krąg. Ktoś rzucił jeszcze wiązanek róż. Wokół trumny zgromadziło się około pięćdziesięciu osób. Trumna stała na katafalku, a ziejącą otchłań grobu przykrywała sztuczna murawa. Przy grobie dostrzegłem wbity w ziemię tablicę z napisem „Victory garden”.

Nagrobek George'a Allarda znajdował się tuż obok. Elizabeth podeszła i położyła na nim dłoń. To był piękny gest.

Rozejrzałem się wokół. Na większości pozostałych nagrobków widniało nazwisko Stanhope. Jedną z dodatkowych korzyści, jakie płyną z poślubienia panny z rodu Stanhope'ów, było darmowe miejsce pochówku. Nie mogłem się wprost tego doczekać.

William i Charlotte stali po przeciwnych stronach mogiły, zwróceni twarzami do mnie. Patrzyłem im prosto w oczy. Jestem pewny, że William, stojąc pośród swoich przodków, musiał pomyśleć o swojej śmiertelności, o nieśmiertelnej duszy oraz o swoich uczynkach tu, na ziemi, które zaważą czy winda zawiezie go na górę, czy może na dół. Powinien także pomyśleć o jedynej nieśmiertelności, której możemy być

pewni - swoich dzieciach, wnukach kolejnych pokoleniach. Myślałem, ba!, modliłem się o to, żeby dziś wreszcie William doznał objawienia, pobłogosławił nasze małżeństwo i przytulił nasze dzieci.

Przyjrzałem mu się uważnie, żeby sprawdzić, czy spłynął na niego Duch Święty. Wyglądał na skacowanego. Potem kichnął. Może zapalenie płuc? Może za tydzień znów tu się spotkamy?

A skoro już mówimy o martwych Stanhope'ach, gdzieś tutaj, w promieniu pięćdziesięciu jardów, znajdował się grób Augustusa. Przypomniałem sobie, jak przy okazji pochówku George'a Ethel odwiedziła grób swojego kochanka. Nigdy nikomu prócz Susan o tym nie powiedziałem, ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy Ethel nie zabrała do grobu więcej tajemnic. To przypomniało mi o liście. Musiał zawierać coś istotnego, w przeciwnym razie ojciec Hunnings nie wspomniałby o nim. Ale co? Może testament, który obalał wszystkie poprzednie, może jakąś ciekawą historię, a może Augustus połączył się telepatycznie z Ethel i zakwestionował prawa Williama do majątku Stanhope'ów? Może William jest nieślubnym synem włoskiego ogrodnika? Kto wie? Jak mawiała Ethel, im dłużej się żyje, tym ciekawszych rzeczy można się dowiedzieć.

Ministrant trzymał nad głową wielebnego parasol, a kiedy wszyscy się zebrali nad grobem, Hunnings rozpoczął modlitwę:

- Pośród życia ogarnia nas śmierć.

Kwadrans później kończył słowami:

- W nadziei zmartwychwstania do życia wiecznego przez Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, polecamy łasce Boga naszą siostrę Ethel i składamy jej ciało do ziemi Bożej; ziemia - ziemi; prochy - prochom; popioły - popiołom...

Susan, Edward, Carolyn, ja i Harriet rzuciliśmy róże na trumnę.

- Spoczywaj w pokoju.

Odeszliśmy od grobu. Harriet szła z Edwardem i Carolyn. Susan wzięła mnie za rękę.

- Pamiętasz, na pogrzebie George'a obiecaliśmy sobie, że przyjdziemy na nasz pogrzeb, choćbyśmy byli rozwiedzeni.

- Pamiętam. - Może faktycznie coś takiego mówiłem. - A dlaczego teraz o tym wspominasz?

- Ponieważ... kiedy byłeś przez te trzy lata na morzu... cały czas zastanawiałam się... co będzie, jeśli zginiesz? Co miałabym wtedy zrobić? - Rozkleiła się zupełnie i



zaczęła płakać.

Objąłem ją ramieniem i szliśmy w szeregu posepnych, ubranych na czarno żałobników, kroczących ku czarnym limuzynom, z rozpostartymi nad głowami czarnymi parasolami.

Zebraliśmy się wszyscy w krypcie kościoła Świętego Marka. O dziwo, było nas tu więcej niż na cmentarzu. Ci, którzy nie pojawili się na cmentarzu, to byli głównie ludzie albo bardzo starzy, albo bardzo młodzi. Doliczyć należało też dewotki, które przygotowywały wazy z ponczem i przekąski. Myślę, że akurat tym ludziom należało wybaczyć nieobecność na skąpanym w deszczu pogrzebie.

W ponczu chyba nie było ani kropli alkoholu, ale miałem nadzieję, że przynajmniej jedno naczynie zostało nim przyprawione. Pozostawało odgadnąć które.

Nie jestem wielkim zwolennikiem episkopalnych ciasteczek, a mój żołądek gwałtownie protestował na sam widok kanapek z pasztetową posmarowaną musztardą. Ale zatrzymałem się przy sałatce ziemniaczanej, w której odkryłem mięso nieznanego pochodzenia.

Takie spotkania po pogrzebie bywają dziwne - nie byłem pewny, czy powinny trwać dalej, czy należy je przerwać. Zapytałem o zdanie Susan, bo Pani Dobre Wychowanie była ostatnio zbyt sarkastyczna. Susan uznała, że powinniśmy pomyśleć głównie o zmarłej i wesprzeć na duchu jej rodzinę. Dobrze o tym wiedziałem, ale po dziesięciu latach nieobecności czułem się chwilami zupełnie obco i zdawałem sobie sprawę, że nie zauważam drobnych zmian, które tu zaszły. A może to ja się tak bardzo zmieniłem?

Harriet, ku mojemu zdumieniu, była o wiele bardziej popularna, niż się mogłem spodziewać. Radowało mnie też to, że stał tu jej samochód, więc nie będę musiał odwozić jej do domu.

Zauważyłem, że William i Charlotte stoją sami i sączą ten ohydny poncz. Przyjrzałem się uważnie, czy William kicha lub kaszle, ale wyglądał raczej na znudzonego niż śmiertelnie chorego. Niech to szlag. Byłem też zły, że Susan nie zaciągnęła do rodziców Edwarda i Carolyn. Niewiele już pozostało okazji, a ona właśnie jedną zmarnowała. Rozejrzałem się wokół, ale nigdzie nie znalazłem moich dzieci. Widziałem tylko młodych Corbetów.

Może powinienem dać sobie spokój z bawieniem się w swatkę. Susan mi w tym wcale nie pomagała, więc dlaczego ja mam się tym martwić? Miłość? Do diabła z miłością. Pieniądze? Kto by się troszczył o pieniądze. Lepiej pozostawić wszystko w

rękach losu.

Bardzo lubię wmieszać się w tłum ludzi, których nie znam, szczególnie jeśli są to ludzie starsi. Można wtedy wdać się w naprawdę ciekawe dyskusje. Bardzo pomocny jest w tym poncz. Zauważyłem Toma Corbeta i Laurence'a, więc stanęliśmy z boku i zaczęliśmy rozmawiać.

Pojawił się wielebny James Hunnings wraz z małżonką. Podszedłem do nich, żeby się przywitać, i ze zdumieniem zauważyłem, że pani Hunnings postarzała się przez ostatnie dziesięć lat. Mimo to wciąż miała w oczach te... iskierki i w ogóle była czarująca. Przypomniałem sobie nareszcie, że miała na imię Rebecca.

- Jim powiedział mi, że wróciłeś i pogodziliście się z Susan - zagała.

Kto to jest Jim? Aha, James Hunnings. Jej mąż.

- Niezbadane są wyroki Pana - odparłem.

- Zaprawdę tak - wtrącił się Hunnings.

No właśnie. Załóżmy, że odchodzi od ciebie żona.

- Nabożeństwo było wspaniałe. I jaka piękna mowa pogrzebowa - pochwaliłem wielebnego.

- Dziękuję, John. Nielatwo mówić o Ethel Allard, To była kobieta wielkiego serca i wielkiej wiary.

Rebecca Hunnings uśmiechnęła się do mnie, przeprosiła i zostawiła nas samych.

- Mam nadzieję, że myślałeś o naszej rozmowie - rzekł wielebny.

- Rozmawiałem z Susan i oboje doszliśmy do wniosku, że nie są nam potrzebne nauki przedmażeńskie.

- Jeśli pozwolisz, John, wołałbym sam z nią na ten temat pomówić.

- Tu moja zgoda nie jest potrzebna.

- Świetnie. Rozmawiałem właśnie z Williamem i Charlotte. Umówiliśmy się dziś po południu, żeby porozmawiać o... ich zastrzeżeniach.

- Rozumiem. Proszę tylko pamiętać, że oni mnie nienawidzą.

- Mają na względzie szczęście swojej córki.

- Ja też.

- Wiem. Dlatego to wszystko jest takie kłopotliwe.

- No właśnie. Czy William nie czuje się kiepsko?

- Chyba nie. A dlaczego pytasz?

- Kiepsko wyglądał na cmentarzu. Zacząłem się martwić.

- Wyglądał całkiem dobrze.
- Nie kaszłał?
- Nie... Ach, jeszcze jedno. Pozwoliłem sobie porozmawiać z Elizabeth o tym liście. Powiedziała, że wciąż go ma u siebie i jeszcze ci go nie przekazała.
- Zgadza się.
- Będę z tobą szczery, John. Poradziłem jej, żeby sama go najpierw przeczytała, a potem porozmawiała ze mną, nim ci go odda.
- Naprawdę? A dlaczego, jeśli wolno spytać?
- Jak wspomniałem, Ethel rozmawiała ze mną - bardzo ogólnie - na temat treści tego listu i sama nie była pewna, czy powinna ci go dać.
- Od Elizabeth wiem, że matka kazała jej dać mi ten list po swojej śmierci.
- No cóż... powstało tu pewne zamieszanie.
- Na pewno nie w mojej głowie. Porozmawiam z Elizabeth.
- Wyglądał, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę.
- Ten list... może zawierać coś, co można określić jako plotkę... albo skandal. - Spojrzał na mnie uważnie. - Coś, czym taka dobra chrześcijanka jak Ethel Allard nie powinna się zajmować.
- Czemu nie? Ja uwielbiałem plotki i skandale. Gdzie jest ten list?!
- Ethel nie żyje - zauważyłem.
- Ani Elizabeth, ani ja nie chcemy, żeby pamięć jej matki została... powiedzmy, w pewien sposób skalana. Dlatego list powinna najpierw przeczytać Elizabeth.
- Ciekawe, kto jej to doradził? Jeśli to nie robota Hunningsa, to ja jestem świętym tureckim. Tak, uwielbiam plotki. Chociaż skandale też nie są złe. Była już najwyższa pora, żeby sobie pójść, więc postanowiłem się pożegnać.
- Zobaczymy się dzisiaj w domu Elizabeth? - zapytałem.
- Postaramy się przyjść z Rebeccą.
- Świetnie. - Zostawiłem go samego i odnalazłem Susan, ale nie powiedziałem jej o treści mojej rozmowy z Hunningsem.
- Czy dzieci podlizywały się już dziadkom? - zapytałem.
- John, to okropne.
- Chciałem zapytać, czy w uroczy sposób rozmawiały ze swoimi dziadkami.
- Rozmawiali chwilę, ale mama i tata już wyszli.
- Tak wcześnie? Czyżby się źle poczuli?
- Nie... ale to nie jest ich towarzystwo.

- Ach, rozumiem. Lord i lady Stanhope wpadli tylko na chwilę, żeby pozdrowić tłumy.

- Proszę, John. Przecież to dobrze, że przyjechali.

- Jestem dziwnie przekonany, że przyszli tu tylko po to, żeby zobaczyć się z Hunningsem - powiedziałem jej. - Umówili się z nim dzisiaj po południu.

- Naprawdę? Zaczyna mnie to wkurzać.

- Twoim rodzicom chodzi tylko o twoje szczęście. Księżę John jest gotowy do wyjścia.

Zbyła moją uwagę milczeniem.

- Rozmawiałaś z Elizabeth? - zapytała.

- Nie, ale zobaczymy się z nią dziś wieczorem u niej w domu. Mam nadzieję, że zaprosi tam ciekawszych żałobników. Czy Edward i Carolyn spędzili choć trochę czasu z Betsy i Tomem?

- Nie wiem. Dlaczego tak ci na tym zależy?

- Byłoby miło, gdyby pobrali się z kimś z sąsiedztwa. Tak jak my.

- Nikt już tak nie postępuje.

- To niedobrze. Gotowa? Zbierzmy dzieciaki.

- One już poszły.

- Przecież nie mają samochodu.

- Ktoś je podrzucił na stację. Prosiły, żeby cię pożegnać. Są teraz w mieście.

- Powiedziałaś im, że wybieramy się do Elizabeth?

- Przenocują dzisiaj w mieszkaniu Carolyn.

- Cóż, trudno. Muszą się przecież spotkać z przyjaciółmi.

- Szkoda tylko, że nie będzie ich w nocy w domu - rzekła Susan. Spojrzałem na nią i pokiwałem głową.

## ROZDZIAŁ 60

W drodze do kościoła świętego Marka Susan wyłączyła dzwonek swojego telefonu komórkowego - jego dźwięk podczas pogrzebu byłby niestosowny - a potem oboje zapomnieliśmy go włączyć.

Susan przypomniała sobie o tym dopiero około czternastej, kiedy wróciliśmy do domu i poszliśmy do gabinetu sprawdzić pocztę i wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce.

- Felix Mancuso dzwonił cztery razy... po raz pierwszy o dziesiątej czterdzieści siedem - powiedziała, patrząc na wyświetlacz telefonu.

Włączyła tryb głośnomówiący i odsłuchiwała pierwszą wiadomość. „Dzwonię w sprawie Anthony’ego Bellarosy - mówił Mancuso. - Przyjechałem do domu pogrzebowego wcześniej i w środku oprócz Johna Gottiego nikogo nie było. Znalazłem duży wieniec od Anthony’ego z rodziną i drugi od Salvatore D’Alessia. Żeby było zabawniej, wieniec od Anthony’ego był w kształcie kubańskiego cygara, a ten od D’Alessia w kształcie kierowego pokera. Były też wieńce przypominające konie wyścigowe i kieliszki do martini”.

Na pogrzebie Ethel nie widziałem nic równie wymyślnego. Jednak anglosascy protestanci są nudni.

„Cały ranek podjeżdżały długie limuzyny - mówił dalej Mancuso - ale większość gości zasłaniała twarze parasolami. Policji i mediów nie zaproszono do środka. O, właśnie wnoszą trumnę i zaraz ruszy kondukt żałobny. Zamierzam dołączyć do procesji. Na razie nie widziałem Bellarosy ani D’Alessia. Zobaczymy w kościele”.

Spojrzeliliśmy z Susan po sobie.

- Na następny pogrzeb musimy wymyślić jakiś ciekawy wieniec - powiedziałem.

Susan nie odezwała się i odsłuchiwała następną wiadomość, która przyszła o jedenastej trzydzieści sześć. „Tu Mancuso. Wciąż idę w kondukcje pogrzebowym. Mijamy właśnie Ozone Park, gdzie mieścił się jego klub wędkarski. Setki ludzi stoją z boku i machają. Nad głową latają cztery, może pięć helikopterów z reporterami, więc będziecie państwo mogli wszystko obejrzeć w telewizji. Ja siedzę w szarym samochodzie i teraz do was macham”.

- Następną wiadomość jest z dwunastej trzydzieści trzy - powiedziała Susan. „Tu Mancuso. Stoję pod kaplicą na cmentarzu Saint John. Zmieściła się tu chyba

setka żałobników. Znowu wszyscy zasłaniali twarze parasolami, ale wypatrzyłem Salvatore D'Alessio i jego żonę. Anthony'ego nie widzę, co wcale nie oznacza, że go tu nie ma. Prasy i policji nie wpuszczono do środka. Następny przystanek to cmentarz. Zadzwoń jeszcze”.

- Ostatnie nagranie - powiedziała Susan. - Z trzynastej trzydzieści siedem. „Mancuso. Z tego, co wiemy, Anthony'ego nie było na pogrzebie. Policja i FBI przyjrzały się dokładnie wszystkim gościom. Kilka osób dyskretnie wypytaliśmy, ale nikt nic nie wie. Wezmę jeszcze na bok D'Alessia i zapytam go. Proszę do mnie zadzwonić”.

Pomyślałem, że skoro Anthony nie pojawił się na pogrzebie Gottiego, to może leży teraz na dnie East River. Susan wybrała numer Feliksa Mancuso.

- Mancuso, słucham - rozległo się w słuchawce.

- Miałam w czasie pogrzebu wyłączoną komórkę. Przepraszam.

- Nic się nie stało. Anthony nie pojawił się na pogrzebie. To jest znaczące.

- Też mi się tak wydaje. - Włosi chodzą na każdy pogrzeb.

- To oznacza, że albo nie żyje, albo się ukrywa.

- „Nie żyje” brzmi lepiej.

- Jeśli nawet Anthony Bellarosa żyje, to boi się, że wuj go zabije. To oczywiście tylko hipoteza - zastrzegł się.

- Podoba mi się. A co powiedział wuj Sal?

- Że jego zdaniem Anthony nie żyje.

Wymieniliśmy z Susan spojrzenia.

- Dokładnie tak powiedział? - zapytałem.

- Tak. Powiedział nawet, kto jego zdaniem zabił Bellarosę.

-Kto?

- John Sutter.

Kompletnie mnie zaskoczył.

- Mam alibi - powiedziałem, kiedy odzyskałem głos.

Mancuso zachichotał cicho.

- D'Alessio doradził mi, że bym pana przesłuchał.

- Wujek Sal ma kiepskie poczucie humoru - zauważyłem.

- A on uważa, że to zabawne.

Spojrzałem na Susan. Nie było jej do śmiechu. Ona zresztą nigdy nie rozumiała niesmacznych dowcipów.

- A pańskim zdaniem Anthony żyje? - zapytałem.

- No cóż... Przez ostatni tydzień D'Alessio chodził ze zwiększoną ochroną - cały czas było przy nim trzech, czterech ludzi. Jeśli dziś wieczorem i jutro nic się nie zmieni, to należałoby podejrzewać, że Anthony żyje i wydał zlecenie na swojego wujka.

- Jakie zlecenie? - zapytała Susan.

- Zlecenie... na wykonanie wyroku - wyjaśnił pan Mancuso.

-Och...

- Podpisane przez Anthony'ego. Chociaż to nie jest dokument spisany na kartce - tłumaczył dalej Mancuso. - Z drugiej strony D'Alessio pewnie dał zlecenie na Bellarosę.

Susan milczała, ale na pewno pomyślała teraz o swoim dawnym kochanku, który nieprzypadkowo nosił to samo nazwisko.

- Tak więc wszystko wskazuje na to - podsumował pan Mancuso - że Anthony Bellarosa postanowił się ukryć, a nie paradować, jak jego wuj, w otoczeniu ochroniarzy. Sądzę, że w ciągu tygodnia, może dwóch dowiemy się, która taktyka była lepsza.

- Dlaczego sądzi pan, że to się stanie tak szybko?

- Ponieważ każdego dnia, kiedy Anthony nie zarządza swoimi interesami, część z nich przejmuje D'Alessio. Zajmuję się tym już bardzo długo. Znam ich, wiem, w jaki sposób myślą i jak postępują.

- A gdyby miał pan obstawiać, który z nich pańskim zdaniem przeżyje?

- Właściwie... - zawahał się - ... nie powinienem tego mówić, ale to zależy, kto wyłoży więcej pieniędzy do wspólnej puli.

- Mogę się dołożyć?

Mancuso zachichotał.

- Jasne.

- Proszę - zwróciła mi uwagę Susan.

Mancuso spoważniał.

- Oceniam ich szanse na pół na pół. D'Alessio nie jest może specjalnie błyskotliwy, ale stoi za nim większość bossów niższego szczebla i starzy mafiosi. To daje mu sporą przewagę. Atutem Anthony'ego jest to, że jest młody, energiczny i bezwzględny. Otacza go głównie mafijna młodzież. Jest ostrożny, ale i porywczy, jak sam pan zauważył. Czasami się zapomina i to go może zgubić. Albo przeciwnie,

sprawić, że zwycięży.

Zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem od Mancusa. Intuicja podpowiadała mi, żeby obstawiać zwycięstwo wuja Sala, choćby z sentymentu.

- Czyli daje im pan równe szanse? - zapytałem.

- Tak.

- Ile można najwięcej postawić?

- Pięćdziesiąt.

- John!

To była Susan.

Uciszyłem ją gestem ręki.

- Może pan postawić za mnie pięćdziesiąt na wuja Sala?

- Załatwione.

- Oddam, kiedy się zobaczymy. I proszę zadzwonić, gdyby notowania uległy zmianie.

- Nie omieszkam.

Powinienem był go jeszcze zapytać, skąd będę wiedział, że wygrałem, ale to byłoby głupie pytanie. Zadałem za to inne:

- Dlaczego setka ludzi jedzie po sznureczku w kondukcje za trumną szefa mafii?

- Właściwie tysiące - odparł. - Nie znam jednoznacznej odpowiedzi. Może to ciekawość... a może instynkt stadny... Niektórzy uważają Gottiego za bohatera. Chyba trzeba się nad tym zastanowić.

Spojrzałem na Susan.

- Właśnie wróciliśmy z pogrzebu kobiety, która żyła przykładnie, umarła spokojnie i została pochowana bez wielkiego zgiełku. I jestem pewien, że jest teraz w niebie.

- Na pewno - zgodził się Mancuso. - No dobrze, to wszystko. Jakieś pytania?

Spojrzałem na Susan, która pokręciła głową.

- Chyba żadnych - odparłem.

- Życzę miłego Dnia Ojca.

Na pewno byłby miły, gdyby William zachorował na zapalenie płuc.

- I wzajemnie - odparłem i rozłączyłem się.

- Cieszę się, że Mancuso nad wszystkim panuje - powiedziałem.

Susan skinęła twierdząco głową.



- Poza tym jest jeszcze całe FBI, miejscowa policja i detektyw Nastasi.

Znowu przytaknęła, ale zdawała sobie sprawę, że próbuje przedstawić całą sprawę w lepszym świetle. Oboje byliśmy zaskoczeni tym, że Anthony Bellarosa nie pojawił się na pogrzebie i nie dał FBI i policji szansy na aresztowanie go. Anthony po prostu zniknął, co wprawilo wszystkich w stan lekkiego podenerwowania.

Mancuso, mówiąc o szansach pół na pół, był albo zbytnim optymistą albo próbował nam poprawić nastrój. Przewaga bez wątpienia należała do Bellarosy. To on pierwszy dopadnie wuja Sala. Nie zamierzałem się o to zakładać.

Ponieważ kiedy Anthony pozbędzie się już D'Alessia, zajmie się Sutterami. I o to gotów byłem się założyć.

## ROZDZIAŁ 61

Kilka godzin deszczowego sobotniego popołudnia spędziliśmy na czytaniu i słuchaniu muzyki w salonie na piętrze.

O szesnastej zszedłem na parter, żeby poprosić Sophie o przyniesienie nam na górę kawy i ciastek, a potem skierowałem się do swojego gabinetu. Zamierzałem sprawdzić pocztę elektroniczną.

Nie otrzymałem odpowiedzi na swoją rezygnację pracy w kancelarii prawniczej, którą wysłałem w piątek wieczorem, ale byłem pewien, że odezwą się do mnie w poniedziałek.

Dostałem za to e-mail od Samantha. Krótko mówiąc, nie była zadowolona. Szczerze mówiąc, była wkurzona.

Wypomniała mi, zupełnie słusznie, że nie zadzwoniłem, nie napisałem i w ogóle pozostawiłem ją w niepewności, a potem niespodziewanie uraczyłem taką bombą. Twierdziła, że czuje się zraniona, skrzywdzona i załamana. Jak na e-mail był to całkiem ładnie skomponowany tekst. Poza tym, jak przystało na damę, nie użyła słów w rodzaju: „gnojek”, „dupek” czy „wal się”. Wiedziałem przecież, że chce to powiedzieć, a jednak użyła bardziej nobliwych słów.

No dobrze. Czuję się obrzydliwie. Wolałbym powiedzieć jej to wszystko osobiście albo przynajmniej przez telefon - który uważała za lepszą formę komunikacji niż poczta elektroniczna - ale sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Naprawdę.

Nie zamierzałem w tej chwili odpowiadać na jej e-mail. Porozmawiam z nią przez telefon albo kiedy przylecę do Londynu. A jeśli naprawdę chciała poznać moje wytłumaczenie, opowiem jej całą historię. Najprawdopodobniej jednak nie będzie mnie chciała już wtedy znać. Ciekawe, czy powiadomią ją, jeśli zostanę zastrzelony. Może zrobi to ktoś z dawnej firmy.

Na wypadek gdyby FBI czytało moją pocztę, ponieważ skasowałem list. Nie chciałem, żeby Felix Mancuso uważał mnie za drania.

Wróciłem do salonu w chwili, gdy Sophie przynosiła akurat kawę i ciastka.

- Jesteś dziwnie milczący - zauważyła Susan.

- Myślałem o firmie w Londynie - odrzekłem zgodnie z prawdą.

- Najwyższa pora - skomentowała Susan i wróciła do czytania gazety.

O osiemnastej włączyłem telewizor i znalazłem stację nadającą lokalne

wiadomości. Dominowały informacje o pogrzebie Johna Gottiego.

- Musimy to oglądać? - spytała Susan, spoglądając znad gazety.
- Dlaczego nie szykujesz się jeszcze na stypę u Elizabeth?
- Chcesz pobić rekord wszechczasów? - zapytała Susan, wstając.
- Masz na myśli seks czy kolejny pogrzeb?

Susan wyszła, a ja znów oglądałem wiadomości, gdzie pokazywano sfilmowany wcześniej z helikoptera kondukt żałobny sunący za trumną Gottiego.

Reporterka ze śmigłowca donosiła:

- Procesja zwalnia przed domem Gottiego w Howard Beach, dzielnicy zamieszkiwanej przez klasę średnią, gdzie mieścił się skromny dom, trochę niepasujący do jego właściciela.

Niezła uwaga, lekko trąciła fałszem, ale sens został zachowany.

- John Gotti był człowiekiem, który dla wielu znaczył więcej niż życie! - przekrzykiwała hałas wirników reporterka. - To był Teflonowy Don, żadne zarzuty do niego nie przywierały.

Nie przywierały do niego żadne zarzuty. To jednak nie jest BBC.

- Widzicie państwo setki ludzi - mówiła dalej reporterka - którzy postanowili przyjść tu w ten deszczowy dzień. Przyjaciół i sąsiadów. Przybyli może z ciekawości, a może żeby oddać cześć zmarłemu sąsiadowi...

Na pewno zabrakło przynajmniej jednego sąsiada. Już nie żył... Reporterka dalej przedstawiała pan Gottiego jako *bon vivanta*:

- Mówiono o nim także Elegancki Don z powodu szytych na miarę, wartych tysięcy dolarów włoskich garniturów.

Tysiąc? To w sklepie mnie oszukali? Niemożliwe. Tyle kosztują. Może Gotti miał specjalny upust dla eleganckich gangsterów. Może powinienem w sklepie wymienić nazwisko Bellarosa...

- Kondukt teraz nieco przyspieszył - relacjonowała pani z helikoptera - i zbliża się do Ozone Park, gdzie znajdowała się siedziba jego firmy „Bergin Hunt and Fish Club”, a jednocześnie kwatera główna kryminalnego imperium.

Doprawdy?

W telewizji pokazano szeroki plan, a na nim sunącą w gęstej mżawce kolumnę limuzyn. Oprócz tego karawan i chyba ze dwadzieścia samochodów obładowanych wieńcami. W jednej z limuzyn siedział na pewno Salvatore D'Alessio. Pośród czarnych limuzyn spostrzegłem jedną szarą. Jej okna były otwarte i ktoś machał wyciągniętą

ręką. Oto poczucie humoru faceta z FBI.

- John! - usłyszałem wołanie Susan.
- Chwileczkę, to ważne! - odkrzyknąłem.
- Stracisz coś ważniejszego, jeśli nie zejdiesz zaraz na dół.
- Już idę!

Miałem właśnie wyłączyć telewizor, kiedy scena przeniosła się do studia, a redaktor prowadzący powiedział:

- Dziękuję ci, Sharon, za relację ze śmigłowca. Więcej zdjęć z pogrzebu Johna Gottiego pokazemy później, a teraz posłuchajmy relacji o życiu Gottiego. Głos ma nasza reporterka Jenny Alvarez.

Kto?!!!

I oto pojawiła się na ekranie. Moja dawna... przygoda. Wyglądała świetnie z telewizyjnym makijażem... może była trochę zbyt pomarańczowa... ale wciąż piękna. I ten szeroki uśmiech.

- Dziękuję, Scott - odezwała się. - Widzieliśmy doskonale ujęcia konduktu żałobnego, kiedy to ciało Johna Gottiego było przewożone na cmentarz Saint John...

- Johnie Sutter!

- Już idę.

- Trumnę niósł między innymi adwokat pana Gottiego, Carmine Caputo, którego po pogrzebie poprosiliśmy o wywiad - mówiła Jenny.

Na ekranie pojawiła się twarz Caputa. Wyglądający na sześćdziesięciolatka reporter zadał mu kilka pytań. Caputo, stary wyga, nie odpowiedział na żadne, za to skorzystał z okazji i wygłosił prawdziwy pean na cześć swojego klienta - opiekuńczy ojciec, dobry mąż i sąsiad - może z jednym wyjątkiem - wyjątkowy przyjaciel - tylko nie dla Paula Castellano - i szczodry sponsor wielu ważnych przedsięwzięć - w tym, zapewne, kancelarii Caputa. Najbardziej wkurzało mnie, kiedy klient umierał, nie zapłaciwszy rachunku. A tak zrobił Frank. Caputo wydawał się szczery, więc Gotti chyba zdążył mu zapłacić.

Na ekranie ponownie pojawiła się Jenny. Byłem pewien, że to tylko dalszy ciąg relacji z pogrzebu poprzedniego wielkiego mafiosa - dona Franka Bellarosy. A gdy Jenny mówiła o adwokacie, czułem się tak, jakby mówiła o Johnie Sutterze. Miała okazję wziąć mnie teraz w obronę. Mogła powiedzieć: Skoro Carmine Caputo mógł się pojawić na pogrzebie Johna Gottiego, to dlaczego wszyscy czepiali się Johna Suttera, który pojawił się przy trumnie Franka Bellarosy? No? A przecież John, na miłość

boską nie niósł trumny z ciałem. - Potem kamera powinna zostać skierowana na Jenny, która ocierając łzy - powinna zapytać: - John? Jesteś tam?

- John!

- Idę!

Niestety Jenny nic takiego nie powiedziała, a mnie było... cóż, przykro.

Przykro mi było także dlatego, że Jenny przestała pracować w poważnej stacji telewizyjnej i zatrudniła się w tandetnej lokalnej kablówce. Może po naszym rozstaniu zaczęła pić?

Jenny, która znała zwyczaje mafii, mówiła dalej:

- Cmentarz Saint John jest znany jako Walhalla mafii. Spoczywają tu szczątki takich osobistości jak Lucky Luciano, Carlo Gambino czy Aniello Dellacroce. A teraz dołączył do nich szef szefów John Gotti...

Widziałem, jak patrzy prosto do kamery, zupełnie jakby patrzyła na mnie, i czułem, że o mnie myśli. Zauważyłem na jej palcu obrączkę. No cóż.

Wyłączyłem telewizor i prawie biegiem wpadłem do sypialni. Susan siedziała przy toalecie.

- Za późno - powiedziała.

Rozebrałem się, rzuciłem na łóżko i podłożyłem sobie poduszkę pod pośladki. Spojrzała na mnie.

- Chociaż...

Elizabeth Allard Corbet mieszkała w wielkim, pełnym zakamarków, starym postkolonialnym domu położonym na wzgórzach Mili Neck, niedaleko Oyster Bay.

Zostawiliśmy samochód na gęsto zadrzewionej ulicy i poszliśmy w stronę domu. Niebo przejaśniło się i wszystko wskazywało na to, że niedziela będzie piękna. Przynajmniej niedzielna pogoda.

Na drzwiach wisiała kartka „Proszę wejść”, więc weszliśmy.

Dochodziło wpół do ósmej i hol był już pełen ludzi. Jak to miałem w zwyczaju, przywitałem się z pierwszym napotkanym facetem i spytałem, gdzie jest bar.

- Na werandzie. - Wskazał ręką.

Wziąłem Susan na hol i przeszliśmy przez salon na przeszkloną werandę, gdzie dwóch barmanów pomagało ludziom walczyć z żalem po zmarłej.

Z drinkami - wódka i tonik - w rękę rzuciliśmy się z Susan w towarzyski wir. Spostrzegłem kilka osób, które pamiętałem z domu pogrzebowego i cmentarza, ale

większość stanowiły młodsze od nas pary - zapewne sąsiedzi i znajomi Corbetów. Znajomi zmarłej byłiby dużo od nas starsi. Nie zauważyłem Stanhope'ów. Zresztą nie spodziewałem się ich tu zastać. Nie było także ojca Hunningsa. Może wciąż jeszcze rozmawiali o mnie i o Susan. Ci ludzie nie znali litości.

Nie widziałem też mojej matki. A jeśli ona też uczestniczyła w zebraniu? Faktycznie, mogli poprosić innych ludzi, żeby złożyli obciążające mnie zeznania. Na przykład pana Nasima (pan Sutter jest bigotem), Charlie Frick (jest filistrem), Judy Remsen (to zboczeniec), Altheę Gwynn (gbur), Beryl Carlisle (impotent)... Może nawet z Londynu przyleciała Samantha (drań). Pewnie planowali teraz lincz. Ale matka mnie ostrzeże. Przecież kochała mnie nad życie.

- Nie ma tu nikogo znajomego - rzekła Susan.
- Wszyscy spiskują przeciwko mnie u Hunningsa.
- Chyba powinieneś się napić.
- Jeszcze jeden drink i wychodzimy.
- Dobrze, ale najpierw porozmawiaj z Elizabeth.

Powędrowaliśmy przez salon do jadalni, w której stały stoły zjedzeniem. Moją uwagę przykuł ociekający tłuszczem pasztet z wątróbek.

- Wcale nie masz na niego ochoty - wmawiała mi Susan. - Zjedz trochę jarzyn.
- Mógłbym się udławić.

Przeszliśmy do dużego pokoju z tyłu domu, ale tam prócz Toma juniora i Betsy nie zauważyliśmy nikogo znajomego.

- To duży dom jak na potrzeby Elizabeth - oceniła Susan.

Uznałem, że lepiej nie wspominać o naszym domu gościnnym. Pozwoliłem sobie tylko na niewinną uwagę:

- Musi tu być dużo wolnego miejsca w piwnicy.
- Dlaczego tak sadzisz?
- Bo... trafiła tu większość rzeczy ze stróżówki.

Pokiwała głową, choć myślami była gdzie indziej.

Pomyślałem, że powinienem się tu czuć jak w domu. Oczywiście byłem z Susan szczęśliwy, ale kontrakt nie został jeszcze zawarty. Wbrew temu, co sądziła Susan. W najbliższych dniach i tygodniach przekona się, że to nie jest takie proste. Pomogą jej to zrozumieć mamusia i tatuś.

Nie miałem wątpliwości, że wybierze mnie, a nie ich pieniądze, a jeżeli na szali zostaną postawione też pieniądze dzieci, to urządzimy naradę rodzinną, z której

również powinienem wyjść obronną ręką.

Na szczęście nie zamierzałem do tego dopuścić. Nie będę się z nimi targował. Po prostu zniknę. No, może najpierw kopnę Williama w jaja. Przynajmniej tyle będę z tego miał.

- Mógłbyś tu mieszkać? - zapytała Susan.

- Mieszkać... gdzie?

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wyprowadzić się ze Stanhope Hall, zostawić tam złe wspomnienia, Nasima, wszystko...

- To ty musisz podjąć decyzję - odpowiedziałem po dłuższym namyśle.

- Chcę tylko, żebyś powiedział, jak byś się z tym czuł.

- Dlaczego u kobiet najważniejszy jest czasownik „czuć”? A nie lepiej byłoby: „Powiedz, co o tym myślisz?”.

- John?

- Sam nie wiem, co o tym myśleć. Jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

- Elizabeth chce sprzedać ten dom, więc nie myśl zbyt długo. To byłby właściwy kierunek ucieczki ze Stanhope Hall.

- Przekonajmy się, jak się tu czujemy - zaproponowałem.

- Na tarasie są jacyś ludzie - zauważyła. - Chodźmy tam.

Przechodząc przez pokój, przywitaliśmy się z Tomem juniorem i Betsy. Dowiedzieliśmy się od nich, że ich ojciec i Laurence wrócili już do miasta, ale jutro mają wszyscy razem zjeść późny lunch w Soho. Ja też zapraszałbym dzieci na lunch w Soho, gdybym przeprowadził się do Nowego Jorku.

- Jest tam Elizabeth - zauważyłem. - Przywitamy się, a potem przeprosisz nas na chwilę. Muszę z nią porozmawiać na temat listu.

Susan skinęła głową i podeszliśmy do Elizabeth, która stała na środku tarasu w towarzystwie grupki ludzi.

Pocałowaliśmy się na powitanie, a Elizabeth przedstawiła nas znajomym. W jednym z nich wyczułem młodego, jurnego kawalera, który najwyraźniej kręcił się koło naszej gospodyni. Miał na imię Mitch i sprawił na mnie wrażenie zbytnio przyznanego - modne ciuchy, nienaganna fryzura, wypolerowane paznokcie i fałszywy uśmiech. Nie spodobał mi się. Miałem nadzieję, że Elizabeth też.

- To był piękny pogrzeb - zagadnęła Susan.

- Dziękuję wam za wszystko, co zrobiliście - odparła Elizabeth.

I tym podobne.

Następnie Susan przeprosiła, a ja po chwili zagadnąłem Elizabeth:

- Może to nie jest odpowiednia pora, ale chciałbym z tobą chwilę porozmawiać o czymś ważnym.

Spojrzała na mnie i już wiedziała, o co chodzi. Mogła mnie zbyć, ale powiedziała do pozostałych:

- John był adwokatem i doradcą mojej mamy. Chce mi teraz powiedzieć, gdzie schowała pieniądze.

Towarzystwo roześmiało się, a my weszliśmy do domu. Elizabeth zaprowadziła mnie do niewielkiej biblioteki i zamknęła za nami drzwi.

- Piękny dom - zauważyłem.

- Za duży, za stary, za drogi w utrzymaniu. Tom sam go odmalował. - Otworzyła barek. - Uzupełnię ci drinka.

- Nie trzeba.

- Ale ja muszę się napić. - Nalała sobie z karafki wódki albo ginu.

Wymieszała drinka palcem i wzruszyła ramionami.

- Jutro nie będzie już tak dobrze.

- Nie. Ale czas leczy rany.

- Wiem. Miała udane życie.

Mógłbym właściwie przejść do sprawy listu, ale czułem, że potrzebna jest jeszcze krótka pogawędka.

- Miło spędziłem czas z Tomem - powiedziałem.

- Domyślam się. Pozostaliśmy przyjaciółmi. Lubię też Laurence'a i cieszę się, że są szczęśliwi.

- Masz wspaniałe dzieciaki. Uwielbiam je.

- Tak, to dobre dzieci. Było im ciężko, ale na szczęście wszystko to się stało, gdy były już na tyle duże, żeby to zrozumieć.

- Tak samo było z moimi.

- Twoje dzieci są niesamowite, John.

- Powinienem poświęcać im więcej czasu w ostatnich dziesięciu latach.

- To nie była tylko twoja wina. Zresztą teraz znajdziesz czas, żeby odnowić z nimi znajomość.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnąłem się. - Moje umizgi mogą skończyć się fiaskiem.

- Nie wiadomo - odpowiedziała z uśmiechem. A ponieważ rozmawialiśmy o



kojarzeniu się w pary, zapytała: - Podoba ci się Mitch?

- Nie.

Roześmiała się.

- Jesteś zbyt delikatny, John.

- Stać cię na kogoś lepszego.

Zamilkła. Staliśmy dłuższą chwilę naprzeciw siebie i żadne z nas nie zamierzało podjąć rozmowy.

- Zaczepił mnie ojciec Hunnings - przełamałem się wreszcie. - Wspomniał mi, że rozmawiał z tobą o liście twojej matki.

Elizabeth skinęła głową.

- Twierdził, że twoja matka rozmawiała z nim na temat treści tego listu i pytała, czy powinna mi go dać.

- Wiem o tym.

- Jak wiesz, ojciec Hunnings chce poznać jego treść i podjąć decyzję.

Elizabeth milczała.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś ty też poznała jego treść - jesteś jej córką. Ale nie podoba mi się, że ojciec Hunnings przeczyta go przede mną. A właściwie, że go w ogóle przeczyta.

Skinęła głową, choć miałem wrażenie, że się zawahała. Staliśmy w milczeniu. Jako adwokat wiedziałem, kiedy zakończyć swoje wystąpienie. W końcu Elizabeth przełamała się.

- List jest... nieotwarty. Jest zaadresowany do ciebie... ale... jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym to przemyśleć... może jeszcze raz porozmawiać z ojcem Hunningsem.

Postanowiłem wrócić do swojej przemowy.

- Wydaje mi się, że to dotyczy tylko ciebie i mnie.

- Ale mama rozmawiała z nim i teraz jestem między młotem a kowadłem.

- Jakie były jej ostatnie słowa na temat listu?

- Przecież wiesz... że mam ci go wręczyć po jej śmierci. A jeśli... to wywoła jakiś skandal? Albo... kto wie? - Spojrzała na mnie i zapytała: - Jeśli to dotyczy Susan?

Też już mi to przyszło do głowy. Elizabeth i Susan przyjaźniły się, ale gdzieś głęboko, w pięknej zresztą główce Elizabeth, zrodziła się egoistyczna myśl, że gdyby nie Susan, to John byłby wolny. Z drugiej strony wydawało mi się, że nawet gdyby Ethel wiedziała o czymś skandalicznym dotyczącym Susan, nie napisałaby mi o tym.

Przecież chciała, żebyśmy się w końcu pogodzili. Nawet jeśli treść listu dotyczyła Susan, to nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłoby zmienić moje zdanie na jej temat. No, może jednak coś tam mi świtało.

- Twoja matka chciała, żebym to wiedział. Rozumiem twoje rozterki. Boisz się, że to może zszargać pamięć o niej. Może w takim razie przeczytamy ten list wspólnie? Jeżeli będzie w nim coś nieodpowiedniego, to zostawię ci go do zniszczenia.

- Nie mogę tego teraz zrobić. - Potrząsnęła stanowczo głową.

- W porządku. Zaczekam.

- Może w poniedziałek. Kiedy będę miała to wszystko za sobą. Zadzwoń do ciebie.

- Dziękuję. - Uśmiechnąłem się. - Może twoja matka chciała mi tylko uświadomić, jakim jestem idiotą.

Elizabeth odwzajemniła uśmiech.

- Lubiła cię - powiedziała. Ale nie podobało jej się, że ja cię lubię. Wolą Tom.

I Susan.

- Ja też lubię Tom i Susan. - Ale Tom woli teraz Laurence'a.

- Wtedy było inaczej - rzekła z uśmiechem.

- Masz rację. - Uściskaliśmy się serdecznie.

- Porozmawiamy w poniedziałek - powiedziała.

- Zgoda.

Wróciliśmy razem na taras do Mitcha i reszty towarzystwa.

- Łapmy za łopaty, idziemy szukać forsy - odezwał się Mitch.

Dupek.

Elizabeth zignorowała jego słowa i zwróciła się do Susan:

- Przepraszam, John kazał mi podpisać jakieś papiery.

Mitchowi pokazałem skierowany ku dołowi kciuk. Był skończony.

- Niech zarabia na swój dzem jabłkowy - odpowiedziała z uśmiechem Susan.

Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a potem obwieściłem:

- Niestety, musimy już iść.

Podziękowaliśmy Elizabeth za gościnę i poprosiliśmy, żeby zadzwoniła, jeśli tylko będzie czegoś potrzebowała.

- Nie idź kopać w sandałach - na pożegnanie po przyjacielsku poradziłem Mitchowi.

Nie odpowiedział.

Obeszliśmy dom dookoła, chcąc uniknąć spotkania z gośćmi w środku.

- Byłeś wobec Mitcha niegrzeczny - rzekła Susan.

- Nie lubię go.

- Przecież nawet go nie znasz.

- Nie warto go poznawać.

- Wydaje mi się, że Elizabeth i on...

- Już nie.

- Co masz na myśli?

- Dałem mu słabą notę.

- Tak powiedziałaś Elizabeth?

- Owszem.

- Od kiedy to jesteś jej mentorem i powiernikiem?

Oj! Chyba nie nadążałem za Susan.

- Zapytała, co o nim myślę. Więc jej powiedziałem.

- Nie powinienes być tak bezpośredni. I nie powinienes mieszać się w cudze sprawy.

- Masz rację - zgodziłem się. - Jak dobrze znowu być w domu.

Dalej szliśmy w milczeniu. Najwyraźniej Susan była wciąż odrobinę zazdrosna. I dobrze.

- Nie interesuje cię sprawa listu? - zapytałem, żeby zmienić temat.

- Owszem, interesuje.

Opowiedziałem jej, co ustaliliśmy z Elizabeth.

- Zupełnie nie rozumiem, co mogłoby być takiego ważnego w tym liście - zakończyłem opowieść. - Nie mamy się chyba czym martwić. Ethel jest - była - staruszką z typowymi dla jej wieku lękami i mnóstwem dziwactw.

- Ale ojciec Hunnings też jest jego treścią zainteresowany - zauważyła Susan.

- Dobrze, porozmawiajmy o dziwactwach. Czy uwierzysz, że musiałem mu dzisiaj przysiąc, że śpimy w oddzielnych sypialniach?

- John, nie wolno kłamać osobie duchownej.

- Chroniłem twoją cześć.

- Sama sobie poradzę. - A po chwili zastanowienia dodała: - W sprawie tego listu chyba musimy uwierzyć ojcu Hunningsowi na słowo. Na pewno ma dobre intencje.

- A może po prostu dostanę zaadresowany do siebie list i go przeczytam? -

Potem powiem ci, czy Hunningsem kierowały dobre intencje.

Wracaliśmy do Stanhope Hall. Kiedy wjechaliśmy na Grace Lane, Susan zadzwoniła najpierw do stróżówki, a potem do Sophie, która zapewniła, że w domu nadal nie ma cebuli.

Sophie nie czekała na nas z kolacją, ale szybko przyrządziła serek tofu z kielkami fasoli. Jakie do tego dobrać wino?

Zjedliśmy na tarasie uroczą kolację przy świecach. Niebo rozchmurzyło się, pojawiły się gwiazdy, a od zatoki wiała lekka, przyjemna bryza.

- To był jeden z najmilszych i zarazem najokropniejszych tygodni w moim życiu - powiedziała Susan.

- Teraz już może być tylko lepiej - zapewniłem ją.

- Chyba tak.

Wcale nie byłem tego taki pewny. Ale cóż miałem powiedzieć?

- Szkoda, że nie ma z nami Edwarda i Carolyn.

- A mnie brakuje towarzystwa twoich rodziców.

- Mnie nie. - Postanowiła zmienić temat: - Co chciałbyś dostać na śniadanie w Dzień Ojca?

- Marzę o resztkach kielków fasoli, ale jeśli nie mogę na nie liczyć, to poproszę o jajecznicę na kielbasie. Do tego posmarowane masłem tosty, frytki, kawę i sok pomarańczowy. I jeszcze wódkę z sokiem.

- Czy chcesz dostać śniadanie do łóżka?

- Oczywiście.

- Edward i Carolyn przepraszają, ale nie będzie ich na śniadaniu.

- Trudno.

- Przyjadą na obiad.

- To wspaniale.

- Powinniśmy porozmawiać z mmi na temat dziadków.

Nie odezwałem się.

- John?

Nalałem sobie kolejny kieliszek wina.

- Nie zamierzam się w to mieszać, jeśli uważasz, że trzeba im po raz kolejny przypominać o finansowej stronie życia, to zrób to sama. Ja już wyciąłowałem dupę Williama i Charlotte. Moja misja skończona.

- Już dobrze... Czuję, że jesteś zdenerwowany...

- Skądże. Wcale. Zrobiłem, co miałem zrobić, i basta. Jutro przy obiedzie będę wyjątkowo serdeczny, a wieczorem, albo w poniedziałek rano, porozmawiam z twoim ojcem o tobie. Ale tylko dlatego, że on sobie tego życzy. Mogę ci już jednak dzisiaj powiedzieć, że nic nie zmieni jego zdania na temat naszego małżeństwa, a ja nawet nie zamierzam próbować go przekonywać. Przykro mi, Susan, ale musisz stawić czoło rzeczywistości i podjąć jakieś decyzje.

- Już podjęłam.

- Tylko tak ci się wydaje. Posłuchaj, przyszedłem tu z niczym i jestem gotów z niczym odejść.

- Nigdzie nie odejdiesz beze mnie. Nie tym razem.

- Nie będę cię trzymał za słowo.

- Spójrz na mnie - nakazała, chwytając mnie za rękę.

Spojrzałem na nią siedzącą w blasku świec i z włosami rozwianymi przez wiatr. Nigdy nie wyglądała równie pięknie.

- Rozumiem, co mówisz i dlaczego to mówisz - powiedziała głośno i dobitnie. - Ale nawet o tym nie myśl. Tym razem nie uciekniesz tak łatwo. Nawet jeśli dojdiesz do wniosku, że robisz to dla mnie i naszych dzieci.

Spojrzałem jej w oczy i dostrzegłem w nich łzy.

- Kocham cię - wyznałem.

- Ja też cię kocham. Mam dość tego, że za pomocą pieniędzy przejęli kontrolę nad moim życiem. Jeśli stracę pieniądze, pozbędę się też ich i odzyskam wolność.

- Rozumiem. A dzieci?

- On tego nie robi. Moja matka mu nie pozwoli. Założysz się?

- Okay. Świetnie. Zatem ustalone. Mało brakowało, a nie poszedłbym na pogrzeb.

- Wiedziałaś, że przyjdiesz - odparła. - Tak mieliśmy zapisane w gwiazdach, John. - Wskazała na niebo. - Tak miało być.

Dziwne, ale podobnie jak wszyscy kochankowie świata czułem to samo. Pozostawało tylko pytanie, co gwiazdy trzymały jeszcze dla nas w zanadru.

## ROZDZIAŁ 62

Susan podała mi do łóżka śniadanie, które, jak sądziłem, przygotowała Sophie. To i lepiej. Był piękny czerwcowy dzień i promienie słoneczne rozświetlały skwierczący na moim talerzu tłuszcz. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

Susan, w koszuli nocnej, usiadła obok mnie po turecku i piła kawę.

- Chcesz kielbasę? - zapytałem.

- Nie, dziękuję.

Wbiłem widelec w jajecznicę na kielbasie.

- To twój dzień. Co chciałbyś dzisiaj robić?

Zastrzelić twojego ojca.

- Jest taki piękny dzień - odparłem. - Chodźmy na plażę.

- Myślałam, że wybierzemy się na zakupy.

- Hmm... A ja myślałem...

Wręczyła mi torbę, która leżała obok niej.

- To prezent z okazji Dnia Ojca. Musimy ci kupić coś, co będzie do tego pasowało. To ode mnie, od Carolyn i Edwarda. Kupiliśmy to razem z Carolyn, kiedy byliśmy w mieście.

- Nie trzeba było...

- Rozpakuj.

Sięgnąłem do torby po obrzydliwy krawat za dwieście dolarów, do którego będę musiał dokupić garnitur. Ale to nie wyglądało na pudełko z krawatem. Może bielizna albo nowy T-shirt? Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem białą czapkę żeglarską z błyszczącym czarnym daszkiem i złotym szamerunkiem. Przyjrzałem się czapce. Ostami raz miałem taką na głowie, kiedy uczestniczyłem w regatach w Seawanhaka - wieki temu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca.

Spojrzałem na Susan nieco zdezorientowany.

- Przymierz - zachęciła mnie.

Nałożyłem czapkę. Pasowała jak ulał.

- To bardzo... miłe - wyjąkałem. Czy jeśli wyjrzę przez okno, to zobaczę jacht?

- Przejrzałam kilka pism żeglarskich i wybrałam pięć łodzi, które musimy dzisiaj obejrzeć.

Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć.

- To chyba zbyt... drogie.

- Wcale nie.

Odwrociłem się w jej stronę - uważając, żeby nie strącić tacy - i dałem jej całusa.

- Dziękuję, ale...

- Żadnego ale. Znow będziemy pływać.

Skinąłem głową.

- Pod jednym warunkiem.

- Nigdy w pojedynkę.

- No właśnie.

- Zgoda.

Siedzieliśmy przez chwilę, trzymając się za ręce, a moja jajecznicza stygła.

- Damy sobie radę? - zapytałem.

- Wszyscy na nią ciułamy. Edward i Carolyn chcą to dla ciebie zrobić.

To nie była odpowiedź na moje pytanie, ale czułem się głęboko poruszony.

Susan odszukała odpowiednie strony w czasopiśmie i pokazała mi reklamy. Obejrzałem zakreślone flamastrem fotografie i uznałem, że myślimy o tej samej klasie łodzi - od czterdziestu do pięćdziesięciu stóp długości. Jeden alden, dwa hinckleye, jedna C&C i czterdziestopięciostopowy morgan. Ceny były równie wysokie jak maszty, ale tak to jest w tym biznesie.

- To mnóstwo pieniędzy - zauważyłem.

- Pomyśl lepiej o wspólnie spędzonych chwilach.

- Postaram się. - Przypomniałem sobie, jak niegdyś wspólnie żeglowaliśmy przy Wschodnim Wybrzeżu. A potem wróciło wspomnienie, tak bardzo różne, mojej samotnej wyprawy dookoła świata. - Musimy namówić dzieci do wspólnego rejsu.

- Już mi to obiecały. Dwa tygodnie w sierpniu.

- Cudownie. - Zaraz po tym przez głowę przeszła mi myśl, co może wydarzyć się pomiędzy dniem dzisiejszym a sierpniem - Stanhope'owie, Susan i ja, Anthony Bellarosa. Może jestem zbyt wielkim pesymistą. A może po prostu realistą? Mimo wszystko nie chciałem psuć nastroju.

- To cudowny pomysł - rzekłem. - Jak na to wpadliście?

- Łatwizna. Usiedliśmy razem, zastanawiając się, jaki ci kupić prezent. Postanowiliśmy napisać nasze pomysły na kartce. Okazało się, że wszyscy napisaliśmy to samo. Żaglówka.

- Dzieciaki są cudowne - rzekłem.

- Bardzo się cieszyły, że mogą to dla ciebie zrobić.

Poczułem przyływ wzruszenia, więc zacząłem żartować.

- A gdzie jest mój krawat?

- Nie wyglądał tak samo dobrze jak w sklepie. Odniosę go. Ciekawe, dlaczego pewne rzeczy zdaniem kobiet wyglądają lepiej w sklepie. Czy to kwestia oświetlenia?

- W porządku. Wezmę łódź. Krawat możesz dać ojcu.

- Świetny pomysł. Jak przyjadą dzieciaki, pojedziemy obejrzeć te zagłówki. One bardzo chcą pomóc.

W końcu to były ich pieniądze. A właściwie Williama, a w takim razie to był naprawdę wspaniały pomysł. Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy powiem Williemu Sknerusowi, że zafundował mi na Dzień Ojca prezent za dwieście tysięcy dolarów - a przynajmniej wpłacił zaliczkę. Niewykluczone, że resztę będziemy musieli sfinansować sami, a nie miałem pewności, czy po dzisiejszym dniu fundusze powiernicze będą nadal wypłacały kasę. Prezent był bardzo miły i świadczył o kompletnej głupocie. Mimo to doceniałem inicjatywę.

- Kończ śniadanie, to dostaniesz kolejny prezent - oznajmiła sugestywnie Susan.

Do diabła ze śniadaniem. No, może jeszcze kawałek kielbasy...

- Musisz mieć na głowie czapkę - powiedziała, zeskakując z łóżka. - Będziesz marynarzem, którego zmył z pokładu sztorm, a ja żoną żeglarza, którego nie widziałam od lat. Opiekuję się tobą i właśnie przyniosłam ci śniadanie do łóżka.

- Okay.

Nie fantazjуй już więcej.

Podeszła do łóżka.

- Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić, sir?

- Cóż...

- Och, sir, dlaczego ta taca sama się unosi?

Uśmiechnąłem się.

- No cóż...

- Zabiorę ją, nim spadnie.

Postawiła tacę na komodzie i wróciła do łóżka.

- Jeśli pan pozwoli, sir, wmasuję panu maść w zranione intymne miejsca.

- Zgoda. - Przytknąłem palce do ronda czapki.



Tak więc nie zjadłem śniadania, ale też nigdy się nie wahałem, kiedy stawałem przed wyborem: seks albo jedzenie.

Carolyn i Edward przyjechali pociągiem o dziewiątej dwadzieścia osiem; z dworca odebrała ich Susan.

Uściskali mnie, wycelowali i wręczyli piękną kartkę ze zdjęciem żaglówki. Podziękowałem im za tę prawdziwą.

- Witaj w domu, tato - powiedział Edward.

- Ty jesteś naszym największym prezentem - dodała Carolyn.

Susan rozkleiła się, podobnie Sophie. Nawet Carolyn, zwykle twarda jak skała, zaczęła przecierać oczy. Edward i ja, w końcu prawdziwi mężczyźni, tylko odchrząknęliśmy.

Nie zdradziłem dzieciom swoich obaw, że jeśli chcą sfinansować zakup łodzi, to wkrótce ich fundusze się wyczerpią. Na szczęście dowiemy się o tym, nim zdążymy podpisać czek, więc nie przejąłem się tym zbyt. Najgorszy scenariusz zakładał, że będą zawiedzeni, nie mogąc wręczyć mi prezentu. Na szczęście będą wiedzieli, kto się do tego przyczynił. Na wszelki wypadek nie przypomniałem im, że mają się uprzejmie zachowywać wobec dziadka i babci.

- W sierpniu popłyniemy do Hilton Head - obiecałem.

- Nie mów o tym dzisiaj moim rodzicom - ostrzegła mnie Susan.

- Oczywiście. Zrobimy im w sierpniu niespodziankę.

Susan nie zamierzała kontynuować tej rozmowy.

Cóż, i tak cały czas nasze myśli krążyły wokół pieniędzy Stanhope'ów. Na szczęście niedługo to powinno się skończyć.

Wsiadliśmy do lexusa i pojechaliśmy oglądać żaglówki.

Pierwsze dwie, czterdziestosiedmiostopowy alden i czterdziestotrzystopowy hinckley, cumowały w marinie i mogliśmy obejrzeć je tylko z pomostu.

Następna, czterdziestojednostopowy hinckley, znajdowała się na terenie prywatnej posiadłości w Manhasset Bay. Zadzwoniliśmy tam wcześniej i kiedy dotarliśmy na miejsce, właściciel pokazał nam ją. Czwarta żaglówka, czterdziestopięciostopowy morgan 454, cumowała w Seawanhaka. Podpłynęliśmy do niej motorówką ale nie wchodziliśmy na pokład. Piąta, czterdziestoczerostopowa C&C, też miała cumować w Seawanhaka, ale jak powiedział nam człowiek kierujący motorówką rodzina zabrała ją na jednodniowy rejs. Dodał jeszcze, że to piękna łódź.

Kiedy wróciliśmy do klubu, okazało się, że na trawniku rozpoczyna się

uroczyste grillowanie z okazji Dnia Ojca.

- Zaprośmy twoich rodziców tutaj zamiast do nas do domu - szepnąłem Susan do ucha tak, żeby dzieci nie słyszały. - Potem popłynę z twoim ojcem tym morganem i zobaczymy, jak się sprawuje na wodzie.

- Nie możemy im wspominać o łodzi - przypomniała mi Susan.

- Porozmawiamy sobie na środku zatoki jak mężczyzna z mężczyzną - ciągnąłem.

Musiła mnie źle zrozumieć, bo powiedziała:

- John, straszenie utopieniem mojego ojca jest nie fair.

- O czym ty mówisz? Jestem tylko ciekawy, czy nadal tak dobrze pływa.

Usiedliśmy na werandzie i zamówiliśmy po Krwawej Mary.

- Spodobała ci się któraś? - zapytała Susan.

- Wszystkie są wspaniałe. Musimy się jakoś umówić i sprawdzić, co potrafią na wodzie. Poza tym chciałbym zobaczyć tę C&C.

- Mnie się podoba morgan - wtrącił Edward. - Jest podobna do tej, którą kiedyś mieliśmy.

- Jest wystarczająco duża, żeby mama i tata dopłynęli nią do Europy - dodała Carolyn.

Tak więc Sutterowie siedzieli na werandzie, sączyli Krwawą Mary, przyglądali odbijającym się w wodach zatoki promieniom słońca i zastanawiali, który jacht jest najlepszy. Tak samo pewnie zachowywali się pasażerowie Titanica przed zderzeniem okrętu z górą lodową.

Nim wróciliśmy do domu, żeby przygotować się na wizytę Stanhope'ów i mojej matki, zatrzymaliśmy się przy cmentarzu w Locust Valley.

Susan, Edward i Carolyn byli tutaj na pogrzebie mojego ojca, a potem pewnie już ta nie zaglądali, więc sprawdziłem w administracji, gdzie znajduje się grób Josepha Suttera. W tym czasie Susan kupiła kwiaty u handlarza, który postawił przy cmentarnej bramie swój stragan.

Szliśmy wysadzaną drzewami aleją w której hulał wiatr. Nagrobki miały tutaj nie więcej niż stopę wysokości i trudno było je zauważyć w gąszczu chwastów, przez które czuliśmy się jak w rezerwacie przyrody albo ogrodzie botanicznym.

W oddali, ogrodzony żywopłotem i płotem z kutego żelaza, znajdował się cmentarz Stanhope'ów. Tam nagrobki i grobowce były okazałe - no, chyba że się było służącym - i nie miało się żadnych wątpliwości, że kroczy się pośród zmarłych.

Natomiast tutaj powracało się do natury. I właśnie w takim miejscu chciałbym spocząć. W odległości przynajmniej pięciuset jardów od najbliższego ze Stanhope'ów. Może powinienem porozmawiać z Susan na temat przełamania rodzinnej tradycji. A może oboje zostaniemy wygnani na cmentarz komunalny.

W ten słoneczny Dzień Ojca sporo osób odwiedzało cmentarz. Na wielu grobach dostrzegłem wiązanki kwiatów, a przy nagrobkach kombatantów wetknięte w ziemię chorągiewki.

- Musimy tu wrócić w przyszłym tygodniu z amerykańską flagą - powiedziała Susan.

Miałem tylko nadzieję, że w przyszłym tygodniu nie pojawimy się tu na wieki wieków. Może jednak powinienem zastanowić się nad wykupieniem tu kwatery? Tak na wszelki wypadek.

Znaleźliśmy grób Josepha Whitmana Suttera. Stała tu niewielka, wysoka na stopę płyta z białego granitu. Gdyby nie wyryte na niej litery, przypominałaby raczej ławkę niż nagrobek.

Oprócz nazwiska i daty urodzin i śmierci znajdował się na niej napis: „Mąż i ojciec” oraz „W naszych sercach na zawsze pozostaniesz żywy”.

Na prawo od grobu była pusta kwatera, bez wątpienia przeznaczona dla Harriet.

Na płycie nagrobnej leżała już wiązanka kwiatów. Podejrzywałem, że przyniosła ją moja matka, chociaż kłóciło się to z jej awersją do ciętych kwiatów. Może w takim razie położyła je tu jakaś tajemnicza kochanka? To by dopiero było. Muszę zapytać Harriet, czy była dzisiaj na cmentarzu.

Stałem tak, patrzyłem na grób ojca i pamięć przywoływała różne wspomnienia. Był człowiekiem spokojnym - zbyt spokojnym - kochającym mężem - prawie pantoflarzem - i przyzwoitym, choć nieco oschłym ojcem. Był bez wątpienia produktem swojej epoki i klasy społecznej. Mógłby tylko okazywać więcej uczuć Emily. Jeśli chodzi o mnie, staraliśmy się zachowywać role ojca i syna, choć dla żadnego z nas nie było to łatwe. Porzuciłem kancelarię Perkins, Perkins, Sutter&Reynolds, choć chciał, żebym został i kontynuował tradycje rodzinne. Jeśli tak miała wyglądać jego nieśmiertelność, to pewnie był mocno zaskoczony, gdy dowiedział się, że pozostali partnerzy wyrzucili mnie ze swojego grona. Był już wtedy na emeryturze, ale po moim odejściu musiał wrócić do pracy i w końcu pewnego dnia zmarł przy biurku.

Tak czy inaczej, moja krótka kariera obrońcy mafiosów była już przeszłością - no, chyba że zadzwonię do Carmine'a Caputo albo Jacka Weinsteina - a Joseph Sutter miał już za sobą całe życie. O dziwo, miał dobre życie i dobre małżeństwo. Co prawda nigdy nie powinni mieć dzieci, ale zaczęli uprawiać seks, nim wymyślono tabletki antykoncepcyjne. Jeden drink za dużo i oto są efekty. W ten sposób pewnie spłodzono połowę mojego pokolenia.

Pewnego razu, w przypływie szczerości, powiedział mi:

- Mogłem zginąć we Francji z dziesięć razy. Dlatego teraz każdy dzień to prezent od losu.

To prawda. Czuję to samo po trzyletnim rejsie dookoła świata.

Susan objęła mnie, a Edward i Carolyn stanęli na uboczu.

Położyłem na nagrobku wiązankę kwiatów.

- Jestem w domu, tato.

## ROZDZIAŁ 63

Pierwsza przyjechała moja matka. Miałem okazję zauważyć, że ona i jej wnuki naprawdę się lubią. Szkoda, że Harriet nie miała stu milionów.

Usiedliśmy na tarasie z dzbankiem sangrii. To chyba najbliższy Trzeciemu Światu trunek, jaki udało mi się znaleźć dla matki.

- Za każdą butelkę sangrii, którą wypijamy, rolnik w Bangladeszu dostaje szkocką z wodą - poinformowałem ją.

Jeśli chodzi o zdrową żywność, Susan i Harriet nadają na tej samej fali. Dlatego prowadziliśmy miłą pogawędkę, pogryzając chrupki z gówna nietoperza czy inne paskudztwo.

Właściwie zaczynałem nawet lubić swoją matkę, co nie było trudne, jeśli wymazało się z pamięci wszystko od chwili urodzin do ostatnich dziesięciu minut. Była jednak osobą, która... wykazywała troskę. Martwiła się o niepotrzebne rzeczy, albo o właściwe w nieodpowiedni sposób, ale przynajmniej była zaangażowana.

A skoro już o tym mowa, ciekawe, o czym rozmawiała z ojcem Hunningsem. I kto zwrócił się do kogo. Harriet, podobnie jak Ethel, dbała bardziej o wszystkich uciskanych na świecie ludzi, których nigdy nie widziała na oczy, zwierzęta i drzewa niż o najbliższych, takich jak ja czy moja siostra. I oto teraz objawiła się nowa Harriet - troskliwa i kochająca babcia, która na dodatek zmartwiona zwierzyła się miejscowemu proboszczowi, że oddaliła się od syna. O co jej chodziło? Może widząc śmierć Ethel, Harriet zdała sobie sprawę ze swojej śmiertelności i dotarło do niej, że droga do nieba rozpoczyna się w domu.

Harriet wypytywała Carolyn i Edwarda o ich pracę i wydawała się tym szczerze zainteresowana. Trochę kłopotu sprawiło jej tylko zrozumienie zawłości systemu wymiaru sprawiedliwości, który próbowała jej wyjaśnić Carolyn. A skoro już mowa o wymiarze sprawiedliwości, ciekaw byłem, czy Anthony Bellarosa wyszedł z ukrycia i świętuje Dzień Ojca. Pewnie nie, w przeciwnym razie już bym o tym wiedział. To ja zasugerowałem Feliksowi Mancuso, żeby policja czyhała na niego na cmentarzu Santa Lucia w Brooklynie, gdzie spoczywał w pokoju Frank Bellarosa.

Mogła się tam pojawić Anna, a wraz z nią pozostałych dwóch synów Franka i może jeszcze Megan z dziećmi. Megan co prawda nie poznała swojego teścia, ale kiedy wchodzi się do włoskiej rodziny, trzeba odwiedzać groby wszystkich krewnych, którzy zmarli w ciągu ostatnich stu lat.

A jeśli chodzi o Mancusa, to dom matki Anthony'ego w Brooklynie i Alhambra były obserwowane dzień i noc. Moim zdaniem Anthony nie wyjdzie z ukrycia, szczególnie w taki dzień jak dziś, skoro wiedział, że jego dom jest pod obserwacją. Ale mógł za to odwiedzić grób ojca. Jeżeli wuj Sal doszedł do takiego samego wniosku, to Anthony będzie martwy, nim policja zdąży go aresztować.

Harriet i Carolyn poczuły się wreszcie zmęczone tematem studiów humanistycznych podejmowanych przez seryjnych morderców.

- Dlaczego przy bramie stoją uzbrojeni strażnicy? - zapytała mnie Harriet.

- Pan Nasim boi się, że chcą mu zrobić krzywdę ajatollahowie. To wszystko wina naszego rządu.

Harriet zawsze się połapie, kiedy ją prowokuję, i nie chwyta przynęty. Z tego, co wiedziałem od Susan, moja matka nie zdawała sobie sprawy, że po sąsiedzku mieszka Anthony Bellarosa. Gdyby wiedziała, kazałaby nam podzielić się tą nowiną z Edwardem i Carolyn. Kiedy byliśmy mali, często mówiła mnie i Emily na przykład takie rzeczy: „Wasz ojciec ma bardzo słabe serce i może w każdej chwili umrzeć. Musicie być na to przygotowani”. Naczytała się chyba jakichś bardzo dziwnych poradników na temat wychowywania dzieci.

W każdym razie Edward, Carolyn i cała reszta uważali, że uzbrojeni strażnicy zostali wynajęci przez pana Nasima i mieli chronić jego życie. Nikomu nawet nie przychodziło do głowy, że może być jeszcze jakiś inny powód.

Postanowiłem zmienić temat.

- Odwiedziliśmy dziś grób ojca - powiedziałem.

Harriet spojrzała na mnie, ale nie odezwała się słowem. Dla niej był to nadal bolesny temat. Zabrakło mi na pogrzebie, a moje tłumaczenia, że byłem na morzu i nie wiedziałem o śmierci ojca, jakoś jej nie przekonywały. Uważała, że był to kolejny przykład na to, że kiedy tylko znajdę po temu okazję, próbuję ją zranić.

- Byłaś tam dzisiaj? - zapytałem.

Powiedz nie. Proszę, powiedz, że nie.

- Zostawiłam wiązanekę. Nie widzieliście jej.

- Widzieliśmy. Ale znam twoje zdanie na temat ciętych kwiatów. - Dlatego pomyślałem, że tata miał kochankę. - Dlatego nie byłem pewny, czy to od ciebie.

- A kto inny mógłby położyć kwiaty na jego grobie?

Może Lola, recepcjonistka z wielkimi cyckami, albo Jackie, gorąca kierowniczką administracyjną.

- Nie wiem - odparłem. - Mówię tylko, że przecież nie lubisz ciętych kwiatów.

- Tylko to było w sprzedaży.

- No cóż. W każdym razie cmentarz jest bardzo ładnie położony. Szkoda, że nie wybraliśmy się tam razem.

- Cieszę się, że poszedłeś do ojca.

To miało znaczyć: dziwię się, że ci się chciało. Niektórzy ludzie rozsiewają wokół siebie blask i aurę ciepła. Harriet rozsiewa poczucie winy. Czy ja mówiłem, że zaczynam ją lubić?

A kiedy już byliśmy przy temacie cmentarzy i pogrzebów, Carolyn powiedziała, że poprzedniego wieczoru widziała w telewizji w barze kilkuminutową relację z pogrzebu Gottiego.

- Rozumiem - rodzina, znajomi, tak zwani współnicy... ale ci ludzie na ulicach... wymachujący rękami i pozdrawiający trumnę, robiący znak krzyża... to było bardzo frustrujące. A potem robili wywiad z kilkoma osobami, które mówiły, że Gotti to bohater, ktoś, kto się o nich troszczył - jednym słowem Robin Hood. Czy coś z tymi ludźmi jest nie tak? - zapytała retorycznie.

Harriet miała gotową odpowiedź.

- Ludzie czują się wyalienowani i szukają bohatera, który... - i tak dalej.

Carolyn, dopiero co nawrócona na tory prawa i porządku, nie przyjmowała do wiadomości tłumaczenia babci, dlaczegóż to uciskany lud Queens traktował Johna Gottiego jak bohatera.

To, niestety, nie dotyczyło Franka Bellarosy, który swoje życie, śmierć i pogrzeb miał już za sobą. Obawiałem się, że Harriet powie za chwilę: John, byłeś na pogrzebie Franka Bellarosy po tym, jak Susan go zastrzeliła. Nie obawiasz się, że jakiś prosty człowiek mógłby uznać, że oto odszedł bohater?". Muszę zadać to pytanie Susan. Oj, będzie się działo.

- Ktoś oglądał wczoraj mecz Jankesów z Metsami? - zapytałem.

Nim zdążyliśmy omówić przebieg meczu, punktualnie o szesnastej pojawili się William i Charlotte. Charlotte podbiegła do Edwarda i Carolyn i wprost zasypała ich pocałunkami. Tymczasem William Szalony wykrzyknął do Carolyn:

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza, młoda damo!

Potem zaczął się w żartach boksować z Edwardem, a mnie klepnął po męsku w tyłek ze słowami: „Cześć, wielkoludzie! Może otworzymy jakiś browar?!”.

Niekoniecznie. William z wymuszonym uśmiechem przyjmował życzenia z

okazji Dnia Ojca. Nawet do mnie wymamrotał:

- Wszystkiego najlepszego.

William i Charlotte poprzestali na sangrii, odrzucając moją propozycję przyrządzenia martini. Oprócz tego dostali po kieliszku białego wina, które było dla nich niczym woda z kranu. Usiedliśmy przy stole i zajęliśmy się niezobowiązującą rozmową, która sprowadzała się do paplaniny Charlotte o tym, co w ciągu ostatnich kilku dni robili z Williamem. Byłem zdumiony, że cokolwiek pamiętała. William był raczej milczący i pewnie rozmyślał o naszych dawnych i przyszłych negocjacjach.

Właściwie byłem zadowolony, że jest tu Harriet, bo to zmuszało Stanhope'ów do w miarę normalnego zachowania.

Obserwowałem uważnie Williama ciekawym, czy jego kichanie nie przerodziło się już w kaszel. W tym wieku trzeba o siebie dbać. Wyglądał całkiem normalnie - może był tylko trochę bledszy. A tam na czole, czy to tylko starcze plamy, czy może czerniak?

Myślałem też o wczorajszym spotkaniu Williama i Charlotte z ojcem Hunningsem. Miałem nadzieję, że dobry pasterz poradził im, żeby zajęli się własnymi sprawami i dali hojny prezent ślubny, zapłacili za wesele, podnieśli Susan kieszonkowe i zaczęli uprawiać akrobacje spadochronowe.

A może przeciwnie, William przeciwnął ojca Hunningsa na swoją stronę i przekonał go, że należy wydziedziczyć Susan za poślubienie człowieka, który jest być może łowcą posagów, i to na dodatek niezrównoważonym psychicznie. Hunnings i ja nigdy się specjalnie nie lubiliśmy, a poprzedniego wieczoru też nie znaleźliśmy płaszczyzny porozumienia. Cóż, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Może powinienem być bardziej uprzejmy wobec ludzi, od których może zależeć moja przyszłość? A może nie?

Susan poleciła Sophie zaprosić wszystkich na obiad nie później niż za kwadrans piąta - w końcu ile można czekać w ich towarzystwie - i faktycznie o ustalonej porze pojawiła się na tarasie, obwieszczając: „Podano do stołu”.

Przeszliśmy do jadalni, a Susan usadziła nas przy stole. Obaj ojcowie na honorowych miejscach po przeciwnych stronach stołu, tak żebyśmy mogli na siebie patrzeć. Susan posadziła moją matkę po mojej lewej stronie, a Charlotte po prawej stronie Williama. Wcześniej uzgodniliśmy, że dzieci zostaną usadzone strategicznie na lewo od dziadka, czyli naprzeciw Charlotte. Po mojej prawej stronie zajęła miejsce Susan. Rozpocząłem uroczystym przemówieniem: - Pierwsze danie to tradycyjna



polska potrawa, sałatka fundusz powierniczy.

Oczywiście nie powiedziałem tego. Ale miałem w zanadrzu kilka ciekawych określeń, których mogłem w każdej chwili użyć, doprowadzając tym dzieci do chichotu. Na przykład: „zielone”, „kasiorka”, „szmal” czy „forsa”.

Susan wzniosła toast za wszystkich wspaniałych ojców świata, a William, sądząc, że chodzi o niego, odpowiedział:

- Dziękuję.

- I za Josepha - dodała Susan.

Te słowa sprawiły, że w oczach mojej matki pojawiły się łzy. I to jest kobieta, której udało się w Josephie Sutterze zabić wszelkie instynkty ojcowskie. Ale jak już wspomniałem, teraz przeistoczyła się w kochaną babunię. Miałem tylko nadzieję, że babcina miłość znajdzie odzwierciedlenie w jej testamencie. Wieloryby obęda się bez jej pieniędzy.

- Szkoda, że nie ma z nami Petera - zauważyłem. I szybko zapytałem Stanhope'ów: - Gdzie on teraz pracuje?

- Jest w Miami i stamtąd zarządza rodzinnym interesem - odparł William.

Nie chciałem wytykać, że nie ma żadnego rodzinnego interesu, tylko jest stara fortuna, którą zajmują się specjaliści, więc zamilkłem. Powstrzymałem się przed oznajmieniem, że Peter to zwykły palant, który nie potrafi rozmiąć dolara, jeśli nie skonsultuje tego z doradcą finansowym.

- Proszę przekazać mu moje pozdrowienia - powiedziałem zamiast tego.

I poinformować go, że spotkamy się w sądzie.

Gdyby Stanhope zarobił te pieniądze własną pracą, nie zazdrościłbym mu ich. Ludzie mogą ze swoimi ciężko zapracowanymi pieniędzmi robić, co chcą. Ale on je odziedziczył, dostał w wyniku genetycznej sukcesji, a nie dzięki mozolnej pracy, przymiotom umysłu czy nawet szczęściu. Dlatego byłem przekonany, że William Dupek powinien je przekazać swoim potomkom, nawet Peterowi Bezwartościowemu, tak samo jak wcześniej trafiły w jego, Williama, bezużyteczne ręce. Nie wolno było używać tych pieniędzy jako oręza albo przynęty dla psa Pawłowa.

Mimo wszystko obiad przebiegł w całkiem miłej atmosferze, a dzięki obecności Harriet Stanhope'owie nie zachowywali się jak skończone dupki. Na przykład ani razu nie wspomnieli o zmarłym mężu Susan, czyli ojczymie moich dzieci. Gdyby to zrobili, na pewno warknąłbym: „Edward i Carolyn uważają, że był, tak jak wy, starym, nudnym pierdołą”. I na tym obiad by się skończył.

- Nie możemy się doczekać powrotu do domu - powiedziała zamiast tego Charlotte Słodka Idiotka.

Wszyscy podzielaliśmy jej uczucia, ale mimo to odparłem:

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wasz dom w Hilton Head.

Nie odezwali się na to słowem. William spojrział tylko na mnie i przysięgłbym, że z jego nozdrzy buchnęły kłęby dymu.

Susan podtrzymywała gasnącą konwersację, ale nie podobało mi się, kiedy mówiła do dzieci: „Opowiedzcie dziadkom o...”. Było to nieco naciągane, choć muszę obiektywnie przyznać, że babcia i dziadek nie dowiedzieli się zbyt wiele od swoich wnucząt. Zresztą najwyraźniej Stanhope'owie postanowili trzymać Edwarda i Carolyn na dystans do czasu, aż wyjaśni się sprawa ich rodziców.

Susan prosiła mnie wcześniej, żebym był serdeczny i nie stroił fochów. Postanowiłem zrobić więcej. Jestem dobry w teatralnych gestach (ocierających się o parodię) i naprawdę dałem z siebie wszystko. Na przykład, powiedziałem Williamowi:

- Dzień Ojca będzie dla mnie nieudany świętem, jeśli nie pozwolicie mi przygotować wam martini.

Za którymś razem nazwałem go „tatusiem”, co sprawiło, że cały się zatrzęsł. Co więcej, moja paplanina sprawiła, że wyraźnie zamknęli się w sobie.

Harriet najwyraźniej musiała zauważyć, że Stanhope'owie nie lubią jej syna. Ona co prawda dzieliła ich uczucia, ale nie podobało jej się, kiedy inni szli jej śladem. W końcu byłem jej skretyniałym synem, a nie ich. Taka jest moja mama.

Zastanawiałem się, czy nie zaintonować pieśni *Oh, my Papa*, ale postanowiłem poczekać z tym do chwili, kiedy znajdziemy się w salonie. Tam stało pianino. Susan i Charlotte będą grały, a my, objęci, zaśpiewamy radośnie.

Obiad skończył się około szóstej trzydzieści, czyli tak jak zaplanowała Susan.

Czekał nas jeszcze uroczysty deser, przeszliśmy więc do salonu i usiedliśmy przy stoliku do kawy. Sophie przywlokła ze sobą wózek i podała kawę, herbatę i likiery.

Pojawił się też własnoręcznie przez nią zrobiony tort z napisem „Szczęśliwego Dnia Ojca”. Susan wyjęła torbę z prezentem i wręczyła ją ojcu.

William uśmiechnął się, widząc, że wraca do niego część wypłacanego Susan co miesiąc kieszonkowego. Wyjął ze środka kartkę, otworzył ją i przeczytał. Nie zająknął się nawet, że to był prezent od nas wszystkich. Zwyczajna świnią.

Potem wyjął z torby pudełko i po dłuższym czasie rozgryzł sposób jego

otwierania. Ze środka wyjął jeden z najbrzydliwszych krawatów, jakie w życiu widziałem. Był opalizująco różowy i kiedy się patrzyło pod różnymi kątami, zmieniał kolory jak kameleon.

Najwyraźniej przypadł mu do gustu.

- Dziękuję, Susan - powiedział.

- To prezent od nas wszystkich, tato - zwróciła mu uwagę Susan.

A ja dostałem jacht - chciałem się pochwalić, ale żeby być miłym, powiedziałem:

- Sam chciałbym taki dostać.

Na to wtrąciła się Harriet.

- A co ty dostałeś od dzieci, John?

Na szczęście miałem już przygotowaną odpowiedź.

- Dwa bilety lotnicze do Hilton Head. - I uśmiechnąłem się do wyraźnie skrzywionych Stanhope'ów.

Czyżby mieli jakieś problemy neurologiczne?

Patologiczne uroczystości rodzinne miały się ku końcowi, mimo że prosiłem Susan i Charlotte, żeby zagrały na pianinie. Carolyn odparła, że chciałaby złapać pociąg o ósmej dwadzieścia pięć, bo musi się w domu przygotować do czekającej ją następnego ranka konferencji. Harriet zaoferowała, że ją odwiezie na dworzec, ale Carolyn wciąż jeszcze nie doszła do siebie po ostatniej przejażdżce z babcią więc poprosiła Edwarda, żeby ją odwiózł. Edward z kolei zamierzał przenocować u kolegi, a wcześniej rano miał polecieć do domu, więc już teraz pożegnał się z dziadkami.

Wyszliśmy wszyscy przed dom, zaczęliśmy się ścisnąć, całować na pożegnanie i życzyć sobie szczęśliwej podróży. W tym Sutterowie i Stanhope'owie byli najlepsi - w pożegnaniach.

- Widujemy się tylko na ślubach i pogrzebach - zauważyła Harriet.

- Następną okazją będzie chyba ślub Johna i Susan.

Ja miałem nadzieję, że najbliższą okazją będzie pogrzeb Williama.

- Ślub bierzemy w Seawanhaka jeszcze przed końcem lata - oznajmiłem.

Harriet wydawała się szczerze zadowolona i uśmiechnęła się do Williama i Charlotte, którzy wyglądali tak, jakby ktoś w ich towarzystwie pierdnął.

- Czyż to nie cudowne? - zapytałem ich.

Gdybyście słyszeli, jak zazgrzytał im klej do protez... Dobra stara Harriet przeszła w końcu do ataku. I wcale jej do tego nie namawiałem. Uściskałem Carolyn

ze słowami:

- Już nie będę więcej dzwonił do ciebie z Londynu.

- Kocham cię, tato.

William znowu się skrzywił. Gdyby miał serce, to potrafiłby zrozumieć tę miłość, wziąłby mnie na bok, powiedział: „błogosławię wasz związek”, a potem padł trupem.

Harriet odjechała, nie zabijając nikogo po drodze, a potem Edward i Carolyn wsiedli do lexusa.

Spojrzałem na Williama i doszedłem do wniosku, że nadszedł już czas na naszą rozmowę.

- Jeśli się nigdzie nie spieszysz, to proponuję drinka w moim gabinecie - powiedziałem.

Spojrzał na swoją żonę, potem na mnie i odparł:

- Zgoda.

Wróciliśmy do środka. Susan obwieściła, że razem z matką pomogą Sophie w sprzątaniu, a w tym czasie mężczyźni „odpoczną”. Było to bardzo urocze i staroświeckie. I kompletnie bzdurne. Charlotte nie odróżniała zmywarki do naczyń od odkurzacza. Na szczęście Susan będzie miała okazję ją czegoś nauczyć. Ja natomiast zastanawiałem się, czy nie powinienem zabrać ze sobą strzelby.

Zaprowadziłem Williama do gabinetu i zamknąłem za nami drzwi.

## ROZDZIAŁ 64

Zaproponowałem Williamowi martini. Kusilo go, ale niestety odmówił.

Usiadł na sofie, a ja w fotelu.

Nie zamierzałem rozpoczynać tej rozmowy ani nawet żadnych niezobowiązujących pogaduszek, więc siedziałem i patrzyłem na Williama jakby to on poprosił mnie o rozmowę.

W końcu poczuł się trochę niezręcznie i zapytał:

- Chcesz o czymś porozmawiać?

- Myślałem, że to ty chcesz - odparłem.

- No... chyba porozmawiać o tym... o czym już rozmawialiśmy.

- W porządku.

Odchrząknął i przeszedł do rzeczy.

- Na początek pozwól mi powiedzieć, John, że ani ja, ani Charlotte nie czujemy do ciebie żadnej wrogości.

- Powiedziałeś wcześniej, że nic was nie obchodzi.

- Nie o to chodzi. Chodzi o Susan.

- Ona mnie lubi.

- Tak jej się wydaje. Rozmawialiśmy już o tym. To naprawdę nie ma znaczenia, czy ja lubię ciebie, a ty mnie. Jesteśmy z Charlotte przekonani, że wasze ponowne małżeństwo stanie się źródłem nieszczęść i znów zakończy rozwodem.

Milczałem.

- Dlatego, aby uchronić nas wszystkich przed niepotrzebnymi cierpieniami, chciałbym, żebyś ponownie przemyślał swoje oświadczenia.

- Rozumiem. Podkreśliłeś wcześniej także, że moje intencje mogą być nie do końca czyste, a moja miłość do Susan skażona miłością do jej pieniędzy.

Ponownie odchrząknął.

- Mówiłem tylko o podświadomych intencjach.

- No dobrze. Myślałem o tym i doszedłem do wniosku, że kocham Susan dla niej samej. Kocham też moje dzieci i chcę, żebyśmy byli znów rodziną. Zauważyłeś to dziś wieczorem?

- Chyba tak Ale Edward i Carolyn są dorośli i nie mieszkają już tutaj. Możesz zatem utrzymywać z nimi dobre stosunki bez wiązania się z ich matką.

- To nie to samo, William.

Nie bardzo wiedział, co dalej powiedzieć, więc przeszedł do sedna sprawy.

- Jestem gotów zaoferować ci milion dolarów płatny w dziesięciu rocznych ratach, jeśli zdecydujesz się zerwać te zaręczyny i wrócić do Londynu. Albo zamieszkać gdziekolwiek indziej poza granicami Stanów.

Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem.

- Jeśli obawiasz się tylko, że mam ochotę na pieniądze Susan, to można rozwiązać ten problem za pomocą intercyzy.

Milczał, więc mówiłem dalej:

- Ile dostałem po rozwodzie z Susan? Chciałem ci przypomnieć, że nic. Możemy więc skopiować tamten dokument i jeszcze raz go podpisać. To powinno ci wyraźnie pokazać, że mam wobec Susan szczerze zamiary.

William zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę, i intensywnie myślał nad tym, jak z niej wybrnąć. Naprawdę jest głupi, ale kiedy mowa o pieniądzach, uruchamia resztki swoich szarych komórek.

- Nie chodzi tylko o pieniądze, John - odezwał się końcu. - Mamy na względzie przede wszystkim szczęście Susan. Nie chcemy, żeby była tak... zrozpaczona jak poprzednim razem.

To ciekawe. Nigdy nikt mi nie powiedział wcześniej, co czuła Susan po tym, jak ją opuściłem. Przychodziły mi do głowy dwie rzeczy - pierwsza, że było jej przykro, ale potem doszła do siebie, i druga, że była zdruzgotana, przybita, miała poczucie winy i uważała, że to już koniec jej życia. A teraz kochający tatuś William twierdził, że nie chce ponownie patrzeć, jak Susan cierpi. Uwierzyłem mu, co więcej, czułbym nawet wobec niego jakiś rodzaj empatii, gdybym nie był przekonany, że jest obłudnym manipulantem i przebiegłym kutasem. Może mówił także w imieniu Charlotte, która choć była idiotką to pewnie chciała szczęścia córki.

- Może to cię zdziwi, William, ale wiedliśmy z Susan wspaniałe, szczęśliwe życie. I wiedlibyśmy je dalej, gdyby... - naprawdę nie chciałem poruszać tego tematu, ale nie było innego wyjścia - ...nie miała romansu z Frankiem Bellarosą a później go nie zabiła.

- Rozmawialiśmy z Charlotte o tym... co się stało, i doszliśmy do wniosku, że wasze małżeństwo nie było widocznie tak wspaniałe, jak twierdzisz. Gdyby było, nie doszłoby do tego.

Sam też już o tym myślałem, ale kiedy teraz nad tym się zastanawiam, uważam, że naprawdę byliśmy dobrym małżeństwem. Susan też tak uważała. Ale nawet w raj

zdarzają się paskudne historie. Dziewięćdziesiąt procent tych, którzy, jak wiedziałem, mieli romans, było szczęśliwymi małżonkami. Niestety, od czasu do czasu ogarniała ich jakaś obsesja, którą brali za prawdziwą miłość. Tak właśnie rodziły się romanse.

Ale nie wyjaśniłem tego wszystkiego Williamowi.

- Susan powiedziała mi, i wam to pewnie też nieraz mówiła w ciągu ostatnich dziesięciu lat, że nic złego między nami nie zaszło. To, co się wydarzyło, było aberracją a nie wskaźnikiem głębszego problemu. Susan doznała... seksualnego opętania tym człowiekiem. Dostała nauczkę, i więcej to się nie powtórzy.

William czuł się zakłopotany, słysząc o seksualnym opętaniu swojej córki. Pewnie myślał, że wciąż jest dziewicą. Odrzucał od siebie wizję sypiających ze sobą Franka i Susan.

- Oboje żyjecie złudzeniami, skoro chcecie wrócić do przeszłości - powiedział. - I jeśli mam być szczery, John, to zawsze miałeś rozbiegany wzrok.

Chrzęć się, William. To prawda, flirtuję. Zawsze flirtowałem. I zawsze lubiłem popatrzeć na kobiety, ale nigdy nie miałem romansu (no, tylko raz z Jenny Alvarez) w trakcie dwudziestu lat małżeństwa. Ale to nie była jego sprawa.

- Dojrzeliliśmy przez te lata i zrozumieliśmy, że nie można igrać z ogniem.

Obawiałem się, że ten argument nie dotarł do jego spiczastego łba, ale jednak zrozumiał i zaatakował z innej strony.

- Wiesz chyba, że Susan przez te lata miała wielu kandydatów do ręki.

W ten oto sposób człowiek z wyższych sfer mówił, że Susan pieprzyła się, z kim popadnie. William, ty draniu. Chcesz przez to powiedzieć, że Susan to dziwka, z którą nie warto się żenić?

- Nie wiem, czy potrafisz pogodzić się z faktem, że Susan miała kilku innych mężczyzn - dodał. - Ten fakt może wyjść na jaw podczas jakiejś rozmowy. Susan może otrzymać jakiś list, ktoś może do niej zadzwonić. Zaczniecie się kłócić i nieszczęście gotowe.

Jestem święcie przekonany, że większość ojców nie odradza swoim przyszłym zięciom ożenku tylko dlatego, że opisanie historii życia seksualnego ich córek zajęłoby wiele tomów. Ale William uznał, że to będzie szybki i skuteczny sposób zniechęcenia mnie do Susan. Zawsze jeszcze mogliśmy wrócić do sprawy pieniędzy.

- Doceniam twoją troskę i szczerą - powiedziałem. - Ale musisz zrozumieć, że oboje z Susan wiemy, że nie byliśmy przez ostatnie dziesięć lat święci. Tak, William, miałem w każdym porcie dziewczynę. I na pokładzie też się zdarzały. Ale moja

przeszłość i przeszłość Susan nie będą miały wpływu na naszą przyszłość - No, chyba że jakiś dupek z Hilton Head do niej zadzwoni. - Dlatego nie ma o czym dyskutować. I jestem szczerze zaskoczony, że pozwoliłeś sobie poruszyć temat naszego życia seksualnego.

William poczerwieniał na twarzy.

- Chciałem tylko... - odchrząknął głośno - ... żebyś zdjął te swoje różowe okulary.

Boże, cóż za banał.

- Zawsze najpierw myślę, nim coś zrobię.

- Mam nadzieję. Choć widzę, że zamierzasz brnąć w to małżeństwo mimo obiekcji moich i Charlotte.

Udałem głupka i zacząłem:

- Panie Stanhope, ośmielam się prosić pana o rękę jego córki, a także o błogosławieństwo na dalszą drogę życia.

Pamiętał chyba jeszcze, jak to było poprzednim razem, więc liczyłem trochę na to, że sentymentalny stary głupiec przetrze zażawione oczy i powie: »Będę dumny, mogąc nazywać cię swoim zięciem».

Tymczasem William tylko prychnął.

- Panie Stanhope, błogosławieństwo? - Ponownie prychnął. - Nigdy w życiu nie pobłogosławimy związku Susan z tobą.

- Ale chyba mogę liczyć na posag?

- Posag? Chyba żartujesz.

- Oczywiście, że żartuję.

A skoro już byliśmy przy temacie błogosławieństwa i świętego sakramentu małżeństwa, zwróciłem mu uwagę:

- Jestem na ciebie trochę zły, William, że rozmawiałeś na nasz temat z ojcem Hunningsem.

Nie wyglądał na zaskoczonego, że o tym wiem. Zwykle jest tak, że kiedy poskarżysz się pastorowi na innego parafianina, to pastor zaraz do niego idzie porozmawiać.

Chyba nie chciałbym być duchownym - wszyscy się przed nim użalają, proszą o radę albo wskazówkę, albo tak jak William, chcą zatrudnić Pana Boga do załatwienia swoich interesów.

- Nie powinno cię złościć, że poruszyłem ten temat z ojcem Hunningsem -



odparł. - Posłuchaj jego rady i uczęszczaj na nauki przedmałżeńskie.

- O jakich naukach przedmałżeńskich mówisz? Przecież nie chcecie, żebyśmy się z Susan pobrali.

- Mówię o takich naukach, które pozwolą ci wreszcie zrozumieć, że to, co jest dobre dla ciebie, niekoniecznie musi być dobre dla twojej narzeczonej.

- Rozumiem. Ale przecież twoje zdanie już znam. Po co mieszać do tego ojca Hunningsa?

- Chyba nie muszę ci tłumaczyć, że w naszej religii wysłuchanie nauk przedmałżeńskich jest warunkiem koniecznym do zawarcia małżeństwa.

- Cóż, bywają nauki i nauki. Mam wrażenie, że ich temat sam przygotowałeś.

- Sugerujesz, że... wpłynąłem na ojca Hunningsa...?

- Może raczej uprzedziłeś go do nas. I jeszcze dałeś mu motywację, żeby nastawił Susan przeciwko mnie.

- To oburzające!

- Mimo to podtrzymuję swoje zdanie.

- W takim razie będę musiał powiedzieć o twoich oskarżeniach ojcu Hunningsowi.

- Jeśli to nieprawda, powtórzysz mu moje słowa, ale dobrze wiesz, że było tak, jak mówię.

William zacisnął zęby i zapanował nad oburzeniem.

- Cała ta dyskusja będzie bezcelowa, jeśli dojdziemy do porozumienia. Złożyłem ci pewną propozycję.

- Której nie przyjmuję.

- Dobrze...

William nie zamierzał oczywiście ukłonić się i wyjść. Miał jeszcze kilka asów w rękawie, a do tej pory nie wyciągnął żadnego. Na razie przetasował karty i rozdał je na nowo.

- Jestem gotów podnieść stawkę. Dwieście tysięcy teraz, a potem dziesięć rocznych rat po sto tysięcy.

No, cóż, pieniądze przemawiają do wyobraźni. Ale ja lubię się targować.

- Z tego, co wiem, nawet ta pierwsza rata jest mniejsza od kieszonkowego, które dostaje Susan. Dlaczego zatem miałbym chcieć wracać do Londynu i otrzymywać tylko procent od kwoty, którą mógłbym dzielić z Susan tutaj?

Teraz musiał wyciągnąć jakiś atut i wytłumaczyć mi, jak ciężkie bywa niekiedy

życie. Pochylił się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Mogę cię zapewnić, John, że jeśli pobierzecie się z Susan, ona przestanie dostawać kieszonkowe.

Naprawdę?

- Chcesz wpędzić córkę w tarapaty finansowe? - zapytałem.

Uśmiechnął się, a był to iście diabelski uśmiech.

- Sugerujesz, John, że małżeństwo z tobą i tarapaty finansowe to jedno?

Celny strzał, William. Ale spodziewałem się takiej riposty.

- Myślałem tylko, że po ślubie zajmę się surfowaniem zamiast pracą, ale cóż...

Bez wątpienia uznał, że kpię sobie z jego syna. Może powinienem powiedzieć, że zajmę się grą w golfa? Dlaczego wspomniałem o surfingu? Chyba jednak chciałem mu dokuczyć.

Sprawiał wrażenie porządnie zirytowanego, ale nie dał się sprowokować.

- Chyba będziesz musiał pójść do pracy - powiedział.

- Zawsze pracowałem, jeśli nie liczyć tych trzech lat na morzu. I całkiem dobrze mi się powodziło, William. I tu, i w Londynie. Niestety moją pozycją zawodową zachwiało to, co się wydarzyło dziesięć lat temu. Czuję się odpowiedzialny za to, co zrobiłem, ale chciałbym ci przypomnieć, że to postępowanie twojej córki zmusiło mnie do opuszczenia rodziny i porzucenia firmy. Wybaczyłem Susan, bezwarunkowo. Wybaczyłem też samemu sobie, ale musi minąć trochę czasu, nim znów wrócę do zawodu i zacznę zarabiać tyle, żeby zapewnić twojej córce taki poziom życia, do jakiego jest przyzwyczajona. Chciałem ci jeszcze przypomnieć, że to ty i Charlotte upieraliście się, żeby Susan nie pracowała. Żałuję teraz, że się na to godziłem. Ponieważ nie ma żadnego doświadczenia zawodowego, nigdy nie znajdzie dobrze płatnej pracy, i to wy jesteście temu winni.

William najwyraźniej nie miał ochoty, żeby mu przypominano o niewygodnych dla niego faktach, więc odparł krótko:

- Powtarzam, jeśli się z nią ożenisz, zabiorę jej kieszonkowe.

- W porządku. Rozmawialiśmy o tym z Susan i ustaliliśmy, że to nie zmieni naszego postanowienia.

Tym razem William uśmiechnął się znacząco.

- Może Susan zechce to jeszcze przemyśleć.

Pieprz się, William.

- To raczej ty powinieneś przemyśleć swoje małostkowe i mściwe

postępowanie.

- Nie będziesz się do mnie w ten sposób odzywał.

- To wszystko prawda, William.

Przez moment zdawało mi się, że zabierze ze stołu swoje karty i wyjdzie, ale miał w rękawie jeszcze jednego asa.

- Poza tym, jeśli się pobierzecie, wykreślimy Susan z testamentów.

Teraz zaczęliśmy rozmawiać o poważnych kwotach. Ich śmierć i związane z nią pięćdziesiąt milionów dolarów były przecież kluczem do niebiańsko szczęśliwego życia. A szczególnie ich śmierć.

- W takim razie co najmniej przez dziesięć lat majątek będzie zamrożony z powodu sporu sądowego, który zamierzam rozpętać. Peterowi może się to nie spodobać.

Teraz był naprawdę wkurzony. Poczzerwieniał na twarzy. Czyżby skoczyło mu ciśnienie?

- To jest najbrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś - syknął.

- Wcale nie. Przypomnij sobie.

- Ty... - Wstał i czekałem, kiedy padnie trupem, ale nic takiego nie nastąpiło, więc ja również wstałem.

- Swoją propozycją kupienia mnie zostałem przez ciebie obrażony. Ja nie jestem na sprzedaż. Nie dbam o twoje pieniądze, zresztą Susan też. A ciebie nic nie obchodzi córka. To sprawa między nami i nic nie ma wspólnego z jej szczęściem. Dobrze wiesz, do cholery, że jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Dobrze wiesz, jak cieszą się nasze dzieci. To ty jesteś nieszczęśliwy, że znowu się pojawiłem w twoim życiu, i jesteś gotowy raczej stracić córkę, niż zyskać zięcia, który ma w dupie brednie, jakie opowiadasz. Tak więc ty podjąłeś swoją decyzję, a my z Susan podjęliśmy swoją.

Zupełnie nie reagował na mój wywód - stał nieruchomo i patrzył przed siebie. W pewnym momencie obrócił się i powiedział:

- Jeszcze się przekonamy, jaka jest decyzja Susan.

- Tak, przekonacie się. Ale teraz ty i twoja żona macie opuścić ten dom. Jeśli chcecie porozmawiać z Susan, musicie się z nią umówić na spotkanie. - Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je na oścież. - Do widzenia. I wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca.

Podeszedł szybko do drzwi, zatrzymał się, obrócił w moją stronę i powiedział:

- Pomyśl też o swoich dzieciach.

To był jego ostatni atut.

- Niech mi o tym powie twój doradca finansowy.

Poszedł odszukać Charlotte, która na pewno nie zmywała teraz naczyń w kuchni.

Zamknąłem drzwi, a kilka minut później usłyszałem, jak Susan, Charlotte i William rozmawiają cicho w holu. Następnie trzasnęły drzwi frontowe.

Drzwi gabinetu otwarły się i do środka weszła Susan.

- Czy powinnam w ogóle pytać, jak przebiegła rozmowa?

Spojrzałem na nią i miałem ochotę powiedzieć, że jej ojciec okazał się dokładnie takim człowiekiem, za jakiego go zawsze uważałem, ale przecież nie o to chodziło.

- Mam dobrą i złą wiadomość.

- Jaka jest ta dobra?

- Że twój ojciec zaproponował mi milion dwieście tysięcy dolarów, jeśli wrócę do Londynu.

- Co takiego?

- To, co słyszałaś.

Susan zamurowało.

- Co mu odpowiedziałeś? No tak, nie muszę chyba pytać.

- Oczywiście, że nie musisz. Odmówiłem. Chcę dwa miliony. I teraz zła wiadomość. Nie chce mi ich dać.

Zorientowała się, że żartuję, choć chyba nie wydało jej się to wszystko zabawne. Usiadła na sofie i wbiła wzrok w ścianę.

- To jest obrzydliwe - odezwała się wreszcie. - To... to podłe.

- Mam na ten temat podobne zdanie. Przecież jesteś warta ćwierć miliona rocznie. Aha, jeszcze jedna zła wiadomość - jeśli się pobierzemy, stracisz kieszonkowe.

- Nie dbam o to - powiedziała, patrząc mi w oczy.

- Nie ma znaczenia, czy dbasz o to, czy nie. Okazałaś się niegrzeczną dziewczynką i nie dostaniesz od tatusia pieniędzy. To samo dotyczy twojej części spadku.

Zaczęła do niej powoli docierać okrutna prawda.

- Nie próbowałeś go przekonać?

- Nie - odparłem. - Napijesz się czegoś?

- Nie.

- A ja tak. - Nalałem sobie trochę brandy.

W końcu Susan zmieniła zdanie, więc jej też nalałem.

Nie mieliśmy powodów do wznoszenia toastów, toteż piliśmy w milczeniu.

- Matka... tłumaczyła mi, dlaczego nie powinnam wychodzić za ciebie za męża.

- I co ci ciekawego powiedziała?

- Że nie zdołasz zapewnić mi takiego poziomu życia, do jakiego przywykłam - odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Nie powiedziałaś jej, że w łóżku jestem bestią?

Tym razem uśmiechnęła się naprawdę.

- Powiedziałaś jej, że zawsze mieliśmy udane pożycie.

- Czyżby ci zazdrościła?

- Być może. Uważa, że za dużo pijesz. Szczerze nas to oboje rozbawiło.

- Nie dałbym im rady.

Usiadłem koło Susan na sofie. Chwyciliśmy się za ręce i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Ojciec wyglądał na wściekłego - zauważyła.

- Byłem dla niego bardzo serdeczny, nawet po tym jak zaproponował mi łapówkę. Naprawdę, Susan.

- Wierzę ci.

- Ale na koniec musiałem go postraszyć pozwem sądowym, gdyby spróbował cię wydziedziczyć. Niestety, kieszonkowe przepadło. Nawet gdybym znalazł jakiś prawniczy sposób, żeby go zmusić do wypłacania ci go, nie miałbym chyba do tego moralnego prawa. Zgodzisz się ze mną?

- Tak. A więc teraz jestem wolna.

- Zgadza się. Chyba powinnaś zrezygnować z osobistego trenera.

- Przestań ze mnie żartować.

- Przepraszam. - Powinienem teraz podjąć decyzję, czy poinformować ją o ostatnim pomysle Williama - o dzieciach. Postanowiłem, że sam powinien jej o tym powiedzieć. Susan powinna usłyszeć to z ust swojego ojca. - Przypuszczam, że ojciec wkrótce zechce z tobą zamienić parę słów.

- Umówiliśmy się na jutro rano. Pojawią się tutaj przed wyjazdem na lotnisko.

- Doskonale. W takim razie ja się ulatniam.

- Dziękuję. - Spojrzała na mnie uważnie. - Czy wspominał coś o dzieciach?

- Na pewno jutro wspomni.

Pokiwała głową.

Susan nie wyglądała jak ktoś, kto właśnie odzyskał wolność, choć szczerze mówiąc, trudno ją było o to winić. Wolność bywa straszna.

- Posłuchaj, jeśli to będzie chodziło tylko o mnie...

- Do kurwy nędzy, zamknij się, John.

Zaskoczyła mnie. Gdzie ona nauczyła się tak przeklinać? Zabawnie to brzmiało, kiedy kłęła z tym swoim patrycjuszowskim akcentem.

- Możesz wyrazić się jaśniej? - poprosiłem ją.

- Przepraszam.

Roześmialiśmy się oboje. Potem zakryła twarz dłońmi, a z oczu popłynęły jej łzy.

- Niech to szlag - zaklęła.

Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie.

- Wszystko będzie dobrze, Susan. Przecież wiedzieliśmy, że tak się stanie.

Wytarła twarz wierzchem dłoni.

- Ty wiedziałaś. Ja w to nie mogłam uwierzyć.

Podąłem jej chusteczkę.

- Bądź wobec siebie szczerą. Wiedziałaś.

Pokiwała głową.

- Ile ja przez nich wycierpiałam... Dlaczego oni są tacy... bez serca?

Nie odpowiedziałem.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Naprawdę. Nie rozumiem dlaczego... dlaczego nie widzą że jesteśmy ze sobą szczęśliwi.

Nie chciałem przerywać tej minuty szczerości, ale musiałem wtrącić:

- To właśnie im się nie podoba. Twój ojciec nigdy mnie nie lubił. Szczerze mówiąc, z wzajemnością. Ale w przeciwieństwie do mnie nim kieruje raczej nienawiść niż miłość. Nic na to nie poradzimy.

Pokiwała głową, wytarła oczy i wzięła głęboki wdech.

- Dobrze. Porozmawiam z nim jutro. Nie mam zamiaru mu ulec. Niczym więcej już nie może mnie zastraszyć, chyba że... pieniędzmi dzieci. Musimy z nimi porozmawiać.

- Masz rację

- Jak myślisz, czy powinnam porozmawiać też z Peterem?

- Odradzam. Ale decyzja należy do ciebie. - Jeśli będzie trzeba - pozwę tego bydlaka do sądu.

- Dobrze... - Odwróciła się, położyła głowę na poręczy sofy, a stopy na moich kolanach. Zdjąłem jej buty, a ona poruszała palcami. - Jesteś zadowolony z Dnia Ojca? - zapytała. - Jeśli nie liczyć oczywiście straty miliona dolarów.

- Tak. Naprawdę. Polubiłem nawet moją matkę.

- To świetnie. Ona cię na swój sposób kocha.

- Na pewno. Chyba powinniśmy ponownie przemyśleć sprawę zakupu jachtu.

- Chyba tak.

- Co powiesz na łódź wiosłową?

- Nie stać nas na nią. - Przeciągnęła się i ziewnęła. - To był wyczerpujący dzień. Ale wiesz co? Czuję się, jakby ktoś zdjął mi z barków tysiącfuntowy ciężar.

- Na razie jesteś lżejsza o ćwierć miliona dolarów rocznie.

- Czy... - zawahała się - ...byłeś zaskoczony, kiedy zaproponowałem ci pieniądze?

- Powiem ci prawdę. Zaproponowałem mi je już pierwszego wieczoru.

- Naprawdę? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- A po co miałem ci psuć nastrój?

- Masz mi o wszystkim szczerze i na czas mówić.

- Możemy zmienić temat?

- Chcesz porozmawiać o seksie?

Teraz powinienem powiedzieć jej, że William próbował uchronić mnie przed małżeństwem z kobietą upadłą która, tak się akurat złożyło, była jego córką. Istniały jednak pewne reguły, pisane i niepisane, których nie wolno łamać. I choć miałem wielką ochotę powiedzieć jej o tym, to uznałem, że musielibyśmy poruszyć też inne przykre tematy, a tego nie chciałem.

- John? Co powiesz na seks?

- Robiliśmy to dziś rano.

- Nie. Rano kochałeś się z żoną marynarza.

- Masz rację.

Wstałem, zamknąłem drzwi i zdjąłem marynarkę. Susan zsunęła majtki, zadarła spódnicę i szepnęła:

- Szybko, nim tatuś wróci do domu.

Przypomniałem sobie te wszystkie szybkie numerki w Stanhope Hall, jeszcze przed ślubem, rozebrałem się od pasa w dół i położyłem na niej, a ona oparła stopy na

moich ramionach.

Jedną z atrakcji uprawiania seksu z Susan było to, że pieprząc ją pieprzę w symboliczny sposób jej ojca. Ale tym razem była tylko ona i ja. Wspaniałe uczucie.



## ROZDZIAŁ 65

Oboje z Susan zasnęliśmy na sofie. Obudził mnie dzwonek telefonu. Na zewnątrz panowały ciemności, a w gabinecie paliła się tylko stojąca na podłodze lampa.

Wstałem i podszedłem do biurka. Na wyświetlaczu zobaczyłem napis „zastrzeżony”, a zegar wskazywał dwudziestą pierwszą trzydzieści dwie.

- Sutter - powiedziałem do słuchawki.

- Dobry wieczór, panie Sutter - usłyszałem głos Mancusa.

W tle słyszałem rozmowę mężczyzny i kobiety, ale miałem wrażenie, że Mancuso nie dzwoni do mnie ani z biura, ani z domu.

- Mam dla pana wiadomość.

Pomyślałem sobie, że znaleźli Anthonyego, kiedy jadł u mamy spaghetti.

- Dobrą wiadomość, mam nadzieję.

- Po prostu wiadomość.

Spojrzałem na przekręcającą się na bok Susan.

- Chwileczkę, zawołam tylko żonę. To Mancuso - szepnąłem.

Kiedy usiadła, włączyłem tryb głośnomówiący.

- Już jesteśmy.

- Dobry wieczór, pani Sutter.

Susan stanęła obok mnie.

- Dobry wieczór.

- Chciałem państwu powiedzieć, że Anthony Bellarosa nie pojawił się na grobie swojego ojca. Była tam jego żona i dzieci oraz reszta rodziny, nawet jego bracia z żonami i dziećmi. Potem wszyscy zjedli obiad w domu Anny.

Biedna Megan. Z tonu głosu pana Mancusa wywnioskowałem, że to nie koniec wiadomości.

- Około siódmej czterdzieści pięć wieczorem Salvatore D'Alessio jadł w restauracji kolację w towarzystwie żony i dwóch synów, którzy przylecieli dzisiaj z Florydy.

Już wiedziałem, do czego zmierza. Spojrzałem na Susan; ona też domyśliła się, co chce nam powiedzieć Mancuso.

- Rodzina D'Alessio często jada w restauracji Giovanniego w Williamsburgu. To niedaleko ich domu. Co roku chodzą tam w Dzień Ojca.

- To nie jest dobry zwyczaj.

- No właśnie. To taka mała rodzinna knajpka. Właśnie w niej jestem.

Nie zapytałem go, co tam robi, bo już to wiedziałem. Na pewno nie jadł kolacji z Salvatore.

- A więc - ciągnął Mancuso - około siódmej czterdzieści pięć, kiedy jedli już deser, do zatłoczonej restauracji weszło dwóch mężczyzn w płaszczach. Podeszli do stolika D'Alessia. Jak twierdzą świadkowie, obaj wyjęli spod płaszczy dubeltówki z obciętymi lufami, a jeden z nich powiedział: „Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca, Sally” i strzelił mu prosto w twarz.

Susan cofnęła się i opadła z powrotem na sofę.

- Chwileczkę! - zawołałem i zapytałem ją: - Skarbie, wszystko w porządku?

Skinęła głową.

Włożyłem koszulę i spodnie, wyłączyłem głośnik w telefonie i usiadłem na krześle.

- Teraz tylko ja z panem rozmawiam.

- No więc... to właśnie jest ta wiadomość.

Wziąłem głęboki wdech.

- Chyba jestem panu winien pieniądze - odezwałem się wreszcie.

- Uznajmy ten zakład za niebyły, panie Sutter.

- Okay... - Spojrzałem na Susan, która chyba nie zwróciła nawet uwagi, że już nie słyszy Mancusa. - Ktoś został ranny?

- Nie. To byli zawodowcy. Może pan to zobaczyć w wiadomościach.

- Wolabym usłyszeć od pana.

- Proszę bardzo. - Mancuso wydał swoją opinię na temat zamachu. - Jest niedziela. Dzień Ojca. Salvatore D'Alessio idzie z rodziną do restauracji. D'Alessio jest człowiekiem starej daty i uważa, że wciąż obowiązują pewne reguły, których się nie łamie. Ale nie jest głupi - a właściwie jest - w każdym razie, jeśli to on zlecił zamach na Franka Bellarosę w obecności żony i dwóch obcych osób, to wiedział, że sam te reguły złamał. Wiedział też, że Anthony nie kieruje się zasadami. Dlatego zabiera ze sobą do restauracji ochroniarza i nakłada kamizelkę kuloodporną. Ma też przy sobie smitha & wessona kalibru trzydzieści osiem. Jest dobrze przygotowany, choć nie spodziewa się problemów.

- Powinien był się lepiej przygotować - zauważyłem.

- Ma pan rację. Ochroniarz, o którym Marie D'Alessio mówiła, że jest ich

kierowcą, choć do restauracji udali się piechotą, poszedł się przejść i zniknął. A jeśli chodzi o kamizelkę, zabójcy musieli o niej wiedzieć albo podejrzewali, że D'Alessio ją nałożył, dlatego celowali w głowę. Dziesięć lat temu Frank Bellarosa miał dużo szczęścia, ale tym razem zabójcy Salvatore nie zamierzali popełnić tego samego błędu.

- Nie. To byłoby głupie.

- Po pierwszym strzale D'Alessio upadł na podłogę i wtedy strzelili mu w głowę jeszcze raz, choć według lekarza i tak już nie żył. Ten drugi strzał, to było... osobiste przesłanie. Ciało D'Alessia nie da się pokazać w otwartej trumnie. Następnie drugi napastnik przyłożył broń do głowy Marie i krzyknął: „Niech nikt się nie rusza, bo ona zginie”. Jak twierdzą świadkowie, obaj synowie zamarli bez ruchu, a Marie zaczęła krzyczeć. Potem obaj mężczyźni wyszli i wsiedli do czekającego na zewnątrz samochodu. Cała akcja trwała może piętnaście sekund. Kiedy Marie spojrzała na męża, zemdlął. Jeden z synów zaczął wymiotować, a drugi dostał ataku hysterii. I taki to był Dzień Ojca - zakończył swoją opowieść.

Tak, moje dzisiejsze spotkanie z Harriet i Stanhope'ami wydało mi się teraz bajką.

Próbowałem sobie wyobrazić tę scenę, kiedy do restauracji pełnej ludzi wchodzi dwóch mężczyzn i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, strzela D'Alessiemu w głowę. Ciekawe, co robili chwilę przed zamachem? Rozmawiali? Śmiali się? Częstowali ciastem? Czy Salvatore w ostatniej sekundzie przed strzałem zdał sobie sprawę, że już po nim?

Przypomniałem sobie, jak to się szybko działo u Giulia. Nim zdążyłem się zorientować, było już po wszystkim. Mój mózg nie nadążał z analizowaniem tego, co widziały oczy. Właściwie nawet nie zarejestrowałem momentu, w którym głowa Vinniego zniknęła w fontannie krwi...

- Panie Sutter?

- Tak...

- Może lepiej niech pani Sutter nie ogląda wiadomości.

Spojrzałem na zwiniętą w kłębek na sofie Susan.

- Ma pan rację.

- A jutro lepiej niech pan nie kupuje gazet

- Dobrze. No i znamy już odpowiedź na pytanie, czy Anthony Bellarosa żyje.

- Zgadza się. Zakładamy, że to on zlecił zabójstwo. Chciał w ten sposób przekazać kolegom Salvatore wiadomość. „Oto co spotkało mojego ojca u boku mojej

matki”.

- Nigdy go nie uważałem za takiego showmana, ale widocznie coś po ojcu odziedziczył.

Może w takim razie doceni to, że zniszczyłem tamten obraz w gabinecie. Jego ojciec na pewno by docenił.

- Byłem zaskoczony przebiegiem zamachu - mówił dalej Mancuso. Spodziewałem się czegoś bardziej... dyskretnego. Na przykład zaginięcia w niewyjaśnionych okolicznościach. To nie zwróciłoby takiej uwagi policji i opinii publicznej. Tymczasem Anthony zorganizował to w taki sposób, że nikt nie ma wątpliwości, że to on za tym stoi. Równie dobrze mógł kazać mordercy powiedzieć: „Wszystkiego najlepszego, wujku Sal”. Anthony może się teraz spodziewać kłopotów. Ale jest jeszcze kolejna sprawa. Podejrzewamy, że teraz może skierować swoją uwagę na panią Sutter i być może na pana.

Spojrzałem na Susan. Powinna to usłyszeć, więc włączyłem głośnik.

- Susan nas teraz słucha - poinformowałem Mancusa.

- Opierając się na zwyczajowym *modus operandi*, jestem przekonany, że Anthony Bellarosa przez cały ostatni tydzień był poza miastem i potrafi tego dowieść. W każdym razie przypuszczam, że pozostanie tam, gdzie aktualnie przebywa, jeszcze co najmniej przez tydzień, a przynajmniej do chwili, kiedy uzyska pewność, że wróci do domu jako niekwestionowany boss. Odnajdzie się pewnie dopiero po pogrzebie wujka, choć równie dobrze może się pojawić na samym pogrzebie.

- Powinien, skoro pogrzeb będzie z jego powodu.

Mancuso zachichotał cicho, ale Susan nawet się nie uśmiechnęła.

- To, że Anthony jest nieobecny, nie oznacza wcale, że nie troszczy się o swoje interesy. Najlepiej świadczy o tym zabójstwo pana D'Alessio. Jeśli wydał jeszcze na kogoś wyrok, to może on zostać wykonany, nawet jeśli Anthony'ego nie będzie w mieście.

- Co pana zdaniem powinniśmy zrobić? - zapytała Susan.

- Proponuję podjąć specjalne środki bezpieczeństwa, nawet wynająć ochronę osobistą.

- Wujowi Salowi to nie pomogło - zauważyłem.

- Faktycznie. Ale wasz ochroniarz nie będzie pracował dla konkurencji, jak goryl D'Alessia. Radzę też nie opuszczać Stanhope Hall. Zapytam też miejscową policję, czy mogą dać wam całodobową ochronę. Pytałem już w biurze, czy nie

przydzieliliby państwu jednego czy dwóch agentów, ale prawdę mówiąc, po jedenastym września mamy pełne ręce roboty.

- Jak długo mamy w ten sposób żyć? - zapytała Susan.

- Gdybym to wiedział - rzekł bezradnie i zaraz nas pocieszył. - Bellarosa wkrótce powinien się pojawić, albo go złapiemy. A wtedy policja zacznie go przesłuchiwać w sprawie zabójstwa Salvatore D'Alessia. FBI też się nim zajmie, jeśli zajdzie potrzeba. Miejskowa policja porozmawia z nim na temat kierowanych pod państwa adresem gróźb. Jeśli dopisze nam szczęście, będziemy mogli go aresztować. A przynajmniej będzie cały czas pod baczna obserwacją. Największy kłopot w tej chwili polega na tym, że zniknął. A zaginieni, jeśli żyją, są znacznie bardziej niebezpieczni i nieobliczalni.

Susan do tej pory była zadowolona ze zniknięcia Anthony'ego, ale teraz zrozumiała, że nie miała racji.

- Dlaczego nie możecie go znaleźć? - zapytała.

Mancuso chyba często odpowiadał na takie pytania.

- To jest wielki kraj. A Bellarosa ma pieniądze, więc może się długo ukrywać. Z drugiej strony nie został wyjęty spod prawa, więc pewnie niedługo się pokaże.

Słowa Mancusa brzmiały logicznie i gdybym był na miejscu Bellarosy, obawiałbym się bardziej swoich rodaków i policji, a nie myślał o zabijaniu kolejnych osób, szczególnie otoczonych opieką FBI. A jednak... czułem, że chodzi tu bardziej o rewanż niż o interesy. Zabójstwo Salvatore D'Alessio było tylko pierwszym z planowanych dwóch. Albo trzech.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Mam coś do załatwienia w Londynie... - Spojrzałem na Susan, która pokiwała aprobowującą głową - ...więc może to jest dobry moment, żebyśmy tam polecieci na jakiś tydzień, a potem spędzili kolejny tydzień lub dwa na kontynencie. Innymi słowy, my też byśmy zniknęli.

- To doskonały pomysł - odparł bez wahania Mancuso. - Jeśli pozostaniecie państwo w kontakcie z nami, będziemy was na bieżąco informować o tym, co tu się dzieje.

- Oczywiście, że będziemy zainteresowani wieściami z domu. I proszę zadzwonić, kiedy tylko przyjaciele Sally'ego Da-Da ukatrupią Anthony'ego.

Mancuso, jako profesjonalista, nigdy nie odpowiadał wprost na moje mordercze uwagi dotyczące Bellarosy.

- Mam nadzieję, że go wcześniej znajdziemy.
- A ja mam nadzieję, że zrobią to kumple D'Alessia.
- Kiedy zamierzacie państwo wyjechać?

Spojrzałem na Susan.

- Może we wtorek - odpowiedziała.
- Świetnie. Proszę szczegóły dotyczące wyjazdu zachować dla siebie.
- Oczywiście.
- I życzę miłego wypoczynku. Należy się państwu.

Mancuso wydawał się uradowany, że będzie miał nas z głowy. Prywatnie nas lubił i pewnie zrobiłoby mu się przykro, gdyby coś nam się stało. A zawodowo... byłby tak samo zakłopotany jak wtedy, gdy Susan zastrzeliła jego świadka koronnego. Na pewno tego sobie nie życzył.

- Jestem pewien, że podczas państwa nieobecności poczynimy jakieś postępy i albo Anthony Bellarosa będzie siedział już w więzieniu, albo znajdzie się pod naszą obserwacją albo wreszcie zginie z rąk własnych ludzi. Może być też tak, że wystraszy się, rzuci interesy i zamieszka gdzieś na Florydzie czy w Las Vegas, podobnie jak postąpiło wielu jego kolegów.

Miałem wątpliwości, czy Bellarosa wycofa się z interesów i wyjedzie ale zgadzałem się z Mancusem, że kariera Anthony'ego stała na rozstaju dróg. Dopóki żadna z tych dróg nie prowadziła do Grace Lane, dopóty nie był to mój problem.

Zastanawiałem się też, czy ukrywający się Anthony ma jakieś zwykłe, ludzkie uczucia, czy tęskni za rodziną, czy myśli o tym, że być może nigdy już nie zobaczy swoich dzieci. Ale przecież sam sobie wybrał taki los.

W każdym razie Anthony Bellarosa pewnie nie wiedział, gdzie leży Londyn, a Paryż był dla niego nazwą hotelu w Vegas. Tak więc my z Susan rozerwiemy się trochę, a w tym czasie Anthony będzie się martwił, czy jest jeszcze szefem mafii, czy już nie.

- Zadzwonimy do pana we wtorek z lotniska - powiedziałem.
- Bardzo proszę.
- A jak tam minął Dzień Ojca? - zapytałem na koniec.
- Bardzo miło, dziękuję. A u pana?
- Spędziłem uroczy dzień z dziećmi i narzeczoną. Pojawiła się nawet moja matka i przyszli teściowie. Ale jutro rano już wszyscy wyjeżdżają.

- To dobrze. Jesteście państwo... ostrożni? - zapytał.

- Oczywiście. Chociaż w czwartek pojechaliśmy do Giulia na kawę.

- Naprawdę? - Zamilkł na chwilę, a potem powiedział: - Zawsze się zastanawiałem... co by się zmieniło w naszym życiu, gdyby pan wtedy nie powstrzymał krwotoku.

- Ja też wielokrotnie o tym myślałem. - Spojrzałem na Susan. Odwróciła wzrok.

- Ale nie mogłem pozwolić, żeby się wykrwawił.

- Wiem. Postąpiłbym tak samo. Choć gdyby wtedy umarł, pewnie nie musielibyśmy teraz prowadzić tej rozmowy.

- Pewnie nie. - Susan nie zabiłaby Franka, kiedy służbę pełnił Mancuso, ja bym się z nią nie rozwiódł i nie wyjechał na dziesięć lat za granicę, a Anthony nie stanowiłby dla nas żadnego zagrożenia. A jeśli w ciągu tych dziesięciu lat przydarzyłoby się nam coś gorszego? Gdybym na przykład uciekł z Beryl Carlisle. - Cóż, jeżeli się wierzy w boski plan...

- Wierzę w to, że... cóż, istnieje jakaś siła, która nas sprawdza, napędza mądrością i pokazuje, co jest naprawdę ważne. Czyni nas lepszymi.

- Ja też w to wierzę - powiedziała Susan. - I wierzę także w istnienie anioła stróża, który nas ochroni.

Po co w takim razie mamy jechać do Londynu? Ale żeby się nie wyróżniać, wtrąciłem:

- Ja też.

- Ktoś tu chce ze mną porozmawiać - odezwał się Mancuso życząc szczęśliwej podróży i prosząc do mnie dzwonić.

Dziękujemy - odparłem.

- Hmm...

Odłożyłem słuchawkę i spojrzeliśmy z Susan na siebie.

- Ja też się zastanawiałam jak, wyglądałoby nasze życie, gdybym nie...

- Cicho! Nigdy, ale to przenigdy nie będziemy więcej na ten temat rozmawiać.

- Zgoda. Ale może rzeczywiście był w tym jakiś cel.

- Być może. - Byłem pewny, że niedługo powinniśmy się o tym przekonać.

## ROZDZIAŁ 66

Zaproponowałem Susan, żebyśmy przeszli do salonu i obejrzeliby czwartą część „Ojca chrzestnego: Anthony ukatrupia wuja Sala”.

Susan oświadczyła, że to wcale nie jest zabawne i nie ma ochoty oglądać wiadomości. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- Do kogo dzwonisz? - zapytałem.

- Do Edwarda.

- Po co? Aha, jasne. - Matczyny instynkt obrony dzieci jest silniejszy niż męski instynkt oglądania telewizji.

Edward odebrał telefon i Susan zawołała do słuchawki.

- Kochanie, chciałabym żebyś wrócił już do domu!

Coś jej odpowiedział, a ona odparła:

- Jutro wcześniej rano masz samolot, skarbie, a twój ojciec i ja chcemy spędzić jeszcze z tobą trochę czasu.

- Będzie za piętnaście minut - powiedziała do mnie, odkładając słuchawkę.

Pokiwałem głową. No tak, gdyby go zostawić samemu sobie, pojawiłby się w domu o trzeciej nad ranem, a my do tego czasu czekalibyśmy na niego ze strzelbą w dłoniach.

- Edward wyjedzie, a we wtorek my będziemy już w Londynie.

- Jak sądzisz, John, czy dzieciom coś grozi? Nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać, jeśli...

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. - Pomyślałem o ładnym, czystym zabójstwie w restauracji Giovanniego i przypomniałem sobie, co Anthony powiedział mi na trawniku przed domem. - Kobiety i dzieci są nietykalne... no, w każdym razie dzieci na pewno. Carolyn pracuje w prokuraturze, a to czyni ją właściwie nietykalną.

- Skoro tak, to nie mogę się doczekać wyjazdu do Londynu.

- A potem do Paryża.

- Świetnie. Nie byłam za granicą od... czasu, kiedy pojechaliśmy do Rzymu.

W takim razie miała chytrych kochanków. Albo prowincjonalnych kmiotków. Tymczasem ja spędziłem dziesięć lat za granicą i chętnie bym teraz posiedział tutaj.

- Ciekawe, czy będzie mi się podobał Londyn.

- Mam nadzieję. Pokażę ci muzeum wojen imperialnych.

- Nie mogę się doczekać. Czy będą dzwonić albo pukać do twoich drzwi jakies



kobiety?

- Kobiety? Nie. Oczywiście, że nie. Ale może zatrzymamy się w hotelu.

- Nie stać nas na to - przypomniała mi.

Oto okrutna rzeczywistość.

Siedzieliśmy w gabinecie i rozmawialiśmy o tym, co usłyszeliśmy z ust Feliksa Mancuso. Susan rozsadzał optymizm, a ja liczyłem na to, że Anthony ma teraz głównie problem ze swoimi pobratymcami. Ale głowy bym nie dał. Ani swojej, ani Susan.

Usłyszeliśmy, jak podjeżdża Edward, i Susan pobiegła otworzyć drzwi.

Wszyscy troje przenieśliśmy się do salonu na piętrze. Sophie przyniosła nam resztę ciasta.

Rozmawialiśmy o mijającym dniu, o żaglówkach, o tym, że odwiedzimy Edwarda w Los Angeles i może zabierzemy ze sobą babcię Harriet. Może jej się tam spodoba i zostanie na stałe? Wspomnieliśmy mu, że wyjeżdżamy na kilka dni do Londynu, a potem może gdzieś jeszcze. Na razie Edward nie musiał wiedzieć, dokąd się wybieramy. Nie musiał także wiedzieć o dzisiejszym zamachu w Brooklynie. Kiedy dowie się o tym, jak nic domyśli się, skąd nasza nagła decyzja o wyjeździe do Europy.

A propos rozmowy o niczym szczególnym, Edward zapytał:

- Jak tam poszło z babcią i dziadkiem?

- Niezbyt dobrze - odpowiedziała szczerze Susan. - Ale jutro porozmawiamy z nimi ponownie.

- Dlaczego oni nie chcą, żebyście się pobrali? - zapytał.

Teraz była moja kolej.

- Bo mnie nie lubią.

- Przecież to nie z nimi się żenisz - zauważył roztropnie.

-Masz niewątpliwą rację - pochwaliłem go - ale oni to widzą w szerszym kontekście.

Edward postanowił przeciąć wszelkie spekulacje.

- Chodzi o ich pieniądze.

- Tak - przyznałem - chodzi o ich pieniądze. A właściwie chodziło.

- Wszyscy możemy ponieść z powodu tego małżeństwa spory finansowy uszczerbek - powiedziała Susan.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Twoja matka i ja nie martwimy się o siebie, synu, tylko o ciebie i Carolyn.

- Rozmawiałem na ten temat z Carolyn - powiedział Edward. - Oboje mamy to w nosie.

Susan i ja spojrzeliśmy na siebie.

- Zobaczymy, co powiedzą jutro - rzekła Susan. - A ty wcześniej wylatujesz.

- Do jutra - powiedział Edward, wstając. I na koniec zapytał: - Dlaczego oni tacy są?

Cóż, dupkiem się trzeba urodzić.

- Nie wiem - odparła Susan - ale mam nadzieję, że to nie jest dziedziczne.

Roześmialiśmy się wesoło i Edward poszedł do sypialni.

- Nie podoba mi się, że muszę rozmawiać z dziećmi na takie tematy.

- Oni już nie są dziećmi.

- Są naszymi dziećmi, John. I nie podoba mi się, że stały się pionkami w rękach moich rodziców.

I znowu ten instykt macierzyński. Martwiła się, co się stanie z Edwardem i Carolyn, kiedy zostaną rzućeni na głęboką wodę i będą musieli sami o siebie zadbać, tak jak to czyni dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi na świecie.

Nie podzielałem obaw Susan - dadzą sobie radę i dobrze o tym wiedzą. Nauczyliśmy ich uważać na siebie. Rozumiałem jednak jej sposób myślenia: „Dlaczego mają żyć bez pieniędzy, choć mogły mieć miliony”.

W rezultacie staliśmy przed wyborem - miliony czy comiesięczna wypłata?

Ja wybrałbym miliony - szczególnie jeśli miałyby to być spadki po zmarłym Williamie - ale na pewno nie całowałbym jego żywego tyłka, żeby dostać jakieś pieniądze. Ale czego się nie robi dla dzieci.

Podsumowując, stałem dokładnie pośrodku pomiędzy trójką Stanhope'ów a ich milionami.

Faktycznie, zobaczymy, co przyniesie jutrzejszy dzień. Wiedziałem, co William zamierza powiedzieć Susan, ale nie byłem pewny, co ona zamierza powiedzieć jemu. Albo co powie na koniec mnie.

- Ja się kładę - obwieściła Susan.

- Ja nie.

- Chyba nie zamierzasz oglądać wiadomości?

- Owszem.

- Dlaczego chcesz to zobaczyć, John?

- Przecież to czysta przyjemność patrzeć, jak mafiosi strzelają do siebie. - W

rzeczywistości widziałem tylko jedną taką scenę: kiedy Sally próbował załatwić Franka. Brałem w niej nawet udział. Dostałem wtedy rolę drugoplanową.

- Idę do łóżka - powiedziała Susan.

- Dobranoc.

Dała mi całusa i wyszła.

Dochodziła dwudziesta trzecia, więc włączyłem telewizor i znalazłem lokalną stację, w której widziałem Jenny Alvarez. Teraz też ujrzałem ją na ekranie.

- Głównym tematem dzisiejszych wiadomości jest zabójstwo Salvatore D'Alessia - na ekranie pojawiła się fotografia neandertalczyka - uważanego za szefa jednej z nowojorskich rodzin mafijnych... - mówiła.

Twarz jaskiniowca zastąpił teraz widok rozświetlonego wnętrza restauracji Giovanniego, zresztą całkiem niebrzydkiej knajpy. Agentowi Mancuso też się podobała, więc może któregoś dnia zabierzemy tam Carolyn. Właściciel był na pewno przybity tym, że jego goście musieli być świadkami odstrzelenia jakiegoś facetowi głowy, a także tym, że wszyscy uciekli, nim zdążył wręczyć im rachunek do zapłacenia. Ale musiał zdawać sobie sprawę, że w ciągu kilku tygodni odrobi straty. Nowojorczyki wprost uwielbiają chodzić do restauracji, w których mafia załatwia swoje porachunki. Wystarczy spojrzeć na Giulia albo Sparksa, gdzie Gotti załatwił Paula Castellano. Mają się dobrze. Darmowa reklama jest dużo skuteczniejsza niż ta płatna, nie mówiąc o tym, że knajpa zyskuje status mitycznej, a we włoskich przewodnikach kulinarnych dostaje dwie kule więcej.

Czułem, że się za bardzo wygłupiam, więc wróciłem do oglądania telewizji. Wokół restauracji uwijali się policjanci, a Jenny mówiła:

- ...w tej włoskiej dzielnicy w Williamsburgu. Salvatore D'Alessio był niegdyś zastępcą niesławnego Franka Bellarosy, który dziesięć lat temu został zamordowany w swojej rezydencji w Long Island przez kobietę uważaną za jego kochankę.

Uważaną? Dlaczego Jenny nie wymieniła nazwiska Susan i nie pokazała jej zdjęcia? Może bała się procesu. Jasne. Susan była morderczynią Franka, ale tylko jego domniemaną kochanką. Gdyby Jenny wypowiedziała nazwisko Susan, to byłem gotowy reprezentować swoją żonę przed sądem. To byłoby interesujące - Sutter przeciwko Jenny Alvarez z Cable News 8. Powódkę zastępuje John Sutter. Czy to prawda, panie Sutter, że rznął pan pannę Alvarez, a potem ona pana zostawiła? Nie, wysoki sędzie, uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się w zgodzie.

- Bellarosa był dziesięć lat temu celem nieudanego zamachu - mówiła Jenny. -

Uważa się, że stała za nim dzisiejsza ofiara, Salvatore D'Alessio. Teraz Salvatore D'Alessio, znany w półświatku jako Sally Da-Da, został zamordowany. Z kręgów zbliżonych do prowadzących śledztwo dowiedzieliśmy się, że za tą zbrodnią może stać syn Franka Bellarosa, Tony...

- Anthony! Nie nazywaj go Tony.

Stacja chyba nie miała fotografii Anthony'ego, więc pokazywała teraz stare zdjęcia Franka - Frank na schodach sądu w dniu, kiedy wyciągnąłem go z więzienia za kaucją. Przyjrzałem się sobie. Miałem nieodpowiedni krawat.

Niestety w tej chwili do pokoju weszła Susan, spojrzała na Franka Bellarosa na ekranie, zamarła na chwilę w bezruchu, potem odwróciła się na pięcie i bez słowa wyszła.

Nic dziwnego, widok zadowolonego z siebie, palącego cygaro i dowcipkującego Franka zapewne nią wstrząsnął. Kiedy widziałem go po raz ostatni w trumnie, nie prezentował się już tak dobrze.

Powiniem wyłączyć telewizor i pójść do łóżka, ale to, co oglądałem, było ważne - nie wspominając już o tym, że zabawne.

- Jeżeli te plotki się potwierdzą, okaże się, że w Nowym Jorku doszło po dziesięciu latach do porachunków pomiędzy rodzinami mafijnymi.

No cóż, skoro nawarzyło się piwa, trzeba je wypić.

- Według wiarygodnych źródeł Tony Bellarosa zniknął. Już od tygodnia nie pojawia się w domu ani w swojej firmie. Nie uczestniczył też we wczorajszym pogrzebie Johna Gottiego.

Dalej wspomniała o toczącej się po śmierci Gottiego walce o władzę. Przy okazji wróciła do Anthony'ego i wuja Sala i wspomniała nawet o ojcu Anthony'ego, Franku. A potem... potem znów byłem ja, stałem obok Franka na stopniach schodów prowadzących do sądu. Zza ekranu komentowała Jenny. Odpowiadałem akurat na zadane przez młodą panią Alvarez pytanie. W tamtej chwili nie byliśmy nawet przyjaciółmi. Ona przy zadawaniu mi pytania zachowywała się jak modliszka i oboje wyraźnie manifestowaliśmy swoją wzajemną niechęć. A potem... jak to zwykle bywa, nienawiść przerodziła się w pożądanie.

Na ekranie ponownie pojawiła się Jenny. I znowu miała okazję wspomnieć z nazwiska przystojnego i błyskotliwego adwokata zabitego bossa mafii. Mogłem się założyć, że pamiętała tamtą noc w La Plaza.

- Ciekawym wątkiem w całej sprawie jest fakt, że Tony Bellarosa jest

siostrzeńcem ofiary, Salvatore D'Alessio. Matka Bellarosy i owdowiała żona Salvatore są siostrami. Jeżeli zatem potwierdzą się plotki o tym, że za zamachem stał Tony Bellarosa, rzuci to nowe światło na bezpardonową walkę, która...

I tak dalej.

Nie wiem, co to jest bezpardonowość. Prawdę mówiąc, jedyna różnica pomiędzy mną a Anthonym jest taka, że kiedy on się wkurzy na członka swojej rodziny, to wie, do kogo zadzwonić, żeby sprawę załatwić raz na zawsze. Też chciałbym znać taki numer, kiedy będę w Londynie: 1-800-MAFIAPOMOC. To oczywiście żarty.

Jenny zakończyła swój reportaż słowami:

- Wracamy do studia. Oddaję głos Chuckowi.

Na ekranie pojawił się młody dziennikarz i zadał reporterce jeszcze jedno pytanie:

- A co twoje źródła mówią o motywach zabójstwa?

- Źródła twierdzą, że jeżeli za morderstwem stoi Tony Bellarosa, to jego motywem musiała być zemsta za to, co dziesięć lat wcześniej spotkało jego ojca, matkę i dwoje towarzyszących im ludzi...

Znów nie wymieniła mnie z nazwiska. Czy ona mnie chroniła, czy torturowała?

Chuck zauważył, że dziesięć lat to długi okres do czekania na rewanz, a Jenny wyjaśniła widzom, że La Cosa Nostra jest pamiętliwa, ale i cierpliwa.

- Czy należy stąd wnioskować, że może dojść do kolejnych zabójstw? - dociekał Chuck.

- To bardzo możliwe - odparła Jenny.

Też byłem tego zdania.

Wydawało mi się poza tym, że Anthony - wcześniej Tony - napytał sobie porządnej biedy. Czy ten idiota - ten *mamaluca* - naprawdę myślał, że nikt nie powiąże go ze sprawą morderstwa wuja Sala? Pewnie bardzo chciał, żeby mafia uznała to za osobistą wendetę, ale na pewno nie pragnął takiego zainteresowania policji. W przeciwieństwie do swojego ojca nie potrafił przewidywać następstw swojego postępowania. Najdobitniej sformułowała to Anna. „Ty nie potrafisz myśleć, Tony. Twój ojciec potrafił”. *Stonato*. Mama wie najlepiej.

A skoro mowa o Annie, ciekawe, jak Anthony wytłumaczy jej się z zastrzelenia wuja Sala? Anna na pewno będzie sądziła, że policja i media wrabiają jej syna w to morderstwo. Tak jak nigdy nie uwierzyła, że jej mąż, bohaterski Święty Frank, był

członkiem organizacji przestępczej. To samo zresztą dotyczyło jej szwagra Sala.

W głębi duszy pewnie wiedziała, że to prawda, ale nigdy tego nie przyzna. Mogłaby postradać zmysły. Pogrzeb Salvatore D'Alessio będzie na pewno ciężkim przeżyciem, szczególnie w sytuacji, kiedy pojawi się Anthony, a Marie straci nad sobą panowanie.

Jenny mówiła w tej chwili o Anthonym Bellarosie i miałem wrażenie, że improwizuje.

- Niewiele wiemy o synu Franka Bellarosy. Wygląda na to, że od chwili śmierci ojca stara się nie pokazywać publicznie. Ale teraz, kiedy zaczęło się mówić o jego związku ze śmiercią wuja...

Wyłączyłem telewizor i zjadłem pozostawiony przez Susan kawałek ciasta.

Mógłbym podać Jenny więcej informacji na temat Tony'ego, poczynając od zmiany imienia.

Na szczęście przyszłość Sutterów wydawała się rysować w jaśniejszych barwach. Głupi Anthony, świadomie czy nieświadomie, wywołał burzę w mediach; sprzątnął faceta akurat w Dzień Ojca. To, co pokazywała dzisiaj telewizja, to drobiazg w porównaniu z jutrzejszymi krwawymi relacjami gazet. Na pewno, nim przyjechała policja, ktoś zdążył zrobić zdjęcia leżącego na podłodze z odstrzeloną głową Salvatore. Takie zdjęcia będą warte fortunę. Szczęśliwcem okaże się ten z gości, który zabrał przypadkowo do restauracji aparat fotograficzny. Czasami policja udostępnia prasie krwawe fotki, żeby pokazać opinii publicznej, że La Cosa Nostra nie jest niewinną organizacją skupiającą włoskich pobratymców. Takie zdjęcia byłyby dobrą przeciwwagą dla wizerunku Johna Gottiego jako przyjaciela ludu. Do głowy przychodziły mi zdjęcia zrozpaczonej Marie leżącej w kałuży krwi obok ciała zabitego męża. Wiedziałem, co to za uczucie. Ewentualnie pojawią się w gazetach zdjęcia zrobione już po zbrodni - stół, plama krwi na podłodze, wymiociny - nie, wymiociny nie. Krew może być, ale nie wymiociny. Dzieci mogłyby to zobaczyć.

Dokończyłem ciastko, zszedłem na dół i jeszcze raz sprawdziłem drzwi, okna i oświetlenie zewnętrzne. Potem poszedłem do sypialni. Susan nie spała, tylko czytała.

- Chyba już pora spać - powiedziałem.

Nie odezwała się. Była wyraźnie przygnębiona.

- Posłuchaj, telewizja jeszcze nieraz wróci do tego tematu, ale obiecuję ci, że nie będę już oglądał tych programów, a w Londynie nie będziemy kupowali amerykańskich gazet.

Nadal milczała.

- Cieszę się, że jedziemy do Londynu - zagailem.

- Teraz rozumiesz, dlaczego wyprowadziłam się do Hilton Head - powiedziała w końcu.

Nie, wcale nie rozumiałem, ale postanowiłem być miły.

- Teraz rozumiesz, dlaczego spędziłem trzy lata na morzu.

Znowu ani słowa.

Przyniosłem z garderoby strzelbę i karabin. Strzelbę oparłem o jej stolik nocny, a karabin o swój.

- Przepraszam, że musiałeś go znów oglądać w telewizji - powiedziała, kiedy zacząłem się rozbierać.

- Nie przejmuj się. I w ogóle o tym nie rozmawiajmy.

Cisza.

- Pamiętasz, jak w Paryżu siedzieliśmy w takiej małej kafejce... gdzie to było? - Rozpaczliwie usiłowałem poprawić jej nastrój.

- Na Isle de France. Flirtowałeś wtedy z kelnerką.

- Och... a pamiętasz kolację w Le Marais? Tam ty kokietowałaś kelnera.

- Tylko ci się wydawało.

Położyłem się do łóżka i pocałowałem ją.

- To był mój najpiękniejszy Dzień Ojca od dziesięciu lat.

Dla wuja Sala nie okazał się tak przyjemny. Cóż...

- I mój też.

- Dziękuję za jacht

- Kupimy żaglówkę, na pewno. - Zgasła lampę. - Dobranoc.

Ja też zgasłem swoją lampę.

- Słodkich snów.

Leżałem długo, myśląc o mijającym i jutrzejszym dniu, a także o wtorku, który spędzę w Londynie. Miałem nadzieję, że kiedy nadejdzie pora powrotu, Anthony Bellarosa będzie martwy lub uwięziony, a jeśli nie, to cóż nam szkodziło zamieszkać na razie w moim londyńskim mieszkaniu tyle, że najpierw musieliśmy wsiąść do samolotu.

## ROZDZIAŁ 67

Poniedziałek rano. Piękny, słoneczny dzień.

Wstaliśmy wcześniej, żeby pożegnać Edwarda. Susan przygotowała mi wspaniałe śniadanie - jajka na szynce - które pomogłem mu zjeść, a o siódmej trzydziści przyjechał po niego samochód. Zamierzałem odwieźć go na lotnisko, ale nie chciałem się tam żegnać. Pamiętałem czasy, kiedy lotniska niczym nie różniły się od dworców kolejowych czy nabrzeży portowych. Rodzina i znajomi odprowadzali podróżnego do bramki i praktycznie mogli wejść z nim na pokład samolotu. Ale te czasy już minęły, zresztą Edward ich pewnie nie pamiętał. Uświadomiłem sobie właśnie, że wyrosło już pokolenie, które uważa tę niekończącą się wojnę za rzecz normalną.

Susan, Edward i ja staliśmy na podjeździe. Zwróciłem uwagę na to, że Edward nie zapomniał zabrać swojej torby podróżnej.

- Masz jakieś pieniądze? - zapytałem mojego genialnego syna.

- Mama mi dała.

- Świetnie. A bilet?

- Mam.

- Dokumenty?

- Też.

- W takim razie jesteś gotów do drogi.

- Zadzwoń, jak dotrzesz na miejsce - poprosiła Susan.

- Okay.

Przypomniałem sobie, że dawniej, kiedy jeszcze mieszkałem z rodzicami i wybierałem się w jakąś podróż, pożegnania nie były tak smutne i pełne czułości jak te, które fundowaliśmy z Susan naszym dzieciom. Pytanie tylko, czy to my przesadzamy z czułością, czy moi rodzice przesadzali z jej brakiem.

- Zadzwonimy do ciebie z Londynu - obiecała Susan.

- Jasne. Dobrze. A kiedy lecicie?

- Jutro. - Przecież już ci mówiłem.

- Świetnie. - Szczęśliwej podróży.

- Pamiętaj, że za osiem tygodni przyślą ci garnitur od Brioniego.

- Wiem, dzięki.

- Pamiętaj też, żeby napisać do dziadków. I nie zapomnij dodać, jak bardzo



ucieszyło cię spotkanie z nimi - udzielała rad Susan.

- Okay.

No dobrze, koniec odprawy, kierowca już czekał, a Edward rwał się do wyjazdu.

Uściskaliśmy się na pożegnanie.

- Fajnie razem wyglądacie - powiedział z uśmiechem Edward.

Zupełnie mnie tą uwagą rozbroił i nie odezwałem się ani słowem.

- Dziękuję - odparła jak zawsze układna Susan. - W lipcu, no, może w sierpniu, odwiedzimy cię w Los Angeles. A potem popłyniemy razem w rejs. Pewnie do tego czasu weźmiemy ślub.

- To wspaniale. - Uśmiechnął się.

Jeszcze raz uściski i całusy i Edward wszedł do samochodu, który powoli ruszył żwirową aleją w stronę bramy. Otworzył jeszcze okno i pomachał nam, a potem wóz zniknął w głębi alei.

Susan wycierała chusteczką oczy. To smutne żegnać kogoś, kogo się kocha, ale jeszcze gorzej jest, gdy nie wie się, kiedy, i czy w ogóle, ta osoba wróci.

Sophie miała zostać do chwili przyjazdu Stanhope'ów, który był przewidziany na dziewiątą trzydzieści rano. Chyba żebym wcześniej pojechał do The Creek i przeciął przewody hamulcowe w ich samochodzie.

W każdym razie Sophie zapytała, czy ma pójść po poranne gazety. Bardzo chciałem zobaczyć ociekające krwią pierwsze strony gazet i przeczytać sensacyjne doniesienia o... no, właśnie o czym? O masakrze? Nie. Zginął tylko Sally Da-Da, więc to nie była żadna masakra. Zwyczajne pif-paf.

Ale obiecałem Susan - i agentowi Mancuso - że dzisiaj w domu nie będzie żadnych gazet. Może później, po wyjeździe Stanhope'ów, wyjdę i poczytam sobie w kawiarni „Daily News” i „Posta”.

- Dzisiaj żadnych gazet - zapowiedziałem Sophie. - O pani Sutter i o mnie mogą dzisiaj mówić w wiadomościach.

- Tak? To miłe.

- Hmm... Niekoniecznie. Poza tym wyjeżdżamy i wrócimy... gdzieś w lipcu. Może nawet później. - I wtedy będziemy już sami sprzątać toalety. - Zostawimy ci klucz, więcej wpadaj tu raz w tygodniu, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

- Okay. Szczęśliwej podróży. A dokąd państwo jadą?

- Spędzimy romantyczny miesiąc w Warszawie. Przywieźć ci coś stamtąd?

- Tak. Jedzenie. Dam listę. Dziękuję.

- Nie ma za co.
- Pani Sutter jest teraz bardzo szczęśliwa - powiedziała po chwili wahania.
- Cieszę się.
- A matka i ojciec nie.
- Wracają dzisiaj do domu - odparłem.
- Tak? To dobrze. - Odwróciła się i zajęła swoimi obowiązkami.

Powiedziałem Sophie, że nazwisko Sutter może pojawić się w mediach przy okazji relacjonowania takiej gratki jak zabójstwo, bo byłem przekonany, że w najbliższych dniach w którejś z gazet faktycznie się ukaże. Być może jakiś dziennikarz wspomni, kto zabił dziesięć lat temu Franka Bellarosę (dama z wyższych sfer, Susan Stanhope Sutter). Do artykułu zostanie dołączone ładne zdjęcie. Ciekawe przecież było to, że mąż Susan, John Sutter (poproszę o ładne zdjęcie), był adwokatem zabitego. Sutterowie mieszkali w olbrzymiej rezydencji Stanhope Hall, graniczącej z równie wielką posiadłością Bellarosy, Alhambra. Będzie też pewnie mnóstwo spekulacji na temat związków łączących panią Sutter z sąsiadem z mafii. Ale przecież zawsze mogło być gorzej. Na przykład, gdyby to Susan była adwokatem Franka, a ja jego kochankiem. Tak właśnie w Hollywood pisze się scenariusze filmowe.

Na pewno wszystkie sprawy z przeszłości ujrzą ponownie światło dzienne, a ja martwiłem się tylko tym, że zobaczą to Edward i Carolyn. Dziękuję ci, Anthony, ty dupku. Miałem tylko nadzieję, że nie będziemy musieli kryć się za bramą posiadłości przed wścibskimi dziennikarzami, tak jak to robiliśmy dziesięć lat temu. W końcu teraz cała historia nie dotyczyła Susan i mnie, choć nigdy nie wiadomo, jak media to przekręcą. Może pojawi się nawet Jenny. Stanie na tle zamkniętej bramy i powie:

- To tu, za tą żeliwną bramą i wysokim murem, mieszkają John i Susan Sutterowie, którzy dziesięć lat temu byli zamieszani... - Uwikłani? Unurzani? Zwał, jak zwał. W każdym razie jeśli Jenny się pojawi, to wyjdę tam, uściskam ją i wycaluję, a potem krzyknę do mikrofonu: Jenny! Skarbie! Tak za tobą tęskniłem!”.

To głupie. Dotarło do mnie, że powinienem zadzwonić do pana Nasima i uprzedzić go o całej sytuacji, nim przeczyta w gazetach o Susan i Johnie Sutterach ze Stanhope Hall. Może podwoi swoją ofertę za sprzedaż domu?

Z kolei Susan i ja jutro mieliśmy wyjechać, więc po co dzwonić do kogokolwiek? Wyznajemy z Susan taką zasadę: Kiedy gównem wpadnie do wentylatora, trzeba uciekać.

Może z całego tego medialnego zamieszania wyniknie chociaż jedna korzyść -

Anthony będzie miał problem ze znalezieniem chętnego, który zastrzeliłby Sutterów. Tacy ludzie nie lubią rozgłosu i nie lubią strzelać do ludzi z pierwszych stron gazet. Czy nie mam racji? Od razu mi lepiej.

Była dziewiąta i Susan usiadła przy stoliku na tarasie z filiżanką kawy, notesem, długopisem i przenośnym telefonem i wybrała numer biura podróży.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy polecili klasą ekonomiczną? - zapytała.

- A co to jest klasa ekonomiczna?

Nim zdążyła mnie uświadomić, odezwał się agent z biura podróży. Rozmawiali przez minutę, a potem Susan zarezerwowała dwa miejsca w klasie ekonomicznej do Londynu. Wylot o siódmej trzydzieści rano z lotniska JFK liniami Continental.

- Nie, niepotrzebny nam hotel - powiedziała do agenta. - Mój mąż ma mieszkanie w Londynie.

Od kiedy to ja jestem żonaty? Czyżby umknął mi jeden dzień z życia?

Następnie zarezerwowała nam bilety na pociąg do Paryża i, hojnie, tygodniowy pobyt w Ritzu. Tam mieszkaliśmy poprzednim razem. I jeszcze z Paryża, znów klasą ekonomiczną, tyle że teraz samolotem Air France, powrót do Nowego Jorku. Mielśmy wrócić w środę, trzeciego lipca po południu. W sam raz, by zdążyć na grilla organizowanego w Seawanhaka z okazji Święta Niepodległości.

- Naprawdę nie mogę się doczekać tej podróży - powiedziała do mnie po odłożeniu słuchawki.

- Ja też.

- Kiedy się pobierzemy, John?

- Wcale nie musimy. Wystarczyłoby, żebym wypełnił odpowiedni formularz w sądzie rodzinnym - *de lunatico inquirendo* - żeby anulować postanowienie o rozwodzie.

- Pieprzysz głupoty.

- Masz rację. Co powiesz na czwarty lipca w Seawanhaka? I tak będą tam wszyscy nasi znajomi, więc nic to nas nie będzie kosztowało.

Nie przypadł jej do gustu ten pomysł - kobiety nie mają zmysłu praktycznego - więc zadzwoniła do klubu. Na szczęście mieli wolną drugą sobotę sierpnia i Susan zarezerwowała ją na przyjęcie weselne na świeżym powietrzu. Szczegóły miały zostać uzgodnione później.

- Wspaniale - powiedziała, odkładając słuchawkę. - Noc poślubną spędzimy w

pokoju gościnnym w klubie, a następnego ranka cała nasza czwórka popłynęła jachtem w dwutygodniową podróż poślubną.

- To w podróż poślubną wybierają się z nami twoi rodzice?

- Nie, John, Edward i Carolyn.

- W porządku - zgodziłem się. - Rzeczywiście w czasie poprzedniej podróży nam nie towarzyszyli.

Zbyła moja uwagę milczeniem.

- Tydzień wcześniej polecimy do Los Angeles, spędzimy kilka dni z Edwardem, a potem zabierzemy go prosto na ślub.

- Dobry plan.

Zapowiadało się cudowne lato. Potem, jeśli rozwiążą się wszystkie nasze problemy, we wrześniu znajdę pracę i będziemy żyli długo i szczęśliwie - w mniejszym domku i bez comiesięcznego kieszonkowego Stanhope'ów. Pozostawało tylko nie dać się wcześniej zabić.

Siedziałem zamknięty w swoim gabinecie i próbowałem napisać e-mail do Elizabeth, w którym informowałem ją o naszym wyjeździe do Stambułu - wcześniej musieliśmy z Susan ustalić, dokąd na niby jedziemy - i planowanym powrocie za trzy lub cztery tygodnie. Potem powinienem się zająć uregulowaniem spraw Ethel.

Przypomniałem jej też w uprzejmych słowach o liście i poprosiłem o spotkanie jeszcze przed naszym wyjazdem. Następnie zadzwoniłem do stróżówki z prośbą, żeby wpuścili Elizabeth na teren posiadłości.

Kiedy odkładałem słuchawkę, przed dom zajechał niebieski ford taurus, z którego wysiedli Kutas i Słodka Idiotka. Powinienem poprosić strażników, żeby zakuli ich w łańcuchy, ale widocznie Susan mnie uprzedziła.

Patrzyłem na nich przez okno. Dyskutowali ze sobą, jakby w ostatniej chwili uzgadniali ostateczne stanowisko. Mieli ponure miny, stąd wnioskowałem, że nie nawiedził ich w nocy anioł, który uświadomiłby im, że Bóg kocha wszystkich ludzi oprócz nich, więc lepiej niech nie odcinają rodziny od dolarów, bo trafią do piekła.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach i po chwili usłyszałem, jak Susan wita Stanhope'ów. Byłem zdziwiony, że nie otworzyła im drzwi osobiście; w tym środowisku niedopuszczalne jest, żeby rodzinie i bliskim przyjaciółom otwierała służba. To był wyraźny sygnał od Susan. Może była zajęta ostrzeniem topora?

Usłyszałem, jak drzwi się zamknęły; nagle powiało chłodem, skądś w powietrzu pojawiły się ćmy, a po ścianach zaczął ściekać ohydny zielony śluz. Przyjechali

Stanhope'owie.

## ROZDZIAŁ 68

Umówiliśmy się, że Susan przyjmie Lucyfera i Wiedźmę w salonie, a ja będę siedział za zamkniętymi drzwiami w gabinecie. W razie czego będzie mogła się ze mną skonsultować.

Wielokrotnie już w ten sposób negocjowałem umowy dotyczące podatków i spadków. Poszczególne osoby w oddzielnych pokojach, tak żeby nie stali się wobec siebie zbyt niemili albo żeby nie dochodziło do rękoczynów. Zwykle to działało.

Sprawdziłem pocztę; przyszło kilka wiadomości od znajomych z Londynu. Wypytywali o to, czego dowiedzieli się od Samantha albo moich kolegów z pracy. Postanowiłem, że nie odpowiem na te e-maile, dopóki nie pojawi się trybunał i nie ogłosi wyroku. Pograłem sobie z komputerem w pokera. Miałem dobrą passę. Czy to prawda, że kto ma szczęście w kartach, ten nie ma w miłości?

Kwadrans po przyjeździe Stanhope'ów rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołałem.

W progu stanęła Sophie.

- Idę już - obwieściła.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś.

Drzwi pozostawały otwarte; słyszałem głosy w salonie. Ich ton był ponury.

Sophie wręczyła mi kartkę papieru; pomyślałem, że to notatka od Susan albo rachunek do zapłacenia, ale kiedy zerknąłem na nią, zobaczyłem, że to napisana po polsku lista.

- Proszę to pokazać w sklepie - powiedziała.

- Co...? A, tak. - W czasie naszego romantycznego pobytu w Warszawie. Dlaczego ze mnie jest taki przemądrzały dupek? No cóż, może dostanę coś z tego w Glen Cove albo w Brooklynie.

- Pani jest smutna - odezwała się po chwili wahania Sophie. - Może pan pójdzie... - Wskazała, kciukiem na znajdujący się za jej plecami salon.

- Tak. Dobrze. Dziękuję. Jesteś bardzo miła. Zobaczymy się po powrocie.

- Tak. - Zamknąłem za nią drzwi.

Słyszałem, jak wychodzi z domu, a potem zobaczyłem, jak wsiada do swojego samochodu i odjeżdża.

Rzeczywiście powinienem tam pójść, chwycić Williama za gardło i zmusić go do podpisania czystej kartki papieru. Była ku temu podstawa prawna - *necessitas non*

*habet legem* - konieczność nie zna prawa.

Z drugiej strony obiecałem Susan, że będę siedział cicho i nie wtrącał się do spraw rodzinnych. Ona z kolei miała ze mną porozmawiać, zanim jeszcze Stanhope'owie wyjdą.

Dla zabicia czasu zacząłem przeglądać portale internetowe z wiadomościami i czytać o ostatniej wieczerzy Salvatore D'Alessia. Większość artykułów sucho opisywała fakty i nie dowiedziałem się z nich niczego, czego wcześniej nie słyszałbym od Jenny Alvarez i Feliksa Mancuso. Ale na jednym z portali napisano: „W domu Bellarosy na Long Island nikt nie odbiera telefonu, a w siedzibie firmy Bell Enterprises w Ozone Park w Queens zgłasza się automatyczna sekretarka”.

Jak on prowadził interesy, skoro nie odbierał telefonów? A gdyby ktoś potrzebował limuzyny na pogrzeb? Na przykład rodzina Salvatore D'Alessia?

Dalej przeczytałem: „Z dobrze poinformowanych źródeł dowiedzieliśmy się, że Anthony Bellarosa najprawdopodobniej wyjechał z kraju”.

Oby nie do Londynu albo Paryża. Nie miałem ochoty natknąć się na niego w Tate Gallery albo w Luwrze. A już na pewno powinienem unikać gabinetu figur woskowych Madame Tussaud.

Wpadłem na pomysł; wyjąłem z portfela wizytówkę Anthony'ego i zadzwoniłem na jego komórkę. Po trzech sygnałach usłyszałem nagraną informację: „Połączenie zostało przerwane na życzenie abonenta. Żadne inne informacje nie są dostępne”.

Taka informacja nie wskazywała na to, że Anthony'ego przejechała ciężarówka. Wskazywała, że nie chce, by go ktoś namierzył.

Gdyby mnie się udało z nim połączyć, nasza rozmowa byłaby dość kretyńska: „Anthony, gdzie jesteś? John, gdzie ty jesteś. Ja zapytałem pierwszy...”.

Następnie napisałem do Carolyn e-mail na temat zabójstwa pana Salvatore D'Alessia, mieszkańca Brooklynu, na pewno dobrze znanego w prokuraturze okręgowej. Byłem pewien, że w biurze Carolyn wrzało jak w ulu po tym zamachu, a jej koledzy, wspólnie z funkcjonariuszami nowojorskiej policji i agentami FBI, intensywnie poszukiwali śladów mogących doprowadzić ich do zabójców. Szukali też bez wątpienia zaginionego ochroniarza, no i tego, kto wydał wyrok na Salvatore.

Poinformowałem też Carolyn, jeśli sobie jeszcze nie zdawała z tego sprawy, że w związku z tą sprawą mamusia i tatuś mogą zostać wymienieni w mediach z imienia i nazwiska. Nie dopisałem zdania: „Mam nadzieję, że nie wprawi cię to w

zakłopotanie”. To się rozumiało samo przez się. Carolyn zdawała sobie także sprawę z tego, że teraz Anthony Bellarosa będzie polował na jej matkę. Napisałem jej, że następnego ranka wyruszamy w podróż do Europy i jeszcze przed wylotem zadzwonimy do niej. Na pewno zrozumie, skąd ta nagła decyzja.

Przypomniałem sobie, że Anthony i Carolyn spotkali się już kiedyś w Alhambrze, i choć nie byłem przy tym obecny, to nie miałem wątpliwości, że nie uległa urokowi śniadego, przystojnego zbira z sąsiedztwa. Pod tym względem wykazywała więcej rozsądku niż jej matka.

Miałem także nadzieję, że asystentka prokuratora okręgowego może mieć więcej informacji niż ja i że się nimi z rodzicami podzieli.

Następnie odnalazłem ciekawe strony o Paryżu, w tym reklamy restauracji, gdzie mile witano amerykańskich turystów.

Około dziesiątej otworzyły się drzwi i weszła Susan. Była blada i roztrzęsiona, ale nie płakała. Posadziłem ją na sofie i sam usiadłem obok niej.

Wzięła głęboki wdech i powiedziała:

- Ich stanowisko jest jasne. Jeśli się pobierzemy, moje kieszonkowe przepada i zostanę wydziedziczona. Zrobią to nawet wtedy, gdy nie weźmiemy ślubu, ale ty nie wyjedziesz z kraju.

- Przecież wiedzieliśmy o tym - powiedziałem, chwytając ją za rękę.

- Tak... ale... Ojciec powiedział jeszcze, że wydziedziczy też nasze dzieci... i wstrzyma im wypłaty z funduszu powierniczego... aż do czasu, kiedy skończą pięćdziesiąt lat. - Spojrzała na mnie. - Czy on może to zrobić?

- Jak już mówiłem, może je wydziedziczyć w dowolnej chwili. A jeśli chodzi o fundusz powierniczy, musiałbym zobaczyć dokumenty. Kiedyś je przeglądałem i wiem, że zarządza nim Peter. Dlatego twój ojciec za jego pośrednictwem może wstrzymać wypłatę kapitału i wartości dodanej aż do chwili, gdy dzieci skończą pięćdziesiąt lat.

- To jeszcze około dwudziestu pięciu lat od dzisiaj - policzyła szybko Susan.

Spróbowałem przedstawić jej płynące z tego korzyści:

- Do tego czasu wartość kapitału wzrośnie czterokrotnie. - Pod warunkiem że zarządzający nie dokona wyjątkowo nieudanych inwestycji.

- Ja się martwię o to, co będzie teraz, a nie za dwadzieścia pięć lat.

- Wiem.

Próbowałem wywnioskować, o czym teraz myśli. Zrozumiałem, gdy cofnęła



swoją dłoń.

Zatem nadeszła chwila, która niechybnie musiała nadejść. Sam jej przecież wcześniej podsunąłem rozwiązanie. Wtedy nie przyjmowała go do wiadomości, ale teraz, kiedy usłyszała ostatnie słowo tatusia - a przecież William na pewno nie blefował - dotarło do niej, z czym może wiązać się jej upór.

- A co na to twoja matka? - zapytałem od niechcienia.

- Powiedziała, że mam ci kazać wyjechać, a wtedy wszystko się ułoży.

Nie wierzyłem w to, ale nie chciałem dobijać Susan.

- Co ja mam zrobić, John? - zapytała w końcu.

Przecież znasz odpowiedź.

- John?

Wziąłem głęboki wdech.

- Powinnaś wynająć adwokata...

- Po co? Ty jesteś prawnikiem...

- Posłuchaj mnie. Musisz się zabezpieczyć, na wypadek gdyby taka sytuacja miała się powtórzyć. Twój ojciec musi ustanowić fundusz powierniczy dla ciebie i nowe fundusze dla dzieci. Kapitałem w tych funduszach byłaby należna wam część spadku. Wy otrzymywalibyście corocznie wypłatę, nad którą on nie miałby żadnej kontroli. Osobą zarządzającą funduszami musisz być ty, a nie Peter. Rozumiesz?

- Dlaczego miałby tak zrobić?

- Przez wzgląd na siebie. Innymi słowy, w zamian za to, czego od ciebie żąda.

- Co...? Och...

- Ty i dzieci musicie mieć prawne zabezpieczenie, że nie będzie miał wpływu na wasze życie i wasze pieniądze. A w zamian ty dasz mu to, czego żąda. Na piśmie.

- John... Nie...

- Tak.

Odwróciła w moją stronę głowę, nasze spojrzenia się spotkały. Nagle po policzkach popłynęły jej łzy.

- To jedyne rozwiązanie, Susan - powiedziałem tak stanowczo, na ile było mnie w tej chwili stać. - Tylko w ten sposób możemy zabezpieczyć przyszłość naszych dzieci i twoją.

Odwróciła wzrok i wytarła dłonią łzy. Postanowiłem zakończyć już tę dyskusję i wstałem.

- Idź tam i powiedz mu, że wracam do Londynu - bez jego miliona dolarów -

ale pod warunkiem, że najpierw z nim porozmawiam i powiem, co musi zrobić dla Edwarda, Carolyn i ciebie.

Susan wciąż siedziała i kręciła bezwiednie głową.

- Dzieci mówiły, że im nie zależy... - wyszeptała.

- Im nie. Ale nam tak. Naprawdę chcesz, żeby całą fortunę Stanhope'ów zgarnął Peter?

Nie odpowiedziała. Nie musiała nic mówić. Chwyliłem ją za rękę i podniosłem z sofy.

- Idź teraz do kuchni albo gdziekolwiek indziej, weź się w garść, a potem wróć do salonu i powiedz mu, jak ma wyglądać nasz układ.

Susan milczała.

- Jeśli się nie zgodzi, to możesz zapomnieć o nim i o jego pieniądzach, ale jeśli zechce ze mną rozmawiać, to wypracujemy taką umowę, dzięki której nie będzie już tak kurczowo ścisnął w dłoni sakiewki.

Potrząsnęła głową i ledwo słyszalnie szepnęła:

- Nie, John... Nie pozwolę ci odejść.

- Nie masz... Nie mamy wyboru. Może za rok, jak sobie to wszystko przemyślimy...

- Nie!

- Dobrze, w takim razie ja z nim porozmawiam. Przyślij go tu.

- Nie.

- Więc ja idę do niego...

- Nie, nie... ja sama... daj mi jeszcze minutę...

Chciała znowu usiąść, ale chwyciłem ją za ramię i zaprowadziłem do drzwi.

- Już dobrze. Jesteś dzielna i dasz sobie radę.

- Nie chcę...

- Nie poświęcimy przyszłości naszych dzieci, bo tak nam wygodnie - powiedziałem surowo.

- Nie pozwolę ci znowu odejść!

Chwyliłem ją za ramiona.

- Wyjadę. Ale dopiero wtedy, kiedy uporządkuję sprawy dzieci. Powinienem był to zrobić już dziesięć albo dwadzieścia lat temu...

- Nie, John, proszę...

- Ale obiecuję ci, Susan... Obiecuję ci, że kiedyś znów będziemy razem.

Spojrzała na mnie. Po policzkach płynęły jej łzy. Zaszlochała, potem położyła głowę na moim ramieniu.

- Obiecujesz?

- Tak. No, już dobrze...

Otworzyłem drzwi i wypchnąłem ją na korytarz. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się do niej.

- Powiedz ojcu, że twój adwokat chce z nim rozmawiać.

Nie odwzajemniła mojego uśmiechu; pokiwała tylko głową. Wróciłem do gabinetu i zamknąłem drzwi.

Stałem bez ruchu dobrą minutę, potem usiadłem przy biurku.

Chwyciłem ołówek i zacząłem spisywać, o czym muszę porozmawiać z Williamem. Nie mogłem się skupić. Musiałem przecież wynegocjować umowę, zgodnie z którą Susan i ja mieliśmy się już nigdy więcej nie zobaczyć.

Nie wykluczałem, że William odrzuci moje warunki. Dlaczego niby miałby oddać kontrolę nad pieniędzmi Susan i dzieciom? Przecież wiadomo było, że tym nie kupi sobie miłości córki i wnucząt.

Jedyne, co zyskiwał, to pewność, że John i Susan Sutter nigdy się już nie zobaczą. Ciekawe, czy to mu wystarczy? Zastanawiałem się, czy on i Charlotte naprawdę uważali, że Susan, wychodząc za mnie, popełniłaby straszny błąd. Czy może chodziło tylko o nienawiść, jaką mnie darzyli?

William pewnie zdawał sobie sprawę, że zgadzając się na zaproponowany przeze mnie układ, pozbyłby się nie tylko mnie, ale straciłby także córkę i wnuki w chwili, gdy staliby się od niego niezależni finansowo. W tej grze nie było zwycięzców. Ale pójdzie na ten układ, jeśli nienawiść do mnie jest u niego silniejsza niż miłość do córki. Byłem też przekonany, że Peter będzie go namawiał do przyjęcia moich warunków, gdyż wtedy on również zyskałby niezależność.

Drzwi otworzyły się i do pokoju ponownie weszła Susan.

- Ojciec odrzuca twoją propozycję.

- Rozumiem.

Znaliśmy już zatem odpowiedź na jedno pytanie. Wyglądała na wyczerpaną. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie.

Odwróciła wzrok i powiedziała:

- Ale podtrzymuje swoją ofertę dla ciebie, pod warunkiem że przyjmiesz ją natychmiast i polecisz do Londynu już jutro... sam.

- Rozumiem.

Czekałem, aż coś powie, ale milczała, poznałem zatem odpowiedź na kolejne nurtujące mnie pytanie. Naprawdę, nie winiłem jej. Niestety, to nieprawda, że miłość wszystko zwycięża. Albo może powiem to delikatniej - jej miłość do dzieci przerosła miłość do mnie. Ten, kto powiedział, że los dzieci jest w naszych rękach, musiał mieć takiego teścia jak William Stanhope.

Chciałem powiedzieć Susan, że bez gwarancji prawnych ze strony Williama będzie on mógł zrobić z pieniędzmi, co zechce, na przykład oddać wszystkie Peterowi. Bałem się jednak, że może to źle zabrzmieć, jakbym chciał ją przekonać, że mój wyjazd wcale nie zagwarantuje bezpiecznej przyszłości ani jej, ani naszym dzieciom. Mogła być za to pewna, że William w dalszym ciągu będzie kontrolował jej życie i pewnie wkrótce sam wybierze jej nowego męża. Może myślał o Bobie, synu zmarłego Dana?

- A co zaproponował tobie?

Zawahała się i powiedziała otwarcie:

- Znaczne zwiększenie kieszonkowego, pod warunkiem że sprzedam ten dom i przeprowadzę się do Hilton Head.

- Rozumiem.

A więc panowanie Williama Wielkiego miało trwać nadal. Jak już wspomniałem, nie winiłem Susan i byłem przekonany, że gdyby chodziło tylko o nas, już dawno wyrzuciłaby swoich rodziców za drzwi. Nie zamierzałem źle o niej myśleć z powodu decyzji, jaką podjęła. Uważałem, że była słuszna.

- Powiedz mu, że jutro wyjeżdżam. Powiedz mu też, że swoją łapówkę może sobie wsadzić w dupę.

Susan zamknęła oczy i wyszeptała:

- Przepraszam...

- Nie masz za co. To nasza decyzja, nie tylko twoja. A najlepiej przyślij go tutaj, sam mu to powiem.

Potrząsnęła głową.

- On nie chce cię widzieć... Chce tylko znać twoją odpowiedź.

- Moja odpowiedź brzmi: wyjeżdżam jutro, jeśli on teraz przyjdzie do tego gabinetu.

- Przekażę mu. - Spojrzała mi w oczy. - Kocham cię.

- Wiem.

- A ty mnie kochasz?

- Tak.

Chociaż zostało mi to zakazane.

- Ten czas, który spędziliśmy razem... - zaczęła - ...nigdy nie zapomnę tego tygodnia...

- Ani ja. Ty jutro też musisz gdzieś wyjechać do czasu, aż wszystko tu się wyjaśni.

- Wiem... Oni chcą, żebym pojechała z nimi do Hilton Head. Ale... co ja bez ciebie pocznę?

- Dasz sobie radę. Czekam tu na twojego ojca.

Zrobiła krok w moim kierunku, lecz ją powstrzymałem.

Była taka zagubiona. Chciałem wziąć ją w ramiona, ale nie w tej chwili, nie teraz, kiedy oni siedzieli w salonie.

Stała chwilę bez ruchu, potem skinęła głową i wyszła.

Patrzyłem w milczeniu na drzwi, łudząc się, że wróci, pójdziemy razem do salonu i wyrzucimy Stanhope'ów z domu. Naszego domu.

Czułem... cóż, czułem różne rzeczy. Złość, to na pewno. Ale przede wszystkim miałem poczucie straty. To samo co dziesięć lat temu. Odnosiłem wrażenie, że to już koniec.

Ale jednocześnie czułem, że coś tu nie gra... że Susan miała rację, gdy mówiła, że los nas znowu połączył. Dlaczego zatem miało nas spotkać coś takiego?

Jedyną dla mnie pociechą było to, że Susan, Edward i Carolyn wreszcie zobaczyli prawdziwe oblicze Williama. Ta wiedza da im więcej dobrego niż jego pieniądze. Wiedziałem również, że William zdaje sobie sprawę, iż będę uważnie obserwował jego poczynania i wkroczę znów do akcji, jeśli tylko złamię dane Susan przyrzeczenie. Pewnie się bydlak ucieszy, kiedy usłyszy, że nie chcę jego pieniędzy. Ale musi zdawać sobie sprawę, że w takim wypadku nie będę od niego w żaden sposób zależny, będę mieszkał o sześć godzin lotu od niego i wrócę, kiedy dowiem się, że moim dzieciom dzieje się krzywda.

Pomyślałem o jutrzejszym dniu, o tym, jak wsiądę sam do samolotu i polecę do Londynu. Prawdopodobnie wrócę do pracy, z której już zrezygnowałem, i do Samantha. Ale tak naprawdę najchętniej poszukałbym jakiegoś właściciela jachtu, któremu potrzebny byłby doświadczony kapitan.

Usłyszałem, jak pod dom podjeżdża jakiś samochód i wyjrzałem przez okno. To

była Elizabeth.

Podszedłem do drzwi frontowych i otworzyłem je, nim zdążyła zadzwonić.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem.

- Dzień dobry. Wejdz.

- Ja tylko na chwilę. Przeczytałam twój e-mail.

Weszliśmy do środka; zaprowadziłem ją do gabinetu i zamknąłem drzwi.

Rozejrzała się wokół i zauważyła wiszące na ścianach obrazy namalowane przez Susan.

- Jest bardzo utalentowana - oceniła.

Spojrzałem na obrazy i wróciły wspomnienia. Całe dwadzieścia lat życia z kobietą, która była uroczo szalona, a która w ciągu ostatnich dziesięciu lat stała się mniej szalona, choć nadal pozostała urocza. A teraz Susan została pokonana. I to mnie bolało najbardziej.

- John? Wszystko w porządku? - zapytała Elizabeth.

- Tak. Jak się trzymasz?

- Raz lepiej, raz gorzej. Ale wszystko wróci do normy.

- Na pewno. Usiądziesz?

- Nie. Muszę biec na zebranie pracowników moich sklepów.

- Bez ciebie nie rozpoczną.

- Obawiam się, że mogą - powiedziała z uśmiechem. Otworzyła torebkę i wyjęła z mej kopertę. - To dla ciebie.

Wzięłem kopertę do ręki i przeczytałem napisany ręką Ethel tekst: „Pan John Sutter”.

- Dziękuję. - Podszedłem do biurka i sięgnąłem po nóż do papieru. - Przeczytajmy go.

- Nie. Sam go przeczytaj. Mama zaadresowała go do ciebie.

- Ale umawialiśmy się...

- Jeśli znajdziesz w nim coś, czym chciałbyś się ze mną podzielić, to zadzwoń.

Zdaję się na ciebie.

- Dobrze... ale...

- Kiepsko wyglądasz.

- To kac po Dniu Ojca.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, że nie widziałeś mnie w niedzielę rano.

- Spotkanie u ciebie w domu było miłe.
- Kiedy wrócicie z podróży, chciałabym zaprosić ciebie i Susan na kolację.
- To miłe.
- Przekaż Susan, że wpadłam na chwilę i życzę wam *bon voyage*.
- Przekażę.
- Napij się kawy i weź aspirynę.
- Tak zrobię. Dziękuję.

Odprowadziłem ją do samochodu.

- Czy to samochód Stanhope'ow? - zapytała.
- Tak.

- O Boże. Teraz rozumiem, dlaczego tak wyglądasz.

- Na szczęście zaraz jadą na lotnisko - powiedziałem z wymuszonym uśmiechem.

- Trzeba to uczcić. Zapytaj Susan, czy nie chce wpaść wieczorem na drinka.
- Dzięki, ale musimy się dzisiaj spakować. Samolot odlataje wcześniej rano.
- Zadzwoń, jeśli zmienicie zdanie. A właściwie dlaczego lecicie do Stambułu?
- Ot tak, na wycieczkę. Zrobiłem tam sobie kiedyś tygodniową przerwę w rejsie.
- Może kiedyś jakiś przystojny mężczyzna zabierze mnie w podróż dookoła

świata - rzekła, patrząc mi w oczy.

Może prędzej, niż myślisz.

- Marzenia się spełniają - odparłem.

Nie odezwała się.

- Przekaż pozdrowienia Mitchowi.

- Komu?

No tak. Właściwa odpowiedź. Cmoknęła mnie w policzek.

- Przyślijcie mi pocztówkę.

- Przyślę... przyślemy.

- Pa! - Wsiadła do samochodu i odjechała.

Wróciłem do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi.

Zbyt dużo miałem teraz na głowie, żeby myśleć o Elizabeth. Stałem przy biurku i wpatrywałem się w kopertę. Rozległ się dźwięk interkomu. To była Susan.

- Jestem w kuchni. Ojciec nie przyjdzie do ciebie do gabinetu, ale porozmawia z tobą później przez telefon.

- Dobrze.

- Idzie teraz do samochodu, żebym mogła spędzić chwilę sam na sam z mamą.
- Świetnie.
- Proszę, nie wychodź do niego.
- Nie wyjdę. Zobaczymy się, jak odjadą.

Odłożyłem słuchawkę. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi frontowe, i przez okno zobaczyłem idącego w stronę samochodu Williama.

Zwykle panuję nad sytuacją, a jeśli nie, to staram się przejąć kontrolę. Ale zdarzało się - tak jak teraz - że najlepiej było nie robić nic. Zresztą co miałem powiedzieć Williamowi Stanhope'owi? Nie musiałem mu mówić, co o nim myślę - dobrze to wiedział. Na pewno też nie zamierzałem go prosić, żeby przemyślał jeszcze raz swoją decyzję i nieco zmiękł. Jedyną pożyteczną i pożądaną rzeczą byłoby pójść tam teraz i walić jego łbem o kierownicę tak długo, aż z hukiem otworzy się poduszka powietrzna. I pewnie bym to zrobił, gdyby William był młodszy.

Na dodatek gdzieś tam czaił się Anthony Bellarosa. Ale jutro, kiedy rozjedziemy się z Susan po świecie - w przeciwnych kierunkach - ten problem przestanie istnieć.

Patrzyłem na Williama, który wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Pewnie chciał posłuchać radia. Ciekaw byłem, jak on i Charlotte zareagują, kiedy dowiedzą się o zabójstwie Salvatore D'Alessia i o tym, że nazwisko ich córki znów pojawia się w mediach. Mogłem się założyć, że zmuszą ją do natychmiastowego powrotu do Hilton Head. Zdałem sobie sprawę, że żadne z nas dwojga już tu nie zamieszka.

Otworzyłem kopertę, wyjąłem złożone kartki papieru i spojrzałem na staranne, drobne pismo Ethel.

*Szanowny panie Sutter,*

*Piszę do pana z, jak mniemam, swojego łóża śmierci, oczekując pańskiego przyjazdu z Londynu. Otrzyma pan ten list już po mojej śmierci, z rąk mojej córki, Elizabeth Corbet, pod warunkiem, że faktycznie przyleci pan z Londynu i zdążymy przed moją śmiercią porozmawiać*

No, cóż. Spełniłem oba warunki - przyleciałem z Londynu i odwiedziłem Ethel w hospicjum. Ona spełniła swój warunek - umarła.

Jedyne, co było od początku pewne, to to, że umrze. Mój przyjazd nie był już tak oczywisty. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że powinienem był



zostać w Londynie. Oszczędziłbym wszystkim kłopotów i cierpienia.

Patrzyłem chwilę na Williama i zastanawiałem się, czy nie wyjść do niego i nie powiedzieć mu spokojnie acz dobitnie, że ma nie majstrować przy funduszu powierniczym moich dzieci. Ciekawe, co by zrobił, gdybym do niego teraz podszedł? Odjechał na lotnisko, zostawiając tu swoją żonę?

Wróciłem do lektury listu:

*Jestem słaba i trudno mi pisać, przejdę więc od razu do rzeczy. Wiem, że pan i pański teść nie darzyliście się nigdy sympatią. Wiem też, że taki stan rzeczy bardzo bolał pańską byłą żonę i był przyczyną nieporozumień między wami. Wydaje mi się również, że Stanhope'owie namówili panią Sutter do sprzedaży domu i przeprowadzki do Hilton Head.*

Chyba domyśliłem się, dokąd to wszystko zmierza. Ethel postanowiła na koniec zabawić się w Kupidyna. Ciekawe, dlaczego tak jej zależało, żebym pogodził się z Susan? Lubiła ją, to prawda, i pewnie po powrocie Susan do Stanhope Hall stały się sobie bliskie. Ethel, czekając na śmierć, z braku lepszego zajęcia, postanowiła oddać Susan ostatnią przysługę.

Odłożyłem list na bok. Dobrze, Ethel. Zapomniałaś tylko o Williamie Stanhopie. Chociaż nie, nie zapomniała, przecież wspomniała o nim. Poza tym nigdy go nie lubiła, a teraz miała ostatnią okazję, żeby... co?

Wróciłem do przerwanej lektury:

*To, co zamierzam napisać, trudno ubrać w słowa. Dlatego napiszę bez owijania w bawełnę. William Stanhope to człowiek zdemoralizowany, zepsuty i grzeszny.*

Ho, ho! Usiadłem i przewróciłem kartkę.

*Jego bezwstydnego i rozpustnego zachowanie zaczęło się, kiedy uczęszczał do college'u, trwało przez cały okres służby wojskowej i nie ustało nawet po ślubie. Nawet teraz, po tylu latach, trudno mi wracać myślami do tamtych dni. Nie chcę zbyt szczegółowo opisywać jego postępowania, wystarczy wspomnieć, że narzucał się najmłodszym i najbardziej niewinnym dziewczętom służącym wówczas w*

*Stanhope Hall....*

Przerwałem lekturę i wstrzymałem oddech. Mój Boże. Przebiegłem ponownie oczami ostatnie zdanie i zacząłem czytać dalej:

*Podobały mu się cudzoziemki, które nie miały możliwości mu odmówić. Przed wojną i w czasie jej trwania jego ofiarą padały młode irlandzkie dziewczyny, a jedna z nich, Bridget Behan, próbowała nawet targnąć się na swoje życie po tym, jak ją potraktował. Po wojnie były to osoby przesiedlone, głównie Niemki i Polki, dziewczyny, które prawie nie znały angielskiego i były przerażone widmem deportacji. Tylko dlatego mu ulegały. Jedna z tych dziewcząt, szesnastoletnia Polka, której nazwiska niestety nie pamiętam, zaszła z nim w ciążę, a on odesłał ją do jej kraju.*

*Nie mam zamiaru opisywać tu tego wszystkiego, co się działo przez te lata, dość powiedzieć, że ten haniebny proceder trwał do chwili, aż on i pani Stanhope przeprowadzili się do Hilton Head.*

*Zastanawia się pan teraz zapewne, dlaczego tak długo wstrzymywałam się z tym wyznaniem. Najpierw muszę panu powiedzieć, że ja i inni w Stanhope Hall usiłowaliśmy zwrócić na to uwagę Augustusa Stanhope'a, ale on, niestety, nie chciał słuchać naszych skarg. Niewybaczalne jest to, że nie naciskałam na niego. A winą George'a było to, że w ogóle nie chciał poruszać tego tematu i kazał mi milczeć. Musi pan wiedzieć, że w tamtych czasach takie dziewczęta nie mogły po prostu poskarżyć się władzom, a nawet jeśli by to zrobiły, cóż znaczyłoby ich słowo przeciwko słowu Williama Stanhope'a? Wiem także, że były wielokrotnie zastraszane zwolnieniem z pracy i deportacją, a czasami William płacił za ich milczenie. Nie potrafię powiedzieć panu, ile dziewcząt padło jego ofiarą, a nie było roku, żeby któraś mi się nie skarżyła. Muszę jeszcze dodać, że część tych dziewcząt dobrowolnie sprzedawała się za pieniądze. Ale wiele zostało do tego zmuszonych.*

*Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnych dowodów. Jest jeszcze tylko jedna osoba, która podobnie jak ja zna całą prawdę. Nazywa się Jenny Cotter. Może ją pan lub pani Sutter pamiętać z czasów, kiedy pracowała jako przełożona służących w Stanhope Hall. W chwili gdy piszę te słowa, pani Cotter wciąż jeszcze żyje i przebywa w domu opieki Harbor View w Glen Cove. Jest gotowa, jeśli pan sobie tego zażyczy, podać jeszcze więcej szczegółów na temat, o*

którym piszę.

*Tak więc, panie Sutter, ten list jest moim wyznaniem, a jednocześnie przeprosinami za to, że przez tyle lat milczałam. Proszę mi wierzyć, że postąpiłam tak, by oszczędzić pannie Susan, późniejszej pani Sutter, bólu i cierpienia. Ale teraz, kiedy wyruszam w podróż do królestwa niebieskiego, wiem, że muszę oczyścić swą duszę, i jestem przekonana, że to właśnie pan jest osobą, której powinnam była to powiedzieć już wiele lat temu. W tej chwili decyzja, czy pani Sutter powinna poznać treść tego listu, należy do pana. Modłę się, by pan przeczytał ten list i pokazał go panu Stanhope'owi. Wiem, że Bóg wybaczy mi moje milczenie i wybaczy także jemu, jeśli tylko zechce zajrzeć w głąb swej duszy, dostrzec swoje grzechy i prosić Boga o wybaczenie.*

*Serdecznie pozdrawiam, Ethel Allard*

Spojrzałem na trzymane w ręku cztery kartki papieru, a potem na niecierpliwie czekającego w samochodzie Williama.

Otworzyłem notes z telefonami i wybrałem numer komórkowy Williama.

Widziałem, jak wyciąga z kieszeni marynarki aparat i patrzy na wyświetlacz.

- Tak?

- William? Z tej strony twój przyszły zięć. Przyjdź tu natychmiast. Musimy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 69

- Wciąż nie rozumiem - powiedziała Susan - jak udało ci się przekonać go do zmiany zdania.

- Potrafię być bardzo przekonujący - odparłem.

Pytała mnie o to już któryś raz z rzędu od chwili, gdy godzinę temu Stanhope'owie wyjechali na lotnisko. Była szczęśliwa, że wszystko skończyło się dobrze. Mówiła, że to cud i to był rzeczywiście cud. Dziękuję, Ethel. I powiedz temu aniołowi za Niebiańskim Barem, żeby ci nalał jeszcze jedną sherry. To ode mnie.

Siedzieliśmy w cieniu na tarasie i popijaliśmy piwo.

- Co zjadłbyś na lunch? - zapytała Susan. - Spełnię każdą prośbę.

- Marzę o jogurcie. Ale w ostateczności może być pizza pepperoni.

Bez słowa protestu sięgnęła po telefon, zadzwoniła do informacji, a potem połączyła się z miejscowym dostawcą pizzy. Powinna nauczyć się tego numeru na pamięć.

Sposób zamawiania pizzy wydawał się dla Susan Stanhope nieodgadniona tajemnicą, ale robiła postępy.

- Chwileczkę - rzuciła do słuchawki i zwróciła się do mnie. - On chce wiedzieć, czy życzymy sobie jakieś dodatki.

- Co powiesz na kielbasę i kuleczki mięsne?

Dołożyła to do zamówienia, a potem wysłuchiwała kolejnego pytania.

- Mają pokroić na osiem czy dwanaście kawałków? Przypomniałem sobie dowcip, który kiedyś opowiadał mi Frank.

- Dwanaście. Jestem głodny.

Uśmiechnęła się, a potem podała nasz numer telefonu i adres - Stanhope Hall, Grace Lane, Lattingtown - nie, nie ma numeru domu. Następnie zadzwoniła do stróżówki i uprzedziła o przyjeździe dostawcy.

Siedziałem z nogami na stole i sączyłem piwo.

Susan powróciła do tematu nieoczekiwanej kapitulacji Williama.

- Znam swojego ojca i wiem, że to musiały być ciężkie negocjacje.

- Jestem dobrym negocjatorem.

Szczególnie kiedy trzymam tego po drugiej stronie stołu mocno za jaja. I na dodatek je ściskam. A może powinienem ukręcić?

- John? Nie uważasz, że on mógł być... nieszczerzy? Że nie dotrzyma obietnicy?

- Dotrzyma, zapewniam cię.

- Wciąż nie rozumiem...

- Cóż... wydaje mi się, że twój ojciec doznał... objawienia. Kiedy siedział samotnie w samochodzie, zdał sobie sprawę, że był w błędzie. Może natchnął go Duch Święty. Sam nie mogłem uwierzyć, gdy zobaczyłem przez okno, jak wysiada z samochodu z rozbieranym wzrokiem, wpada do gabinetu i mówi: „John, chciałbym z tobą porozmawiać”.

W rzeczywistości powiedział: „Jak śmiesz nalegać, żebym do ciebie przyszedł?”.

Przeprosiłem go oczywiście. A może powiedziałem, żeby usiadł, zamknął się i przeczytał list? W każdym razie, kiedy skończył lekturę, zbladł nagle. To ciekawe, jak szybko może się u człowieka zmienić kolor skóry. Szkoda, że nie miałem kamery. Aha, drżały mu też ręce. Dalsze negocjacje były już dziecinnie proste. Stawiał się, co prawda, od czasu do czasu, mówiąc: „Nikt nie uwierzy w wynurzenia staruszki na prochach”, i tym podobne. Zaproponowałem mu w takim razie, że pokażę ten list jego córce i żonie i wtedy przekonamy się, co one na ten temat myślą. Możemy jeszcze złożyć wizytę pani Cotter w domu opieki i zapytać ją, czy potwierdza słowa Ethel. Rzucił tylko: „To szantaż” i zamknął się wreszcie.

Wiem, że to szantaż, jestem prawnikiem i podobne postępowanie nie licuje z wyznawanymi przeze mnie zasadami. Ale to, czego dopuścił się William, było nie tylko niedopuszczalne, to była zbrodnia, która niestety uległa już przedawnieniu. Jeśli więc miał zapłacić za swoje winy, to w inny sposób. Palestra i sądy mogą mieć na ten temat inne zdanie, ale przynajmniej Ethel wstawi się za mną, kiedy stanę przed Sądem Ostatecznym.

- Był taki... błąd - powiedziała Susan. - I wstrząśnięty.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- A matka była kompletnie zaskoczona jego nagłą zmianą decyzji.

- Widocznie ona nie doznała objawienia.

- John...?

- Tak?

- Czy ty go... czymś postraszyłeś?

- A czym mogłem go postraszyć?

- Nie wiem... ale...

- Możemy zmienić temat? Kto teraz leci po piwo?

Podniosła się i poszła do kuchni.

Dopiłem piwo i pomyślałem o liście Ethel. Dokonała przede mną spowiedzi na łożu śmierci, ale rozmawiała też przecież z ojcem Hunningsem, a on doradził jej, żeby nie dawała mi tego listu, a potem naciskał na Elizabeth. Dlaczego? Żeby nie narazić na szwank pamięci o Ethel, jak mówił? Czy może raczej chciał przechwycić list i wymienić go z Williamem na... no właśnie, na co? Na ciepłą emeryturkę?

Po chwili wróciła Susan z piwem.

- Jesteś zbyt skromny, John. Myślę, że ojciec zmienił zdanie nie pod wpływem jakiegoś boskiego objawienia, tylko dlatego, że coś mu powiedziałaś.

- Cóż, starałem się i byłem przekonujący, ale naprawdę otrzymałem pomoc z góry - odparłem skromnie.

- Mówiłam ci, że takie jest nasze przeznaczenie i że nad naszym losem czuwa anioł stróż.

- Wygląda na to, że tak. - Pociągnąłem łyk piwa.

- Jak sądzisz, powinniśmy wziąć ślub u Świętego Marka? - zapytała, zmieniając temat.

- Czemu nie. Ojciec Hunnings za drugim razem daje upust.

Roześmiała się i przypomniała mi:

- Nie lubisz go, ale on chyba też za tobą nie przepada.

- Naprawdę? W takim razie muszę z nim porozmawiać i załagodzić sytuację.

Przeczytam mu list Ethel i zapytam, czy znał jego treść w ogólnym zarysie, jak powiedział, czy może dokładnie.

- Naprawdę chciałabym tam wziąć ślub.

- Nie ma sprawy. Zgodzę się nawet na nauki przedmałżeńskie.

- Widzę, że po zwycięstwie nad moim ojcem dochodzisz wreszcie do formy - powiedziała z uśmiechem.

- Jestem na fali - przyznałem. A ponieważ zamierzałem poukładać teraz świat po swojemu, zapewniłem ją: - Twój rodzice nie tylko pobłogosławią nam, ale jeszcze zapłacą za wesele.

- Chcę tylko ich błogosławieństwa.

- A ja chcę im wręczyć rachunek. I nie zapomnij ich odpowiednio wcześniej uprzedzić o ślubie. Na pewno będą chcieli pomóc w przygotowaniach. No i porozmawiać o twoim posagu.

- John, czy zamierzasz im wybaczyć i zapomnieć?

- Nie potrafię długo chować urazy - odparłem po namyśle.

Udało mi się ją rozśmieszyć.

- Nie, wcale.

- Przecież dobrze mnie znasz. - Po chwili dodałem już całkiem poważnie: - Nie potrafię tak po prostu wybaczyć tego, co zrobili nam przez wszystkie lata naszego małżeństwa, ale... - w końcu zwycięzca powinien być wspaniałomyślny - powiem tak: jeśli twój ojciec i twoja matka pragną mojego wybaczenia, to jestem gotów im przebaczyć. I jestem pewien, że twój ojciec także mi wybaczy, że nazwałem go monumentalnym kutasem i tak dalej. Ale mam pytanie: Co ty wobec nich czujesz?

Susan wzięła głęboki wdech.

- Jestem wściekła. Poznałam ich od najgorszej strony. Ale przecież to są moi rodzice, kocham ich i wybaczę im. Kiedyś nasze dzieci postąpią tak samo.

- Nie damy im ku temu powodów.

Milczała przez chwilę, wreszcie zdobyła się na wyznanie:

- Ja już dałam. Tym, co zrobiłam. I wybaczyły mi. Bezwarunkowo. Tak samo jak ty.

- Życie jest krótkie.

Może faktycznie powinienem wybaczyć Charlotte i Williamowi to, co zrobili rodzinie Sutterów. Najlepszą zemstą będzie nasze szczęśliwe i przykładne życie. Ale na pewno nie wybaczę nigdy Williamowi tego, co zrobił tym dziewczętom. Ten gniew pozostanie we mnie aż do śmierci.

Tak więc siedzieliśmy sobie w cieniu na tarasie, wpatrzeni w opromieniony słonecznym blaskiem różany ogród i sączyliśmy piwo. Dzień był naprawdę wyjątkowo piękny, przyroda w pełni rozkwitała, powietrze pachniało różami i kapryfolium. Obserwowałem pazia królowej, który zastanawiał się, gdzie wylądować.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Susan.

- Musimy napisać do dzieci i podzielić się tą dobrą wiadomością. Może powinniśmy też wspomnieć, że mogą... hmm... usłyszeć o nas w telewizji.

- Tak, powinnaś napisać do Carolyn, bo ja już zdążyłem przekazać jej złe wieści.

- Przepraszam - powiedziała Susan.

- Temat zamknięty.

- Dobrze. Potem wyślę e-mail do Edwarda...

- Napisz mu, że dziadek pobłogosławił nasze małżeństwo, przekazując mu zarząd nad jego funduszem powierniczym. Ale nie wspominaj o naszych występach w telewizji.

- Jak chcesz, ale wiesz, że i tak się dowie od Carolyn.

- Świetnie. I wtedy odpowiemy na ich pytania, trochę przekręcając fakty. Zadzwoń też do swoich rodziców i ustal z nimi datę ich wizyty w Los Angeles. Muszą lepiej poznać swojego dziedzica.

- To niezła myśl - odparła z uśmiechem.

I znów siedzieliśmy w ciszy, ciesząc się chwilą. Nieczęsto zdarzają się takie godziny, szczególnie w dniu, który tak fatalnie się zaczął.

Naturalnie, w każdym rajcu musi znaleźć się przynajmniej jeden czający się pośród kwiatów wąż. U nas były dwa. Pierwszy miał imię - Anthony Bellarosa. Wiedzieliśmy, że gdzieś tu jest, i staraliśmy się go unikać. Unikaliśmy nawet rozmowy o nim. Przynajmniej w tej chwili.

Drugi wąż nie miał imienia i wślizgnął się do naszego ogrodu całkiem niedawno. Jeśli miałbym mu nadać imię, nazwałbym go Zwątpienie.

Żeby go zabić, nim on zabije nas, odezwałem się:

- To, co zrobiliśmy, było aktem miłości. - Susan milczała, więc kontynuowałem:  
- Nigdy nie zważyłem w twoją miłość i wiem, że miałaś złamane serce. - W dalszym ciągu cisza. - Gdybyśmy mieli przejść przez to jeszcze raz, postąpilibyśmy tak samo. Wreszcie, po długim milczeniu Susan, odezwała się:

- Ty nawet nie chciałeś jego pieniędzy. A ja czułam się taka...  
przekupna...

- Nieprawda. Pamiętaj, dlaczego tak postąpiliśmy. Zrobiliśmy to dla nas samych. - Zrobiliśmy to, żeby wkurzyć Williama i Petera. I, oczywiście, żeby Edward i Carolyn otrzymali należną im część fortuny.

- Może ty tak myślałaś, John, ale siebie nie jestem pewna.

- Nie możesz wątpić w swoją motywację. Ojciec postawił cię przed dylematem, którego nie dało się rozwiązać.

- Wiem, ale... Boże, czułam, jakbym się sprzedawała i na dodatek zdradzała cię, jakbym rezygnowała z naszej miłości...

- Susan, ja tego tak nie odebrałem, więc nie powinnaś w ten sposób myśleć.

- Jesteś kochającym i mądrym mężczyzną.

- Jestem. I dlatego przyniesiesz mi jeszcze jedno piwo.

- Mam nadzieję, że to już nigdy się nie zdarzy...

- Jeśli poradziliśmy sobie z tym, co się wydarzyło dziesięć lat temu, to dzisiejszy incydent jest niczym.



- Kocham cię.
- Dlatego tu jeszcze jestem. Gdzie ten facet z pizzą?
- Nie wiem. Nigdy w życiu nie zamawiałam pizzy.
- Będziemy to nadrabiać przez następne dwadzieścia lat.

A potem rozmawialiśmy o Londynie i Paryżu, zastanawialiśmy się, czy pojechać dodatkowo do doliny Loary, gdzie byliśmy ostatnio wiele lat temu.

Zadzwoił telefon. Strażnik ze stróżówki informował nas, że przyjechał dostawca pizzy.

Wstałem, przeszedłem przez dom i czekałem na niego w drzwiach. I nagle zdałem sobie sprawę, że właśnie w takich chwilach, kiedy najmniej się tego spodziewamy, nasze życie może się zawalić, tak jak zawaliło się życie Salvatore D'Alessia w restauracji u Giovanniego.

Zobaczyłem podjeżdżającą pod dom małą furgonetkę. Wróciłem do środka, wbiegłem na górę, chwyciłem karabin, potem wpadłem do swojego gabinetu i wyjrzałem przez okno. Furgonetka zatrzymała się, wysiadł z niej wyglądający na Latynosa mężczyzna, z bagażnika wyjął karton z pizzą i podszedł do drzwi. Nie podejrzewałem, żeby ten dostawca był płatnym zabójcą, a mimo to fakt, że czekałem na niego wcześniej przed domem, w opustoszałej okolicy, i to, że Alhambra znajdowała się raptem o pięćset jardów stąd, sprawił, że wpadłem w lekką paranoję. Ale to dobrze. Wuj Sal wpychał sobie pewnie *cannoli* do ust, kiedy przystawiono mu do głowy lufę obrzyna. A potem pif-paf i Salvatore poszedł do piekła.

Zadzwoił dzwonek, więc podszedłem do drzwi. Wetknąłem karabin w stojak na parasole i otworzyłem.

Zapłaciłem, odebrałem pizzę i zamknąłem drzwi.

Potrafię utrzymać karton z pizzą na jednym palcu, ale tym razem użyłem całej dłoni i zaniósłem ją wraz z karabinem na taras.

Susan od razu spostrzegła karabin i zapytała:

- Czy to naprawdę musi tu leżeć?
- Mam nadzieję, że nie.

Otworzyłem pudełko. Do moich nozdrzy natychmiast doleciał aromat pizzy.

Usiadłem, a Susan poszła do kuchni po talerze, chusteczki, noże i widełce. Wyjaśniłem jej, że chusteczki nie są obowiązkowe, a reszta zastawy jest zupełnie zbędna.

Wiedziałem, że lady Stanhope jadła już kiedyś pizzę - widziałem to na własne

oczy - ale ona zawsze podchodziła do tego rodzaju potraw z lekką nieufnością, a może nawet odrazą.

Pokazałem jej, jak oderwać kawałek, a potem zgiąć go lekko, żeby nie wypadł z dłoni.

Siedzieliśmy tak z piwem, pizzą i karabinem. To był wspaniały lunch.

- Całkiem niezła - oceniła Susan.

- I jaka zdrowa.

- Nie sądzę, ale zgadzam się, że od czasu do czasu możemy ją zamawiać.

- Moglibyśmy kupić całą pizzerię - zaproponowałem.

Roześmiała się głośno.

- Sprawileś, że to jest piękny dzień, John. Chyba jestem ci coś winna. Oprócz jachtu i niezdrowej żywności, czego jeszcze chcesz?

- Tylko ciebie, kochanie.

- Mnie już masz.

- I niczego więcej mi nie trzeba.

- A co powiesz na sportowy samochód?

- Okay.

Zjadłem połowę pizzy - sześć kawałków, lecz Susan poradziła sobie tylko z dwoma. Resztę zawinęliśmy w folię. Będzie na śniadanie.

Potem poszliśmy do sypialni, żeby spalić nadmiar kalorii - to był taki rodzaj rundy honorowej - i spakować się przed podróżą. Wszystkie moje rzeczy zostały w Londynie, toteż wrzuciłem do torby tylko trochę drobiazgów. Susan skorzystała z okazji i dorzuciła do mojej walizki trochę swoich ubrań.

- W piwnicy mam jeszcze sporo rzeczy, których do tej pory nie rozpakowałam. Ponieważ wyjeżdżaliśmy być może na dłużej niż trzy tygodnie, więc nie protestowałem.

Kiedy już się spakowaliśmy, ucieliśmy sobie drzemkę. Wstałem około siedemnastej i powiedziałem do Susan:

- Jadę do Locust Valley kupić parę drobiazgów. Wybierzesz się ze mną?

- Nie, mam tu dość roboty, ale dam ci listę zakupów.

- Zamykaj drzwi na klucz i nie wychodź z domu.

Susan nie odpowiedziała.

- I miej cały czas przy sobie karabin i strzelbę. Karabin jest w stojaku na parasole obok drzwi.

- John...

- Susan, za niecałe... - spojrzałem na zegarek -... piętnaście godzin wylatujemy.  
Zachowajmy ostrożność.

Wzruszyła ramionami i zapytała:

- O której musi przyjechać po nas samochód, żebyśmy zdążyli na lot o siódmej trzydziści?

Musieliśmy wyruszyć stąd najpóźniej o piątej rano, kiedy będzie jeszcze ciemno.

- Pojedziemy moim samochodem z wypożyczalni i zabierzemy ze sobą karabin.  
Samochód zostawimy na długoterminowym parkingu.

- Naprawdę wolałabym zamówić transport. Uniknęlibyśmy w ten sposób zamieszania.

- Ja też. Ale musimy być ostrożni do końca.

Nie wydawała się tym zachwycona.

- John, lecimy na wakacje, a nie na wojnę.

- Nie kłóć się ze mną, bo zadzwonię do twojego ojca, żeby zrobił z tobą porządek.

- Zaczynasz robić się nieznośny - powiedziała z uśmiechem.

- Masz rację. - Pocałowałem ją.

- Wracaj szybko. Chcesz wziąć moją komórkę?

- Tak. - Dała mi swój telefon komórkowy, a ja pożegnałem się z nią i zszedłem po schodach.

Zerknąłem na karabin w stojaku na parasole i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Miałem przy sobie kluczyki do obu samochodów, ale zdecydowałem się pojechać taurusem. Łatwiej go było zaparkować.

Usiadłem za kierownicą i ruszyłem w drogę. Kiedy dojechałem do stróżówki, otworzyłem pilotem bramę. Nagle przyszło mi coś do głowy, nacisnąłem klakson i wysiadłem z samochodu.

Drzwi stróżówki otworzyły się i pojawił się w nich młody strażnik, którego nigdy wcześniej nie widziałem.

- Nazywam się John Sutter i mieszkam w domu gościnnym - wyjaśniłem mu.

- Tak jest, sir.

- Jest pan tu sam?

- Do ósmej, potem przyjdzie drugi strażnik.

- Dobrze... chciałbym, żeby pan za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut podjechał pod dom gościnny i sprawdził, czy wszystko jest w porządku.

- Przepraszam, ale nie wolno mi opuszczać posterunku.

- Tamten dom to też pański posterunek - powiedziałem, wręczając mu dwadzieścia dolarów. - Pani Sutter jest w domu i nie oczekujemy żadnych gości, więc proszę nikogo nie wpuszczać bez naszej wyraźnej zgody. Za pół godziny będę z powrotem.

Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że to będzie raczej pełna godzina, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

Wydawał się zadowolony z napiwku i odparł:

- Nie ma problemu.

Cokolwiek by to miało znaczyć.

Wsiadłem z powrotem do samochodu i ruszyłem w stronę Locust Valley.

Prócz listy zakupów otrzymanej od Susan w kieszeni miałem także list Ethel. Zamierzałem go skserować. A właściwie zrobię dwadzieścia kopii i będę co miesiąc wysyłał po jednej Williamowi. Dodatkowe przesyłki otrzyma na Dzień Ojca, Boże Narodzenie i swoje urodziny.

Kiedy dotarłem do granic miasta, zadzwoniłem do Susan.

- Jest spory ruch i trudno będzie o miejsce na parkingu, więc nie wiem, ile mi to zajmie - oznajmiłem, kiedy odebrała.

- Nie przejmuj się.

- Czy potrzebujemy cebuli?

- Żadnej cebuli, kochanie.

- Okay. Poprosiłem strażnika przy bramie, żeby za jakiś kwadrans obszedł dookoła dom. Pamiętaj, że karabin jest w stojaku na parasole. Strzelbę trzymaj w sypialni. Zadzwonię później.

Po mieście krążyły samochody w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Spojrzałem na zegarek. Była siedemnasta trzydzieści dziewięć. Jeśli dobrze pójdzie, za godzinę będę w domu.

Co może się wydarzyć w ciągu godziny?

## ROZDZIAŁ 70

Kupiłem wszystko z przygotowanej przez Susan listy i dodatkowo zrobiłem tuzin kopii listu Ethel, na wypadek gdyby William potrzebował comiesięcznego przypomnienia, dlaczego musiał zgodzić się na nasze warunki finansowe. Ruszyłem w piętnastominutową drogę powrotną do Stanhope Hall. Zegar wskazywał szóstą dwadzieścia trzy.

Zadzwoiłem z telefonu komórkowego do domu, ale Susan nie odebrała, zostawiłem więc wiadomość: „Będę w domu za dziesięć, piętnaście minut. Oddzwoń do mnie”.

Była pewnie pod prysznicem albo wbrew moim radom poszła na taras i zapomniała wziąć ze sobą telefon. Niewykluczone też, że była w piwnicy i szukała paczek z ubraniami.

Kiedy dojeżdżałem do Grace Lane, zadzwoniłem do stróżówki, żeby poprosić o otwarcie bramy, ale nikt nie odebrał telefonu. Być może strażnik gdzieś wyszedł albo też brał prysznic.

Skręciłem w Grace Lane i wcisnąłem mocniej pedał gazu. Trzy minuty później stanąłem przed bramą. Otworzyłem ją pilotem.

Zerknąłem na stróżówkę. Nikt z niej nie wyszedł. Szybciej niż zwykle ruszyłem w stronę domu. Byłem lekko zaniepokojony.

Zobaczyłem, że lexus Susan zniknął, i odetchnąłem z ulgą. Byłem na nią trochę zły, że nie zadzwoniła i nie uprzedziła mnie, że wyjeżdża, byłem zły, że w ogóle wyszła z domu, na dodatek bez telefonu komórkowego. Dlaczego kobiety nie słuchają?

Zatrzymałem taurusa, wyjąłem z bagażnika torby z zakupami, otworzyłem drzwi frontowe i wszedłem do środka.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że coś tu nie gra. Potrafiłem zrozumieć, że wskoczyła do samochodu i dokądś pojechała, ale nie mogłem pojąć, dlaczego do mnie nie zadzwoniła. Wyjąłem z kieszeni telefon i sprawdziłem, czy przypadkiem nie dzwoniła do mnie, ale na wyświetlaczu był tylko zegar, który wskazywał szóstą czterdzieści dwie.

Zerknąłem na stojak na parasole. Karabin zniknął.

Potem poczułem zapach dymu papierosowego.

Zamarłem; serce zaczęło mi szybciej bić. Rzuciłem torby z zakupami, wycofałem się w stronę drzwi i zacząłem wybierać numer dziewięćset jedenaście.

Z mojego gabinetu wyszedł Anthony Bellarosa.

- Rzuć ten pieprzony telefon.

Spojrzałem na niego. Miał na sobie niebieski mundur ochroniarza, a w ręku trzymał wycelowany we mnie mój karabin M-1.

- Rzuć ten pieprzony telefon albo zginiesz.

Nie mogłem uwierzyć, że to on. Mancuso mówił, że Anthony jest poza miastem i nie spróbuje nas atakować. Łudziłem się, że to prawda, ale wiedziałem, że Anthony traktuje tę sprawę bardzo osobiście.

- Rzuć telefon!

Strzelił.

Usłyszałem, jak pocisk ze świstem przelatuje koło mojego lewego ucha i wbija się w bukowe drzwi za moimi plecami.

- Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. Więc nie zmuszaj mnie do tego. - Skierował wylot lufy w moją pierś. - Rzuć to.

Upuściłem telefon na podłogę. Zakołysał ręką, w której trzymał karabin.

- Masz jaja, John, ale kiepsko dzisiaj u ciebie z myśleniem.

- Gdzie jest Susan?

- Nic jej nie jest. Oszczędziłem ją do czasu, aż wrócisz do domu.

- Anthony...

- Zamknij się. Masz broń?

Potrząsnąłem głową.

- Zdejmuj marynarkę. I rzuć ją.

Moja marynarka wylądowała na podłodze.

- Rozbieraj się, zobaczymy, co tam masz.

Nie poruszyłem się.

- Zdejmuj te pierdolone ciuchy albo przestrzelę ci rzepkę!

- Gdzie jest Susan?

- Nagusiańka, tak jak ty za chwilę będziesz - powiedział z uśmiechem. - Jak wszyscy będziemy. No, dalej. Rozbieraj się.

W dalszym ciągu stałem bez ruchu. Anthony znajdował się jakieś piętnaście stóp ode mnie. Nie zdążyłbym do niego podbiec.

Skierował lufę w dół, na moje nogi i dwukrotnie wystrzelił. Niczego nie poczułem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że celował w leżące na podłodze torby z zakupami.

- To było ostatnie ostrzeżenie. Zdejmuj ła chy. Powoli.

Rozebrałem się i rzuciłem ubranie na podłogę.

- Odwróć się. Posłuchałem go.

- Dobrze, grzeczny chłopczyk. Żadnej broni, żadnych podsłuchów. Masz kompletnie przejebane. Odwracaj się.

Stałem twarzą do niego. Serce waliło mi jak młot, czułem suchość w ustach. Próbowałem się skupić. Co zamierzał? Dlaczego jeszcze mnie nie zabił? Czy Susan nie się nie stało? Chyba znałem odpowiedź na te wszystkie pytania.

Odpiął od paska kajdanki i rzucił je w moją stronę.

- Łap! - zawołał.

Ale kajdanki odbiły się od mojej piersi i wylądowały na podłodze.

- Zakładaj je, dupku, albo ci odstrzelę nogi. - Ponownie skierował broń na moje nogi. - No, dalej, John. Nie zamierzam tu czekać całą noc. Chcesz zobaczyć Susan? Załóż kajdanki i pójdziemy do niej. Chcę, żebyś ją zobaczył.

Przykucnąłem i sięgnąłem po kajdanki. Mogłem wyskoczyć teraz w górę i rzucić się na niego, ale przewidział to, cofnął się i uniósł wyżej lufę karabinu.

- Jazda!

Zapiąłem kajdanki na nadgarstkach.

- Okay. A teraz pójdiesz na górę. Na czworakach.

Padłem na podłogę i zacząłem iść. Anthony kroczył za mną. Jeszcze wcześniej usłyszałem, jak zamyka na zasuwkę drzwi frontowe.

Wspinałem się na czworakach po schodach, a Anthony trzymał się z tyłu w bezpiecznej odległości.

- Celuję prosto w twoją gołą, wypiętą dupę - ostrzegł mnie - i trzymam palec na spuście.

Oceńłem, co mogę zrobić, ale doszedłem do wniosku, że nic. Na razie chciałem tylko przekonać się, że Susan żyje. Potem będę się zastanawiał, co dalej.

- Tony zabrał lexusa twojej żony. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Pewnie się teraz zastanawiasz, jak ten pieprzony makaroniarz zdołał cię podejść, co? Zastanawiasz się nad tym, mądralo?

Byłem na siebie wściekły, że tak głupio się zachowałem. Ale przecież atakujący zawsze ma przewagę. To samo powiedziałby jego zabity wujek.

- Ty i twoja żona myślicie, że jesteście tacy cholernie sprytni. A może wydawało wam się, że po was nie przyjdę?

Dotarłem do szczytu schodów.

- A teraz na czworakach do sypialni - rozkazał.

Anthony minął mnie szybkim krokiem, nie przestając we mnie celować. Zatrzymał się przy drzwiach sypialni i patrzył, jak powoli zmierzam w jego kierunku.

- Tak, tak. Do twojej głupiej żonki zadzwonił ze stróżówki Tony. Powiedział, że ma paczkę dla pani Sutter i że przyniesie ją, kiedy będzie robił obchód terenu, tak jak go o to prosiłeś. Musisz bardziej uważać, z kim rozmawiasz, John. Może ten ochroniarz, z którym gadałeś, pracuje dla mnie. Mam rację? Hej, odezwij się. Powiedz coś mądrego.

- Pierdol się.

- To nie było mądre. Nie chce mi się wierzyć, że chciałem cię zatrudnić. Spójrz na siebie - goły dupek z kajdankami na rękach, czołgający się na czworakach tam, gdzie mu każe. Wcale nie jesteś taki bystry. A ja taki głupi, za jakiego mnie uważałeś. Dobra, zatrzymaj się.

Przystanąłem jakieś dziesięć stóp od drzwi sypialni.

- No więc Tony dzwoni do drzwi - ciągnął swoją opowieść - ona wygląda przez wizjer, widzi faceta w mundurze ochroniarza i otwiera. Czy to nie kretyństwo? Szkoda, że nie widziałeś, John, jak Tony wpycha ją w głąb domu, a ja wchodzę za nim. Spojrzała na mnie i od razu mnie poznała. A potem przypomniała sobie Tony'ego z czasów, kiedy pieprzyła się z moim ojcem. „Zabiłaś mojego ojca, dziwko” - powiedziałem do niej. Myślałem, że się zsika ze strachu. A potem rzuciła się po ten karabin, który stał w stojaku, więc musiałem grzotnąć ją w dupę.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną.

- Stul pysk. Trzymacie karabin przy drzwiach? Spodziewaliście się kłopotów? - Roześmiał się. - A czy ta bogata suka wie przynajmniej, jak się obchodzić z bronią? - Zdał sobie sprawę, że to było głupie pytanie. - Ta dziwka zastrzeliła bez powodu mojego ojca...

- Powiedziałem ci, jaki był powód.

- Jesteś zakłamanym dupkiem, ale dziś wyciągnę z was prawdę. - Otworzył drzwi i zrobił mi przejście. - Chodź, zobaczysz swoją żonę.

Zacząłem się podnosić, ale on wrzasnął:

- Na czworakach, dupku!

Wszedłem do środka.

- A teraz na kolana.



Uklęknąłem.

Susan leżała naga na łóżku. Po chwili spostrzegłem, że dłonie i stopy ma przywiązane do wezłowania, a usta zaklejone taśmą.

Odwróciła w moim kierunku głowę i w jej oczach dostrzegłem strach. Na szczęście żyła.

Anthony zamknął drzwi.

- Oto ona, John. Chciałeś ją zobaczyć, no to ją sobie teraz obaj dokładnie pooglądamy. Widzę, że ona jest naprawdę ruda.

Patrzyłem na Susan, a ona na mnie. Z jej oczu płynęły łzy.

Wstałem i zrobiłem krok w jej kierunku, ale zaraz otrzymałem cios w plecy i upadłem na podłogę. Leżałem zaskoczony i zastanawiałem się, w jakiej odległości ode mnie znajduje się Anthony.

- Wstań - rozkazał.

Wydawało mi się, że oddalił się nieco, więc leżałem bez ruchu, licząc na to, że podejdzie wystarczająco blisko, żeby zdzielić mnie jeszcze raz kolbą karabinu.

Tymczasem Anthony wpakował kule w podłogę tuż przy mojej twarzy. Podskoczyłem.

- Wstawaj, bo następnym razem strzelę ci w dupę!

Ukląknęłam, wziąłem głęboki wdech i spojrzałem na Susan. Szarpała się w więzach, zrobionych, jak zauważyłem, z nylonowej linki, płakała i próbowała krzyczeć. Na jej twarzy spostrzegłem zaczerwienienia. Musiał ją bić. Na łóżku leżał mój skórzany pasek od spodni.

- Mam zamiar zerznąć twoją żonę - powiedział Bellarosa - a ty masz zapewnione miejsce na widowni w pierwszym rzędzie.

- Jesteś stukniętym bydlakiem.

- Nie. Jestem miłym facetem. Przecież ci mówiłem, że kobietom i dzieciom się wybaczają. Dlatego nie zamierzam jej zabić. Ale kiedy ją przelecę, oboje będziecie marzyli, żebym zabił wcześniej ciebie.

Nie odezwałem się, ale wiedziałem, że muszę coś zrobić. Gdzie jest strzelba? Nie było jej w tym miejscu, gdzie ją zostawiłem, opartej o stolik nocny. Może leżała w garderobie.

Anthony obszedł łóżko naokoło i przyłożył wylot lufy karabinu do skroni Susan.

- Teraz podczołgaj się do kaloryfera - polecił mi. - No, jazda, dupku. Ruszaj się.

Wiedziałem, że kiedy tam się znajdę, przypnie mnie kajdankami do rury i

wtedy stracę szansę na zrobienie czegokolwiek.

Anthony wziął do ręki skórzany pasek, zamachnął się i smagnął nim z całych sił uda Susan. Jej ciało wygięło się w łuk; usłyszałem stłumiony przez taśmę krzyk.

Podniósł rękę uzbrojoną w pasek ponownie, a ja krzyknąłem:

- Nie! - I na czworakach ruszyłem do znajdującego się pod oknem kaloryfera.

Wędrując przez pokój, rozglądałem się wokół. Na podłodze zauważyłem leżący szlafrok i majtki Susan. Nasze walizki były otwarte, a wszystkie ubrania rozsypane wokół na dywanie. Gdzie jest ta strzelba?

- Uklęknij przy rurze i obróć się plecami do ściany. Chcę, żebyś miał dobry widok.

Przyklękąłem obok kaloryfera. Anthony odpiął sobie od paska drugą parę kajdanek i rzucił je, trafiając mnie prosto w twarz.

- Przypnij się do kaloryfera - powiedział. Zawahałem się. - Przestań ze mną pogrywać, John. Nie mam zamiaru cię zabijać. Chcę tylko, żebyś popatrzył. Nie wkurwiał mnie.

Posłusznie przypiąłem lewy nadgarstek do rury kaloryfera i spojrzałem na niego. Anthony położył karabin na toalecie.

- No to zaczynamy zabawę.

Stałem w nogach łóżka i spojrzał na Susan.

- Teraz rozumiem, dlaczego ojciec lubił ją rznąć. Fajne cycki, ładny tyłek i supernogi.

Wiedziałem, że Anthony działa według obmyślonego przez siebie scenariusza. Miałem tylko nadzieję, że ten scenariusz nie przewidywał podwójnego morderstwa.

- Wybieraliście się do Londynu - rzekł, zapalając papierosa. - Dlaczego? Nie podobało wam się tutaj? Nie czuliście się tu pewnie?

Zaciągnął się głęboko dymem.

- Powiem ci teraz, John, czego się możesz spodziewać. Najpierw popatrzysz, jak ona robi mi loda, a potem zerznę ją tak mocno, że nigdy już nie będziesz mógł z niej skorzystać.

Milczałem.

- Patrz uważnie, dupku. A kiedy już skończę, będziecie siedzieć cicho i dziękować Bogu, że jesteście żywi. Ale jeśli zawiadomicie gliny, to przysięgam na grób mojego ojca, zabiję ją i wasze dzieci. Bez litości. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową.

- Okay. Już znasz zasady. Nikt nie musi umierać. Będziecie z tym musieli żyć i ilekroć będziesz się pieprzył ze swoją żoną, przypomnicie sobie mnie. Jasne?

Ponownie kiwnąłem głową.

- To dobrze. Zresztą jest ci chyba wszystko jedno. Bzykał ją mój ojciec, zerznął ją i może jeszcze później zabawi się z nią Tony. Jasne? - Spojrzał na mnie. - Jesteś dzisiaj dziwnie małomówny, mecenasie.

Zerwał taśmę z ust Susan.

- A co ty masz do powiedzenia, dziwko?

Susan z trudem powstrzymała szloch.

- Proszę, zrób, co masz zrobić, i zostaw nas.

Anthony roześmiał się.

- O, tak. Zamierzam zrobić to, na co mam ochotę.

Rzucił niedopałek na dywan i przydepnął go obcasem.

- Dlaczego zniszczyłeś mój obraz, John? - zapytał.

Nie odpowiedziałem, więc zwrócił się do Susan:

- Podobał mi się, a twój mąż go zniszczył. Będziesz musiała namalować mi nowy. Kiedy skończysz, przyjdziecie z Johnem i dacie go mnie i Megan. Jasne?

- Tak - przytaknęła Susan.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie.

- Tak, John? Przyjdiesz z żoną na kawę. Jak za starych, dobrych czasów. Usiądziesz sobie, tak jak dziesięć lat temu, kiedy wiedziałeś już, że mój ojciec bzyka twoją żonę. Tylko że tym razem to ja ją przelecę. A ty się nawet nie odezwiesz.

Kiwnąłem głową. Było całkiem możliwe, że ujdziemy dzisiaj z życiem, ale jeśli będę na tyle blisko Anthony'ego, żeby wypić z nim kawę, to będę też na tyle blisko, żeby wbić mu nóż w serce.

- I macie być oboje uprzejmi dla mojej żony. Przyniesiecie butelkę wina i powiecie: „To bardzo ładny dom, pani Bellarosa” i „Dziękujemy za zaproszenie, pani Bellarosa”.

Długo musiał fantazjować na temat tej zemsty i starannie ją obmyślił. Chciał nas zbrukać, upokorzyć, tak żebyśmy pamiętali to, co zrobił, przez długie lata.

Przypomniałem sobie inny obraz w jego gabinecie - Porwanie Sabinek. I wreszcie zrozumiałem, dlaczego on tam wisiał obok obrazu namalowanego przez Susan.

Ten bydlak był tak pewny siebie, że zamierzał zgwałcić Susan, a potem jeszcze

się z nas naigrawać. Nie chciałem go w tej chwili drażnić.

- Tylko nie zrób jej krzywdy - odezwałem się.

- Zrobię jej dobrze - odparł z uśmiechem. - Tak jak mój ojciec.

- Proszę. Zrób to i zostaw nas. Nikomu nic nie powiemy - zapewniła go Susan.

- Wiem, że nie powiecie.

Anthony spojrzął na zegarek, a ja zastanawiałem się, czy się spieszy, czy może czeka na powrót Tony'ego.

Zapałił kolejnego papierosa i zwrócił się do mnie.

- Kiedy już skończę z twoją żoną, zadzwonię po Tony'ego i wtedy dopiero zobaczycie, co to znaczy prawdziwa zabawa.

Nie odezwałem się.

- Taaa... To będzie bardzo długa noc. Ale zawsze to lepsze od śmierci.

Spojrzał na Susan.

- Dobrze, skarbie, dosyć już czekałaś. Jesteś podniecona?

Susan milczała.

- No, dalej... Powiedz, że jesteś.

- Jestem podniecona.

Podszedł do toaletki i postawił na niej wyjęty z pudełka aparat fotograficzny.

Zgasił papierosa na blacie toaletki i wziął do ręki aparat. Zrobił trzy zdjęcia leżącej na łóżku Susan i jedno mnie. Potem rzucił aparat na łóżko ze słowami:

- Skorzystamy z niego, kiedy pojawi się tu Tony. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli negatyw zostanie u mnie? Przyślę wam odbitki. - Spojrzął na mnie. - Jeśli będziecie żywi. A to zależy od tego, jak ona się postara. Aha, i macie jutro polecieć tym samolotem. Rozumiecie? Macie stąd zniknąć. Potrzebny wam wypoczynek. - Odpiął kaburę i rzucił ją na toaletkę, potem zdjął buty i rozebrał się.

Kiedy podchodził do łóżka, widziałem, że ma wzwód.

- Jak ci się podoba, skarbie? Zmieścisz całego do buzi?

Susan kiwnęła głową.

W jego dłoni pojawił się składany nóż. Otworzył ostrze i przeciął więzy na lewym nadgarstku Susan, potem obszedł dookoła łóżko i uwolnił jej pozostałe trzy kończyny.

- A teraz złaż z łóżka, dziwko. - Chwycił ją za włosy i ściągnął z łóżka na podłogę. - Klękaj tutaj, tak żeby twój mąż mógł cię widzieć.

Susan uklękła przy łóżku. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Skinąłem głową i

powiedziałem:

- Wszystko będzie dobrze.

Anthony uśmiechnął się.

- Naprawdę? No to w porządku. - A potem przyłożył ostrze do jej policzka. -

Nie próbuj niczego, bo zabiję was oboje. Rozumiesz?

Pokiwała głową.

- Dobrze... - Podszedł do niej bliżej. - A teraz bierz go do buzi.

Susan zawahała się, więc ponownie chwycił ją za włosy i przycisnął jej twarz do swojego krocza. Potem spojrzał na mnie i powiedział:

- A ty patrz, bo inaczej złoję jej dupę paskiem.

Pokiwałem głową.

- Otwieraj buźkę! O, tak... no, włóż go sobie, dziwko... dobrze... ooch, jak miło...

John? Zobacz, jak ona ciągnie druta...

Nieoczekiwanie z jego gardła wydobył się krzyk, upuścił nóż i odskoczył w tył. Susan upadła twarzą naprzód na podłogę i wturlała się pod łóżko. Antony chwycił się za krocze i jęcząc z bólu, zwinął się wpół, a potem runął na podłogę i wsunął rękę pod łóżko, żeby ją dosięgnąć.

- Anthony, ty pierdolony kutasie! - zacząłem wrzeszczeć i szarpać kaloryferem.

Kiedy podniosłem wzrok, Anthony stał i zmierzał w kierunku przeciwnego końca łóżka.

- Ty pieprzona dziwko! - krzyczał. - Już nie żyjesz, suko!

Zobaczyłem, że Susan wysuwa się spod łóżka, wstaje i powoli unosi strzelbę. Znajdował się niecałe trzy stopy od niej, znieruchomiał nagle i powiedział:

- Co jest, do...

Usłyszałem głośny huk i zobaczyłem, jak ramię Susan odskakuje do tyłu. Anthony cofnął się, stracił równowagę i upadł.

Susan przełączyła spust na drugą lufę i zrobiła krok w jego kierunku. Uniosła broń i wymierzyła prosto w jego twarz.

- Susan!

Spojrzała na mnie.

- Nie!

Przeniosła wzrok na Anthony'ego, który wciąż się ruszał i uniósł teraz w obronnym geście prawe ramię.

- Susan! Znajdź kluczyki od kajdanek! Szybko!

Spojrzała jeszcze raz na Anthony'ego, rzuciła strzelbę na łóżko i wyjęła z kieszeni jego spodni kluczyki.

Uklękła przy mnie i bez słowa rozpięła kajdanki. Poderwałem się na nogi, podbiegłem do drzwi i zamknąłem je na klucz. Spojrzałem ponownie na Anthony'ego. Leżał na podłodze i trzymając się za pierś, przetaczał się z boku na bok.

Wziąłem Susan w ramiona. Cała drżała.

- Siadaj tutaj... - Podprowadziłem ją do krzesła i posadziłem na nim. - Wszystko w porządku?

Pokiwała głową i spojrzała na Anthony'ego.

Przeszedłem przez pokój i stanąłem nad nim. Nasze spojrzenia się spotkały. Potem spojrzałem w miejsce, gdzie spoczywały jego dłonie. Po prawej stronie klatki piersiowej miał ranę, z której sączyła się krew. Myślałem, że będzie miał całe ciało nafaszerowane śrutem, ale Susan wystrzeliła z lufy, w której znajdował się pocisk na jelenie. Przeniosłem wzrok na ścianę i znalazłem w niej dziurę po kuli.

- Sam sobie jesteś winny - powiedziałem, patrząc Anthony'emu w oczy.

Poruszył ustami i z gardła wydobył mu się świszczący szept:

- Wal się.

- Nie, to ty się wal.

Dopiero teraz dostrzegłem, że krew wypływająca z rany jest spieniona. Miał przestrzelone płuco. Niedobrze, ale przeżyje... jeśli trafi do szpitala. Zauważyłem też, że jego penis był mocno zakrwawiony, ale to chyba w tej chwili był najmniejszy jego problem.

Wróciłem do Susan, która siedziała bez ruchu i patrzyła na Anthony'ego.

- Dobrze się czujesz?

Pokiwała głową, nie odrywając od niego oczu. Podniosłem z podłogi szlafrok i majtki i podałem jej.

- Idę zadzwonić na policję - powiedziałem.

- Nie! - Chwyciła mnie za ramię.

- Susan! Jemu potrzebny jest lekarz.

- Nie! Nie tym razem.

Spojrzałem na nią.

- Dobrze... Ubierz się.

Pomogłem jej wstać. Nałożyła szlafrok i ruszyła w kierunku garderoby. Po drodze zatrzymała się i spojrzała z góry na Anthony'ego.

Słyszałem, że próbuje jej coś powiedzieć. Przyklęła, zbliżyła swoją twarz do jego i słuchała. Potem potrząsnęła przecząco głową.

- Żadnej karetki. Zdychaj.

Próbował ją złapać, ale ona odtrąciła jego rękę, wstała i weszła do garderoby.

Ja poszedłem do swojej garderoby, włożyłem dżinsy i T-shirt, a potem wróciłem do Anthony'ego i ukląknęłam przy nim. Oddychał z coraz większym trudem, a z rany wlotowej wydobywał się świszczący dźwięk. Dywan wokół jego ciała przesiąkł krwią, z ust płynęła mu ciemnoczerwona strużka. To nie był dobry znak - przynajmniej nie dla niego. W takich sytuacjach należało od razu uszczelnić ranę wlotową i wylotową, żeby uniemożliwić ucieczkę powietrza z płuca. Tylko czy chciałem mu udzielać pierwszej pomocy?

Z garderoby wyszła ubrana w dżinsy i bluzę od dresu Susan. Spojrzała na Anthony'ego, jakby sprawdzała, czy wciąż jeszcze oddycha.

Wyjąłem film z aparatu i zabrałem karabin, strzelbę i kaburę z pistoletem. Chwyciłem Susan za rękę, otworzyłem drzwi i sprowadziłem ją po schodach na dół.

Weszliśmy do gabinetu. Broń rzuciłem na sofę, a Susan posadziłem w fotelu. Podszedłem do barku i nalałem nam po kieliszku brandy.

Wzięliśmy po dużym łyku, potem usiadłem przy biurku i podniosłem słuchawkę telefonu.

- John. Nie.

Zignorowałem ją i wybrałem numer dziewięćset jedenaście. Kiedy zgłosiła się operatorka, powiedziałem:

- Chciałem zgłosić napad, próbę gwałtu i strzelaninę.

Podaliśmy operatorce adres i opisałem krótko, co się wydarzyło, a ona wysłała radiowóz i karetkę. Pomoc miała się pojawić w ciągu pięciu minut.

Wspomniałem jeszcze o żeliwnej bramie, którą być może trzeba będzie wyważyć.

- Czy podejrzewa pan, że są tam jeszcze inni nieproszeni goście? - zapytała.

- Był jeden, ale odjechał i teraz chyba czeka na telefon od napastnika.

- Dobrze, proszę pana. Proszę z żoną spokojnie czekać i zabezpieczyć broń.

Podziękowałem i rozłączyłem się.

- Będą za pięć minut - powiedziałem do Susan.

- Czy on umrze? - zapytała, patrząc mi w oczy.

- Nie wiem.

- Celowałam w serce, ale się poruszył.

- Byłaś bardzo dzielna i bardzo sprytna.

Napiła się brandy.

- Ale nie byłam sprytna, kiedy otwierałam drzwi.

- Pewnie postąpiłbym tak samo.

Nie odezwała się, tylko spojrzała na leżącą na sofie strzelbę.

- Musimy się nim zająć - powiedziała. - Nim przyjedzie policja.

Pomyślałem o Franku Bellarosie leżącym na podłodze z rozciętą tętnicą szyjną. Zatrzymać krwotok. To pierwsza zasada udzielania pierwszej pomocy. Dlatego zatrzymałem krwawienie. Frank przeżył i oto teraz, po dziesięciu latach, mamy tego konsekwencje.

Susan wstała i podeszła do sofy.

- Susan.

- Zanim się zjawileś, powiedział: ty i twój mąż myślicie, że jesteście tacy mądrzy, tacy wyniośli...

- Wiem, co powiedział.

- Tacy wszechmocni... powiedział: jak cię przelecę, nigdy nie będziesz już taka jak przedtem... a twój pieprzony mąż nie będzie chciał na ciebie patrzeć... będziesz musiała z tym żyć, suko, tak jak ja muszę żyć z myślą o tym, że zamordowałam mojego ojca... - Wzięła do ręki strzelbę. - Powiedział jeszcze, że może mi się to spodobać i będę chciała jeszcze raz...

Podniosłem się i stanąłem jej na drodze.

- Nie możesz tego zrobić, Susan. Nie pozwolę ci.

Spojrzała mi w oczy.

- Przepraszam, John, za to wszystko, co nas spotkało.

- O tym mieliśmy już nie rozmawiać.

- Nie żałujesz, że uratowałeś wtedy Frankowi życie? I tak, i nie.

- Postąpiłem właściwie.

- Nie. Popeliłeś błąd.

- Wtedy też tak myślałaś? - zapytałem.

Milczała przez chwilę.

- Nie. Ale potem... żałowałam, że nie pozwoliłeś mu umrzeć. Tym razem nie popełnimy takiego samego błędu.

- Daj mi broń - zażądałem, wyciągając rękę.



Wcisnęła mi strzelbę do rąk.

- Groził naszym dzieciom. Zajmij się tym. - Spojrzała mi w oczy. - Zrób to dla Edwarda i Carolyn.

Myślałem o zabiciu Anthony'ego i zrobiłbym to bez wahania, gdyby stanowił dla nas zagrożenie. Ale dobić z zimną krwią rannego to nie to samo. Z drugiej strony... jeśli przeżyje... będzie śledztwo, proces, przesłuchania... i zawsze będziemy się czuli zagrożeni... Tak. Trup to trup.

- Zajmę się nim.

Wziąłem ze sobą strzelbę i poszedłem na górę. Zatrzymałem się w drzwiach sypialni. Sprawdziłem, czy przełącznik jest ustawiony na lewą lufę, tę, w której miałem śrut na grubego zwierza, i wszedłem.

Leżał na podłodze. Wciąż jeszcze oddychał.

Podszedłem bliżej i przyklęknąłem.

Ręce miał rozłożone na boki. Z rany krew sączyła się dużo wolniej i nie było w niej już pęcherzyków powietrza.

Spojrzałem na jego twarz; był tak blady, że zarost wyglądał jak plamy czarnej farby. Sprawdziłem puls. Serce biło mu gwałtownie, kompensując zmniejszenie ciśnienia krwi.

Pochyliłem się niżej i zawołałem:

- Anthony!

Zamrugął powiekami.

- Anthony!

Wymierzyłem mu policzek. Otworzył oczy. Spojrzał na mnie i poruszył ustami, ale z gardła wydobył się tylko chrapliwy dźwięk.

- Kiedy już trafisz do piekła i spotkasz tam swojego ojca, powiedz mu, jak się tam znalazłeś i kto cię zabił. Nie zapomnij też poprosić, żeby powiedział ci prawdę o tym, jak planował ucieczkę z Susan. Anthony? - Uderzyłem go ponownie w twarz. - Słyszysz mnie?

W jego oczach wciąż tliło się życie, ale nie wiedziałem, czy mnie słyszy. Zagłuszał je pewnie szum w uszach. Zawsze tak się dzieje, kiedy serce próbuje wtłoczyć resztki krwi do tętnic.

- Podziękuj ojcu za ostatnią przysługę, jaką mi oddał - powiedziałem głośno.

Zamrugął powiekami. A więc słyszał mnie.

Nie spuszczałem z niego wzroku. Oczy miał szeroko otwarte i wodził nimi za

każdym ruchem mojej ręki. Pomyślałem, że może przeżyć.

Do pokoju weszła Susan. Spojrzała na mnie, potem na niego i nie odezwała się słowem.

Na zewnątrz słyszeć już było syrenę policyjną.

- Idź i otwórz im drzwi. Szybko - poleciłem jej.

- John, musisz to zrobić. Inaczej ja to zrobię.

- Idź. Zajmę się tym.

Spojrzała ponownie na mnie, na Anthony'ego, odwróciła się i wyszła.

Patrzyłem na Anthony'ego, który wykazywał zbyt wiele oznak życia... pod dom podjechała już policja, więc było zbyt późno, by strzelać.

Zauważyłem, że wokół rany krew była zakrzepła i ledwie się sączyła. Powstrzymać krwotok... Wywołać krwotok!

Ucisnąłem kolanami jego klatkę piersiową. Z przerażenia otworzył szeroko oczy. Wetknąłem palec wskazujący w ranę tak głęboko jak się dało. Kiedy go wyjąłem, krew znowu popłynęła szerokim strumieniem.

Usiadłem całym ciężarem ciała na jego klatce piersiowej, która nom szła się konwulsyjnie i znieruchomiła.

Wstałem, poszedłem do łazienki, umyłem ręce i rzuciłem strzelbę na łóżko.

Kiedy schodziłem na dół, Susan stała w otwartych drzwiach. Przed domem zatrzymały się dwa radiowozy, z których wyskoczyli umundurowani policjanci.

Objąłem ją i powiedziałem: - Już po wszystkim.

## ROZDZIAŁ 71

Policja przeszukała i zabezpieczyła okolicę, ale nie znalazła żadnego innego intruza. Załoga karetki niepotrzebnie wносиła na piętro nosze.

- Nie żyje - rzekł jeden z umundurowanych policjantów.

Za chwilę miał się pojawić lekarz i stwierdzić oficjalnie zgon.

Policja zabezpieczyła broń jako dowód, a ekipa śledcza rozpoczęła żmudne badanie miejsca zbrodni.

Detektyw z wydziału zabójstw, niejaki Steve Jones, zamienił nasz gabinet w pokój przesłuchań, gdzie zamierzał wysłuchać mojej relacji, podczas gdy Susan karetka zabrała na obdukcję do kliniki North Shore.

Byłem bardzo niezadowolony, że nie pozwolono mi towarzyszyć Susan w drodze do szpitala, ale detektyw Jones wyjaśnił, że to standardowa procedura, która ma zapobiec mataczeniu. Jeśli dochodzi do poważniejszego przestępstwa, świadkowie są od siebie oddzieleni. Moim zdaniem nie można wszystkich mierzyć jedną miarą. Byliśmy przecież nie tylko świadkami, ale i ofiarami przestępstwa, choć to Susan zabiła napastnika.

- Będziemy w pełni współpracować z policją - oświadczyłem detektywowi Jonesowi - ale nalegam, żeby pozwolono mi być przy przesłuchaniu pani Sutter. Jestem prawnikiem i jej adwokatem. Może warto byłoby powiadomić detektywa Nastasiego z drugiego posterunku, u którego swego czasu złożyliśmy skargę na tego człowieka.

Detektyw Jones zastanawiał się, co począć, wreszcie wyszedł, żeby skonsultować się z szefem wydziału zabójstw i asystentem prokuratora okręgowego. Sprawa zabójstwa była na tyle poważna, że detektyw Jones, który zwykle prowadził śledztwa samodzielnie, tym razem musiał oddać część swoich uprawnień wyższemu rangą oficerom.

Krótko mówiąc, kiedy dama z towarzystwa zabije szefa mafii - czy to na terenie swojej posiadłości, czyjego - sprawa zyskuje inną rangę i wszyscy chcą się nią zająć. Pamiętałem, że tak samo było poprzednim razem. Po chwili wrócił Jones.

- Detektyw Nastasi już jedzie - poinformował mnie. - Nie mamy nic przeciwko temu, żeby był pan obecny w trakcie przesłuchania pani Sutter.

- Dziękuję.

- Jako prawnik rozumie pan, że skoro był pan świadkiem zabójstwa, a może

nawet więcej niż świadkiem, muszę odczytać pańskie prawa, nim pana przesłucham. To czysta formalność.

Byłem nie tyle zaskoczony, ile rozszoszczony. Z kolei w mojej sypialni leżał trup i detektyw Jones musiał zyskać pewność, że zabójstwo było uzasadnione. Na razie tej pewności nie miał. Wiadomo, Susan strzelająca do Anthony'ego była mało wiarygodna, a ja, przyspieszając jego zgon, stałem się faktycznym mordercą.

- Niech pan sobie oszczędzi fatygi - odparłem i sam z pamięci wygłosiłem formułkę o przysługujących mi prawach.

Detektywowi Jonesowi w zupełności to wystarczyło i nie zamierzał mnie już pytać, czy rozumiem to, co sam powiedziałem.

Nim rozpoczęło się przesłuchanie, poinformowałem detektywa Jonesa, że martwy napastnik, Anthony Bellarosa, przyznał przed śmiercią, że ma współnika, człowieka, którego również znam, Tony'ego Rosiniego.

Detektyw Jones przekazał tę informację swojemu koledze, a potem powiedział:

- Byłem w grupie detektywów zajmujących się dziesięć lat temu sprawą zabójstwa innego Bellarosy.

Nie miałem pojęcia, po co mi to mówił, zresztą wciąż byłem wściekły, że rozdzielił Susan i mnie, więc odparłem:

- To co dziesięć lat zabija się Bellarosów?

Przemilczał mój sarkazm i zacząłem składać zeznanie. Jones spisywał je odręcznie na papierze w linie, chociaż mogłem mu to wszystko sam wystukać na klawiaturze komputera. Ale policja zawsze była przywiązana do tradycji, więc po co mieszać w to technikę?

W zeznaniu pominąłem pewien szczegół: że klęczałem całym ciężarem ciała na klatce piersiowej napastnika i otworzyłem mu na nowo ranę, by mieć pewność, że umrze przed przyjazdem ambulansu. Skoro Jones mnie o to nie pytał, to po co miałem się wychylać?

Wszystko to zajęło ponad godzinę i po przeczytaniu swojego zeznania podpisałem je, a obok złożył swój podpis Jones i jakiś drugi detektyw.

Zobaczyłem, że pod dom podjeżdża radiowóz i umundurowany policjant prowadzi Susan do drzwi frontowych. Jones zaprosił ją do gabinetu.

- Nic mi nie jest - uspokoiła mnie Susan. - Dostałam środki uspokajające i przeciwbólowe i poproszono, żeby jutro przysłała na kontrolę. Ale chyba pójdę do swojego lekarza.

W gabinecie pojawił się przełożony Jonesa, porucznik Kennedy, oraz młoda kobieta, asystentka prokuratora okręgowego Christine Donnelly. Przypominała mi Carolyn. Żeby ustawić śledztwo na właściwych torach, wspomniałem:

- Nasza córka jest asystentką prokuratora w Brooklynie.

Słyszając to, pani Donnelly uśmiechnęła się i powiedziała:

- Niełatwo jest pracować z Joem Hynesem, ale za to dużo się przy nim nauczy.

Ludzi pilnujących przestrzegania prawa łączy dziwny rodzaj braterstwa, dlatego zawsze w takich sytuacjach trzeba skorzystać z okazji do pochwalenia się, że nasz kochany wujek jest gliniarzem w południowym Bronksie albo gdziekolwiek indziej, a nasza córka, siostrzenica czy bratanek pracują w prokuraturze.

W każdym razie to było śledztwo detektywa Jonesa, więc to on zaczął od wypytania Susan, czy dobrze się czuje i tak dalej.

Następnie odczytał Susan jej prawa i poprosił o złożenia zeznania na temat wydarzeń dzisiejszego wieczora. Kiedy zaczęła mówić, chwycił długopis i skrzętnie wszystko zapisywał.

Uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli nie będę się odzywał, a wtrącę się tylko w sytuacji, w której moja klientka zamierzałaby zeznać: „Powiedziałam Johnowi, żeby poszedł na górę i nim się zajął”. Słyszając takie słowa, detektyw Jones mógłby ją zapytać, co rozumie przez „zajęcie się”.

Nie byliśmy, oczywiście, formalnie podejrzani o zabójstwo, ale trup był, należało więc zachować ostrożność.

Wcześniej już powiedziałem Susan, żeby konsekwentnie obstawała przy tym, że jej zdaniem nasze życie było w niebezpieczeństwie i dlatego strzeliła do nieuzbrojonego człowieka. Doradziłem jej też, żeby powiedziała, że napastnik nie zatrzymał się i nie podniósł rąk, gdy mu kazała, wykonał za to gwałtowny ruch w jej stronę.

To nie były zwykłe, drobne szczegóły techniczne. Woląłem, żeby ława przysięgłych nie miała żadnych wątpliwości. Prawda była, rzecz jasna, inna. Susan mierzyła w jego serce, a potem chciała go dobić strzałem w głowę. Doskonale rozumiałem jej motywy, ale nie byłem pewien, czy takim samym zrozumieniem wykazałaby się policja i prokuratura, szczególnie że dziesięć lat temu zastrzeliła ojca denata.

Podsumowując, przemiła Susan Stanhope miała też drugie oblicze, które ujawniło się po raz pierwszy dziesięć lat temu, a które, jak miałem nadzieję, już

prędko się nie ukáže.

Kiedy Susan mówiła, pani Donnelly i porucznik Kennedy robili notatki, ale nie przerywali jej.

Susan doszła do momentu, kiedy Anthony Bellarosa i Tony Rosini zaciągnęli ją po schodach do sypialni, zdarli z niej szlafrok i bieliznę i przywiązali do łóżka.

Widziałem, że pani Donnelly, na tyle młoda, że jeszcze nie przywykła do opowiadań o ludzkich deprawacjach, była wstrząśnięta. Pomyślałem o Carolyn i o tym, jaka będzie po kilku latach pracy w prokuraturze w Brooklynie.

Susan była również roztrzęsiona, ale kiedy wzięła głęboki wdech, zdecydowała się kontynuować.

- Bellarosa przywiązał mnie do łóżka twarzą do dołu i skórzanym paskiem bił mnie po pośladkach...

- Nie znam tej relacji i nie muszę jej znać - powiedziałem, wstając. - Proszę mnie zawołać, kiedy pani Sutter dojdzie do momentu, w którym ja się pojawiłem w sypialni.

Wyszedłem z gabinetu i przed dom, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Teraz na podwórku stało już pół tuzina samochodów policyjnych, a oprócz tego kilka wozów należących do ekipy śledczej. Ambulans zniknął, podejrzewałem więc, że ciało Bellarosy zostało przewiezione do kostnicy. Jeśli nie będą się guzdrali z sekcją zwłok, to trumny Anthony'ego i wuja Sala mogą zostać wystawione obok siebie w domu pogrzebowym. A później, jeśli diecezja brooklińska nie będzie czyniła przeszkód, w Santa Lucia odbędzie się podwójna msza żałobna i podwójny pogrzeb na parafialnym cmentarzu. Cóż za ironia. A jakie ułatwienie dla rodziny i znajomych. W każdym razie ja nie wybieram się na pogrzeb.

Jeden z policjantów odszukał mnie i zaprowadził z powrotem do gabinetu.

Susan snuła swoją opowieść.

- Miałam nadzieję, że John Sutter domyśli się, iż coś jest nie tak i wezwie policję... ale potem usłyszałam w holu głos Anthony'ego i Johna. Straciłam wszelką nadzieję...

Słuchałem, jak to, co się działo w sypialni, wyglądało z jej punktu widzenia. Nasze relacje różniły się tylko tym, co wtedy myśleliśmy. Ona zeznała na przykład:

- Jak już mówiłam, Bellarosa powiedział, że zmusi mnie do... seksu oralnego, kiedy pojawi się John. Pomyślałam, że mogę go wtedy... ugryźć, a kiedy będzie się zwijał z bólu, zdążę sięgnąć pod łóżko po strzelbę, którą tam wcześniej schowałam.

Johna przykuł kajdankami do kaloryfera, ale nie pomyślał, że to ja mogę stanowić dla niego zagrożenie.

Załóżę się, że do Anthony'ego to dotarło dopiero wtedy, gdy leżał na podłodze z dziurą w piersi.

Susan zakończyła zeznanie następująco:

- Mówił, że nas zabije, więc czułam, że nasze życie jest w niebezpieczeństwie. Kiedy udało mi się sięgnąć po strzelbę, kazałam mu się zatrzymać i podnieść ręce, ale on krzyknął: „Już nie żyjesz, suko!”, a potem rzucił się w moim kierunku i chwycił za lufę. Nie miałam innego wyboru, jak pociągnąć za spust.

Detektyw Jones, porucznik Kennedy i pani Donnelly spojrzeli po sobie, a potem Jones powiedział:

- Dziękujemy.

Poprosił Susan o przeczytanie protokołu z zeznania. Susan przeczytała i złożyła swój podpis. Obok podpisał się porucznik Kennedy i detektyw Jones. Porucznik i pani Donnelly wyszli, a ja zostałam z Susan i Jonesem, który chciał jej zadać jeszcze kilka pytań.

Podczas gdy Susan odpowiadała na pytania policjanta, zadzwoniłem do biura podróży i odwołałem naszą wycieczkę do Europy. Nie mogliśmy jednak zostać w domu, bo zamieniło się ono w miejsce zbrodni, poza tym przywoływało złe wspomnienia, toteż zadzwoniłem do The Creek i zarezerwowałem tam pokój, uprzedzając, że przyjedziemy późno.

W pewnym momencie detektyw Jones wyszedł, zostawiając nas samych w gabinecie.

- Jak się czujesz? - zapytałem Susan.

Wzruszyła ramionami.

- Zmęczona i wyczerpana. Ale... zaczynam wpadać w posttraumatyczną euforię, o której wspomniała mi pielęgniarka w szpitalu.

- Rozumiem.

Wiedziałem, że euforia minie i czekać nas będzie kilka ciężkich dni. Jak na ironię, śledztwo i wiążące się z nim niedogodności odwracały naszą uwagę od tego, co zaszło w ciągu kilku ostatnich godzin.

Do gabinetu wszedł detektyw Nastasi. Przywitaliśmy się, a on wyraził swoje ubolewanie z powodu tego, co zaszło.

- Zostałem przydzielony do pomocy w śledztwie prowadzonym przez wydział

zabójstw.

Pokiwałem głową. To niezwykle, pomyślałem, jak szybko śledztwo w sprawie gróźb karalnych przeistoczyło się w śledztwo w sprawie zabójstwa. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, od samego początku nikt nie powinien mieć wątpliwości, że ta sprawa zakończy się śmiercią. Do końca tylko nie było wiadomo czyją.

- Mam kilka informacji, które mogą państwa zainteresować - powiedział Nastasi. - Jeżeli, oczywiście, chcecie ich wysłuchać.

Oboje przytaknęliśmy.

- Strażnik, z którym pan rozmawiał przy stróżówce, zniknął, podejrzewamy więc, że dorabiał sobie w Bell Security. To pewnie on zaopatrzył Bellarosę i Rosiniego w mundury oraz informował Bellarosę lub któregoś z jego zaufanych ludzi o pańskich ruchach.

Pokiwałem głową. Ja też byłem przekonany, że Anthony musiał tu mieć swojego człowieka. Detektyw Nastasi mówił dalej.

- Wszyscy sądzili, że Bellarosa wyjechał z miasta, tymczasem znaleźliśmy w jego portfelu klucz elektroniczny z motelu w Queens. Nowojorska policja już to sprawdziła - spędził tam cały poprzedni tydzień pod przybranym nazwiskiem. Niedaleko jego domu znaleźliśmy chevroleta capri, jednego z dwudziestu takich wozów leasingowanych przez Bell Enterprises. Podejrzewamy, że przez ostatni tydzień właśnie tego samochodu używał.

Znów przytaknąłem. Oczywiście, najciemniej jest pod latarnią, Anthony Bellarosa nie wyróżniał się oszałamiającą inteligencją, ale jak każdy drapieznik potrafił łatwo dostosować swoje obyczaje łowieckie do zmieniających się warunków.

- Ludzie z Bell Security - mówił dalej Nastasi - dali znać Bellarosie, że jego dom nie jest obserwowany, więc Anthony przyjechał do Alhambry, zostawił samochód kilkaset jardów od domu, przeszedł przez swoją posesję i dotarł z Tonym Rosinim tutaj. Jeśli chodzi o Tony'ego, to zgarnęliśmy go w domu Bellarosy - ma tam swój pokój w piwnicy. Powiedział, że czekał na telefon od szefa, bo miał go gdzieś zawieźć. Do niczego więcej się nie przyznał. Na razie został aresztowany za współudział w licznych przestępstwach. Jutro rano - zwrócił się do Susan - będzie musiała pani dokonać identyfikacji. Jeśli rozpozna w nim pani człowieka, który towarzyszył Anthony'emu, postawimy zarzuty.

Susan skinęła głową.

- Fakt, że domniemany sprawca nie żyje, sprawi, że śledztwo powinno trwać



krócej.

To prawda. Martwy zbir nie opowiada bajek i nie wydaje specjalnych oświadczeń, w których podważałby słowa swoich ofiar. A najważniejsze było to, że Anthony już nie wróci.

- Czy macie państwo jakieś pytania dotyczące tego, co się dzieje w tej chwili i co będzie się działo w najbliższej przyszłości? - zapytał Nastasi.

- Jak długo musimy pozostawać do dyspozycji policji? - zapytała Susan.

- Miesiąc, może dwa, ale decyzja nie należy do mnie.

- W drugą sobotę sierpnia bierzemy ślub i chcielibyśmy wyjechać w podróż poślubną - wyjaśniła.

- Gratuluję. Myślę, że nie będzie z tym żadnych problemów.

- Bardzo na to liczę - odezwała się lady Stanhope. - A gdzie jest mój samochód?  
- zainteresowała się.

- Jeszcze go nie znaleźliśmy, ale Rosini na pewno to wie. Kiedy się odnajdzie, przetrzymamy go jeszcze kilka dni, żeby przeprowadzić badania.

- Kiedy będziemy mogli wrócić do domu? - zapytała.

- Za dzień lub dwa.

Nie przypuszczałem, żeby Susan chciała tu tak szybko wracać, ale kiedy wrócimy, na pewno przeniesiemy się do innej sypialni. Najpewniej jednak nie zostaniemy tutaj. Kiedy uporamy się już z medialnym cyrkiem i zakończy się śledztwo, sprzedamy dom gościnnie Amirowi Nasimowi i przeprowadzimy się w inne miejsce. Dokąd - tego jeszcze nie wiedziałem - może wskażemy palcem na mapie na chybił trafił.

Detektyw Nastasi przerwał moje rozmyślenia, zwracając się do Susan:

- Jestem przekonany, że ława przysięgłych uzna ten przypadek za zabójstwo w obronie własnej, proszę się więc nie martwić. Proszę znaleźć sobie jakiś nocleg na dzisiaj, pozostawać z nami w kontakcie, a jutro rano dokonamy konfrontacji. Detektyw Jones nie ma już do państwa żadnych pytań.

Podziękowaliśmy mu i pożegnaliśmy się, a jakiś inny detektyw zaprowadził nas do naszej sypialni, w której wciąż pełno było ludzi z ekipy śledczej. Fotograf robił właśnie zdjęcia plam krwi na podłodze i kredowego obrysu ciała Anthony'ego.

Zapakowaliśmy do torby podróżnej kilka niezbędnych rzeczy i zeszliśmy na dół.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że w holu na parterze czeka na nas agent

specjalny Felix Mancuso. Na początek zapytał Susan o samopoczucie, po czym od razu przeszedł do rzeczy:

- Cóż, czuję się tak, jakbym wprowadził państwa w błąd, kiedy mówiłem o zamiarach Anthony'ego Bellarosy. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może zrobić coś takiego.

- Proszę siebie nie winić, panie Mancuso. Wszyscy przyjmowaliśmy jakieś założenia i niektóre okazały się błędne. Doceniamy to, co pan dla nas zrobił, jak również pana osobiste zaangażowanie w całą sprawę.

- To miłe, że pan tak mówi. - Widziałem jednak, że wciąż go to dręczy. - Nie rozumiałem Anthony'ego... Nie rozumiałem, że kieruje nim nienawiść... i stara zasada „krew za krew”. Rzadko już spotyka się takie postępowanie w naszym wspaniałym, cywilizowanym społeczeństwie, choć często mam z tym do czynienia w swojej nowej pracy.

Mogłem mu odpowiedzieć, że to tylko pozory cywilizacji, ale sam o tym dobrze wiedział, a mimo to, podobnie jak my wszyscy, był zaskoczony, ilekroć Bestia znów podnosiła łeb.

- Przenocujemy w klubie, jesteście wykończeni - powiedziałem.

- To zrozumiałe. Odprowadzę państwa.

Wyszliśmy przed dom. Noc była pogodna i ciepła, na niebie migotały miliony gwiazd.

- Detektyw Jones mówił mi, że zachowała się pani bardzo roztropnie i dzielnie.

Susan, zapominając chyba o moich przestrojach, jak ma odpowiadać na pytania, odparła:

- Byłam bardzo głupia. Chciał nas zabić. Powtórzył to chyba sześć razy. To nie była zemsta. Żadna „krew za krew”. On chciał nas upokorzyć i zamienić nasze życie w piekło. - Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej, tym razem chyba bardziej do mnie niż do Mancusa. - Mogłam mu pozwolić się zgwałcić i byłoby po wszystkim. Tymczasem ryzykowałam życie swoje i Johna, żeby go zabić.

Zarówno Mancuso, jak i ja wiedzieliśmy, że to jest okoliczność obciążająca Susan, ale ponieważ Mancuso nas lubił, a także czuł się trochę winny, powiedział:

- Jestem pewien, pani Sutter, że była pani przekonana, iż wasze życie jest zagrożone i dlatego zabijając go, postąpiła pani słusznie.

Ale Susan chciała z siebie to wszystko wyrzucić.

- Gdyby chciał mnie zabić w odwecie za to, co zrobiłam jego ojcu, potrafiłabym

to zrozumieć... oko za oko... ale on chciał zabić nasze dusze, a na to nie mogłam pozwolić.

- Rozumiem... - rzekł po dłuższym namyśle Mancuso -... ale... być może postąpiłbym tak samo.

Kiedy dotarliśmy do naszego taurusa, Mancuso dodał:

- Tak przy okazji, lekarz stwierdził, że kiedy przyjechała karetka, Bellarosa jeszcze żył, ale umarł, nim zdążyli się nim zająć.

Skorzystałem w tym momencie ze swojego prawa do zachowania milczenia.

Mancuso mówił dalej:

- Wygląda na to... no, więc, lekarz powiedział, że wyglądało to tak, jakby rana się zasklepiła, ale potem... otworzyła na nowo i Bellarosa się wykrwawił. - Spojrzał na mnie uważnie. - Dlatego... chciałem pana zapytać, czy próbował pan udzielić mu pierwszej pomocy - tak jak Frankowi Bellarosie - i czy nie spowodował pan nieumyślnie ponownego krwotoku.

Miałem wrażenie, że Mancuso daje mi do zrozumienia, że po sporządzeniu raportu z autopsji mogą pojawić się jakieś pytania. Podziękowałem mu za to w duchu i odpowiedziałem:

- Zrobiłem, co do mnie należało. Zadzwoiłem pod dziewięćset jednaście.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. Nawet jeśli Mancuso podejrzewał, że pomogłem Bellarosie zejść z tego świata, nie powiedział tego głośno. Miałem nadzieję, że mnie rozumiał.

Uścisnęliśmy sobie na pożegnanie dłonie, wsiedliśmy z Susan do samochodu i ruszyliśmy długą, ciemną aleją.

W stróżówce paliło się światło, a na zewnątrz stał radiowóz i kilka furgonetek. Brama była otwarta na oścież; zostawiliśmy za sobą Stanhope Hall i wyjechaliśmy na Grace Lane.

Nie wróciliśmy do Stanhope Hall. Przez tydzień mieszkaliśmy w pokoju w The Creek. Z rodziną i znajomymi rozmawialiśmy tylko przez telefon, nie mieliśmy ochoty z nikim się spotykać. Kilkakrotnie widzieliśmy się za to z detektywem Jonesem, który miał do nas jakieś dodatkowe pytania. Susan bez trudu rozpoznała Tony'ego Rosiniego. Tony'emu postawiono wiele zarzutów, w tym o porwanie. Powinno to zaowocować wyrokiem, którego długość będzie zbliżona do długości ery geologicznej.

Detektyw Jones przesłuchał mnie szczegółowo w sprawie wyników autopsji. Pytał, czy wiem, dlaczego tak ładnie zasklepiona rana nagle otwarła się, a fragmenty

skrzepów znalazły się głęboko w ciele denata. „Tak jakby ktoś włożył coś do środka” - powiedział wtedy.

Wydało mi się to trudne do uwierzenia, więc odparłem:

- Nie mam przygotowania medycznego. Tylko kurs udzielania pierwszej pomocy w wojsku, więc nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Chyba nie był w pełni usatysfakcjonowany moją odpowiedzią, ale powiedział tylko:

- Przypuszczam, że ława przysięgłych uzna to za zabójstwo w obronie własnej.

- A cóż innego mogłaby orzec?

Po tygodniu spędzonym w The Creek przenieśliśmy się do motelu Gurney's Inn w Montauk Point.

Pierwszego wieczoru wybraliśmy się na spacer po plaży. Szliśmy w kierunku świecącej w oddali latarni morskiej. Była północ i na plaży nie było zbyt wielu osób; tylko grupka młodzieży rozpałała właśnie ognisko, a rybacy szykowali się do rozstawienia sieci.

Na południowo-zachodnim skrawku nieba pojawił się księżyc, a jego srebrzysty blask odbijał się w wodach oceanu. Wiała delikatna bryza, niosąc ku lądowi zapach słonego powietrza i szum fal przypląwu.

Trzymaliśmy się z Susan za ręce i w milczeniu, wsłuchani w szum oceanu, kroczyliśmy boso po białym piasku.

Wdrapaliśmy się na niewysoką wydnię i usiedliśmy twarzami ku wodzie. Daleko na horyzoncie widziałem światelka statków handlowych i tankowców. Przypominały unoszące się na wodzie miniaturowe miasteczka.

- Weźmiemy ślub? - zapytała w końcu Susan.

- A dostanę jacht?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Po ślubie popłyniemy z dziećmi do Anglii i pozbędziemy się twojego mieszkania. Potem... odesłamy Edwarda i Carolyn samolotem do domu.

- A potem?

- Czy możemy popłynąć razem w podróż dookoła świata?

- Możemy.

- Czy to niebezpieczne?

- A jakie to ma znaczenie?

- Żadnego.

- To jest doświadczenie, które ludzi odmienia.

- To dobrze. Potrzebuję tego. - Objęła mnie i zapytała: - Gdzie chciałbyś mieszkać?

- Najpierw trzeba takie miejsce zobaczyć i wtedy będziemy wiedzieli, że to jest właśnie to.

- Pokochasz Hilton Head.

- Kto wie - odparłem z uśmiechem. Z przyjaciółmi trzeba być blisko, z wrogami jeszcze bliżej. - Będzie ci brakowało Nowego Jorku? - zapytałem. - I Stanhope Hall?

- Chyba tak, przecież to część mojego życia. Ale oboje wyniesiemy stamtąd też miłe wspomnienia. To miejsce, gdzie dorastaliśmy, zakochaliśmy się, pobraliśmy, wychowywaliśmy nasze dzieci. Kiedy tam przyjedziemy z wizytą, poczujemy się jak podróżnicy w czasie, którzy powrócili do najpiękniejszego miejsca w życiu. Będzie nam się wydawało, że znów jesteście młodzi i całe życie przed nami.

- Bo jesteście młodzi i mamy całe życie przed sobą.

Przytuliła się do mnie mocno.

- Jak to cudownie, że znowu jesteś ze mną.

Spojrzałem na latarnię morską i przypomniałem sobie, jak dziesięć lat temu odpływałem stąd w rejs. Nie wiedziałem wtedy, dokąd zmierzam ani czy kiedykolwiek tu powrócę. Nie miało to znaczenia - bo w myślach, w sercu, Susan była ze mną każdego dnia spędzonego na morzu. Często z nią rozmawiałem i miałem nadzieję, że gdziekolwiek jest, wie, że o niej myślę.

W wyobraźni pokazywałem jej świat, patrzyliśmy razem na gwiazdy, pokonywaliśmy sztormy i zawijaliśmy razem do bezpiecznych portów. Nawet po ulicach Londynu chodziliśmy razem. Przez te dziesięć lat nigdy mnie nie opuszczała, dlatego nie można powiedzieć, że teraz się pogodziliśmy, bo przecież nigdy nie rozstaliśmy się na dobre, a ta podróż, w którą mieliśmy się teraz razem wybrać, będzie już naszym drugim wspólnym rejssem.

A jeśli los postanowi, że mamy nie wrócić z rejsu, to nie szkodzi. Każda podróż musi się kiedyś skończyć, a koniec podróży nazywamy domem.

*Ruszaj, wędrowcze w rejs niezwłocznie i szukaj, i znajdź.*

Walt Whitman

## PODZIĘKOWANIA

Podobnie jak podczas pisania moich pozostałych powieści, prosiłem przyjaciół i znajomych o pomoc w takich sprawach jak szczegóły techniczne, żargon zawodowy oraz inne informacje, które pisarzowi są potrzebne, a których nie może znaleźć w książkach czy Internecie.

Po pierwsze, dziękuję mojemu staremu przyjacielowi, emerytowanemu kapitanowi US Airways, Thomasowi Blockowi, piszącemu regularnie na łamach wielu czasopism dotyczących lotnictwa, współautorowi *Mayday* i autorowi sześciu innych powieści. Tom to znakomity badacz, a jako powieściopisarz wie, w jaki sposób wpleść prawdę w fikcję.

Dziękuję też Sharon Block za uważne przeczytanie rękopisu, cenne uwagi i zmuszanie Toma do wczesnego wstawiania.

Jeszcze raz wielkie dzięki dla dobrego przyjaciela, Johna Kennedy'ego, emerytowanego zastępcy komisarza z Departamentu Policji Hrabstwa Nassau, członka nowojorskiej Izby Adwokackiej. John dostarczał mi bezcennych informacji dotyczących ochrony porządku publicznego. Zdarzało się jednak, że korzystałem ze swobody twórczej i dlatego, jeśli znajdują się w książce jakieś błędy lub przeoczenia, to tylko z mojej winy.

Pragnę też podziękować mojemu adwokatowi i bliskiemu przyjacielowi, Davidowi Westermannowi, który przeczytał (*pro bono*) fragmenty powieści dotyczące testamentów, majątków, funduszy powierniczych i tym podobnych zagadnień. Dave wytłumaczył mi wszystko dokładnie, ale znowu skorzystałem ze swobody twórczej i gdzieś zmieniałem trochę prawo.

Wielkie dzięki dla Daniela Barbiero, wspaniałego przyjaciela i żeglarza, który przeczytał fragmenty książki odnoszące się do żeglarstwa, Seawanhaka Corinthian Yacht Club i tym podobnych tematów. Bardzo przyjemne było prowadzenie badań w barze w Seawanhaka, w barze Rex w Sajgonie i we wszystkich innych barach, które odwiedziliśmy przez ostatnie pół wieku.

Dziękuję także Johnowi E. Hammondowi, historykowi i autorowi książki *Oyster Bay Remembered* za podzielenie się ze mną swoją zdumiewającą wiedzą na temat Złotego Wybrzeża. Po raz kolejny powtarzam, skorzystałem z prawa do swobody twórczej i ewentualne błędy pojawiły się wyłącznie z mojej winy.

Ta powieść w ogóle nie mogłaby powstać bez ciężkiej pracy, poświęcenia i

profesjonalnych umiejętności moich wyjątkowo cierpliwych asystentek, Dianne Francis i Patricii Chichster. Moją następną książkę chyba napiszą same.

Specjalne podziękowania dla Jamie Raab z wydawnictwa Grand Central Publishing, mojego wydawcy i serdecznej przyjaciółki. Jamie stała się fanką *Adwokata diabła* na długo, nim napisałem pierwsze słowo, i towarzyszyła mi na każdym kroku. Tak więc autorstwo tej powieści (ale nie tantiemy) muszę dzielić z Jamie.

Zawsze to dobrze podziękować prezesowi, nawet jeśli nie miało się takiego zamiaru, ale w tym wypadku składam najszczerze podziękowania mojemu przyjacielowi, Davidowi Youngowi, prezesowi zarządu Hachette Group USA. David, podobnie jak Jamie, wierzył, że napisanie kontynuacji Złotego Wybrzeża to dobry pomysł. Ja miałem wątpliwości - wątpliwości, które zniknęły dopiero w szklaneczce szkockiej. Najlepszego, David.

Pragnę także podziękować moim teściom, Joan i Bobowi Dillingharaom, za cenne informacje na temat Kościoła episkopalnego, a także pogrzebów, ślubów i wszystkiego, co z Kościołem związane. Wszelkie podobieństwo w tej powieści jest czysto przypadkowe.

Na koniec zostawiłem to, co najlepsze. Każdy autor potrzebuje małżonka albo innej ważnej dla niego osoby, która pomoże mu ustrzec się przed powszechną dla pisarzy przypadłością jaką jest Syndrom Wody Sodowej. Miałem szczęście znaleźć taką osobę, a jest nią moja, od dwóch lat żona, Sandra Dillingham DeMille. Sandra, nie dość, że skutecznie pozbawia mnie najbardziej irytujących cech charakteru, to na dodatek świetnie redaguje rękopisy. Jest także nieocenionym źródłem informacji na temat społeczności białych anglosaskich protestantów. Za to wszystko i za to, że dała mi Jamesa Nelsona DeMille'a, bardzo dziękuję. Kocham cię.

Następujące osoby złożyły hojne datki na cele charytatywne, w zamian za co ich nazwiska posłużyły do nazwania bohaterów tej książki: Diane i Barry Ganzowie, AJ. Nastasi i Jake Watral, którzy wspomogli Crohns & Colitis Foundation of America; Dan Hannon, który wsparł Diabetes Research Institute; Roger Bahnik, Dave Corroon i Diane Knight, wspierający Boys&Girls Club of Oyster Bay-East Norwich; Stephen Jones i Matt Miller, którzy wspomogli Fancini Anemia Research Fund; oraz Christine Donnelly, która wraz z rodziną wsparła Mollie Biggane Melanoma Foundation.

Wielkie podziękowania dla tych szlachetnych mężczyzn i kobiet. Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni, widząc swoje nazwiska jako nazwiska bohaterów *Adwokata*

*diabła.*

I w końcu, użyłem w tej książce jeszcze nazwisk dwóch osób - Justina W. Greena i Josepha P. Biteta - żołnierzy, których chciałem uhonorować za to, że służyli naszemu krajowi w Iraku. Witajcie w domu.